

Witaj mroku

Brown Sandra



calibre 0.9.43

SANDRA BROWN

WITAJ MROKU

Prolog

Do końca programu zostało tylko sześć minut. Dzień jak co dzień. - W rejonach górzystych spodziewana jest mgła. Dziękuję wszystkim słuchaczom za czas spędzony wspólnie na 101,3 FM. Było mi z wami miło, jak każdej nocy. To była audycja Klasyka piosenki miłosnej, a żegna się z wami Paris Gibson. Na koniec chciałam zaprezentować moje trzy ulubione piosenki. Mam nadzieję, że będziecie ich słuchać wraz z tymi, których kochacie. Przytulcie ich mocno.

Paris wyłączyła mikrofon. Piosenki będą leciały nieprzerwanie do pierwszej pięćdziesiąt dziewięć i pół. Ostatnie pół minuty było przeznaczone na jeszcze jedno, ostatnie pożegnanie, kiedy powie swoim słuchaczom dobranoc.

Z głośników sączyła się melodia Yesterday. Paris przymknęła oczy i odchyliła głowę do tyłu, usiłując rozruszać zdrętwiały kark. W porównaniu do normalnej pracy przez osiem czy dziewięć godzin czterogodzinny program radiowy mógł się wydawać błahostką. A tymczasem była to ciężka harówka i kiedy Paris po raz przedostatni naciskała guzik na konsolce, była po prostu fizycznie zmęczona. Pracowała w studiu w pojedynkę, zapowiadając i grając wybrane i zarejestrowane uprzednio piosenki. Telefony z prośbami od słuchaczy zmuszały ją do błyskawicznych zmian w programie i czujności, bo musiała trzymać się czasu. Te telefony również odbierała sama. Obsługiwanie sprzętu stało się jej drugą naturą, ale zawsze podchodziła do tego z odpowiedzialnością i skupieniem, nie poddając się rutynie. Paris Gibson jako osoba tak bardzo przykładała się do pracy, by Paris Gibson jako głos na antenie wypadała idealnie, bo za to właśnie kochali ją słuchacze.

Dziś, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, pracowała wyjątkowo ciężko nad tym, by idealnie synchronizować rozmowy i muzykę. Po dwustu czterdziestu minutach na antenie szyja i ramiona aż piekły ją ze zmęczenia. Ten silny ból był najlepszą miarą skuteczności i efektu.

W połowie standardu Beatlesów zaczęło migać czerwone światelko linii telefonicznej z miasta. Paris już nie bardzo miała ochotę na rozmowy, ale obiecała słuchaczom przyjmować telefony do punkt drugiej. Było już za późno, by przełączać rozmowę na antenę, niemniej wypadało odebrać. Nacisnęła migający przycisk.

- Mówi Paris.

- Cześć, Paris. Tu Valentino.

Znała to imię. Dzwonił do niej do czasu do czasu. Tak niezwykły pseudonim łatwo było zapamiętać. Jego głos był równie niezwykły, niby szept, ale bardzo wyraźnie artykułowany. Tak jakby zmieniał go lub obniżał specjalnie na użytek tych rozmów. Paris odezwała się do mikrofonu, który normalnie służył do nadawania, ale można go było przełączać na funkcję telefoniczną, by ręce pozostawały wolne.

- Jak się miewasz, Valentino?

- Kiepsko.

- Przykro mi to słyszeć.

- Dopiero ci będzie przykro, zobaczysz.

Beatlesi oddali pole Annę Murray, która zaczęła śpiewać Broken Hearted Me. Paris w tym momencie spojrzała na monitor i automatycznie zarejestrowała, że leci ostatnia z trzech zaprogramowanych piosenek. Nie była pewna, czy się nie przesłyszała.

- Nie rozumiem.

- Będzie ci przykro - powiedział swym dramatycznym, charakterystycznym szeptem. Kiedy dzwonił, zwykle był albo w depresji, albo w euforii. Rzadko zachowywał się normalnie, czyli gdzieś pośrodku. Był nieprzewidywalny i właśnie dlatego Paris uważała go za intrygującego rozmówcę. Ale dziś ją przeraził, bo po raz pierwszy usłyszała w jego głosie wyraźną groźbę.

- Nadal nie wiem, co masz na myśli.

- Zrobiłem wszystko według twoich rad, Paris.

- Ja ci cokolwiek doradzałam? Kiedy to było?

- Zawsze, kiedy dzwoniłem. Zawsze mówiłaś, może nie konkretnie do mnie, ale do wszystkich, którzy cię słuchali, że powinno się szanować tych, których się kocha.

- Zgadza się. Myślę...

- A ja myślę, że szacunek prowadzi donikąd, i od dzisiaj mam w nosie to, co ty myślisz.

Nie była psychologiem ani specjalistką z kącika porad, lecz jedynie znaną postacią medialną. Ale choć nie miała na to papierów, swoją rolę wieczornej pocieszycielki-przyjaciółki traktowała jak najbardziej poważnie. Kiedy jakiś słuchacz nie miał z kim pogadać, okazywała się anonimowym powiernikiem. Ludzie znali ją tylko jako głos z radia, a mimo to jej wierzyli. Wysłuchiwała zwierzeń, udzielała dobrych rad, wspólnie z nimi rozważała ich problemy. Słuchacze dzielili się z nią radościami i smutkami, nierzadko obnażali duszę. Rozmowy, które wydawały się szczególnie ciekawe, przełączała na fonię. Wywoływały odzew innych, wyrazy współczucia, zrozumienia, a czasem zażarte spory.

Bywało, że jakiś słuchacz chciał się po prostu wyładować. Wówczas służyła jako zderzak. Wysłuchiwała narzekań ludzi, którzy byli wściekli na cały świat. Z rzadka ktoś kierował agresję bezpośrednio pod jej adresem, ale dzisiejszy telefon z pewnością należał do takich właśnie przypadków. To było niepokojące. Jeśli nawet Valentino znalazł się na skraju załamania nerwowego, nie była w stanie go uleczyć. Jedyne, co mogła zrobić, to wysłuchać go z bezpiecznej odległości i delikatnie zasugerować, by poszukał pomocy u specjalisty.

- Porozmawiajmy, Valentino. O co ci dokładnie chodzi?

- Szanuję kobiety. Kiedy spotykam się z dziewczyną, stawiam ją na piedestale i traktuję jak księżniczkę. Ale to im nie wystarcza. Wszystkie dziewczyny są niewierne. Każda jak dotąd robiła mnie w konia. A kiedy mnie zostawiały, dzwoniłem do ciebie, a ty mnie zapewniałaś, że to nie moja wina.

- Posłuchaj, Valentino, ja...

- Wmawiałaś mi, że nie zrobiłem niczego złego, że to nie przeze mnie odchodzą. I wiesz co, Paris? Miałaś świętą rację. Nie jestem niczemu winien. To twoja wina. Tym razem na pewno.

Paris spojrzała przez ramię w stronę dźwiękoszczelnych drzwi studia. Były zamknięte. Widoczny za nimi korytarz z szeregiem okien jeszcze nigdy nie wydawał jej się tak mroczny, choć w porze jej nocnej audycji zawsze było ciemno w budynku. Marzyła, by na horyzoncie pojawił się Stan, a niechby tylko Marvin. Chciała, żeby ktoś jeszcze wraz z nią posłuchał rozmowy i pomógł zrozumieć jej ukryty sens.

Przez sekundę miała ochotę się rozłączyć. Nikt nie wiedział, gdzie mieszka ani jak wygląda, anonimowość miała zagwarantowaną w kontrakcie. Nie udzielała wywiadów, nie pozwalała się fotografować prywatnie, nie miała obowiązku pokazywać się na reklamowych zdjęciach, w reklamówkach telewizyjnych czy na billboardach. Paris Gibson to było jedynie nazwisko i głos, nigdy twarz. Pożałowała jednak tego faceta. Sumienie nie pozwoliło jej nacisnąć guzika. Jeśli przypadkowo wziął sobie zbyt do serca to, co powiedziała w audycji, i z tego powodu coś mu nie wyszło, miał prawo się złościć. Gdyby był normalny, zrównoważony i jej słowa nie przypadłyby mu do gustu, po prostu by je zlekceważył. Tymczasem Valentino absorbował ją swymi osobistymi sprawami w stopniu dużo większym, niż mogła czy chciała się zgodzić.

- Na czym ma polegać moja wina, Valentino?

- Poradziłaś jej, żeby ze mną zerwała.

- Ja nigdy...

- Słyszałem na własne uszy! Zadzwoiła do ciebie przedwczoraj. Słuchałem tego. Nie przedstawiła się, ale rozpoznałem jej głos. Opowiedziała ci o naszym związku. Mówiła, że jestem zazdrosny i zaborczy. Ty jej na to, że jeśli dusi się w takim układzie, to powinna się wyzwolić. Innymi słowy poradziłaś jej, żeby mnie zostawiła.

I po chwili dodał jeszcze:

- Postaram się, żebyś gorzko pożałowała tej swojej rady. Paris myślała gorączkowo, co robić. Przez wszystkie lata pracy w radiu jeszcze jej się coś podobnego nie przytrafiło.

- Valentino, pogadajmy na spokojnie, OK?

- Ja jestem spokojny, Paris, nawet bardzo spokojny. I nie mamy już o czym gadać. Trzymam ją w takim miejscu, gdzie nikt jej nie znajdzie. Teraz już mnie nie opuści.

Zabrzmiało to jak zapowiedź zbrodni. Ale przecież nie mógł dosłownie zrobić tego, co zapowiadał. Nim Paris zdążyła się odezwać, dodał:

- Umrze za trzy dni, Paris. Zamierzam ją zamordować, ale to ty ją będziesz miała na sumieniu.

Kończyła się ostatnia piosenka. Wskazówka zegara nieubłaganie się przesuwała. Paris rzuciła okiem na Vox Pro, żeby sprawdzić, czy to wszystko to nie sprawa jakiegoś złośliwego gremlina. Ale nie, wszystko funkcjonowało jak należy. Rozmowa się nagrała. Paris oblizła nerwowo wargi i wzięła głębszy wdech.

- Valentino, to nie było śmieszne.

- Bo nie miało być.

- Wiem, że tak naprawdę nie masz zamiaru...

Mam zamiar i zrobię. Mam przed sobą upojne siedemdziesiąt dwie godziny z dziewczyną. Chyba sobie na nie zasłużyłem, byłem dla niej miły. Nie uważasz, że należy mi się taka nagroda? Valentino, błagam, wysłuchaj mnie...

Skończyłem z tobą. Jesteś wredną świnią. Twoje rady są głupie i podłe. Byłem dla dziewczyny dobry, traktowałem ją z szacunkiem, tymczasem ona rozkładała nogi dla innych facetów. A ty jej poradziłaś, żeby mnie rzuciła, jakbym to ja był wszystkiemu winien, jakbym to ja ją zdradzał i oszukiwał. A więc wet za wet. Będę ją pieprzyć, aż krew się będzie lała, a potem ją załatwię. Za siedemdziesiąt dwie godziny od tej chwili. Śpij dobrze, Paris.

Rozdział 1

Dean Malloy wstał z łóżka. Macając w ciemności, znalazł bieliznę i zabrał do łazienki. Zamknął drzwi najciszej, jak mógł, i zapalił światło. Ale Liz i tak się obudziła.

- Dean?

- Zaraz wychodzę. - Oparł dłonie o umywalkę i spojrzał do lustra. Jego odbicie wyrażało rozpacz lub niesmak, trudno było określić. Na pewno jednak wyrzut. Przyglądał się sobie jeszcze przez chwilę, po czym odkręcił kran i ochlapał twarz zimną wodą. Skorzystał z toalety, wciągnął bokserki i otworzył drzwi.

Liz włączyła nocną lampkę i patrzyła na niego, wsparta na łokciu. Jej jasne włosy były potargane od snu, a na policzku widać było ciemną smugę tuszu. Ale nawet w tym niechlujnym wydaniu była pociągająca.

- Chcesz wziąć prysznic? - Nie.

- Umyłabym ci plecy.

- Dzięki, ale...

- To może to, co masz z przodu?

- Deszcz mnie wykąpie.

Posłał jej uśmiech. Jego spodnie leżały na oparciu fotela. Gdy po nie sięgnął, głowa Liz opadła na poduszkę.

- Idziesz sobie.

- Chciałbym zostać, Liz.

- Od tygodni nie spędziłeś razem całej nocy.

- Wkurza mnie to tak samo jak ciebie, ale na układy nie ma rady.

- Co to za wymówka, Dean. Przecież on ma szesnaście lat.

- Właśnie. Gdyby był małym dzieckiem, miałbym pełną kontrolę nad tym, co i kiedy robi, i gdzie przebywa. A tymczasem Gavin ma szesnaście lat i prawo jazdy w kieszeni. Dla rodzica to koszmar dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Pewnie go jeszcze nie będzie w domu, jak wrócisz.

- Lepiej dla niego, żeby był - mruknął Dean, wciskając poły koszuli w spodnie. - Wczoraj nie dotrzymał obiecaney godziny, więc go rano opieprzyłem. Dostał szlaban.

- Na jak długo?

- Aż będzie miał czyste konto.

- A jeśli tego nie zrobi?

- Nie zostanie w domu?

- Nie, nie wyczyści swojego konta.

To było poważne pytanie, na które teraz Dean nie miał czasu odpowiadać. Wsunął buty, usiadł na brzegu łóżka i wziął Liz za rękę.

- To paskudne, że zachowanie Gavina ma wpływ na twoje życie.

- Na nasze życie.

- Na nasze życie - poprawił się. - Wiem, że to beznadziejna sytuacja i że to przez niego żyjemy w zawieszaniu.

Liz pocałowała wewnątrz jego dłoni i rzuciła spojrzenie spod rzęs.

- No tak. Spodziewałam się, że przed świętami weźmiemy ślub, a tymczasem nie mogę cię nawet namówić, żebyś został u mnie na noc.

- Jeszcze wszystko może się zdarzyć. Miejmy nadzieję, że sytuacja zmieni się szybciej, niż się spodziewamy.

Było widać gołym okiem, że Liz nie dzieli jego optymizmu.

- Przecież byłam cierpliwa, prawda, Dean?

- Oczywiście.

- Przez te dwa lata, odkąd jesteśmy razem, próbowałam się dostosować. Przeniosłam się tutaj bez słowa. I chociaż byłoby sensowniej mieszkać razem, zgodziłam się wynająć oddzielne mieszkanie.

Dean uznał, że Liz ma dość wybiórczą pamięć. Nigdy wspólnie nie planowali zamieszkania razem. On by się na to nigdy nie zgodził, mając pod opieką Gavina. Nigdy jej też nie namawiał, żeby się za nim przenosiła do Austin. Prawdę mówiąc, wolałby, żeby pozostała w Houston. Liz na własną rękę postanowiła się przeprowadzić, gdy on dostał przeniesienie. Zaskoczyła go tą wiadomością do tego stopnia, że musiał pokryć irytację fałszywym uśmiechem. Narzucała mu się, a tymczasem ostatnia rzecz, jakiej w tej chwili potrzebował, to dodatkowe obciążenie w życiu osobistym.

Dla świętego spokoju postanowi! jednak nie otwierać teraz puszek Pandory. Wolał przyjąć wersję, że Liz wykazuje nadzwyczajną wyrozumiałość w trudnych dla niego okolicznościach.

Zdaje sobie sprawę, jak wiele się zmieniło od czasu, kiedy zaczęli się spotykać. Nie wiedziałaś, że decydujesz się na związek z facetem, który jest samotnym ojcem trudnego nastolatka. Wykazałaś więcej cierpliwości, niż miałbym prawo oczekiwać.

No, już dobrze - powiedziała udobruchana. - Ale moje ciało nie ma jej aż tyle. Każdego miesiąca ubywa jajeczek z koszyka. - Zrobiła aluzję do swego zegara biologicznego.

Wiem, jak się dla mnie poświęcasz - przytaknął z uśmiechem.

I zamierzam się poświęcać dalej. - Poglaskała go po policzku. - Bo jesteś tego wart, Dean.

Komplement był szczery, ale nie poprawił mu nastroju. Przeciwnie. Wytrzymaj jeszcze trochę, Liz, dobrze? Gavin zachowuje się niemożliwie, ale trzeba przyznać, że ma swoje powody. Daj mi jeszcze trochę czasu. Na pewno znajdziemy wkrótce wspólną płaszczyznę i wszyscy we trójkę zdołamy się porozumieć.

Wspólna płaszczyzna? - skrzywiła się. - Mów dalej takim językiem, a na pewno zaangażują cię do telewizji.

Dean ucieszył się, że rozmowa nareszcie przybrała lżejszy ton. Lecisz jutro do Chicago? - spytał.

Na trzy dni. Negocjujemy z partnerami z Kopenhagi. Same chłopaki. Dziarscy, napaleni blond wikingowie. Nie jesteś zazdrosny? Jak cholera. Będziesz tęsknić? A jak ci się wydaje?

A może zostawić ci na pożegnanie przyjemne wspomnienie? - Odrzuciła kołdrę. Naga, na skotłowanej pościeli, gdzie się tak niedawno kochali, Elizabeth Douglas wyglądała raczej na ponętą kurtyzanę niż na szefową marketingu dużej sieci luksusowych hoteli. Miała pełną, zmysłową figurę i była z niej zadowolona. W przeciwieństwie do swoich rówieśniczek nie katowała się liczeniem każdej kalorii i nigdy nie odmawiała sobie deseru. Dlatego miała dość siły, by sama nosić bagaże. Z

kobietami zaokrągleniami było jej do twarzy. Wyglądała superseksownie.

- Kusząca propozycja - westchnął. - Bardzo. Ale buziak musi wystarczyć. Pocałowała go mocno, głęboko, ssąc jego język z takim zapamiętaniem, że tłum wikingów chyba by pękł z zazdrości. To on musiał przerwać pocałunek.

- Naprawdę muszę iść, Liz - szepnął, muskając wargami jej usta. - Dobrej podróży.

- Zadzwoń. - Ukryła niezadowolenie pod czułym uśmiechem i narzuciła kołdrę.

- Nie zapomnij.

Wyszedł, hamując krok, by nie wyglądało to na ucieczkę. Powietrze, ciepłe i wilgotne, otuliło go jak mokry koc. Wciągnął je przez nos i wydawało mu się, że czuje zapach wełny. Na tym krótkim dystansie, jaki dzielił go od parkingu, koszula zdążyła mu się przylepić do pleców. Włączył silnik i klimatyzację. Radio włączyło się automatycznie. Elvis śpiewał Are You Lonesome Tonight. O tej porze ulice były puste. Dean nacisnął hamulec i zatrzymał się na czerwonym świetle akurat w chwili, gdy piosenka się skończyła.

- W rejonach górzystych spodziewana jest mgła. Dziękuję wszystkim słuchaczom za czas spędzony wspólnie na 101,3. - Głęboki kobiecy głos wibrował w całym aucie. Fale dźwięku przenikały piersi i brzuch Deana. Było to zasługą ośmiu wspaniałych głośników, inteligentnie zamontowanych we wnętrzu przez niemieckich inżynierów. Wysoka jakość dźwięku sprawiała, że czuł jej bliskość, jakby siedziała tuż obok. - Na koniec chciałam zaprezentować moje trzy ulubione piosenki. Mam nadzieję, że będziecie ich słuchać wraz z tymi, których kochacie. Przytulcie ich mocno.

Dean zacisnął dłonie na kierownicy i uderzył w nie czołem, podczas gdy chłopcy z Liverpoolu tęsknie śpiewali o tym, co było wczoraj.

Gdy tylko sędzia Baird Kemp odebrał kluczyki od parkingowego przy hotelu Four Seasons i wsiadł do środka, natychmiast poluzował krawat i zdjął marynarkę.

- O Boże, jak to dobrze, że już się skończyło.

- Sam chciałeś tu przyjść. - Jego żona Marian zsunęła modne pantofle od Bruno Magliego i uwolniła zdrętwiałe uszy z boleśnie tamujących obieg krwi klipsów. - Nie musieliśmy jednak zostawać tak długo na przyjęciu.

- Dobrze zrobiliśmy, żeśmy się tu pokazali. Było mnóstwo wpływowych osób. Jak na typowy uroczysty obiad z okazji wręczenia jakichś nagród impreza wlokła się niemiłosiernie długo. Po niej nastąpił koktajl, na który przeniesiono się do sal recepcyjnych hotelu. Sędzia szykował się do kolejnej kampanii wyborczej, więc nie przepuszczał żadnej okazji, by bywać w takich miejscach i pomnażać grono swych zwolenników. W drodze do domu Kempowie obgadywali innych gości, o których sędzia zwykł złośliwie mawiać „skwaśniała śmietanka”. Gdy dojechali, skierował kroki do gabinetu, gdzie znajdował się barek, zaopatrzony zapobiegliwie przez Marian w jego ulubione gatunki.

- Zrobię sobie drinka. Napijesz się?

- Nie, dziękuję. Pójdę na górę.

- Przykręć ogrzewanie w sypialni. Gorąco nie do wytrzymania.

Marian szła schodami z rzeźbionego drewna, ich fotografia niedawno zdobiła magazyn o urządzaniu wnętrz. Na zdjęciu była także i ona, ubrana w balową suknię od modnego projektanta i brylantową kolię. Uznała, że portret wyszedł świetnie. Sędziemu podobał się artykuł, wychwalający jej gust i umeblowanie domu, który przerobiła na istną galerię sztuki.

W holu panował mrok, ale Marian kamień spadł z serca, gdy zobaczyła smugę światła pod drzwiami pokoju córki. Choć jeszcze trwały wakacje, sędzia zastosował wobec siedemnastoletniej Janey godzinę policyjną. Poprzedniego wieczoru złamała zakaz, wymknęła się z domu i wróciła dopiero przed świtem.

Było jasne, że piła i, jeśli Marian nie mylił węch, jej ubranie cuchnęło marihuaną. Co gorsza, w tym stanie prowadziła samochód.

- Daję ci ostatnią szansę, moja panno - ryczał sędzia. - Jeszcze jeden taki wybryk i koniec z ochronnym parasolem. Już nigdy nie wyciągnę cię z kłopotów, a jak cię złapie policja, każde przewinienie znajdzie się w twojej kartotece.

- Pieprzę to! - warknęła Janey.

Kłótnia stała się tak głośna i wulgarna, że Marian przestraszyła się, czy aby nie usłyszą jej sąsiedzi, od których dzielił ich dom starannie strzyżony żywopłot. Pyskówka skończyła się tym, że Janey pobiegła do swojego pokoju, z całej siły strzeliła drzwiami i zamknęła się na klucz. Od tej chwili z żadnym z rodziców nie zamieniła ani słowa.

Najwyraźniej jednak pogróżki sędziego poskutkowały. Janey była w domu, w dodatku, jak na swoje obyczaje, względnie wcześnie. Marian kusilo, żeby zapukać, ale zza drzwi dobiegł ją znajomy głos radiowej prezenterki, której audycji Janey słuchała, kiedy miała dobry humor. Była to miła odmiana po odrażającym szczekaniu didżejów od acid rocka czy rapu. Janey wpadała w szal, gdy ktoś naruszał jej prywatność, matka zatem opuściła dłoń i poszła do siebie, nie zakłócając krucho domowego spokoju.

Toni Armstrong obudziła się nagle. Leżała bez ruchu, nasłuchując hałasu, który mógł być tego powodem. Czyżby któreś z dzieci wołało „mamo”? A może to Brad chrapał?

Ale nie, dom był zupełnie cichy, jeśli nie liczyć monotonnego buczenia klimatyzatorów, które na pewno by jej nie obudziło. Podobnie jak oddech męża. Z prostej przyczyny. Poduszka leżąca po jego stronie łóżka była nietknięta. Toni wstała i narzuciła szlafroczek. Spojrzała na zegarek. Pierwsza czterdzieści dwie. A Brada wciąż nie ma.

Zanim zeszła na dół, sprawdziła, co u dzieci. Choć dziewczynki każdego wieczoru kładły się w swoich łóżkach, nieodmiennie znajdowała je w nocy w jednym. Było między nimi tylko półtora roku różnicy i często brano je za bliźniaczki. Teraz też wyglądały identycznie, przytulone, z głowami na jednej poduszce. Toni przykryła je, przez chwilę podziwiała dziecięce niewinne piękno, po czym na palcach wyszła z pokoju. U syna na podłodze walały się tony zabawek. Toni minęła je ostrożnie i podeszła do łóżka. Chłopiec spał na brzuchu, z rozrzuconymi nogami i ramieniem zwieszonym na podłogę. Korzystając z okazji, pogłaskała go po policzku. Osiągnął wiek, w którym chłopcy demonstracyjnie odrzucają mamine czułości. Jako pierworodny uważał, że jest już prawdziwym mężczyzną. Na myśl o jego dorastaniu Toni odczuwała grozę bliską paniki.

Gdy schodziła po schodach, kilka stopni zaskrzypiało. Lubiła to - dzięki takim drobnym niedoskonałościom jej dom miał duszę. To prawdziwe szczęście, że udało im się go kupić. Sąsiedztwo było bardzo przyzwoite, a szkoła podstawowa o krok. Poprzednim właścicielom bardzo zależało, żeby go szybko sprzedać, więc cena wywoławcza była względnie niska. Budynek częściowo wymagał remontu, ale większość drobnych napraw Toni z oszczędności wykonała sama. Podczas gdy Brad aklimatyzował się w nowej pracy, ją absorbowała praca w domu. Po zasadniczym remoncie przyszła pora na kosmetykę. Opłacała się cierpliwość i staranność. Dom stał się nie tylko ładniejszy, ale mocniejszy i cieplejszy. Bez uprzedniego załatwienia dziur farba nie pokryłaby żadnego

uszczerbku tynku.

Niestety, były rzeczy, których nie dało się tak prosto naprawić.

Tak jak przewidywała, pokoje na dole były ciemne i puste. Włączyła kuchenne radio, żeby przerwać tę ponurą, przytłaczającą ciszę. Nalała sobie szklankę mleka, na które wcale nie miała ochoty, i zmusiła się, by je pomalutką wypić. Być może źle oceniała własnego męża. Przecież naprawdę mógł być na kursie domowej księgowości. Zapowiedział jej przy kolacji, że spędzi tam cały wieczór.

- Nie pamiętasz, kochanie? - powiedział, gdy wyraziła zdziwienie. - Mówiłem ci o tym na początku tygodnia.

- Nie mówiłeś.

- Przepraszam. Byłem pewien, że mówiłem. Zamierzałem ci powiedzieć. Mogę prosić o sałatkę? Pyszna. Co to za ziółka?

- Koperek. Pierwsze słyszę o tym kursie, Brad.

- Partnerzy mi go polecili. Dzięki temu, czego się tam nauczyli, zaoszczędzili kupę kasy na podatkach.

- To może i ja powinnam tam z tobą iść? Też chciałabym się tego wszystkiego nauczyć.

- Świetny pomysł. Pójdiesz na następny, bo trzeba się było zapisywać z wyprzedzeniem.

Poinformował Toni, gdzie i o której odbywa się kurs, i prosił, by nie czekała, bo po wykładach miała być dyskusja, która mogła się znacznie przeciągnąć. Przed wyjściem ucałował ją i dzieci. Poszedł do samochodu krokiem wyjątkowo dziarskim jak na kogoś, kogo czekała nudna nasiadówka na temat podatków i planów finansowych.

Dopiła mleko i po raz trzeci wybrała numer komórkowy męża. Tak jak dwa razy poprzednio, odezwała się jedynie poczta głosowa. Nie zostawiła wiadomości. Nie zadzwoniła też pod numer, gdzie odbywał się kurs, bo o tej porze z pewnością nikogo już tam nie było.

Kiedy się pożegnali, posprzątała po kolacji i przygotowała dzieciom kąpiel. Gdy cała trójka była już w łóżkach, próbowała się dostać do pracowni Brada, ale drzwi były zamknięte. Wstydząc się samej siebie, przebiegła jak tornado przez cały dom w poszukiwaniu szpilki do włosów albo pilniczka, jakiegokolwiek narzędzia, by móc się tam włamać. Znalazła korkociąg i prawdopodobnie uszkodziła nim zamek, ale miała to w nosie. Ku jej zmartwieniu w pokoju nie było niczego, co usprawiedliwiłoby jej podejrzenia. Na biurku leżała ulotka informująca o kursach. W kalendarzu Brad zanotował termin i godzinę. Było oczywiste, że się tam wybierał.

Ale takie zasłony dymne to była jego specjalność. Toni usiadła przy biurku i wpatrzyła się w ciemny ekran komputera. Dotknęła nawet włącznika, bo kusilo ją, żeby się włamać niczym haker. Nie dotykała jego komputera, odkąd kupił jej drugi, do wyłącznego użytku. Zdziwiła się, gdy zaczął układać duże paki na kuchennym stole.

- Kupiłeś sobie drugi komputer?

- Nie sobie, tylko tobie. Wszystkiego najlepszego z okazji świąt.

- Mamy dopiero czerwiec.

- Pospieszyłem się. Albo spóźniłem - wyznał rozbrajającym tonem. - Teraz, kiedy będziesz chciała napisać e-maila do rodziców albo zrobić zakupy przez Internet, nie będziesz musiała mnie prosić.

- Przecież korzystam z komputera tylko w ciągu dnia, kiedy ty jesteś w klinice.

- I o to chodzi. Teraz będziesz mogła go używać, kiedy tylko zechcesz. I ty też, pomyślała. Odgadł, że nabiera podejrzeń.

- To nie to, co myślisz - powiedział, stając w obronnej pozycji. - Po prostu zajrzałem do sklepu, żeby pooglądać gadżety, i kiedy zobaczyłem to różowe cudenko, takie zgrabne i mądre, pomyślałem: „Jest kobiecy i wielofunkcyjny, zupełnie jak moja ukochana żoneczka”. I kupiłem go dla ciebie bez zastanowienia. To był impuls. Myślałem, że się ucieszysz. Widocznie się pomyliłem.

- Ależ cieszę się - powiedziała z poczuciem winy. - To bardzo ładny gest, Brad. Dziękuję ci. - Rzuciła zaciekawione spojrzenie. - Powiedziałaś, że jest różowy?

Oboje wybuchnęli śmiechem i padli sobie w ramiona. Brad pachniał słońcem, mydłem i zdrowiem. Jego ciało było ciepłe, miłe, znajome. Koszmary gdzieś uleciały. Nie na długo jednak. Ostatnio znów zaczęły ją męczyć. Mimo to nie włączyła się tego wieczoru do jego komputera. Za bardzo obawiała się tego, co mogłaby tam znaleźć. Gdyby był zabezpieczony hasłem, potwierdziłoby to tylko jej obawy, czego nie chciała. O Boże, nie, tylko nie to.

Spróbowała naprawić uszkodzony zamek i w końcu położyła się spać, mając nadzieję, że Brad wkrótce ją obudzi i zasypie informacjami, jak za pomocą cudownych sztuczek uzdrowić domowy budżet. Ale nadzieja jest matką głupich.

- Było mi z wami miło, jak każdej nocy - dobiegł z radia zmysłowy, seksowny głos. - To była audycja Klasyka piosenki miłosnej, a żegna się z wami Paris Gibson.

Nie ma na świecie takich kursów, które kończą się o drugiej w nocy. Nawet spotkania pacjentów poddających się terapii grupowej nie trwają tak długo. A tym się Brad tłumaczył w ubiegłym tygodniu, kiedy wrócił do domu nad ranem. Opowiadał, że jeden z facetów w grupie nie mógł sobie poradzić z własnym życiem.

- Po spotkaniu zaprosił mnie na piwo. Mówił, że potrzebuje przyjaznej duszy, której mógłby się wypłakać na piersi. Ten gość to dopiero ma problemy, Toni! Nie uwierzyłabyś, co on mi naopowiadał. Aż się niedobrze robiło. Ale wiedziałem, że mnie zrozumiesz. Bo wiesz, na czym polega problem.

Wiedziała aż za dobrze. Te kłamstwa. Te zaprzeczenia. Ten czas bez alibi. Drzwi pozamykane na klucz. Wiedziała, doskonale wiedziała. Dokładnie tak jak w tej chwili.

Rozdział 2

Wkurzało ją to. I jednocześnie przerażało.

Zniknął jakiś czas temu i nie miała pojęcia, kiedy wróci. Nie podobała jej się sytuacja, w jakiej się znalazła, i jedyną jej myślą była ucieczka. Ale to nie było takie proste. Miała związane ręce. Dosłownie. Tak samo nogi. Ale najgorsze, że usta zalepił jej plastikową taśmą.

W ciągu ostatnich tygodni była tu u niego ze cztery, może pięć razy. Za każdym razem było im świetnie, pierdolili się do upadłego jak króliki. Dosłownie. Nigdy nie okazywał skłonności do gierek sado-maso. Nie było żadnych zbroczeń... no, takich prawdziwych zbroczeń. Dlatego teraz czuła się naprawdę podle.

To, co ją w nim pociągało, to dojrzałość, wyrafinowanie i doświadczenie. Był zupełnie innym facetem niż reszta gnojków ze szkoły i pierwszych lat studiów, którym imponował alkohol, skręty i seks z przypadkowymi osobami. Od czasu do czasu trafiał się jakiś stary obleśnik, któremu zależało, by wsadzić swego kutasa w byle dupę w byle krzakach. Ten facet był inny. Był w porządku. Ona też musiała mu się wydać wyjątkowa. Zwrócił na nią uwagę, gdy była nad jeziorem ze swoją przyjaciółką Melissą.

- To może być glina po cywilnemu - powiedziała z zastanowieniem Melissa. Była tego wieczoru w wyjątkowo podłym humorze, bo następnego dnia miała lecieć ze starymi do Europy, a nie wyobrażała sobie nudniejszych wakacji. Próbowwała robić dobrą minę do złej gry, ale to nic nie dawało. Wszystko widziała w czarnych kolorach.

- Glina w takiej bryce? Nie żartuj. Poza tym ma za dobre buty. Nie chodziło tylko o to, że na nią patrzył. Wszyscy faceci zawsze się na nią wgapiali. Ważne było, jak patrzył. Stał oparty o samochód, ze skrzyżowanymi nogami i ramionami. Stał tak nieruchomo, na luzie, ale wpatrywał się w nią jak zaczarowany. I to nie na nogi czy cycki, jak inni. On patrzył jej prosto w oczy. Jakby rozpoznał w niej bratnią duszę. I jakby była dla niego najważniejsza na świecie.

- Nie uważasz, że on jest super?

- Może. - Melissa z trudem siliła się na obojętność.

- Moim zdaniem jest. - Pociągnęła łyk coli z rumem przez słomkę, starając się wypaść tak uwodzicielsko, jak wtedy, kiedy rano godzinami ćwiczyła ten gest przed lustrem. Na facetach robiło to obłędne wrażenie, o czym doskonale wiedziała. - Wchodzę w to.

Odstawiła plastikowy kubek i podniosła się z miejsca z wdziękiem żmii ześlizgującej się ze skały. Odrzuciła włosy do tyłu i obciągnęła obcisły top, biorąc jednocześnie głęboki oddech, jak olimpijczyk szykujący się do startu. Do każdego wielkiego występu trzeba się było odpowiednio przygotować. Tym razem to ona zrobiła pierwszy krok. Zostawiła Melissę, wolnym krokiem zbliżyła się do samochodu i oparła się o maskę u jego boku.

- Masz brzydki zwyczaj - zagadnęła.

- Myślisz, że tylko jeden? - odpowiedział z lekkim uśmiechem, odwracając ku niej głowę.

- Na razie zauważyłam ten jeden.

- Wobec tego powinniśmy się lepiej poznać - uśmiechnął się szerzej.

Tyle słów im wystarczyło, bo oboje wiedzieli, po co tu przyszli. Wziął ją za rękę i, uprzejmie otwierając drzwi, posadził na obitym luksusową skórą siedzeniu dla pasażera. Choć na dworze był upał, jego dłoń była chłodna i sucha. Gdy odjeżdżali, posłała Melissie triumfalny uśmiech, którego ta nie zauważyła, zajęta grzebaniem w torbie w poszukiwaniu środków na poprawienie nastroju.

Prowadził uważnie, z obydwoma dłońmi na kierownicy, patrząc na drogę. Nie gapił się na nią ani nie próbował jej obmacywać, co było zaskakujące. Normalnie każdy gość, któremu udało się zwabić ją do auta, w pośpiechu rzucał się z łapami, jakby nie mogąc uwierzyć własnemu szczęściu. Albo w obawie, że ona zniknie jak duch albo rozmyśli się nagle i wysiądzie. Ten facet był zupełnie inny, co jej strasznie imponowało. Był dojrzały i pewny swego. Nie musiał jej już teraz łapać i sapać, by mieć pewność, że pójdzie z nim do łóżka. Spytała, jak ma na imię.

- A czy to ważne? - odparł, odwracając głowę, bo akurat przystanęli na światłach. Wzruszyła ramionami. Kolejny wystudiowany gest uniósł jej biust i wyeksponował go lepiej niż najbardziej wymyślny stanik.

- Chyba nie. - Na kilka sekund zatrzymał oczy na jej piersiach, ale kiedy światło się zmieniło, natychmiast ruszył.

- Jaki mam według ciebie brzydki zwyczaj?

- Gapisz się na dziewczyny.

- Jeśli to nazywasz brzydkim przyzwyczajeniem - parsknął śmiechem - to zobaczymy, co powiesz, jak poznasz mnie bliżej.

- Nie mogę się doczekać - powiedziała namiętym, łózkowym szeptem i położyła mu dłoń na udzie.

Na miejscu okropnie się rozczarowała. Miał mieszkanie w podłej dzielnicy, która nie pasowała do klasy jego samochodu i ciuchów. Była to nędzna stara czynszówka z lokalami na wynajem. Wielki czerwony transparent na froncie zachęcał klientów specjalnymi zniżkami. Zauważył jej grymas pełen niesmaku.

- Wiem, że to dziura, po przeprowadzce do tego miasta niczego lepszego nie znalazłem - powiedział. - Ciągle szukam mieszkania. Ale nie zdziwię się, jeśli teraz każesz mi się odwieźć - dodał cicho.

- Nie. - Nie chciała, żeby wziął ją za głupią dziurę z drogiej prywatnej szkoły, która zadziera nosa i boi się przygód. - Ta rudera ma swój wdzięk.

Duży pokój służył jako salon i sypialnia w jednym. Kuchenka była tak ciasna, że trudno było się w niej obrócić, a łazienka jeszcze mniejsza. Umeblowanie stanowiło łóżko, nocna szafka, biurko z czterema szufladami, fotel, stojąca lampa i składany stół, wystarczająco duży, by zmieściło się na nim skomplikowane oprzyrządowanie komputera. Używane meble wyglądały jak kupione na garażowej wyprzedaży, ale były schludne i dobrze dobrane.

Podeszła do włączonego komputera. Wystarczyło parę kliknięć myszką i znalazła to, czego się spodziewała. Uśmiechnęła się przez ramię.

- Nie znalazłeś się tam dziś przypadkiem.

- Pojechałem tam specjalnie dla ciebie.

- Naprawdę?

Przytaknął. Pochlebilo jej to. Bardzo.

Barowa lada z syntetycznej płyty, dzieląca kuchenkę od pokoju, była zastawiona sprzętem do fotografowania. Miał aparat trzydziestkępiątkę z różnymi obiektywami i wiele innych gadżetów, łącznie z przenośnym statywem. Wszystko to wyglądało na drogi, profesjonalny sprzęt, zupełnie niepasujący do takiej nory. Wzięła aparat i spojrzała na niego przez obiektyw.

- Jesteś fotografikiem?

- Amatorem. Napijesz się czegoś?

- Jasne.

Przyniósł z kuchni dwa kieliszki z czerwonym winem. Miał klasę. Wybór drinków świadczył o jego wyrafinowanym guście, znów nie na miejscu w takim otoczeniu. Nie uwierzyła w jego wyjaśnienia. Prawdopodobnie na co dzień mieszkał gdzie indziej, a to lokum traktował tylko jako prywatną garsonierę. Żeby się żona nie dowiedziała.

- Nie widzę zdjęć - powiedziała, sącząc wino.

- Bo ich nie pokazuję.

- Dlaczego?

- Mam swoją prywatną kolekcję.

- Prywatna kolekcja? - Uśmiechnęła się dwuznacznie, kręcąc lok na palcu. - Brzmi intrygująco.

Pokażesz mi?

- Nie miałem tego zamiaru.

- Dlaczego nie?

- Bo to... fotografia artystyczna.

Znów patrzył jej prosto w oczy, sprawdzając reakcję. Palce zaczęły jej drżeć, a puls przyspieszył, co jej się już dawno nie zdarzyło w towarzystwie mężczyzny. Zwykle to na jej widok facetom latały ręce i serce zaczynało walić. Niepewność oczekiwania była rzadkim i cudownym doznaniem. Wszystko to podniecało ją jak diabli.

- Chcę zobaczyć zdjęcia - oświadczyła śmiało.

Zastanawiał się przez chwilę, po czym przyklęknął i wyciągnął pudło spod łóżka. W środku był zwyczajny album z imitacji czarnej skóry. Wstał, przyciskając album do piersi.

- Ile masz lat?

Pytanie to było obrażą, bo zawsze była dumna z tego, że wygląda dojrzalej, niż podaje metryka. Nikt już od dawna nie pytał ją o wiek, zapewne dlatego, że facetów tak peszył i zaskakiwał tatuowany motyl na jej piersi, że zapominali o dowodzie osobistym.

- A co cię do cholery obchodzi, ile mam lat? Chcę obejrzeć te zdjęcia. A tak w ogóle, to dwadzieścia dwa.

Było jasne, że nie uwierzył. Bezskutecznie usiłował ukryć ironiczny uśmiezek. Mimo to położył album na stole i odstąpił krok w tył. Z udawaną nonszalancją podeszła do stołu i otworzyła okładkę. Pierwsza, czarno-biała fotografia zatkała ją. Kąt nachylenia, pod którym zrobiono zdjęcie, wskazywał - słusznie, jak się potem okazało - że był to autoportret.

- Zgorszyłaś się? - spytał.

- Coś ty? Myślałeś, że nigdy nie widziałam fiuta w zwodzie? - Chciała wyjść na znacznie bardziej zblazowaną, niż się czuła. Zastanawiała się, czy on słyszy, jak bardzo bije jej serce. Przeglądała album strona po stronie, aż doszła do samego końca. W każde zdjęcie wpatrywała się długo, jakby poddając je krytycznej analizie. Były czarno-białe i kolorowe, a wszystkie prócz pierwszego przedstawiały nagie kobiety w prowokujących pozach.

Ktoś mógłby je uznać za nieprzyzwoite, ale ona była zbyt doświadczona, by peszyć się widokiem nagich genitaliów. Z pewnością jednak nie była to fotografia artystyczna, tylko zwykła pornografia.

- Podobają ci się? - Stał tak blisko, że czuła na włosach jego oddech.

- Fajne.

- Pokażę ci moją ulubioną modelkę. - Sięgnął za nią i przewrócił kilka kartek, aż znalazł wybrane zdjęcie.

Dziewczyna na zdjęciu niczym się nie wyróżniała. Jej sutki wyglądały jak plamy po ukłuciu komara na płaskiej, kościstej piersi. Można było policzyć wszystkie żebra. Na ramionach miała ślady po ugryzieniach. Jej twarz okrywał welon, zapewne nie bez powodu.

Zamknęła album i odwróciła się do niego z zachęcającym uśmiechem. Ściągnęła bluzkę i rzuciła ją na podłogę.

- Była twoją ulubioną aż do dzisiaj.

Wstrzymał oddech i stopniowo wypuścił powietrze. Wolno, bardzo wolno ujął jej rękę i umieścił ją poniżej piersi, co wyglądało, jakby ją podtrzymywała, jednocześnie ofiarowując.

- Jesteś ideałem - powiedział z najśłodszym, najbardziej ujmującym uśmiechem, jaki widziała u mężczyzny. - Wiedziałem, że będziesz właśnie taka.

- Tracimy czas - odparła, a jej ego poszybowało aż pod sufit. Rozpięła zamek przy szortach i już chciała je zrzucić, gdy ją powstrzymał.

- Nie, zostaw je tak opuszczone, właśnie tak. - Sięgnął po aparat. Najwyraźniej miał już przygotowany film, bo od razu przyłożył oko do wizjera. - To będzie piękne zdjęcie. - Poprowadził ją bliżej lampy stojącej przy fotelu, sprawdził ostrość i światło, odsunął się trochę i znów popatrzył przez wizjer. - Opuść trochę szorty. O, tak. - Strzelił szybko kilka zdjęć, jedno po drugim. - O, pani, umrę przez ciebie. - Opuścił dłoń z aparatem i wpatrywał się w nią z niekłamanym zachwytem. - Jesteś urodzoną modelką. Musiałaś już wcześniej pozować.

- Nigdy nie pozowałam zawodowo.

- Niesamowite. A teraz przysiądź na skraju łóżka. - Ukląkł przed nią i upozował tak, jak chciał. Nogi. Ręce. Głowa. Zanim znów zajął się aparatem, pocałował ją w wewnętrzną stronę uda, zostawiając widoczny znak zębów.

Przez następną godzinę sesja fotograficzna przeplatała się z grą wstępną. Kiedy wreszcie się zaczął z nią normalnie pieprzyć, była wykończona z podniecenia i doszła natychmiast. Gdy skończyli, przyniósł jej kieliszek wina i położył się obok, głaszcząc czule i powtarzając, że jest najpiękniejsza.

Nareszcie facet, który wie, jak postępować z kobietą, pomyślała. Gdy wypili wino, zapytał, czy może zrobić jeszcze kilka zdjęć.

- Chciałbym uchwycić twoją poświatę. Po akcie.

- Żeby było przed i po?

- Coś w tym rodzaju. - Roześmiał się z uczuciem i pocałował ją.

A potem ubrał ją, tak samo jak ona ubierała swoje lalki. Odwiózł ją na parking nad jeziorem, gdzie się pierwszy raz zobaczyli, i odprowadził aż do drzwi samochodu. Gdy zamknęła drzwi, delikatnie ucałował ją w usta i szepnął: „Kocham cię”.

Cholera! Aż ją zatkało. Ze stu facetów mówiło już, że ją kocha, głównie wtedy, gdy walczyli z niesforną gumą. Te wyznania najczęściej zdarzały się w zapoconych szoferkach albo na tylnym siedzeniu ich samochodów. Aletakiego czulego, przemyślanego wyznania jeszcze nie słyszała. W dodatku przed odjazdem pocałował ją w rękę. Był słodki i zachowywał się jak prawdziwy

dżentelmen.

Od tamtego wieczoru spotkali się jeszcze kilka razy i zawsze wychodziło im fantastycznie. Ale, tak jak przewidywała, wkrótce zaczął się czepiać. „A gdzie byłaś? Z kim? Czekałem na ciebie, ale nie przyszłaś. Kiedy się zobaczymy?”

Ta jego zaborczość i zazdrość odbierała ich spotkaniom wszelką radość. Poza tym trochę zaczynała się tym wszystkim nudzić. Znów pociągały ją nowe znajomości, a jego fotografie już nie ekscytowały tak, jak za pierwszym razem. Zaczynała dostrzegać ich wulgarność i coś zboczonego. Uznała, że czas z tym skończyć.

Musiał chyba to wyczuć, bo dzisiejszego wieczoru od początku wszystko szło źle. Pokłócili się już w samochodzie, a potem było coraz gorzej. Zaczął się dziwnie zachowywać z tym całym krępowaniem. Zostawił ją tak i wyszedł na długie godziny. A co by było, gdyby ktoś zaproszył pożar w tej ruderze? Albo nadeszłoby tornado? Nie podobało jej się to. Absolutnie. Im szybciej się stąd wydostanie, tym lepiej.

Wychodząc, zostawił włączone radio, nastawione na program Paris Gibson. To jej przynajmniej zapewniało towarzystwo. Nie czuła się tak samotna i opuszczona, jak czułaby się pozostawiona w kompletnej ciszy i zupełnej ciemności. Leżała więc, słuchając głosu Paris i kombinując, kiedy on wreszcie wróci i jakie jeszcze niespodzianki jej szykuje.

Rozdział 3

Czerwone światelko na kontrolce zgasło. Valentino się rozłączył.

Minęło kilka chwil, nim Paris zrozumiała, że to, co słyszy, to tylko jej własny puls, szumiący w uszach jak Niagara. Muzyka umilkła. Zera na monitorze wskazywały, ile sekund zostało do końca audycji. Ile czasu milczała? Na dwudziestej trzeciej sekundzie od końca nacisnęła guzik. Nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Ponowiła próbę.

- Mam nadzieję, że podobały się wam te liryczne piosenki. Zapraszam na jutro. Nie mogę się doczekać naszego spotkania. To była audycja Paris Gibson na 101,3 FM. Dobrej nocy.

Wystarczyło pstryknąć dwa guziki. Wypadła ze studia jak burza i pognąła do inżynierki. Jeśli nie liczyć papierowego pudełka po pieczonym kurczaku na biurku Stana, pokój był pusty. Pobiegnęła dalej. Skręciła w prawo, zderzając się z Marvinem, który ciągnął za sobą brudny mop.

- Widziałeś Stana? - wy dyszała.

- Nie. - Jedno, co wiedziała o Marvinie na pewno, to to, że facet nie marnował słów. Jeśli w ogóle się odzywał, to posługiwał się wyłącznie monosylabami.

- Wyszedł już?

Tym razem Marvin nawet się nie odezwał, wzruszył tylko ramionami. Paris wpadła do męskiego kibla. Nad pisuarem stał Stan.

- Stan, chodź ze mną.

- Co... Jestem trochę zajęty, Paris - pokręcił głową.

- Pospiesz się. To ważne.

Wróciła do studia i przesunęła swoje krzesło na kółkach do Vox Pro, maszyny rejestrującej rozmowy, by ewentualnie można je było przełączać i odtwarzać na antenie. Ale teraz nie o to chodziło. Paris chciała sprawdzić, czy nagrała się jej ostatnia rozmowa.

- Co jest? - Stan stanął w drzwiach i popatrzył na zegarek. - Mam plany na dzisiaj.

- Posłuchaj tylko.

- Nie pamiętasz, że kończę robotę, kiedy ty schodzisz z anteny?

- Zamknij się, Stan, i posłuchaj.

- No, dobra, tylko szybko, bo muszę wyjść. - Oparł się o konsolę.

- Sza. - Valentino właśnie się przedstawiał. - To moja ostatnia rozmowa.

Stana najwyraźniej bardziej interesowały fałdy na własnych lnianych spodniach, ale gdy Valentino zapowiedział, że Paris będzie przykro, nadstawił uszu.

- O co mu chodzi?

- Słuchaj dalej.

Stan wysłuchiwał w skupieniu do końca. Kiedy rozmowa się skończyła, Paris spojrzała na niego z niemym oczekiwaniem. Wzruszył wątlými ramionami.

- To świr.

- Tylko tyle masz mi do powiedzenia? Że to świr?

- No a co? - prychnął. - Chyba nie myślisz, że mówił to na serio?
- Nie wiem. - Nacisnęła guzik, który łączył ją z wyjściem na miasto.
- Do kogo dzwonisz? - zainteresował się Stan. - Do glin?
- Uważam, że tak trzeba.

- No coś ty?! Przecież ciągle dzwonią do ciebie jacyś wariaci. Pamiętasz, jak w zeszłym tygodniu zadzwonił facet, który ci proponował, żebyś okryła kirem trumnę jego matki na pogrzebie?

- To nie to samo. Codziennie rozmawiam z mnóstwem ludzi. Ale ten... Sama nie wiem - dodała niepewnie.

Gdy pod numerem policji odezwała się dyżurna telefonistka, Paris przedstawiła się i krótko opisała przebieg rozmowy z Valentinem.

- To zapewne fałszywy alarm, mimo to jednak chciałabym, by ktoś od was przesłuchał nagranie.

28
- Znam panią z radia - powiedziała telefonistka. - Nie wydaje mi się pani panikarą. Zaraz podeślę patrol.

Paris podziękowała i odłożyła słuchawkę.

- Już jadą.

- Muszę tu jeszcze sterczeć? - skrzywił się Stan.

- Możesz iść. Poradzę sobie. Poza tym Marvin jeszcze tu jest.

- Nie ma. Zmył się. Widziałem z kibla, jak wychodził, kiedy brutalnie przerwano mi miłą czynność oddawania moczu. To grozi nerwicą, nie wiedziałaś?

Paris nie była w nastroju, by tolerować głupie zaczepki Staną.

- Taki gbur jak ty sobie poradzi. - Machnęła ręką. - Spływaj. Tylko zamknij za sobą drzwi. Sama ich wpuszczę.

Udzieliła mu się jej nerwowość. Poczul się jak dezterter.

- Nie, poczekam z tobą - mruknął ponuro. - Idź do kuchni, zrób sobie jakiejś herbaty. Jesteś podminowana.

Miał rację. Rada, by zaparzyła sobie herbatę, też była niezła. Ruszyła do kuchni, lecz tam nie doszła, bo zawrócił ją głośny dzwonek. Przy głównym wejściu zauważyła przez szklane drzwi dwóch umundurowanych policjantów. Choć wyglądali jak absolwenci tuż po szkole, a jeden zapewne jeszcze się nie zaczął golić, nie zmartwiło jej to. Pozowali na zawodowców, gdy dokonywali szybkiej, lakonicznej autoprezentacji.

- Dziękuję, że panowie tak szybko przyjechali.

- Byliśmy w pobliżu, zawrócił nas telefon z centrali - wyjaśnił jeden z nich. Obaj nie potrafili ukryć zdziwienia na jej widok. Ciemne okulary peszyły większość ludzi. Przeszła nad tym do porządku i poprowadziła Griggsa i Carsona labiryntem mrocznych korytarzy do studia, gdzie pracowała. Odrapany tynk budynku nie zapowiadał sprzętu o zaawansowanej technologii, jaki tu zobaczyli. To też mogło niezle speszyć. Przedstawiła policjantom Staną. Przywitali się z rezerwą, żaden nie wyciągnął ręki na przywitanie. Paris włączyła Vox Pro.

Wysłuchali nagrania w milczeniu. Griggs wlepił oczy w sufit, Carson w podłogę. Kiedy rozmowa się skończyła, Griggs podniósł wzrok i odchrząknął, najwyraźniej dotknięty wulgarnym językiem Valentina.

- Często otrzymuje pani takie telefony?

Czasem. Dzwonią wariaci i zбочeńcy. Dyszą w słuchawkę albo składają mi seksualne

propozycje, ale nigdy nie miałam podobnego telefonu. Tak groźnego. Valentino już do mnie przedtem dzwonił. Opowiadał, że poznał fantastyczną dziewczynę, albo o ostatnim zerwaniu, które ciężko przeżył. Ale nigdy nie wygadywał takich rzeczy jak teraz. Nigdy.

Jesteś pewna, że to ta sama osoba? - zapytał Stan. Wszyscy spojrzeli na niego. - Ktoś mógł się podszyć pod tego Valentina, bo słyszał go w radiu i wiedział, że ma zwyczaj do ciebie dzwonić.

To możliwe - odparła Paris z namysłem. - Jednego jestem pewna, mianowicie że Valentino posługuje się zmienionym głosem. Bo brzmi on nienaturalnie.

Pseudonim też ma dziwny - odezwał się Griggs. - Pozwalacie na to w radiu?

Nie mam możliwości wpływać na moich słuchaczy. Często podają tylko imię, bez nazwiska. Chcą zachować anonimowość.

Czy wiadomo, skąd dzwonią? Można zidentyfikować numery komórkowe?

Tak, to proste. Nasi inżynierowie udoskonalili program Vox Pro i jeśli tylko rozmówca nie ukrywa swego numeru, zwykle go odczytujemy. Co więcej, urządzenie rejestruje datę i godzinę. - Paris włączyła komputer. Nie pojawiło się nazwisko, ale numer tak. Carson go zapisał.

Zacniemy od tego - powiedział.

Wątpię, żeby się udało - skomentował Griggs. - Zważywszy treść rozmowy, powinien się zabezpieczyć, żeby nie można go było zidentyfikować.

Myślicie, że to była podpucha? - spytała Paris.

Sprawdzimy - odpowiedział enigmatycznie Carson. Wyjął telefon komórkowy i wybrał numer, ale nikt nie odpowiadał. - Nie ma poczty głosowej. Zadzwoń do centrali. - Wystukał numer i po krótkiej rozmowie powiedział, że zaraz zidentyfikują miejsce, skąd odbyła się rozmowa. - Ja uważam, że posłużył się ksywą, którą znał z pani programu, i chciał sprawdzić, jak pani zareaguje na to, co powie.

- To jeden z tych świrów od świńskich telefonów - mruknął Stan.

- Też tak sędzę - przytaknęła Griggs. - Założę się, że to samotny pijak. Albo banda znudzonych dzieciaków chciała się zabawić.

- Oby. - Paris potarła zdrętwiałe, zziębnięte ramiona. - Nie mogę uwierzyć, żeby ktoś to zrobił dla żartu, ale oczywiście ucieszyłabym się, gdybyście mieli rację.

- Zaraz się przekonamy - powiedział Carson.

- Powie mi pan, jaki to numer?

- Oczywiście.

Stan zaofiarował się, że odwiezie Paris do domu, ale propozycja była nieszczerą i najwyraźniej ucieszył się, gdy odmówiła. Pożegnał się i zniknął.

- Jak panią łapać, jeśli się czegoś dowiemy? - spytał Griggs, gdy wszyscy troje zmierzali do wyjścia.

Paris dała mu numer, podkreślając, że jest zastrzeżony.

- Rozumiem, pani Gibson.

Policjanci zdziwili się, że sama zamyka budynek na noc.

- Tak jest codziennie? - spytał Carson, gdy odprowadzali ją na parking.

- Czasami zamyka Stan.

- Co on tu robi i od kiedy pracuje?

Nic nie robi - pomyślała, ale głośno powiedziała, że Stan jest inżynierem dźwięku.

- Czuwa nad sprzętem. To już parę lat.

- I nikt inny nie przebywa w nocy w tym budynku?
- Tylko Marvin. Parę miesięcy temu zatrudnił się tu do sprzątnia.
- Jak ma na nazwisko?
- Nie wiem. Dlaczego pan pyta?

- Bo z ludźmi nigdy nic nie wiadomo - odparł Griggs. - Jakie ma pani z nimi układy?

- O Marvinie nikt nic nie wie - zaśmiała się - ale to nie ten typ, żeby robić takie numery przez telefon. Odzywa się tylko wtedy, jak się go o coś pyta, i raczej mruczy, niż mówi.

- A Stan?

Paris nie chciała za plecami obrabiać Stanowi dupy. To byłoby nie po koleżeńsku. Postanowiła powiedzieć policjantom tylko to, co niezbędne.

- Dobrze nam się razem pracuje. Żaden z nich by tego nie zrobił.

- Nie szkodzi zapytać. - Griggs skrzywił usta w uśmiechu i zanotował coś w swoim notesiku.

Gdy tylko weszła do domu, zadzwonił telefon.

- Pani Gibson? Mówi Griggs.

- Słucham.

- Wszystko w porządku?

- Tak. Właśnie wyłączyłam alarm. Dowiedział się pan czegoś?

- To był numer budki telefonicznej w pobliżu uniwersyteckich akademików. Nasz patrol stał tam jakiś czas, ale nie zauważył żywej duszy. Niedaleko jest apteka, lecz zamykają ją o dziesiątej. Na parkingu nie było żadnego auta.

Tym samym wrócili do punktu wyjścia. Paris miała nadzieję, że numer należy do jakiegoś nieszczęsnego, samotnego pijaka, który koniecznie chciał na siebie zwrócić czyjąś uwagę.

- To co robimy? - spytała.

- Na razie nic. Poczekamy, aż znowu zadzwoni. Nie spodziewam się tego, prawdę mówiąc. To był ktoś, kto chciał panią nastraszyć. Jutro wyślemy w teren patrol, może kogoś przyuważą.

Mało, ale na razie niczego więcej nie mogła oczekiwać. Podziękowała Griggsowi i jego koledze. Zrobili, co do nich należało, choć ona nie potrafiła przestać się bać grózb Valentina. Cały ton rozmowy od początku był niepokojący. Jeśli komuś zależałoby na zwróceniu na siebie uwagi, to czy myliłby tropy i pogonie? Zależałoby mu na gazetowej popularności, tymczasem Valentino użył budki telefonicznej. Najwyraźniej nie chciał zostać zidentyfikowany.

Ta myśl gryzła ją jak robak, gdy zmierzała korytarzem do sypialni. Jak zwykle, kiedy wracała o tej porze, w domu było ciemno i cicho. W sąsiednich domach także panował mrok i spokój, była jednak pewna zasadnicza różnica. Przed zgaszeniem światła w pokojach rozbrzmiewały modlitwy dzieci, małżonkowie całowali się na dobranoc, a niektórzy kochali się pod kołdrą. Dzielili ze sobą łóżka, ciepło ciał, marzenia. Dzielili życie. Ciemność była oswojona przez małe lampki w pokojach pełnych zabawek i butów, znaczących obecność ożywionego rodzinnego życia.

Lampka w pokoju Paris ujawniała jedynie jego sterylną ascezę. Jedyńm źródłem ruchu była ona sama. Sypiała też sama. Nie z chęci i wolnego wyboru, ale tak wyszło, a ona pogodziła się z tym faktem. Choć dziś wolałaby, aby było inaczej. Samotność ją przerażała, a źródłem lęku był oczywiście telefon od Valentina.

Paris od lat wsłuchiwała się w ludzkie głosy, wyłapując niuanse intonacji i niewerbalnie przekazywane intencje, oddzielając prawdę od kłamstw i słysząc znacznie więcej, niż zostało powiedziane. Umiała ocenić człowieka jedynie na podstawie krótkiej rozmowy. Kontakty te budziły

uczucia smutku, rozbawienia, namysłu, obrazy lub, z rzadka, gniewu. Jednak nigdy jeszcze po żadnej rozmowie nie bała się tak jak teraz.

Rozdział 4

Członki zeszywniały jej od leżenia tak długo w jednej pozycji, a zadrapanie na nagiej podeszwie swędziało jak diabli. Swędziała ją też twarz i czuła, jak puchnie. Bolało ją całe ciało. Ty skurwysynu - pomyślała, niezdolna przekląć go głośno, bo taśma zalepiała jej usta. - I co ja w tobie widziałam?

Nie zabierał jej do drogich lokali, nie wydał na nią ani grosza. Jedyne miejsce, w którym przebywali razem, to była ta pieprzona nora. Nie wiedziała o nim nic. Ani gdzie pracuje, ani nawet jak się nazywa. Nigdy się nie zdradził, choćby przez przypadek. Mieszkanie było pod tym względem czyste jak łąza - żadnej poczty ani prenumeraty, niczego. Pozostawał bezimienny i to powinno jej dać do myślenia, że cała ta klasa i szyk jest udawany, że to kolejny beznadziejny pokręcony świr.

Kiedy spotkali się drugi raz, powiedział, czego od niej oczekuje. Ustalmy reguły gry, tak się wyraził. Poruszył ten temat, jednocześnie namaszczając jej ciało oliwką dla niemowląt, by uzyskać specjalny efekt świetlny na zdjęciach.

- Powiedz mi coś o twojej przyjaciółce. Tej, z którą siedziałaś wtedy... tamtego wieczoru.
- Masz na myśli Melissę? - spytała, czując ukłucie zazdrości. Może chciał ją zaprosić do trójkowego układu. - A na co ci ona?

- Mówiłaś jej o nas?
- Nawet jakbym chciała, tobym nie mogła. Starzy wywieźli ją na wakacje do Francji. Nie rozmawiałam z nią, odkąd do ciebie podeszłam.

- A mówiłaś komuś innemu, że się ze mną spotykasz i co razem robimy?
- Jasne. Następnego dnia przy śniadaniu opowiedziałam wszystko starym. Ze szczegółami. - Jego zaskoczony wyraz twarzy pobudził ją do śmiechu. - Co ty sobie myślisz, kretynie?! Oczywiście, że nikomu nic nie mówiłam.

- To bardzo dobrze. Nasz związek jest wyjątkowy. Ty powinnaś być moim, a ja twoim największym sekretem.

- No i tak jest. Nawet nie wiem, jak się nazywasz.
- Ale znasz mnie. - Popatrzył jej głęboko w oczy, jak pierwszym razem, jakby przewiercał się wprost do jej mózgu, do najskrytszych myśli. Oboje porozumieli się momentalnie, bez słów. To było ważne, przecież po pierwszej wspólnej nocy wyznał jej miłość.

„Sekret”, na który tak nalegał, miał być prawdopodobnie ochroną przed żoną, która nic nie wiedziała o jego brzydkim hobby. Wyobraziła sobie tę wstydliwą pańcię, która, znając tylko pozycję misjonarską, nie miała pojęcia o jego ukrytych potrzebach urozmaicenia seksu i szukania nowych źródeł rozkoszy. A gdyby nawet miała, nigdy by na to nie przystała. Czy taka kobieta potrafiłaby się masturbować? Za nic w świecie. I na pewno nie dałaby sobie zrobić zdjęcia z gołym cyckiem.

Tego wieczoru ich seks był wyjątkowo namiętny. Skupiał się na tym, co robi, zupełnie jak naostrzony obiektyw aparatu. Pogubiła się w liczeniu, ile razy mieli stosunek, za każdym razem inaczej, bardziej wymyślnie. Nie mógł się nią nasycić, co sam jej powiedział. To było niesamowite,

takie uwielbienie faceta, który praktycznie mógł mieć każdą babkę, jaką by zechciał. Marzyła, żeby to się nigdy nie skończyło.

Ale to było dawno. Potem za każdym następnym razem robił się coraz bardziej zazdrosny, aż doszło do tego, że zaczął ją wkurzać, psując całą przyjemność z bycia razem. Mimo że był świetnym kochankiem, tak jej suszył głowę o innych facetów, że już nie mogła wytrzymać. Dziś postanowiła z nim zerwać, ale potem zmieniła zdanie. Zrobiło jej się go żal. Bala się powiedzieć, że już nie chce się z nim widywać, bo z pewnością ciężko by to przeżył. Chciała odwlec tę przykrą chwilę.

Czekał jak zawsze w umówionym miejscu. Zero wyluzowania i obojętności, jak za pierwszym razem. Był podminowany i zły. Ledwo wsiadła do samochodu, z miejsca ją zaatakował.

- Byłaś z kimś, wiem na pewno.

Puściła to mimo uszu, nie miała zamiaru dać się doprowadzić do wściekłości.

- Masz trawkę? - spytała. Zwykle miał.

- Jest w schowku.

- To najlepszy wynalazek na migrenę.

Znalazła we wskazanym miejscu trzy skręty, zapaliła jednego i zaciągnęła się głęboko. Oparła głowę o siedzenie i przymknęła oczy.

- Kto to był?

- Jaki kto?

- Nie próbuj mnie zwodzić.

Ton jego głosu był tak nieprzyjemny, że poderwała głowę.

- Dawałaś już dziś dupy, nie? - Jego palce zacisnęły się na kierownicy, aż zbieleły kostki. - Nawet nie próbuj mnie robić w konia. Wiem, że się dzisiaj z kimś pieprzyłaś. Śmierdzi od ciebie spermą.

Z początku była zaskoczona i wytrącona z równowagi. Czyżby ją szpiegował? Ale zdenerwowanie szybko przerodziło się w złość. Co go obchodziło, z kim się pieprzy?

- Słuchaj, może nie powinniśmy się dziś spotykać. Mam zespół przedmenstruacyjny, boli mnie głowa i nie życzę sobie, żeby ktoś mnie ochrzanią!. Rozumiesz?

- Przepraszam, że podniosłem głos. - Natychmiast zmienił ton. - Ja tylko... Myślałem, że...

- Co?

- Że łączy nas coś specjalnego.

Właśnie wtedy powiedziała mu, że chce zerwania. Miała możliwość odejścia natychmiast, ale nie skorzystała z niej, niech to jasny szlag. Wybrała kłótnię.

- Nie cierpię, jak mnie wypytyjesz, gdzie chodzę, z kim chodzę i co robię. Dość mi starzy ciosają kołków na głowie. - Znów oparła się wygodnie i zaciągnęła maryšką. - Albo się uspokoisz, albo natychmiast odwieziesz mnie na parking.

Uspokoił się, był pokorny, wręcz potulny, gdy wchodzili do jego mieszkania.

- Napijesz się wina? - zapytał.

- Przecież zawsze piję - odparła, już na niezłym haju. Było jej wszystko jedno. Jeden pożegnalny numer, potem mu powie, że randki odpadają. Na razie, czytaj: „na zawsze”. Wróci do domu i zapomni.

Jedynym źródłem światła w pokoju był monitor komputera. Zastłony były zaciągnięte, jak zwykle. Na wygaszaczu ekranu ustawił jedno z jej czarnobiałych zdjęć.

- Hm, hm - powiedziała. - To jedno z tych „po”, co? Zawsze byłam niegrzeczną dziewczynką.

Niegrzeczną, ale miłą, nie? - Mrugnęła, biorąc od niego kieliszek, który przyniósł z kuchni. Łyknęła wino jak wodę, beknęła głośno i wyciągnęła rękę, domagając się jeszcze.

- Zachowujesz się jak kurwa. - Spokojnie wziął szklanę i odstawił na stolik. A potem dał jej w twarz. Walnął ją tak mocno, że łzy stanęły jej w oczach, jeszcze zanim ból z rozciętego policzka doszedł do mózgu. Wrzasnęła, zbyt zaskoczona, by wydusić choć słowo. Pchnął ją na łóżko. Mocno. Miała wrażenie, że sufit się rozplywa. Była w gorszym stanie, niż myślała. Spróbowała wstać.

- Hej, ty! Nie będę...

- Będiesz, będziesz. - Przycisnął ręką jej piersi, walcząc z paskiem i suwakiem. A potem podarł na niej ubranie. Odpychała go i kopała, wyzywając najgorszymi słowami, ale nie robiło to na nim wrażenia. Wszedł w nią tak gwałtownie, że zawyła z bólu. Zakrył jej dłonią usta i wysyczał tak blisko, że poczuła na twarzy kropelki śliny: - Zamknij się.

Wgryzła się w jego kciuk. Krzyknął i odsunął rękę.

- Ty popieprzony palancie! - zawołała. - Złaż ze mnie!

- Przecież ci się to podoba. - Ku jej zaskoczeniu roześmiał się z cicha. - Myślałaś, że to na serio?

- Co? - Przestała się wić.

- Spełniam tylko twoje marzenie o gwałcie.

- Oszalałeś.

- Naprawdę? - Znow naparł na nią z całej siły. - Możesz uczciwie powiedzieć, że tego nie lubisz?

- Nienawidzę. I ciebie nienawidzę, skurwysynu!

Znow się zaśmiał, bo jej zachowanie i reakcja stały w sprzeczności do wypowiedzianych słów. Kiedy oboje doszli, padli na łóżko spoceni i wyczerpani. On podniósł się pierwszy i sięgnął po aparat.

- Leż tak jak teraz - polecił, naciskając migawkę. Światło flesza oślepiło ją. Nie wiedziała, co się dzieje.

- Nie ruszaj się. Mam pomysł.

Nawet jej przez myśl nie przeszło, żeby się ruszać. Była zbyt zmęczona. Bolało ją całe ciało, a najbardziej rozcięty policzek. Martwiła się, jak wytłumaczy się z brzydkiej blizny. Spojrzała na swoje stopy, wciąż w sandałach, ale nie chciało jej się ich zrzucić. Poza tym zakazał jej się ruszać.

Musiała zasnąć na minutę czy dwie. Gdy się ocknęła, zobaczyła, że wiąże jej ręce krawatem.

- Co to ma być? - Usiłowała się podnieść.

- Taka poza do fotografii. Byłaś niegrzeczna. Musisz zostać ukarana - powiedział.

Zeskoczył z łóżka i zaczął ustawiać aparat. To wtedy po raz pierwszy poczuła lęk, że dzieje się coś nienormalnego. Zrozumiała, że jest w niebezpieczeństwie, i usiłowała się podnieść.

- Mówiłam ci, że nie lubię sadyzmu?

- Nie chodzi o sadyzm, tylko o karę - powiedział obojętnym głosem i przestawił lampę, żeby na jej nagie ciało padało jak najlepsze światło.

Miała dość. Obiecała sobie, że to naprawdę ostatni raz. Pozowanie mu sprawiało jej frajdę i nagie zdjęcia ją podniecały. Ale teraz chyba przebrał miarę.

- Posłuchaj - powiedziała poważnym tonem. - Chcę, żebyś rozwiązał mi ręce.

Zadowolony ze światła, zajął się montowaniem statywu. Postanowiła podjąć drugą próbę.

- Zrobię, co tylko zechcesz. Wiesz, jaka jestem. Musisz tylko poprosić. Zrobię naprawdę wszystko.

Nie słuchał. Kiedy na nią nie patrzył, przesunęła się na skraj łóżka, oceniając odległość do drzwi. Ale gdy przypatrzyła się drzwiom, coś ją nieprzyjemnie zaskoczyło i przeraziło. Po wewnętrznej stronie nie było klamki, tylko gładka mosiężna płytką w miejscu zamka. On tymczasem skończył się bawić ze sprzętem. Wyczuwając jej zamiary, uśmiechnął się lekko.

- Wybierasz się gdzieś?
- Chcę, żebyś mnie rozwiązał.
- Poruszyłaś się i teraz całe ustawienie na nic.
- Ustawiaj sobie własną dupę, ja chcę stąd wyjść.

Teraz miała zaprocentować jej kariera cheerleaderki. Niespodziewanie zwinnie poderwała się z łóżka. Jednak nie uciekła daleko. Złapał ją za włosy i znów cisnął na pościel.

- Nie możesz mnie tu więzić - wrzasnęła.
- Musiałaś to zrobić, musiałaś.
- Co ja zrobiłam?
- Zniszczyłaś naszą miłość.
- Nie było żadnej „naszej miłości”, powalony dupku.
- Musiałaś mnie zdradzić, tak jak inne. Myślałaś, że się nie zorientuję? Ja też słucham Paris Gibson, jeśli chcesz wiedzieć.

Puściła rozmowę z tobą na antenę. Tysiące ludzi usłyszało, jak się zwierzasz, że męczy cię moja zaborczość. Chciałaś skorzystać z jej rady i zostawić mnie, co?

- O, Boże!

Stanął nad nią z dłońmi zaciśniętymi w pięści, jakby usiłował poskromić własną wściekłość.

- Musisz zrozumieć, że nie wolno traktować ludzi jak chustek do nosa i pozbywać się ich po użyciu.

Nie odpowiedziała, bo po prostu się go bała. Zrobił trochę zdjęć, a potem oświadczył, że zwiąże jej też nogi. Walczyła jak o życie, ale był silniejszy i pobił ją tak, że aż w uszach dzwoniło. Tyle zapamiętała. Kiedy się znów ocknęła, leżała rozkrzyżowana w pozycji orla, przywiązana do czterech słupków łóżka, z zaklejonymi taśmą ustami. Nie było nikogo. On wyszedł. Była sama jak palec i nikt nie wiedział, co się z nią dzieje.

W ciągu kolejnych godzin rozważała wiele sposobów ucieczki, ale żaden nie był możliwy. Musiała bezradnie czekać na jego powrót, kiedy ten zboczeniec znów poczuje głód seksu. O Boże - myślała - w co ja takiego wdepnęłam?

- Dziękuję wszystkim słuchaczom za czas spędzony wspólnie na 101,3. Było mi z wami miło, jak każdej nocy. To była audycja Klasyka piosenki miłosnej, a żegna się z wami Paris Gibson.

Wspaniale. Teraz już nie miała do towarzystwa nawet głosu z radia.

Rozdział 5

Gavin Malloy spał się jak świnia. Przyjemny szmerek w głowie od taniej tequili po jakimś czasie już nie był taki przyjemny. Było za gorąco, by walić jedną kolejkę za drugą. Powinien zostać przy piwie. Ale był zdołowany i dla rozegnania deprechy potrzebował cięższego paliwa.

Niestety, nic to nie pomogło.

Od początku było jasne, że ma zmarnowany wieczór. Od picia zrobił się rozkojarzony, spocony i zbierało mu się na mdłości. Mętnie zastanawiał się, czy zdoła dobiec przez skalisty kawałek do grupy cedrowych drzew, nim puści pawia. Prawdopodobnie nie. Poza tym jakiś czas temu poszła tam pofiglować jakaś parka, która nie będzie zachwycona, gdy załatwi im swoim piwem coitus interruptus. Zachichotał głupawo, gdy sobie to wyobraził.

- Z czego się chichrasz? - spytał jeden z nowych kumpli, waląc go w brzuch, aż tequila zbulgotała. Craig jakiś tam. Nawet jeśli się przedstawił nazwiskiem, Gavin i tak go nie zapamiętał. Craig prowadził ogromnego, czarnego pikapa Dodge Ram. Taki wóz to było coś.

Gavin, Craig i reszta chłopaków już od paru godzin tkwili na otwartej skrzyni ciężarówce, czekając, aż coś się wydarzy. Po południu przewinęła się grupa dziewczyn. Walnęły po lufie tequili, poświęciły golizną wystarczająco, żeby chłopcy się napalili, i obiecały wrócić na wieczór. Nie wracały.

- Co cię tak śmieszy? - spytał po raz drugi Craig.

- Nic. Coś tam sobie pomyślałem.

- O czym?

Gavin już nie pamiętał. To na pewno nie było nic ważnego.

- O moim starym - powiedział, pokonując czkawkę.

Tak, o starym pamiętał przez cały czas, to było jak drzazga w dupie, której nie można wyciągnąć.

- A co z nim?

- Wkurwi się jak diabli, gdy odkryje, że się urwałem. Mam szlaban.

- To syf.

- Dostałeś szlaban? - warknął inny chłopak. - A co, może masz dwanaście lat? Gavin nie znał go, nie pamiętał nawet, jak ma na imię. Wiedział tylko, że to głupi gnojek z pryszczami i cuchnącym chuchem, co to wyżej sra, niż dupę ma. Gavin przeprowadził się do Houston tydzień po zakończeniu letniego semestru. Zawieranie znajomości podczas wakacji nie było łatwe, ale jakoś udało mu się przykleić do tej paczki chłopaków, którzy tolerowali go tylko dlatego, że równo z nimi pił i podrywał panienki.

- Biedny Gavin, przestraszył się tatusia - drażnił się dalej pryszczaty.

- Nie boję się go. Nie lubię tylko, jak mi nadaje za uszami.

- Możesz sobie tego zaoszczędzić - poradził optymista, który wcześniej chwalił się swoją kolekcją kondomów. - Wystarczy, że zaczekasz, aż usnie, i wtedy się zerwiesz.

- Próbowałem. Jest czujny jak nietoperz. Jakby miał wbudowany radar albo co.

Ta rozmowa dobiła Gavina. Nieudany wieczór wydal mu się totalnym dnem. Nie bawiła go ani tequila, ani perspektywa powrotu dziewczyn, zresztą coraz mniej prawdopodobna. Po cholere miały marnować czas na takich dupków jak oni? Gavin wstał, z trudem łapiąc równowagę.

- Zmywam się. Jak mi się poszczęści, dojadę pierwszy. Był dzisiaj u tej swojej laski.

Przepchał się na koniec skrzyni, do otwartej klapy i usiłował zeskoczyć, ale źle obliczył odległość i zarył nosem w piach. Nowi kumple tarzali się ze śmiechu. Sam się śmiał i tak od tego osłabł, że ledwo wstał. Jego koszulka była przepocona, więc kiedy próbował ją otrzepać, na piersi zostały smugi mokrego błota.

- Do jutra - pożegnał się. Gdzie, u diabła, zostawi! swój samochód?

- Pamiętaj, jutro ty załatwiasz gorzałę - krzyknął za nim Craig.

- Jestem splukany.

- To podprowadź staremu.

- Nie mogę. Liczy butelki.

- O Jezu, to jakiś glina-amator, czy co?

- Zobaczę, co się da zrobić - obiecał niewyraźnie i ruszył w kierunku, gdzie zapewne zaparkował.

- A co mamy mówić, jak się o ciebie zapyta Panna Napalona? - zapiął dziewczęcym falsetem pryszczaty gnojek. Miał wstrętą, obraźliwą minę. - Powiedzieć, że pojechałeś do domciu, do tatusia?

- Dymaj się.

- No, ciebie to na pewno ominie dymanko - zaryczał upierdliwy gnojek. - Przynajmniej dzisiaj.

- Stul dziób, kretynie - wtrącił się jeden z chłopaków.

- Tak, daj sobie siana - poparł go ten od kondomów.

- A dlaczego? Co ja takiego powiedziałem?

- Cisnęła go - powiedział cicho Craig.

- Serio? Kiedy?

Gavin się oddalił. Nie chciał tego dłużej słuchać. Ledwo odnalazł swój wóz, co rzeczywiście było trudne, bo samochód był tak gówniany, że się od ściany nie odróżniał. Nie był to zajebisty pikap ani sportowe auto. Nie, za wysokie progi na Gavina nogi. Motor? Nic z tego, chłopie. Póki ojciec się nim zajmował, nie było mowy o takich fanaberiach. I raczej w ogóle nie mogło być mowy.

Gówniany samochód, szczyt przeciętniactwa. Bezpieczny, ekonomiczny środek transportu pasujący jak ulał do oszczędnej, porządnej gospodyni domowej. A jeszcze ojciec oczekiwał od Gavina wyrazów wdzięczności. Kiedy usiłował protestować, stary walnął mu wykład: „Samochód, synu, to nie zabawka ani rzecz, która ma demonstrować nasz materialny status. To twój pierwszy wóz w życiu - musi być niezawodny. Jeśli swoim postępowaniem dowiedziesz, że jesteś dojrzały i odpowiedzialny, może zdecyduję się kupić ci coś oczko wyżej. Ale na razie...” - i takie tam dyrdymały. Gavin strasznie się wstydził. Kiedy zacznie się nauka w nowej szkole, na pewno stanie się z tego powodu ogólnym pośmiewiskiem. Najgorszy pasztet w szkole się z nim nie umówi.

Na razie musiał się pilnować, żeby kogoś nie przejechać. Był na tyle przytomny, że zdawał sobie z tego sprawę. Wczepiony w kierownicę, próbował trzymać się swego pasa, ale to sprawiało, że czuł się coraz bardziej pijany. Już niemal dojeżdżał do domu, gdy poczuł, jak strasznie mu niedobrze. Wyskoczył z auta i obrzygał zawartością żołądka z resztkami tequili schludny gazonik obok skrzynki pocztowej jakiegoś bogu ducha winnego obywatela. Oprócz listonosza również ktoś z domowników

będzie miał jutro niemiłą niespodziankę.

Odzyskawszy przytomność, ruszył w kierunku nowego domu, który ojciec kupił dla niego i dla siebie. Dom był w porządku, Gavin nawet go dość lubił, szczególnie basen. Ale za nic nie chciał, żeby stary się o tym dowiedział. Ucieszył się, nie widząc na podjeździe samochodu ojca. Ale stary lubił zastawiać na niego pułapki, więc Gavin ostrożnie wślizgnął się kuchennymi drzwiami i przez chwilę nasłuchiwał. Ojciec byłby w siódmym niebie, gdyby udało mu się przyłapać syna na gorącym uczynku. Mógłby mu wtedy godzinami prawić morały, skonfiskować komórkę, komputer, samochód i zrobić z jego i tak wystarczająco nędznego życia kompletne szambo. To właśnie była misja życiowa obojga rodziców - uprzykrzyć mu życie, jak się tylko da.

Zadowolony, że nikogo nie ma, poszedł do swego pokoju. Stary na pewno był jeszcze u Liz i pieprzyli się jak króliki. Ciekawe, że nigdy nie robili tego tutaj, w łóżku ojca. Czyżby uważali, że Gavin jest głupi i nie wie, co robią, kiedy do niej chodzi? Łatwo mu było wyobrazić sobie Liz w łóżku. Była z niej niezła dupa. Ale starego? No nie. Nie umiał sobie wyobrazić czegoś równie obleśnego.

Włączył komputer, nawet nie zapalając światła. Komputer był najważniejszą częścią jego życia. Jak ludzie sobie kiedyś bez tego radzili? Gdyby ojciec naprawdę chciał go ukarać, odcięcie od komputera byłoby najgorsze. Sprawdził pocztę. Był list od matki, który wykasował bez czytania. Wszystko, co miała mu do powiedzenia, służyło wybielaniu siebie i uspokajaniu sumienia. Nie chciało mu się tego czytać. „Musisz zrozumieć, że takie rozwiązanie jest najlepsze dla nas wszystkich. Martwimy się o Twoją przyszłość, Gavinie. Kiedy się już przyzwyczaisz do nowego miejsca...”. Jasne, mamó. Jest tak, jak mówisz. Wszystko to gówno, mamó.

Usiadł przy biurku i zaczął pisać e-maila. Ale nie do matki. Jego złość na nią to była kaszka z mlekiem w porównaniu z wściekłością, jaką czuł do adresatki listu. Pisał go w amoku i nawet nie zamierzał wysłać. Dlatego właśnie mógł wylać z siebie wszystkie pretensje, które się w nim nazbierały w ostatnich dniach. „Ciekawe, skąd ci się wzięło, że jesteś najlepsza laska? - pisał. - Widziałem i pieprzyłem znacznie lepsze”.

- Gavin!

Górne światło oślepiło Gavina. Aż podskoczył na krześle. Szybko ukrył emaila, żeby stary nie mógł go przeczytać. Obrócił się, próbując udawać, że wszystko w porządku.

- Co?

- Właśnie wróciłem.

- No i co z tego?

- Wszystko w porządku?

- A jak ma być? Nie jestem dzieckiem.

- Jadłeś kolację?

- Coś tam jadłem. - Oblizał usta. - Resztki pizzy z mikrofalówki.

- Zapraszaliśmy cię z Liz. Nie chciałeś z nami iść.

- Na pewno umieraliście z rozpacz.

- Gdybym nie chciał, tobym cię nie zapraszał - odparł ojciec tym swoim zimnym, oficjalnym tonem, którego Gavin nienawidził. Wszedł do pokoju. - Co robiłeś przez cały wieczór?

- Nic. Siedziałem w Internecie.

- Co masz na koszuli?

Cholera, pomyślał Gavin. Zapomniał, że się ubłocił przy upadku. Syf, no i rzygi też. Zignorował

pytanie i obrócił się do ekranu.

- Jestem zajęty.

Ojciec wziął go za ramię i obrócił w swoją stronę.

- Wychodziłeś. Zaparkowałeś samochód w innym miejscu, niż stał po południu. Silnik jest jeszcze ciepły.

- Sprawdzasz temperaturę silnika w moim wozie? - zaśmiał się Gavin. - Nie masz innych zmartwień?

- A ty masz się stosować do reguł. - Ojciec podniósł głos, co przy jego opanowaniu rzadko się zdarzało. - Cuchniesz rzygowinami i jesteś pijany. Jeżdżąc po pijanemu, mogłeś kogoś zabić.

- Ale nie zabiłem. Więc się wyluzuj i daj mi święty spokój.

- Oddaj kluczyki. - Ojciec wyciągnął dłoń. Gavin spojrział na niego spode łba.

- Jak ci się zdaje, że zabierając mi kluczyki, zamkniesz mnie tu jak w pierdłu, to jesteś w błędzie.

Ojciec nie odpowiedział, tylko nadal stał z wyciągniętą dłonią. Gavin wyłowił kluczyki z kieszeni dzinsów i rzucił mu.

- I tak nienawidzę tego pieprzonego gruchota. Mała strata. Ojciec schował kluczyki, ale nie zbierał się do wyjścia. Przysiadł na brzegu nieposłanego łóżka.

- I co jeszcze? - jęknął Gavin. - Znów mi walniesz swój wspaniały wykład o tym, jak marnuję sobie życie?

- Czy tobie się zdaje, że karanie ciebie sprawia mi przyjemność?

- Jestem tego pewien. Wielki zły wilk, chciałem powiedzieć ojciec, uwielbia mnie rozstawiać po kątach. Rajcuje cię, jak mi wytykasz, gdzie znowu nawaliłem.

- To idiotyczne oskarżenie. Skąd ci to przyszło do głowy?

- Bo sam w swoim zasranym życiu nigdy nie zrobiłeś niczego złego. Jesteś chodzącym ideałem. Współczuję ci. Przypominam, że to cholernie nudne, być od rana do wieczoru w absolutnym porządku

- wyrzuci! z siebie Gavin i zdziwił się, widząc na twarzy ojca uśmiech.

- Daleko mi do ideału, nawet bardzo daleko. Możesz zapytać swoją matkę, ona to potwierdzi. Ale co do jednego na pewno mam rację. - Przerwał i spojrział twardo w oczy syna, w nadziei, że ten zada mu pytanie. Mógł czekać całą wieczność, i tak by się nie doczekał. Dokończył więc sam: - Dobrze, że teraz jesteś ze mną. Cieszę się, że ze mną mieszkasz. Chcę, żebyś tu był.

- Jasne. Lubisz urządzać się w nowym miejscu i chcesz, żebym cię podziwiał i we wszystkim naśladował. Na obraz i podobieństwo.

- O co ci chodzi?

- O wszystko. - Gavinowi załamał się głos. Bardzo chciał, by ojciec nie uznał, że się przejmuje, bo, do cholery, nie zamierza! się przejmować. - O modę. Pasuję ci do nowego wizerunku. Do tej twojej nowej roboty. Do Liz.

- Tu nie chodzi o żadne nowe mody, Gavin. Jesteś moim synem, moją rodziną, to wszystko. Dlatego chcieliśmy z Liz, żebyś spędził ten wieczór razem z nami.

- Miła rodzinna kolacyjka? - zadrwił Gavin. - Nasza zgrana trójka. Twoja nowa rodzina. A potem co? Co miałbym robić, kiedy odprowadzałbyś ją do domu? Czekać w samochodzie, aż ci zrobi szybką minetę?

Już mówiąc to, wyczuł, że posunął się za daleko. Jego ojciec miał wprawę w opanowywaniu zdenerwowania, nigdy nie tracił nad sobą kontroli. Tym razem też nie wrzeszczał, nie miotał się, nie klął i niczego nie rozbijał. Zamarł. Wargi mu się ściągnęły w twardą kreskę, a oczy świeciły

przenikliwie i bezlitośnie jak promienie rentgena. To z początku - Gavin jednak musiał tym razem porządnie nadebrać mu na odcisk. Zanim zdążył się uchylić, ojciec poderwał się jak sprężyna i z całej siły uderzył go pięścią w twarz, rozcinając przy tym wargę.

- Dobrze! Nie chcesz być traktowany jak dziecko i nie będziesz! Będę cię traktował jak dorosłego. Tak właśnie postąpiłbym z każdym facetem, który by wyskoczył do mnie z podobnym tekstem.

- Nienawidzę cię! - Gavin walczył ze łzami.

- Twój problem, bo i tak jesteś do mnie uwiązany. - Ojciec wyszedł, głośno strzelając drzwiami.

Gavin z trudem podniósł się z krzesła. Stał teraz na środku swego zabałaganionego pokoju, kipiąc ze złości i frustracji. Kiedy jednak uprzytomnił sobie, że nie ma dokąd uciec, że nie ma nawet złamanego grosza, rzucił się z płaczem na łóżko.

Brud, łzy i krew rozmazały mu się po całej twarzy. Targały nim histeryczne łkania. Miał ochotę zwinąć się jak embrion i płakać, płakać, płakać. Co za przesrane życie. Od początku do końca. Nienawidził w tej chwili wszystkiego i wszystkich. Matki. Ojca. Austin. Bab. Durnych kumpli. Swojego obciachowego wozu. A nade wszystko nienawidził siebie.

Rozdział 6

Sierżant Robert Curtis usiłował dyskretnie przebić wzrokiem ciemne szkła okularów. Przylapany na tym, że się gapi, pospiesznie podsunął jej krzesło.

- Proszę wybaczyć moje zachowanie, pani Gibson. Nie ukrywam, że jestem pani fanem. Proszę siadać. Może napije się pani kawy?

- Nie, dziękuję. I nie jestem żadną gwiazdą.

- To chciałbym się dowiedzieć, kto wobec tego jest.

Curtis był detektywem pracującym w Centralnym Policyjnym Biurze Śledczym miasta Austin. Miał około pięćdziesiątki, był raczej niski, krępy i schludnie ubrany, nosił wypolerowane na glanc kowbojskie buty, których obcasy dodawały mu parę centymetrów wzrostu. Choć nie był wyższy od niej, promieniował pewnością siebie i zawodowym autorytetem. Jego sportowa marynarka wisiała na wieszaku, ale do wykrochmalonej koszuli nosił starannie zawiązany krawat, a na mankietach koszuli miał wyhaftowane inicjały.

Na ścianie niewielkiego biura wisiała szczegółowa mapa stanu i druga, prezentująca okręg Travis. Był też dyplom w ramce. Choć blat pokrywały sterty papierów i urządzeń komputerowych, wszystko razem nie sprawiało wrażenia bałaganu. Curtis usiadł za biurkiem i uśmiechnął się do swego gościa.

- Nie co dzień mam okazję gościć u siebie tak sławne osoby. Co mogę dla pani zrobić?

- Zadaję sobie pytanie, czy cokolwiek może pan zrobić.

Teraz, gdy siedziała już wraz z detektywem w tym ciasnym pomieszczeniu, gdzie z pewnością pracował całymi godzinami, chroniąc porządnych obywateli przed działalnością wyrzutków społeczeństwa, zrodziły się w niej wątpliwości, czy w ogóle powinna tu przychodzić.

To, co wydarzyło się wczoraj około drugiej w nocy, trochę inaczej przedstawiało się w jasnym świetle dnia. Zawstydziała się, że postępuje jak przewrażliwiona bohaterka melodramatu, nadając nadmierne znaczenie rozmowie telefonicznej w wykonaniu jakiegoś czubka.

- Wczoraj zadzwoniłam na policję - zaczęła. - Właściwie to dzisiaj nad ranem. Dwaj policjanci z patrolu, Griggs i Carson, przyjechali na miejsce. Oto jest numer sprawy. - Wręczyła mu kartkę pozostawioną przez Griggsa.

- A co było powodem alarmu, pani Gibson?

Opisała dokładnie przebieg zdarzeń. Słuchał z napiętą uwagą i widoczną troską. Widać było, że bynajmniej nie oskarża jej w duchu, iż zawraca mu głowę byle głupstwami. A jeśli nawet udawał, wychodziło mu to znakomicie. Na koniec opowieści wyciągnęła z torby kasetę.

- Wpadłam dziś rano do radia i zrobiłam kopię nagranej rozmowy.

W istocie aż do rana nękała ją bezsenność, wreszcie dała za wygraną, wykapała się i ubrała. W gmachu stacji trafiła na poranne wiadomości o siódmej, czytane przez Charliego i Chada.

- Z przyjemnością przesłucham pani taśmy - powiedział Curtis. - Ale mój wydział zajmuje się morderstwami, gwałtami, napadami z bronią w rękę i kradzieżami. Natomiast anonimowe telefony z

groźbami... - Rozłożył ręce. - Dlaczego akurat do mnie pani przyszła?

- Przeczytałam pańskie nazwisko we wczorajszej gazecie. Chodziło o zeznania w sądzie - wyznała. - Pomyślałam, że zostanę potraktowana z większą uwagą, jeśli poproszę o spotkanie z konkretną osobą, a nie z przypadkowym dyżurnym.

- No i chyba miała pani rację - przytaknął ponuro.

- Jeśli mój rozmówca zrobi to, co zapowiedział przez telefon, to sprawa i tak trafi do pana wydziału, prawda?

Curtis poderwał się zza biurka, nagle ożywiony. Krzyknął przez drzwi: „Czy ma ktoś kaseciaka?”, i już po chwili inny detektyw, też w cywilu, pojawił się z magnetofonem.

- Proszę.

Facet z ciekawością obrzucił Paris wzrokiem, póki nie przegoniło go krótkie „Dzięki, Joe”. Zniknął, zamykając za sobą drzwi.

Sierżant Curtis, którego Paris wybrała zupełnie przypadkowo, podobał jej się coraz bardziej. Miał mir u swoich ludzi i umiał z tego właściwie korzystać. Teraz wrócił za biurko i włożył kasetę do odtwarzacza.

- Już się rozniosło, kto u mnie jest - mruknął półgłosem.

Zapewne, pomyślała Paris. Detektyw na pewno był ciekawy, dlaczego ona nosi ciemne okulary. Ludzie zazwyczaj myśleli, że to nawyk gwiazdy, która usiłuje zachować prywatność w miejscach publicznych, a może spotęgować tajemniczą aurę wokół swojej osoby albo się izolować od plebsu. Nigdy nie przyszłoby im do głowy, że ona się po prostu za nimi kryje.

- No, to zobaczymy, co też pan... hm... Valentino ma nam do powiedzenia. - Curtis nacisnął PLAY. - „Mówi Paris. Cześć, Paris. Tu Valentino”. - Gdy nagranie się skończyło, Curtis podrapał się po brodzie i zapytał: - Mogę to puścić jeszcze raz?

Wcisnął klawisz, nie czekając na jej zgodę. Słuchał w ogromnym skupieniu, marszcząc czoło i machinalnie obracając na grubym palcu swój uniwersytecki sygnet, póki nagranie się nie skończyło.

No i co pan myśli, sierżancie? - spytała. - Może z przesadą potraktowałam ten telefon od szaleńca?

Próbowała pani oddzwonić? - odparł pytaniem na pytanie.

Byłam zbyt zaskoczona, żeby o tym pomyśleć. A żałuję, bo powinnam.

I tak by nie odebrał. - Curtis machnął lekceważąco ręką.

Nie odebrał, gdy później Carson zadzwonił pod ten numer. Nie było też poczty głosowej, tylko zwykły sygnał.

Mówiła pani, że numer należy do publicznej budki telefonicznej?

Nie znam wszystkich szczegółów, na pewno będą w raporcie, ale Griggs powiedział mi, że wysłał wóz w okolicę, gdzie stoi ta budka. Tyle że od rozmowy minęło co najmniej pół godziny i tego, kto dzwonił, już dawno tam nie było.

Ktoś mógł go widzieć. Czy policjanci przepytali sąsiadów?

Nie mieli kogo pytać. Griggs mówił mi, że teren jest zupełnie opustoszały. -

Pytania Curtisa wskazywały, że przejął się sprawą, co wprawiało ją w jeszcze większy popłoch. - Myśli pan, że Valentino mówił serio? Że porwał jakąś dziewczynę i zamierzają zamordować?

Nie wiem, pani Gibson. - Curtis wydał czerstwe policzki i z wolna wypuścił powietrze. - Ale jeśli tak i jeśli zamierza trzymać się swego terminu, to nie mamy czasu, żeby tu siedzieć i dyskutować. Nie chcę mieć na biurku kolejnej sprawy o porwanie, gwałt i morderstwo, jeśli mogę

temu zapobiec. - Wstał i sięgnął po marynarkę.

A co można zrobić?

Zacniemy od ustalenia, czy to prawdziwy zbrodniarz, czy tylko świr, który chce zwrócić na siebie uwagę ulubionej gwiazdy. - Mówiąc to, Curtis przeprowadza ją przez labirynt podobnych do swojej klatek ku drzwiom wyjściowym.

Ale jak tego dokonamy?

Poradzimy się eksperta.

Dean właśnie wychodził z domu, gdy Liz zadzwoniła z lotniska w Houston.

- Już doleciałaś?

- Samolot wystartował o wpół do siódmej rano.

- Okropność.

- Pan mi to mówi - powiedziała i zaraz spytała: - A jak się skończyło z Gavinem?

- Otwarta wojna. Teraz obie strony siedzą w okopach i liżą rany.

Nie przestając rozmawiać, Dean nalał sobie szklankę soku, podtrzymując słuchawkę ramieniem. Po rozmowie z synem wiercił się bezsennie długie godziny, a nad ranem zapadł w śpiączkę. Budzik dzwonił pełne pół godziny, nim Dean się ocknął. Nie miał nawet minuty na poranną kawę.

- No, ale przynajmniej był w domu, jak wróciłeś - powiedziała Liz. - Nie oszukał cię.

Nie chcąc wdawać się w długą opowieść, Dean chrząknął coś na potwierdzenie.

- O której masz pierwsze spotkanie w Chicago? - Gładko zmienił temat.

- Natychmiast po przyjeździe do hotelu. Mam nadzieję, że O'Hare nie będzie się wygłupiał i wszystko pójdzie szybko. A co ty masz dziś na tapecie?

Zrelacjonował w skrócie swój plan dnia. Powiedziała, że już musi lecieć, chciała tylko usłyszeć na pożegnanie jego głos. Życzył jej bezpiecznej podróży, a potem wymienili rytualne „kocham cię”, „i ja ciebie też”. Gdy się rozłączyli, Dean pochylił głowę, przymknął oczy i kilka razy uderzył się w czoło słuchawką, jakby wymierzając sobie karę. Telefon Liz, zamiast być miłym początkiem dnia, wyprowadził go z równowagi. Do tego panował upał i trafił na godziny szczytu, więc był w wyjątkowo podłym humorze, kiedy o kwadrans spóźniony wpadł do biura.

- Dzień dobry, pani Lester. Są dla mnie jakieś wiadomości? Sekretarka wydziału obsługiwała jeszcze kilka innych osób.

Była kompetentna i miła. Pierwszego dnia, kiedy przyszedł do pracy, poinformowała go, że jest rozwódką, ma dwie córeczki, i prosiła, by mówił jej po imieniu.

Od tamtej pory, jeśli go wzrok nie zawodził, jej dekolty stawały się coraz głębsze, a spódnice coraz krótsze. Stopniowe braki w garderobie mogły być oczywiście spowodowane upałem, ale Dean podejrzewał, że chodzi o coś innego. Dlatego dla bezpieczeństwa zwracał się do niej w sposób jak najbardziej formalny.

- Notatki leżą na pańskim biurku. Kawa właśnie się parzy. Zaraz panu przyniosę.

Nie leżało to w zakresie obowiązków sekretarki, ale tego ranka był jej wdzięczny za tę propozycję.

- Wspaniale, bardzo dziękuję.

Wszedł do pokoju i zamknął drzwi, ucinając dalszą rozmowę. Powiesił marynarkę na wieszaku, rozluźnił krawat i rozpiął górny guzik u koszuli. Siadł za biurkiem i zaczął przeglądać terminarz. Na szczęście nie było żadnych naglających spraw. Musiał mieć parę minut, żeby odsapnąć.

Uniósł roletę i wyjrzał przez okno. Słońce świeciło jaskrawym blaskiem, ale to nie dlatego zakrył

oczy rękami. Co miał zrobić z Gavinem? Co jeszcze mógł mu za karę odebrać? Ile znieś scen podobnych do tej wczorajszej? Takie kłótnie często powodowały straty nie do odrobienia. Nie sposób było budować więzi emocjonalnych na chorych podstawach.

Było mu żal i wstyd. I nie chodziło o to, że Gavin nie zasłużył na takie traktowanie, bo zasłużył. Mimo to, jako ojciec, nie powinien podnosić na niego ręki. To on był dorosły i musiał się zachowywać dojrzałe, a nie tracić nerwy jak smarkacz. To było groźne. Mogło poczynić nieodwracalne spustoszenia. Jego rolą było przekazywanie synowi pozytywnych wzorców. Nie chciał prawić mu kazań, lecz świecić przykładem. Tymczasem zeszłej nocy zademonstrował postawę, jak nie powinien się zachowywać sprowokowany mężczyzna, i teraz było mu z tego powodu głupio.

Przezeszał dłońmi włosy, zastanawiając się, co jest, do cholery, z tą kawą. Czy powinien odesłać Gavina do matki? „Nie ma mowy” - mruknął półgłosem. Absolutnie wykluczone. Na długiej liście pierwszym powodem było oczywiście porozumienie, jakie zawarł na temat wychowania syna z Patricią. Ale prawdziwy powód był taki, że Dean Malloy nienawidził przegrywać. W żadnej sprawie. Leżał na deskach tylko wtedy, kiedy los mu fundował totalny nokaut.

Gavin powiedział - a właściwie zarzucił mu - że chce mieć zawsze rację. Powiedział też, że to beznadziejnie nudne być takim chodzącym ideałem. Gdzie mi do ideału, Gavinie, pomyślał cynicznie. Tyle razy postępował źle. Tym razem też pogrywał źle. To jasne. Zresztą z Liz również. Nie był wobec niej w porządku. Jak długo się to mogło ciągnąć?

- Doktorze Malloy...

- Proszę postawić na biurku - powiedział, sądząc, że pani Lester przyniosła mu dawno obiecaną kawę.

- Jest tu ktoś do pana - poinformowała go sekretarka. Obrócił się na krześle. - Sierżant Curtis z CBS prosił o krótką rozmowę. Czy może wejść?

- Oczywiście. - Dean zetknął się tylko raz i to przelotnie z tym detektywem, ale wyglądał mu na porządnie myślącego faceta. Miał opinię solidnie pracującego, szanowanego oficera policji w Austin. Wstał, by powitać gościa: - Dzień dobry, sierżancie Curtis.

- Wystarczy Curtis. Wszyscy tak do mnie mówią. A do pana mam mówić per doktorze czy poruczniku?

- Dean.

Mężczyźni spotkali się pośrodku biura i uścisnęli sobie ręce.

- Przyszedłem nie w porę? - spytał Curtis. - Przepraszam za taką napaść bez uprzedzenia, ale mam ważną sprawę.

- Nie ma problemu. Zaraz dostaniemy kawy.

- Mam tu kogoś ze sobą. - Curtis cofnął się do drzwi i puścił przodem zapowiedzianą osobę.

Mimo okularów mina Paris wyrażała podobne zaskoczenie jak twarz Deana. Oślupiał, tak jak i ona, gdy przed minutą przeczytała na drzwiach jego nazwisko. Była na to nieprzygotowana, oszołomiona, a jednocześnie niezdolna się wycofać. Gapił się na nią niemo przez kilka długich sekund, nim odzyskał głos.

- To ty, Paris?

Curtis wzrokiem wodził od jednego do drugiego, równie zaskoczony.

- Czy mam przynieść trzy filiżanki, doktorze Malloy? - spytała sekretarka.

- Bardzo proszę, pani Lester. - Dean nie spuszczał oczu z twarzy Paris. Sekretarka wycofała się,

pozostawiając Paris, Deana i Curtisa stojących nieruchomo niczym żywy obraz. Byli jak aktorzy, którzy nagle zapomnieli swoich kwestii. Wreszcie Curtis ujął Paris za łokieć i poprowadził w stronę biurka. Pokonując wewnętrzny opór, wkroczyła na prywatny teren Deana.

Jak każde miejsce, które zajmował, także i to było zdominowane przez jego obecność. I nie tylko dlatego, że był bardzo wysokim, barczystym mężczyzną, ale dlatego, że tak promieniowała jego niezwykle silna osobowość. Już na pierwszy rzut oka każdy z jego rozmówców pojmował, że jest to człowiek niezłomnych zasad, jasno określonych przekonań, zdeterminowany w działaniu. Nadawał się albo na niezawodnego przyjaciela, albo na nieprzejednanego wroga, nic pośrodku.

Paris знаła go w obydwu wcieleniach. W gardle ją ścisnęło, jakby tam właśnie odpłynęła cała krew z jej żył. Miała wrażenie, że w tym pokoju nie sposób oddychać. Z trudem łapała powietrze, siląc się jednocześnie na zewnętrzny spokój.

Dean też miał kłopoty z opanowaniem niekontrolowanych odruchów. Gdy Curtis zrozumiał, że brak cywilizowanego zachowania jest u niego wynikiem szoku, sam podał Paris najbliższe krzesło. To otrzeźwiło Deana.

- O Boże, przepraszam, proszę, siadajcie.

- Jako dobry detektyw od razu wykryłem, że musicie się znać - powiedział Curtis.

Wprawdzie Paris zarabiała głosem na życie, ale w tej chwili całkowicie ją zawiódł. Oddała pole Deanowi.

- Zналиśmy się dawniej, w Houston - wyjaśnił Dean. - Ja pracowałem w tamtejszej komendzie, a Paris... - Tu urwał wyczekująco, dając jej wybór, czy chce, czy nie chce udzielić szczegółowych wyjaśnień.

- Byłam reporterką jednej ze stacji telewizyjnych.

- Telewizyjnych? Myślałem, że zawsze pracowała pani w radiu. - Płowe brwi Curtisa uniosły się w zdziwieniu.

- Nie zawsze - potrząsnęła głową, wciąż wpatrzona w Deana. - Zmieniłam pracę.

Curtis chrząknął coś, co miało oznaczać, że świetnie rozumie, choć nie rozumiał ani w ząb.

- Przyniosłam kawę - rozległ się głos pani Lester. Gdy stawiała tacę na biurku Deana, zapytała: - Życzą sobie państwo śmietankę i cukier?

Wszyscy troje odmówili. Sekretarka napełniła trzy filiżanki z blaszanego termosu i spytała Deana, czy jeszcze czegoś potrzebuje. Podziękował i odprawił ją. Gdy odchodziła, Curtis odprowadził ją wzrokiem i potrząsnął głową.

- Hmm, jestem pod wrażeniem. W CBS nie mamy takich sekretarek.

- Co takiego? - Dean z początku nie zrozumiał. - Ach, chodzi o panią Lester. Ona nie jest moją osobistą sekretarką. Jest tylko... To naprawdę doskonała siła fachowa. Każdego z nas traktuje podobnie.

Mówiąc „każdego z nas”, miał na myśli urzędników pracujących w skrzydle dobudowanym do komendy głównej, do którego Paris i Curtis dostali się wprost z parkingu. Detektyw nie kupił mało przekonującego wyjaśnienia Deana, ale też nie ciągnął dalej tego tematu.

Paris objęła dłońmi parujący kubek, wdzięczna za ciepło, które roztaczał. Dean łyknął kawy, parząc sobie język.

- Nie miałem pojęcia, że na nowo połączę starych przyjaciół - powiedział Curtis.

- Paris nie wiedziała, że się tu przeprowadziłem. - Dean patrzył na nią uważnie. - Chyba że się mylę.

- Nie wiedziałam. Myślałam, że nadal mieszkasz w Houston.

- Już nie.

- Hmm.

- Zanim doktor Malloy do nas przyszedł na stałe, płaciliśmy za porady cywilnym ekspertom. -

Curtis wstrzelił się w przerwę w rozmowie. - Ale było jasne, że potrzebny jest nam psycholog na stały etat, i to ktoś, kto znałby się i na sprawach medycznych, i na robocie policyjnej. Na początku tego roku dostaliśmy odpowiednie fundusze, no i szczęśliwie mamy na pokładzie doktora Malloy a.

- Jak miło. - Paris poczęstowała obu mężczyzn niewyraźnym uśmiechem. Znow zbierało się na niezręczną przerwę, więc Dean odchrząknął i zagadnął Curtisa:

- Mówiłeś, że ta sprawa może być ważna.

- Zdarza ci się słuchać w radiu audycji pani Gibson? - Curtis poprawił się wygodniej w krześle.

- Słucham jej co wieczór.

Głowa Paris poderwała się nagle, gdy z niedowierzaniem spojrzała na Deana. Ich oczy spotkały się na kilka sekund, nim zwrócił się ponownie do Curtisa.

- No więc znasz zasady? Prowadząca odbiera rozmowę i życzenia od słuchaczy. Zeszłej nocy odebrała rozmowę, która ją zdenerwowała. I nie bez powodu. - Curtis opowiedział Deanowi o historii z Valentino i zaproponował: - Może sam posłuchasz tej taśmy i wydasz opinię.

- Oczywiście. Posłuchajmy.

Curtis miał ze sobą kasetowy magnetofon. Postawił go na biurku, przewinął kasetę i po paru falstartach ciszę przerwał kobiecy głos. „Mówi Paris”. Paris słuchała tego dialogu tyle razy, że znała go już na pamięć. Wbiła wzrok w kubek z kawą, ale kątem oka obserwowała Deana. Ukradkiem spojrzała na jego ręce, spoczywające ze splecionymi palcami na brzegu biurka. Pocierał wolno kciukiem o kciuk i ten niewinny z pozoru gest spowodował, że uczuła skurcz w dole brzucha. Raz tylko pozwoliła sobie spojrzeć wprost na jego twarz. Wyczuł to natychmiast i odwzajemnił ostre, szybkie spojrzenie. Pod jego wzrokiem czuła się jak motyl wbijany na szpilkę. Kiedyś, dawno, przenikliwe spojrzenie tego mężczyzny uszczęśliwiała ją. Teraz jedynie peszyło, wyciągając na światło dzienne rzeczy, które powinny już zostać zapomniane. Było to deprymujące uczucie, walka z dawno pogrzebanymi emocjami. Wydawało się, że są pogrzebane, ale nie były. Znow poszukała ratunku w kubku z kawą. Gdy taśma się skończyła, Dean spytał, czy może sobie zatrzymać kopię. Wyszedł na chwilę, tylko po to, by wydać polecenie pani Lester. Kiedy wrócił, Curtis zapytał:

- Więc nie uważasz, że ten gość tylko się tak zabawia?

- Muszę to jeszcze parę razy przesłuchać, ale moje pierwsze wrażenie potwierdza wasze obawy. Czy miałaś w radiu podobną rozmowę, Paris?

- Nie - potrząsnęła głową. - Słuchacze dzwonią, że widzieli UFO, chcą donieść o ataku terrorystycznym albo że wykryli azbest u sąsiada na strychu. Raz w nocy zadzwoniła kobieta i powiedziała, że ma węża w łazience. Pytała, jakim sposobem ma odróżnić, czy wąż jest jadowity, czy nie. Przynajmniej raz w tygodniu otrzymuję propozycję małżeństwa, raz zgłosił się dawca spermy. Pamiętam setki świńskich rozmów. Ale coś takiego... Nie, to inny kaliber, to się czuje.

- Ale przecież dzwonił już do ciebie poprzednio.

- Tak, człowiek, który przedstawia się jako Valentino, dzwoni dość systematycznie. Wydaje mi się, że to ta sama osoba, chociaż nie mogę przysiąc.

- Czy podejrzewasz, że to może być ktoś ci znany?

- Uczciwie? - Wzruszyła ramionami z powątpiewaniem. - Całą noc nie spałam, zastanawiając się

nad tym. Lecz nie jestem w stanie zidentyfikować tego głosu, choć raczej powinienam.

- Tak, masz w tym wprawę - powiedział Dean w zamyśleniu. - Jednak mnie się wydaje, że facet celowo, po aktorsku zmienia głos.

- Też tak sędzę.

- Więc teoretycznie możesz go znać.

- Może i mogę. Ale nie umiem sobie wyobrazić nikogo, kogo znam, w tak obrzydliwej roli.

- A może ostatnio narobiłaś sobie wrogów?

- Nic o tym nie wiem.

- Pokłóciłaś się z kimś?

- Nie kojarzę żadnego takiego incydentu.

- To może powiedziałaś nieświadomie coś, co mogło urazić twojego kolegę z pracy, urzędnika w banku, kelnera, piekarza albo gościa, co myje szyby na stacji benzynowej.

- Nie - prychnęła. - Nie mam w zwyczaju obrażać ludzi.

- Pokłóciłaś się z narzeczonym? - naciskał, ignorując jej obrazę. - Zerwałaś z kimś? Złamałaś komuś serce?

Patrzyła na niego przez kilka ciężkich minut, wreszcie potrząsnęła głową. Curtis, usiłując taktownie rozładować napięcie, którego przyczyny nie rozumiał, zakaszłał w kułak.

- Dwaj moi nowi ludzie, Griggs i Carson, zajęli się wczoraj tą sprawą. Kazałem im od rana przesłuchać personel radia. Chciałbym się z nimi skontaktować, żebyśmy wiedzieli, na czym stoimy. Przepraszam na chwilę.

Curtis wyszedł, nim Paris miała szansę zaprotestować. Porcelanowy kubek, który przedtem przyjemnie grzał, teraz ziębił jej dłonie. Odstawiła go na biurko, poświęcając meblom i przedmiotom znacznie więcej uwagi, niż na to zasługiwały. Nie mogła dłużej wytrzymać.

- Słuchaj, Dean, to był przypadek. Kiedy tu przyszedłam dzisiaj rano, nie miałam pojęcia, że... Nie wiedziałam, że jesteś w Austin.

- Gdybyś mi dała szansę, sam bym ci to powiedział na pogrzebie Jacka.

- Nie chciałam z tobą rozmawiać.

- A dlaczego?

- Bo to by było niestosowne.

- Po siedmiu latach? - Nachylił się ku niej. Mówił cicho, ale był zły. Gdyby żył Jack, potwierdziłby, że nikt nigdy nie miał na Deana takiego wpływu jak Paris. Zawsze umiała trafić w jego czuły punkt ponad barierą samokontroli. - Myślałem, że te okulary założyłaś tylko na pogrzeb. Masz ciągle tę...

- Nie przyszedłam tu po to, żeby o tym rozmawiać, Dean. Gdybym mogła, już dawno bym sobie poszła. Nie miałam pojęcia, do kogo przyprowadzi mnie Curtis.

- Bo gdybyś wiedziała, to ogon pod siebie i w nogi, co? To twój ulubiony sposób zachowania w takich sytuacjach.

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo wrócił Curtis.

- Sprawdzają tego nocnego dozorcę, Marvina Pattersona. Na razie nic na niego nie mają, chociaż chyba nie jest do końca czysty. Jak się dowiedzą, dadzą znać. A ten Stan Crenshaw... To krewny właściciela?

- Bratanek Wilkinsa Crenshawa.

- Nepotyzm?

- Jeszcze jaki - odparła słodko. - Stan nic nie umie i nic nie robi. Jest leniwy jak pierogi. Jego patologiczne lenistwo wkurza nas wszystkich, ale na układy nie ma rady, musimy z nim współpracować. Poza tym to na pewno ani on, ani Marvin. Obaj byli w tym czasie ze mną w budynku.

- Przy dzisiejszej technice z telefonami można wyczyniać cuda. Mam takiego jednego magika u siebie w biurze. Ale moi ludzie zbadają, co tam słychać w aptece obok tej płatnej budki. Może ktoś z personelu albo jakiś klient zagiął na panią haka... Tyle że... - Curtis w zakłopotaniu pociągnął się za ucho. - Jeszcze nie popełniono żadnej zbrodni. Mamy tylko groźby.

- Poważne groźby.

- Zgoda - przyznał detektyw. - Valentino powiedział, że jakaś kobieta mówiła o nim do pani w radiu. Proszę się skupić. Przypomina sobie pani podobny telefon?

- Tak z marszu nie. Ale to musiało być względnie niedawno i zapewne puściłam tę rozmowę na antenę. Co nam zawęża pole działania. Ale, jak łatwo zgadnąć, nigdy bym nie poradziła żadnej słuchaczce, żeby kogoś rzuciła.

- On może kłamać - powiedział Dean, a Curtis i Paris popatrzyli na niego wyczekująco. - Mógł zmyślić ten telefon od swojej dziewczyny, żeby mieć usprawiedliwienie, nawet przed samym sobą, na to, co zamierza jej zrobić.

Nie była to wesoła konstatacja. Pani Lester przyniosła tymczasem duplikat taśmy, a Dean puścił ją jeszcze raz.

- Mężczy mnie jedno - powiedział. - Że on cały czas odnosi się do dziewczyn, nie do kobiet.

- Może chce umniejszyć ich ocenę - podrzucił Curtis.

- Na pewno. To nam daje pewien wgląd w jego umysł. Jego niechęć i brak zaufania do dorosłych kobiet są jasne i oczywiste. Gdybym miał nakreślić jego portret psychologiczny, powiedziałbym, że to typ sadystycznego gwałciciela-mściciela.

- Jego złość na kobiety pochodzi z prawdziwych albo urojonych krzywd, jakich od nich doświadczył. - Curtis był najwyraźniej obznajomiony z fachową terminologią.

Niebezpieczny motyw działania - ciągnął Dean. - Seks jako narzędzie kary.

Zazwyczaj przekłada się to na brutalny gwałt z premedytacją. Jeśli chce, bo tak właśnie powiedział Paris, patrzeć, jak jego ofiara spływa krwią, to nie zawaha się jej uśmiercić. A z drugiej strony, jedyny Valentino, o jakim słyszałem, to był Rudolf.

Ten aktor - powiedziała Paris.

Tak. Kasowy film z jego udziałem miał tytuł Szejka.

W tym filmie porywa i uwodzi wbrew woli młodą dziewczynę. - Paris pamiętała Szejka. Była na pokazie klasyki kina razem z Jackiem. - Sądzisz, że stąd to skojarzenie?

Nie wiem, ale nie możemy sobie odpuścić tego tropu. W ogóle, Curtis - Dean zwrócił się do sierżanta - uważam, że nie wolno odpuścić tej sprawy. Sądzę, że groźby Valentina są realne.

Ja, niestety, też - przytaknął detektyw z ponurą miną.

Zgłaszam swoją współpracę.

Nie pogardzę. Zatem traktujemy Valentina serio, póki się nie okaże, że to tylko podpucha.

Albo śmierć - cicho powiedziała Paris.

Rozdział 7

Sędzia Kemp przystał na prośbę obrońcy, który potrzebował pół godziny na konsultacje z klientem. W duchu miał nadzieję, że strony pójdą na ugodę, a on dzięki temu zyska wolne popołudnie. Zarobione pół godziny przeznaczył na wycinanie sobie włosów z nosa małutkimi srebrnymi nożyczkami. Używał wprawdzie pięciokrotnie powiększającego lusterka, ale i tak procedura była delikatna, wymagająca precyzji. Nagły sygnał telefonu komórkowego sprawił, że sędzia podskoczył, o mało nie przekłuwając sobie nosa.

- Janey nie ma w domu - powiedziała bez zbędnych wstępów jego żona. - Nie było jej całą noc.

- Mówiłaś mi wczoraj, że jest u siebie.

- Mówiłam, bo światło było zapalone i grało radio. Tak samo było rano. Zdziwiło mnie to, bo sam wiesz, jaki z niej śpioch, ale pomyślałam, że może tak zasnęła wieczorem. Zapukałam około dziesiątej. Chciałam zaprosić Janey na lunch do tej nowej herbaciarni, żeby ją jakoś udobruchać. To śliczny, kameralny lokal, nawiasem mówiąc. Byłam tam z Beą w ubiegłym tygodniu. Jadłyśmy doskonale gazpacho.

- Marian, kończy mi się przerwa w rozprawie.

- No już dobrze. Nie odpowiadała na pukanie. Za kwadrans jedenasta postanowiłam wejść i obudzić ją. Pokój był pusty, łóżko posłane. W garażu nie ma jej wozu i nikt ze służby ostatnio jej nie widział.

- Może wstała rano, posłała łóżko, wzięła samochód i wyjechała z domu.

- Równie prawdopodobne jak to, że w sierpniu pada śnieg.

Żona miała rację. Przypuszczenie było absurdalne. Janey nigdy w życiu sama nie pościeliła łóżka. Był to jeden z powodów, dla których odesłano ją do domu z obozu letniego, na który została wysłana siłą przez rodziców. Ten pierwszy i jedyny raz uparli się, nie bacząc na jej protesty.

- Kiedy ostatni raz ją widziałaś?

- Wczoraj po południu. Zawzięcie opalała się przy basenie. Błagałam, żeby weszła do domu, bo spali sobie skórę. Nie chce używać kremów z filtrem. Próbowaliśmy jej wyperswadować to opalanie, ale nie chciała słuchać. Powiedziała, że te wszelkie filtry to najgłupsze, co wymyślono, bo dokładnie mija się z celem. Poza tym, Baird, uważam, że mógłbyś jej przemówić do słuchu, by przestała opalać się półnago. Ja rozumiem, że to także jej dom i jej basen, ale w kółko się tu kręcą jacyś robotnicy, a ja nie zamierzam urządzać w domu darmowego peep-show. Nie dość, że chodzi topless, to jeszcze nosi stringi, co uważam za wyjątkowo wulgarne, niehigieniczne i niewygodne. - Tym razem Marian Kemp sama powstrzymała się od zboczenia z tematu. - Tak czy owak, wczoraj udało mi się zapędzić ją do domu, kiedy nastał najgorszy upał. Przypomniałam jej, że idziemy na to rozdanie nagród, a ona ma zakaz wychodzenia z domu. Bez słowa poleciała na górę, strzeliła drzwiami i zamknęła się na klucz. Musiała się wymknąć zaraz po nas, bo od tamtej pory nikt jej nie widział.

Sędzia nie zauważył braku samochodu córki, bo wieczorem zostawił swój wóz na chodniku przed bramą. Następnym razem, gdy dojdzie do scysji z Janey, będzie musiał jej zabrać kluczyki od

samochodu. Choć dobrze wiedział, że to nie powstrzyma jej przed nocnymi eskapadami z tymi okropnymi gówniarzami, którzy mają na nią taki demoralizujący wpływ.

- Dzwoniłaś na jej komórkę?
- Odzywa się tylko poczta głosowa. Zostawiłam wiadomości.
- Dzwoniłaś do jej kolegów?
- Tak, ale wczoraj nikt się z nią nie spotykał. Tak mówią, równie dobrze mogą kłamać.
- A ta siksa Melissa, z którą spędza tyle czasu?
- Jest w Europie z rodzicami.

Sekretarka zapukała cicho, dając sędziemu znak, że wszyscy już na niego czekają w sali rozpraw.

- Słuchaj, Marian, ona na pewno chce się na nas zemścić za to, żeśmy ją ukarali. Spróbowała cię przestraszyć i udało jej się.

Na pewno niedługo się pojawi. Nie pierwszy raz urywa się na całą noc.

Ostatnim razem, kiedy się to zdarzyło, Janey o mało nie trafiła do więzienia stanowego w Travis County, z oskarżenia o obrazę moralności publicznej. Wraz z grupą młodzieży zabarykadowała się nago w hotelowej łaźni. Inni goście skarżyli się na zakłócanie ciszy. Gdy ochroniarze zlokalizowali źródło hałasu i otworzyli drzwi, ujrzeli regularną orgię - kłębowisko młodych ciał w różnym stopniu roznegliżowania i upojenia - zajętych podrygiwaniem w rozmaitych seksualnych pozycjach. Jego córka była najbardziej pijana i całkiem goła, przynajmniej tak twierdził policjant z Austin, który własnymi rękami wyłowił ją z wody, odrywając od młodzieńca, z którym intensywnie kopulowała.

Policjant owinął Janey kocem i zamiast do pudła przywiózł do domu. Zrobił tę przysługę sędziemu, nie zaś jego rozwydrzonej córce, która jeszcze na progu rodzinnej posesji obrzuciła go stekiem obelg. Uprzejmość oficera wynagrodził studolarowy banknot, co zagwarantowało sędziemu, iż nazwisko jego córki nie zostanie umieszczone w raporcie o nocnych zajściach.

- Bogu dzięki, że prasa się do nas nie dobrała. - Głos Marian wpadł w tok jego myśli. - Masz wyobrażenie, co by się działo? A twoja opinia? Co zamierzasz zrobić, Baird? - Marian sapnęła cicho przez nos, przerzucając na niego cały problem.

- Do wieczoru siedzę w sądzie. Nie mam czasu na szukanie Janey.

- Chyba nie oczekujesz, że to ja będę jej szukać po całym Austin? Czulałabym się jak hycel. A poza tym to ty masz odpowiednie kontakty.

I plik studolarówek - pomyślał z goryczą. W ciągu ostatnich paru lat wydatki na córeczkę nie miały końca, a zawsze chodziło o to, by wyciszyć jej wybryki.

- Zobaczą, co się da zrobić - obiecał. - Ale jak się zjawi, w co dziwnie nie wątpię, natychmiast daj mi znać. Nastawię pager na wibracje, nawet jak będę na rozprawie. Wybierz trzy razy trzy. Będę wiedział, że wróciła. Nie warto tracić na darmo cudzego czasu.

- Dzięki, kochanie. Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć.

Curtis zaprosił Deana na lunch. Zgodził się, choć nie miał złudzeń co do intencji kolegi, który chciał wyciągnąć z niego jak najwięcej informacji o Paris. Nie miał pretensji, że Curtis jest ciekawy. On też by się zainteresował sceną, jaką rano oboje zaprezentowali w biurze. Postanowił, że sam nic mu nie powie, nic ponad to, co obejmowało jego oficjalne CV. Był ciekaw, jak policjant zabierze się do rzeczy.

Wyszli już przed front gmachu, gdy ktoś z tyłu zawołał Curtisa. Zza drzwi wyłonił się zdyszany młody funkcjonariusz w mundurze.

- Przepraszam, że pana zatrzymuję, sierżancie - wydyszał.

- Idziemy coś zjeść. Znasz doktora Malloya, chłopcze?

- Tylko ze słyszenia. Trochę się spóźniłem na komitet powitalny w Austin. Nazywam się Eddie Griggs. Miło mi pana poznać, sir. - Wyciągnął rękę.

- Mnie też. - Dean odwzajemnił uścisk. - Porozmawiajcie sobie. Ja zaczekam.

- Myślę, że sierżant nie będzie miał nic przeciw temu, żebym powiedział to przy panu. Podobno razem pracujecie nad sprawą Paris Gibson. Coś nam się urodziło, choć może nie wprost.

- Staśmy w cieniu - zaproponował Curtis, i tak zrobili.

Z sąsiedniej ulicy dobiegał głośny warkot samochodów, ale młodzieniec umiał go przekrzyczeć.

- Puścił pan w obieg notatkę o osobach zaginionych, panie sierżancie? - zapytał.

- Zgadza się.

- Mamy zgłoszenie... Od sędziego Kempa.

- O co chodzi?

- Ma córkę w szkole średniej. Palma jej odbija jak nie wiem co na punkcie seksu. Bez przerwy ładuje się w jakieś kłopoty, parę razy ją przyłapano. Policjanci z nocnych patroli dobrze ją znają. - Griggs obejrzał się, czy ktoś nie podsłuchuje. - Podobno sędzia hojnie wynagradza tych, którzy ją odstawiają do domu, zamiast wsadzić do aresztu i opisać w raporcie.

- Rozumiem - skwitował krótko detektyw.

- No więc dzisiaj sędzia zadzwonił do jednego ze swoich znajomych na komendzie ze specjalnym poruczeniem. Wydaje się, że ta Janey od wczoraj nie wróciła do domu. Wszystkie patrole dostały poufną informację, że mają mieć oczy szeroko otwarte. Ci, którzy ją znajdą, na pewno nie pożałują. Dean nie znał osobiście sędziego, choć oczywiście o nim słyszał. Zdarzyło się, że jednym z jego pierwszych zadań w nowej pracy było namówienie więźnia osadzonego w areszcie, by wydał policji swego współnika, o wiele groźniejszego przestępcę, wciąż przebywającego na wolności. Więzień odmawiał współpracy.

- Za nic nie wdępnę w to gówno - powtarzał. - Nie pomogę im. - „Im”, czyli policji, bo sam Dean zaprzyjaźnił się z rabusiem, odgrywając rolę dobrego gliny. - Mój proces jest z góry przesądzony. Słyszysz, człowieku?! To ten pierdolony sędzia wpłynął na werdykt ławy przysięgłych.

Opinia ta niewiele różniła się od innych, wyrażanych przez rzekomo niewinnych więźniów. Wszyscy oni nienawidzili sędziów, którzy nie mieli tolerancji dla napadów rabunkowych. Dean i tak w końcu dowiedział się, czego chciał, ale jego „klient”, nawet gdy już wsadzono współnika, nie zmienił złego zdania na temat sędziego. W świetle tego, co opowiedział Griggs, jego opinia wydawała się usprawiedliwiona.

- Tylko w naszym stanie zapewne setka nastolatków nie wróciła w nocy do domu, a rodzice nie mają pojęcia, co się z nimi dzieje - zauważył Curtis. - I są to dane raczej zaniżone. - Dean pomyślał o swoim synu, przez którego matka nie sypiała po nocach, kiedy włóczył się nie wiadomo gdzie i nie wracał.

- Zgadza się - powiedział. - Jest za wcześnie, by podejrzewać, że chodzi akurat o tę dziewczynę, dla której zresztą takie ucieczki to chleb powszedni.

- Sędzia pęknie ze złości, jeśli ogłoszenie o jego córce trafi do oficjalnego okólnika - sarknął Curtis z niesmakiem. - Ale dzięki, że się pofatygowałeś, by nam o tym powiedzieć, chłopcze. Szybko pracujesz. A swoją drogą, co cię tu przyгнаło tak skoro świt?

- Wziąłem nadgodziny, sir. Chciałbym pomóc Paris Gibson. Bardzo się przejęła tą sprawą. Wczoraj w nocy była w szoku.

- Na pewno to doceni, chłopcze - powiedział Curtis z ukrytą drwiną. Podobnie jak Dean od razu zauważył, że chłopak najwyraźniej zadurzył się w Paris. - A teraz dajmy pannie Janey Kemp parę godzin na wytrzeźwienie i powrót do domu, nim połączymy jej zaginięcie z nocnym telefonem do pani Gibson.

- Tak jest, sir. - Młody człowiek był tak świeżo po szkole, że Dean spodziewał się, iż zsalutuje. - Życzę panom smacznego.

Curtis odwrócił się, by odejść, lecz Dean czuł, że młody policjant ma jeszcze coś na wątrobie. Interesowało go wszystko, co mogło mieć jakikolwiek związek z Paris.

- Wybaczcie, Griggs, ale zdaje się, że jeszcze coś was niepokoi. Chętnie tego wysłuchamy.

Było jasne, że debiutujący w zawodzie krawężnik nie chce się narażać starszemu stopniem detektywowi, a tym bardziej jeszcze wyższemu stopniem facetowi z tytułem doktorskim przed nazwiskiem. A jednak coś go męczyło, bo pytanie Deana wyraźnie sprawiło mu ulgę.

- To taka dziewczyna, co się sama prosi o kłopoty, sir. - Griggs zniżył głos do szeptu. - W jej szkole działa jeden nasz agent w cywilu z brygady antynarkotykowej. Mówił, że to superlaska i że świetnie o tym wie. No, po prostu odlotowy kawał dupy. Powiedział, że jak do niego podeszła i zagadała, to prawie zapomniał, że jest na służbie. - Uszy Griggsa spurpurowiały. Nawet skóra na głowie, prześwitująca spod wojskowego jeża, mocno poróżowiała.

- Okropne uczucie - wyznał Dean, chcąc nieco odprężyć młodego policjanta. - Dlatego ja sam nigdy się nie bawię w tajniaka.

Griggs był uszczęśliwiony, że doktor Malloy na koniec okazał się równym facetem.

- Chciałem tylko powiedzieć, że ta dziewczyna lubiła igrać z ogniem i sama mogła się wpakować w niebezpieczną sytuację.

- Czyli się poparzyć? - spytał Curtis.

- Coś w tym rodzaju, sir. Z tego, co o niej wiem, zawsze dostaje to, co chce, i nie czuje się nikomu nic winna. Nawet swoim starym. Idealna kandydatka, żeby się, na przykład, dać odurzyć, o ile nie robi tego sama. Gdyby trafiła na tego Valentina, a on by jej zrobił to, co zapowiadał, to nikt by nawet nie zauważył, w każdym razie przez jakiś czas. A skutki mogą być jak najgorsze.

Curtis zapytał, czy szukano już Janey w miejscach, gdzie zwykle przebywała.

- Tak. Tego właśnie chciał sędzia. Oczywiście dyskretnie. Zaangażowało się w to paru chłopaków z wywiadu i kilka regularnych patroli, ale teraz jest lato i Sex Club spotyka się w różnych miejscach na wolnym powietrzu. Trudno ich namierzyć, kryją się przed policją i przed rodzicami...

- Sex Club? - Dean spojrzał na Curtisa, ale ten tylko wzruszył ramionami. A potem obaj zwrócili się o wyjaśnienie do Griggsa.

- Jak to? - Młody policjant z ociąganiem przenosił ciężar ciała z jednej obutej w wypolerowany trzewik nogi na drugą. - Naprawdę panowie nie słyszeli?

Paris wróciła do domu kompletnie wyczerpana. Normalnie o tej godzinie dopiero wstawiała z łóżka. Śniadanie jadała wtedy, kiedy inni zaczynali lunch. Dziś cały rozkład dnia został wywrócony do góry nogami. Jeśli się nie prześpi choćby parę godzin, będzie chodzić po studiu niczym zombi. Ale jak miała zasnąć po takim przeżyciu, jakim było nieoczekiwane spotkanie z Deanem?

Z rozsądku zrobiła sobie kanapkę z masłem orzechowym, choć nie czuła głodu. Usiadła w kuchni i zaczęła sortować pocztę. Kiedy ujrzała niebieską kopertę ze znajomym logo w lewym rogu, przestała żuć. Popiła kęs chleba całą szklanką mleka, jakby chciała się podświadomie wzmocnić przez otwarcie koperty.

Składający się z trzech akapitów list pochodził od dyrektora Meadowview Hospital. Uprzejmie, lecz stanowczo, prostym i zrozumiałym językiem żądał, by odebrała rzeczy osobiste zmarłego pacjenta, Jacka Donnera. „Skoro nie odpowiada pani na moje po wielokroć ponawiane wiadomości telefoniczne, pozostaje przyjąć, że do Pani nie docierają. Dlatego listownie informuję Panią, że jeśli nie zgłosi się Pani po rzeczy Jacka Donnera, zostaną one usunięte ze szpitalnego magazynu”. Ostateczna data odbioru jutro. Jutro. List był bardzo stanowczy w tonie, a data dwukrotnie podkreślona.

Kiedy Jack był pacjentem szpitala, Paris była po imieniu z całym personelem, od dyrektora po sprzątaczkę. Ten list brzmiał tak, jakby napisał go nieznajomy do nieznajomej. Nadużyła jego cierpliwości i dobrej woli, a sytuacji nie poprawiło przemilczanie nagranych na sekretarkę wiadomości. Paris nie pojawiła się w tym prywatnym domu opieki ani razu, odkąd Jack zmarł w pokoju 203. Przez pół roku od tamtej pory nie mogła się zmusić do przyjazdu, nawet po jego rzeczy. Bywała tu z codziennymi wizytami przez pełne siedem lat, ale gdy ostatni raz wyszła, nie chciała już wracać.

Tego jej oporu nie można było tłumaczyć zwykłym samolubstwem. Nie chciała pamiętać Jacka na szpitalnym łóżku, przezroczystego jak papier mimo codziennych ćwiczeń rehabilitacyjnych. Nie chciała wizji jego osoby dziecienniejszej, bełkoczącej, niezdolnej do rozmowy, do samodzielnego zjedzenia posiłku, zabierającej tylko przestrzeń, zdanej na łaskę i niełaskę płatnych specjalistów. A w tym właśnie stanie spędził ostatnie siedem lat życia. Zasługiwał na coś więcej niż na taką pamięć.

Paris objęła ramiona rękami i skuliła się. Przymknęła oczy i zobaczyła Jacka Donnera takim, jakim był wtedy, kiedy się pierwszy raz spotkali. Silny, przystojny, pełen życia i pewności siebie ... - Więc to ty jesteś ta nowa, o której wszyscy mówią?

Stał za jej plecami. Kiedy odwróciła się i spojrzała na niego, zobaczyła, jaki ma seksowny uśmiech. Wyznaczono jej do pracy tak mało miejsca, że ledwo mogła się obrócić. W dodatku zastawiały je pudła, które właśnie rozpakowywała. Jack udawał, że nie widzi, iż jeszcze zagęszcza i tak już ciasną norę.

- Ta nowa - powtórzyła oziębłym tonem.

- Gadają o tobie na korytarzu. Nie zmuszaj mnie do powtarzania, co mówią, bo wtedy będziesz mogła mnie oskarżyć o napastowanie seksualne.

- Jeśli jesteś ciekaw, gdzie pracuję, to informuję, że właśnie dołączyłam do ekipy reporterów dziennika.

- Naszej najlepszej na świecie ekipy - poprawił ją. - Nie widziałaś naszych reklam?

- A co? Pracujesz w dziale reklamy?

- Nie, stoję na czele komitetu powitalnego. Właściwie to jestem jednoosobowym komitetem powitalnym i do moich obowiązków należy zapoznawanie się z każdym, kogo się tu angażuje.

- Dziękuję, czuję się należycie powitana. A teraz, jeśli...

- Tak naprawdę, to pracuję w dziale sprzedaży. Nazywam się Jack Donner. Podali sobie ręce.

- Paris Gibson.

- Ładne nazwisko. Prawdziwe czy wymyślone?

- Jak najprawdziwsze.

- Pójdziemy na lunch?

Jego bezczelna bezpośredniość nie uraziła jej, lecz rozbawiła.

- Nie. Jestem zajęta. - Wskazała dłonią pudła. - Po pierwsze, rozpakowywanie zajmie mi całe

popołudnie. Po drugie, ledwo się poznaliśmy.

- No tak - mruknął, przygryzając dolną wargę. Było to ujmujące, a zarazem seksowne i robi! to całkowicie świadomie. A potem się rozpromienił: - To może pójdziemy na kolację?

Paris nie poszła z nim na kolację ani tego wieczoru, ani po trzech następnych propozycjach. Pracowała jak wół, realizując wszystkie polecenia wydawcy. Była niezmordowana w kręceniu materiałów, ale wiedziała też, że tylko taka postawa przyniesie jej nazwisko, rozpoznawalny wizerunek i głos. Jej ambicją było prowadzenie ze studia wieczornych wiadomości. To powinno zająć rok albo dwa. Musiała nauczyć się mnóstwa rzeczy, ale nie widziała powodu, by celować niżej niż na zawodowy szczyt. Była zdecydowanie zbyt zajęta robieniem kariery w telewizji w Houston, by umawiać się na randki.

Ale Jack Donner się uparł, a ona nie pozostała nieczuła na jego wdzięk. Był ideałem amerykańskiego chłopca, czyli uroda, ciekawa osobowość i zaraźliwe poczucie humoru. Podobał się wszystkim kobietom, od smarkul praktykantek po babcię, która prowadziła księgowość. O dziwo, faceci też go lubili. Miał dobre, wciąż wzrastające wyniki w pracy i było tajemnicą poliszynela, że zapewne zasiądzie w zarządzie firmy.

- W głównym zarządzie - zwierzył jej się. - Zostanę naczelnym dyrektorem, a potem kto wie? Może pewnego dnia otworzę własną stację.

Miał dość ambicji i charyzmy, by zrealizować swoje marzenia. Randka z Paris była pierwszym krótkodystansowym celem, jaki osiągnął. Poddawała się.

Ich pierwszy wspólny wieczór odbył się w chińskiej restauracji. Nie wiadomo, co było gorsze, żarcie czy obsługa, ale Jack rozśmieszał Paris do łez, opowiadając zmyślone, niestworzone historie z życia chińskich kelnerów. Im więcej wlewał w siebie ryżowego wina, tym był zabawniejszy. Wreszcie przełamał ciastko z wróżbą.

- Posłuchaj tylko - udawał, że czyta. - „Gratulacje. Po długich staraniach kobieta twego życia da się dzisiaj uwieść”.

- Zobaczymy. - Paris przełamała swoje ciastko. - „Gratulacje. Pierwsza wróżba unieważniona”.

- To znaczy, że nie pójdziesz ze mną do łóżka?

- Nie. - Roześmiała się na widok jego zawiedzionej miny. - Nie, Jack, nie pójdę z tobą do łóżka.

- Jesteś pewna?

- Jestem.

Ale po miesiącu zmieniła zdanie. Po pół roku wszyscy wiedzieli, że są parą. Na Boże Narodzenie Jack oświadczył się formalnie, a w Nowy Rok Paris zgodziła się za niego wyjść. W lutym nastąpiły ciężkie śnieżyce. Śnieg w Houston był taką rzadkością jak przelot komety Halleya, więc reporterzy mieli pełne ręce roboty z tym pogodowym tematem, opowiadając o zamykanych szkołach, schroniskach dla bezdomnych i oblodzonych drogach. Paris była szesnaście godzin na nogach, przemieszczała się z miejsca na miejsce zdezelowanym wozem transmisyjnym, latała po mrozie i piła wystygłą kawę. Kiedy wróciła do domu, Jack mieszał w garnku własnoręcznie ugotowany rosół.

- Gdybym się do tej pory w tobie nie zakochała - oświadczyła, unosząc pokrywkę - musiałoby to nastąpić dokładnie w tej chwili.

- Będę ci gotował codziennie, tylko ze mną zamieszkać.

- Nie - mruknęła, ściągając przemoczone buty.

- Dlaczego?

- Wałkowaliśmy to setki razy - odparła znużona. Przykucnął, by rozmasować jej stopy.

- No to porozmawiajmy jeszcze raz - powiedział. - Twoje wymówki nie trzymają się kupy. A potencję mam większą niż zdolność koncentracji uwagi. Nie podoba ci się to?

Paris podciągnęła rozgrzane nogi. Czowała się zbyt błogo, by wdawać się z całą energią w rutynowy spór.

- Póki się nie pobierzemy, chcę zachować niezależność - powiedziała, a widząc, że Jack nie zamierza się poddać, dorzuciła: - A jak się będziesz upierał, to odłożę ślub na kolejne pół roku.

- Twarda z ciebie sztuka, Paris Gibson, mam nadzieję, że niedługo Paris Donner.

Zjedli zupę i dokończyli butelkę wina, które Jack popijał przy gotowaniu. Nie upierał się, żeby zostać na noc. Była wdzięczna, że starczyło mu wrażliwości, by uszanować jej zmęczenie. Gdy się z nim żegnała, zauważyła, że te parę centymetrów śniegu, który sparaliżował całe miasto, topnieje. Mrozące krew reportaże o strasznej pogodzie zostały unieważnione przez kilka stopni ciepła na termometrze.

- Jak to dobrze, że jutro sobota - powiedziała. - Prześpię chyba cały dzień.

- Tylko się obudź przed wieczorem.

- Dlaczego?

- Bo jutro poznasz moją drużbę.

Mówił jej niedawno o swoim przyjacielu ze szkoły, który po paru latach studiów i pracy naukowej w dziedzinie, której nie zapamiętała, wracał do Houston, przyjęty do pracy w komendzie głównej. Wystarczało jej, że Jack jest tym wszystkim ogromnie przejęty i nie może się doczekać ich spotkania.

- Jak mu jest w tej naszej policji? - spytała z ziewnięciem.

- Mówi, że za wcześnie na wnioski, ale chyba mu się podoba. Umówiliśmy się na mecz w ciągu dnia, kiedy będziesz spała. Przyjedziemy o siódmej.

- Będę gotowa. - Już miała zamknąć drzwi, ale zawołała jeszcze do Jacka: - Przypomnij mi jego nazwisko!

- Dean Malloy.

Paris uniosła głowę, ciężko dysząc.

Siedziała w swojej własnej kuchni, ale uprzytomnienie sobie, gdzie jest, zajęło jej parę sekund. Ze wspomnień zapadła w sen. Usnęła głęboko i na długo, bo światło w oknie już się zmieniło na wieczorne. Bolały ją zdrtwiałe od bezruchu ramiona. Rozcieranie tylko wzmagało ból. Bezwładną ręką sięgnęła po telefon, bo to jego uporczywy dźwięk wybił ją ze snu.

- Mówi Paris.

Rozdział 8

- Kiedy byłaś ostatni raz u dentysty, Amy?
- Nie pamiętam. Parę lat temu.
- To za długa przerwa między kontrolami. - Doktor Brad Armstrong surowo zmarszczył brwi.
- Boję się dentystów.
- Widocznie nie trafiłaś na właściwego lekarza - mrugnął do niej. - Aż do dzisiaj.

Dziewczyna zachichotała.

- Masz szczęście. Znalazłem tylko jedną dziurkę. Małą, ale musimy zrobić wypełnienie.

- Będzie bolało?

- Ból? A kto tu mówi o bólu? - Poklepał ją po ramieniu. - Moim zadaniem jest wyleczyć ci ząb, a twoim - leżeć spokojnie i się nie denerwować.

- Już jestem śpiąca od valium.

- To nie potrwa długo.

Asystentka ustaliła z matką Amy, że może podać jej małą dawkę środka uspokajającego, by sytuacja była bardziej komfortowa zarówno dla pacjentki, jak i lekarza. Matka miała wrócić po zabiegu, by odwieźć Amy do domu. A tymczasem, gdy dziewczyna odpływała w sen, on mógł przystąpić do tego, co go zajmowało. Według karty miała piętnaście lat, ale wyglądała na więcej. Krótka spódniczka ukazywała szczupłe, opalone uda i umięśnione łydki.

Uwielbiał lato, bo latem one pokazywały nagą skórę. Już się bał jesieni i zimy, kiedy kobiety zamieniały sandały na botki i gołe nogi osłaniały rajstopami. Wkładały dłuższe spódnice i kryły dekolty i ramiona pod ciepłymi swetrami. Jedyna zaleta polegała na tym, że swetry bywały obcisłe, a domyślanie się, co kryją pod spodem - ekscytujące.

Pacjentka odetchnęła głęboko, aż uniósł się papierowy ręcznik okrywający jej piersi. Kusiło go, by podnieść bibułę i popatrzeć na nie. Gdyby coś zauważyła, zawsze mógł powiedzieć, że tylko poprawia! osłonę. Powstrzymał się jednak. Siostra mogła w każdej chwili wejść do gabinetu, a w przeciwieństwie do pacjentki nie była oszołomiona valium.

Jeszcze raz zlustrował nogi dziewczyny. Głęboki relaks spowodował, że były nieco rozrzucone na boki i nie stykały się kolanami. Obcisła spódnica przylegała do ciała niczym druga skóra. Ukazywała wszystkie wzniesienia i dołki. Zastanawiał się, czy ma na sobie majtki. Myśl, że ich nie nosi, rozpalila jego wyobraźnię. Zastanawiał się także, czy wciąż jeszcze jest dziewicą. Dziś rzadko która zachowywała cnotę po czternastym roku życia. Statystycznie można było założyć, że już obcowała z mężczyzną. Zapewne wiedziała, co się dzieje z męskim członkiem w stanie podniecenia. Nie zdziwiłaby się, gdyby...

- Panie doktorze - w pokoju pojawiła się asystentka - czy już mogę jej dać znieczulenie miejscowe?

Nigdy nie dopuszczał, by jego pacjentki choćby przez sen usłyszały słowo „zastrzyk”. Wstał teraz ze swego obrotowego stołka i podszedł do okna, udając, że studiuje prześwietlenie.

- Bardzo proszę. Poczekamy dla pewności parę minut.

- Zaczynam.

Ściągnął gumowe rękawiczki i przeszedł do swego prywatnego aneksu z biurkiem, zamykając za sobą drzwi. Miał rozpaloną skórę, a serce biło mu bardzo szybko. Gdyby nie fartuch, pielęgniarka by zauważyła, że ma erekcję. W porę mu przeszkodziła, bo mógłby znów popełnić fatalną pomyłkę. A na to nie mógł sobie pozwolić.

Ostatnim razem, pomyślał, to nie była moja wina. Tamta dziewczyna przyszła do niego trzy razy w ciągu dwóch miesięcy. Z każdą wizytą zachowywała się swobodniej. Mało powiedziane, po prostu otwarcie go podrywała. I doskonale wiedziała, co robi. Ten prowokacyjny uśmiech na dentystycznym fotelu to było jawne zaproszenie do pieszczot.

Ale jak się do tego zabrał, ona podniosła taki raban, że zaalarmowała jego kolegów, wszystkie pielęgniarki i pacjentów. Do gabinetu, w którym rzucała głośnie oskarżenia, wpadł cały tłum.

Gdyby miała dwadzieścia pięć lat, a na tyle wyglądała, oskarżenia o molestowanie zostałyby odrzucone. Tymczasem była nieletnia. Uwierzyli jej, a jego wyrzucili z roboty. Gdy przyszedł następnego dnia do kliniki, w drzwiach powitał go starszy partner i wręczył mu polubowne rozwiązanie umowy o pracę oraz czek z trzymiesięczną wypłatą. W okolicznościach, jakie nastąpiły, musiał uznać, że obeszli się z nim przyzwoicie. Do widzenia. Wszystkiego najlepszego. Świętoszkowate skurwysyny!

Ale na tym sankcje się nie skończyły. Rodzice dziewczyny nie chcieli przyznać, że normalny zdrowy mężczyzna miał prawo zareagować na sygnały, jakie wysyłała ich napalona córka. To jeszcze dziecko, twierdzili. Ładne mi dziecko, pomyślał. Sama się prosiła. Było jasne, że aż się pali, żeby jej wsadził rękę pod spódnicę.

W sądzie potraktowali go jak kryminalistę, a ten dupek, adwokat, namówił go, żeby przeprosił publicznie tę małą, aktorsko uzdolnioną kurewkę. Przyznał się do winy w zamian za „lekki” wyrok, skazujący go na leczenie specjalistyczne i opiekę kuratora. Sędzina przynajmniej nie znęcała się nad nim tak jak Toni, jednakże ostrzegła, żeby to był ostatni raz. Żeby się tylko na tym skończyło. Ale nie. Żona uparła się, aby zadreńczyć go swymi oskarżeniami o „uzależnienie” na śmierć.

- Nie zamierzam drugi raz przechodzić przez podobny proces - ostrzegła, a potem godzinami dyskutowała z nim o „destrukcyjnych wzorcach zachowań”.

Zgoda, zdarzały się podobne historie jak w klinice, gdzie zaczynał swoją praktykę. Pokazał pielęgniarce dla żartu kilka zdjęć. Co tam się działo! Skąd mógł wiedzieć, że jest zaprzysięgłą dewotką, która myśli, że dzieci znajduje się w kapuście. Rozpuszczała o nim tak ohydne plotki, że wyniósł się stamtąd na własną prośbę. Ale Toni uważała, że to była jego wina.

- Niech to będzie całkiem jasne, Brad - zakończyła swój umoralniający wykład. - Ani myślę przechodzić przez podobne piekło. Nie dopuszczę też, by dzieci miały z tym cokolwiek wspólnego. Kocham cię i nie chcę rozwodu. Nie chcę, żeby nasza rodzina się rozpadła. Jeśli jednak nie przyznasz, że jesteś uzależniony od seksu, i nie będziesz się leczył, porzucę cię i zabiorę dzieci.

Uzależnienie, uzależnienie. Czy to, że odczuwa silny popęd, to już uzależnienie? W jej ustach brzmiało to, jakby go oskarżała, że jest zbrodnicem. A przecież nie był idiotą. Wiedział, że musi się dostosować do społecznych norm. Nawet tych najbardziej purytańskich. Ścieżka, wytyczona z jednej strony przez Kościół, a z drugiej przez państwo, była prosta i wąska. Jeden krok w bok od krępujących więzów ich tak zwanej przyzwoitości, a zostawało się albo grzesznikiem, albo przestępcą.

Nawet najniewinniejszy flirt z pacjentką mógł go kosztować załamanie kariery zawodowej. Minęło osiem miesięcy, zanim znalazł posadę w Austin. Trzymiesięczna odprawa dawno się wyczerpała, a oszczędności przejedli. Nowa klinika nie była tak dobrym, prestiżowym miejscem jak poprzednia. Nowi partnerzy nie mieli zbyt wysokiej pozycji zawodowej. Ale przynajmniej pensja wystarczała na spłatę hipoteki, a jego rodzinie spodobało się w Austin, gdzie nikt nie wiedział o kompromitujących kłopotach tatusia.

Przez wiele tygodni po koszmarnym procesie Toni reagowała wzdrygnięciem, gdy tylko próbował jej dotknąć. Sypiała z nim wprawdzie w jednym łóżku, ale była to, jak sądził, inscenizacja na użytek dzieci. Z biegiem czasu pozwoliła się obejmować i całować, a po terapii grupowej, kiedy Brad dostał złotą gwiazdkę za postępy w procesie leczenia, znów zaczęli uprawiać seks. Wydawała się dość zadowolona z życia, aż do teraz... kiedy to kilka dni temu był na tyle nieostrożny, by spędzić noc poza domem.

Wymyślił wiarygodną historyjkę, w którą prawie by uwierzyła, gdyby nie wczorajsza wpadka. Bajeczka o kursach podatkowych nie wypaliła. Poszedł tam nawet i podpisał się na liście obecności, żeby mieć alibi, ale nie zamierza! siedzieć i wysłuchiwać takiego nudziarstwa, więc urwał się po godzinie. Rano urządziła mu istne piekło. Wyprosiła dzieci z kuchni i napadła na niego:

- Gdzie byłeś wczoraj w nocy, Brad?
- Przecież wiesz, gdzie byłem - zaczął się bronić, oburzony nagłym atakiem.
- Nie spałam do drugiej nad ranem, a ciebie jeszcze nie było. Nie ma kursów, które trwają tak długo.

- Kursy skończyły się koło jedenastej. Poznałem tam paru gości. Wypuściliśmy się razem na piwo. Zrobiliśmy się głodni, więc zamówiliśmy kolację.

- Co to za ludzie?
- Nie wiem. Nowi znajomi. Nikt się nie przedstawiał nazwiskiem. Był taki Joe z Motoroli. I Grant czy Greg, właściciel sklepów z farbami i kosmetykami. A trzeci...

- Kłamiesz.
- Dziękuję za tolerancję i domniemanie niewinności.
- Nie zasługujesz na kredyt zaufania, Brad. Próbowałam wejść wczoraj do twojego gabinetu. Drzwi były zamknięte.

Poderwał się, przewracając w złości krzesło. Upadło na podłogę z głośnym trzaskiem.
- Wielkie halo! Zamknięte drzwi. Ja ich nie zamykałem. To pewno któreś z dzieci. A w ogóle, to po co tam chodziłaś? Żeby mnie szpiegować? Zbierać dowody? Nakryć?

- Tak.
- Przynajmniej umiesz się do tego przyznać. - Głośno wypuścił powietrze, grając na czas. - Toni, co się z tobą dzieje? Za każdym razem, gdy się na trochę urwę z domu, ciosasz mi kołki na głowie.

- Bo to są nieobecności nieusprawiedliwione.
- A dlaczego miałbym się usprawiedliwiać? Przecież jestem dorosły. Mam prawo robić to, na co mam ochotę. Czy ja cię rozliczam ze spotkań z przyjaciółkami? Już nie mogę się wysikać bez twojego pozwolenia?

- Chrzanisz, Brad - powiedziała spokojnie. - Nie odwracaj kota ogonem. A teraz idź lepiej do pracy, bo się spóźnisz. - Odwróciła się i wyszła, sztywna jak kołek.

Brad nie zatrzymywał żony. Za dobrze ją znał. Skoro raz coś jej strzeliło do łba, trudno ją było przekonać, że nie ma racji. Zapowiadały się ciche dni. Trzeba odczekać... Do cholery! To jej wina,

że nie wrócił na noc. Komu by wystarczała ta drobnomieszcząńska przytulność? Nareszcie trochę swobody. Seks? No to co? Skoro tylko to go interesowało. Teraz miał wolne pole. Uśmiechnął się. I bardzo dobrze.

Miał na sobie fartuch; zaczął się onanizować. Lubił ten stan, lubił być zawsze gotowy. Lubił też popatrzeć na pornograficzne zdjęcia, które trzymał w zamkniętej szufladzie. Albo połączyć się z tą fajną stroną internetową. Jedni lubią kawę, inni seks. Jego kawa nie podniecała. Znał lepsze sposoby. Toni dała mu spokój. Oby jak najszybciej nadszedł wieczór.

Rozdział 9

Kiedy Paris weszła do pokoju, Dean i dwóch pozostałych mężczyzn poderwali się z miejsca. Był to pokój przesłuchań w Centralnym Biurze Śledczym, odizolowany i wygodny. Curtis podsunął krzesło. Kiwnęła głową i usiadła. Jej twarz, jak zawsze, zasłaniały ciemne okulary. Dean z trudem się domyślał, na co patrzy. Nawet nie chciał dociekać, czemu je stale nosi.

- Mam nadzieję, że przyjazd tu, do komendy, nie był dla pani zbyt kłopotliwy - powitał ją Curtis.

- Przyjechałam natychmiast po pana telefonie.

Wszyscy spojrzeli na ścienny zegar. Było tuż po drugiej. Upłynęło dwanaście godzin od ultimatum Valentina. Detektyw wskazał Paris trzeciego, nieznanego jej mężczyznę.

- John Rondeau, Paris Gibson. Poznajcie się. Paris podała mu rękę przez stół.

- Miło mi, panie Rondeau.

- Mnie także - uśmiechnął się. - Jestem pani wiernym słuchaczem.

- Doprawdy?

- Słucham pani codziennie. Bardzo się cieszę, że mam okazję rozmawiać z panią osobiście.

Dean przyglądał się młodemu oficerowi, którego poznał tuż przed przybyciem Paris. Był przystojny i doskonale ubrany, a także wysportowany, sądząc po bicepsach. Patrzył na Paris z niekłamanym zachwytem. Podobnie jak przedtem Griggs, od razu dostał na jej punkcie małego rozumu. Dean przypuszczał, że Curtis też nie pozostaje wobec niej obojętny.

Zjedli razem lunch w Stubbie, knajpie znanej ze świetnego grilla, piwa i muzyki na żywo. Mieściła się o parę przecznic od komendy. W czasie obiadu nie występował żaden zespół, ale dziedziniec okolony dębami zajmowało liczne grono głodomorów, zajadających się pieczonym mięsiwem z ostrymi sosami.

Deanowi i Curtisowi nie chciało się czekać na wolny stolik; zamówili po kanapce z wołowiną i przysiedli w cieniu, na drewnianej werandzie. Dean się spodziewał, że Curtis zagadnie go o Paris, ale sądził, iż sierżant zabierze się do tego ogródkami. Tymczasem ledwo Curtis wbił zęby w kanapkę, rzucił obcesowo:

- O co chodzi z tobą i z Paris? Stara miłość?

Deana zaskoczyła ta technika; może to dzięki niej Curtis miał takie sukcesy w pracy. Poczł się niczym przyłapany na gorącym uczynku. Udał, że nic go to nie wzrusza, i zajął się kanapką. Wreszcie odburknął:

- Dużo wody upłynęło od tamtej pory.

- Nie chcesz o tym mówić?

- Nie chcę. - Dean wytarł usta serwetką. Curtis kiwnął głową ze zrozumieniem.

- Jesteś żonaty?

- Nie. A ty?

- Rozwiedziony, od czterech lat.

- Masz dzieci?

- Dwoje. Mieszkają z matką.
- Twoja żona wyszła drugi raz za mąż?
- Nie chcę o tym mówić. - Curtis łyknął mrożonej herbaty.

Zostawili ten temat i wrócili do sprawy, a raczej do tego, co ku ich obawie właśnie zaczynało być sprawą. Dean był jednak zadowolony, że dowiedział się czegoś o Curtisie. Detektyw żył samotnie, co tłumaczyło poniekąd jego rycerskie odruchy wobec Paris.

Mężczyźni zawsze tak na nią reagowali, choć niczym ich nie prowokowała. Nie była typem kokietki. Znał ją długo, ale nigdy nie widział, by celowo próbowała zwrócić na siebie uwagę. Nie musiała niczego udawać. Była po prostu sobą.

Wystarczył jeden rzut oka, a chciałoby się przebywać z nią jak najdłużej. Paris nie miała kobiecej, zaokrąglonej figury Liz. Przeciwnie, jej budowa była raczej chłopięca, a wzrost powyżej średniej. Włosy, jasnobrązowe ze złotymi pasemkami, zawsze wyglądały na trochę potargane, co było bardzo seksowne, przynajmniej w opinii Deana. Ale tego wszystkiego było mało, by budzić w mężczyznach aż takie zainteresowanie. Może to jej usta? Kobiety wydają majątek na powiększanie ust kolagenem, by uzyskać taki efekt, jakim Paris obdarzyła natura. A może oczy? Miała śliczne oczy, co wiedział, błękitne i głębokie jak jeziora, aż chciałoby się w nich zanurzyć. Tylko że teraz zawsze skrywała je pod ciemnymi okularami. Jednak młodemu Johnowi Rondeau najwyraźniej to nie przeszkadzało. Był oczarowany.

- Czy od rana coś się wydarzyło? - spytała.

- Chyba tak, ale wagę tego na razie trudno nam ocenić - odpowiedział Dean, choć pytanie zostało skierowane do Curtisa. Chciał, żeby Paris na niego spojrzała, bo specjalnie odwracała głowę, odkąd weszła do tego pomieszczenia. - Właśnie w tej sprawie się tu zebraliśmy.

- Rondeau pracuje w dziale przestępstw komputerowych - dorzucił Curtis.

- Nie rozumiem. Jaki związek mają przestępstwa komputerowe z tą sprawą?

- Dojdziemy do tego. Być może okaże się, że to wszystko się ze sobą łączy.

- Właśnie próbujemy ulepić z różnych informacji jedną całość - powiedział Dean. - Przyniosłaś kasety? - Wskazał na dużą płócienną torbę, którą przyniosła.

- Tak. Vox Pro rejestruje tysiąc minut materiału.

- Więc nagrywa automatycznie wszystkie rozmowy? - zapytał Curtis. - A pani je cenzuruje, żeby ktoś nie wygadywał świństw na antenie?

- Niektórzy próbują. - Paris się uśmiechnęła. - Dlatego najpierw nagrywam rozmowy. A potem albo je puszczam, albo kasuję.

- A jak się przenosi te nagrania na kasety? - spytał Dean.

To dość skomplikowane. Jeden z naszych inżynierów dźwięku zrobił mi tę grzeczność. Właściwie stale, co jakiś czas, przenosi dla mnie rozmowy z Vox Pro na kasety. Sprząta śmieci, jak to ujął.

A po co?

Sama nie wiem. - Wzruszyła ramionami. - Żal mi czasem tych rozmów.

Gdyby mi się kiedyś chciało, mogłabym nagrać z nich kasetę szkoleniową.

Tak czy owak, cieszę się, że je pani przechowała - rzekł Curtis.

Proszę tylko wybaczyć niską jakość dźwięku. Każde kolejne przegrywanie to skaza na jakości.

Nic nie szkodzi - powiedział Dean. - Jakością będziemy się martwić na dalszym etapie, jeśli trzeba będzie przeprowadzić identyfikację głosu. Na razie chcemy sprawdzić, czy Valentino odnosił

się do jakiejś konkretnej rozmowy, czy blefował.

Dlatego prosiliśmy o nagrania z całego ubiegłego tygodnia. Jeśli faktycznie był taki telefon i wyprowadził Valentina z równowagi, spróbujemy dotrzeć do kobiety, która dzwoniła.

Jeśli nie jest za późno - mruknęła Paris. Sądząc po twarzach zebranych, wszyscy dzielili jej obawy.

Czy przypomniała sobie pani coś, co pasuje do tego, o czym mówił Valentino? - spytał Curtis.

Chyba tak. Od rana myślałam tylko o tym. Trzy dni temu była taka rozmowa.

Jadąc tu, przesłuchałam ją w samochodzie. Zaznaczyłam, która to i gdzie jest nagranie. Dean wyciągnął kasetę z torby, włożył do odtwarzacza i nacisnął PLAY.

Mówi Paris.

Cześć, Paris.

Co nam chcesz powiedzieć?

Wiesz, parę tygodni temu poznałam faceta. Zaiskrzyło od pierwszego wejrzenia. Dalej mnie to podnieca, jeszcze jak (chichot). To jest niezwykle.

- Byłoby co pokazywać w telewizyjnym show.

- (Znow dziewczęcy chichot). Ale rozumiesz, chciałabym też spróbować z innymi. A on jest strasznie zazdrosny. Taki zaborczy, rozumiesz?

- Chciałabyś zmienić charakter waszego związku?

- Chodzi ci o to, czy go kocham? No coś ty. Robiłam to z nim dla zabawy, i tyle.

- Mozę dla niego to coś więcej?

- No to ma facet problem. A ja bym chciała się go pozbyć.

- Jeśli ten związek cię ogranicza i uważasz, że nie jest dla ciebie dobry, to mogę ci dać taką radę: zerwij jak najszybciej i najmniej boleśnie. Byłoby paskudnie się z nim drażnić, jeśli czujesz, że straciłaś do niego serce.

- Fajnie, dzięki.

- To tyle - powiedziała Paris. - Potem się rozłączyła.

Dean wyłączył kasetę. W pokoju zawisła ciężka, niemiła cisza, a potem wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Curtis gestem oddał głos Paris.

- Chciałam powiedzieć, że ta rozmowa może, ale absolutnie nie musi mieć związek z Valentinem. Jest dość głupawa. Puściłam ją, bo dziewczyna była tym naprawdę przejęta. Z głosu można poznać, że jest bardzo młoda. Słuchacze nocnych audycji to na ogół trzydziestolatko wie, a ja chciałabym odmłodzić trochę moich odbiorców. Kiedy dzwoni ktoś w wieku szkolnym, zwykle staram się nadawać te rozmowy.

- Znasz numer?

- Sprawdzalam przez Vox Pro. Okazało się, że to numer zastrzeżony.

- Czy ktoś zareagował na tę rozmowę?

- Było kilka komentarzy, mam je tu na kasecie. Kilka interesujących porad w sprawie zerwania. Nie wszystkie dałam na antenę. Tym, których nie dałam, podziękowałam za telefon, a rozmowy wykasowałam. Zdaje mi się, że temat zrywania pojawił się tylko ten jeden raz, ale odbywam co noc tyle rozmów, że nie mogę w stu procentach ręczyć za swoją pamięć.

- Możemy zatrzymać na razie te kasety? - zapytał Curtis.

- Bardzo proszę. To przecież kopie.

- Ktoś będzie musiał przesłuchać ten materiał. Ile to godzin?

- Kilka, tu są nagrania z piętnastu audycji. Oczywiście, większość od razu wykasowałam.

- Przesłuchamy to dla porządku.

- Czy Valentino się wtedy odezwał? - zapytał Dean.

- Tamtej nocy nie. Zawsze się przedstawia. Wczoraj zadzwonił po raz pierwszy od dłuższego czasu, co do tego mam sto procent pewności.

- Dzięki, Paris - powiedział serdecznie Curtis. - Doceniamy pani pomoc. Mam nadzieję, że jakoś zniosła pani nasze powtórne spotkanie.

- Przejmuję się tym wszystkim tak samo jak wy - odrzekła, ani myśląc wstawać z krzesła, chociaż Curtis już otwierał drzwi.

- Masz coś jeszcze? - zdziwił się.

Dean natychmiast zrozumiał, dlaczego Paris nie chce wyjść. Była rasowym dziennikarzem i teraz krew w niej zagrała. Chciała dowiedzieć się tak dużo, jak się da, najlepiej wszystko. Nie zamierzała poprzestać na małym.

- Ona chce, żebyśmy się zrewanżowali informacjami - powiedział do Curtisa.

- Zgadza się. - Paris kiwnęła głową.

- Przecież to tajemnica śledztwa - obruszył się Curtis.

- Może dla was. Ale dla mnie, sierżancie, to sprawa osobista. Valentino to ktoś, kogo znam. Czuję się odpowiedzialna.

- To bez sensu - zareagował gwałtownie Dean. Wszyscy popatrzyli na niego. - Jeśli mówił serio, to znaczy, że jest psycholem. Zrobiłby to, co chciał zrobić, niezależnie od rozmów z tobą w radiu.

- Dean ma rację, Paris - poparł go Curtis. - Ten gość jest zdeterminowany, sądząc po tonie jego głosu, myślę więc, że zrobiłby swoje prędzej czy później.

- Pani mu tylko zapewnia publiczność, pani Gibson - dodał Rondeau.

- Racja. Jesteś naszym jedynym łącznikiem. - Dean stanął za jej krzesłem i posłał Curtisowi znaczące spojrzenie. - Ona ma prawo wiedzieć, w jaką stronę rozwija się śledztwo.

Curtis wzruszył ramionami, ale wrócił na swoje miejsce. A potem spojrzał Paris prosto w oczy i wyrzucił z całą właściwą sobie gwałtowną otwartością:

- Możliwe, że namierzyliśmy zaginioną dziewczynę.

- Możliwe?

Dean obserwował, jak Paris słucha streszczenia informacji o córce sędziego Kempa. Sam już to znał, więc całą uwagę skoncentrował na niej. Chłonęła słowa Curtisa całą sobą. Zastanawiał się, czy mimo popularności nocnych audycji radiowych nie brakuje jej pracy w telewizji. Od tego trudno było uciec, podobnie jak aktorowi od tęsknoty za sceną.

Paris miała dziennikarski talent. Ludzie wierzyli jej natychmiast, gdy bezstronnie, rzetelnie relacjonowała wydarzenia. Była na tyle mądra, by nie mizdrzyć się do kamery, bo wiedziała, że za coś takiego przyłgnie do niej opinia, iż załatwiła sobie robotę przez łóżko. A z drugiej strony nie była tak beczelna i brutalna jak niektóre uprawiające ten zawód kurwy-żylety, napędzane zawiścią o sukcesy mężczyzn. Paris umiała zachować idealną równowagę. Była równie dociekliwa jak jej koledzy mężczyźni, ale nic przy tym nie traciła ze swej kobiecości. Gdyby chciała, zrobiłaby błyskawiczną karierę. Gdyby tylko chciała.

- Więc nikt jej nie widział ani nikt nie rozmawiał z tą dziewczyną przez dwadzieścia cztery godziny, a rodzice dopiero teraz się tym zainteresowali? - wyrwał Deana z rozmyślań jej miękki głos.

- Trudno uwierzyć, co? - odparł. - W dodatku nie zgłosili oficjalnie zniknięcia, toteż jej nazwiska

nie ma w raportach osób zaginionych. To tylko nasz domysł, ale obaj z Curtisem uważamy, że należy zbadać ten trop.

- A jeśli okaże się, że to ona do mnie dzwoniła?

- Po to nam były twoje kasety. Nie przedstawiła się?

- Niestety, nie. Sami słyszeliście. Imię ma zresztą dość pospolite. Gdybym teraz usłyszała nazwisko Kemp, które jest rzadsze, na pewno bym zapamiętała. Poza tym, to tylko domysł. Słabe poszlaki.

- Niby tak, ale potem dowiedzieliśmy się o Sex Clubie, który działa w Internecie.

- Co?

- To moja działka - wtrącił się Rondeau, patrząc na Curtisa z niemym pytaniem, czy może mówić dalej.

- Dawaj, dawaj. Wolę, żeby się dowiedziała od ciebie. - Detektyw wzruszył ramionami.

- Ta strona internetowa działa od paru lat - zaczął swą opowieść Rondeau. - Janey Kemp była jedną z założycielek, jeśli tak to można określić. Zaczęło się od formy lokalnej komunikacji między nastolatkami, czasem występującymi anonimowo, czasem nie. Na ogół używali pseudonimów, ale były adresy e-mailowe. Z czasem wymiana zdań zaczęła się konkretyzować wokół jednego tematu, aż stała się tym, czym jest dzisiaj - kolumną ogłoszeń o charakterze erotycznym. Taki cyberflirt.

- Flirt? - odezwał się Dean. - To mi przypomina raczej grę wstępną.

- Nie chciałem urazić pani Gibson - wyjaśnił młody policjant.

- To dorosła osoba i nie rozmawiamy o szkółce niedzielnej. - Dean zwrócił się bezpośrednio do Paris. - Jedynym celem udziału w Sex Clubie jest uprawianie seksu. Dzieciaki piszą, co już robiły, co miałyby ochotę zrobić i z jakim partnerem. Jeśli korespondencja się rozwija, mogą wejść na chat i kontaktować się bezpośrednio, podniecając się za pomocą świńskich maili. Proszę, to jest przykład. - Podał jej wydruk. Paris rzuciła tylko okiem i skrzywiła się.

- Przecież to jeszcze dzieci. - Spojrzała na niego.

- Głównie licealiści - wyjaśnił Rondeau. - Spotykają się co wieczór w wyznaczonych miejscach, a potem jest wielkie bara-bara.

Zdaje się, że zasada zabawy polega na tym, by na czuja dopasować internetową ksywkę do osoby - powiedział Curtis.

A gdy ci, co do siebie pisali, się znajdują, to idą w krzaki - dodał Dean.

Nie zawsze - zaproponował Rondeau. - Czasem rzeczywistość ich rozczarowuje, partner z Internetu po prostu się nie podoba. Albo po drodze upolują coś lepszego. Nie ma przymusu.

Nasi ludzie z wydziału komputerowego odkryli tę stronę, a kiedy się zorientowali, że użytkownikami są głównie nieletni, zgłosili to do obyczajówki. Tam prowadzą sprawy dziecięcej pornografii i wykorzystywania seksualnego. Wydział podpada pod Centralne Biuro Śledcze. - Curtis złożył swe krótkie ramiona na pękatym torsie. - Krew się poleje, bo mnóstwo ludzi ma takie grzeszki na sumieniu.

To dobra wiadomość - zauważył Rondeau. - A zła jest taka, że praktycznie nie możemy tego ukrócić.

Nie rozumiem. - Paris z niedowierzaniem pokręciła głową. - Chcecie powiedzieć, że dziewczęta takie jak Janey Kemp jeżdżą co wieczór w miejsca spotkań, gdzie zwabiają przez Internet facetów, z którymi chcą się puszczać?

Właśnie - potwierdził Rondeau.

Czy one są nienormalne? Nie rozumieją, co ryzykują? A jeżeli na chacie internetowym poznają gościa, który nie trzyma standardów Brada Pitta, i spotykając go „w realu”, mówią: „Nie, dziękuję”, to pozostają na łasce i niełasce tego napalonego faceta, który po takiej odmowie jest, delikatnie mówiąc, niezadowolony.

To nie tak, pani Gibson - skorygował ją uprzejmie policjant. - Nie są na niczyjej łasce. To nie zakonnice, tylko doświadczone, zabawowe panienki.

Poza tym często żądają wynagrodzenia za swoje usługi.

Pieniądzy? Proszą o pieniądze?

- Nie proszą, tylko żądają. I dostają. Kupę pieniędzy. Po tej informacji zapadła cisza, którą przerwał Curtis:

- Niepokoi nas, Paris, że do klubu może wstąpić każdy, kto się tylko zgłosi. Wystarczy parę kliknięć myszą i już masz, co chcesz, czyli hasło i dostęp do strony. Istny raj dla zboczeńców, a może i morderców polujących na kolejną ofiarę.

- Co więcej - dodał Dean - te „ofiary” idą z nimi dobrowolnie. Naprawdę nie trzeba się w ogóle wysilać.

- Sprawa jest okropna, nawet jeśli nie ma związku z Valentinem - powiedziała Paris.

- W dodatku to walka z wiatrakami - rzekł Rondeau. - Gdy likwidujemy jedną siatkę, jak grzyby po deszczu powstają następne. Współpracujemy z biurem federalnym przy operacji Błękitny Grom. Polega to na zbieraniu ogólnokrajowej informacji na temat przestępstw internetowych związanych z dziecięcą pornografią. Głównie to zabiera nam czas, bo takie rzeczy jak wulgarna wymiana korespondencji przez nastolatki uważane są za czyny o małej szkodliwości społecznej.

- A rodzice Janey? - spytała Paris. - Czy mieli świadomość, w czym ona bierze udział?

- Zawsze mieli z nią problemy - powiedział Curtis. - Wiele razy miała zatargi z prawem, zatuszowane, ale nawet oni zapewne nie mają pojęcia, na jaką to było skalę. Nie chcieliśmy ich niepotrzebnie alarmować, mając tak mało danych łączących jej osobę z telefonem Valentina. Twoja kaseta powinna rzucić na to więcej światła.

- Nie wiem - powiedziała powątpiewającym tonem. - Obawiam się, że to naprawdę niewiele da, przykro mi.

Rozległo się stukanie do drzwi, które lekko się uchylily, i jakiś głos powiedział:

- Przepraszam za najście, sierżancie Curtis. Jest dla pana wiadomość.

Curtis przeprosił i wyszedł z pokoju. Paris spojrzała na zegarek.

Jeśli nie jestem panom potrzebna, to chciałabym się już pożegnać. Rondeau podskoczył jak oparzony, żeby jej pomóc wstać.

O której musi pani być w radiu, pani Gibson?

O siódmej trzydzieści. I proszę mi mówić po imieniu.

Wygląda na to, że musisz się długo przygotowywać do audycji.

Sama wybieram muzykę i robię grafik, w jakiej kolejności mają się pojawiać piosenki. Dział reklamy równolegle przygotowuje swoje materiały. Muszę się jednak liczyć z elementem improwizacji, bo nigdy nie wiem, czy ktoś ze słuchaczy nie zamówi piosenki, której nie przygotowałam. Mam dostęp do archiwum, więc mogę to realizować natychmiast. Nasza taśmoteka jest skomputeryzowana.

To musi być nerwowa praca.

Za długo to robię, żeby mdleć z tremy. - Paris się zaśmiała, potrząsając rozwichrzoną fryzurą,

przez co wyglądała jeszcze bardziej atrakcyjnie.

Naprawdę wszystko robisz sama?

Jeśli chodzi o pracę przy konsolce, to tak. Obsługuję też linie telefoniczne.

Nie chciałam, żeby mi przydzielili zewnętrznego producenta. Mam charakter Zosi samosi.

Na początku pewnie było trudno nauczyć się obsługiwać te wszystkie skomplikowane maszyny?

Trochę trudno, ale ty na pewno wiesz sto razy więcej o komputerach niż ja o działaniu fal radiowych - skomplementowała Rondeau, który nie mógł opanować głupkowatego, rozanielonego uśmiechu.

A nie nudno ci tak samej w studiu?

Nie. Lubię muzykę, a rozmowy ze słuchaczami dostarczają mi adrenaliny.

Poza tym, każda audycja jest inna.

Naprawdę lubisz całe noce pracować sama?

To mój wybór.

Zanim Rondeau zdążył zaproponować Paris, by została matką jego dzieci, wtrącił się Dean:

- Odprowadzę cię, Paris. Przy drzwiach poprosiła:

- Chciałabym wiedzieć, co się dzieje. Czy możesz przekazać sierżantowi Curtisowi, żeby do mnie zadzwonił, jeśli dowie się czegoś nowego?

Dotknęła go do żywego. Sierżant Curtis. Nie on. Wściekł się. Po pierwsze, był policjantem, podobnie jak Curtis. Po drugie, przewyższał go rangą. Już sięgał po klamkę, gdy drzwi same się otworzyły. Jakby wyczuwając, że o wilku mowa, stanął w nich Curtis. Był czerwony na twarzy, a resztki włosów sterczały mu na głowie jak piórka.

- No, to się zrobiła rozróżba - oświadczył. - Jakimś cudem reporter sądowy wywęszył, że gliny po cichu szukają Janey Kemp. No i poleciał na konfrontację do sędziego, akurat po przerwie obiadowej. Wysoki Sąd nie był z tego powodu uszczęśliwiony.

- Życie jego córki może być zagrożone, a on się przejmuje, że wiadomość przecieknie do prasy?! - krzyknęła Paris.

- Też mam go w dupie, i jego dobre samopoczucie - dodał Dean.

- No to fajnie, będziesz miał okazję powiedzieć mu to osobiście. Dostałem rozkaz od szefa, że mamy jechać do Kempa i spróbować go jakoś ułagodzić. W trybie natychmiastowym.

Rozdział 10

Wóz Paris wtoczył się na podjazd Kempów tuż za nieoznakowanym fordem Curtisa. Wysiedli z samochodów jednocześnie. Paris nie dała sierżantowi szansy się odezwać.

- Idę z wami.

- To sprawa dla policji, pani Gibson - powiedział wściekły, celowo zwracając się do niej po nazwisku. Ale miała to w nosie.

- To ode mnie zaczęła się cała ta sprawa, kiedy nad ranem złożyłam doniesienie. Jeśli Valentino nie odezwie się więcej, a tamten telefon okaże się podpuchą, wówczas przekażę moje najgłębsze przeprosiny tobie osobiście i departamentowi policji w Austin w ogólności. Ale jeśli to nie był bluff, wówczas jestem w to zaangażowana na równi z państwem Kemp, co upoważnia mnie do rozmowy z nimi.

Detektyw bezradnie spojrział na Deana, szukając u niego pomocy w walce z tą upartą jak osioł kobietą. Dean potrząsnął głową.

- To twoja decyzja, Curtis. Zwracam ci tylko uwagę, że ona jest niezła w kontaktach z ludźmi. Żyje z tego, że z nimi gada.

Taki komplement od psychologa specjalizującego się w negocjacjach był nie lada pochwałą. Curtis zastanawiał się tylko przez ułamek sekundy, po czym rzekł zrzędlawie:

- No, dobra, ale nie wiem, po co się jeszcze głębiej pakujesz w to bagno.

- Nie z własnej woli. To Valentino mnie wciągnął - powiedziała, po czym podążyli za sierżantem. - Dzięki za wsparcie - szepnęła Paris do ucha Deana.

- Nie masz za co dziękować. - Kiwnął głową na otwarte szeroko drzwi frontowej werandy. - Lew już pręży się do skoku.

Sędzia Baird Kemp był wysoki i przystojny; swe groźne spojrzenie skierował na Curtisa, którego najwidoczniej znał.

- Co się dzieje, Curtis? Próbuję wyciszyć sprawę, a tu połowa patroli z Austin szwenda mi się koło domu. Powariowaliście, ludzie? A ci to kto?

Curtisowi udało się zachować zimną krew, choć jego twarz i kark niebezpiecznie poczerwieniały.

- Panie sędzio, to doktor Dean Malloy. Jest psychologiem policyjnym.

- Psychologiem? - powtórzył lekceważąco sędzia.

Dean nawet nie wyciągnął do niego ręki, wiedząc, że zostanie zignorowany.

- A to Paris Gibson.

Jeśli nawet to nazwisko coś mówiło sędziemu, nie pokazał tego po sobie. Spojrział pobieżnie na Paris, po czym znów zwrócił się do Curtisa:

- Czy to pan zaczął tę aferę z rzekomym zaginięciem mojej córki?

- Nie, to pan, panie sędzio. To pan zadzwonił do swojego znajomego z policji i kazał mu szukać swojej córki.

Na czole Kempa nabrzmiała żyła.

- Mówiłem szefowi policji, że chcę wiedzieć, kto jest winien przecieku do prasy i rozdmuchania całej tej historii. A on mi przysłał pana, faceta od czubków i tę... Wszystko jedno. Co, u diabła, tutaj robicie?

- Baird, na miłość boską. - Na progu zjawiała się kobieta i zmierzyła go karcącym spojrzeniem. - Czy możemy porozmawiać w domu, gdzie sąsiedzi nie będą mieli okazji do podsłuchiwania? - Pokrywając wrogość uprzejmością, wskazała przybyłym drogę. - Zapraszam do środka.

I znów Curtis poszedł przodem, a Dean z Paris za nim. Zaproszeni zostali do wymuskanego do niemożliwości wnętrza, przypominającego salony w Wersalu. Dekoratorka nabiła sobie kabzę, zamawiając w dużej ilości brokatowe tkaniny i złocenia, paciorki i chwosty u firan.

Sędzia podszedł do barku, nalał sobie drinka z kryształowej karafki i pochłonął go jednym haustem. Pani Kemp przykucnęła boczkciem na delikatnej sofie, jakby dając do zrozumienia, że jest tu tylko na chwilę. Curtis stał na baczność; wyglądał w tym pełnym cacek lokalu jak słoń w składzie porcelany.

- Pani Kemp, czy Janey odezwała się do pani?

Kobieta zawahała się i nim odpowiedziała, popatrzyła na męża.

- Nie. Ale niech się tylko pojawi w domu, to będzie miała ciężką przeprawę. Paris pomyślała, że dziewczyna może być teraz w znacznie gorszych opałach.

- To przecież jeszcze smarkula, na Boga. - Sędzia patrzył na nich z góry takim wzrokiem, jakby wszystkich miał zamiar skazać na dwadzieścia lat ciężkich robót. - Dzieciaki w tym wieku stale wykręcają podobne numery. Ale kiedy chodzi o moją córkę, to robi się zaraz sensację na pierwszej stronie.

- Nie rozumiecie państwo, że oszczercze artykuły tylko pogorszą sytuację? - dodała jego żona.

Czyją sytuację? - pomyślała Paris z niesmakiem, że troską matki nie jest córka, ale ewentualna negatywna opinia publiczna. Czy nie powinno być odwrotnie? Tymczasem Curtis postanowił załagodzić sprawę.

- Panie sędzio, nie wiem, który z naszych oficerów rozmawia! z tym dziennikarzem. I może nigdy się tego nie dowiemy. Winny się nie przyzna, a reporter będzie się zasłania! tajemnicą zawodową i nie ujawni źródła. Proponuję przejść do dalszego etapu...

- Łatwo panu mówić!

- Niełatwo. - Dean odezwał się po raz pierwszy, tak autorytatywnym tonem, że wszystkie oczy zwróciły się na niego. - Życzyłbym sobie z całego serca, żebyśmy, jak tu we trójkę stoimy, przyszli do pana skruszeni, błagając o przebaczenie za pomyłkę, błąd w sztuce, przeciek do prasy, słowem - fałszywy alarm. Niestety, przyszliśmy, bo życie pana córki może być zagrożone.

Pani Kemp opadła głębiej na poduszki, a sędzia odwrócił się napięcie.

- Co to ma znaczyć? Skąd pan wie?

- Może ja odpowiem na to pytanie - odezwała się łagodnym głosem Paris.

- A kim pani jest? - Sędzia świdrował ją zwięzonymi w szparki oczami. - Czy to pani była tą kuratorką, która nękała nas tu przez ostatni rok?

- Nie. - Paris powtórzyła swoje nazwisko. - Prowadzę audycję radiową od poniedziałku do piątku między dziesiątą wieczorem a drugą nad ranem.

- Pani jest z radia?

- Oczywiście! - wykrzyknęła pani Kemp. - To Paris Gibson. Janey słucha tej audycji.

Zanim Paris znów zwróciła się do sędziego, który najwyraźniej nigdy przedtem nie słyszał o niej ani jej programie, wymieniła szybkie spojrzenia z Curtisem i Deanem.

- Słuchacze dzwonią, a ja rozmawiam z nimi na antenie.

- Aha, tak zwane radio-tok? Rozumiem. Banda lewicujących maniaków, którzy mają receptę na każdy temat - powiedział sędzia, którego Paris uznała za najbardziej antypatycznego typu, z jakim miała w życiu do czynienia.

- Nie - wyjaśniła spokojnie. - To nie takie radio.

Nie zdążyła opowiedzieć mu, na czym polega specyfika audycji, kiedy znów jej przerwał:

- Rozumiem. No i co z tego wynika?

- Czasami słuchacze zwracają się do mnie ze swymi osobistymi problemami.

- Do obcej kobiety?

- Oni nie uważają mnie za obcą.

Sędzia uniósł brwi. Nie był przyzwyczajony, by ktoś go poprawiał lub mu się sprzeciwiał. Ale Paris nie zamierzała przejmować się facetem, którego przed chwilą oceniła na pałę. Sędzia, celowo niegrzecznie i demonstracyjnie, odwrócił się od niej do Curtisa.

- Dalej nie rozumiem, co jakaś didżejka z radia ma wspólnego z tą sprawą.

- To panu pomoże zrozumieć. - Curtis położył na stoliku mały magnetofon. - Mogę zacząć?

- Co to jest?!

- Usiądź, Baird - westchnęła jego żona.

Paris widziała w oczach tej kobiety błyski zrozumienia. Wreszcie dotarła do niej powaga sytuacji.

- Co pan tam ma? - spytała Curtisa pani Kemp.

- Chcielibyśmy puścić pewne nagranie. Może rozpoznacie państwo głos córki.

- Dzwoniła do pani? - Sędzia znów spojrzał na Paris. - Po co? Ale Paris, podobnie jak inni, nie zwracała już na niego uwagi. Wiesz, parę tygodni temu poznałam faceta.

Paris zauważyła, że Dean bacznie obserwuje panią Kemp. Zareagowała natychmiast, może na znajomy głos, a może na wymowny opis krótkiego, ale burzliwego romansu. Gdy nagranie się skończyło, Dean spytał:

- Czy to Janey?

- Chyba tak, choć z nami rzadko rozmawia tak podniecona. Trudno powiedzieć.

- Panie sędzio?

- Ja też nie mam całkowitej pewności. Ale co to ma za znaczenie, ona czy nie ona? Wiemy, że się zadawała z chłopakami. Zmieniała ich jak rękawiczki, nie mogliśmy nadażyć. Ma dziewczyna powodzenie, no, ale co z tego?

- Mamy nadzieję, że nie - odparł Curtis. - Ale ten telefon może mieć związek z inną rozmową Paris ze słuchaczem. - Detektyw zmienił taśmę. Zanim ją włączył, zwrócił się do pani Kemp: - Z góry przepraszam za wulgarny język.

Słuchali w ciszy. Nim nagranie się skończyło, sędzia wlepił wzrok w okno. Pani Kemp zatkęła usta pobladałą dłonią. Sędzia z wolna odwrócił się ku Paris.

- Kiedy otrzymała pani ten telefon?

- Po wczorajszej audycji, tuż przed końcem. Natychmiast zadzwoniłam na policję.

- Janey jest jedyną osobą, która ostatnio zaginęła - podjął wątek Curtis. - Jeżeli to ona dzwoniła do Paris w ubiegłym tygodniu, obie rozmowy mogą mieć związek.

- Gdybym w sądzie dostał tak gówniane dowody, nie przyjąłbym ich.

- Może pan nie, ale dla mnie to wystarczy - oświadczył Curtis. - Rozumiem, że zanim zwrócił się do pana ten dziennikarz, pan sam nieoficjalnymi kanałami uruchomił akcję poszukiwania córki. W tej chwili zarówno patrol mundurowy, jak i służby wewnętrzne sprawdzają każdy możliwy trop.

- Na czyj rozkaz? - Zdawało się, że sędzia eksploduje.

- Na mój - powiedział Dean. - Rzuciłem taką sugestią, a sierżant Curtis uruchomił nasze siły.

- Przepraszam... - odezwała się do niego pani Kemp. - Nie byliśmy sobie formalnie przedstawieni, więc nie wiem...

Dean powtórzył, kim jest i jak został włączony do sprawy.

- Możliwe, że wszystko dobrze się skończy, proszę pani, i że to tylko wstrętny żart. Ale póki tego nie wiemy, musimy te groźby traktować serio.

- Może zrobić państwu kawy?

Kobieta poderwała się nagle i nim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, wybiegła z pokoju. Jej mąż mamrotał pod nosem przekleństwa.

- Czy to naprawdę było konieczne? - spytał w końcu Deana.

Dean aż kipiał w środku. Paris dobrze знаła te symptomy: sztywno wyprostowane plecy i zaciśnięte szczęki. Podeszedł do Kempa.

- Oby Bóg pozwolił panu złożyć na mnie formalne doniesienie. Oby Janey wróciła do domu z pieśnią na ustach. Niech ja wyjdę na kompletnego durnia. Wtedy będzie pan miał prawo się nade mną pastwić, a nawet wyrzucić mnie z pracy. Ale na razie oświadczam, że pańskie chamstwo jest niewybaczalne, a upór świadczy tylko o głupocie. Dano nam trzy doby czasu, co daje siedemdziesiąt dwie godziny, z czego dwadzieścia minut już pan zmarnował, zachowując się jak beznadziejny kutas. Proponuję, żebyśmy schowali te pozy i fochy do kieszeni, a skupili się na tym, by wspólnym wysiłkiem odnaleźć pańską córkę.

Mężczyźni stali naprzeciw siebie jak bokserzy na ringu. Żaden nie zamierzał się poddać w tym pojedynku. Curtis odchrząknął.

- Hmm, może nam pan powie, kiedy po raz ostatni widział się pan z Janey, panie sędzio?

Kemp z ulgą oderwał oczy od twarzy Deana.

- Wczoraj - odpowiedział szybko. - Wczoraj po południu. Wróciliśmy z miasta późnym wieczorem. Wydawało nam się, że Janey jest w swoim pokoju. Dopiero dziś rano odkryliśmy, że w ogóle tu nie spała. - Kemp usiadł i wystudiowanym gestem założył nogę na nogę. - Na pewno jest gdzieś u przyjaciół - dodał z fałszywym przekonaniem.

- Mam syna w jej wieku - odezwał się Dean. - Wiem, jaki potrafi być trudny. Czasem mam wrażenie, że łączy nas tylko nienawiść. Zważywszy codzienne lepsze i gorsze momenty, czy mógłby nam pan powiedzieć, że wasze stosunki z Janey są poprawne?

Sędzia miał taki wyraz twarzy, jakby chciał powiedzieć, żeby Dean odpieprzył się od jego prywatnych spraw, ale opanował wzburzenie i rzekł sztywno:

- Bywa trudna.

- Nie słucha państwa? Ucieka, jak ma szlaban? Pije alkohol? Zadaje się z typami spod ciemnej gwiazdy? Pytam, bo z własnego doświadczenia wiem, jak to bywa.

Curtis był zadowolony, że to Dean prowadzi dalej rozmowę. Ustawienie się z sędzią na płaszczyźnie wspólnych doświadczeń niewątpliwie było dobrym posunięciem.

- Wszystko, co pan chce - przyznał sędzia, a potem zwrócił się do Paris. - Sierżant Curtis

wspomniał, że ten degenerat już wcześniej do pani dzwonił.

- Ktoś o tym samym pseudonimie, owszem.

- Co pani o nim wie? - Nic.

- A domyśla się pani, kto to może być?

- Niestety, nie.

- Specjalnie prowokuje pani słuchaczy, żeby wygadywali takie świństwa? Chamstwo tej insynuacji było szokujące. Dean zareagował natychmiast:

- Paris nie odpowiada za to, co ludzie do niej mówią.

- Dziękuję, Dean, sama sobie poradzę. - Paris twardo popatrzyła we wredne, cenzorskie oczy sędziego. - Mam w nosie, co pan myśli o mnie i moim programie, panie Kemp. Niepotrzebna mi pańska aprobata. Jestem tu wyłącznie z tego powodu, że jako pierwsza otrzymałam wiadomość od Valentina i ta sprawa niepokoi mnie tak samo jak Deana, chciałam powiedzieć, doktora Malloya. Szanuję jego doświadczenie psychologiczne i kryminologiczne. Podobnie jak niepodważalne detektywistyczne osiągnięcia sierżanta Curtisa. Dlatego radzę panu liczyć się z ich opiniami. Jeśli chodzi o moje zdanie, to także bazuję na latach doświadczeń. Słucham ludzi ze wszystkich grup społecznych. Podczas tych rozmów jedni się śmieją, inni płaczą. Dzielą się ze mną swoimi radościami, smutkami, porażkami, triumfami, żartują i narzekają. Czasami kłamią. Zwykle umiem odróżnić, kiedy, bo w ich głosie czuję fałsz i chęć zaimponowania. Robią to dlatego, by mieć większą pewność, że puszczę ich wypowiedź na antenie. - Paris wskazała magnetofon. - Ten facet nawet nie myślał o tym, że go puszczę. Nie dlatego zadzwonił. Chciał mi przekazać konkretną wiadomość i nie miałam poczucia, że konfabuluje czy zmyśla. Moim zdaniem to nie jest fałszywy alarm. Myślę, że zrobił to, co zapowiedział, i zamierza zrealizować swój plan do końca. Może mnie pan obrażać, jeśli to sprawi panu ulgę. Mimo to nadal zamierzam pomagać policji w odzyskaniu pana córki. Żeby bezpiecznie wróciła do domu.

Ponura cisza, jaka zapanowała po tym wykładzie, została przerwana przez pojawienie się w salonie pani Kemp. Niebawem wycucie chwili.

- Przyniosłam mrożoną herbatę, to chyba najbardziej odpowiedni napój. Towarzyszyła jej pokojówka w służbowym uniformie, dźwigająca srebrną tacę. Stały na niej wysokie szklanki z płynem, przybrane plasterkami cytryny i gałązkami świeżej mięty. Każda na oddzielnej haftowanej lnianej serweteczce. Na srebrnej cukiernicy wypełnionej kostkami cukru spoczywały eleganckie szczytce.

Kiedy już wszyscy zostali obsłużeni, a służąca się wycofała, (‘urtis ostrożnie odstawił swą szklankę z herbatą na stolik do kawy.

- Mam jeszcze jedno pytanie - powiedział. - Czy córka używała komputera?

- Bez przerwy - odparła Marian Kemp.

Państwo Kemp w kamiennym milczeniu zapoznali się z informacjami Curtisa na temat Sex Clubu. Gdy skończył, sędzia zapytał, z jakiego powodu jego małżonka została zmuszona do wysłuchiwania takich brudów.

- Bo potrzebujemy zgody na dostęp do komputera Janey.

Sędzia zaprotestował gwałtownie, wdając się w gorączkowy spór z Curtisem na temat prawa do prywatności i przestrzegania procedur w śledztwie. Wreszcie wtrącił się Dean.

- Czy bezpieczeństwo dziewczyny nie jest istotniejsze od paru przepisów? - Sędzia zmitygował się trochę, z czego Dean skorzystał, dodając: - Potrzebujemy dostępu do twardego dysku Janey.

- Nigdy na to nie zezwólę - zachnął się sędzia. - Jeśli nawet coś takiego jak ten Sex Club istnieje, nasza córka nie ma z tym nic wspólnego.

- Ogłoszenia o seksie z nieznanymi - syknęła Marian Kemp. - Ohyda.

- Na pani miejscu, jako matki, byłbym bardziej przestraszony niż oburzony - powiedział Dean. - Woli pani wiedzieć czy nic nie wiedzieć? - Nie wiedzieć, pomyślał, obserwując sędziego i jego żonę. - Nie chcemy gwałcić prywatności Janey ani państwa. Ale w jej komputerze może być coś, co pomoże w śledztwie.

- Na przykład? - odezwał się sędzia.

- Adresy i imiona nieznanymi państwu osób. Osób, z którymi korespondowała.

- Gdybyście odkryli cokolwiek obciążającego, w świetle prawa nie byłby to dowód, bo sposób jego uzyskania jest nielegalny.

- Więc czym się pan denerwuje?

Sędzia, który zastawił pułapkę, uświadomił sobie nagle, że sam w nią wpadł. Dean ciągnął swój wywód:

- Jeśli Janey ma książkę adresową, a na pewno ma, możemy porozysłać emaile do wszystkich jej znajomych z pytaniem, kiedy ostatnio ją widzieli, i z prośbą o kontakt do państwa.

- Tak, niech cały świat się dowie, że nie umiemy sobie poradzić z własną córką.

Dean nie pałał sympatią do Kempów, ale musiał im współczuć. Było jasne, że gdyby ci ludzie umieli sobie radzić z córką, policji by tu dziś nie było.

- Jej znajomi rozpoznają adres i otworzą list - powiedział. - Wiadomość będzie od państwa, nie od policji, poza tym możemy każdemu informatorowi zagwarantować anonimowość.

- Poczta e-mailowa dotrze do znacznie większej liczby osób i będzie skuteczniejsza niż patrole policji, proszę pani - powiedziała uspokajającym tonem Paris do pani Kemp. - Młodzi ludzie nie lubią, kiedy kręci się koło nich policja, nawet wtedy, gdy nie robią nic złego. Koledzy i znajomi Janey chętniej odpowiedzą na apel w Internecie niż na pytania detektywów.

Prośba poskutkowała, może bardziej dzięki miłemu głosowi Paris niż dzięki treści. Pani Kemp spojrzała na męża, a potem znów na Paris.

- Pokażę, gdzie jest jej pokój - powiedziała.

Zaproszenie skierowane było wyraźnie tylko do Paris, która natychmiast wstała i poszła za panią domu. Sędzia poderwał się bez słowa i wyszedł z salonu, znikając w przyległym do niego gabinecie. Tyle zdołał zauważyć Dean, nim drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem. Curtis poklepał się po udach, po czym wstał.

- Nieźle nam poszło, nie sądzisz?

Na tę dziwną uwagę Dean skrzywił się, co miało udawać uśmiech.

- Jak rozumiem, Wysoki Sąd wymiksował się właśnie z tej brudnej sprawy.

- Założę się, że już obgaduje cię przez telefon. Do szefa.

- Chrzanię to. Jak trzeba, powtórzę wszystko, co powiedziałem, pod przysięgą.

- Trzeba ci wiedzieć, stary, że zdarzało mi się zeznawać jako świadek w jego procesach. Zeznawałem i jako świadek obrony, i oskarżenia. Ale stawiam wszystko o zakład, że cokolwiek powiem następnym razem, pośle mnie do diabła. - Curtis przejechał dłonią po łysiejącym czole. - Wyjdę teraz na dwór i wykonam parę telefonów. Może będą jakieś dobre wiadomości.

- Ja zaczekam tu na Paris. - Dean odprowadził go do progu werandy.

- O nic innego cię nie podejrzewałem.

Dean pojął przytyk, ale nie chciał wdawać się w niepotrzebną gadkę. Weisnąwszy ręce w kieszenie, usiadł w głównym holu. Nad marmurową mozaikową posadzką wisiał kryształowy żyrandol. Jego błyski odbijały się w wypolerowanych powierzchniach dwóch niskich kredensów, wieńczących długie pomieszczenie.

Nad jednym wisiał olejny portret Marian Kemp. Nad drugim obraz siedmioletniej dziewczynki, niewątpliwie tego samego pędzla. Miała na sobie białą letnią sukienkę z tiulu i gołe nogi. Malarzowi udało się uchwycić błyski słońca, odbite w lśniących blond lokach. Była piękna jak anioł i niewinna aż do bólu.

Dean poczuł na piersi marynarki wibracje telefonu. Dzwoniła Liz. Nie odpowiedział - to nie był właściwy moment. Sprawdził pocztę. Dzwoniła przedtem już dwukrotnie. Widocznie zawsze w niewłaściwym momencie. Teraz usłyszał ciche kroki. To Marian Kemp i Paris schodziły schodami po grubym dywanie. Paris nieznacznie mrugnęła do niego, a jak tylko podeszły, przekazała mu zipa. Szybko wsunął dysk do kieszeni.

- Dziękuję, pani Kemp.

- Odprowadzę państwa - powiedziała lodowatym tonem, choć przed chwilą zgodziła się na współpracę.

Na podjeździe stała młoda dziewczyna, za nią Curtis.

- Melissa! To ty! Myślałam, że jesteś w Europie - wykrzyknęła pani Kemp. Dziewczyna odwróciła się na dźwięk swego imienia. Była wysoka, dość chuda, no i zapewne ładna, gdyby nie ciężki makijaż w indiańskich barwach wojennych, który sobie zaaplikowała.

- Dzień dobry. Właśnie wróciłam.

- Czy to przyjaciółka Janey? - spytał Dean.

- Najlepsza przyjaciółka. Melissa Hatcher.

Paris zobaczyła na parkingu snobistyczny, najnowszy model BMW kabriolet, choć po dziewczynie trudno byłoby poznać, że pochodzi z bogatego domu. Miała na sobie sprane dzinsy, obcięte tak wysoko, że wystawały z nich stare majtki ze sparciałą gumką. U góry spodnie też były tak obcięte, że ledwo trzymały się na kościach miednicy dziewczyny. Z dziurki pępka pobłyskiwały wprawione tam bliźniacze kolczyki z szafirami. Dekolt i pachy podkoszulka też były ostro wycięte i nie pozostawiały wątpliwości, że jego właścicielka nie używa żadnej bielizny. Opuszczone na czarne martensy podkolanówki wyglądały, jakby ważyły tonę. Latem mógłby się tak ubrać drwal albo najemnik szukający zajęcia. A przy tym wszystkim zwisająca z ramienia Melissy torba-wór była od Gucciego.

- Widziałaś się po powrocie z Janey? - spytała Marian Kemp.

- Nie - odparła, wyraźnie zdziwiona. - Ten facet, co tu stoi, też mnie o to wypytywał. Co jest grane?

- Janey nie wróciła na noc do domu.

- No i co z tego? Pewnie się u kogoś zadziała. Tak bywa. - Posyłając Deanowi jednoznacznie prowokujące spojrzenie, wzruszyła ramionami, aż opadło z nich jedno ramiączko.

- Znasz jej znajomych?

- Chodzi o nazwiska? - Dziewczyna krytycznym wzrokiem obcięła Curtisa z góry na dół.

- O osoby, u których mogła się zatrzymać.

- Odwaliło panu? - Detektyw w tym momencie rozpiął kurtkę i pokazał jej plaketkę przypiętą do pasa. - O kurwa. Co narozrabiała?

- Tego nie wiemy.

- Grozi jej niebezpieczeństwo, Melisso. - Paris podeszła do dziewczyny, która zmierzyła ją ciekawym spojrzeniem.

- Jakie niebezpieczeństwo? Pani też jest z policji?

- Nie. Pracuję w radiu. Jestem Paris Gibson.

Usta Melissy, pomalowane szminką prawie na czarno, opadły jak koparka.

- Spadowa! Jaja sobie robisz, no nie? - Nie.

- Ożeż, kurwa! - Zachwyty dziewczyny był tak szczery jak nigdy. - Ale numer! Bomba. Słucham cię w radiu, kiedy tylko nie słucham płyt. Bo czasem człowiekowi się po prostu nie chce samemu słuchać płyt. Wtedy włączam twoją audycję. Czasem grasz jakieś stare kilaste kawałki, ale sama jesteś w porzo, kobieto.

- Dzięki.

- Fajnie ci w tym na głowie. Robiłaś pasemka?

- Powiedz mi, Melisso, czy Janey dzwoniła do mnie?

- Nawet parę razy. Ale już jakiś czas temu. Dzwoniłyśmy razem z komórki Janey i rozmawiałyśmy z tobą, ale nie podawałyśmy imion i nie puściłaś nas na antenę. No i miałaś rację, bo byłyśmy totalnie sprute.

- Może następnym razem się uda - uśmiechnęła się Paris.

- A Janey dzwoniła ostatnio do Paris? - spytał Dean.

Obwiedzione węglowoczarным cieniem oczy dziewczyny powędrowały ku niemu. Paris przedstawiła go jako doktora Malloya. Wyciągnął rękę.

- Od czego pan doktor? - Dziewczyna niechętnie wyciągnęła swoją.

- Od czubków.

- Ożeż! Boże! Co zrobiła Janey? Ześwirowała? Uciekła?

- Nie wiemy. Od dwudziestu czterech godzin nie daje znaku życia. Jej rodzice bardzo się o nią martwią, i my także.

- My? Pan jest z policji?

- Tak, pracuję w tutejszej komendzie. - Aha.

Melissa przyjrzała się uważnie całej trójce i Dean zrozumiał, że właśnie stracili tę dziewczynę jako źródło informacji. Mimo że lubiła Paris Gibson, jej pierwszym odruchem była lojalność wobec przyjaciółki. Gówno od niej dostaną, a nie informacje o Janey.

- Już mówiłam, proszę pani - zwróciła się Melissa do matki Janey - że nic nie wiem, bo dopiero co wróciłam z Francji. Nie spałam półtorej doby, więc jak dojechałam do domu, rzuciłam się do łóżka. Proszę powtórzyć Janey, że wróciłam, dobrze?

Jej wielka torba od Gucciego zawirowała jak wachlarz w powietrzu, gdy obróciła się i podeszła do swego auta. Ale niespodziewanie odwróciła się i biegiem wróciła na podjazd, trąc czoło dłonią uzbrojoną w tuzin bransolet i jeszcze więcej pierścionków.

- Już wiem, cholera! - Wskazała palcem Deana. - Nic dziwnego, że z pana taki playboy. Pan jest ojcem Gavina!

Rozdział 11

- Obudź się, śpiochu!

Janey otworzyła oczy. Pochylał się tuż nad jej twarzą, tak że jego oddech niemal ją parzył. Pocałował ją w czoło. Jęknęła żałośnie.

- Tęskniłaś za mną?

Gdy przytaknęła, wybuchnął śmiechem. Nie wierzył jej, i miał rację. Bo gdyby tylko miała okazję, zabiłaby skurwysyna. Próbowwała nie okazywać wrogości. Stwierdziła, że najbardziej opłacało jej się udawać uległość. Ten psychoł uwielbiał bawić się w teatr, chciał widzieć, jak go błaga, chciał nad nią dominować. No i dobrze. Będzie udawała jego małą zabaweczkę, póki drań nie obróci się tyłem, a wtedy roztrzaska mu łeb.

- Co to jest? - zauważył plamę na prześcieradle i skrzywił się.

Zsikała się. A czego oczekiwał, skoro zostawił ją Bóg wie na jak długo. Powstrzymywała się, dokąd mogła, ale w końcu musiała zmoczyć pościel.

- Będziesz musiała zmienić prześcieradło.

Bardzo dobrze, zmienię. Tylko mnie rozwiąż i daj prześcieradło, a ja cię nim uduszę, powiedziała bezgłośnie. Przeczesał palcami jej skołtunione włosy.

- Cuchniesz moczem i potem, Janey. Czyżbyś próbowała się uwolnić? Ciekawe jak? - Omiótł wzrokiem okolice łóżka. - Hmm. Obtłuczona farba na ścianie. Próbowalaś rozbijać łóżko, żeby zagłówek wali! w ścianę, nie?

A niech go! Rzeczywiście próbowała narobić hałasu, żeby zwrócić uwagę sąsiadów. Gdyby ktoś się zdenerwował takim uporczywym stukaniem w ścianę, przyszedłby sprawdzić, co się tu dzieje. A jeżeli by go nie wpuszczono, poszukałby dozorczy i dozorca musiałby zobaczyć, co to za hałas. Wtedy by ją wypuszczono, ojciec dowiedziałby się o wszystkim i już by się postarał, żeby ten cholerny skurwysyn nie oglądał więcej światła dziennego. Zamknęliby go w karczerze i pozwolili jebać wszystkim najgorszym pedałom w całym pierdlu. Ale teraz, kiedy odkrył jej plan, odsunął łóżko. Mogła się pożegnać z marzeniami o ucieczce i zemście.

- Nie dopuszczę do tego, Janey. - Znow się pochylił i pocałował ją w czoło. - Przepraszam, kochanie, że udaremniłem twój chytry plan.

Spojrzała na niego zrozpaczonym wzrokiem i jęknęła boleśnie.

- Chcesz pójść do ubikacji? Kiwnęła głową.

- No, dobrze. Tylko musisz obiecać, że nie będziesz próbowała uciec. Bo jak spróbujesz, stanie ci się krzywda, a nie chciałbym sprawiać ci bólu.

- Obiecuję - wybełkotała przez zalepione taśmą usta.

Najpierw rozwiązał jej stopy. W chwili, gdy je oswobodził, miała ochotę mu przykopać, ale ze zgrozą poczuła, że nogi ma jak z gumy. Poruszała się wolno i nieporadnie, niczym ślimak. Potem rozwiązał jej dłonie, wziął ją na ręce i zaniósł do toalety. Postawił na ziemi, uniósł pokrywę klozetu i posadził ją na nim. Sięgnęła do ust.

- Możesz zdjąć tę taśmę - pouczył ją łagodnie - ale jak zaczniesz krzyczeć, to pożałujesz.

Uwierzyła mu. Bolało, ale gdy się już pozbyła knebla, z rozkoszą głęboko odetchnęła kilka razy przez usta.

- Chciałabym się napić wody - wykrztusiła schrypniętym głosem.

- Najpierw się załatw - powiedział, nie ruszając się z miejsca.

- Wyjdź i zamknij drzwi - poprosiła przez Izy.

- Och, nie bądź taka pruderyjna - skrzywił się. - To absurd. I lepiej się pospiesz, zanim zmienię zdanie, bo będziesz znów musiała sikać do łóżka.

Kiedy skończyła, ponownie poprosiła o wodę.

- Jasne, Janey, ale najpierw zmień pościel. Zrobiłaś tu chlew. To obrzydliwe. Umierała z pragnienia, więc potulnie prześcieliła łóżko. Zanim powiedział, że jest OK, była śmiertelnie wykończona i obłana zimnym potem. Posadził ją w fotelu i poszedł do kuchni po wodę. Otworzył plastikową butelkę, choć miała nadzieję, że poda jej szklanekę. Mogłaby ją stłuc i spróbować poderżnąć mu gardło. Gdyby tylko miała w sobie więcej siły. Oklapła jak dętka, co było dziwne, skoro tyle godzin leżała. Czyżby dał jej wczoraj jakiś narkotyk? A co teraz? Dodał czegoś do wody?

Była tak spragniona, że nie mogła sobie pozwolić na fochy. Chciwie wypiła wodę co do kropli.

- Jesteś głodna? - Tak.

Zrobił kanapkę z serem paprykowym i karmił ją jak dziecko, wsuwając jedzenie do ust po małym kęsie. Zastanawiała się, czy nie ugryźć go w palec, lecz i tak miałby sprawną drugą rękę. Nie zapomniała ciosu w twarz, od którego zakręciło jej się w głowie i omal straciła słuch. Nie chciała prowokować następnego.

Ale zadanie mu bólu, nawet przez chwilę, sprawiłoby jej szaloną satysfakcję. Miała wielką chęć zatopić zęby w jego ciele tak, by połała się krew. Jednak w jej obecnym stanie myślenie o tym, jak z nim wygrać, było marzeniem ściętej głowy. Za krótki moment triumfu przyszyłoby jej zbyt drogo zapłacić. Na razie powinna siedzieć cicho i zbierać siły, by wykorzystać pierwszą dobrą okazję do ucieczki.

- Miła teraz jesteś, Janey - pochwalił ją, gdy skończyła jeść. Poglaskał ją po głowie i przeczesał palcami splątane włosy. - Twoja uległość bardzo mnie podnieca. - Lekko musnął dłonią jej sutki. - Jesteś teraz naprawdę godna pożądania.

Odsunął się od niej tylko na chwilę, by sięgnąć po aparat. Wstrętny aparat. To przez te zdjęcia tak ją zaintrygował, uznała, że jest inny niż wszyscy. Inny, bo zboczony. Teraz nienawidziła tego aparatu. Marzyła, żeby go dorwać i roztrzaskać na jego twarzy, żeby rozwalić kości i to cholerne urządzenie. Była jednak zbyt przestraszona, by protestować, gdy ustawiał ją po kolei w licznych obscenicznym pozach. Rozważała, jak do niego trafić. Mogła go błagać, prosić, obiecywać pieniądze, przysięgać, że nic nikomu nie powie. Pozwalała mu na wszystko, licząc na to, że zyska tym samym na sile przekonywania. Leżała więc na łóżku i wykonywała polecenia. Po sesji nie miała nawet sił, by unieść głowę. Narkotyzował ją. Teraz już miała pewność. Patrzyła ze zgrozą, jak otwiera szufladę i wyciąga z niej taśmę.

- Nie - załkała. - Proszę.

- Nie robię tego dla przyjemności, Janey, ale co ja poradzę, że jesteś dziwką niezdolną do miłości. Nie można ci wierzyć. Skąd mam wiedzieć, że będziesz cicho?

- Będę. Przysięgam. - To było wszystko, co zdołała z siebie wydusić, nim jednym ruchem zakleił jej usta. Tą samą taśmą skrepił jej rękę, przytwierdzając je tak mocno do ramy łóżka, że nie mogła

się ruszyć.

A potem klęknął między jej nogami i zaczął się zabawiać. Kiedy skończył, wziął prysznic. Stał przy łóżku i spokojnie przeciągał pasek przez szlufki od spodni.

- Dlaczego płaczesz, Janey? Nie rozumiem. Podobno jesteś najbardziej rozrywkową dziewczyną w mieście. - Wcisnął brudną pościel do worka na pranie i wyciągnął klucze. Już był przy drzwiach, gdy nagle strzelił palcami i powiedział: - Omal zapomniałem. Mam dla ciebie niespodziankę. - Wyciągnął z kieszeni marynarki kasetę i włożył do odtwarzacza. - Nagrałem to wczorajszej nocy. Myślę, że ci się spodoba. - Przesłał jej pocałunek i zniknął. Usłyszała szcęk klucza w zamku.

Najpierw kasetą obracała się w ciszy, potem zabrzmiał dzwonek telefonu. Powtórzy! się kilka razy, nim Janey usłyszała znajomy głos. „Mówi Paris”. „Cześć, Paris. Tu Valentino”.

Więc nazywa się Valentino? - pomyślała, bo natychmiast rozpoznała jego głos. Nie był to normalny głos, ale taki, jakim czasem do niej mówił, gdy byli razem w łóżku. Bawiło ją, że do tego stopnia potrafi obniżyć tonację, prawie szeptał, było w tym coś nieprzyzwoitego, czuło się, że zaraz wymyśli coś bardzo perwersyjnego - i zwykle tak się działo. Teraz jednak, słysząc ten głos na sprzęcie stereo, dostawała gęsiej skórki.

Kiedy opowiadał Paris Gibson ich historię ze swojej perspektywy, Janey zaczęła gwałtownie oddychać przez nos, wgapiona jak zaczarowana w głośniki. Jej strach zmienił się wkrótce w panikę. Wysłuchawszy, co dla niej szykuje, wydała z siebie niemy wrzask, rezonujący gdzieś w ciemnej jamie gardła - bo usta miała zalepione taśmą.

Ale nikt jej nie usłyszał.

Toni Armstrong przyszła do gabinetu, w którym pracował jej mąż, tuż przed zamknięciem. Na korytarzu spotkała jednego z jego kolegów. Porozmawiali chwilę. Tłumaczył się, dlaczego jeszcze nie zaprosił ich na kolację, żeby się mogli lepiej poznać.

Rozstali się z obietnicą szybkiego telefonicznego kontaktu. To przekonało Toni, że Brad nadal świetnie zachowuje pozory. Postanowiła robić to samo - jak długo się da. Gdy weszła do pokoju, recepcjonistka była wyraźnie zaskoczona.

- Udało mi się załatwić opiekunkę do dzieci, więc postanowiłam zrobić mężowi niespodziankę i porwać go na kolację do miasta - powiedziała Toni.

- Ojej, proszę pani, ale przecież doktor Armstrong wyszedł stąd już parę godzin temu.

Toni była pewna, że recepcjonistka odbierze jej przerażenie jako wyraz niezadowolenia.

- No cóż, nie wyszło mi z tą niespodzianką. Czy powiedział pani, dokąd wychodzi?

- Nie, ale na pewno jest pod telefonem komórkowym.

- Zadzwoń do niego. Mogę na chwilę wejść do jego pokoju?

- Oczywiście. Proszę się nie spieszyć. Posiedzę tu jeszcze, mam parę formularzy do wypełnienia.

Brad był najmłodszym stażem wspólnikiem, więc dostał najmniejsze biuro, ale Toni wyszła ze skóry, żeby uczynić to miejsce miłym i estetycznym. Dała do oprawienia w identyczne ramki jego dyplomy i powiesiła na ścianie w ładnym, oryginalnym układzie. Rodzinne fotografie stały na półkach z literaturą specjalistyczną, zawieszonymi nad biurkiem Brada. Na schludnym blacie nie piętrzyły się niepotrzebne papiery.

Toni miała nadzieję, że pierwsze, sympatyczne wrażenie nie jest mylące. Usiadła na jego krześle. Wszystkie szuflady biurka były pozamykane, ale na to przygotowała się z góry. Szpilka do włosów okazała się skutecznym wytrychem.

Prawdę mówiąc, z góry umówiła opiekunkę do dzieci na dzisiejszy wieczór. Poszła do fryzjera,

zrobiła porządny makijaż i ubrała się wieczorowo w nadziei, że uda jej się wyciągnąć Brada na kolację. Miała to być rekompensata za poranną kłótnię. Przez cały dzień czuła z tego powodu wyrzuty sumienia. Brad wyszedł z domu wściekły. Ona sama czuła się pokrzywdzona, ale też i zła. Na szczęście miała mnóstwo rzeczy do zrobienia i jakoś przetrwała ten dzień. Nic jednak nie mogło odciągnąć jej myśli od nieporozumienia z mężem. Miała, słabą bo słabą, nadzieję, że jej podejrzenia się nie sprawdzą.

A co, jeśli nie kłamał, gdy opowiadał, gdzie był ubiegłej nocy? - pomyślała. Może uroiła sobie problem, który tak naprawdę nie istniał. Jeśli mówił prawdę, to wyobrażała sobie, jaki musiał być wściekły po porannej awanturze, kiedy dała mu do zrozumienia, że podejrzewa to, co najgorsze. Nikłe były szanse na to, że naprawdę poszedł na szkolenie, a potem na piwo, ale dla ochrony interesów rodziny desperacko uczepiła się tej myśli.

Jej dzisiejsza wizyta miała być gałązką oliwną. Sądziła, że jeśli pierwsza do niego przyjdzie z propozycją spędzenia wieczoru w modnej włoskiej restauracji, gdzie jeszcze nie był, wszystko jakoś się ułoży. Romantyczny wieczór bez dzieci, z butelką wina i seksem w perspektywie, mógł być cudownym panaceum na wszelkie nieporozumienia. Spróbują zapomnieć o czarnym cieniu, jaki przeszłość rzucała na ich przyszłość.

A tymczasem Brada nie było w pracy, choć powinien być. Wyszedł bez wyjaśnienia, nie informując nikogo ze współpracowników, gdzie i po co się udaje. Toni już to przerabiała, był to fatalny sygnał, że można się po nim spodziewać najgorszego. Dlatego z bólem serca użyła spinki do włosów i otworzyła biurko.

Po chwili wszystkie jej podejrzenia się potwierdziły. W najniższej szufladzie znalazła imponującą kolekcję zdjęć pornograficznych. Było tu wszystko, od wersji soft do hard. Najobrzydliwsze, najbardziej wulgarne zdjęcia były na pewno, sądząc po kompozycji, dziełem fotografa-amatora.

Nie miała wątpliwości. Brad był chory, wciąż był seksoholikiem. I, jak każda osoba uzależniona, łasym na wszelkie pokusy. Byle pretekst wystarczał, by seksoholik zrobił coś absolutnie okropnego, przy czym zwykłe molestowanie koleżanek w pracy czy zaczepianie pacjentek to było małe piwo.

Rozdział 12

Gdy Dean wrócił do domu, zauważył na podłodze łazienki mokre spodnie kąpielowe. Gavin leżał na kanapie i mechanicznie pstrykał pilotem po kanałach telewizyjnych, zmieniając obraz co parę sekund. Biodra miał owinięte ręcznikiem, a włosy mokre.

- Cześć, Gavinie.

- Cześć.

- Byłeś na basenie?

- Nie. Tak tylko lubię sobie posiedzieć w samym ręczniku - odparł chłopak, nie odrywając oczu od ekranu.

- Gdy odniesiesz ręcznik do łazienki, podnieś przy okazji swoje mokre gacie z podłogi.

Gavin przełączył się na kolejną stację.

- Weź prysznic, pójdziemy coś zjeść.

- Nie jestem głodny.

- Weź prysznic, pójdziemy coś zjeść - powtórzył Dean.

- A jak nie pójdę, to znowu się na mnie rzucisz z pięściami?

Dean posłał mu takie spojrzenie, że chłopak zdecydował się nie przeciągać struny. Odrzucił pilota i wyszedł z pokoju. Jednak zanim to zrobił, odplątał ręcznik i pokazał ojcu gołą dupę, dosłownie i w sensie symbolicznym. Mimo obrazy Dean dał mu w duchu dwa punkty za to, że umie posługiwać się znakami.

Nie pytając Gavina o zdanie, podjechał pod jedną z restauracji, należących do sieci, którą obaj lubili. Gavin milczał uporczywie, odpowiadając monosylabami na wszelkie próby nawiązania rozmowy. Gdy przyniesiono jedzenie, Dean zapytał, czy hamburger jest OK.

- Może być.

- Przepraszam cię, że tak rzadko jadamy w domu.

- Nieważne. Podle gotujesz.

- Nie przeczę. - Dean się uśmiechnął. - Pewnie tęsknisz za domowym spaghetti roboty mamy.

- Pewnie tak.

- Ale tutaj jesz wyłącznie pizzę albo hamburgery.

- No i co z tego? - rzucił agresywnie Gavin.

- Nic. W twoim wieku odżywiałem się dokładnie tak samo.

Gavin parsknął, dając ojcu do zrozumienia, że nie wierzy, by w czasach prehistorycznych znano hamburgery i pizzę.

- Spotkałem dzisiaj starą znajomą - spróbował Dean z innej beczki. - Pamiętasz Paris Gibson?

- A co? Myślisz, że jestem zapóźniony w rozwoju? - Gavin spojrzał na niego spode łba.

- Zналиśmy się dość dawno. Byłeś jeszcze mały. Nie wiedziałem, czy ją pamiętasz.

- No pewnie. I ją, i Jacka. Mieli się żenić, ale on się zabił.

- Nie zabił się. Przeżył ten wypadek. Zmarł dopiero kilka miesięcy temu.

- Ona pracuje tu w radiu.

- Skąd wiesz? - Dean był zaskoczony.

- Wszyscy wiedzą. Masa ludzi jej słucha.

- Rozumiem, ma powodzenie. Mówiła dzisiaj, że zależy jej na młodych słuchaczach. Znasz tę audycję?

- Znam. Słucham jej czasem. Nie codziennie. - Gavin zanurzył frytkę w keczupie. - Zadzwoiłeś do niej, czy co?

- Nie, nie. Ale do niej do radia zadzwoni! jakiś świr.

- Coś ty?!

- Ummm - przytaknął Dean, wgrzając się w kurczaka z grilla. - Zadzwoiła na policję, a oni do mnie, po konsultacje. Przyszła do mnie do biura z takim jednym detektywem.

- Z detektywem? Myślicie, że to poważna sprawa?

- Chyba tak. - Dean skinął na kelnerkę i zamówił kolejną colę dla Gavina. Jak na kogoś, kto nie ma ochoty na kolację, chłopak pochłonął swojego hamburgera w rekordowo krótkim czasie. - Proszę jeszcze jedną porcję frytek - powiedział Dean; Gavin nigdy by się do tego nie przyznał, ale z pewnością wciąż był głodny. - Widziałem się dzisiaj także z twoją koleżanką.

- Nie znam tu nikogo. Wszyscy moi kumple są w Houston. Tam, gdzie mieszkałem. W swoim domu. Póki matka nie wyszła za tego dupka.

Więc o to chodzi, pomyślał Dean.

- Bardzo długo była sama, Gavin.

- Bo się z nią rozwiodłeś.

- Zabawne. A jeszcze niedawno twierdziłeś, że to ona rozwiodła się ze mną. Okazuje się, że w obu przypadkach masz rację. Zgodziliśmy się na rozwód za porozumieniem stron. Dla naszego wspólnego dobra.

- Akurat - mruknął Gavin znudzonym tonem i odwrócił się do okna.

- Uważasz, że twoja matka nie ma prawa do szczęścia?

- Jak można być szczęśliwym z kimś takim jak on?

Dean też się dziwił wyborowi Pat. Jej mąż był nudny jak flaki z olejem, cholernie nijaki facet. Ale był zafascynowany Pat, i to z wzajemnością.

- Dlaczego nie potrafisz się cieszyć z tego, że twoja matka znalazła kogoś, kto się o nią troszczy, nawet jeśli nie ma porywającej osobowości? Ona go kocha.

- Ależ cieszę się, strasznie się cieszę. Aż skaczę z radości. OK? Możemy zmienić temat?

Dean mógł przypomnieć synowi, że to on pierwszy zaczął, ale darował sobie. Właśnie podeszła kelnerka.

- Podać coś jeszcze? - Po raz pierwszy zwróciła się bezpośrednio do Gavina. Dean próbował spojrzeć na syna oczami tej młodej kobiety. Abstrahując od ojcowskiej dumy, musiał przyznać, że chłopak jest bardzo przystojny. Miał gęste, ciemne włosy po matce i sam chyba je lubił, bo powstrzymał się od wydziwiania z fryzurą, nie ostrzygł się na łyso ani nie ufarbował ich na neonowy, świecący w ciemnościach kolor. Piwne, nieco zadumane oczy. Trudno było określić, na jakiego faceta wyrośnie, ale mierzył już dobrze ponad metr osiemdziesiąt i miał postawę i naturalny wdzięk urodzonego sportowca.

- Dziękujemy, na razie wystarczy. - Dean uśmiechnął się do kelnerki, a kiedy się oddaliła, powiedział do Gavina: - Ładna babka.

- Może być. - Gavin spojrzał za nią bez zbytniego zainteresowania.

- Ładniejsza od dziewczyny, którą dzisiaj spotkałem. - Dean spojrzał Gavinowi prosto w oczy. -

To Melissa Hatcher.

- Kto? - Gavin próbował grać zaskoczonego, ale widać było, że od razu zareagował na znajome nazwisko.

- Powiedziała, że się znacie.

- Niemożliwe.

- No to dlaczego tak powiedziała?

- A skąd ja mam to wiedzieć? Może mnie z kimś pomyliła. - Gavin wlepił oczy w szklanę z colą i bawił się słomką.

- Przedstawiłem się jej i rozmawialiśmy chwilę, a potem powiedziała: „Pan jest ojcem Gavina”. Na pewno cię zna.

- Może dlatego to powiedziała, bo się zorientowała, że jesteś gliną.

- A uważasz, że nikt się nie chce kolegować z dziećmi glin?

- Mniej więcej. - Gavin spojrzał na Deana z niechęcią.

- A Janey Kemp?

Tym razem Gavin zupełnie nie potrafił ukryć gwałtownej reakcji, choć szybko się opanował. - Kto?

- Janey Kemp. Z tego, co o niej słyszałem, na pewno nie chciałyby się zadawać z synem gliniarza. Znasz ją?

- Coś słyszałem. - A co?

- No, wiesz. Różne rzeczy. - Gavin wpakował sobie do ust garść frytek.

- Jakie rzeczy? Że jest napalona? Łatwa?

- Skoro tak mówisz.

- Znasz ją bliżej?

- Natknąłem się na nią parę razy.

- Gdzie?

- O Boże, co tu się dzieje? Co to jest? Hiszpańska inkwizycja?

- Nie. Najlepsze będzie na koniec. Na razie cię pytam, gdzie się zetknąłeś z Janey Kemp i jej przyjaciółką Melissą. Musiałeś się z nimi widzieć nie raz, skoro dziewczyna rozpoznała moje nazwisko. Poza tym powiedziała, że jesteście bardzo podobni.

- Łażą razem po mieście, jak inne bogate, znudzone dziewczyny. - Gavin skulił się w obronnej pozycji na krześle. - Widziałem je tu i tam. Na przykład w kinie, w sklepach, no, wiesz.

- A nad jeziorem?

- Którym? Town czy Travis?

- To ty mi powiesz, nad którym.

- No dobra, widywałem je parę razy w różnych miejscach. Nie pamiętam już, gdzie.

- Przestań robić mi w jajo, Gavin. - Dean się roześmiał. - Jakbym w twoim wieku spotkał taką laskę jak Melissa i byłaby ubrana tak jak dzisiaj, to zapamiętałbym każdy detal. - Odsunął talerz i odchylił się na krześle. - Powiedz mi wszystko, co wiesz o Sex Clubie.

- O czym? - Gavin znów usiłował udawać głupiego.

- Zeszłej nocy, kiedy bez pozwolenia wyszedłeś z domu, pojechałeś nad jezioro Travis. Tak było?

- Może i tak. No i co z tego?

- Wiem, że młodzież w twoim wieku spotyka się nad jeziorem we wcześniej umówionych miejscach. Czy widziałeś się wczoraj wieczorem z Janey Kemp? A jeśli zamierzasz mi dalej mydlić oczy, to ci powiem, że nikt jej nie widział od dwudziestu czterech godzin. Zaginęła.

- Serio?

- Nie wróciła na noc do domu. Do nikogo nie dzwoniła. Dzisiaj po południu, zanim wyszedłem z biura, patrol odnalazł jej samochód. Był zaparkowany nad jeziorem, w miejscu na pikniki, zasłonięty drzewami. Nikt nie widział Janey. Zapewne umówiła się tam z kimś i odjechała z tą osobą. Widziałeś ją? Widziałeś, z kim poszła?

Gavin wlepił oczy w opróżniony talerz i gapił się tak dłuższą chwilę.

- Nie widziałem jej - powiedział wreszcie.

- Gavin. - Dean obniżył głos. - Znam dobrze reguły, które nie pozwalają ci donosić na kolegów. W moich czasach było tak samo. Ale tym razem nie chodzi o lojalność czy zdradę. Sprawa jest o wiele poważniejsza. Dlatego nie próbuj chronić Janey czy kogokolwiek innego, zatajając przede mną informacje. Nie interesuje mnie wasze picie, dragi ani inne rzeczy, którymi zajmowaliście się wczoraj wieczorem. Jeżeli Janey poszła gdzieś z niewłaściwym facetem, teraz grozi jej śmierć. Pomyśl o tym. Jesteś absolutnie pewny, że jej nie widziałeś?

- No pewnie! O Boże! - Gavin rozejrzał się, nagle świadomy, że swym okrzykiem zwrócił uwagę innych gości. Wcisnął się głębiej w kanapę i wymamrotał ze spuszczoną głową: - Dlaczego się mnie ciągle czepiasz?

- Nie czepiam się ciebie.

- Rozmawiasz ze mną jak glina.

- No dobrze, przyznaję - westchnął Dean. - Próbuję cię traktować jako źródło informacji. Wobec tego powiedz mi wszystko, co wiesz o Sex Clubie.

- Nie wiem, o czym mówisz. Chce mi się łać. - Przesunął się na brzeg siedzenia i już był gotów wstać, gdy Dean go zatrzymał.

- Umiesz kontrolować odruchy od trzeciego roku życia, bo wtedy nauczyliśmy cię siadać na nocnik. Wstrzymaj się przez chwilę. Co wiesz o Sex Clubie?

Gavin kiwał się w przód i w tył, wpatrzony w okno złym wzrokiem, z nachmurzoną twarzą. Dean już tracił nadzieję, gdy syn odezwał się wreszcie:

- Dobra, powiem. Słyszałem, jak chłopaki mówili o takiej stronie, na której wymieniają listy z laskami. I tyle.

- Chrzanisz, Gavin.

- Ja wiem tylko tyle. Pamiętaj, że nie chodziłem z nimi do szkoły. Wyrwaliście mnie z korzeniami i na siłę tu wtrzytniście, więc...

- Od dnia przeprowadzki prowadzasz się dzień w dzień z tutejszymi chłopakami. Poza tym mam dość tego ciągłego narzekania, że jesteś nieszczęsną ofiarą rodzicielskiej przemocy. Zmień płytę. Przypominam ci, że może dziewczyna walczy w tej chwili o życie, nie przesadzam. Więc przestań się uzalać nad sobą i daj mi jasną odpowiedź. Co wiesz o tym internetowym klubie i udziale Janey?

- Janey... - Gavin najwyraźniej dał za wygraną, bo oparł głowę o kanapę. - Spotyka się z facetami poznanymi przez Internet, żeby uprawiać seks. Nie mają żadnych oporów. Ona i Melissa.

Więc jednak je znasz.

Wiem, kim są. W klubie działa dużo innych dziewczyn. Nie znam wszystkich, nie wiem, jak się

nazywają. Są tam ludzie ze wszystkich szkół.

Używają forum internetowego, żeby się umawiać.

Wstąpiłeś do tego klubu, Gavin?

Nie, do cholery! - Chłopak wyprostował się nagle. - Trzeba wiedzieć, jak się tam wpisać, a ja nie wiem i nie zapytałem nikogo, bo nie chciałem wyjść na wsiowego idiotę, co się nie orientuje!

To żadna tajemnica. U nas na komendzie mają to rozpracowane.

Tak? - Gavin roześmiał się. - No i co z tego? Mogą im najwyżej naskoczyć.

Molestowanie seksualne to przestępstwo.

Ty to wiesz najlepiej - mruknął pogardliwie Gavin. - Jesteś przecież gliną.

Zaparkował w dębowej alei, gdzie stały już inne samochody. W bagażniku miał turystyczną lodówkę, a w niej wino i piwo. Wyjął puszkę i skierował się ku brzegowi jeziora, z którego prowadził do wody drewniany pomost. Dziś umówili się właśnie tu.

Musiał tu przyjechać.

Ubrał się tak, by się niczym nie wyróżniać. W luźne szorty i dobry firmowy podkoszulek, dokładnie tak, jak nosiła się tu młodzież. Na wszelki wypadek opuścił nisko daszek bejsbolówki, żeby osłaniał mu twarz. Kilka osób znał już z widzenia. Widział je na poprzednich spotkaniach albo w klubach przy Six Street, a także na uniwersyteckim kampusie. Większość jednak była nowa. Tych nowych wciąż przybywało.

Tu było wszystko, czego dusza zapagnie - alkohol, narkotyki i seks. Tego wieczoru robiono także zakłady. Na przykład o to, ile wytrzyma przed wytryskiem facet, któremu dziewczyna, ubrana tylko w dół od bikini, robiła loda.

Dołączył do grona obserwatorów i postawił pięć doliców. Trzeba przyznać, że gość nieźle się trzymał, ale dziewczyna знаła się na swojej robocie. Przegrał zakład. Bez pośpiechu poszedł spacerkiem na nabrzeże. Nie próbował prowokować sytuacji, bo zazwyczaj nie było to potrzebne. Sprawdziło się i tym razem. Wkrótce dołączyły do niego dwie dziewczyny, tak rozbrykane, że od razu się zorientował, iż na ich zachowanie ma wpływ ecstazy. Obejmowały go, głaskały, całowały w usta, opowiadały, jaki jest wspaniały. Księżyc był boski, powietrze jak kryształ, a życie piękne jak skurwysyn.

Poprosiły, żeby popilnował im ubrań, i już po chwili stały nagie. Patrzył z brzegu, jak się pluskają niczym nimfy. Od czasu do czasu chlapały się wodą i posyłały mu pocałunki. Kiedy wyszły i ubrały się, choć nie do końca, zaproponował im piwo w swoim samochodzie. Jedna wlepiła w niego szkliste oczy.

- Lubisz się zabawić?

- Chyba po to tu jestem - odpowiedział niezobowiązująco, ale tak, żeby sobie nie zamykać drogi.

Dziewczyna sięgnęła mu do rozporka i zachichotała.

- Wierzę ci.

- Uwielbiamy to - jęknęła przeciągle druga.

To było widać, słyszać i czuć. Przez następną godzinę demonstrowały mu na tylnym siedzeniu, jak bardzo lubią balowanie. Kiedy im wreszcie powiedział, że musi się zbierać, ociągały się z pożegnaniem. Całowały go, obściskowały i błagały, żeby nie przerywał zabawy. W końcu jakoś się ich pozbył i uruchomił samochód. Jadąc w kierunku głównej drogi, dostrzegł grupę chłopaków, którzy patrzyli na niego z zazdrością. Musieli widzieć, jak gramoli się z samochodu z dwiema dupeczkami, ledwo mogąc się wyplątać z ich rąk i opędzić od napędzanych dragami czułości.

Na pewno marzyli, żeby mieć podobne powodzenie, mógł się założyć.

Zauważył też faceta, w którym rozpoznał tajniaka z brygady antynarkotykowej. Glina miał ze trzydziecę, ale nikt nie dałby mu więcej niż osiemnaście lat. Paktował przez okno samochodu ze znanym dilerem. Jaka różnica, on kupuje dragi, a ja robię to, co lubię, pomyślał John Rondeau.

Żadna. Żeby skutecznie walczyć ze zbrodnią, trzeba dogłębnie poznać jej naturę. Odkąd w jego wydziale wykryto istnienie Sex Clubu, sam się mianował czynnym obserwatorem. Oczywiście, po godzinach i po cywilnemu. Miał ambicję, by dostać się do Centralnego Biura Śledczego, najważniejszej jednostki w całym departamencie. Tam toczyły się najciekawsze sprawy i tam chciał pracować. Sprawa Kempów mogła mu znakomicie dopomóc w awansie. Była w centrum uwagi, bo łączyły się w niej trzy rzeczy: znane nazwisko, seks i niepełnoletnia ofiara. Wystarczy trochę pogłównkować, i już się jest asem w śledztwie.

Dla wydziału przestępstw komputerowych Sex Club był starą, zgraną płytą. Wiedziano o nim od wielu miesięcy, a że procederu nijak nie dawało się ukrócić, powoli o nim zapomniano. Ale nie Rondeau. Wiadomości zostawiane w skrzynce mailowej klubu rozpalały mu głowę. Uznał, że musi sprawdzić, jak jest naprawdę, czy korespondenci tylko fantazjują, czy rzeczywiście robią to, o czym piszą. Odkrył, że nawet najdziwsze fantazje w większości są tu realizowane.

Bardzo dobrze, że zajął się prywatnym śledztwem. Inaczej nie umiałby tak inteligentnie i wyczerpująco odpowiadać dziś rano na pytania Curtisa, Malloya i Paris Gibson. Czyli opłacało się policji, że za darmo poświęcił tyle czasu na tę sprawę. Teraz jednak musiał pracować jeszcze wydajniej. Od tego zależał awans do CBS. To była jego praca, jego święty obowiązek. A to, że pracował anonimowo...

Toni Armstrong nie zdziwiła nieobecność Brada. Nie wrócił z kliniki do domu. Wyjaśniła zaskoczonej opiekunce, że boli ją głowa, więc zrezygnowali z mężem z wieczoru w restauracji. Zapłaciła jej za pełne pięć godzin.

Trzy razy próbowała skontaktować się z Bradem przez komórkę. Trzy razy zostawiała wiadomości w poczcie głosowej, którą ignorował. Przygotowała dzieciom na kolację parówki. Wieczorem pograła z dziewczynkami w gry zręcznościowe, a syn obejrzał powtórkę Star Treka. Właśnie szli na górę, na kąpiel, kiedy pojawił się Brad z torbą pełną batonów i bukietem herbacianych róż dla Toni.

- Będziemy znów przyjaciółmi, dobrze? - poprosił miękkiem głosem. Toni nie była w stanie spojrzeć mu w oczy. Wzięła to za zgodę i szybko cmoknęła ją w policzek. - Jadłaś już?

- Czekałam na ciebie.

- Cudownie. Połóż dzieciaki spać, a ty przygotuj coś na ząb. Umieram z głodu.

Gdy wrócił do kuchni, mocno się zdziwił. Zatrzymał go widok dania, jakie przyrządziła mu Toni.

- Skąd to masz? - spytał agresywnym tonem. - Możesz nie mówić. Sam wiem.

- Domyślam się. Znalazłam to dziś po południu w twoim gabinecie. Kiedy bez usprawiedliwienia wyszedłeś z pracy, Brad. Całymi godzinami nie można się było do ciebie dodzwonić, nikomu nie powiedziałaś, dokąd się wybierasz. Więc nie miej teraz do mnie pretensji. Nie zamierzam się tłumaczyć z pogwałcenia twojego prawa do prywatności, bo działałam dla twojego dobra.

Widok tej kupy ostrej pornografii wytrącił mu broń z ręki. To było jak nokaut, fizyczny i psychiczny. Opadł na krzesło ze zgarbionymi ramionami i rękami bezradnie opuszczonymi na podółku. Toni wyjęła ze składziku plastikową torbę na śmieci i upchnęła w niej całą kolekcję plugawych zdjęć i pisemek. Potem zakleiła szczelnie plastikową taśmą i wyniosła do garażu.

- Jutro sama to wywożę na wysypisko - powiedziała, wróciwszy do kuchni. - Nie zniosłabym, gdyby ktoś przez przypadek otworzył torbę i sąsiedzi albo śmieciarz zobaczyli, co jest w środku.

- Toni, ja... Nie wiem, co powiedzieć. Chyba nie mam nic na swoją obronę?

Tym razem już nie.

Chcesz mnie zostawić? - Złapał ją za rękę i mocno uściśnął. - Błagam, nie rób tego. Kocham ciebie i dzieci. Błagam, nie niszcz naszej rodziny.

Ja niczego nie niszczę. - Toni uwolniła dłoń. - Ty to robisz, Brad.

Nie mogę się powstrzymać.

To jeszcze jeden powód, żebym zabrała od ciebie dzieci. A co by było, gdyby któreś z nich znalazło te obrazki?

Uważałem.

Uważałeś tak samo, jak uważa narkoman, by nic u niego nie znaleźli, albo alkoholik, który ukrywa butelki.

Och, przestań - krzyknął. Jego załamanie mijało, ustępując miejsca agresywności. Po chwili wróci też poczucie wyższości. Odgrywali tę scenę setki razy. Jego przeistoczenie z grzesznika w męczennika widać było jak na dłoni, a Toni знаła na pamięć wszystkie kolejne fazy. - Chyba sama rozumiesz, że porównywanie nieszkodliwego hobby z uzależnieniem od narkotyków jest po prostu śmieszne.

Nieszkodliwe hobby? Dziecięca pornografia, pedofilskie zdjęcia to nieszkodliwe hobby? Te dzieci zostały wykorzystane, zdeprawowane przez jakichś zwyrodnialców wyłącznie dla przyjemności ludzi takich jak ty. Jak możesz nazywać nieszkodliwym to, co rujnuje twoją karierę, twoje życie, twoje małżeństwo?

Małżeństwo? - prychnął. - Nie mam już żony, mam więziennego klawisza.

Jeśli nie przestaniesz, Brad, na pewno wylądujesz w więzieniu. To jest twój cel?

Nie pójdę do więzienia. - Wzruszył ramionami.

Już byś tam trafił, gdybyś się nie przyznał do uzależnienia od seksu, nie prosił o pomoc i nie obiecał, że będziesz z tym walczył.

Ja seksoholikiem! - Zaśmiał się przez nos. - Czy ty siebie słyszysz, Toni? To bzdura.

Doktor Morgan nie uważa, że to bzdura.

Boże! Dzwoniłaś do niego?

Nie, to on dzwonił do mnie. Od trzech tygodni nie przychodzisz na terapię.

Bo to czysta strata czasu. To wszystko, co tam opowiadają ludzie, po prostu mnie odrzuca. No sama powiedz, naprawdę uważasz, że to najlepszy sposób na spędzanie wolnych wieczorów?

Udział w grupowej terapii nakazał ci sąd.

Już widzę, jak się zabierasz do rozmowy z moim kuratorem. No, powiedz mu, że byłem niedobrym chłopczykiem, bo odmówiłem spotkań ze zbrojcami.

Nic mu nie muszę mówić. Doktor Morgan to zrobił.

Ten cały doktor Morgan to najgorszy psychol ze wszystkich! - wrzasnął. -

Sam jest byłym seksoholikiem. Wiedziałaś o tym?

Obowiązkiem doktora Morgana - ciągnęła Toni niewzruszenie - jest poinformowanie kuratora o co najmniej dwóch kolejnych nieobecnościach pacjenta. Masz z nim spotkanie jutro o dziesiątej rano. Obowiązkowo.

A moi pacjenci? A koledzy? Uważasz, że powinienem zlekceważyć umówione wizyty?

To są konsekwencje twojego postępowania.

Tak jak spanie na kanapie, jak sądzę.

Owszem, chcę, żebyś tam spał.

Na pewno. - Zmrużył złośliwie oczy. - Bo wszystko, co robimy w łóżku, to dla ciebie katorga.

Jesteś niesprawiedliwy.

Niesprawiedliwy? Ja? To ci powiem, że niesprawiedliwe jest mieć żonę, która tylko chrapie, zamiast się kochać. Kiedy ostatni raz to się zdarzyło?

Pewnie już nie pamiętasz? Na pewno nie, skoro całą energię przeznaczasz na szpiegowanie! - Poderwał się i podszedł do niej. Ścisnął jej kark tak mocno, że trudno to było pomylić z pieszczotą. - Może gdybyś częściej rozkładała nogi, nie musiałbym się gapić na brzydkie obrazki. - Przyciągnął ją do siebie. Odchyliła głowę, by uniknąć pocałunku, i próbowała go odepchnąć. Ale on przycisnął ją do kuchennego blatu i unieruchomił.

- Przestań, Brad! - krzyknęła, zaskoczona. - To nie jest zabawne.

Jej opór tylko go podniecił. Twarz mu poczerwieniała, gdy przycisnął się do niej biodrami.

- Czujesz go, Toni? Podoba ci się to?

- Zostaw mnie!

Pchnęła go tak mocno, że poleciał aż na stół. Zakryła usta ręką, usiłując stłumić szloch. Była urażona i przerażona. Nigdy jeszcze nie widziała swego męża w takim stanie. Stał się niebezpieczny, obcy.

Wstał i pozbierał się jakoś, a potem porwał marynarkę, kluczyki i pobiegł do drzwi. Dom aż się zatrzęsł, kiedy nimi trzasnął. Toni, kompletnie wyczerpana, rzuciła się na najbliższe krzesło. Przez kilka minut chlipała cicho, nie chcąc obudzić dzieci. Jej życie legło w gruzach i nic z tym nie mogła zrobić. Przecież kochała Brada, nawet teraz. A on odmawiał leczenia, jakby nie chciał się pozbyć swojej choroby. Dlaczego tak się uparł, żeby zniszczyć miłość, która ich kiedyś łączyła? Dlaczego przedkładał swoje „nieszkodliwe hobby” nad nią, nad dzieci? Czy nie byli dla niego więcej warci niż...

W jednej chwili znalazła się przy drzwiach do garażu. Torba, w której schowała pornografię, znikła. Brad zabrał ze sobą swoją pierwszą miłość.

Rozdział 13

W budynku rozgłosiła Paris miała swoje biuro, z którego korzystała, gdy akurat nie pracowała w studiu. Słowo „biuro” było dużą przesadą na określenie tej małej klitki. Nie było tu nic przyjemnego dla oka, pokój nie miał nawet okna. Dawno temu ściany pomalowano na paskudny sraczkowaty kolor. Wytłumiające płyty na suficie nosiły ślady licznych potopów. Ciemnoszara okładzina w wielu miejscach odłaziła od biurka, prawdopodobnie oskubana w chwilach depresji przez poprzedniego lokatora. Paris nie trzymała tu niczego własnego. Na ścianach nie było żadnych dyplomów w ramkach, kolorowych folderów z wakacji ani zdjęć przyjaciół czy rodziny. Był to zabieg celowy, bo obrazki i zdjęcia zawsze prowokowały ludzi do pytań.

Kto to jest?

To Jack.

Twój mąż?

Nie, mój narzeczony. Nigdy nie wzięliśmy ślubu.

A czemu? Co teraz robi Jack? To przez niego ciągle nosisz te czarne okulary?

To dlatego zawsze pracujesz sama? Żyjesz sama? Jesteś sama?

Takie pytania, nawet zadane w najlepszej intencji, przyprawiały ją o ciężki ból głowy. Wołała ich unikać, utrzymując stosunki z kolegami z pracy wyłącznie na gruncie zawodowym. Dlatego jej biuro wyglądało tak, jak wyglądało.

Mimo tej ascezy panował w nim bałagan. Na biurku piętrzyła się przychodząca poczta, wewnętrzne informacje i niezliczone próbki materiałów muzycznych, nadsyłane przez wytwórnie płytowe w celach promocyjnych. Jako że nie było tu miejsca na żadną szafkę, Paris próbowała sortować tę całą zbieraninę, ale bez większych efektów. Właśnie skończyła selekcję piosenek na wieczór i dobrała się do kupy listów. Siedziała nad nimi chyba z godzinę. W otwartych drzwiach zmaterializował się Stan. Był wściekły.

- Dzięki, Paris.

- Za co?

- Zgadnij, kto mnie dzisiaj odwiedził? - Wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi.

- Przestań się bawić w zgadywanki. Nie znoszę tego.

- Dwóch geniuszy z Austin.

- Policja? - Paris odłożyła list i spojrzała Stanowi w twarz.

- Wszystko przez ciebie.

- Byli u ciebie w domu? - Paris usiłowała zgadnąć, czy to Carson, czy nadgorliwy Griggs wpadł na pomysł przesłuchiwania Staną.

- Gestapowcy. - Stan odgarnął kupę papierów i przysiadł na brzegu biurka. - Przepytywali mnie i wszystko notowali w swoich małych czarnych notesikach.

- Przesadziłeś, Stan.

Paris, wezwana rano nagle do komendy, a potem uczestnicząca w przygnębiającej wizycie u

Kempów, prawie nie zmrugała oka, a czekał ją jeszcze czterogodzinny program na żywo. Musiała udawać, że wszystko jest w najlepszym porządku. Koszmarna perspektywa. Dlatego poświęcanie resztek energii na leczenie zranionej godności Stana nie wydawało jej się najrozsądniejsze.

- Dziś nad ranem zgłosiłam na policję wiadomość o telefonie od Valentina - wyjaśniła. - Zaginęła młoda dziewczyna z tej okolicy. Policja usiłuje zbadać, czy istnieje związek między jej zniknięciem a groźbami Valentina. Dlatego sprawdzają każdy, nawet pozornie nieważny ślad. To było rutynowe przesłuchanie, nie obrażaj się. Nie ty jeden jesteś na muszce. Marvina też mają na liście.

- Dzięki za dobre słowo. Jak mnie porównujesz z tym cieciem, od razu robi mi się lżej na sercu.

- Przepraszam. - Paris uznała, że tym razem miał powody do złości. - Policja czepia się ludzi, bo uważa, podobnie jak ja, że ten telefon to nie była zmyłka. Mam tylko nadzieję, że przesadzamy w obawach i wszystko dobrze się skończy. Ale jeżeli nasze podejrzenia są słuszne, dziewczyna może umrzeć. Tak czy inaczej, żałuję, że przez przypadek cię w to wszystko wciągnęłam.

- Rozmawiali z dyrektorem rozgłośni. - Stan się uspokoił, ale tylko trochę. Nie miewał cudzych bogów przed sobą, bo bogiem Stana był Stan. - Nasz szef zadzwonił zaraz do stryjka Wilkinsa, a stryjek do szefa policji, któremu z tego, co wiem, zasunął porządny opieprz.

- W tej sytuacji, jak rozumiem, ty zostałeś oczyszczony z wszelkich podejrzeń.

- A ktoś mnie o coś podejrzewał?! - wydarł się Stan.

- Tak mi się tylko powiedziało. Daj spokój. Idź i kup sobie jakiś fajny nowy gadżet. Założę się, że jeszcze nie masz wszystkiego, co wymyślili. Zrób sobie przyjemność, to się lepiej poczujesz.

- To nie takie proste, jak ci się wydaje, Paris. Mój stryj wściekł się sto razy bardziej niż ja. Przez całe popołudnie wydzwaniał do naszego szefa, maglując go, o co biega. To eufemizm, oczywiście. Uważaj, mogą i ciebie wezwać na dywanik.

- Już tam byłam.

Dyrektor stacji zadzwonił do niej, gdy właśnie wyjeżdżała od Kempów. Prosił o spotkanie - grzecznie, nie był to rozkaz. Ochrzani! ją za to, że nie dała mu znać o telefonie Valentina, nim zawiadomiła policję. Troszczył się przede wszystkim o publiczny wizerunek radia.

- Odegrałam mu nagranie rozmowy - poinformowała Staną. - Zdenerwowało go to, jak i nas wszystkich. Już rozmawiał z sierżantem Curtisem, który prowadzi śledztwo.

Rozmowę przeprowadził z włączonym nagłośnieniem, więc Paris wszystko słyszała. Zgodził się, by wszyscy pracownicy stacji 101,3, w tym Paris, współpracowali z policją. Zażądał jedynie, gdyby sprawa Janey Kemp została rozdmuchana, by nie łączyć jej z radiem. A jeśli już, to w minimalnym stopniu. Curtis odpowiedział po swojemu:

- Szczerze mówiąc, szanowny panie, sto razy bardziej mnie obchodzi życie tej dziewczyny niż reputacja pańskiej stacji.

Przed wyjściem poirytowany tym dyrektor poinformował Paris, że jej anonimowość wisi na włosku. Sama już o tym wcześniej myślała, ale miała nadzieję, że uda jej się trzymać z daleka od prasy i innych publikatorów. Latami z maniacką konsekwencją walczyła o zachowanie prywatności, niczym stryjek Sknerus o swój skarbiec pełen złota. Postanowiła, że nigdy więcej nie stanie się bohaterką sensacji na pierwszej stronie. Musiała się jednak zgodzić ze stanowiskiem Curtisa - najważniejsze było w tej chwili uratowanie życia ofiary Valentina. W porównaniu z tym uboczne skutki dotyczące jej własnego życia wydawały się nieistotne. Postanowiła całkowicie ugłaskać Staną.

- Daję ci słowo honoru, że zostałam zbesztana od góry do doki za to, że się wychyliłam przed

szereg. Nie tobie jednemu zmyli dzisiaj głowę. A teraz, czy byłbyś łaskaw mnie opuścić?

- Kupiłem sobie dzisiaj zegarek z GPS-em.

- Co ty mówisz?

- Już sobie dzisiaj kupiłem gadżet. Właśnie taki.

Paris wybuchnęła szczerym śmiechem, a Stan posłał jej pocałunek i skierował się do drzwi.

Wychodząc, rzucił jeszcze:

- Marvin dzwonił, że jest chory.

- Chory?

- Dostałem wiadomość do biura, na moją pocztę głosową. Powiedział tylko tyle.

Jak dotąd Marvin nie opuścił ani dnia pracy. Zaintrygowana jego nagłą niedyspozycją Paris zostawiła swoje papiery i poszła do małej kuchni, znajdującej się na tyłach budynku. O tej późnej porze na korytarzach było cicho i mroczno. Wszyscy już sobie dawno poszli, w pokojach panowały ciemności. Paris była przyzwyczajona do ciszy i mroku, jak i do specyficznego odoru, będącego kombinacją zapachu kurzu, przypalonej kawy i starej wykładziny, która wchłonęła dym z milionów papierosów, nim w budynku wprowadzono zakaz palenia.

Stacja 101,3 była własnością medialnego holdingu Wilkinsa, na który składały się redakcje pięciu gazet, trzech lokalnych stacji telewizyjnych, kablówka i siedem rozgłośni radiowych. Ich biura zajmowały trzy górne piętra wieżowca w Atlancie, niezwykle wysokiego i wysmukłego, ze szklanymi szybami windowymi i dwupiętrowym wodospadem pośrodku surowego, granitowego holu.

Natomiast budynek, w którym pracowała Paris, dom z odzysku po jakiejś zbankrutowanej firmie, nie był wysoki. Sylwetką przypominał włochatego mamuta. Nie było tu żadnych wodospadów, tylko gulgoczący ze starości, przeciekający nawilżacz powietrza. Ten brzydki, wolno stojący ceglany budynek mieścił się na wzgórzu na obrzeżach Austin, ładnych parę kilometrów od centrum. Zbudowano go zapewne w latach pięćdziesiątych i na tyle wyglądał po przejściu przez ręce dwudziestu dwóch kolejnych dzierżawców. Przy eleganckich, błyszczących szkłem i stałą apartamentach i wieżowcach wyglądał jak wrzód na dupie, ale bił je na głowę, jeśli chodzi o wysokość czynszu. Poza tym trzymał się nieźle i przynosił właścicielom stałe dochody. Mimo tych wszystkich braków Paris lubiła swój gmach, bo miał duszę i dzielnie znosił nieubłagany upływ czasu.

Po marszu ciemnymi korytarzami neonówka w kuchni wydawała się wyjątkowo jaskrawa. Choć Paris nosiła ciemne okulary, przez dłuższą chwilę i tak musiała przyzwyczajać oczy do zmiany natężenia światła. Wyjęła ze swojej osobistej szafki torebkę herbaty ekspresowej i włożyła do kubka z wodą, zagotowaną w mikrofalówce. Woda ledwie zaczęła się zabarwiać, gdy usłyszała jakieś głosy. Spojrzała w stronę holu i zdziwiła się na widok Deana, który szedł o parę kroków za Stanem.

- Nie mówiła mi, że spodziewa się gościa - powiedział do niego Stan.

- Bo się mnie nie spodziewa - odparł Dean. Stan zauważył Paris w kuchni.

- Dobijał się do frontowych drzwi. Nie chciałem go wpuścić, ale pokazał odznakę.

- Doktor Malloy pracuje w departamencie policji. - Paris usiłowała ukryć przed Stanem konsternację. - Został przydzielony jako psycholog do sprawy Valentina.

- To samo mi mówił. - Stan obciął Deana od góry do dołu uważnym spojrzeniem. - Dwa w jednym. Glina i spec od czubków.

- Coś w tym rodzaju. - Dean uśmiechnął się lekko.

Stan wodził oczami od niego do Paris, ale żadne się nie odezwało, więc zrozumiał, że już nie ma co robić w tym towarzystwie.

- Jeśli będę potrzebny, jestem u siebie - powiedział i odszedł.

Dean obserwował go, póki Stan nie oddalił się wystarczająco, by nie podsłuchiwać.

- To jest ten Crenshaw? Siostrzeniec właściciela? Pedał?

- Nie mam pojęcia. A co ty tutaj robisz, Dean?

- Ktoś powinien być z tobą podczas nocnego programu.

Wszedł do kuchni. W małym wnętrzu natychmiast zrobiło się ciasno.

- Stan jest ze mną.

- Powierzyłabyś mu swoje życie?

- Trafieś w czuły punkt - uśmiechnęła się słabo.

- Póki nie namierzemy Valentina, powinnaś mieć policyjną ochronę.

- Curtis proponował, że przyśle tu Griggsa i Carsona. Odmówiłam.

- Poznałem Griggsa. Stara się, jak może, ale ani on, ani...

- Carson.

- ...nie mają odpowiednich umiejętności negocjacyjnych. Powinienem być tutaj na wypadek, gdyby Valentino zadzwonił. Jeśli wyczuję, że się wymyka, spróbuję z nim porozmawiać, ustalić, czy chodzi o tę dziewczynę, i przekonać go, żeby nam zdradził kryjówkę.

W takich właśnie zadaniach specjalizował się Dean. Dlatego łatwo mu było wytłumaczyć i uzasadnić, skąd się tu znalazł. Paris jednak nie była przekonana.

- Przecież może wcale nie zadzwonić. Stracisz pół nocy.

- Nie stracę, Paris. Przyjechałem, bo chciałem się z tobą zobaczyć.

- Już się dziś widzieliśmy.

- Ale nie sam na sam.

Odstawiła kubek na zaplamiony blat i odwróciła się plecami.

- Dean, nie powinieneś tego robić.

Przybliżył się tak, że wstrzymała oddech w obawie, że ją dotknie. Nie miała pojęcia, jak by wtedy zareagowała, więc wołała tego nie sprawdzać.

- Nic się nie zmieniło, Paris.

- Wszystko się zmieniło - zaśmiała się ponuro.

- Kiedy weszłaś rano do mojego biura, wszystko wróciło. Wszystko. Zatkąło mnie, tak samo jak wtedy, kiedy cię po raz pierwszy zobaczyłem. Pamiętasz? To było tuż po śnieżycy.

Śnieżycą szalejąca nad Houston zmieniła się w zimny deszcz, który zacinał do środka, gdy Paris otworzyła drzwi Jackowi i Deanowi. Wciągnęła ich pospiesznie, na skutek czego cała ceremonia wzajemnego przedstawiania przeszła niezauważenie w chaosie zdejmowania mokrych płaszczy i walki z niesfornymi parasolami, z których kapą na podłogę. Kiedy płaszcze już zawisły na kołkach, a parasole wylądowały w kącie przedpokoju, Paris uśmiechnęła się do najlepszego przyjaciela Jacka.

- Zaczniemy jeszcze raz. Cześć, Dean. Ja jestem Paris. Cieszę się, że cię poznałam.

- Ja też.

Uścisk jego ręki był mocny, a uśmiech ciepły i przyjazny. Był znacznie wyższy od Jacka. Ciemnokasztanowe włosy siwiały mu lekko na skroniach. Nie miał rysów tak klasycznych jak Jack, ale był równie przystojny. Jack opowiadał Paris, że Dean musiał się od kobiet oganiać kijem. Teraz rozumiała, dlaczego. Jego lekko asymetryczna twarz była niebywale pociągająca, a jasnoszare oczy, okolone czarnymi, sterczącymi jak szpilki rzęsami - niepokojące. W sumie bardzo ciekawa

kombinacja.

- Myślałem, że Jack przesadza - powiedział.

- Jack? Nigdy.

- Kiedy go spytałem, jak wyglądasz, powiedział, że mnie zatka z wrażenia. Uważałem, że koloryzuje.

- Nie ma takich skłonności.

- Właśnie. Wszystko się sprawdziło.

Jack uśmiechnął się do nich z drugiego końca pokoju.

- Śmiało, możecie obrabiać mi tyłek, ja tymczasem zrobię drinki.

Na kolację pojechali do ulubionej knajpy Jacka. Na kawę przenieśli się do przytulnego baru z kominkiem. Mężczyźni wspominali szkolne czasy. Mówił głównie Jack, który był urodzonym gawędziarzem. Dean nawet nie próbował wchodzić mu w paradę. On z kolei był wspaniałym słuchaczem. Wypytywał Paris o jej pracę, a gdy opowiadała, jak to na co dzień wygląda, ani razu nie oderwał od niej oczu. Słuchał, jakby była prorokiem przepowiadającym przyszłość ludzkości. Zapamiętywał każde słowo i zadawał mądre, przenikliwe pytania. Talent Deana polegał na tym, że jego rozmówcy czuli się zawsze tak, jakby byli najważniejsi na świecie.

Jack tak się rozochocił, że wypił za dużo brandy i zasnął w samochodzie, którym Dean podjechał pod dom Paris.

- No, nie będziemy już mieli z niego pożytku - zauważył.

- Chyba masz rację. - Paris odwróciła głowę i spojrzała na chrapiącego narzeczonego. - Odstawisz go do domu?

- Jasne, bylebym nie musiał całować go na dobranoc.

- Cha, cha. Tyle się o tobie nasłuchałam od Jacka, że mam wrażenie, jakbyśmy przyjaźnili się od stu lat. Obiecuj mi, że niedługo znów się we trójkę spotkamy.

- Obiecuję.

- Świetnie. - Otworzyła drzwi auta.

- Poczekaj. Odstawię cię.

Mimo protestów wysiadł i podszedł do niej z rozpostartym parasolem. Razem doszli do frontowych drzwi. Odebrał jej klucze i sam otworzył zamek, a potem poczekał, aż odbezpieczy system alarmowy.

- Dzięki, Dean.

- Nie ma sprawy. Jaka jest data?

- Data?

- Ślubu. Chciałbym to sobie zanotować. Pierwszy drużba raczej powinien wiedzieć takie rzeczy, sama rozumiesz.

- Jeszcze nie wiem dokładnie, ale na pewno we wrześniu albo w październiku.

- Dopiero? Jack mi mówił, że zaraz.

- On chciałby zaraz, a ja chcę, żeby to było na jesieni, bo lubię te kolory.

- Ja też lubię. Bieriecie ślub kościelny?

- W obrządku prezbiteriańskim.

- A gdzie odbędzie się wesele?

- W klubie golfowym.

- Będziesz mieć z tym mnóstwo zachodu.

- Na pewno.

- Hmmm.

Dean jakby nie zauważał, że krople wody spadają mu z parasola prosto na buty. Paris też nie zwracała uwagi na to, że woda kapie na podłogę w przedpokoju. Jak na pierwsze spotkanie, ich pożegnanie było zdecydowanie zbyt długie. Wreszcie to on przerwał niezręczną sytuację.

- Dobranoc, Paris.

- Dobranoc.

Często się zdarza, że narzeczone od pierwszego wejrzenia zaczynają nie cierpieć przyjaciół swoich chłopaków, stawiając ich w trudnych sytuacjach wyboru: on albo ja. Tym razem było inaczej. Paris od pierwszego wejrzenia bardzo polubiła Deana. I była z tego ogromnie zadowolona, wróżąc sobie szczęśliwą przyszłość.

Teraz Dean pociągnął ją za rękę i zmusił, by spojrzała mu w oczy. Patrzył na Paris równie intensywnie, jak tamtej, pierwszej nocy. I z tym samym skutkiem. Czowała, że się zatracca, i postanowiła z tym walczyć.

- Błagam cię, Dean. Przestań. - Spróbowała go wyminąć, ale zastąpił jej drogę.

- Okoliczności się zmieniły, Paris, ale problem pozostał.

- Problem? Jaki problem? Liczyło się tylko jedno: Jack.

- To musiało być dla niego piekło. Doskonale o tym wiem.

- Nie wiesz, jakie piekło przeżył po wypadku.

- Zgoda, nie wiem. - Przybliżył twarz do jej twarzy. - Nie wiem dlatego, że to ty nie pozwoliłaś mi wiedzieć. Nigdy nie pozwoliłaś mi go odwiedzić.

- Bo na pewno by nie chciał, żebyś ty, właśnie ty, widział go w takim stanie - powiedziała łamiącym się głosem. - Daję ci słowo honoru, że przez ostatnie siedem lat wegetował jak jarzyna, póki lekarze nie stwierdzili zgonu.

- Żal mi tego, co się stało, tak samo jak tobie - wyszeptał gorączkowo. - Wiedziałaś o tym? Myślałaś, że cokolwiek kiedykolwiek zapomnę? O Boże, Paris, czy ty myślisz, że jestem łajdakiem? Musiałem żyć z tym garbem, tak samo jak ty. - Odetchnął ciężko i przeczesał palcami włosy. Na chwilę odwrócił oczy, ale zaraz znów na nią spojrzał. - Trudno, może się śmiertelnie obrazisz, ale muszę powiedzieć to, co myślę. Ten wypadek spowodował Jack. Specjalnie. Nie ty i nie ja, tylko on sam.

- Nie byłoby wypadku, gdyby...

- Ale stało się to, co się stało. I nie możemy tego cofnąć.

- Walczymy z poczuciem winy, doktorze Malloy?

- A żebyś wiedziała. Nie zamierzam się dać zeżreć przez wyrzuty sumienia. Muszę przez to jakoś przejść.

- Dobre usprawiedliwienie.

- Uważasz, że to twoje hodowanie w sobie winy jest lepsze? Zdrowsze? Chcesz mi powiedzieć, że to ja chowam głowę w piasek? - Dean rozejrzał się po kuchni. - Spójrz tylko, gdzie ty pracujesz. To jakaś obskurna, brudna szcurza nora.

- Mnie się tu podoba.

- Bo uważasz, że to dobre miejsce na pokutę. - Gdy zbliżył się jeszcze bardziej, w obronnym odruchu skuliła łokcie. Bała się nie tyle jego bliskości, ile prawdy jego słów. Wiedziała, że Dean ma rację, choć nie chciała tego wszystkiego słuchać. - Paris, robisz w tym radiu świetną robotę. Ludzie

cię kochają. Ale tak naprawdę powinnaś być gwiazdą największego dziennika telewizyjnego.

- Dlaczego mi to mówisz?

- Bo to prawda. A co więcej, ty też świetnie wiesz, że mam rację.

Nie była w stanie dłużej patrzeć mu w twarz, w te przenikliwe oczy. Spuściła głowę i wbiła wzrok w szare linoleum. Walczyła ze sobą, bo miała ochotę złapać go za kłapy i prosić, by więcej o tym nie mówił albo przekonał ją wreszcie, że już swoje odpokutowała.

- Zrobiłam to, co powinnam zrobić - powiedziała cicho.

- Bo uważałaś, że to twój obowiązek?

- To był mój obowiązek.

- Był - powtórzył dobitnie Dean. - A co teraz, kiedy Jack już nie żyje? Jakie masz obowiązki?

Złapał ją za ramiona. Dotknęli się po raz pierwszy od siedmiu lat. Przeszyła ją fala ciepła i musiała walczyć z pragnieniem, by się do niego przytulić. Całym ciałem.

- Dean, nie rób tego, proszę. Musiałam podjąć kilka trudnych decyzji i już to zrobiłam. Jak sam powiedziałeś, sprawa jest skończona. O to akurat nie zamierzam się kłócić.

- Ja też nie.

- Ale ja nie chcę o tym mówić - dodała.

- To nie będziemy mówić.

- Nie chcę o tym nawet myśleć.

- A ja nie mogę przestać myśleć i nigdy nie przestanę.

Powiedział to niższym niż zwykle głosem i jeszcze mocniej ścisnął jej ramiona. Niezauważalnie zbliżył się tak, że czuła na włosach jego oddech. Temat rozmowy też się zmienił. Od śmierci Jacka przeszli do wspomnień jeszcze bardziej niebezpiecznych i kłopotliwych. Paris zdobyła się jednak na to, by znów spojrzeć Deanowi w oczy.

- Dlaczego kryjesz się za ciemnymi okularami, Paris?

- Nie kryję się.

- Jak to? Ja w tym ciemnym holu o mało się nie zabiłem.

- Jestem przyzwyczajona.

- Hello, darkness my old friend... Witaj, mroku...

- Simon i Garfunkel.

- Puszczalaś to ostatnio?

- Chyba to ty powinieneś zostać didżejem. - Uśmiechnęła się, próbując przenieść rozmowę na inną, mniej niebezpieczną płaszczyznę, lecz z Deanem takie numery nie przechodziły.

- Jesteś piękną kobietą, ale nikt, kto cię słucha, nie wie, jak wyglądasz.

- W radiu to nie jest konieczne.

- Normalnie ludzie z radia nie kryją się po kątach. A ty znana jesteś tylko z głosu.

- I to mi wystarcza. Nie chcę być bohaterką pism kobiecych.

- Naprawdę? To po co ci te okulary?

- Musi je nosić, bo ma oczy wrażliwe na światło.

Żadne z nich nie zauważyło Stana, póki się nie odezwał. Dean natychmiast wypuścił Paris z uścisku. Stan obrzucił go wrogim spojrzeniem, ale nie dlatego tu przyszedł, lecz po to, by przekazać Paris wiadomość:

- Jest za pięć dziesiąta. Harry zaraz przeczyta dziennik i po reklamach ty wchodzisz na antenę.

Rozdział 14

- Cześć, Gav!

Gavin obejrzał się i zobaczył Melissę Hatcher, która po chwili się z nim zrównała. Kiedy spojrzała na niego, jej rozradowany uśmiech nagle znikł.

- Spadaj, Melisso - zaczął bez żadnych wstępów. - Chcesz, żebym miał przesrane w domu, czy jesteś aż taką idiotką, że nie umiesz trzymać gęby na kłódkę?

- Obraziłeś się na mnie?

- A jak ci się zdaje?

- Co ja ci takiego zrobiłam?

- Powiedziałaś mojemu staremu, że się znamy.

- No i co z tego?

- To z tego, że dzisiaj zabrał mnie na kolację i wypytywał o Sex Club.

- Akurat! - Melissa klepnęła się po udzie. - Ja bym mu miała opowiadać o Sex Clubie!

- Od kogoś musiał się dowiedzieć.

- Tamten gliniarz mu powiedział. Taki mały, łysy. - Pociągnęła jointa i zaproponowała macha Gavinowi. - Masz. Musisz się uspokoić. - Gavin odsunął skręta z marihuany.

- Co wiesz o Janey?

- Wdepnęła w jakieś gówno. Szukają jej starzy i gliny. Wszyscy. - Melissa zobaczyła grupę znajomych i zawołała głośno: - Hej, cześć! Wróciłam z Francji i mam mnóstwo do opowiadania.

- Janey naprawdę zginęła? - Gavin zastąpił jej drogę i zasłonił widok.

- Chyba tak. Przynajmniej tak mówił twój stary. Przystojny facet, swoją drogą. Ma jakąś babę?

Gavin pomyślał, że Melissa jest głupia jak but, i nie tylko dlatego, że się ogłupiała marychą. Musiała mieć od urodzenia pół mózgu. Była mentalnym zerem. Ale czy wrodzona głupota mogła być usprawiedliwieniem?

- Melisso, co wiesz o Janey? - powtórzył. - Nic.

- Przecież to twoja najlepsza przyjaciółka.

- Byłam za granicą - burknęła rozeźlona. - Nie widziałam naszej królowny od tygodni. Pasuje? - Zaciągnęła się znowu. - Słuchaj, tam ludzie na mnie czekają. Wyluzuj.

Podbiegła do grupki, która podłączyła ogrodowego węża do beczki, i teraz wszyscy pociągali z niego po kolei. Wylewało się przy okazji mnóstwo piwa, ale nikt nie zwracał na to uwagi, bo jeszcze dużo zostało.

Gavin podszedł do swoich znajomych, zebranych koło samochodu Craiga. Puścił w obieg butelkę maker's mark, którą ukradł z barku ojca. Stary był tak zaabsorbowany szukaniem śladów Janey Kemp, że z pewnością szybko nie zauważy braku burbona. Craig wyciągnął scyzoryk, żeby otworzyć zalakowany korek.

- Miałeś krzywizny?

- Jak cholera. - Gavin oparł się o błotnik i rozejrzał dokoła w poszukiwaniu znanej twarzy i

sylwetki.

- Byłeś strasznie zmarnowany.
- Jakoś się dotelepałem do domu.
- Już to widzę.
- Akurat. - Gavin przypomniał sobie incydent ze skrzynką na listy. - Rzygałem jak kot.

Chłopcy się roześmieli, a potem jeden zapytał:

- Słyszałeś o Janey? Zniknęła.
- Pisali o tym w gazecie - dodał drugi. - Matka pytała, czy ją znałem.
- Mam nadzieję, że jej nie powiedziałaś, jak dobrze ją znałeś.
- Nie mógłbyś jej powiedzieć, że się znaliście w sensie biblijnym.
- A masz jakieś inne biblijne skojarzenia?
- Mój kuzyn jest kaznodzieją.
- No i co?
- Próbowałem mnie nawrócić. Ale mu nie wyszło. Daj butelkę.

Chłopcy po kolei lali w gardło whisky, obrzucając się docinkami. Craig wyskoczył z szoferki i stanął obok Gavina.

- Co jest z tobą, stary? - Nic.
 - Jesteś wkurzony? - Craig próbował wyciągnąć coś z Gavina, ale szybko dał sobie spokój.
- Nagle zapytał podekscytowanym szeptem: - Hej, widzieliście tamtego gościa?

Gavin spojrzał we wskazanym kierunku i zobaczył faceta, który wyskakuje z tylnego siedzenia i poprawia ubranie. Za nim wyszły dwie dziewczyny, pierwszej kategorii laski, cycate blondyny w typie Barbie, choć poza tym tak chude, że na pewno obie miały implanty.

- Plastikowe cycki - mruknął Gavin.
- A co to szkodzi?
- Ciekawe, czy wiedzą, że ten typ to gliniarz - powiedział Craig.
- Gliniarz? - Gavin aż podskoczył. - Na pewno nie.
- Tak wszyscy mówią.

Chłopcy patrzyli, jak cała trójka się obściskuje. Potem facet odprawił dziewczyny, klepiąc je na pożegnanie po tyłkach i obiecując, że niedługo znów się spotkają. Laski poszły w swoją stronę, niestety nie tam, gdzie czatowało towarzystwo Craiga i Gavina. Facet wsiadł do samochodu i wyminął łukiem ich półciężarówkę. Gavinowi udało się spojrzeć mu w oczy.

- Nadziany sukinsyn - warknął Craig.
- Jesteś pewien, że to glina?
- Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent.
- Więc co on tu robi?
- To samo, co my, tylko z lepszym skutkiem.
- Z dwukrotnie lepszym.

- Ma fajfus szczęście. - Patrzyli za znikającymi światłami samochodu, po czym Craig zagadnął Gavina: - Widziałem, że gadałeś z Melissą.

- Tylko do tego się nadaje. Do gadania. - Gavin opowiedział Craigowi, że Melissa napatoczyła się na jego ojca koło domu Kempów. - Stary wie o Sex Clubie.

- Nie przejmuj się - prychnął Craig. - Mogą nam naskoczyć. No bo co, będą namierzać wszystkie komputery?

- To samo powiedziałem staremu. Mają przegwizdane.

Gavin specjalnie używał wulgarnego języka, żeby ukryć, jak fatalnie się czuje i jak bardzo się martwi. Z tego samego powodu znów złamał zakaz i wymknął się wieczorem z domu. I tak miał kłopoty, więc co za różnica, czy jeszcze bardziej podpadnie. Parę tygodni wcześniej przewidująco dorobił drugi komplet Kluczyków do samochodu. Kiedy tylko ojciec pojechał do radia, Gavin wyszedł.

Ale nie czuł się bohaterem. Myślenie o tym, co złego może się zdarzyć w najbliższej przyszłości, bynajmniej nie poprawiało mu humoru.

- Jak ci się wydaje, gdzie ona może być? - Pytanie Craiga przerwało nagle tok jego myśli.

- Kto? Janey? A skąd ja mam wiedzieć?

- Myślałem, że kto jak kto, ale ty możesz wiedzieć.

- Niby dlaczego?

- Bo wczoraj widziałem, jak byliście razem - powiedział Craig z pretensją.

Gdy wybrzmiały ostatnie dźwięki *FU Never Love This Way* Ai>ain, Paris powiedziała do mikrofonu:

Słuchaliście Dionne Warwick. Mam nadzieję, że macie kogoś bliskiego, kto pomoże wam urzeczywistnić najpiękniejsze marzenia.

W studiu było tego wieczora ciasno i duszno, oczywiście za sprawą Deana. Przez ostatnie trzy godziny i szesnaście minut siedział na wysokim obrotowym krześle, identycznym jak to, które zajmowała Paris. Był w wystarczającej odległości, by mogła swobodnie manewrować przyciskami na pulpicie, ale zbyt blisko, by mogła zapomnieć o jego obecności. Siedział bez ruchu i prawie się nie odzywał, ale nie spuszczał z niej oczu. Odczuwała to szczególnie silnie teraz, kiedy powiedziała o spełnianiu marzeń.

Jest pierwsza szesnaście, gorąco. Dla ochłody w stacji 101,3 będę wam puszczać aż do drugiej najpiękniejsze piosenki miłosne. Dzwońcie do mnie.

Opowiedzcie, co wam leży na sercu. Na razie, na prośbę Marge i Jima, którzy obchodzą dziś trzydziestą rocznicę ślubu, posłuchamy piosenki zespołu The Carpenters. Marge, Jim, życzę wam wszystkiego najlepszego.

Gdy zaczęła się piosenka *Close to You*, Paris wyłączyła mikrofon i, rzucając spojrzenie na Deana, nacisnęła guzik z migającym światełkiem linii telefonicznej z miasta.

- Mówi Paris.

- Cześć Paris, tu Roger.

Od początku programu oboje z Deanem obawiali się, a jednocześnie mieli nadzieję, że odezwie się Yalentino. Dean przyniósł dyktafon, który leżał teraz na pulpicie, gotów do nagrywania. Po usłyszeniu Rogera Dean i Paris momentalnie się odprężyli.

- Witaj, Roger.

- Mogę prosić o piosenkę na życzenie?

- Z jakiej okazji?

- Bez okazji. Po prostu lubię tę piosenkę.

- To mi wystarczy. Co chciałbyś usłyszeć?

Paris z wprawą wybrała utwór w elektronicznej wyszukiwarce i zastąpiła nim wcześniej przygotowaną piosenkę. Wstała z krzesła, masując dłońmi obolałe lędźwie, i przeciągnęła się.

- Zmęczona? - zapytał Dean.

- Wczoraj w nocy prawie nie zmrużyłam oka, a dziś nie miałam czasu na drzemkę. Ty też musisz być zmęczony. Nie jesteś przyzwyczajony do pracy o tej porze.

- I tu się mylisz. Rzadko przesypiam całą noc. Drzemię, nasłuchując, czy Gavin już wrócił.

- Przyjechał do ciebie na wakacje?

- Nie. Na zawsze.

- Ale chyba nic się nie stało Pat? - spytała zaskoczona.

- Nie, u niej wszystko w porządku - odparł szybko, żeby się nie niepokoiła. - Naprawdę świetnie jej się wiedzie. Wyszła za męża za fajnego faceta. Tylko że Gavin ma na ten temat inne zdanie.

Paris poznała byłą żonę Deana na jednym z meczów Małej Ligi, w której grał Gavin. Pat nawet zaprosiła ich z Jackiem na przyjęcie urodzinowe syna. Paris dobrze zapamiętała tę drobną, ładną, bardzo zasadniczą kobietę. Jack bez wypytywania powiedział jej, że Dean i Pat pobrali się tuż po ukończeniu szkoły, ale mieszkali razem niespełna rok, tylko po to, by mały Gavin miał dokąd wrócić ze szpitala. Nie pasowali do siebie i oboje o tym wiedzieli, więc zdecydowali, że rozstaną się od razu. Choć Gavin został z Pat, Dean odwiedzał go kilka razy w tygodniu i, jak dobry ojciec, brał aktywny udział we wszystkich etapach dorastania chłopca. Chodził z Pat na wywiadówki, występował jako trener drużyn piłkarskich Gavina i w ogóle udzielał się, ile mógł. Wiele dzieci po rozwodzie cierpi z powodu nieobecności jednego z rodziców. Paris podziwiała Deana za to, że tak poważnie traktuje swoje obowiązki.

- Nie umiał się dogadać z ojczymem? - spytała.

- Wyłącznie z własnej winy. Zaczął się tak okropnie zachowywać, że nie można było z nim wytrzymać pod jednym dachem. Oboje z Pat doszliśmy do wniosku, że powinien na próbę zamieszkać ze mną. - Tu Dean opisał, jakie ma kłopoty z synem. - Mówię ci, Paris, o niczym innym nie marzyłem, tylko o tym, żeby dzieciak był u mnie. Zrobię wszystko, żeby to się udało.

- Na pewno ci się uda, ale na to potrzeba trochę czasu. Gavin to fajny chłopak.

- Ostatnio nie za fajny. Wręcz okropny - roześmiał się. - Ale mam nadzieję, że ten fajny chłopak, którego zapamiętałaś, gdzieś tam w nim drzemie i w końcu się obudzi.

O wpół do drugiej Paris odczytała skrócony serwis informacyjny. Po nim szły reklamy, więc mogła odebrać kilka telefonów od słuchaczy. Pierwszy z nich chciał się z nią umówić na randkę, ale grzecznie odmówiła.

- Powinnaś się zgodzić - prowokował ją Dean - facetowi zależało jak cholera.

- Raczej był pijany jak cholera - odparła z uśmiechem, kasując rozmowę. Potem zadzwoniła rozanielona młoda narzeczona.

- Podał mi kieliszek z winem, a w środku był pierścienek zaręczynowy - opowiadała. Nawet piskliwe tony nie zagłuszały jej uroczego brytyjskiego akcentu. - Moje kumpelki w Londynie nie uwierzą! Całe życie uwielbiałyśmy serial Dallas i marzyłyśmy o poznaniu takiego przystojniaka z Teksasu!

Paris dołączyła się do śmiechu rozradowanej dziewczyny i spytała o piosenkę na życzenie.

- She's Got a Way. Mój ukochany mówi, że Billy Joel mógłby ją napisać o mnie.

- Z pewnością ma rację. Czy mogę puścić naszą rozmowę na antenę?

- Super!

Paris zanotowała jej nazwisko i odebrała jeszcze kilka telefonów. Po reklamach puściła rozmowę i piosenkę szczęśliwych zakochanych, a następnie Precious and Few, po której miała lecieć The Rose. Obsługiwała konsolę niemal automatycznie, więc jednocześnie mogła prowadzić z

Deanem dalszą rozmowę o Gavinie.

- Co ci powiedział, kiedy wymieniłeś nazwisko Melissy Hatcher?

- Udawał, że jej nie zna.

Paris spojrzała pytająco, a Dean zrozumiał ją bez słów.

- Mnie to też martwi. Jaki miał powód, żeby się wypierać? Do znajomości z Janey Kemp również nie chciał się przyznać, póki go nie przycisnąłem.

- Jak dobrze ją znał?

- Pobieźnie. Przynajmniej w jego wersji, ale ostatnio tak kłamię, że nie mogę mu do końca wierzyć.

- W czasach zepsutego rowerka było inaczej.

- Pamiętasz to?

- Przyszliśmy z Jackiem do twojego domu na grilla. Gavin spędzał u ciebie weekend. Jeździł na rowerze z dzieciakami z sąsiedztwa, ale szybko wrócił na piechotę. Szprychy w przednim kole były kompletnie połamane. Zapytałeś, czy robił stójkę na kółku, a kiedy się przyznał, odesłałeś go na górę, do pokoju.

- To była przykra kara, bo on uwielbiał wasze towarzystwo. A potem jeszcze kazałem mu zarobić różnymi pracami na wymianę tego zepsutego koła.

- Ostro, ale sprawiedliwie.

- Tak uważasz?

- Tak. Dałeś mu lekcję, że wszystko ma jakąś wartość, ale chyba zrozumiał, że tak naprawdę to nie zniszczenie roweru cię zdenerwowało.

- Sto razy mu klarowałem, żeby nie jeździł na jednym kole ani nie skakał z górki. - Dean uśmiechnął się smętnie. - Mówiłem, że to niebezpieczna zabawa. Nie chciałem, żeby został dawcą organów.

- Słusznie. Mógł sobie rozbić głowę albo złamać kark. To cię przerażyło i dlatego zareagowałeś tak, a nie inaczej.

- Pewnie powinienem mu to wszystko wytłumaczyć.

- Sam wiedział - powiedziała miękko.

Popatrzył na nią i to spojrzenie było jak dotyk. Trwało, póki nie wybrzmiał song Bette Midler. Paris odwróciła się do konsoly i włączyła mikrofon.

- Nie zapominajcie włączyć radia jutro rano. Charlie i Chad dotrzymają wam towarzystwa w drodze do pracy. A na razie słuchacie Paris Gibson i klasycznych standardów miłosnych. Odbieram wasze telefony do drugiej. Proszę dzwonić. - Gdy rozpoczął się ostatni zestaw piosenek, zauważyła:

- Zostało tylko dziewięć minut.

- O tej porze zadzwonił wczoraj? - spytał Dean, a Paris kiwnęła głową. - Będiesz mogła z nim rozmawiać bez przerywania?

- Tak. - Wskazała dłonią zegar. - Po tej piosence lecą jeszcze dwie.

- Więc zostaje ci tylko pół minuty na pożegnanie.

- Dokładnie tyle.

Dean spojrzał na światełka telefonów. Migwały trzy linie.

- Jeśli się okaże, że to nie Valentino, nie przedłużaj rozmowy. Niech ma dostęp. A jeśli to będzie on, koniecznie poproś o możliwość rozmowy z Janey.

Paris wzięła głęboki wdech. Dean trzymał palec na przycisku do nagrywania. Podniosła telefon i

nacisnęła jeden z guzików. Jakaś Rachel chciała dla swego męża Pete'a piosenkę It Might Be You.

- To Stephen Bishop.

- Pierwsza melodia, jaką tańczyliśmy na naszym weselu.

- To tak piękna piosenka, że szkoda jej na tę późną godzinę - powiedziała Paris, obiecując rozmówcy, że puści następnego dnia w pierwszej kolejności.

- Super. Dzięki.

Paris spojrzała na Deana i nacisnęła kolejny guzik.

- Mówi Paris.

- Cześć, Paris.

Na dźwięk tego głosu krew zamarła jej w żyłach. Rzuciła rozpaczliwe spojrzenie na Deana, który uruchomił magnetofon. Vox Pro zarejestrował numer, z którego dzwono, a Dean go zapisał. Gapił się w monitor, jakby chciał zobaczyć nie tylko numer, ale i twarz dzwoniącego.

- Cześć, Valentino.

- Jak minął dzień? Bardzo byłaś zajęta?

- Dałam sobie radę.

- Nie popisuj się, Paris. Mnie możesz się zwierzyć. Co robiłaś, że byłaś taka zajęta? Myślałaś o mnie chociaż trochę? Czy uznałaś, że jestem szajbussem? Zgłosiłaś się na policję?

- A niby czemu? Jeśli nie pozwolisz mi porozmawiać z dziewczyną, nie mam powodu wierzyć, że ona naprawdę istnieje i że wczoraj mówiłaś prawdę.

- Nie pogrywaj ze mną tak głupio, Paris. Oczywiście, że dziewczyna istnieje. Po co miałbym do ciebie dzwonić, gdyby to nie była prawda?

- Po to, żebym zwróciła na ciebie uwagę.

- No i co? Udało się tym razem? - zachichotał.

- Dlaczego powiedziałeś „tym razem”?

- Bo kiedy wcześniej cię ostrzegałem, to mnie olałaś. No i widzisz, co się porobiło.

- Nie wiem, o czym mówisz, Valentino. - Paris spojrzała na Deana i bezradnie pokręciła głową.

- A chcesz się dowiedzieć? - drażnił się z nią. - To poproś ładnie, a może to i owo ci podpowiem. Tylko musisz być dla mnie bardzo, bardzo miłutka. Na samą myśl się podniecam. - Oddychał teraz ciężko i głęboko, co wyraźnie słyszała w słuchawce. - Już sam twój głos mnie kręci. Pomyślałem sobie, że moglibyśmy się razem zabawić, Paris. I to całkiem niedługo.

Wzdrygnęła się, ale panowała nad głosem.

- Nie wierzę, że więzisz tę dziewczynę, Valentino. To tylko taka mitomańska gadka, żeby mnie podpuścić.

Dean kiwnął głową z aprobatą.

- Znowu próbujesz robić ze mnie idiotę, Paris. Odradzam. Już i tak zmarnowałaś dwadzieścia cztery z siedemdziesięciu dwóch godzin, jakie ci dałem. Następne czterdzieści osiem dla mnie będą znacznie lepszą zabawą niż dla ciebie. Co do mojej zakładniczki, to jest trochę zmarnowana, a jej prośby i jęki zaczynają mi działać na nerwy. Ale pierdolić się może, a mnie jeszcze staje.

Telefon się wyłączył.

- To inny numer niż zeszłej nocy - powiedział Dean, sięgając po komórkę. - Zauważyłaś coś szczególnego, Paris? Jakaś zmianę w tonie głosu?

Dean był policjantem, był uodporniony. Ona nie. Przejęta telefonem, poczuła, że rola detektywa chyba ją przerasta.

- Nie - odparła chrypliwie. - Głos był taki sam.

- Też mam takie wrażenie, ale myślałem, że mogłaś coś wyłapać... Cześć, Curtis. Notujesz numer? To inny telefon.

Gdy Dean rozmawiał z Curtisem, do studia wpadł Stan.

- Paris, mamy ciszę na antenie!

Zapomniała się i nie zauważyła, że muzyka ucichła. Błyskawicznie złapała mikrofon.

- Życie zdrowo, bezpiecznie, kochajcie się. Paris Gibson życzy wszystkim dobrej nocy. -

Nacisnęła automatycznie kilka guzików i oznajmiła: - Koniec programu.

- Ten świr znowu dzwonił? - spytał Stan. Dean nie słyszał ich, zajęty rozmową z Curtisem.

- Słuchaj, Stan, zostaw wiadomość rannej ekipie technicznej. Niech przegrają ostatni telefon z Vox Pro na kasetę i zrobią kilka kopii. I niech Chad i Charlie przypadkiem tego nie wykasują, uprzedź ich.

- Paris - Stan był ciężko obrażony - wiesz przecież, że sam to świetnie umiem. Mogę ci to zaraz przegrać.

Zawahała się, nie wierząc w jego techniczne umiejętności. Ale był tak zdołowany, że powiedziała:

- Dzięki, Stan. To nam bardzo pomoże.

Dean skończył rozmowę, poderwał się z krzesła i złapał magnetofon - wszystko jednym płynnym ruchem, jak sprężyna.

- Dzwonił z budki. Patrole już tam jadą.

- Ja też chcę jechać.

- Pewnie, że jedziesz. Nie ma mowy, bym cię teraz spuścił! z oka. Pchnął drzwi. Wybiegli. Paris odwróciła się jeszcze i zawołała do Stana:

- Podrzucić mi te kasety do domu, dobra, Stan?

Dean wypchnął ją z budynku, nim Stan miał szansę się odezwać.

Rozdział 15

Melissa Hatcher była zazdrosna o Janey Kemp ze wszystkich powodów, dla których jedni zazdroszczą czegoś drugiem. Janey miała więcej kasy, była ładniejsza, bystrzejsza, wszyscy ją znali, no i miała o wiele większe powodzenie. W jednej dziedzinie Melissa była jednak lepsza od Janey. Prześcigała ją sprytem. Gdyby starała się rywalizować z Janey w otwartej walce, jak kobieta z kobietą, z góry byłaby na przegranej pozycji. Zamiast tego wymyśliła sobie chytrze, że zostanie najlepszą przyjaciółką Janey.

Kiedy jednak pierwszego wieczora po powrocie z Francji chciała się znaleźć w centrum uwagi, okazało się, że tematem dnia znów jest Janey i jej tajemnicze zniknięcie. Melissa była wściekła. Miała w zanadrzu rewelacyjne historie o plażach nudystów na Lazurowym Wybrzeżu, o hektolitrach wypitego wina i o dragach, jakie brała. Opowieści o tym, jakim sposobem zdobyła kolczyk do sutka w St. Tropez, słuchano by z zapartym tchem przez pełne pół godziny. A tymczasem nikt nie był ciekaw jej europejskich przygód, wszyscy gadali tylko o Janey.

Melissa nie wierzyła w żadną z fantastycznych teorii na temat Janey. A spekulacje były najrozmaitsze: od teorii, że uciekła z szefem kapeli Dallas Cowboy's, poznanym w klubie na Six Street, przez porwanie dla okupu, który miałby zapłacić jej nadziany stary, aż po pomysł, że uwięził ją jakiś zboczony maniak seksualny.

Akurat, pomyślała rozeźlona Melissa.

Gdyby Janey dała nogę z jednym z Kowbojów, z całą pewnością poinformowałyby o tym, kogo by się tylko dało. Gdyby sędzia był szantażowany, zaoferowałyby kidnaperom okup w świetle telewizyjnych kamer i wykorzystałyby całą sprawę w kampanii reelekcyjnej. A jeśli chodzi o seks, to Janey potrafiłaby dać ostrą szkołę najgorszemu maniakowi.

Nie, Janey na pewno przedobrzyła z balowaniem i gdzieś się ukryła, żeby dojść do siebie. Wróci w chwale na scenę, uradowana z zamieszania, jakie spowodowała. Wyciągnie z tego same korzyści i będzie na jeszcze większej fali niż teraz. Tak, to była cała Janey. Uwielbiała prowokować i straszyć ludzi, a polem się z nich naśmiewać.

Mnie też zrobiła w konia, myślała rozzalona Melissa. Janey, nawet nieobecna, ukradła jej cały towarzyski blask po europejskiej podróży. Wieczór okazał się kompletnie zmarnowany. Nastrój miała pod psem. Nasłuchawszy się o Janey tyle, że wychodziło jej to uszami, postanowiła iść do domu, tłumacząc senność zmianą czasu. Kiedy jednak zobaczyła tamtego starszego faceta, od razu zmieniła zdanie.

Widziała go już wcześniej. Nie mogła na sto procent ufać własnej pamięci, ale gotowa była się założyć, że Janey zabawiała się z nim przynajmniej raz. Nie czuła się komfortowo na myśl, że gdyby Janey tu była, znów by ją wybrał. Ale Janey nie było. Melissa wolnym krokiem podeszła do miejsca, gdzie stał oparty o drzwi samochodu.

- Dopiero przyjechałeś czy odjeżdżasz?

- Ani jedno, ani drugie. - Uśmiechnął się leniwie. Melissa klepnęła go, niby żartem, po rękę.

- Myślę, że źle zrozumiałeś moje pytanie.

- A nie miało być semantycznie aluzyjne?

Nie za bardzo wiedziała, o co mu chodzi, więc tylko wzruszyła ramionami i posłała mu swój najbardziej uwodzicielski uśmiech.

- Możliwe. - Przystojniak, uznała. Mógł mieć około trzydziestu pięciu lat. Trochę stary i zblazowany, ale co z tego. Jej relacja z podróży na pewno zrobi na nim wrażenie. - Właśnie wróciłam z Francji.

- No i jak było?

- Francowato fajnie. Uśmiechnął się z jej żartu.

- Była totalna masakra, mówię ci! Za cholerę nie wiedziałam, co mówią, ale mi się podobało. Widziałam faceta, który pił wino do śniadania. Starzy w ogóle tam dają dzieciakom pić wino, uwierzysz? I ludzie opalają się nago na publicznych plażach.

- Ty się też opalałaś?

- A jak myślisz? - Uśmiechnęła się i puściła oko. Wyciągnął rękę i klepnął jej ramię.

- Komar.

- Gryzą dzisiaj jak diabli. Moglibyśmy pogadać w samochodzie. Otworzył jej drzwi dla pasażera, a sam usiadł za kierownicą. Przekręci! kluczyk, włączając klimatyzację.

- Od razu lepiej - powiedziała, moszcząc się wygodniej na obitym skórą fotelu. - Fajna bryka - dodała, rozglądając się po wnętrzu auta. Zauważyła na tylnym siedzeniu dużą plastikową torbę.

- Torba na śmieci.

- Phi! Sama widzę. Ciekawe, co jest w środku.

- Chcesz zobaczyć? Sięgnął po torbę i położył jej na podolku.

- Mam nadzieję, że to nie brudna bielizna? - spytała, a on się roześmiał. Melissa odlepiła plastry i zajrzała do środka, po czym wyjęła jeden z magazynów. Okładka i tytuł mówiły same za siebie, ale postanowiła udawać starą wyjadaczkę. - We Francji takie rzeczy możesz kupić na każdym rogu. Nikt się specjalnie nie gorszy. Mogę rzucić okiem?

- Proszę cię bardzo. Gdy zagłębiła się w oglądanie zdjęć, jego palce zaczęły błądzić po wewnętrznej stronie jej ud. Pochylił się, by dotknąć ustami koniuszka piersi.

- Co to?

Pamiątka z Francji. - Uniosła podkoszulek i dumnie pokazała kolczyk na sutku. - Jeden mój znajomy z plaży znał dentystę, który na boku robił takie rzeczy.

Roześmiał się. Co w tym zabawnego? Nic. I tak nie zrozumiesz. - Pogłaskał srebrne kółko opuszkiem palca.

Na automatycznej sekretarce domowego numeru Deana było nagranych aż siedem wiadomości od Liz. Przesłuchał wszystkie.

- Nie rozumiem, dlaczego do tej pory się nie odezwałeś - brzmiała ostatnia. - Już nie jestem nawet zła, Dean, ale się po prostu boję. Czyżby coś się stało tobie albo Gavinowi? Jeśli odbierzesz tę wiadomość, zadzwoń, proszę. Jeśli przez godzinę się nie odezwiesz, zacznę obdzwaniać wszystkie szpitale w Austin.

Nagranie z trzeciej dwadzieścia. Podobnie odsłuchał na telefonie komórkowym. Ostatnia rzecz na świecie, na jaką miałby ochotę, to telefon do Liz. Nie, przedostatnia - ostatnia rzecz to była perspektywa jej telefonów po szpitalach. Wykręcił numer. Odebrała po pierwszym sygnale.

- U mnie OK - powiedział. - Nikt nie jest w szpitalu, a ty masz prawo się na mnie wściekać.

Trudno.

- Dean, co się dzieje?

- Praca. - Opadł na krzesło przy kuchennym stole i zanurzył palce we włosach. - Mamy kryzys.

- Nic nie słyszałam...

- Bo to nie żaden kryzys polityczny. Nie rozbił się samolot, nie wprowadzono stanu zagrożenia, nie było masowych mordów, nic z tych rzeczy - przerwał jej szybko. - Ze mną też wszystko w porządku. Ale mam do rozpracowania parszywą sprawę. Zaczęło się dziś rano... Nie, wczoraj rano. Kryminalni chcieli konsultacji i od razu wpadłem w to wszystko po uszy. Dopiero wróciłem do domu, jestem wykończony. Co oczywiście mnie nie usprawiedliwia.

Co to za sprawa?

Porwanie dziewczyny. Podejrzany o typie egotycznym. Zadzwoił i poinformował nas, co zamierza jej zrobić, jeśli jej nie znajdziemy w wyznaczonym przez niego terminie. - Dean nie miał siły opowiadać bardziej szczegółowo. Ponadto nie chciał, by przy okazji wypłynęło nazwisko Paris.

To nie był czas na to, by wyjaśniać jej całą złożoną sytuację.

Przykro mi, że wpadłeś w takie piekło.

Daj spokój, Liz. To mnie powinno być przykro. - Faktycznie, miał ku temu mnóstwo powodów. Po pierwsze, oszukiwał, że odwzajemnia jej uczucie, a po drugie robił to tak skutecznie, że mu uwierzyła. Po trzecie, zgodził się, by za nim przyjechała z Houston, choć nie powinien. Po czwarte, żałował, że nie została w Chicago na zawsze. Zapytał bez przekonania: - Jak ci poszło ze Szwedami?

To byli Duńczycy. Kupili moją ofertę.

Gratuluje i wcale się nie dziwię.

Co u Gavina?

W porządku.

Nie kłóćcie się?

Jeszcześmy się nie pozabijali.

Mamy masz głos. Odkładam słuchawkę. Połóż się spać.

Ale chciałbym ci się wytłumaczyć...

To bez znaczenia, Dean.

To ma znaczenie. Martwiłaś się o mnie. Czuję się winny. - Dean był zły, że Liz nie okazywała złości. Gdyby się naprawdę wkurzyła i go obraziła, czułby się chociaż trochę usprawiedliwiony. Nie chciał, by grała rolę rozumiejącej i wybaczącej partnerki. Nie chciał być traktowany w rękawiczkach. Chciał, żeby się wściekła. Ale prawdziwa kłótnia wymagała walki, a on się czuł jak pusta skorupka, więc dał za wygraną. - Tak czy inaczej, przepraszam cię.

- Załatwione. A teraz idź do łóżka. Porozmawiamy jutro.

- Obiecuję. Dobranoc.

- Dobranoc.

Pociągnął długi łyk z butelki z wodą i ruszył przez ciemny dom do swojej sypialni. W pokoju Gavina nie paliło się światło, nawet ekran komputera był wyłączony. Dean zatrzymał się na chwilę i zajrzał do środka.

Gavin spał. Miał na sobie tylko bieliznę. Leżał na plecach z rozrzuconymi długimi nogami, obok skotłowana kołdra. Był prawie tak długi jak łóżko. Oddychał przez usta, robił to od dziecka. Wyglądał bardzo młodo i niewinnie. Miał dopiero szesnaście lat - już nie był chłopczykiem, jeszcze nie mężczyzną. Ale we śnie bardziej przypominał małego chłopca.

Patrząc na niego, Dean zrozumiał, że dziwne klucie w piersiach to była miłość do tego dzieciaka. Nie kochając matki Gavina - tak jak ona go nie kochała - syna kochał z całego serca. Oboje go kochali. Od dnia poczęcia skierowali uczucie, które powinno ich łączyć jako parę, na trzecią, nową osobę, którą spłodzili.

Oczywiście, Gavin nie miał pojęcia, jak bardzo kochają go rodzice. Nie umieli mu tego w pełni okazać. Nie rozumiał zatem, że sankcje dyscyplinarne, jakie stosowali, nie były dla nich przyjemne i miały służyć tylko dla jego własnego dobra. Dean miał ambicję, by być dobrym ojcem. Chciał, żeby wszystko toczyło się jak najlepiej i żeby syn ani na chwilę nie zwątpił w jego miłość. Ale po drodze musiał zaniedbać różne sprawy, i teraz wszystko to wychodziło na jaw. A syn bynajmniej nie zamierzał mu pomóc. Nawet nie udawał, że mu na tym zależy. Dean, z poczuciem fiaska, cicho zamknął za sobą drzwi.

Jego sypialnia była duża, miała wysoki sufit, szerokie okna i kominek. Przydałoby się trochę ozdób, ale na razie zadowalał się niezbędnymi rzeczami - łóżkiem i szafką. Powiedział Liz, że urządzenie tego pokoju pozostawia jej - po ślubie. Kłamał i jej, i sobie. Nigdy jeszcze nie poprosił kochanki, by spędziła noc w jego domu, w jego sypialni.

W łazience włożył telefon do gniazda ładowarki, żeby mieć go pod ręką. Szybko rozebrał się i wszedł pod prysznic. Gorąca woda spływała po jego ciele, podczas gdy porządkował w głowie wszystkie wydarzenia, jakie zaszły od telefonu Valentina. Gonitwa do budki telefonicznej była daremnym wysiłkiem. Dla wszystkich: dla policjantów w radiowozie, dla sierżanta Curtisa, który w środku nocy był równie schludnie ubrany jak w dzień, dla niego samego, no i dla Paris. Przyjechali na krótko po tym, jak stwierdzono, że w okolicy namierzonego punktu nie ma ani śladu Valentina. Pawilon Wal-Martu zamknięto wiele godzin temu. Wyludniony parking był wielką betonową pustynią. Nie zauważono żadnych świadków poza kotem, który pożywiał się przy śmietniku resztkami kanapki.

- A koty nie mówią ludzkim głosem - zauważył sucho Curtis, podsumowując sytuację.

Wszyscy w trójkę siedzieli w samochodzie detektywa, z kaczem po nieudanej próbie schwytania Valentina. Paris z tyłu, Dean z przodu.

- Zrobiłem nagranie rozmowy - powiedział. - Możemy je przesłuchać.

- Wygląda na to, jakby nie wiedział, że go ścigamy - powiedział Curtis, gdy nagranie się skończyło.

- No to jesteśmy do przodu - burknął Dean.

- Tylko do jutra, kiedy cała sprawa znajdzie się w gazetach. - Curtis zwrócił się do Paris: - Co on miał na myśli, kiedy mówił, że go poprzednio olałaś?

- Nie mam pojęcia, tak jak mu powiedziałam.

- Nie pamiętasz żadnego wcześniejszego ostrzeżenia?

- Gdybym takie dostała, zawiadomiłabym policję.

- Tak jak to zrobiła wczoraj. - Deanowi nie podobał się wzrok, jakim detektyw patrzył na Paris. -

Do czego zmierzasz?

- Do niczego. Po prostu się zastanawiam.

- To spróbuj myśleć głośno, jeśli łaska.

Curtis spojrzał na niego i już miał coś odwarknąć, gdy uświadomił sobie, że Dean przewyższa go rangą.

- Myślałem o Paris.

- A dokładniej?

- O jej wysiłkach, żeby zachować anonimowość. Nie rozumiem tego - wyznał, spoglądając teraz na nią. - Inni ludzie z mediów uwielbiają się popisywać. Gonią za sławą. Walczą o miejsca na billboardach. Udzielają wywiadów, pokazują się publicznie i tak dalej.

- Nie mam potrzeby reklamowania siebie. Mój program to nie żaden wielki show. To inna muzyka i ja też jestem inna. Ograniczam się do bycia głosem w ciemności. Intymnym głosem z radia. Gdyby moi słuchacze wiedzieli, jak wyglądam, nie mieliby do mnie tyle zaufania. Często jest łatwiej rozmawiać z kimś kompletnie nieznanym niż z najbliższym przyjacielem.

- Valentinowi na pewno łatwiej - skomentował Curtis. - Jeśli cię rzeczywiście nie zna.

- Może jeszcze nie zna, ale chce poznać - powiedział Dean.

Curtis i Paris zrozumieli, że odnosi się to do obietnic Valentina, iż niedługo zostaną kochankami. Curtis jednak dalej trwał przy swoim pomysłu.

- Wiecie, że niektórzy z tych dewiantów seksualnych wyglądają bardzo pospolicie. Albo gorzej - są brzydzy, grubi i zupełnie inni, niżby sugerowały ich głosy.

- Dobra uwaga - przyznał Dean. - Idźmy tym tropem.

- Zamiast przeciągać się namiętnie w łóżu z jedwabną pościelą, co usiłują zasugerować przez telefon swoimi rozmówcom, siedzą w brudnym swetrze i w kapciach w śmierdzącej kuchni. Wszystko jest sprawą wyobraźni. - Curtis znów obejrzał się na Paris. - Ludzie, słysząc twój głos, mimowolnie wyobrażają sobie, jak wyglądasz. Sam sobie to wyobrażałem.

- No i co?

- Nie zgadłem. Wyobraziłem sobie, że masz czarne włosy i ciemne oczy. Jak wróżka.

- Przykro mi, że cię rozczarowałam.

- Nie powiedziałem, że jestem rozczarowany, tylko że nie wyglądasz aż tak egzotycznie, jak by na to wskazywał twój głos. - Curtis usiadł wygodniej, by nie wykręcać do tyłu szyi. - Mówię to wszystko po to, by wam uprzytomnić, że ludzie mogą sobie stwarzać bardzo różne wyobrażenia twojej osoby.

I Valentino należy do tej grupy.

- Paris nie może ponosić odpowiedzialności za to, jak ją sobie wyobrażają słuchacze - wtrącił Dean. - Zwłaszcza ci z problemami psychicznymi, emocjonalnymi czy seksualnymi.

- Już to mówiłeś. - Curtis uznał uwagę Deana za nieistotną i nadal mówił do Paris: - Dlaczego chcesz pozostać anonimowa? Z powodów osobistych?

- Tak. Po prostu chronię swoją prywatność. Kiedy się pracuje w telewizji, człowiek tak czy inaczej jest nieustannie na widoku, nawet jeśli nie występuje na antenie. Nigdy mi się to nie podobało w poprzedniej pracy. Moje życie było jak otwarta książka. Wszystko, co mówiłam, było poddawane ocenie i komentarzom przez ludzi, którzy mnie w ogóle nie znali. A w radiu mogę sobie pozwolić na to, by zejść do cienia. Mogę chodzić, gdzie chcę, i robić, co chcę, bez poczucia, że jestem na widelcu i że wszystko, co zrobię, staje się tematem do plotek.

Mruknięcie Curtisa zdradzało, że jest świadomy, iż usłyszał najwyżej połowę prawdy, ale w tym momencie zdecydował się nie drażyć tego tematu.

- Jak długo przechowujesz stare nagrania z rozmów?

- Na zawsze.

- To mnóstwo taśmy - skrzywił się.

- Mówiłam przecież, że przechowuję tylko te, które moim zdaniem są warte przechowywania.

- W porządku, to ile tego jest? Setki? - Gdy przytaknęła, ciągnął dalej: - Moglibyśmy przeznaczyć pozostałe czterdzieści osiem godzin na przesłuchiwanie tych taśm, ale możemy też zacząć od drugiej strony...

- I przejrzeć stare kartoteki - Dean rozumiał, do czego zmierza Curtis.

- Właśnie. Już dzwoniłem do kumpla, który tam pracuje. - Wydział Archiwów znajdował się w oddzielnym budynku, położonym dość daleko od kwatery głównej. - Obiecał sprawdzić, czy ma jakieś przypadki podobne do sprawy Janey Kemp.

- A jeśli coś znajdzie, sprawdzimy na taśmach Paris, czy w tym czasie miała telefony od Valentina.

- Nie podniecajcie się za bardzo - przestrzegła ich Paris. - Mogłam skasować tamte rozmowy. A poza tym, chyba nie przepuściłabym informacji o planowanym morderstwie.

- Myślę, że za pierwszym razem nie informował o tym aż tak dosłownie - powiedział Dean. - Seryjni gwałciciele czy porywacze nabierają śmiałości stopniowo. Zaczynają od delikatnych aluzji, aż za którymś razem dochodzą do takiej bezczelności, że sami się skazują na złapanie.

- Mam podobne doświadczenia - rzekł Curtis.

- Niektórzy chcą być złapani - powiedział Dean. - Aż się proszą, żeby ich powstrzymać.

- Nie wiem dlaczego, ale Valentino nie pasuje mi do tej kategorii - odezwała się Paris. - Jest bardzo pewny siebie. Wręcz arogancki.

Dean rzucił szybkie spojrzenie na Curtisa i od razu zrozumiał, że stary detektyw myśli tak samo. Na nieszczęście on też musiał się z tym zgodzić.

- Z drugiej strony - powiedział - facet może nami manipulować. Może nie pamiętasz telefonu z ostrzeżeniem dlatego, że go w ogóle nie było. Valentino próbuje blefować, by odciągnąć naszą uwagę.

- Bardzo prawdopodobne - przytaknął Curtis. - Czuję, że facet śmieje się z nas w kulkę. - Znów odwrócił się do Paris. - Co wiesz o Marvinie Pattersonie?

- Do wczoraj wiedziałam tylko, jak mu na imię.

- Czemu pytasz? - włączył się Dean.

- Bo uciekł. Kiedy moi ludzie zawiadomili go telefonicznie, że jadą go przesłuchać, Marvin Patterson zwał w popłochu. Zostawił na stole brudny talerz i jeszcze ciepły kubek z kawą. Musiał się naprawdę spieszyć.

- Ciekawe, co ma do ukrycia.

- Właśnie to sprawdzamy - odparł Curtis. - Numer ubezpieczenia społecznego, jaki podał w kadrach, należał do dziewięćdziesięcioletniej czarnej staruszki, która parę miesięcy temu zmarła w domu opieki.

- Więc to nie było prawdziwe nazwisko? - spytał Dean.

- Powiem ci, jak się dowiem.

- Ten Marvin, czy jak mu tam, nawet jeśli ma coś do ukrycia, nie może być Valentinem - odezwała się Paris. - Valentino zmienia głos na diaboliczny szept, ale mówi wyraźnie. A Marvin, jeśli się w ogóle odzywa, bełkoce i mamrocze.

- A jak wygląda i ile ma lat? - spytał Dean.

- Około trzydziestki. Nigdy mu się specjalnie nie przyglądałam, ale chyba jest przystojny i sprawia dobre wrażenie.

- Poczekamy, zobaczymy - mruknął sentencjonalnie Curtis.

- Znalazłeś coś ciekawego na dysku Janey? - spytał go Dean.
- Same świństwa. Mnóstwo tego. Listy od innych dzieciaków.
- Albo od prześladowców.

- No, nie wiem - zaproponował Curtis. - Gdziekolwiek to się zaczęło, z całą pewnością dotyczy głównie środowiska szkolnego. Rondeau wydrukował nam listę adresową Janey i teraz identyfikuje pseudonimy.

Po tej rozmowie się rozstali. Choć Paris prosiła, by jej nie eskortowano i nie pilnowano, została przegłosowana. Curtis zawczasu posłał Griggsa i Carsona pod jej dom.

- Wariują na twoim punkcie, jesteś gwiazdą. Nawet prezydenta nie pilnowaliby lepiej. Zostaną na twoim osiedlu do rana.

Dean miał ją odwieźć.

- A co będzie z moim samochodem? - spytała.

- Poproś któregoś z wielbicieli, niech ci go rano podstawi.

Pokierowała go do swego domu, który leżał w pagórkowatej, lesistej okolicy na obrzeżach śródmieścia. Budynek z kamienia stał na tle kępy rozłożystych dębów, a architekci przestrzeni zapracowali na swoje pieniądze. Kręta ścieżka wysadzana z boków kwiatami prowadziła na przestronny ganek. Bliźniacze latarnie, umieszczone symetrycznie po obu stronach czarnych drzwi, oświetlały wejście. Do tego przytulnego miejsca nie bardzo pasował wóz patrolowy zaparkowany przed podjazdem. Na widok zbliżającego się samochodu wyskoczyło z niego dwóch młodych policjantów.

- Odprowadzę ją. - Dean pomachał do nadgorliwego Griggsa. Wszedł do środka i sprawdził, czy alarm nie zarejestrował prób włamania, po czym obszedł cały dom, zaglądając do szaf i kabin prysznicowych, a nawet pod łóżko.

- Valentino nie jest typkim, który kryłby się pod łóżkiem - zauważyła Paris.

- Gwałciciele często kryją się w domach ofiar i czekają na ich powrót. Na tym polega ich zabawa.

- Chcesz mnie nastraszyć?

- No pewnie. Chcę, żebyś się bała i uważała, Paris. Ten facet mści się na kobietach, rozumiesz? Jest zły na Janey - a zakładamy, że o nią chodzi - za to, że próbowała go wykołować. A na ciebie jest zły za to, że stanęłaś po jej stronie.

- Nie wiedziałam, że w ogóle staję po czyjejś stronie.

- On ma spaczone widzenie świata, a w takich przypadkach...

- Racja. Sama to wiem.

- Sugestia, że niedługo zostanieiecie kochankami, oznacza, że to ciebie wybrał na swoją następną ofiarę. Nie rozróżnia tych dwóch rzeczy.

- Więc... - Paris przygryzła wargę. - Kiedy załatwi Janey, zabierze się do mnie.

- Ja w każdym razie będę się stara! mu w tym przeszkodzić. - Dean podszedł i położył dłonie na jej ramionach. - Dopóki nie siedzi w areszcie, to się go bój.

- Jeszcze się nie boję - odrzekła ze słabym uśmiechem. - Ale głupia nie jestem. Będę się pilnować. - Spróbowała odsunąć się od niego, lecz jej nie puścił.

- Po raz pierwszy, odkąd się przyjaźnimy, jesteśmy razem w sypialni.

- To my się przyjaźnimy?

- A nie?

- Tak - powiedziała po dłuższym namyśle. - Kiedyś byliśmy przyjaciółmi.

- Dobrymi przyjaciółmi.

Po tych słowach zdjął jej okulary, rzucił na krzesło i z obawą zajrzał prosto w oczy. Były tak samo piękne, jak je zapamiętał. Ciemnoniebieskie, mądre, wyraziste. Paris patrzyła na niego upartym, jasnym wzrokiem. Dean odetchnął z ulgą.

- O Boże, a ja się tak bałem, że straciłaś wzrok w jednym oku albo doznałaś uszkodzenia nerwu i dlatego nosisz te okulary...

- Nie, nie miałam trwałych urazów - powiedziała głucho. - Nie mam nawet widocznych blizn. Ale moje oczy wciąż są wrażliwe na jaskrawe światło.

Nie odrywając od niej wzroku, Dean pochylił się i pstryknął wyłącznikiem. W pokoju zapanował mrok. Pozostał w tej pozycji i teraz ich ciała dotykały się od piersi do kolan. Paris się nie odsunęła, nawet kiedy objął dłońmi jej szyję i zanurzył je we włosy. Pochylił twarz nad jej twarzą.

- Nie, Dean.

Słowa te nie miały jednak żadnego znaczenia. Jej wargi rozchyliły się, gdy poczuły dotknięcie jego ust. A kiedy zetknęły się ich języki, wydała jęk, który był jakby echem jego pożądania. Przycisnął ją do ściany, spragniony, wyczekujący. Objął ramieniem talię, przytulając jeszcze mocniej, jeszcze bardziej zwiększając napięcie. Oderwała usta i wyjęczała jego imię. Pocierał wargami o jej powieki i policzki, szepcząc:

- Tak długo czekaliśmy, Paris... Tak strasznie długo...

A potem wznowił pocałunek i nasycił się nią jeszcze gwałtowniej niż za pierwszym razem. Pieścił jej ciało, aż doszedł do piersi. Sutki sterczały z podniecenia, nim zdołał dotknąć ich kciukiem. Poczł jej dłonie na swoich pośladkach, gdy rytmicznie kołysali się w naturalnym rytmie bioder. Zaczął coś szeptać i sięgnął ustami jej piersi.

- Pani Gibson! Doktorze Malloy!

Dean poderwał się gwałtownie, przed oczami zawirowały mu czerwone płatki. Paris zamarła, a potem odsunęła się szybko od ściany.

- Cholerny krawężnik! Zabiję go! - wykrztusił i przez chwilę naprawdę miał ochotę to zrobić. Mógłby wypaść z domu i zadusić Griggsa gołymi rękami, gdyby Paris nie złapała go za ramię i nie powstrzymała. Minęła go, poprawiając ubranie i włosy, i zeszła do salonu. Griggs stał już w progu.

- Zostawili państwo otwarte drzwi - zwrócił się do Deana, który stanął o pół kroku za Paris. - Wszystko w porządku?

- Oczywiście - uspokoiła go Paris. - Doktor Malloy był tak uprzejmy, że sprawdził wszystkie zakamarki w domu.

Griggs spoglądał na nią podejrzliwym wzrokiem. Albo zauważył jej rumieniec i nabrzmiałe wargi, albo zdziwił się, że ciężko oddycha, a może zaskoczył go widok jej twarzy bez ciemnych okularów. Dean nie był w tym momencie zdolny do żadnej dyplomacji, więc wydał tylko krótki rozkaz:

- Możecie odejść. - Nie znosił policjantów, którzy wykorzystują swój stopień służbowy, ale teraz sam to zrobił, i to z przyjemnością.

- Doktor Malloy też już odjeżdża - powiedziała uprzejmie Paris. - Doceniamy panów profesjonalne podejście.

- Jakiś facet... Mówił, że nazywa się Stan... Zostawił to dla pani. - Griggs wręczył jej kasety.

- Dobrze. Dziękuję bardzo.

- Połóżcie je na stole, Griggs.

Policjant wykonał polecenie Deana. Jeszcze raz rzucił zachwycone spojrzenie na Paris, zasalutował i zamknął za sobą drzwi. Dean wyciągnął rękę, ale Paris się odsunęła.

- Nie powinniśmy tego robić.

- Czego robić? Całować się?

- To nie był zwyczajny pocałunek, Dean. - Rzuciła mu zawstydzone spojrzenie.

- Ty to powiedziałaś, nie ja.

- Nie łap mnie za słówka - Objęła ramiona obronnym gestem. - To się już nie powtórzy.

Patrzył na nią spokojnie przez kilka chwil, i dostrzegł wszystko: jej napięcie, jej obronną postawę.

- Nie zachowuj się tak, Paris - powiedział cicho.

- Jak się mam nie zachowywać? Racjonalnie?

- Nie wycofuj się. Nie zamykaj. Nie uciszaj mnie, nie karz ani siebie, ani mnie.

- Musisz iść. Oni na to czekają.

- Chrzanię to. Ja czekałem siedem lat.

- Na co? - przerwała mu gniewnie. - Na co czekałeś, Dean? Aż Jack umrze? Obraza była celna, tak jak to sobie zamierzyła. Specjalnie to powiedziała, żeby go zranić i sprowokować. Ale on się nie da. Poskramiając zmysły i uczucia, powiedział spokojnym, cichym głosem:

- Cały czas czekałem na okazję, żeby się do ciebie zbliżyć. Nawet w takich okolicznościach.

- I czego oczekiwałeś? Że rzucę ci się w ramiona? Że o wszystkim zapomnę, i... - przerwała nagle.

- I co, Paris? - Dean uniósł brwi. - I że mnie pokochasz? To chciałaś powiedzieć? Tego się tak cholernie boisz? Że wtedy kochaliśmy się jak szaleni i dalej się kochamy? Nie odpowiedziała. Podeszła do drzwi wyjściowych i otworzyła je na całą szerokość. Mając za plecami gończe psy w radiowozie, musiał wyjść.

Teraz jednak, kiedy stał pod zimnym prysznicem, jego ciało nadal płonęło pożądaniem. Pożądał jej odpowiedzi na zadane przez siebie pytanie.

Rozdział 16

Janey straciła już nadzieję na ucieczkę. Teraz jedynym celem była walka o przetrwanie. Jej wysiłki, by wydostać się z tego pomieszczenia, wydawały się tak nierealne jak najdalsze wspomnienia z dziecięcych przyjęć urodzinowych. Oglądała zdjęcia, które wtedy robiono, ale nie czuła związku między sobą a małą dziewczynką w srebrnej koronie, która gasiła świece na wielkim torcie. Podobnie było teraz - miała wrażenie, że niedawne próby ucieczki i zemsty na porywaczu planował ktoś zupełnie inny.

Była tak osłabiona, że nawet gdyby miała wolne ręce i nogi, nie byłaby w stanie się ruszyć. Był tu dwukrotnie i ani razu nie dał jej jedzenia ani wody. Bez jedzenia mogłaby przeżyć, ale gardło miała wysuszone z pragnienia. Błagała go wzrokiem, lecz ignorował jej nieme prośby. Był rozmowny i wesoły, pozwalał sobie na cyniczne żarty. Przekrzywiając głowę, wpatrywał się w nią z nowym zainteresowaniem i mówił.

- Chyba nikt za tobą specjalnie nie tęskni, Janey. Tylu ludzi źle potraktowałaś. Zwłaszcza mężczyzn. Masz talent i zamiłowanie do tego, żeby ich uwodzić, a potem publicznie poniżać. Obserwowałem cię wiele razy, zanim przyszedłaś tu ze mną po raz pierwszy. Niczego nie zauważyłaś, prawda? A tak było.

Dowiedziałem się, jakiej ksywki używasz w Internecie. Kot w Butach, prawda? Sprytnie wymyślone i pasuje, bo lubisz nosić kowbojki. Szczególnie te czerwone, prawda? Raz nawet je miałaś, kiedy tu przyszedłaś. Zaczekaj! Poszukamy. - Zaczął się kręcić po pokoju, aż znalazł album, którego szukał. - O, mam. To ty, w tych butach. W samych butach, jeśli chodzi o ścisłość. - Podsunął jej fotografie przed oczy. Odwróciła głowę i opuściła powieki. Rozzłościł się. - Naprawdę uważasz, że komuś cię brak, Janey? Niedługo potem poszedł. Poczowała ulgę, ale i strach, że już nie wróci, że ją tu zostawi. Załkała głośno, mimo że usta miała zalepione taśmą. A może tylko jej się zdawało, że to było głośno. Zakrztusiła się i przeraziła myślą, że własnymi Izami można się udławić podobnie jak wymiocinami. Trzymaj się, Janey!

Musiała się trzymać. Musiała to wszystko przetrwać. Trzeba tylko wytrzymać, a pomoc na pewno nadejdzie. Rodzice nie spoczną, póki nie przekopią w poszukiwaniach całego Austin. Tata jest bogaty. Wynajmie prywatnych detektywów, poruszy FBI, wojsko, uruchomi wszelkie środki, by ją odnaleźć.

Nienawidziła niektórych twardogłowych policjantów z Austin, którzy prawili jej morały, że się upija, jara i niemoralnie prowadzi. Gdyby nie była córką sędziego Kempa, nieraz trafiłaby do aresztu. Ale innych lubiła. Potrafiła bajerować młodych, przystojnych oficerów, którzy mieli znacznie bardziej liberalne poglądy niż ci starzy. Choćby ten facet z brygady antynarkotykowej, który po cywilnemu działał na terenie szkoły. Uwiesić go było dla Janey wyzwaniem, a kiedy się to wreszcie udało, rozczarowała się. Tak czy inaczej, miała swoje wejścia w policji. Oni też będą szukać.

Jej prześladowca dzwonił do Paris Gibson. Nie wiedziała po co i nawet nie chciało jej się o tym myśleć. Był strasznie z siebie dumny z tego powodu. Nagrał tę rozmowę i później jej puścił. Czyżby

chciał się popisać, że jest po imieniu ze sławną dziennikarką? Egoista i idiota. Niemożliwe, by nie wiedział, że Paris w radiowych rozmowach z każdym jest na ty. Wszystko jedno. Ważne, że wciągnął ją do gry. Taka osoba może pociągnąć za wiele sznurków. Nikt nie ośmieliłby się zlekceważyć Paris Gibson.

Chwilowy optymizm szybko ją jednak opuścił. Zegar tykał. Porywacz powiedział Paris, że zabije Janey za siedemdziesiąt dwie godziny. Ale kiedy to mówił? Ile godzin upłynęło? Straciła poczucie czasu i nie wiedziała, czy jest noc, czy dzień. A co się stanie, jeśli mija już siedemdziesiąta pierwsza godzina? Nawet jeżeli jej nie zabije, może umrzeć z wyczerpania. Co będzie, jeśli się tu już w ogóle nie pokaże? Jak długo można żyć bez jedzenia i bez wody? Czy to możliwe, że - tak jak ją straszyl - nikt jej nie szuka i wszyscy mają w nosie fakt, że zniknęła?

Doktor Brad Armstrong nie spędził wprawdzie nocy w wygodnym łóżku, ale był pełen energii, gdy pojawił się w klinice na pół godziny przed pierwszą umówioną wizytą. Spał ledwie kilka godzin, bo noc była pełna wrażeń. Dziewczyna ze srebrnym kółkiem w sutku okazała się wspaniałą zdobyczą. Uśmiechał się do siebie, kiedy wchodził do budynku i witał się z recepcjonistką.

- Dzień dobry, panie doktorze. Mam nadzieję, że pani Armstrong udało się z panem wczoraj skontaktować. Była bardzo niezadowolona, że jej plan zawiódł.

- Dzieci poszły spać, a my spędziliśmy razem miły romantyczny wieczór. Są dla mnie jakieś wiadomości?

- Pan Hathaway dzwonił dwa razy, ale nie zostawił żadnej wiadomości. Prosił tylko, by pan oddzwonił. Czy mam pana połączyć?

Hathaway to było nazwisko jego kuratora sądowego. Nawet kiedy miał dobry dzień, był sztywny jak drąg. Wstrętny, wścibski typ, który uwielbiał gapić się ludziom prosto w oczy znad tych swoich staromodnych okularków. Myślał, że w ten sposób ich onieśmiela.

- Nie, dziękuję. Zadzwoń do niego później. Nic poza tym?

- To wszystko.

Toni musiała się tym razem naprawdę wściec. Normalnie już by sto razy dzwoniła, żeby sprawdzić, czy nie zderzył się z tirem, nie miał zawału, nie został obrabowany albo zamordowany. To ona zawsze wychodziła z inicjatywą, żeby załagodzić sytuację. Bo takie są przecież obowiązki dobrej, kochającej żony wobec męża, który w gniewie wypada z domu po rodzinnej kłótni.

Złamał obietnicę, to prawda, ale wszystkiemu winna była Toni, nie on. Nawet nie próbowała go zrozumieć i współczuć. Tylko go opieprzała. To prawda, miał kolekcję erotycznych pism i zdjęć. Wielkie halo. Dla niektórych ludzi może to i pornografia, ale co z tego? Nawet jeśli było tego dużo, to czy jest to powód, by od razu robić taką aferę?

Po wyczynie ostatniego wieczora będzie go jeszcze oskarżać o okrucieństwo. Prawie ją słyszał. „Skąd w tobie tyle agresji, Brad? Wydaje mi się, że jesteś teraz zupełnie innym człowiekiem”. Toni miała mnóstwo zalet, ale brakowało jej żyłki awanturniczej. Wszystko co nowe i nieznanne przerażało ją. Zeszłej nocy widział w jej oczach prawdziwy strach. Powinna brać lekcje od tej dziewczyny, którą spotkał nad jeziorem. Od Melissy. Tak się przedstawiła. On się nie przedstawił, chyba zresztą nie pytała go o imię. Dla takiej odważnej dziewczyny jak ona imiona były nieistotnym szczegółem. Widywał ją już wcześniej nad jeziorem z różnymi mężczyznami. Nic dziwnego, że jego pornograficzna kolekcja bynajmniej jej nie wystraszyła. Przeciwnie, była zachwycona. Podnieciła się i rzuciła na niego jak zwierzę. Tak, ta dziewczyna i jej kółko w sutku to było coś. Toni prawdopodobnie poszłaby na skargę do sądu, gdyby zaproponował jej piercing. Boże, co za

szczęśliwa odmiana.

Usiadł przy biurku i włączył komputer. Wszyscy w biurze się dziwili, że ustawił monitor tyłem do wejścia zamiast pod ścianą, by ukryć te wszystkie kable. Coś tam powiedział na odczepnego, ale prawdziwy powód był taki, że nie życzył sobie, by ktoś mu zaglądał przez ramię i sprawdzał, czym się zajmuje. Odwiedził ulubione strony internetowe, ale rozczarował się, bo od wczoraj nic się nie zmieniło. Ale przejrzał je porządnie, szukając kobiet z przekłutym sutkiem. Nie znalazł ani jednej. Postanowił posurfować później i poszukać nowych, atrakcyjnych stron. Może członkowie Sex Clubu coś znaleźli i polecają znajomym. Dzieciaki były w tym naprawdę dobre. Na razie wystukał hasło i wszedł na stronę główną. Już był blisko działu ogłoszeń, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Po chwili stanęła w nich pielęgniarka.

- Panie doktorze?

- Co? - spytał opryskliwie.

- Przepraszam, nie chciałam przeszkadzać, ale pacjent już czeka w fotelu.

- Dziękuję. - Brad zmusił się do uśmiechu. - Już przychodzę, tylko wyślę wiadomość do mamy.

Pielęgniarka się wycofała. Brad spojrział na zegarek. Był w biurze od ponad godziny, a zdawało mu się, że minęło zaledwie kilka minut. „Ale ten czas leci” - mruknął pod nosem. Niektórzy mężczyźni przy porannej kawie czytają notowania giełdowe, inni kolumny sportowe. On miał swoje szczególne zainteresowania. Czy to zbrodnia? Szybko wrócił na pulpit i wydał komputerowi polecenie wykasowania wszystkich połączeń internetowych. Nie chciał być śledzony.

Musiał przyjąć kolejno trójkę pacjentów, nim nadarzyła się chwila przerwy. Ktoś zostawił w kantynie gazetę. Zabrał ją na górę wraz z kawą i pączkiem. Wypił łyk kawy, ugryzł pączka i o mało się nie udławił, gdy spojrział na pierwszą stronę dziennika.

To była ona. Poważne zdjęcie, zapewne ze szkolnego albumu. Jak na ironię, wyglądała na nim na skromniśnię. Patrzyła mu prosto w oczy. Miał ochotę odwrócić wzrok. Ale nie mógł. Fotografii towarzyszył artykuł o dziewczynie. Była córką sędziego stanowego - Boże! - kończyła średnią szkołę, miewała kłopoty z prawem, w ostatnim semestrze zawieszono ją chwilowo w obowiązkach ucznia, a teraz zniknęła w tajemniczych okolicznościach. Dziennikarz podawał szczegóły dotyczące jej uczestnictwa w internetowym Sex Clubie, którego jedynym celem było pozyskiwanie nowych partnerów. Napisano to czarno na białym. Podane zostały zasady uczestnictwa, udziału w chatach internetowych, opisano funkcjonowanie działu ogłoszeń, tajne spotkania - oczywiście nietajne dla wtajemniczonych członków - i występne czyny, jakich się tam dopuszczano. Każdy, kto miał kontakt z Janey, proszony był o zgłoszenie się na policję. Wspomniano także, że wieczorem można dzwonić w tej sprawie do radia, do Paris Gibson. Brad oparł łokcie na stole, objął głowę rękami i zagłębił się w lekturze.

Sierżant Robert Curtis, który stoi na czele brygady śledczej, nie chciał komentować związków zaginionej Janey Kemp z Sex Clubem, choć John Rondeau z wydziału przestępstw komputerowych nie wyklucza, iż takie związki istniały. „Pracujemy nad tym” - poinformował nas. Funkcjonariusze policji odmówili odpowiedzi na pytanie, czy w grę wchodzi zagrożenie życia.

W podsumowaniu powiedziano, że władze policji z Austin nie chciały skomentować faktu, dlaczego sprawą zaginięcia zajmuje się detektyw z wydziału zabójstw. Bardziej rozmowny okazał się John Rondeau: „Na tym etapie śledztwa możemy raczej wykluczyć poważne zagrożenie. Przypuszczamy, że panna Kemp uciekła z domu”. Był też cytat z rozmowy z ojcem, sędzią Kempem: „Janey, podobnie jak inne nastolatki, niechętnie informowała nas o swoich planach. Żona i ja mamy

nadzieję, że wkrótce wróci do domu. Jest zbyt wcześnie na podnoszenie alarmu”.

Brad aż podskoczył, gdy tuż koło jego ucha zadzwonił telefon. Drżącą ręką nacisnął guzik interkomu.

- Żona na drugiej linii, panie doktorze. Informuję, że kolejny pacjent już czeka.

- Przychodzę za pięć minut.

Brad otarł spoconą górną wargę i zrobił kilka głębokich wdechów. Podniósł słuchawkę. Wiedział, że teraz musi sobie odpuścić agresję.

Cześć, kochanie. Słuchaj, zanim cokolwiek powiesz, chciałem cię najgoręcej przeprosić za wczorajszy wieczór. Kocham cię. Nienawidzę się za to, co zrobiłem. Tamta torba? To już historia. Pozbyłem się tego wszystkiego. A co do mojego zachowania... Naprawdę, sam nie wiem, co we mnie wstąpiło. Jest mi...

Nie poszedłeś na spotkanie. - Co?

O dziesiątej byłeś umówiony z panem Hathawayem. Dzwonił do domu, bo nie mógł złapać cię w pracy.

O Boże. Na śmierć zapomniałem - powiedział i tym razem nie skłamał. Kiedy przyszedł do kliniki, przez godzinę siedział w Internecie, potem przyjął trzech pacjentów, a potem przeczytał gazetę.

Jak mogłeś zapomnieć o tak ważnej sprawie, Brad?

Miałem pacjentów - odparł opryskliwie. - Moja praca jest dla mnie najważniejsza. Kto spłaci hipotekę? A raty za samochód? A rachunki od rzeźnika? Muszę wracać do pracy.

Uważaj, bo szybko możesz wyładować w więzieniu.

Chyba nie za takie głupstwo, jak nieprzyjście na spotkanie z kuratorem. -

Jeszcze raz spojrział na zdjęcie Janey Kemp.

Dał się ułagodzić. Przepisał cię na pierwszą trzydzieści dziś po południu. -

Toni znów traktowała go z góry, jak syna, nie jak męża. A przecież był dorosłym mężczyzną, na Boga!

Toni, chyba do ciebie nie dotarło, że mam pracę do wykonania.

- I wyrok w zawieszeniu - prychnęła. Cholera, nie chciała dać mu szansy. Przecież ci powiedziałem, że wyrzuciłem tamtą torbę do śmieci. Pasuje? Jesteś zadowolona?

Dobra, Brad, rób, jak chcesz. - Zaśmiała się ponuro. - Ale wiedz, że nikogo nie oszukasz. Ani Hathawaya, ani mnie, to masz jak w banku. Jeśli się u niego nie pojawisz, złoży na ciebie raport i będziesz zmuszony ponieść konsekwencje. - Rozłączyła się.

- Jedziesz na tym samym wózku! - ryknął do głuchej słuchawki i z hukiem nią trzasnął. Poderwał się z krzesła tak gwałtownie, aż podjechało pod ścianę. Zaczął chodzić po pokoju, masując dłonią kark.

W normalnych okolicznościach wściekłby się na Toni za to, że ośmieliła się potraktować go z góry. I, faktycznie, wściekło go to. Jak jasna cholera. Ale Toni może poczekać. Teraz miał na głowie znacznie poważniejszy problem. Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, jego sytuacja nie przedstawiała się różowo. Był skazany za napaść o podłożu seksualnym. Zarzut był idiotyczny, a proces okazał się istną farsą. Jednak zapis tego znajduje się w jego aktach.

Ostatniej nocy uprawiał seks z nieletnią. Niech mu Bóg pomoże, jeśli miała mniej niż siedemnaście lat. Nieistotne, że doświadczenia mogłaby jej pozazdrościć stara kurwa, co się sprzedaje za dychę. Dycha, akurat. Jak już skończyli swoje ba-ra-bara, dał jej w ramach

wdzięczności aż pół stowy. Doświadczenie nieważne, metryka ważna. Na pewno była nieletnia, więc popełnił przestępstwo. A tymczasem jego żona, która skrycie knuje z psychologiem od terapii grupowej i kuratorem, na pewno już zdążyła zadzwonić ze skargą, że wrócił do starych nawyków.

Ale to, co naprawdę dręczyło Brada Armstronga, wręcz skręcało mu kiszki, to pytanie, czy kiedykolwiek spotkał Melissę w towarzystwie Janey Kemp.

Rozdział 17

Sierżant Curtis zadzwonił, kiedy Paris smarowała grzanekę masłem orzechowym.

- Pamiętasz, jak mówiłem o niewyjaśnionych sprawach?

- Znaleźliście coś podobnego?

- Tak. Maddie Robinson. Jej ciało odnaleziono w trzy tygodnie po tym, jak współlokatorka zgłosiła zaginięcie. Znalazł ją pasterz w grobie wykopanym na łące, gdzieś na końcu świata. Przyczyną śmierci było zadławienie. Rozkład ciała znaczny. Robaki i woda zrobiły swoje.

Paris odstawiła śniadanie.

- Koroner stwierdził, że ciało przed śmiercią zostało dokładnie umyte środkiem dezynfekującym.

- Curtis zrobił znaczącą pauzę: - Od zewnątrz i od wewnątrz.

- Więc nawet gdyby ją znaleźiono wcześniej...

- Sprawca zrobił wszystko, żeby nie można było odnaleźć śladów DNA. Na miejscu nie stwierdzono też żadnych śladów butów ani opon. Deszcz wszystko zmył. Nie było ubrania.

Paris ścisnęło się serce na myśl o tak okrutnej, haniebnej śmierci niewinnej ofiary. Spytała Curtisa, czego się o niej dowiedział.

- Miała dziewiętnaście lat. Ładna, choć przeciętna. Studiowała. Jej współlokatorka przyznała, że jeśli idzie o seks, obie nie były świętoszkami. Lubily się zabawić. Wychodziły z domu prawie każdego wieczoru. I tu sprawa zaczyna się robić interesująca. Maddie powiedziała koleżance, że widuje się z kimś „wyjątkowym”.

- W jakim sensie?

- Nie wie tego. Maddie nie mówiła jej, co przez to rozumie. Przyjaźniły się od szkoły średniej i zazwyczaj ze wszystkiego się sobie zwierzały. Ale tym razem Maddie powiedziała tylko, że facet jest fantastyczny, wspaniały i wyjątkowy.

- Ta koleżanka nigdy go nie widziała?

- Nigdy u nich nie był. Maddie spotykała się z nim na mieście. Przyjaciółka nie wiedziała dokładnie gdzie. Nigdy też nie dzwonił na stacjonarny telefon, tylko na komórkę Maddie. Dziewczyna uważa, że musiał być żonaty, stąd te wszystkie sekrety. Ona i Maddie postanowiły sobie, że nie będą romansować z żonatymi mężczyznami. Nie z powodów moralnych, tylko dlatego, że takie związki nie miały przyszłości, powiedziała.

Maddie była bardzo zakochana, ale któregoś dnia powiedziała, że zrywa ze swoim chłopakiem. Podobno stał się zbyt zazdrosny i zaborczy, co ją zdenerwowało, zwłaszcza że nigdy nawet nie zabrał jej na prawdziwą randkę. Jedyнным miejscem, gdzie się widywali, żeby uprawiać seks, była jego garsoniera, którą opisała jako ponurą norę. Podkreśliła, że ich związek stawał się zboczony, nawet jak na jej gusta, i że podobało jej się to na początku. Kiedy przyjaciółka wypytywała o szczegóły, Maddie wykręcała się sianem. Oznajmiła tylko, że wszystko skończone. Żeby ją jakoś pocieszyć, przyjaciółka zasugerowała, by poderwała sobie nowego chłopaka, i Maddie skorzystała z jej rady. Pojechały wieczorem nad jezioro, sporo wypily i Maddie wróciła do domu z jakimś facetem.

Podejrzewano go z początku, ale został oczyszczony z zarzutów.

Ostatni raz widziano Maddie Robinson nad jeziorem Travis z grupą młodzieży świętującą pierwszy dzień wakacji. Rozdzieliły się z przyjaciółką, która sama wróciła do domu, sądząc, że Maddie u kogoś przenocuje. To się już wcześniej zdarzało. Ale kiedy Maddie w ciągu następnych dwudziestu czterech godzin nie dała znaku życia, zawiadomiła policję. Nie prowadziłem tej sprawy, więc nie przypomniałem sobie o niej od razu. Agenci nic nie znaleźli, sprawa się przedawniła i odesłano ją do archiwum - zakończył swą relację Curtis.

- Więc wszystko zdarzyło się w okolicach wiosennej przerwy semestralnej?

- Dokładnie pod koniec maja. Ciało znaleziono dwudziestego czerwca. Masz nagrania z tamtego okresu?

- Mam. Skopiować je dla ciebie?

- Jak najszybciej. Dzięki.

- Stan? Aż drgnął, kiedy Paris weszła do pokoju i zaskoczyła go przy swoim biurku. Ale szybko się opanował i pozdrowił ją ponurym „Cześć!”. Rzuciła torbę na stertę dokumentów.

- Siedzisz na moim krześle.

Nim przyszła do pracy, zwiedziła archiwum, gdzie wyszukała kilka płyt CD, na których miała zarejestrowane rozmowy przeegrane z Vox Pro. Zostawiła je dźwiękowcowi z prośbą, by przegrał je na zwykłe kasety magnetofonowe.

- Kasety? Cofamy się do kamienia łupanego? - spytał lekceważąco.

Nie informując go o tym, że technologia Biura Śledczego zatrzymała się na etapie kaset, pożegnała się krótkim „dziękuję”.

- Co robisz w moim biurze? - spytała, zajmując swoje krzesło. Podobnie jak poprzednim razem, odsunął papiery z rogu biurka i rozsiadł się na nim, nieproszone.

- Siedzę, bo nie mam własnego, a to jest jedyne spokojne miejsce, gdzie można poczekać.

- Na co?

- Na stryja Wilkinsa. Ma naradę z zarządem.

- W jakiej sprawie?

- W mojej.

- Co narozrabiałeś?

- Dlaczego od razu miałbym narozrabiać? - Potraktował to jako osobistą obrazę. - Dlaczego wszyscy uważają, że to ja zawsze muszę coś spieprzyć?

- A nie spieprzyłeś? - Nie!

- To dlaczego stryj Wilkins naradza się z zarządem w twojej sprawie?

- Przez ten pieprzony telefon.

- Od Valentina?

- Coś się zagotowało. Stryj przyleciał firmowym samolotem wcześniej rano, obudził mnie telefonem i kazał natychmiast się tu stawić. Więc przyleciałem z wywalonym ozorem, a oni tam ciągle siedzą za zamkniętymi drzwiami.

- Co się zagotowało? - spytała Paris, ale Stan odpowiedział pytaniem na pytanie:

- Uważasz, że ja dobrze pracuję, Paris?

- W ogóle nie pracujesz. - Pokiwała głową z niesmakiem i rozbawieniem zarazem.

- Przecież siedzę tu do cholery kołkiem, każdej nocy do drugiej nad ranem.

- Twoje ciało siedzi. Zajmujesz przestrzeń. I niczego nie robisz.

- Bo nie się do tej pory nie zepsuło.

- A gdyby się zepsuło, umiałbyś naprawić?

- Możliwe. Znam się na elektronicznych gadżetach - odparł, rozdrażniony.

- Gadżety to nie jest właściwe słowo na opisanie skomplikowanego sprzętu, wartego miliony dolarów. Czy ty w ogóle wiesz, jak działa radio, Stan?

- A ty?

- Ja nie udaję, że jestem inżynierem.

Stan był zepsutym, bogatym, płaczkliwym dzieciakiem. Odkąd zaczął pracować w radiu, codziennie mogłaby pisać raporty o jego niekompetencji i lekceważącym stosunku do pracy. Jego brak zdolności technicznych dałoby się wybaczyć, ale totalne lenistwo - już nie bardzo. W każdym razie nie w prywatnym kodeksie etycznym Paris Gibson.

Zawsze kiedy mówiła do mikrofonu, czuła za plecami obecność setek tysięcy ludzi. Traktowała ich jak partnerów i w każdej rozmowie w pełni angażowała się w ich życie. Dla słuchaczy nie była tylko płatnym, dochodowym numerem reklamowym. Każdego z nich traktowała indywidualnie, ceniła ich czas i dawała im z siebie to, co najlepsze.

Stan nie rozumiał pojęcia „czynnika ludzkiego”. A nawet gdyby je rozumiał, nie zależałoby mu na tym, by stosować tę zasadę w praktyce. Nigdy nie przejawiał nawet cienia inicjatywy. Stawiał się na czas i wychodził w chwili, kiedy jego obowiązki się kończyły, nigdy się nie angażował i zawsze spieszył się do swoich własnych przyjemności.

Jego przyszłość wyznaczył fakt, że narodził się w rodzinie o nazwisku Crenshaw. Stryj był bezdzietnym kawalerem, a Stan jedynakiem. Gdy zmarł jego ojciec, został dziedzicem medialnego imperium, czy tego chciał, czy nie. Paris współczuła Stanowi, mimo wszystko było jej go żal. Nie on sam wybrał swój los. Nikt w firmie nigdy by nie powiedział głośno, że Stan nie interesuje się swoją pracą i nie ma kwalifikacji do jej wykonywania. Przynajmniej póki rządził tu jego stryj Wilkins, a ten zamierzał rządzić do końca swych dni.

- Uczę się interesu. Od pucybuta do milionera - powiedział najeżony Stan. - Muszę się zapoznać z każdym oddziałem radiostacji, żebym się znał na wszystkim, kiedy odziedziczę ten bajzel. Taka jest właściwa droga, przynajmniej zdaniem stryja Wilkinsa.

- Co było takiego w telefonie Valentina, że się zagotowało?

- Nic - odparł z upartym grymasem.

- A jednak, skoro stryj Wilkins dostał takiego popędu.

- Achchch... - westchnął teatralnie Stan. - Zanim mnie tu zatrudnił, to znaczy skazał mnie na tę stację, pracowałem w telewizji w Jacksonville na Florydzie. W porównaniu z tym gównem tutaj to był raj. No i wpadłem na romansie z jedną babką.

- Więc nie jesteś gejem?

- Ja? Gejem? - Zareagował, jakby ktoś żgnął go w plecy gorącym pogrzebaczem. - Kto ci powiedział, że jestem gejem?

- Tak mówią.

- Ja i pedałstwo?! O Jezu! Nienawidzę tych durnych tutejszych mięśniaków, którzy uważają, że jeżeli nie jeździsz półciężarówką, nie walisz piwa z butelki i nie ubierasz się jak Sundance Kid, jesteś pedałem.

- Kto to była ta babka z Florydy?

Stan wyciągnął z kieszeni wycinek z gazety i zaczął go prostować.

- Przylapali nas w biurze, a rano dowiedziałem się, że jestem oskarżony o molestowanie seksualne.

- Co nie było prawdą?

- Owszem, Paris, nie było prawdą - powiedział, Cedząc każde słowo. - Oskarżenie było równie fałszywe, jak jej stanik numer trzy. A poza tym to nie ja nakłaniałem ją do seksu. Ona była na górze.

- Dzięki, Stan, dowiedziałam się aż za dużo.

- W każdym razie narobiła smrodu. Stryj Wilkins jakoś to zatuszował i sprawa nie trafiła do sądu, ale kosztowało go to kupę szmalu. I wściekł się za to nie na nią, tylko na mnie! Uwierzysz? Powiedział: „Jak mogłeś być taki głupi, żeby w robocie nie pilnować rozporzeczka”. No to ja go spytałem, czy słyszał o Billu Clintonie. Nie spodobało się to stryjowi, zwłaszcza że cała nasza korporacja popierała jego kampanię. No i wyszło, jak wyszło, a za karę wylądowałem w tej stacji. - Stan wyrzucił do śmietnika kompletnie odkształcony spinacz, którym się bawił. - I dlatego pofatygowałem się aż tutaj. Odrzutowcem.

- Bo kiedy mu powiedziałeś, że byłeś przesłuchiwany przez policję, uznał, że musi przyjechać do Austin i ukręcić łeb sprawie, zanim wypłynie twoja przygoda z Florydy.

- Nazwał to akcją ratunkową.

- Prawdziwy ojciec chrzestny.

Paris już miała pełny obraz sytuacji. Stan został skazany na 101,3 FM za mieszanie przyjemności z pracą. Stryj Wilkins zapomniał” powiedzieć o tym zarządowi radia, a teraz uznał za stosowne wyjaśnić sprawę, nim policja z Austin sama się dokopie do haków w życiorysie siostrzeńca.

- Czy tylko jedną taką sprawkę masz na koncie, Stan?

- O co ci chodzi? - Popatrzył na Paris spode łba.

- Pytanie jest proste. Tak czy nie?

- Uwierz mi, to był ten jeden, jedyny raz. - Nagle spokorniał. - Dostałem nauczkę. Nigdy w życiu nie dotknę palcem żadnej kobiety w pracy.

- Kiedy zostaniesz właścicielem, będzie to niezły powód do szantażu.

- Szkoda, że nikt mnie nie ostrzegł, zanim pojechałem do Jacksonville.

Paris z delikatności powstrzymała się od uwagi, że dorosłych ludzi nie trzeba przestrzegać w takich sprawach. Sposób zachowania w pracy powinien być dla Staną oczywisty. Tymczasem znów patrzył na nią oczami skrzywdzonego dziecka.

- Naprawdę wszyscy uważają mnie tu za pedała? Roześmiała się głośno. Jakie to podobne do Staną - słonia nie zauważał, ale robił z igły widły.

- Za dobrze się ubierasz.

Do pokoju zajrzał facet, który przegrywał dla Paris kasety, i powiedział, że zostawił je na portierni.

- Znowu kasety? - zdziwił się Stan.

- Bardzo możliwe, że Valentino już wcześniej ostrzegł mnie, że planuje morderstwo.

- A co było wczoraj, kiedy wylecieliście stąd jak oparzeni? Nie złapaliście go?

- Niestety nie. - Opowiedziała mu o budce telefonicznej koło Wal-Martu. - Patrol przyjechał natychmiast, ale nikogo nie było.

- Słyszałem o tej zaginionej dziewczynie. Wydrukowali to na pierwszej stronie.

Kiwnęła głową, przypomniawszy sobie cytowane w gazecie słowa sędziego Kempa. Rodzice Janey twardo obstawali przy wersji, że dziewczyna sama uciekła z domu, co, zdaniem Paris, było

kolosalnym błędem. Choć oczywiście chciałyby, żeby to oni mieli rację. Wstała i wzięła torbę.

- Zobaczymy się wieczorem, Stan.

- Kto to jest ten Dean Malloy? - Zaskoczył ją tym pytaniem.

- Mówiłam ci. Psycholog policyjny. Pracuje w komendzie głównej.

- A na drugim etapie jako twój ochroniarz? - Rzucił jej ironiczne spojrzenie. - Kiedy wczoraj zawoziłem ci kasety, gliny powiedziały, że Malloy jest z tobą w domu.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Bo nie chcesz rozumieć. Kim jest dla ciebie ten Malloy?

Gdyby mu nie odpowiedziała, z pewnością rozpoczęłyby poszukiwania na własną rękę. Mógłby dowiedzieć się za dużo, a tego wołała uniknąć.

- To mój stary znajomy z Houston.

- Ach tak? Wydawało mi się, że to twój całkiem dobry znajomy.

- Nie całkiem dobry, tylko bardzo dobry. Był najlepszym przyjacielem Jacka. Tym zdaniem ucięła dalszą konwersację, wyminęła Staną i już miała wyjść, gdy zatrzymała się nagle w drzwiach.

- Wiesz coś o Marvinie, Stan?

- To świr.

- Zna się na komputerach, na Internecie.

- A skąd mam wiedzieć - prychnął. - Nie zamieniłem z człowiekiem nawet dwóch zdań. Czemu się nim interesujesz?

- Tak tylko spytałam. - Nie chciała dzielić się ze Stanem wiadomością o ucieczce Marvinina; nie czuła się upoważniona przez Curtisa. - Do zobaczenia, Stan.

Paris i Curtis usadowili się vis-a-vis w klitce służącej do przesłuchań. Na zniszczonym stole stał już magnetofon, ten sam, którego używali poprzedniego dnia, i kupka kaset, które przyniosła ze sobą Paris. Zaczęli słuchać nagrań poprzedzających o tydzień zniknięcie Maddie Robinson. Wczoraj zarówno Paris, jak Dean uznali, że Valentino celowo mówi zmienionym głosem. Sposób artykulacji był natychmiast rozpoznawalny, więc teraz z Curtisem przelatywali całe kawałki nagrań, na których były ewidentnie inne osoby. Curtis wyszedł na chwilę po kawę, a gdy wrócił, Paris powiedziała pełnym emocji głosem:

- Myślę, że go mamy. Wprawdzie Vox Pro nie rejestruje daty ani godziny, ale kasetę pochodzi z interesującego nas okresu. Był tego wieczoru wyjątkowo ponury, a mimo to puściłam go na antenę. Jego wypowiedź wywołała lawinę głosów innych słuchaczy.

- Czyli zrobiłaś z niego gwiazdę wieczoru - skomentował Curtis.

- Przez przypadek, zapewniam cię. Gotów? Puściła taśmę.

- Kobiety są niewierne, Paris. Dlaczego tak musi być? Odpowiedz, przecież jesteś kobietą. Dlaczego, kiedy masz faceta, który dosłownie je ci z ręki, szukasz sobie następnego? Dlaczego ilość jest ważniejsza niż jakość?

- Przykro mi, że jesteś nieszczęśliwy, Valentino.

- Nie jestem nieszczęśliwy. Jestem zły.

- Nie wszystkie kobiety są niewierne.

- Z doświadczenia wiem, że wszystkie.

- Nie trafiłeś jak widać na właściwą. Jeszcze nie. Wiesz, jaką piosenkę mam ochotę ci puścić?

- Jaką?

- Barbra Streisand pięknie śpiewa Cry Me a River. To tylko powtórka starej piosenki, ale słucha

się doskonale.

- Możesz grać, co chcesz, Paris. Ale nawet gdyby ona została porzucona, tak jak ja, nie będzie to dla mnie wystarczające zadośćuczynienie.

Paris zatrzymała kasetę i spojrzała na Curtisa. Pograżony w myślach, machinalnie obracał na palcu sygnet.

- Wystarczającym zadośćuczynieniem było dla niego uduszenie jej i pogrzebanie na tym cholernym pastwisku. Wybacz, że się mało wytwornie wyraziłem.

Paris potarła rękami skronie.

- Z tej wypowiedzi nigdy bym się nie domyśliła, że planuje morderstwo.

- Przestań się tym gryźć. Nie jesteś wróżką, żeby czytać w myślach.

- Ale nie wyczułam w jego słowach zagrożenia.

- Nikt by nie wyczuł. Poza tym, pamiętaj, że tylko się tego domyślamy, ale pewności nie ma. Valentino może nie mieć nic wspólnego z Maddie Robinson.

- Ale twoim zdaniem ma?

Spojrzała na Curtisa. Zanim zdążył odpowiedzieć, do pokoju zajrzał John Rondeau i uśmiechnął się na widok Paris.

- Dzień dobry.

- Cześć, John.

- Jakież postępy? - Był wyraźnie ucieszony, że zapamiętała jego imię.

- Chyba tak.

- U mnie też. Mogę pana prosić na chwilę, sierżancie?

- Zaraz wracam. - Curtis się podniósł.

- Ja tymczasem sprawdzę, czy nie mam innych telefonów od Valentina. Detektyw wyszedł i nie wracał dłuższą chwilę. Paris natrafiła na drugą rozmowę.

- Była na tej samej kasecie, co znaczy, że dzieli je nie więcej niż parę dni. Valentino był w zupełnie innym nastroju. Podniecony i zadowolony z siebie. Oświadczył, że pozbył się niewiernej kochanki ze swego życia, jak podkreślił, „na zawsze”. Usłyszysz to sam - powiedziała, ale nagle zauważyła, że Curtis nie słucha. - Co się stało?

- Sam nie wiem. Oby to nie było nic złego. - Przejechał dłonią po karku. - Wiesz, że Malloy ma syna?

- Tak, Gavina.

- Znasz go?

- Znałam, kiedy był małym chłopcem. Kiedy go widziałam ostatni raz, miał dziesięć lat. - Paris zaniepokoiła się, widząc wyraz twarzy Curtisa. - Mów, co się stało! Co z Gavinem? O co chodzi?

Rozdział 18

- Gavin! - Co?

Dean pchnął uchylone drzwi pokoju syna i wszedł do środka.

- Włącz komputer. - Co?

- Słyszałeś, co powiedziałem.

Gavin leżał na łóżku i oglądał sport. Mógłby robić coś bardziej konstruktywnego niż gapić się na powtórkę meczu piłki nożnej w wykonaniu dwóch europejskich drużyn. Dlaczego jeszcze się nie ubrał, tylko się tak wyleguje? Bo źle go wychowałem, pomyślał Dean. Skoro miał leniwego syna, to znaczy, że sam był leniwym rodzicem. Zmuszanie Gavina do różnych rzeczy nie było warte kłótni, jakie potem następowały. Ostatnio, w ramach minimalizowania konfliktów, Dean w ogóle się do niego nie wtrącał. A powinien. Przed Gavinem nie miał co udawać najlepszego tatusia świata. Nie był ani jego kumplem, ani spowiednikiem, ani psychoterapeutą. Był ojcem i jako ojciec musiał nadrobić stracony czas i odzyskać utracony autorytet. Wyjął pilota z ręki syna i wyłączył telewizor.

- Włącz komputer - powtórzył.

- Po co? - Gavin usiadł na łóżku.

- Sam powinieneś wiedzieć.

- Ale nie wiem.

Jego arogancki ton i pogardliwa mina obudziły gniew Deana. Czuł, jak wszystko się w nim gotuje, a mimo to postanowił nad sobą panować. Musiał nad sobą zapanować.

- Możemy od razu jechać na policję, gdzie chcą cię przesłuchać w związku ze zniknięciem Janey Kemp, albo włączysz ten cholerny sprzęt, żebym był uprzedzony, co za niespodzianki mnie czekają. Tak czy owak, koniec laby. Nie będziesz mnie dłużej wodził za nos.

Dean został tego dnia w domu przez całe rano, żeby uporządkować notatki na temat podejrzanego, którego przesłuchiwał kilka dni wcześniej. Detektyw prowadzący sprawę już się zaczynał niecierpliwić. Dean wiedział, że gdyby poszedł do biura, nie umiałby myśleć o niczym innym niż Paris i sprawa Valentina. Nie mógłby się powstrzymać, by wraz z nią i Curtisem nie odsłuchać starych taśm. Zadzwoił więc do sekretarki i powiedział, że popracuje w domu, po czym zmusił się do napisania zaległego raportu. Właśnie skończył, gdy zadzwonił Curtis z sensacyjnymi nowinami.

- Dlaczego chcą mnie przesłuchiwać? - spytał Gavin. - O co chodzi?

Dean skłonny był przypuszczać, że John Rondeau grubo się pomylił, ale przestrach Gavina i jego niepewna mina wskazywały, że strzał był celny.

- Nakłamałeś mi, Gavin. Jesteś aktywnym członkiem Sex Clubu. Wymieniłeś sporo e-maili z Janey Kemp, a z ich treści wynika, że znałeś ją znacznie lepiej, niż to usiłowałeś przedstawić. Zaprzeczysz?

- Nie. - Gavin usiadł na brzegu łóżka, spuścił głowę i wbił wzrok w podłogę.

- Kiedy się z nią widziałeś ostatni raz?

- Wtedy, kiedy znikła.

- O której?
- Wcześniej. Mogło być koło ósmej, było jeszcze dość jasno.
- Gdzie?
- Nad jeziorem. Ona tam chodziła codziennie.
- Umawiałeś się z nią?
- Nie. Ostatnio traktowała mnie jak psie gówno.
- Dlaczego?

- Taki ma charakter. Najpierw uwodzi, a potem udaje, że nic się nie stało, i przechodzisz do archiwum. Słyszałem, że spotykała się z jakimś facetem.

- Znasz nazwisko?
- Nie. Nikt nie zna, ale mówią, że jest od nas starszy.
- Ile może mieć lat?
- Nie wiem - jęknął, znieczcierpliwiony tym wypytywaniem. - Trzydzieści z hakiem.
- Więc co się wtedy wydarzyło?
- Podszedłem do niej i zaczęliśmy rozmawiać.

- Byłeś na nią zły. - Gavin spojrział w milczeniu na ojca, usiłując zgadnąć, skąd aż tyle wie. - W ostatnim e-mailu nawymyślałeś jej od dziwek.

- Tak tylko mi się napisało. - Przełknął ślinę.
- Trudno będzie przekonać policję do twojej wersji. Zwłaszcza że niedługo potem zniknęła.
- Nie mam pojęcia, co się z nią stało, przysięgam na Boga świętego. Wierzysz mi?

Dean rozpaczliwie starał się uwierzyć, ale powstrzymał odruch współczucia. To nie był dobry moment, żeby się mazgaić. Musiał potraktować syna ostro.

- Jeszcze do tego wrócimy. Na razie włącz komputer, chcę zobaczyć, w co się wpakowałeś.

Gavin z ociąganiem podszedł do biurka. Dean zauważył, że wpisał nazwę użytkownika i zakodowane hasło, czego by nie robił, gdyby nie miał nic do ukrycia. Strona Sex Clubu była dziełem amatorów. Imitowała klozetowe graffiti. Dean odsunął chłopaka. Usiadł przed ekranem i dotknął myszki.

- Tato!

Gavin jęknął, ale Dean nie zwracał na niego uwagi. Dobrał się do poczty. Wiedział od Curtisa, jakich ksywek używali jego syn i Janey: Brzytwa i Kot w Butach. Przez dziesięć minut przeglądał pocztę, zatrzymując się przy wiadomościach podpisanych przez Gavina lub Janey. Nie była to miła lektura.

Ostatni list wysłany przez Gavina był wulgarny, obliczony na obrażenie adresatki i, w obecnych okolicznościach, mocno obciążający. Dean z bólem serca wyszedł z poczty i wyłączył komputer. Przez kilka chwil wpatrywał się w martwy ekran monitora, próbując ustalić związek tego, co przeczytał, z chłopczykiem, którego uczył chwycić piłkę, dzieciakiem ze szczerbatym uśmiechem i piegami na nosie, wreszcie młodzieńcem, którego największym problemem były przepocone skarpetki. Wiedział, że nie wolno mu się teraz rozklejać, musi głęboko ukryć dręczącą go rozpacz. Na razie najważniejsze było oczyszczenie syna z podejrzeń.

- Teraz nie czas na kłamstwa, Gavin. Chcę ci pomóc i zrobię to, pod warunkiem, że ty zdobędziesz się na absolutną szczerłość, choćby to były najgorsze rzeczy. Czy jest jeszcze coś, o czym powinienem wiedzieć?

- Na przykład?

- Na przykład coś, co dotyczy ciebie i Janey. Spałeś z nią w ogóle czy tylko wypisywałeś te wszystkie dyrdymały? - Dean wskazał głową komputer.

- Raz.

- Kiedy?

- Jakiś miesiąc albo sześć tygodni temu. - Gavin wzruszył ramionami. - Niedługo po tym, jak ją poznałem. Ale wcześniej pisywaliśmy do siebie. Byłem tu nowy i to był jedyny powód, że się mną zainteresowała.

- Gdzie to się działo?

- Całą paczką umówiliśmy się w parku. Nie pamiętam nazwy. Ona i ja wymknęliśmy się i poszliśmy do mojego samochodu. Robiłeś to kiedyś na tylnym siedzeniu? - doda! obrażony. Dążył do zwarcia - taka taktyka miała zagłuszyć jego poczucie winy. Ale na to Dean był przygotowany.

- Używałeś prezerwatywy?

- No jasne.

- Jesteś pewien?

- Boże, jestem pewien.

- I to był właśnie ten jeden raz?

Gavin znów wzruszył ramionami i odwrócił wzrok, unikając spojrzenia ojca.

- Gavin, mówię do ciebie.

- No dobra - chłopak wydał teatralne westchnienie. - Był jeszcze jeden. Ona zaczęła.

- Ten sam zestaw pytań.

- Gdzie to się działo? Za jakimś klubem na Sixth Street.

- W miejscu publicznym.

- Można tak powiedzieć. Ale ludzi tam nie było, tylko ona i ja.

Dean wyobraził sobie, jak dzwoni do Pat i informuje ją, że jej kochany synalek został aresztowany za obrazę moralności publicznej. A gdzie ty wtedy byłeś, Dean? - spytałaby zapewne. No właśnie, gdzie on był, kiedy jedyny syn zajmował się pisaniem świńskich liścików i pieprzeniem się po krzakach. Ale nie było teraz czasu nawet na samooskarżenia.

- Więc to były te dwa razy? I to wszystko?

- Tak, zostawiła mnie.

- Ale ty nie chciałeś się z tym pogodzić?

- Pewnie, że nie! - Gavin spojrzał na ojca jak na wariata. - To superlaska.

- Skromnie powiedziane - przytaknął cicho Dean. - Gdybyś sobie jeszcze coś przypomniał, lepiej mi powiedz. Nie życzę sobie więcej takich niemiłych niespodzianek albo tego, że dowiaduję się czegoś o tobie za pośrednictwem glin.

Gavin przez jakieś długie pół minuty bił się z myślami. Wreszcie wstał i podszedł do biurka. Wyciągnął z szuflady kieszonkowe wydanie Władcy pierścieni, a z książki zdjęcie.

- Ona... Ona mi to dała tamtej nocy.

Dean sięgnął po fotografię. Uderzyła go zarówno wyrafinowana poza dziewczyny, jak jej bezwstydnym uśmiech. Wsunął zdjęcie do kieszenie koszuli.

- Wykap się i ubierz.

- Ale tato...

- Pospiesz się. Do południa mam cię dostarczyć na komendę. Adwokat już jest w drodze.

Wydawało się, że świadomość tego, jak poważna jest sytuacja, nareszcie przebiła się przez

pokłady młodzieńczej bez troski Gavina.

- Ja nie potrzebuję adwokata.
- Owszem, potrzebujesz.
- Przecież nic jej nie zrobiłem. Nie wierzysz mi?

Nie pozostało śladu po upartym, butnym chłopaku. Zrobił się malutki i przerażony, aż Deanowi ścisnęło się ze wzruszenia serce, jak poprzedniej nocy, gdy podglądał go śpiącego. Pragnął go objąć, uścisnąć i zapewnić, że wszystko będzie dobrze. Ale nie mógł tego zrobić, ponieważ sam nie wiedział, czym to się skończy. Gavin zbyt wiele razy go zawiódł.

Chciał mu też powiedzieć, jak bardzo go kocha, ale i tego nie powiedział. Bał się, że jest już za późno i że jego uczucie zostanie odrzucone.

Paris od przeszło godziny przemierzała policyjny korytarz. Aż podskoczyła, kiedy otworzyły się podwójne drzwi i pokazał się Dean. Curtis i Rondeau właśnie skończyli przesłuchiwać Gavina w obecności adwokata. Dean zdziwił się na jej widok.

- Nie wiedziałem, że tu jesteś.
- Nie mogłabym wyjść, nie wiedząc, czy z Gavinem wszystko w porządku.
- Więc wiedziałaś?
- Przesłuchiwalismy z Curtisem taśmy, kiedy... - Przerwała, nie wiedząc, co dalej mówić.
- Kiedy okazało się, że podejrzanym jest mój syn?
- Na razie, o ile wiem, nie została popełniona żadna zbrodnia, a Janey uciekła z przyjacielem.
- Jasne. I to dlatego Curtis tak wymagłował Gavina.

Paris pociągnęła Deana na ławkę i zmusiła go, by przy niej usiadł. Mebel był dość paskudny, metalowy i obdrapany, z dermowym siedzeniem, przez niezliczone pęknięcia wystawały jakieś farfocle. Musiały z niego korzystać całe pokolenia świadków, podejrzanych i ofiar, rozpaczających nad losem własnym i cudzym. Nie trafiliby w takie miejsce, gdyby w ich życiu nie wydarzyło się coś strasznego, czasami nie do odrobienia.

- Jak Gavin to zniósł? - spytała cicho.

- Jest przybity, ale na szczęście jakoś się trzymał. Wreszcie do niego dotarło, że siedzi po uszy w gównie.

- Tylko dlatego, że wymieniał e-maile o treści seksualnej z Janey? Mnóstwo innych też to robiło.

- Ale Gavin naprawdę sobie poużywał - mruknął Dean z gorzkim uśmiechem. - Pokazali ci próbki jego twórczości?

- Nie, ale nawet gdybym to przeczytała, mojej opinii na jego temat by to nie zmieniło. Był wspaniałym dzieckiem i na pewno wyrośnie na świetnego faceta.

- Dwa dni temu myślałem, że wymykanie się z domu, jak się ma szlaban, to jego najgorsze wykroczenie. A teraz... Och, Boże.

Dean ukrył twarz w dłoniach. Paris instynktownie pogłaskała go po ramieniu. Potrzebował pociechy, a ona była gotowa mu ją przynieść.

- Dzwoniłeś do Pat?

- Nie. Nie chcę jej denerwować, może naprawdę chodzi tylko o te świńskie listy.

- Zobaczysz, z pewnością na tym się skończy.

- Mam nadzieję. Dwa razy opowiadał o tym, co robił tamtego wieczora, i zeznania nie różniły się ani na jotę.

- Bo mówił prawdę.

- Albo tak świetnie nauczy! się kłamać. - Dean spojrział w stronę schodów na drugim końcu korytarza i dotknął ust złączonymi palcami. - Codziennie rozmawiam z kłamcami, Paris. Większość ludzi kłamie, w różnym stopniu. Czasami kłamią, nie zdając sobie z tego sprawy. Wystarczy, że coś powtórzą wiele razy, i już sami w to wierzą. A moja praca polega na oddzielaniu prawdy od fałszu.

Gdy przerwał, Paris nie odezwała się, dając mu czas na zebranie myśli. Czowała promieniujące przez koszulę ciepło jego ciała, bo wciąż opierała swoją rękę na jego ramieniu.

- Gavin przyznał się do pijaństwa - ciągnął Dean. - Zeznał, że zatrzymał się przy skrzynce pocztowej na czyimś podwórku i obrzygał rabatkę. No i przede wszystkim przyznał się do tego, że wyszedł z domu, chociaż miał zakaz. Powiedział, że Janey mu się podobała, a przynajmniej podobało mu się to, co razem robili. Tamtego wieczora próbował ją namówić, żeby gdzieś z nim poszła, ale go odtrąciła.

Wściekł się i nawrzucał jej takimi słowami, że zdębiałem. Nigdy bym nie podejrzewał rodzonego syna o coś takiego. Przyznaje, że był na nią zły, ale upiera się, że odszedł, gdy go wyśmiała. Przyłączył się do grupy znajomych i pił z nimi tequilę, a potem wrócił do domu. Powtarza, że od tamtej pory nie widział Janey. - Dean spojrział Paris prosto w oczy. - I ja mu wierzę.

- To dobrze.

- Nie uważasz mnie za naiwniaka, który sam się łudzi?

- Nie. Uważam, że wierzysz mi, bo mówi prawdę. - Uścisnęła jego rękę, sygnalizując, że go wspiera. - Czy mogę coś dla was zrobić?

- Tak. Możesz zjeść z nami dzisiaj kolację. Cofnęła rękę, zaskoczona nagłą propozycją.

- Przecież w nocy pracuję.

- To zjedźmy obiad. Do wieczora jeszcze mnóstwo czasu.

- Mam coś zaplanowane na to popołudnie i nie mogę tego odwołać - potrząsnęła głową. - A poza tym to chyba nie jest dobry pomysł.

- Z powodu zeszłej nocy? - Nie.

- Tak.

- No dobrze. Tak.

- Bo wiesz, że kiedy jesteśmy razem, zawsze się to może powtórzyć.

- Nie powtórzy się.

- Powtórzy, Paris. Wiem, że tak będzie. A ty masz na to nie mniejszą ochotę niż ja.

- Ja...

- To ty, Dean?

Odkoczyli od siebie na dźwięk kobiecego głosu. Jego właścicielka właśnie wyszła z windy i zmierzała w ich kierunku. Opisać by ją można krótko - świetny towar. Kostium szyty na miarę podkreślał krągłości figury. Krótka spódnica i pantofle na wysokich obcasach uwydatniały zgrabne nogi. Nie miała makijażu poza tuszem na rzęsach i błyszczącym na wargach, bo też żaden makijaż nie był jej potrzebny. Na biżuterię składały się dyskretne kolczyki z brylancikami, cienki złoty łańcuszek i zegarek z ozdobną bransoletą. Jasne włosy do ramion cesała z przedziałkiem pośrodku, z czym było jej do twarzy. Kalifornijska lala w całej swojej krasie.

Dean poderwał się na nogi.

- Liz!

- W Chicago wszystko poszło jak po maśle - powiedziała z olśniewającym uśmiechem - dlatego zdołałam wrócić o dzień wcześniej. Wybrałam szybkie połączenie, no i jestem. Myślałam, że porwę

cię na późny lunch. Pani Lester powiedziała, gdzie cię szukać, i widzę, że naprawdę zrobiłam ci niespodziankę. - Pocałowała go prosto w usta, a potem z uśmiechem zwróciła się do Paris: - Dzień dobry.

- Liz Douglas, Paris Gibson - dokonał prezentacji Dean.

Paris odruchowo wstała zaskoczona nieoczekiwanym spotkaniem z Liz Douglas, która mocno uściśnęła jej dłoń; widać było, że pracuje głównie z mężczyznami.

- Miło mi.

- Jest pani policjantką?

Liz usiłowała przebić się wzrokiem przez ciemne szkła okularów Paris. To zapewne one nasunęły jej takie przypuszczenie.

- Nie, pracuję w radiu.

- Naprawdę? Prowadzi pani audycję?

- Mam nocny program.

- Przykro mi, rzadko słucham..

- Proszę się nie usprawiedliwiać - przerwała jej Paris. - To program dla nocnych marków.

- Zналиśmy się z Paris w Houston, sto lat temu - wtrącił po niezręcznej, znaczącej pauzie Dean.

- Ach, tak - powiedziała Liz, jakby to wszystko wyjaśniało.

- Muszę iść. Umówiłam się na spotkanie i już jestem spóźniona. - Paris zwróciła się do Deana. -

Nie martw się, wszystko będzie dobrze. Na pewno. Pozdrów ode mnie Gavina. Miło mi było panią poznać.

Szybkim krokiem pomaszerowała do windy. Dean wołał coś za nią, ale udała, że nie słyszy. Znikając za zakrętem, usłyszała jeszcze słowa Liz Douglas.

- Mam niejasne wrażenie, że w czymś ci przeszkodziłam. Czy ona ma jakieś kłopoty?

- To ja mam kłopoty. To znaczy Gavin i ja.

- Mój Boże, co się stało?

Przyjechała winda i Paris weszła do niej, zadowolona, że jedzie sama. Oparła się o zamknięte drzwi. Nie słyszała dalszej rozmowy Deana z Liz i nie chciała jej słuchać. Intymność ich powitania mówiła sama za siebie. Dean nie potrzebował już jej dłoni na swoim ramieniu. Teraz od pocieszenia miał Liz.

Gavin miał pewność, że choćby nawet dobił do setki, ten dzień będzie najgorszym dniem jego życia. Wybierając się na komendę, włożył najlepsze ciuchy i to sam z siebie, ojciec nie musiał mu nic mówić. Teraz można je było tylko wyzymać, bo przez ostatnie półtorej godziny pocił się jak mysz. Takich plam nie da się wywabić.

W kryminałach w kinie czy w telewizji zawsze się okazuje, że podejrzanych często zdradza język ciała. Gavin spróbował robić dobre wrażenie. Nie kulił się, lecz siedział zupełnie prosto. Nie błędził wzrokiem po ścianach, lecz patrzył sierżantowi Curtisowi prosto w oczy. Gdy zadawano mu pytania, nie zastanawiał się, nie kręcił, tylko odpowiadał szybko i rzeczowo, choćby przedmiot należał do wstydlivych.

Wziął sobie do serca radę ojca, że to nie pora na zatajanie informacji. Nie żeby miał coś więcej do ukrycia. Oni już wiedzieli o e-mailach i o Sex Clubie. On natomiast nie wiedział, co się stało z Janey Kemp, i nie miał na ten temat żadnych ciekawych pomysłów. Owszem, uprawiali seks, ale ona pieprzyła się ze wszystkimi facetami w Austin, no, może z wyjątkiem jego ojca i innych panów zebranych w tym pokoju.

Nie było to do końca prawdą. Z jednym na pewno się puszczała i to jego obecność, a nie docieklive pytania Curtisa, była przyczyną, że Gavin tak strasznie się pocił. Facet został przedstawiony jako John Rondeau. Kiedy tylko wszedł do pokoju, Gavin go rozpoznał. W końcu widział go zaledwie wczoraj w towarzystwie dwóch napalonych małych, jak siadali na tylnym siedzeniu jego wozu. I na pewno nie w celu wspólnych modłów.

Młody gliniarz też go rozpoznał. Na widok Gavina oczy mu się na ułamek sekundy rozszerzyły, ale zaraz potem źrenice wróciły do normalnych rozmiarów. Rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie, które mówiło, że ma trzymać gębę na kłódkę i nie wygadać się, że już go widział. Dla innych, w tym ojca, spojrzenie Rondeau mogło jedynie oznaczać, że potępia chłopaka za treść korespondencji wymienianej z Janey. Ale Gavin wiedział swoje. Wiedział, że ujawnienie pozazawodowej aktywności policjanta przed jego przełożonymi mogłoby mieć dla niego niewyobrażalne konsekwencje.

Przestraszył się jeszcze bardziej, kiedy Curtis wyprosił ojca z pokoju. Ostatnio nie miał ze starym najlepszych układów, czuł się ciągle za coś opieprzany. Chwilami już nie mógł na niego patrzeć, bo wiedział, że zaraz wywali mu nowe kazanie. Ale dziś czuł wdzięczność, że ojciec jest po jego stronie. Wiedział, że choćby się waliło i paliło, stary nie opuści go w potrzebie.

Przypomniawszy sobie, jak kiedyś w czasie weekendu pojechali nad morze. Ojciec przestrzegał go, żeby nie wypływał za daleko: „Fale są silniejsze i większe, niż się to wydaje z brzegu. Trafiają się też podwodne prądy. Uważaj, synu”. Ale Gavin chciał zrobić na ojcu wrażenie i popisać się, jakim jest świetnym pływakiem. Wszedł do wody, a po chwili nie czuł już dna, bo fale zaczęły unosić go na pełne morze. Spanikował i zaczął się topić. Był pewien, że zaraz umrze, gdy silne ramię otoczyło jego piersi i głowa znalazła się nad wodą. „W porządku, synu. Wyciągnąłem cię”. Gavin wierzgał i kopał, wciąż usiłując znaleźć oparcie dla stóp. „Uspokój się, Gavin. Trzymam cię mocno i nie puszcę. Przysięgam”.

Ojciec dociągnął go do brzegu i wyniósł na plażę. Nie krzyczał, nie miał pretensji, nie powiedział: „Ty głupi bachorze, a nie mówiłem? Kiedy wreszcie nauczysz się słuchać starszych?”. Był zmartwiony, to było widać. Zrobił mu masaż, aby Gavin wypluł słoną wodę, jakiej się nałykał. A potem owinał go ręcznikiem i mocno objął. Siedzieli tak w milczeniu dłuższą chwilę. Żaden się nie odezwał. Siedzieli i patrzyli na morze.

Weekend się skończył i kiedy ojciec odwiózł Gavina do matki, a ona zapytała, jak było, mrugnął porozumiewawczo. „Wspaniale” - powiedział. Nigdy jej nie wyjawiał, jak bliski śmierci był Gavin, gdyby go w porę nie uratował. Dziś sytuacja się powtórzyła. Ojciec siedział obok, gotów w każdej chwili uratować go przed utonięciem. Dlatego Gavin tak się zdenerwował, gdy Curtis zażądał, by Dean opuścił pokój. „Dobrze, wyjdę, ale pod warunkiem, że rozmowa będzie się toczyć w obecności adwokata”. Curtis się zgodził. Ojciec, nim wyszedł, spojrzał na Gavina. „Będę w pobliżu” - obiecał.

Po jego wyjściu Curtis popatrzył na Gavina takim wzrokiem, że ten, mimo wcześniejszych postanowień, zaczął się widać na krześle. Zastanawiał się, do czego detektyw zmierza, bo milczał długo, jakby nagle zaniemówił.

- Wiem, że o pewnych rzeczach trudno jest mówić w obecności własnego ojca - odezwał się wreszcie. - Chciałbym ci zadać parę pytań na temat dziewczyn i seksu.

- Proszę.

- Teraz możemy poruszyć bardziej osobiste tematy.

- Oczywiście - mruknął, myśląc w duchu, czy są jeszcze bardziej osobiste niż do tej pory? To

jakieś żarty.

Pytania były podobne do tych, jakie rano zadał mu ojciec. Szczerze na wszystkie odpowiedział, między innymi relacjonując, gdzie i kiedy uprawiał seks z Janey.

- A czy ostatniego wieczoru, kiedy się z nią widziałeś, do niczego nie doszło?

- Nie, proszę pana.

- A nie widziałeś przypadkiem, jak uprawia seks z kimś innym?

- Nie podchodziłbym do niej, gdyby była z innym facetem. Co oni sobie myślą? Że jestem jakimś cholernym podglądaczem?

- Dotykałeś jej?

- Nie. Próbowałem wziąć ją za rękę, ale mi się wyrwała. Powiedziała, że jestem nachalny i że ją to wkurza.

- To wtedy nazwałeś ją dziwką i tak dalej? - Tak.

- Jak była ubrana?

Nie pamiętał. Gdy przywoływał jej obraz, widział tylko twarz, wyzywające spojrzenie i uśmiech, który był jednocześnie uwodzicielski i okrutny.

- Nie pamiętam.

- Masz coś jeszcze? - Curtis zwrócił się do Rondeau.

- Skąd masz jej zdjęcie?

- Sama mi dała. - Gavin zmusił się, by spojrzeć na policjanta.

- Kiedy?

- Wtedy. „Zapomnij, Gavin” - powiedziała i dała mi to zdjęcie. „Na pamiątkę”. Że kiedy się za nią stęsknię, to mogę popatrzeć i sobie ulżyć.

- Mówiła ci, kto zrobił to zdjęcie?

- Jakiś facet, z którym się spotykała.

- Mówiła, jak się nazywa?

- Nie.

- A pytałeś? - Nie.

Rondeau usiadł. Nie miał więcej pytań.

- To tyle na razie, Gavin - powiedział Curtis. - Chyba że sobie coś przypomnisz.

- Raczej nie.

- A gdyby jednak, to zawiadom natychmiast albo mnie, albo ojca.

- Oczywiście, proszę pana. Mam nadzieję, że ona się szybko znajdzie.

- My też. Dziękuję, że zechciałeś z nami współpracować.

Ojciec, tak jak obiecał, czekał na korytarzu. Gavin zdziwił się, widząc przy nim Liz. Natychmiast rzuciła się, by go uściskać, i zaczęła wypytywać, jak mu poszło.

- Muszę iść do toalety - wymamrotał i oddalił się, nim zdołali go zatrzymać. W kiblu przy pisuarach było pusto. Sprawdził, czy nikogo nie ma w kabinach.

Kiedy się już upewnił, pochylił głowę nad sedesem i zwymiotował. Nie zjadł zbyt wiele na śniadanie, trochę płatków z mlekiem, więc po chwili zaczęły nim wstrząsać suche torsje. Tak gwałtowne, że rozboleła go całe ciało.

Już raz w życiu rzygał ze strachu. Miał wtedy czternaście lat i podwędził matce samochód. Za karę, bo wybrała się na randkę z facetem, za którego później wyszła za mąż. Skoro go zostawiła, żeby się migdalić z tym bubkiem, postanowił się zemścić. Podjechał do najbliższego McDonalda i

zamówił big maca. Kiedy wracał do domu, pies sąsiadów z sąsiedniej ulicy, miody złoty retriever, wypadł mu pod koła. Wszyscy lubili tego szczeniaka, był śliczny, sympatyczny i kilka dni wcześniej na powitanie polizał Gavina po twarzy. Cudem udało mu się uniknąć tragedii, ale był tak blisko zabicia psa, że natychmiast zwrócił dopiero co zjedzony posiłek. Matka nigdy się nie zorientowała, co zrobił, a szczeniak wyrósł na dużego pięknego psa. Poza poczuciem winy Gavin nie poniósł żadnych konsekwencji.

Ale tym razem nie miał tyle szczęścia.

Dwukrotnie nacisnął spłuczkę, nim wyszedł z kabiny. Oblał twarz zimną wodą i parę razy przepłukał usta. Zakręcił kurek i wyprostował się. Dopiero wtedy zauważył, że stoi za nim Rondeau. Policjant jedną ręką złapał go za głowę, a drugą boleśnie wykręcił rękę do tyłu.

Rozdział 19

Rondeau walnął głową Gavina w lustro. Zrobił to bardzo mocno, aż dziw, że nie pękło od uderzenia. Co do własnej kości policzkowej to Gavin już nie był taki pewien. Ból spowodował, że w oczach pokazały mu się łzy. Ramię rwało, jakby zostało wyrwane ze stawu.

- Puść mnie, gnoju - wykrztusił.

- Mamy wspólne sekrety, prawda? - wysyczał mu do ucha Rondeau.

- Ja znam twój sekret, panie władzo. - Choć wargi miał rozpląszczone na szkle, potrafił mówić w sposób zrozumiały. - Przelatujesz sobie po godzinach nieletnie panienki.

Rondeau jeszcze mocniej wykręci! mu rękę, aż chłopak wydał okrzyk bólu, choć obiecywał sobie, że nie okaże strachu.

- To ja ci teraz zdradzę twój sekret, Gavin - wyszeptał.

- Nie mam żadnych sekretów.

- Oczywiście, że masz. Miałeś już dość tego, w jaki sposób ta mała dziwka sobie z tobą pogrywała. Postanowiłeś dać jej nauczkę. I umówiłeś się z nią. Była niegrzeczna, a ty się zezłościłeś.

- Oszalałeś.

- Byłeś taki zły, taki upokorzony, Gavin, że straciłeś głowę. W takim stanie ducha mogę tylko zgadywać, co jej zrobiłeś.

- Nic jej nie zrobiłem.

- Oczywiście, że zrobiłeś - syczał dalej Rondeau. - Miałeś wspaniały motyw. Ona cię rzuca i jeszcze obśmiewa. Robi to publicznie, na stronie internetowej, żeby każdy mógł sobie poczytać. Dupek bez jaj, to przypadkiem nie o tobie? Nie mogłeś tego wytrzymać. Musiałeś się zemścić, zamknąć jej gębę. Na zawsze.

Wymyślony przez Rondeau scenariusz dość dobrze trzymał się kupy. Gavin przeraził się, że inni policjanci, łącznie z sierżantem Curtisem, mogliby w to uwierzyć.

- Zgoda, zrobiła ze mnie palanta, a ja się wkurzyłem - powiedział. - Ale cała reszta to jakieś gówno. Byłem później z kumplami. Potwierdzą moje zeznania.

- Banda gówniarzy ujaranych zielskiem i ożłopanych tequilą? - zadrwił Rondeau. - Uważasz, że jakiś sąd im uwierzy?

- Sąd?

- Mam nadzieję, że wymyśliłeś sobie drugie, lepsze alibi, Gavinie, bo ten numer z nieprzytomnymi kumplami nie przejdzie.

- Nie potrzebuję alibi, ja tylko rozmawiałem z Janey. Nic jej nie zrobiłem.

- Nie walnąłeś jej w głowę żelaznym drągiem i nie utopiłeś ciała w jeziorze?

- Nie, do cholery!

- Nie srasz w gacie ze strachu, zastanawiając się, kiedy ciało wypłynie? Założę się, że zdołam znaleźć świadków waszej szarpaniny.

- To będzie kłamstwo. Niczego nie zrobiłem.

Rondeau przycisnął ciało Gavina mocniej do umywalki, rozgniatając mu uda.

- Zrobiłeś, nie zrobiłeś, mam to w dupie. Czy cię puszcza, czy ci dadzą dożywocie, dla mnie to bez różnicy. Ale jeśli piśniesz choć słówko na mój temat, gorzko pożałujesz. Przekonam ich, że...

- Co tu się, do diabła, wyprawia? - Gavin usłyszał z korytarza głos ojca i poczuł podmuch powietrza. Dean odepchnął Rondeau, tak że ten poleciał aż na ścianę, a potem złapał go za szyję, trzymając jak w pręgierzu. - Co się dzieje? - Głos Deana wypełnił całe pomieszczenie. - Gavin, nic ci nie jest?

- W porządku - skłamał chłopak, choć policzek rwał go jak diabli i bolała nadwerżona ręka, ale nie chciał się rozczulać nad sobą w obecności Rondeau. Ojciec sprawdził, czy obrażenia syna nie są poważne, i zwrócił się do policjanta:

- Lepiej, żebyś miał dobre wytłumaczenie.

- Bardzo mi przykro, doktorze Malloy, ale jak sobie poczytałem, co pański syn nawypisywał, to mnie... Po prostu nie mogłem tego znieść. Sam mam mamę i siostrę. Nie wolno tak się wyrażać o kobietach. Kiedy tu wpadłem i zobaczyłem go, zwyczajnie mnie poniosło.

Gavin nie chciałby być w tej chwili w skórze Rondeau. Jego ojciec wprost dyszał złością, a dłoń, którą trzymał na gardle wroga, była zaciśnięta jak imadło. Twarz Rondeau poczerwieniała, ale bał się ruszyć w obawie, by Dean jeszcze bardziej się nie wściekł. W końcu Dean opuścił rękę, ale równie skutecznie przyszpilal policjanta wzrokiem do ściany. Jego głos był spokojny, ale zabrzmiał złowrogo.

- Spróbuj jeszcze raz tknąć mego chłopaka, a skręcę ci kark. Rozumiemy się?

- Panie doktorze, ja...

- Rozumiemy się?

- Tak - wykrztusił przez zduszone gardło Rondeau i kiwnął głową.

Mimo tego pokornego zachowania Dean jeszcze dłuższą chwilę przeszywał go wzrokiem. Wreszcie postąpił o krok do tyłu i objął Gavina.

- Chodź, synu.

Gavin, mijając Rondeau, spojrzał na niego. Może ojciec dał się zwieść tłumaczeniom policjanta, ale on nie. Postanowił, że zaoszczędzi sobie kłopotów i nikomu nie wyjawia paskudnej tajemnicy Rondeau. Co go w końcu obchodziło, że jakiś policjant ma hobby polegające na pieprzeniu się z dziewczynami ze szkoły? Zwłaszcza gdy dziewczyny nie miały nic przeciwko temu.

Kiedy wyszli z łazienki, Gavin ukradkiem popatrzył na ojca. Dean miał mocno zaciśnięte szczęki. Widać było, że byłby zdolny do wszystkiego. Gavin cieszył się, że to nie on jest powodem jego straszliwego gniewu. Pomyślał o własnej zdemolowanej twarzy, którą wkrótce ozdobi siniec. A może już był widoczny, bo Liz od razu zauważyła, że coś się stało.

- Coś nie w porządku?

- Nic się nie stało, Liz - uspokoił ją Dean. - Tyle tylko, że muszę odwołać nasz lunch. Przed chwilą dostałem wiadomość, że mam się spotkać z sierżantem Curtisem. - Najwyraźniej, kiedy Gavin był w kłopotach, ojciec streścił jej ostatnie wydarzenia. - Chce, żebym porozmawiał z nowym świadkiem. Przykro mi, że skróciłaś podróż tylko po to, by zastać tu taki bałagan.

- Twój bałagan to i mój bałagan.

- Dzięki. Zadzwoń wieczorem.

- Chętnie poczekam, aż wszystko załatwisz.

- Nie mam pojęcia, ile to potrwa - pokiwał głową Dean. - Może całą noc.

- Och, rozumiem... - Liz była tak zawiedziona, że Gavin zaczął jej współczuć. - Musisz tu zostać, to jasne. Jeśli chcesz, odwiozę Gavina do domu.

Tylko nie to - westchnął w duchu Gavin. Liz była z pewnością fajną, atrakcyjną kobietą, ale tak się wysilała, tak jawnie zabiegała o jego względy, że nie mógł tego znieść. Nie był już małym chłopcem i nie dawał się przekupić słodkimi słówkami i wypytywaniem o własne sprawy.

- Dzięki za propozycję, Liz, lecz dam mu samochód, niech jedzie sam. Gavin nie wierzył własnym uszom, ale ojciec rzeczywiście wyciągnął z kieszeni kluczyki. Dwa dni temu odebrał mu jego rżęcha, a teraz okazał tyle zaufania, by powierzyć mu swój samochód. Ta demonstracja dobrej woli znaczyła dla Gavina więcej niż groźby ojca pod adresem Rondeau. Ochrona dziecka jest obowiązkiem rodzica, ale obdarzanie go pełnym zaufaniem - już nie.

A jednak Dean wybrał tę właśnie opcję, jakby na przekór wszystkiemu, co Gavin mu wykręcił. Chłopak wiedział, że musi to przemyśleć. Później, gdy będzie już sam.

- Zadzwoń, jak skończę pracę, Gavinie. Przyjedziesz i odbierzesz mnie. Zgoda?

- Jasne, tato - powiedział przez ściśnięte gardło. - Będę czekał na telefon. Nawet w obecnym stanie chaosu, jaki zapanował w jej życiu, Paris nie miała zamiaru po raz kolejny wykręcać się od wizyty w Meadowview. Być może pocałunek Deana, który obudził w niej poczucie winy, sprawił, że zadzwoniła do dyrektora kliniki i obiecała, że przyjedzie o trzeciej. Udało jej się być na czas. Dyrektor już czekał przy wejściu. Uściskawszy jej rękę, zaczął się tłumaczyć z obcesowego tonu swego ostatniego listu.

- Nie chciałem, żeby to tak wypadło, ale...

- Nie tłumacz się - ucięła krótko. - To moje zaniechanie. Skłoniłeś mnie po prostu do załatwienia czegoś, co leżało odłogiem.

- Mam nadzieję, że nie masz mnie za faceta pozbawionego ludzkich uczuć - dodał jeszcze, gdy szli wyciszonym korytarzem.

- Ani trochę.

Rzeczy Jacka wyniesiono do składziku. Po otwarciu drzwi dyrektor wskazał na trzy zalepione taśmą pudła, ustawione na metalowym regale. Nie były duże ani ciężkie. Paris sama dałaby sobie z nimi radę, ale nalegał, że jej pomoże.

- Przepraszam, że tak o was zapomniałam. Mieliście tylko kłopot - powiedziała, gdy pakowali pudła do bagażnika.

- Rozumiem, dlaczego się tak długo nie zgłaszałaś. Szpital nie może ci się dobrze kojarzyć.

- No nie, ale też nie mogę powiedzieć złego słowa, bo Jack miał tu świetną opiekę. Dziękuję za wszystko.

- Już podziękowałaś. Twój zapis był bardzo szczodry.

Po opłaceniu wszystkich rachunków związanych z leczeniem i pogrzebem Jacka zapisała klinice całą resztę jego majątku, łącznie z wystawioną na wysoką sumę polisą ubezpieczenia na życie, którą wykupił, kiedy się zaręczyli. Wszystko zapisał jej, ale nie byłaby w stanie zachować tych pieniędzy. Rozstała się z dyrektorem na zalanym słońcem parkingu. Oboje wiedzieli, że już się raczej nie spotkają.

Teraz trzy pudła stały na jej kuchennym stole. Prawdopodobnie żadna chwila nie będzie dobra na ich otwarcie, więc Paris wołała mieć to już za sobą. Wzięła nóż i przecięła taśmę.

W pierwszym pudle były pidżamy. Cztery, wszystkie schludnie złożone. Kupiła je, kiedy umieściła Jacka w Meadowview. Po tysięcznych praniach zrobiły się miękkie i delikatne, ale

przesiały ledwo wyczuwalnym antyseptycznym zapachem szpitala. Zamknęła pudło.

W drugim znajdowały się papiery, głównie oficjalne dokumenty ze stemplem notariusza, z firmy ubezpieczeniowej, z sądu, ze szpitala. Jack Donner został w nich zredukowany do numeru ubezpieczenia społecznego. Jako wykonawczynie testamentu osobiście musiała załatwić wszystkie sprawy, choć budziło to jej wewnętrzny sprzeciw. Teraz był to już czas przeszły. Nie chciała i nie mogła znowu ich przeglądać.

Pozostało trzecie, najmniejsze pudełko. Wahala się z otwarciem go, bo wiedziała, co zawiera - były to wyłącznie osobiste rzeczy Jacka. Zegarek. Portfel. Kilka ulubionych książek, które czytała mu na głos podczas swych codziennych wizyt w Meadowview. Oprawiona fotografia jego rodziców, którzy już nie żyli, gdy ona go poznała. Pomyślała, że to błogosławieństwo nie dożyć widoku jedyne dziecko w takim stanie. Po przewiezieniu Jacka do Meadowview Paris musiała opróżnić jego dom. Ubrania oddała do Armii Zbawienia. A potem, okradając sama siebie, sprzedała jego meble, samochód, narty, łódź rybacką, rakiety do tenisa, gitarę, a na koniec dom, by spłacić astronomiczne szpitalne rachunki, których nie mogło pokryć ubezpieczenie. To, co miała przed sobą, było jedynym ziemskim dobytkiem Jacka w chwili śmierci. Nic mu już nie pozostało, został pozbawiony nawet godności.

Od częstego używania portfel zniszczył się i wytarł. Zawierał od dawna nieważne karty kredytowe. Zza ostatniej wyjrzała jej uśmiechnięta twarz. Pod fotografią podpięty był jakiś papier - wycinek gazetowy, który Jack kilkakrotnie złożył, by pasował formatem do zdjęcia. Rozwinęła go i zobaczyła swoje drugie zdjęcie. Tym razem nie była to pozowana fotografia ze studia, tylko migawka uchwycona przez jednego z gazetowych reporterów. Wyglądała na zmęczoną i wyczerpaną, pozbawioną złudzeń, gdy tak patrzyła smutnym wzrokiem w dal z opuszczonym mikrofonem. Tytuł brzmiał Sensacyjna transmisja.

Łzy napłynęły jej do oczu. Otarła je, nie wypuszczając z ręki artykułu. Jack był tak dumny z jej pracy, że aż zachował sobie ten artykuł. Ciekawe, czy kiedykolwiek później zdał sobie sprawę z okrutnej ironii losu, który kazał mu zachować ten właśnie wycinek, dokumentujący jej pracę przy tej szczególnej sprawie? Dziwnym zrzędzeniem przeznaczenia na ich życie wywarł wówczas wpływ człowiek, którego żadne z nich wcześniej nie znało ani nie spotkało. Zmienił bieg zdarzeń dotyczących Paris i Jacka w chwili, kiedy potraktował własną rodzinę jako zakładników.

Zapowiadał się zwyczajny, nudny wtorek, gdy w samo południe gruchnęła wieść, że kobieta z trójką dzieci przetrzymywana jest pod bronią we własnym domu przez męża szaleńca. Dziennikarze, usłyszawszy to, natychmiast ruszyli tyłki. Pierwszy dostał zadanie kamerzysta, który w pośpiechu zbierał sprzęt, gdy do studia wpadł wydawca.

- Kto jest wolny? - warknął.

- Ja - odpowiedziała Paris i podniosła rękę jak pry muska z pierwszej ławki.

- Miałaś dograć dźwięk do tego materiału o zabezpieczeniach przed rakiem.

- Dograny i oddany.

Stary wyjadacz, który zęby stracił na telewizji, przerzucił papierosa, którego nie miał prawa zapalić w budynku, z jednego kącika zażółconych nikotyną warg do drugiego. Popatrzył na nią uważnie, a potem zdecydował:

- OK, Gibson, masz ten materiał. Marshall cię zmieni, kiedy wróci z sądu. A na razie spróbuj tego za bardzo nie spieszyć. Jazda!

Paris z filmowcem zapakowali się do wozu transmisyjnego. Była podniecona, bo po raz pierwszy

dostała do zrobienia tak ważny materiał. Kamerzysta gładko lawirował szerokimi ulicami Houston, gwizdząc pod nosem coś Springsteena.

- Jak ty to robisz, że jesteś taki wyluzowany?

- Bo jutro pojawi się drugi taki sam szaleniec. Wszystkie te afery są do siebie podobne, tylko nazwiska się zmieniają.

W pewnym sensie miał rację, Paris uznała jednak, że jest taki spokojny za sprawą jointa, którego pociągał. Na końcu małej uliczki zamieszkałej przez przedstawicieli klasy średniej ustawiono blokady. Paris wyskoczyła z wozu i podbiegła do grupy reporterów otaczających oficera służb specjalnych, występującego aktualnie jako rzecznik komendy policji w Houston.

- ...dzieci mają od czterech do siedmiu lat - usłyszała, gdy udało jej się przebić bliżej. - Państwo Dorrie rozwiedli się kilka miesięcy temu. Ostatnio sąd przyznał matce prawo do opieki nad dziećmi. Jak dotąd wiemy tylko tyle.

- Czy to jest reakcja pana Dorrie na wyrok sądu? - zawołał ktoś.

- Można tak to interpretować, ale na razie to tylko domniemanie.

- Rozmawialiście z panem Dorrie?

- Nie odpowiada na nasze wezwania.

Kamerzysta Paris zrównał się z nią i dał jej mikrofon, podłączony do kamery.

- Skąd zatem wiadomo, że jest w domu i grozi rodzinie bronią?

- Pani Dorrie zadzwoniła na policję i zdołała przekazać tę wiadomość, zanim ją rozłączono.

Przypuszczalnie zrobił to pan Dorrie.

- Mówiła, co to za broń? - Nie.

- Wiadomo, co Dorrie chce przez to osiągnąć? - spytała Paris.

- Na razie wiadomo tylko, że sytuacja jest poważna - powiedział rzecznik. - To wszystko, co mogę państwu przekazać. Dziękuję bardzo.

- Nagrałeś to? - zapytała Paris kamerzystę.

- Tak, twoje pytanie i jego odpowiedź. Dzwonili ze studia. Za trzy minuty chcą cię puścić na żywca. Dasz radę coś powiedzieć?

- Postaram się. Ty się zajmij kamerą.

Wybrała na transmisję miejsce, z którego widać było w oddali dom Dorriech na końcu wysadzanej drzewami ulicy, gdzie w zwykłe dni musiało być spokojnie i pogodnie. Teraz jednak tłoczyły się tu policyjne radiowozy, karetki, wozy transmisyjne i tłumy gapiów. Paris poprosiła sąsiadkę Dorriech, żeby zgodziła się powiedzieć kilka słów do kamery, na co kobieta ochocho przystała.

- Zawsze wydawał mi się miłym człowiekiem. Nie sądziłam, że jest zdolny do takich rzeczy. Ale z ludźmi nigdy nic nie wiadomo. Większość to przecież wariaci.

Mniej więcej po godzinie Paris dostrzegła w prywatnym samochodzie Deana Malloya. Nie zwracając uwagi na zbiegowisko, pewnym krokiem, w eskorcie umundurowanych policjantów zmierzał prosto do wozu brygad specjalnych, ustawionego w połowie drogi między zagrodzonym terenem a domem. Obserwowała go, nim zniknął w samochodzie, a potem zadzwoniła do wydawcy i poinformowała go, co zaszło.

- Zamknijcie się, wy tam! - ryknął, uciszając szumiące w studiu głosy. - Już nie słyszę własnych myśli. Jeszcze raz mi powtórz, kto to jest.

- Dean Malloy - powtórzyła. - Jest doktorem psychologii i kryminologiem zatrudnionym w

komendzie głównej.

- Znasz go?

- Osobiście. Specjalizuje się w negocjacjach z porywaczami. Nie przyjeżdżałby tutaj, gdyby naprawdę nie był potrzebny. - Tą informacją wyprzedziła całą konkurencję.

Po trzech godzinach wyczekiwania ludzie poczuli się już zmęczeni i wręcz pragnęli, by w końcu coś się stało. Paris zrobiła sobie przerwę, gdy nagle dostrzegła na obrzeżu tłumu niską kobietę, podtrzymywaną pod ramię przez mężczyznę. Kobieta płakała. Cicho, ale rozpaczliwie. Paris zostawiła mikrofon, podeszła do nich i przedstawiła się. Mężczyzna się zdenerwował i zaczął krzyczeć, żeby się wynosiła, lecz kobieta przedstawiła się jako rodzona siostra pani Dorrie. Z początku nie chciała opowiadać, ale stopniowo Paris wyciągnęła z niej całą burzliwą historię małżeństwa Dorrieich.

- Te informacje mogłyby się bardzo przydać policji - powiedziała. - Może zechce pani z kimś od nich porozmawiać?

Kobieta była przerażona, a jej mąż zły.

- Człowiek, o którym myślałam, nie jest zwykłym policjantem. Jego celem jest wyciągnięcie stamtąd pani siostry i jej dzieci. Można mu zaufać. Daję pani słowo honoru.

W kilka minut później Paris usiłowała przekonać upartego krawężnika, żeby dostarczył kartkę od niej do Malloya.

- Znamy się dobrze. To mój przyjaciel.

- Nieważne, brat czy swat. Malloy jest zajęty i nie będzie chciał rozmawiać z dziennikarzami.

- Nagrywasz to, stary? - Paris zwróciła się do kamerzysty.

- Jasne. - Natychmiast ustawił obiektyw.

- Tylko zrób zbliżenie na twarz. - Odchrząknęła i zaczęła mówić do mikrofonu: - Dziś Antonio Garza z departamentu policji w Houston utrudniał wysiłki, by uratować rodzinę zastraszoną przez uzbrojonego mężczyznę. Funkcjonariusz Garza odmówił przekazania ważnej wiadomości...

- Ejże, moja pani, co ty wyrabiasz?

- Przekazuję naszym widzom informację o policjancie, który utrudnia akcję ratunkową.

- Dawaj tę cholerną kartkę - wyrwał liścik z ręki Paris. Przez następny śmiertelnie długi kwadrans Paris czekała.

W końcu Dean wychynął z furgonetki i podszedł do bariery. Odsuwał mikrofony, szukając wzrokiem znajomej twarzy. Zauważył Paris przy jej wozie transmisyjnym i natychmiast podszedł.

- Cześć, Paris.

- Nigdy nie wykorzystywałabym naszej znajomości do prywatnych celów. Wiesz o tym?

- Wiem.

- I nigdy bym cię nie odciągała od zajęć, gdybym nie uważała, że sprawa jest poważna.

- To już pisałaś. Co masz?

- Wejdz do środka.

Oboje weszli do wozu, w którym już czekali namówieni przez Paris na rozmowę siostra pani Dorrie z mężem. Przedstawiła ich sobie. Miejsca było tak mało, że kamerzysta musiał zostać na zewnątrz. Dean przykucnął przy zestresowanej kobiecie i odezwał się spokojnym, cichym głosem:

- Przede wszystkim proszę uwierzyć, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by pani siostrze i dzieciom nie stała się krzywda.

- Paris mówiła to samo. Powiedziała, że ręczy za pana - odparła kobieta. Dean rzucił szybkie

spojrzenie na Paris. - Obawiam się jednak, że policja zaatakuje dom, a wtedy Albert zabije ją i dzieci. Na pewno.

- Czy groził im kiedykolwiek wcześniej?

- Wielokrotnie. Siostra od dawna mi powtarzała, że on ją w końcu zabije. Dean słuchał cierpliwie, przerywając jedynie, by doprecyzować czy wyjaśnić najważniejsze punkty. W samochodzie było duszno i cuchnęło marihuaną, ale Dean nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Nie spuszczał oczu z twarzy roztrzęsionej kobiety. Nie notował, najwyraźniej od razu szeregował wszystko w pamięci. Kiedy skończyła opowieść, podziękował serdecznie, jeszcze raz obiecał, że zrobi wszystko, aby wydostać jej rodzinę bezpiecznie z domu, i poprosił, by pozostała na miejscu, bo może będzie jej jeszcze potrzebował. Kobieta i jej mąż zgodzili się.

Gdy opuścili już śmierzący samochód, Paris podała Deanowi butelkę wody. Machinalnie pociągnął łyk, wracając na swoje stanowisko.

- Przydałam się? - spytała Paris.

- No pewnie, ale zanim coś zdziałam, muszę namówić Dorriego na rozmowę.

- Masz teraz jego komórkę.

- Dzięki tobie.

- Cieszę się, że mogłam ci pomóc.

Garza i inni mundurowi uformowali szpaler, którym Dean przedostał się za barierki. Odchodząc, odwrócił się jeszcze i powiedział:

- Dobra robota, Paris.

- Ty też jesteś dobry.

Paris odprowadziła go wzrokiem, po czym znów zadzwoniła do wydawcy i opowiedziała, co się stało.

- Super. Dobrze mieć przyjaciół na stanowiskach. Skoro już rozmawiałeś z capo di tutti capi, zostań tam aż do skutku.

- A co z Marshalllem?

- To twój materiał, dziecino. Nie zrób mi zawodu.

W godzinę później Malloyowi udało się nawiązać słowny kontakt z porywaczem. Paris słuchała tej rozmowy wraz z innymi reporterami. Psycholog przekonywał Dorriego, by pozwolił mu porozmawiać z jego żoną, przerażoną, ale jak dotąd całą i zdrową. Te wiadomości poszły do dziennika o piątej. O szóstej Paris powtórzyła swą relację, dodając podsumowanie długiego, pełnego napięcia dnia. O siódmej przyjechał Jack z hamburgerami i frytkami dla niej i operatora.

- Kto tu palił zielsko? - spytał.

- Ona - błyskawicznie odpalił kamerzysta. - Nie można jej od tego oderwać. - Kiedy jednak skończył jeść, zrobiło mu się głupio. - Wiesz, Jack, co do tamtego, to...

- Nie ma sprawy. - Jack uśmiechnął się szelmowsko.

- Dzięki, stary. - Kamerzyście wyraźnie ulżyło. Kiedy zostali sami, Paris spojrzała na Jacka z gniewem.

- Dobry z ciebie pan kierownik.

- Dobry kierownik to taki, który umie sobie zaskarbić lojalność współpracowników. - Wesoły uśmiech na jego twarzy ustąpił zatroskaniu. Pogładził jej policzek. - Musisz być wykończona.

- Fakt, że już nie mam tej energii, co rano - powiedziała, ale zaraz przypomniała sobie, z jakim stoicyzmem Dean znosił niewygody. - To nieważne, jak wyglądam, ważne, żebym dobrze

przekazywała informacje.

- Jesteś fantastyczna.

- Dzięki.

- Naprawdę. W stacji aż się gotuje.

Tego ranka, kiedy Paris wskakiwała do samochodu, znacznie przybliżyła się do szansy na duży materiał na wizji. Taki materiał, taka relacja - nic dziwnego, że wszyscy aż chodzą na rżęsach. Ale po południu wszystko się zmieniło. Najważniejsza okazała się rozmowa Deana z siostrą pani Dorrie. Wiadomości pochodzące od niej dodały całej historii ponurego tła, jej bohaterowie zyskali imiona i cała tania sensacja o wariacie zmieniła się w prawdziwą ludzką tragedię. Wstyd byłoby budować na tym swoją osobistą karierę.

- Widziałas się jeszcze z Deanem? - spytał Jack.

- Tylko przez chwilę. Wyszedł po południu, żeby zapytać siostrę pani Dorrie o ulubione słodycze i zabawki dzieci, bo chciał, by rozmowa z Dorriem nabrała bardziej osobistego tonu.

- Jak się nie uda, Dean uzna to za osobistą porażkę. - Jack zmarszczył brwi.

- Robi, co może.

- Ja to wiem i ty to wiesz. I wiedzą wszyscy oprócz Deana. Zapamiętaj moje słowa, Paris. Jeżeli z tego domu nie wyjdzie piątka żywych ludzi, on będzie się o to obwiniać.

Jack pokręcił się jeszcze trochę i odjechał z obietnicą, że będą w kontakcie telefonicznym, gdyby sytuacja się zmieniła. Ale godzinami nic się nie działo. Paris siedziała w samochodzie i porządkowała notatki, kiedy w szybę zapukał Dean.

- Coś nowego? - zapytała.

- Nic. Przepraszam, że cię przestraszyłem. - Zbliżył twarz do otwartego okna. - Musiałem na chwilę wyjść, żeby się przewietrzyć i rozprostować nogi.

- Masz pozdrowienia od Jacka.

- Był tu?

- Przyniósł nam obiad. Jadłeś coś?

- Kanapkę. Ale nie odmówię łyka wody.

- Piłam z niej. - Podała mu butelkę.

- Nie brzydzę się. - Pociągnął długi łyk i zakręcił butelkę. - Zrób mi grzeczność i zadzwoń do Gavina. Kiedy biorę udział w takich akcjach, mały się okropnie denerwuje. - Uśmiechnął się lekko. - Za dużo kryminalów puszczają w telewizji. Powiedz mu, że ze mną rozmawiałaś i wszystko jest w porządku. - Odczytał nieme pytanie w jej oczach. - Sam już z nim rozmawiałem, Pat też, ale wiesz, jakie są dzieci. Łatwiej uwierzą komuś obcemu niż własnym rodzicom.

- Z przyjemnością to dla ciebie zrobię. Coś jeszcze?

- Wystarczy.

- Nie ma sprawy.

Rozluźnił krawat i podwinął do łokcia rękawy koszuli. Rozmawiał z Paris, ale cały czas spoglądał w stronę domu. Wreszcie powiedział cicho:

- On ich może pozabijać, Paris.

Nie odpowiedziała, bo nie oczekiwał odpowiedzi. Zwierzył jej się właśnie ze swojej największej obawy i już samo to starczało za pociechę, a wołała uniknąć banalnych słów pociechy.

- Nie rozumiem, jak człowiek może chcieć zabić rodzone dzieci, ale z tego, co mówi, to całkiem możliwe. - Zmęczonym gestem potarł zmarszczone czoło. - Ostatnim razem, kiedy z nim

rozmawiałem, usłyszałem, jak jedna z dziewczynek krzyczy: „Błagam, tatusiu, nie zabijaj nas”. Więc nie ma takiego argumentu, jakiego mógłbym użyć, żeby powstrzymać tego gościa, jeśli postanowi pociągnąć za cyngiel.

- Gdyby nie ty, już pewnie by to zrobił. - Paris odruchowo pogłaskała Deana po włosach. - Robisz, co się da. - Natychmiast uniósł głowę. Może chciał się dowiedzieć, co ona przez to rozumie, a może sprawdzić, czy naprawdę go dotknęła. - Słuchaj, przeciekło do nas to i owo - dodała szeptem. - Gliniarze mówią, że jesteś naprawdę niesamowity.

- A co ty myślisz? - odpowiedział, także szeptem.

- Że jesteś niesamowity.

Chciała się do niego uśmiechnąć, jak do przyjaciela, ale w tych okolicznościach wydawało się to niestosowne. Z różnych powodów. Sytuacji, w jakiej tkwili. Nieznośnego napięcia, które ją prawie dusiło. A przede wszystkim przez Deana, który patrzył na nią tak intensywnie, że aż nie do zniesienia. Było podobnie jak tamtego wieczora, kiedy się poznali. Takie spojrzenie sięgało głęboko do duszy, wychodziło daleko poza konwencjonalne przyjacielskie standardy. Tylko tym razem trwało o wiele dłużej, a siła przyciągania między nimi była o wiele większa.

Opuściła rękę, jakby przyznawała się do winy. Ten gest jeszcze bardziej podkreślił wymiar sytuacji, w której znaczenie nie chciała się teraz wgłębiać. Gdyby nie zadzwonił jego pager, zapewne zaczęliby się całować.

- Donie chce ze mną mówić - rzucił i sprintem pobiegł do swego wozu.

O północy ojciec po negocjacjach zdecydował się uwolnić dzieci. Dorrie obawiał się ataku brygady antyterrorystycznej na dom. Dean zapewnił go, że nie dojdzie do tego, jeśli wypuści dzieci. Miało się to odbyć w ten sposób, że Dean osobiście zabierze je z ganku. Oczywiście, Paris nie znała szczegółowych warunków, nim kryzys został zażegnany. Właśnie rozmawiała z siostrą pani Dorrie, gdy nadbiegł klusem jej kamerzysta. - Paris, Malloy zbliża się do domu!

Obserwowała go ze ściśniętym gardłem. Stał na ganku z uniesionymi w górę rękami. Nikt nie słyszał z tej odległości, o czym rozmawiał z porywaczem, ale było jasne, że jest wystawiony na łaskę i niełaskę Dorriego. Paris zdawało się, że stoi tam całą wieczność. Wreszcie drzwi się uchylily i wybiegł z nich mały chłopiec, a za nim starsza dziewczynka z dzieckiem na rękę.

Osłepione policyjnymi reflektorami dzieci płakały i zasłaniały oczy. Dean objął je, uniósł i oddał w ręce pielęgniarzy z Sekcji Ochrony Nieletnich, którzy już czekali w pogotowiu.

Jednym z warunków Dorriego było, by nie oddawać ich pod opiekę szwagierce, która całe życie go nienawidziła i intrygowała z żoną przeciw niemu. Paris relacjonowała to wszystko ze schrypniętym gardłem, wyraźnie zmęczona, ale w jej głosie pojawiła się nutka optymizmu. „Od wielu godzin traciliśmy nadzieję na szczęśliwe zakończenie tej historii. Ale, zdaniem policji, uwolnienie dzieci to dobry znak i może oznaczać przełom w negocjacjach”. Gdy wypowiadała ostatnie słowa, zagłuszyły je dwa głośnie wystrzały. Paris i inni reporterzy nagle zamilkli. Takiej głębokiej, nagłej ciszy nie doświadczyła dotąd w życiu.

A potem rozległ się trzeci, ostatni strzał.

Paris po raz ostatni spojrzała na wycinek, po czym złożyła go dokładnie tak samo jak kiedyś Jack i schowała za swoją fotografią w jego portfelu, który wrzuciła do pudła. Robiło jej się słabo na myśl, że gdyby Jack skojarzył tamtą noc na posterunku z późniejszymi wydarzeniami, nie chowałby tego wycinka tak pieczołowicie, tylko porwał na małe kawałeczki.

Rozdział 20

Była niską, drobną kobietą. Dłonie mnące wilgotną chusteczkę mogłyby należeć do dziecka. Skrzyżowane w kostkach nogi ukryła pod krzesłem. Była roztrzęsiona jak debiutujący pianista przed pierwszym koncertem.

- Pani Toni Armstrong, doktor Dean Malloy - przedstawił ich Curtis.

- Miło mi panią poznać.

- Może przynieść pani coś do picia? - Curtis troszczył się o jej wygodę tak jak przedtem o Paris.

- Nie, dziękuję. Ile czasu zajmie nam ta rozmowa? Muszę o czwartej odebrać dzieci.

- Na pewno skończymy znacznie szybciej.

Przed spotkaniem Curtis w pół minuty streścił Deanowi, kogo będzie przesłuchiwał, bo tyle zajęła im droga do jego pokoju od drzwi, gdzie pożegnali się z Gavinem i Liz. Dlatego psycholog nie bardzo wiedział, jaka będzie jego rola. Wyczekiwał, oparty o ścianę, na razie jako bierny obserwator.

Pani Armstrong nie była ani w połowie tak krucha, jakby na to wskazywał jej wygląd. Wiedziała, że nie siedzi tu dobrowolnie, więc skracając wstępne uprzejmości, od razu przystąpiła do rzeczy.

- Pan Hathaway powtórzył mi, że chce się pan ze mną widzieć, panie sierzancie. Więc przyszedłem. Nie powiedziano mi jednak, w jakiej sprawie. Czy powinnam zażądać obecności adwokata? Czy może mój mąż ma kłopoty, o których nie wiem?

- Jeśli ma, to my także tego nie wiemy, proszę pani - wymknął się gładko Curtis. - Ale naruszył warunki kurateli, prawda?

- Prawda.

- Hathaway twierdzi, że pani go o tym poinformowała.

- To było najgorsze, co mi przyszło zrobić. - Kobieta spuściła głowę, mnąc machinalnie chusteczkę.

- Być może - powiedział ze współczuciem. - Hathaway zadzwonił do wydziału wykroczeń seksualnych, a oni do mnie.

Dean już zaczynał rozumieć, o co chodzi. Wydział, o którym wspominał sierżant, podlegał Centralnemu Biuru Śledczemu. Detektywi, którzy specjalizowali się w takich sprawach, musieli usłyszeć o ostatnim śledztwie Curtisa. Zabójstwa i wykroczenia seksualne często szły ze sobą w parze.

- Czy mogę poznać fakty? - wtrącił się.

- Osiemnaście miesięcy temu Brad Armstrong został skazany za molestowanie seksualne nieletniej i dostał wyrok w zawieszeniu na pięć lat, obligatoryjną terapię grupową, i tak dalej. Ostatnio przestał uczęszczać na spotkania. Jego kurator wyznaczył mu na dziś dwa terminy spotkań. Na żadne się nie stawił. Pani Armstrong zadzwoniła do jego adwokata, który udał się do miejsca pracy pana Armstronga, aby go przekonać, że powinien tam pójść. Tymczasem pan Armstrong, który z zawodu jest dentystą, znikł, chociaż miał na popołudnie poumawianych pacjentów. Nikt nie wie,

gdzie teraz jest.

- Doniosłam na niego, bo wolałam, żeby go aresztowano za gwałt niż... niż za coś gorszego - powiedziała Toni.

- Na przykład? - spytał Dean.

- Obawiam się, że jest w ciągu i będzie chciał robić to, za co go skazano. Kiedy się nakręca, sam nie wie, co wyprawia.

Curtis zaoferował Deanowi krzesło. Już go wciągnął do współpracy. Dean powiedział:

- Rozumiem, jak pani z tym ciężko, ale nie chcemy pani dręczyć, tylko pomóc.

- Wiem. - Pociągnęła nosem. - Brad znów kolekcjonuje pornografię. Znalazłam te rzeczy u niego w pracy. Nie zdołałam wejść do komputera, bo codziennie zmienia hasło. Ale i tak dobrze wiem, co bym tam znalazła. Na procesie wyszło na jaw, że łączy! się z wieloma pornograficznymi stronami internetowymi. Interesowała go ostra pornografia, nie delikatna erotyka. Najchętniej z udziałem młodych dziewcząt, prawie dzieci. Ale to nie jest najgorsze - uśmiechnęła się słabo do Deana - nie powiedziałam nic jego kuratorowi i sama nie wiem, czemu panu teraz to mówię. Chcę, żebyście go powstrzymali, zanim naprawdę posunie się za daleko.

- Czego nie powiedziała pani Hathawayowi?

Nieźbornie zrelacjonowała ostatnie wyczyny męża, jego całonocne eskapady, zniknięcia z pracy, kłamstwa i próby samousprawiedliwienia. Uznała to za sygnały całkowitej utraty kontroli nad sobą, a Dean musiał się z nią zgodzić.

- Czy jak pani stawiała mu zarzuty, to reagował odruchem obronnym, stawał się podrażniony i zły? Oskarżał panią o nieuzasadnioną podejrzliwość i brak zaufania?

- Tak. Za każdym razem wykręca kota ogonem i moje argumenty usiłuje interpretować na swoją korzyść. Poza tym oskarża mnie, że jestem jego wrogiem.

- Czy posunął się do czynów gwałtownych?

Toni spuściła oczy i w ten sposób odpowiedziała na pytanie Deana, zanim jeszcze opisała wydarzenia, które wczorajszego wieczoru miały miejsce w kuchni. Mówiła spokojnie, nie patrząc policjantom w oczy, ale nie oszczędziła ani sobie, ani im najmniejszego szczegółu.

- I od tamtej pory nie widziała go pani? - zapytał łagodnie Dean.

- Nie, ale dziś rano rozmawialiśmy przez telefon. Przepraszał mnie, mówił, że nie wie, co w niego wstąpiło.

- Czy kiedykolwiek wcześniej tak się zachowywał?

- Nie, nawet w żartach. Przestraszyłam się go, bo nigdy taki nie był.

Kolejny zły znak, pomyślał Dean, a Toni wyczytała to w jego spojrzeniu. Przenosiła niespokojny wzrok od jednego mężczyzny do drugiego.

- Wciąż mi nie powiedzieliście, dlaczego zostałam tu wezwana.

- Proszę mi powiedzieć, czy pani mąż słucha czasem nocą radia? - zapytał Curtis.

- Czasami - odparła szybko.

- Czy już wcześniej znikał z domu?

- Raz. Po tym, kiedy rodzice jego pacjentki oskarżyli go o molestowanie. Nie było go trzy dni, zanim go złapali i aresztowali.

- A gdzie go złapali?

- W motelu. Ukrył się tam, bo nie wierzył, że ktoś będzie chciał wysłuchać, jak sprawa wygląda z jego punktu widzenia.

- A co pani na to?

- Ja miałabym mu wierzyć? - Potrząsnęła ponuro głową. - To nie pierwszy raz, kiedy dobierał się do pacjentek albo asystentek. W różnych miastach, w różnych gabinetach, ale zawsze chodziło o to samo. Zachowanie Brada przed tamtym incydentem było bardzo podobne. Ale teraz zrobił się bardziej bezczelny. Nawet nie starał się maskować. Działa zupełnie jawnie, nie boi się. Dlatego łatwo mi go było śledzić.

- Pani go śledziła? Kiedy to było? - Dean i Curtis jednocześnie zadali pytania.

- Raz, w zeszłym tygodniu. - Potarła czoło ręką. - Nie mogę sobie dokładnie przypomnieć, kiedy. Brad zadzwonił z gabinetu i powiedział, że wróci późno. Coś tam mi naopowiadał, ale natychmiast się zorientowałam, o co chodzi. Poprosiłam sąsiadkę, żeby popilnowała mi dzieci, a sama pojechałam pod klinikę. Poszedł do sklepu z książkami i wideo tylko dla dorosłych, co mu zajęło jakieś dwie godziny. A potem pojechał nad jezioro Travis.

- A dokładniej?

- Nie wiem, nie trafiłabym tam drugi raz, gdybym za nim nie jechała. Pusty teren, bez domów i sklepów. Dlatego tak się zdziwiłam, że jest tam mnóstwo młodzieży. Nastolatków.

- A co on tam robił?

- Długo nic nie robił. Siedział w samochodzie i obserwował otoczenie. Młodzi pili, ściskali się, hałasowali. W końcu wysiadł i podszedł do jednej z dziewcząt. - Toni znów opuściła głowę. - Rozmawiali chwilę, a potem zabrał ją do samochodu. Wtedy odjechałam.

- Nie rozmawiała z nim pani na ten temat?

- Nie. - Uśmiechnęła się żałośnie. - To ja się czułam brudna, zbrukana, nie on. Po prostu chciałam jak najszybciej wrócić do domu i wziąć długi, gorący prysznic.

Zażenowani tą opowieścią zarówno Dean, jak i Curtis milczeli dłuższą chwilę. W końcu pierwszy odezwał się Curtis:

- Umiałaby pani zidentyfikować tę dziewczynę?

- Chyba nie - rzekła po namyśle. - Jedyne przyszło mi do głowy, że chyba jest jeszcze uczennicą. Było ciemno, nie widziałam twarzy.

- Blondynka? Brunetka? Wysoka? Niska?

- Blondynka. Wyższa ode mnie, ale niższa od Brada. On ma prawie metr osiemdziesiąt.

- Czy to mogła być ta dziewczyna? - Curtis podsunął jej gazetę z wizerunkiem Janey Kemp.

- Teraz rozumiem, po co mnie wezwaliście - powiedziała, a w jej oczach pojawił się strach. - Czytałam o tej dziewczynie. Córnka sędziego, która zaginęła. To dlatego tu przyszłam.

- Czy kiedykolwiek dała pani mężowi do zrozumienia, że ma go pani na widelcu, że widziała pani, co robił? - Curtis zmienił temat.

- Nie. Tamtej nocy, kiedy wrócił, udawałam, że śpię. Następnego ranka był rozluźniony i w dobrym humorze. Bawił się z dziećmi, robił plany na weekend. Idealny mąż i ojciec.

Zamyśliła się. Gdy Dean wyczuł, że Curtis chce ją dalej pytać, dał mu dyskretny znak, by tego nie robił. W końcu kobieta podniosła wzrok i spojrzała Deanowi prosto w oczy.

- Czasem mam wrażenie, że Brad naprawdę wierzy w te swoje kłamstwa. Udaje, że żyje w jakimś bajkowym świecie, gdzie nikt nie ponosi konsekwencji za swoje czyny. Dlatego pozwala sobie na wszystko, na co tylko ma ochotę, bo nie boi się ani więzienia, ani żadnej innej kary.

To było najkoszmarniejsze ze wszystkiego, co im powiedziała, choć sama nie zdawała sobie z tego sprawy. Curtis aż się wzdrygnął. Równie dobrze jak Dean znał się na psychologicznych

portretach seryjnych morderców i maniaków seksualnych pogrążonych we własnym wydumanym świecie, który był dla nich tak pociągający i realny, że zaczęli w nim grać swe role na serio. Często uważali, że stoją ponad prawem, a społeczeństwo niesprawiedliwie ich osądza. Jedynym zrozumiałym dla nich, głęboko czczonym bóstwem była ich własna perwersja.

- Cenimy pani czas, a szczególnie pani szczerość. Zwłaszcza że te sprawy nie są dla pani łatwe. - Curtis odchrząknął.

Ale Toni nie zamierzała dać się tak łatwo zbyć.

- Powiedziałałam wam przykre rzeczy o moim mężu, ale nie wierzę, że ma coś wspólnego ze zniknięciem tej dziewczyny.

- My też nie mamy na to żadnych dowodów. Żadnych, powtarzam. Ale musimy sprawdzać wszystkie tropy. - Curtis przerwał na chwilę i dodał: - Gdyby nam pani pomogła, moglibyśmy go wyeliminować z kręgu podejrzanych.

- A w jaki sposób mogę pomóc?

- Może pani pozwolić, by nasi ludzie włamali się do jego komputera, przejrzeni zawartość oraz pocztę. Ta dziewczyna aktywnie działała w Sex Clubie, który ogłaszał się na stronach internetowych. W ten sposób nawiązywała mnóstwo znajomości. Jeśli okaże się, że ona i pani mąż nigdy nie wymieniali korespondencji, szanse na to, że ją znał, będą minimalne.

- Muszę się skonsultować z adwokatem Brada - powiedziała po namyśle. Curtis zgodził się, choć nie był uszczęśliwiony.

Akcje Toni Armstrong u Deana jeszcze wzrosły. Nie była wcale kobietą twardą z natury. Ta cecha doszła zapewne do głosu po tym, jak ujawniła się dewiacja jej męża i sprowadziła kłopoty na rodzinę. Musiała przywdziać obronną maskę, by jakoś przetrwać i nie zwariować. Teraz Curtis pomógł jej wstać i wyprowadził ze swojego boksu.

- Dziękujemy za współpracę, pani Armstrong. Jestem pewien, że szybko znajdziemy pani męża i spróbujemy zapewnić mu pomoc.

- A jeśli to nie on?

- Prawdopodobnie nie on. Nie jesteśmy nawet pewni, czy Janey Kemp została naprawdę porwana. Ale skoro istnieją uzasadnione wątpliwości, musimy badać wszystkie ślady, szczególnie prowadzące do ludzi skazanych za przestępstwa o charakterze seksualnym. Pani mąż wybrał sobie zły moment na zlekceważenie kuratora, to wszystko.

To bynajmniej nie było wszystko, o czym Toni Armstrong doskonale wiedziała, ale była zbyt dobrze wychowana, by prosto w oczy zarzucić Curtisowi, że kłamie. Pożegnała się i poszła.

- Miła kobieta - skomentował Curtis, gdy już nie mogła ich usłyszeć.

- Miła i inteligentna - dodał Dean. - Wie, że mąż stacza się po równi pochyłej. Wie, że nawciskałeś jej kitu. No bo przecież chyba nie sądzisz, że te dwa zniknięcia, Janey i Armstronga, są bez związku.

- Na pewno tego nie wykluczam. - Curtis znów zasiadł za biurkiem i wskazał Deanowi krzesło. Wziął czekoladowy batonik i chciał poczęstować Deana drugim, ale ten odmówił. - Własna żona Armstronga widziała, jak namawia nieletnią na seks. Pojechał nad jezioro konkretnie w tym celu. A skąd miał się dowiedzieć o miejscu zbiórki?

Z ogłoszenia Sex Clubu - powiedział Dean.

Właśnie. Armstrong czyta stronę z ogłoszeniami jak kartę dań. Kiedy ma ochotę sprawdzić jakieś ogłoszenie, mailuje do odpowiedniej dziewczyny. A Janey Kemp z grubsza pasuje do opisu Toni

Armstrong.

Bardzo z grubsza - stwierdził Dean. - Do tego opisu pasuje połowa uczennic z Austin.

Tak czy inaczej, zbieżność jest zastanawiająca, chyba się zgodzisz?

Owszem. - Dean przeciągnął dłonią po włosach. Czuł się podobnie jak Toni Armstrong, modląc się, by ktoś, kogo kochał, lecz mu nie wierzył, okazał się niewinny.

Jeśli ona nie zgodzi się udostępnić komputera, wystąpię o nakaz - powiedział Curtis. - Rondeau mógłby znaleźć Armstronga w skrzynce e-mailowej Janey, ale za długo by to trwało. Na razie postawię patrole w stan gotowości. Chcę przesłuchać Armstronga, jak tylko go znajdą. Już badamy jego samochód.

A propos, czy coś wynikło z badań laboratoryjnych u Janey?

W zasadzie nic - skrzywił się Curtis. - Za dużo materiału. Pobrali próbki ze wszystkiego, co było w samochodzie, a były tam tysiące rzeczy. Zajmie im lata, zanim zrobią z tym porządek.

A odciski?

Niewiele. Sprawdzają teraz, czyje. Będziemy mieli szczęście, jeśli natrafimy na odcisk Brada Armstronga. Zebrali też próbki ziemi, żarcia, nasion i drągów. Wymień cokolwiek, a okaże się, że było w tym samochodzie.

Nawet po meczu na stadionie nie znalazłbyś więcej. Ta dziewczyna chyba mieszkała w swoim aucie. Jej koledzy, a i rodzice, przyznają, że spędzała tam dużo czasu. Jadła, piła, spała i pieprzyła się - wszystko, co chcesz. Jedyna rzecz, jaką zidentyfikowaliśmy z całą pewnością, to był ludzki włos, taki sam, jak na szczotce do włosów w jej domowej łazience. I jeszcze trochę zasuszonego gówienka. To, i psie włosy, pochodziło od domowego pieska Kempów.

Nie pamiętam, żebym u nich widział psa.

Bo go trzymają w pralni. Sędzia ma alergię na sierść. - Curtis skończył pochłaniać baton i wcelował papierkiem do kosza. - I to by było tyle.

Czyli nic nie wskazuje na to, co się z nią mogło stać - powiedział Dean.

Nie ma śladów walki, zadrapań ani skrawków podartego ubrania. I tylko jeden włos. Żadnych połamanych paznokci ani krwi. Bak był do połowy pełny, czyli nie skończyła się jej benzyna. Silnik w pełni sprawny. Koła napompowane. Wszystko wskazuje na to, że sama zaparkowała ten samochód i włączyła alarm.

Czyli zamierzała do niego wrócić - dodał Dean. - Nie było obok żadnych śladów opon?

Wiesz, ilu ludzi tam się umawiało? Setki. I wszyscy przyjeżdżali samochodami. Niechby i grupowo, to i tak daje mnóstwo śladów. Zdjęliśmy trochę odcisków opon, ale odnalezienie tych samochodów wymaga czasu. A my go nie mamy. Tak samo jak na badania DNA. Na pewno ich nie zrobimy w... - Curtis spojrział na zegarek - w ciągu trzydziestu sześciu godzin. A nawet mniej.

A to zdjęcie, które dostał Gavin? Coś wyniuchaliście?

To ciekawa sprawa. Nie pochodzi z żadnego z aparatów o standardowym czasie wywołania.

Czyli że nasz poszukiwany ma ciemnię.

Albo korzysta z cudzej. Kilku ludzi już nad tym pracuje, próbują ustalić, skąd pochodzi papier i odczynniki, ale...

Wiem, chodzi o czas.

No właśnie. A w dodatku nasz domorosły artysta mógł nie kupować tych rzeczy w normalnym sklepie, tylko zamawiać pocztą albo przez Internet. -

Rzedziejące, krótkie włosy Curtisa nie wymagały grzebienia, mimo to przyczesał je ręką. - Mam

coś jeszcze. Pamiętasz tego sprzątacza, Marvina?

- Co z nim?

- Fałszywe nazwisko. I to niejedno. Występował nie tylko jako Marvin Patterson, ale także Morris Green, Marty Benton i Mark Wright. Tyle wiemy na razie.

- I co jeszcze?

- Naprawdę nazywa się Lancy Ray Fisher. W młodości wiele razy karany za drobne wykroczenia przez sąd dla nieletnich. W wieku lat osiemnastu zamieszany w dużą kradzież samochodów w Huntsville. Dostał wyrok, złagodzony po tym, jak zadenuncjował kumpla z celi, który mu się przyznał do morderstwa. Po uwolnieniu popełnił jeszcze kilka przestępstw, za które dostawał najniższe wyroki, zwykle po apelacji. Znany jest głównie z fałszowania czeków i kradzieży kart kredytowych.

- Gdzie jest teraz?

- Nie wiadomo. Szukamy go z pomocą kuratora. Przekopaliśmy już pół miasta, kiedy się okazało, że uciekł. Griggs i Carson dostali za to ciężki opieprz. W każdym razie wynika z tego, że łamanie wyroku w zawieszeniu nie jest jedynym wykroczeniem Marvina, podobnie jak praca w radiu nie była jego jedynym źródłem dochodów.

- Fakt, może mieć gorsze grzechy na sumieniu - powiedział Dean.

- Mieliśmy nakaz, więc zrewidowaliśmy jego mieszkanie. Nie miał komputera.

- Mógł go zabrać.

- Mógł, ale dziwne, że znaleźliśmy inne fanty. - Co?

Curtis wymienił długą listę sprzętu elektronicznego, na jaki z pewnością nie byłoby stać faceta zatrudnionego na etacie ciecica.

- Interesował się dźwiękiem. Miał bardzo dobry sprzęt nowej generacji. Zarekwirowaliśmy mnóstwo drobiazgu, który jest teraz badany. Ale inna rzecz jest ciekawa. Wspomniałem ci o jego wykroczeniach po wyroku? Raz był oskarżony o napaść seksualną. Mamy jego DNA.

- No więc, jeżeli znajdziecie to samo DNA w samochodzie Janey...

- Jeśli wystarczy nam czasu, pamiętaj o tym.

Dean był równie sfrustrowany jak Curtis. To była cholernie trudna sprawa. Nic nie pasowało. Mieli ciekawe ślady, ale nie było ani zbrodni, ani ofiary. Szukali porywacza, choć nie mieli pewności, czy Janey Kemp naprawdę została porwana. Pracowali przy założeniu, że jest przetrzymywana wbrew swojej woli i jej życiu zagraża niebezpieczeństwo, ale czy istotnie tak było... Nagle nowa myśl zaświtała Deanowi w głowie.

- Słuchaj, a jeżeli...

- Mów. Jestem otwarty na każdą propozycję - zachęcił go Curtis.

- A jeżeli to ukartowała sama Janey?

- Po co? Dla zwrócenia na siebie uwagi?

- Albo dla zgrywy. Przecież mogła namówić któregoś ze swoich facetów, żeby zadzwonił do Paris i napędził jej stracha, tylko po to, by sprawdzić, jak daleko się można posunąć.

- Nie jest to wcale niemożliwe i nie ty pierwszy na to wpadłeś. Dziś rano byłem w sądzie i rozmawiałem z Kempem.

- Pracuje jakby nigdy nic?

- Do twarzy mu w czarnej todze - powiedział z niechęcią Curtis. - Upiera się, że Janey zrobiła na złość jemu i matce. Sędzia szykuje się do reelekcji w listopadzie i zbytne nagłośnienie jego rodzinnych spraw nie jest mu na rękę. Psuje publiczny wizerunek. Uważa, że Janey specjalnie chce

mu złamać karierę.

- Cholera. - Co?

- Nie spodziewałem się, że będę myślał tak samo jak sędzia Kemp.

- I obaj możecie mieć rację. - Curtis się zaśmiał. Przez chwilę jeszcze omawiali tę sprawę, w końcu Dean powiedział:

- Nie, Curtis, to nie może tak być. Valentino mnie przekonał. Albo to on, albo anonimowy wspólnik Janey zna się na psychologii lepiej ode mnie.

- Moim zdaniem to on.

- Janey umówiła się z nim. Spotkali się w wyznaczonym miejscu. Zostawiła zabezpieczony samochód i odjechała jego wozem - powiedział Dean.

- To się okaże.

- To by pasowało do wersji Gavina.

Detektyw wpatrzył się w noski swoich butów i rzekł:

- To Gavin mógł ją gdzieś wywieźć swoim wozem i wspólnie uknuli plan porwania.

- Uważasz, że to Gavin ją porwał?

Curtis tylko wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Możliwe”.

- Gavin bardzo krótko rozmawiał z Janey. Potem wrócił do kolegów. Dał ci przecież listę nazwisk. Sprawdziliście ich?

- Sprawdzamy.

Obojętna odpowiedź detektywa jeszcze bardziej zdenerwowała Deana.

- Uważasz, że potrafiłby tak zmienić głos, żeby mówić jak Valentino? Sądysz, że nie rozpoznałbym głosu własnego syna?

- A chciałbyś rozpoznać?

Dean był przyzwyczajony do krytyki. Często się zdarzało, że ktoś w śledztwie kwestionował wyniki jego analiz, bo mu nie pasowało, że oskarża się tę czy inną osobę. Czasem i policjanci miewali kłopoty przez Deana, dlatego nie był najbardziej lubianą osobą w firmie. Normalne ryzyko zawodu. Ale tym razem niemal został oskarżony o stronnictwo. Po raz pierwszy w życiu. Wściekło go to jak diabli.

- Oskarżasz mnie o utrudnianie śledztwa? Uważasz, że zatajam dowody. Chcesz próbkę włosów Gavina?

- Może później.

- Służę ci w każdym czasie.

- Nie chciałem cię urazić. Ale swoją drogą, sporo chcesz zataić, doktoru.

- O co ci chodzi?

- O ciebie i Paris Gibson. Nie powiedziałaś mi wszystkiego.

- Bo to nie twoja zaszara sprawa.

- Oczywiście, że nie, do kurwy nędzy. - Teraz Curtis był równie rozgniewany jak Dean. - Tylko że wszystko się od niej zaczęło. - Pochylił się i zniżył głos, żeby nikt nie mógł podsłuchać tego, co powie. - Ty i ona współpracowaliście przy tej słynnej sprawie w Houston. Trąbiły o tym wszystkie media.

- Były ofiary.

- Tak, wszystko to wiem. Ostro cię to dziabnęło. Wzięłaś bezpłatny urlop, żeby się jakoś pozbierać.

Dean dyszał ciężko.

- A niedługo po tym narzeczony Paris, a twój najlepszy przyjaciel, o czym zapomniałeś mi wspomnieć, został kaleką. Paris odeszła z telewizji i zajęła się opieką nad nim, a ty...

- Znam tę historię lepiej od ciebie. Kto ci udzielił informacji?

- Ma się kumpli w policji w Houston. Popytałem - burknął Curtis tonem dalekim od przeprosin.

- Po co?

- Bo przyszło mi do głowy, że to może mieć coś wspólnego z Valentinem.

- Ale nie ma.

- Jesteś pewien? Valentino obrał sobie za cel niewierne kobiety. Uważasz, że taka seksowna ekstralaska jak Paris mogłaby być wierna Jackowi Donnerowi przez całe siedem lat, kiedy leżał w szpitalu?

- Nie mam pojęcia. Straciłem z nimi kontakt, kiedy wynieśli się z Houston.

- Całkowicie?

- To była jej decyzja.

- Nie rozumiem. Przecież miałeś być świadkiem na ich ślubie.

- Widzę, że twój kumpel w Houston dobrze odrobił lekcję.

Powiedział mi tylko tyle, ile było w prasie. Dlaczego Paris prosiła cię, żebyś się trzymał od niej z daleka?

Nie prosiła, tylko wymusiła. Nie chciała, żebym przychodził do Jacka, bo uważała, że on by tego nie chciał. W szkole byliśmy kumplami i razem uprawialiśmy sport, a wiesz, co to znaczy. Pewnie by nie chciał, żebym go oglądał w takim stanie.

Curtis kiwnął głową, jakby akceptował to wytłumaczenie, choć nie do końca. Coś jeszcze mnie intryguje - powiedział. - Jej czarne okulary. Po wypadku ma kłopoty z oczami. Uwrażliwienie na światło. Ale nosi je także w nocy. Wczoraj miała je, kiedy przyjechaliście do Wal-Martu. A było ciemno jak u Murzyna. Nie uważasz, że coś ukrywa? Że się czegoś wstydzi?

Rozdział 21

Stan znacznie bardziej wolałby spotkanie z andrologiem niż ze stryjem Wilkinsem. W każdym wypadku obrabialiby mu dupę, ale lekarz przynajmniej robiłby to delikatnie i w rękawiczkach. Byli umówieni - szczęśliwie dla Staną - w barze hotelu Driskill. Stryj nie zamówił apartamentu, bo tego samego wieczoru miał zamiar wracać do Atlanty. Dzięki Bogu, że to tu, pomyślał Stan. Był kryty. Stryj nienawidził scen, więc nie mógł go zbyt opieprzać w miejscu publicznym. W przestronnym holu z barem panowała cicha atmosfera haremu podczas poobiedniej drzemki. Przydymiony sufit 'ze szkła zapewniał stłumione, intymne oświetlenie. Ludzie niespieszonym krokiem przemierzali mozaikowe posadzki. Nikt nawet nie trącił wystającego liścia wielkiej doniczkowej palmy.

Sofy i fotele wręcz zapraszały do zagłębienia się w miękkie poduchy i kontemplowania solo na flecie, płynącego z niewidocznych głośników.

Niestety, w centrum tej oazy siedziała obrzydliwa ropucha.

Wilkins Crenshaw miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Stan podejrzewał, że nosi wkładki podwyższające. Jego siwe włosy o żółtawym odcieniu były tak rzadkie, że z trudem maskowały starcze wątrobiane plamy na czasce. Szerokie nozdrza pasowały do grubych warg, z których dolna była wywinięta i zwieszona. Przypominał ohydneho gada.

Zdaniem Staną to aparycja stryja sprawiła, że pozostał starym kawalerem. Jedyne, co mogło pociągać płęć przeciwną, to wielkie pieniądze stryja Wilkinsa - co było kolejnym powodem, dla którego się nie ożenił. Był zbyt skąpy, by dzielić się choćby najmniejszym kąskiem swojej fortuny z potencjalną małżonką. Ponadto Stan podejrzewał, że w szkole wojskowej, dokąd dziadek wysłał jego ojca i stryja, Wilkins był przysłowiową ofermą pułkową. Ale stamtąd nie było odwrotu, tylko akademia wojskowa i służba w lotnictwie. Po wypełnieniu obowiązku patriotycznego mogli powrócić do rodzinnej firmy. Na jakimś etapie męskiej edukacji ofermowaty Wilkins zrozumiał, co to jest prawdziwe zło. Nauczył się odgrywać i płacić wet za wet, choć używał do tego rozumu, nie siły mięśni. Nie musiał nawet tknąć kogokolwiek palcem, by wzbudzać w ludziach strach. Nigdy nie grał czysto i nikogo nie oszczędzał.

Na widok Staną nie podniósł się od stolika, nie powiedział „dzień dobry”. Kiedy podeszła do nich śliczna młoda kelnerka, złożył zamówienie: „Dla tego pana specjalność zakładu”. Stan nie znosił słodkich bezalkoholowych napojów, ale nie zmienił zamówienia. Postanowił za wszelką cenę minimalizować przykrości. Uśmiechnął się więc najsympatyczniej, jak potrafił.

- Świetnie wyglądasz, stryju.

- To jedwabna koszula?

- Ta? Ach, tak.

W rodzinie wszyscy lubili się dobrze ubierać. Stryj Wilkins, jakby rekompensując swoją brzydotę, zawsze był nieskazitelnie ostrzyżony i odziany. Koszule i garnitury szły na miarę. Nie przepuścił żadnej zmarszczce czy plamie.

- Musisz się ubierać jak pedał? Czy może uważasz, że taki cipowaty wygląd jest teraz w modzie?

Albo dajesz coś do zrozumienia?

Stan zmilczał; kiwnął tylko głową kelnerce, która przyniosła zamówienie.

- Musiałeś odziedziczyć ten krzykliwy gust po swojej matce. Też lubiła falbaneczki i zakładeczki.

Im więcej, tym lepiej.

Stan nadal się nie odzywał, choć jego koszula w spokojnym kolorze nie miała ani koronek, ani zabotu. Nie pamiętał też, żeby matka chociaż raz w życiu włożyła coś z falbankami. Zawsze wyglądała jak chodzący ideał dobrego smaku. Miała doskonały gust i zdaniem Staną była najpiękniejszą kobietą na świecie. Ale że kłótnia na ten temat ze stryjem wydawała się bezcelowa, postanowił zmienić temat.

- Jak poszło zebranie z zarządem?

- Dalej są dochodowi.

To po diabła się tak na mnie piekli, pomyślał Stan. Postanowił zaimponować stryjowi tym, czego się nauczył. Miał tylko nadzieję, że staruch nie będzie zbyt dociekliwy, bo sam nie bardzo rozumiał, co mówi.

- Faktycznie, ostatnie raporty były bardzo optymistyczne - powiedział. - Wzrosło nam ponad siedem punktów od ostatniego badania.

- Niestety - mruknął stryj. - I dlatego ta cała sprawa z Paris Gibson jest jeszcze bardziej śmierdząca.

- Zgadzą się.

- Nasza stacja nie powinna na tym ucierpieć.

- Przecież nie jest bezpośrednio zaangażowana. To były tylko wzmianki, stryjku.

- Nawet najmniejsza wzmianka może zaszkodzić. Nie chcę, by moją stację kojarzono z czymś tak obrzydliwym jak porwanie dziewczyny.

- Ja też nie chcę, stryju.

- I właśnie dlatego urwę ci łeb i naszczę do dziury, jeśli się okaże, że masz cokolwiek wspólnego z tymi durnymi telefonami.

Poza umiejętnym stosowaniem podłych metod stryj Wilkins nauczył się w wojsku jeszcze jednego. Wyrażał się absolutnie jasno i trudno było nie zrozumieć jego intencji. A skuteczność jego działania znacznie przewyższała wulgarność wypowiedzi. Stan się przestraszył.

- Skąd stryjowi przyszło do głowy, że to ja mógłbym...

- Bo jesteś ostatnią pierdołą. Taki byłeś, odkąd twoja matka wydała cię na ten świat. Odkąd złapałeś pierwszy oddech, widać było, że będą z tobą kłopoty. To dlatego w końcu pochorowała się i umarła.

- Przecież miała raka trzustki.

- No i skorzystała z tego, żeby się od ciebie uwolnić. Twój ojciec też wiedział, że nie jesteś wart złamanego grosza. Nie chciał mieć ciebie na karku, więc wziął pistolet i odstrzelił sobie pół głowy.

Stanowi chciało się rzygać. Nie mógł mówić. Ale stryj Wilkins nie zamierzał na tym poprzestać.

- Twój ojciec był urodzonym słabeuszem, a przez twoją matkę zrobił się jeszcze bardziej miękki. Czuł się w obowiązku być jej mężem aż do końca, chociaż dobrze wiedział, że pieprzyła się ze wszystkimi facetami, jacy się napatoczyli.

Okrucieństwo było drugą naturą stryja Wilkinsa. Stan wiedział to od trzydziestu dwóch lat, więc powinien być przyzwyczajony. Ale nie był. Spojrzał na niego z nienawiścią.

- Ojciec też bez przerwy miał jakieś romanse.

- Oho, i to dużo więcej, niż nam się wydaje. Musiał przelecieć każdą babę w zasięgu ręki, żeby sprawdzić, czy mu jeszcze staje. Twoja matka nie wpuszczała go do łóżka. Chyba tylko do niego jednego czuła wstręt.

- No i do ciebie.

Wilkins tak mocno ścisnął swoją szklankę z whisky, że o mało nie pękła. Nareszcie. Stanowi wyszedł ten prosto wyprowadzony cios. Teraz poczuł satysfakcję. Doskonale wiedział, skąd brał się resentment stryja wobec jego pięknej matki. Wiele razy powtarzała ze śmiechem, patrząc na niego: „Wilkins, ale z ciebie paskudna ropucha”. Jak na kobietę, która naprawdę lubiła mężczyzn, była to okrutna obelga, kończąca sprawę. Zwykle to stryj obrażał ludzi, lecz z nią nie umiał sobie dać rady. Stan z przyjemnością mu o tym przypominał. Ale wystarczył łyk alkoholu, by stryjowi wróciły siły.

- Skoro już mówimy o twoich nieprzystosowanych rodzicach, to nic dziwnego, że sam masz problemy z seksem.

- Nie mam.

- Dowody świadczą o czymś innym.

- Jeżeli wracasz do tej baby z Florydy... - Stan się zagotował.

- Którą próbowałeś przelecieć na klapie od faksu...

- To ona tak mówi. Było zupełnie inaczej. To ona mnie zdybała, była przecież na mnie, kiedy zauważyła, że ktoś wchodzi. Dostała pietra.

- To nie pierwszy raz, kiedy musiałem za ciebie płacić kaucję tylko dlatego, że nie umiałeś utrzymać chuja w rozporoku. Jesteś taki sam jak twój ojciec. Gdybyś miał choć połowę tego talentu do interesów, może mielibyśmy z czego żyć.

I tu była pięta achillesowa stryja Wilkinsa. Nie mógł się żadnym sposobem dostać do okazałego funduszu powierniczego, jaki ustanowili dla syna rodzice Stana, a fundusz ten składał się nie tylko z ich osobistego majątku, ale dużego udziału w akcjach firmy i jej zyskach. Nie było żadnych ograniczeń czasowych, tak miało być do końca świata. Nawet Wilkins przy całych swoich wpływach nie miał sposobu, by unieważnić testament i obdrzeć Stana z pieniędzy.

- A jak było wtedy na basenie, kiedy pokazałeś dziewczynom, co masz w gaciach? To był przypadek?

- Mieliśmy po jedenaście lat. Same mnie prosiły, z ciekawości.

To dlaczego zaczęły wrzeszczeć i wołać rodziców? Musiałem wydać kupę forsy na łapówki, by siedzieli cicho i żeby nie wydalono cię z klubu. Nie pamiętasz, jak cię wyrzucili ze szkoły za walenie konia pod prysznicem? Wszyscy to robili.

Ale tylko ciebie złapali, co jak najgorzej o tobie świadczy. Nie kontrolujesz się.

Jeżeli zamierzasz mi wyliczać cały rejestr młodzieńczych grzechów, zaraz zamówię wódkę.

Nie mam na to czasu, nie dzisiaj. - Wilkins spojrzał na zegarek. - Wkrótce jadę na lotnisko. Startuję o szóstej. Obyś się rozbił i spalił, pomyślał Stan.

A od ciebie chcę, byś przekonał tę Gibson, że te świńskie telefony to nie twoja sprawka. A dlaczego miałbym to robić?

Bo jesteś głupim skurwysyńskim gnojkiem. Płacę twojemu świrowi kupę szmalcu, żeby mi donosił, co ci się tam kitwasi w tym głupim łbie. Twój starzy spłodzili istne gówno. A ja mam po nich sprzątać. Dobrze chociaż, że - jak dotąd - wszystkie twoje sprawy dotyczyły bab. Zamknij się - syknął Stan. Gdyby miał więcej charakteru, przeskoczyłby stolik i tak mocno ścisnął tłustą szyję stryja, że wyszłyby mu z orbit te wstrętne żabie gały, ozór zresztą też by wyszedł mu na wierzch. Już

widział w myślach jego śmierć. Marzył o niej - o jak najobrzydliwszej śmierci w męczarniach. - To nie ja dzwoniłem - powiedział. - Niby jakim cudem? Byłem wtedy w radiu z Paris na dyżurze, a wiadomo, że dzwoniło z jakiejś dalekiej budki.

Sprawdziłem to. Przekazywanie z fałszywych numerów jest możliwe. Szczególnie z kradzionych komórek. I praktycznie nie wykrywalne. Co? - Stan był oszołomiony. - Sprawdziłeś, jak to można zrobić, zamiast najpierw mnie spytać, czy to zrobiłem?

- Gdybym był takim bezmyślnym durniem jak ty, nigdy do niczego bym nie doszedł. Nie chciałem, żeby któraś z tak zwanych twoich przygód wyszła na jaw w mojej obecności. Nie chcę sam wyjść na idiotę, który wierzy, że trzymasz się w karchach. Na razie mam problem z przekonaniem zarządu, by płacili ci pensję inżyniera, chociaż z trudem umiesz wymienić żarówkę. - Spojrzał na Stanę swym niewzruszonym, gadzim wzrokiem.

- To nie ja dzwoniłem.

- Jedyne, na czym się znasz, to elektroniczne gadżety.

- To nie ja dzwoniłem - powtórzył Stan. Stryj pociągnął kolejny łyk ze swojej szklanki.

- A ta Paris. Podoba ci się?

- Jest w porządku.

Wysilił się na obojętny ton. Stryj spojrzał na niego świdrującym, przenikliwym i jeszcze bardziej złym wzrokiem. Stan skulił się. Stryj Wilkins miał świętą rację, był ostatnią pierdołą. Teraz nie umiał się powstrzymać, by nie miąć w palcach serwetki od nietkniętego napoju.

- Jeśli chodzi ci o to, czy nie myślałem o niej w kategoriach seksualnych, to owszem, przyznaję się. Czasami. Ma strasznie łóżkowy głos, a ja muszę z nią siedzieć po wiele godzin. Codziennie.

- Zaczepiałeś ją?

- Nie. Od razu daje wszystkim do zrozumienia, że nie jest zainteresowana.

- Co znaczy, że próbowałaś, ale dała ci kosza.

- Nie, w ogóle nie próbowałem. Ona żyje jak zakonnica.

- Dlaczego?

- Była zaręczona z takim jednym - odparł Stan znużonym tonem. - Leżał w klinice w Georgetown, na północ od miasta. Bardzo drogiej. A Paris jeździła tam codziennie. Ludzie z radia mówili, że to trwa od lat. On niedawno zmarł. Ciężko to przeżyła i jeszcze nie do końca przyszła do siebie. Poza tym to nie jest kobieta, która mogłaby...

- Nie rozumiem. Jaka to kobieta?

- Która mogłaby dać się uwieść.

Stryj Wilkins patrzył na niego długo i w milczeniu, po czym rzucił na blat garść bilonu i wstał. Sięgając po teczkę, spojrzał znad swego szerokiego, niezgrabnego nosa na Stanę.

- Słowo „uwieść” oznacza, że przekonujesz kobietę, by dobrowolnie zgodziła się na seks z tobą. Takie zachowania w twoim wykonaniu bynajmniej mnie nie przekonują, Stanley.

Gdy stryj się oddalał, Stan mruknął z ulgą: „Przynajmniej nie jestem taki obrzydliwy jak ty i nie muszę za to płacić”.

Ostatnia lekcja, jaką wyniósł z rozmowy, była taka, że stryj ma wciąż doskonały słuch.

Domu na kółkach już od dawna nie ruszano z miejsca. Tkwił tu od tylu lat, że jeden róg przyczepy zapadł się w ziemię. Przed drzwiami było małe podwórko, na którym rosła jedynie trawa. Upiększeniu tego obrazka służyć miały dwie popękane doniczki, w których tkwiły spłowiałe plastikowe nagietki. Jakiś dzieciak kiedyś kopnął przez płot piłkę, której potem nawet nie szukał,

więc leżała na trawie, dawno sflaczała. O ściankę przyczepy oparto stary, kompletnie przerdzewiały grill - nabytek z garażowej wyprzedaży. Antena na dachu była przekrzywiona.

Choć taka rudera, był to jednak dom. Dom dla trzech brudnych zdiczałych kocurów i starej flejtuchowatej baby, uzależnionej od kawy i papierosów, które kopciła bez ustanku, mimo iż była podłączona rurką do butli z tlenem na kółkach. Zacharczała głośno, gdy drzwi skrzypnęły i promień słońca padł na migający ekran telewizora.

- Mamo!

- Zamknij te cholerne drzwi, bo nic nie widzę, a leci właśnie mój serial.

- Ach, ty i te twoje seriale - powiedział Lancy Ray Fischer, pseudo Marvin Patterson, i wszedł do środka. Pomieszczenie tonęło w mroku. Czarno-biały obraz na ekranie był ledwo widoczny. Mężczyzna zajrzał do lodówki.

- Nie ma nic do jedzenia.

- Bo to nie restauracja, a poza tym nikt cię nie zapraszał.

Powęszył dokoła, aż znalazł kiełbasę. Na lodówce leżał bochenek krojonego chleba. Odpędził kota i owinał wędlinę kromką stęchłego pieczywa. Na razie musiało mu to wystarczyć. Matka milczała aż do przerwy na reklamy.

- Cóżes znowu wykręcił, Lancy?

- Skąd ci to przyszło do głowy? - Matka prychnęła i zapaliła papierosa. - Wyszłoby ci się któregoś dnia w powietrze, jak będziesz palić przy tym zbiorniku. Mam nadzieję, że nie będzie mnie przy tym.

- Zrób mi parę kanapek - powiedziała. Kiedy zrobił i podsunął jej, dodała: - Bo zjawiasz się tu tylko wtedy, kiedy masz kłopoty. Co zmalowałeś tym razem?

- Nic. Remontują moje mieszkanie. Muszę się gdzieś przespać przez kilka dni.

- Mówiłeś, że masz nową wspaniałą dziewczynę. Czemu się u niej nie zadekujesz?

- Zerwaliśmy.

- Kumam. Dowiedziała się, że jesteś złodziejem?

- Już dawno nie jestem złodziejem, tylko porządnym obywatelem.

- Jak ja jestem królowa Saby.

- Przestałem się tym zajmować, mamo. Przecież sama wiesz. Spojrzała na syna.

- Nowe ciuchy, ale człowiek w środku ten sam.

- Nie ten sam. Zmieniłem się.

- A dalej kręcisz te swoje pornosy?

- To były tylko dwa, dwa filmy wideo, mamo. Dawno temu. Zrobiłem to dla przyjaciela.

Przyjaciel wypłacał mu się w kokainie. Mógł ćpać, ile chciał, miał się za to tylko rozbierać i pierdolić. Ale kiedy Lancy zaczął posuwać jedną z „artystek” nie tylko na planie, lecz poza nim, zazdrosny „reżyser” zaczął się uskarżać na rozmiary jego przyrodzenia. W filmie, gdzie liczył się rozmiar, Lancy nie przedstawiał się zbyt imponująco. „Sam rozumiesz, to nic osobistego, ale chodzi o zasady”. Jednak Lancy, oczywiście, wziął to do siebie, do tego stopnia, że przy rozstaniu reżyser zalał się krwią i błagał, by zostawił w spokoju jego własne klejnoty.

To było dawno temu. Lancy zerwał z twardymi narkotykami i pornograficznymi filmikami. Poprawił się, w każdym sensie tego słowa. Ale jego matka nie potrafiła tego dostrzec.

- Jesteś taki sam jak twój stary - powiedziała, z mlaskaniem pochłaniając kanapkę. - Cwany był z niego skurwiel, a ty zachowujesz się tak samo. Już nawet nie gadasz jak człowiek. Gdzie się nauczyłeś tak elegancko nawijać?

- Pracuję w radiu, mam. Słucham, jak ludzie mówią. Uczę się od nich. Ćwiczę.

- A to ci gadka, ty dupku. Za nic ci nie wierzę, a gdybym mogła, tobym cię wyrzuciła.

Znów wgapiała się w telewizor. Lancy przeszedł do wąskiego korytarzyka, przestępując między kocimi odchodami, i wcisnął się do małego pokoiku, gdzie sypiał, kiedy wypuszczano go z więzienia lub chciał się na kilka dni schować. To była jego ostatnia kryjówka. Wiedział, że matka przeszukała pokój po tym, jak był tu ostatnim razem, więc z obawą podważył luźną płytkę pod łóżkiem. Bał się, czy znajdzie tam to, czego szuka.

Ale forsa, głównie w studolarowych banknotach, spokojnie leżała w metalowej kasetce. Tam, gdzie ją ukrył. Połowa należała do jego współnika, który akurat odsiadywał kolejny wyrok. Kiedy wyjdzie, będzie szukał niejakiego Marty Bentona i dopominał się swego udziału. Ale o to Lancy zamierzał się martwić później.

Forsy stopniowo ubywało. Lancy kupił sobie nowy samochód i ciuchy. Wynajął też mieszkanie, a właściwie dwa. Zainwestował też w komputer, który spoczywał teraz w bagażniku auta. Gdyby matka wiedziała, zmyłaby mu głowę za to, że wyrzuca pieniądze na takie zbytki, kiedy ona musi się zadowalać starym czarno-białym telewizorem. Nie rozumiała, że w dzisiejszych czasach, gdy człowiek chciał do czegoś dojść uczciwą lub nieuczciwą drogą, musiał posługiwać się komputerem. Lancy doszedł w tym do mistrzostwa. Ale żeby się nie narażać starej wiedźmie, zamierzał przynieść laptop i połączyć się z Internetem przez telefon komórkowy dopiero wtedy, gdy ona zaśnie. Przeliczył banknoty, kilka z nich wsunął do kieszeni, a resztę ukrył w schowku pod podłogą. Było to jego zabezpieczenie i nie chciał naruszać kapitału. Choć obecna sytuacja go usprawiedliwiała.

Krótko po ostatnim zwolnieniu z więzienia dostał dobrą pracę, ale był zbyt głupi, by ją utrzymać. Jedną z najgłupszych rzeczy była kradzież. Kradzież zdaniem jego szefa, bo Lancy widział to inaczej. Gdyby poprosił o możliwość zakupu używanego sprzętu, szef prawdopodobnie sam by mu go podarował. Ale Lancy nie poprosił. Zrobił to swoim starym sposobem. Skorzystał z okazji i capnął, co się da. Tak zrobił pewnego wieczoru, wychodząc z pracy, bo sądził, że nikt tego nie zauważy. A jednak ktoś zauważył. On, jedyny facet z wyrokiem na liście płac, był w sposób naturalny podejrzany. Oskarżono go i przyznał się, bezskutecznie prosząc o jeszcze jedną szansę. Wylano go i nie zapakowano do pudła tylko dlatego, że zwrócił wszystko, co ukradł.

To doświadczenie wiele go nauczyło. Na przykład tego, by szukając pracy, nigdy nie podawać prawdziwego nazwiska. Dlatego kiedy starał się o robotę w radiu, podał się za Marviną Pattersona i w kwestionariuszu osobowym przy pytaniu o konflikt z prawem zakreślił odpowiedź „nie”. Praca polegająca na sprzątaniu po innych była dość parszywa, ale on czuł się, jakby złapał Pana Boga za nogi. Gdy ją dostał, uznał, że czuwała nad nim jakaś dobra wróżka, i błogosławił! los za to, że wcześniej kazał mu ukraść tamte kłamoty. Gdyby nie znalazł się na bruku, nie przysłoby mu do głowy najmować się za sprzątacza w 101,3 FM. Po pierwsze, dzięki pracy na cały etat spacyfikował swego podejrzliwego kuratora, po drugie, nie musiał naruszać zasobów gotówki, a po trzecie, mógł każdego wieczoru przebywać blisko Paris Gibson.

Niestety, uciekając, spalił za sobą mosty. Nie mógł wrócić do pracy ani do mieszkania. Skoro nie chciał być złapany, nie mógł wypisać czeku na nazwisko Marvin Patterson ani użyć jakiegoś innego sposobu, by dostać się do własnego konta. W chwili, kiedy tamten gliniarz zapowiedział mu, że będzie przesłuchiwany w sprawie świńskich telefonów do Paris Gibson, zareagował, jakby mu nasypali soli na ogon. Znów poczuł się byłym przestępcą, więc zachował się jak przestępca - porwał komórkę, wrzucił komputer i trochę ciuchów do samochodu i zniknął. W pierwszym odruchu

skierował się do swego drugiego mieszkania. Utrzymywał je nie dla luksusu, tylko właśnie na wypadek takich okoliczności. Ale zanim podjechał na parking, spostrzegł stojący po drugiej stronie ulicy wóz policyjny. Minął go bez zatrzymywania. Prawdopodobnie był to czysty przypadek, ponieważ gdyby go śledzili, nie robiliby tego w oznakowanym wozie. Jednak nie chciał ryzykować.

Zniszczył dokumenty na nazwisko Marvina Pattersona, a samochód wyposażył w tablice rejestracyjne, które ukradł kilka miesięcy wcześniej. Nie wierzył w dobrą wolę społeczeństwa i własne prawo do rehabilitacji. Ani gliny, ani sądy nie dawały szansy byłym przestępcom. Można się było zaklinać na Biblię, że jest się już innym człowiekiem, że chce się być porządnym obywatelem. Nikt jednak nie chciał ci dać drugiej szansy: ani społeczeństwo, ani prawo, ani kobiety. Zwłaszcza kobiety. W łóżku mogły wyprawiać balety z figurami, ale gdy się dowiadywały, że twoje konto nie jest czyste, zaraz podnosiły wrzask. Tego nie mogły znieść ani zaakceptować. Dla Lancy'ego nie było w tym śladu logiki, ale pogodził się z takim stanem rzeczy. Był podpadnięty, więc chciał udawać, że jest czysty. Nosił lepsze ubrania, wysławiał się poprawniej, a do kobiet odnosił się z szacunkiem.

Owszem, parę razy miał nadzieję na coś fajnego, ale wszystkie nowe związki z kobietami kończyły się tak samo, jak dawniej. Tak, jakby kobiety widziały na nim jakąś niewidzialną skazę. Choćby nie wiem co, nie cieszył się ich szacunkiem ani podziwem. Pomiały nim wszystkie, począwszy od rodzonej matki.

Rozdział 22

- Trochę za późno na zaproszenie, ale mamy nadzieję, że pójdziesz z nami na kolację.

Paris wodziła wzrokiem od Deana do Gavina. Przez ostatnie siedem lat chłopak wyrósł i wyprzystojniał. Choć włosy mu ściemniały, a rysy się wyostrzyły, rozpoznałaby go na pierwszy rzut oka.

- Wiem, że powiem coś okropnie banalnego, ale nie wierzę własnym oczom, że aż tak wyrosłeś - powiedziała, podając mu rękę. - Tak się cieszę, że znów cię widzę, Gavinie.

- Ja się też cieszę, proszę pani - odparł z widocznym skrępowaniem.

- Jak miałeś dziewięć lat, wypadało mówić do mnie „proszę pani”. Ale gdy teraz tak mówisz, czuję się, jakbym miała sto lat, więc lepiej bądźmy po imieniu. Jestem Paris, OK?

- - OK.

- A co z kolacją?

- Jest prawie gotowa. - Dean uniósł brwi w niemym pytaniu, więc dodała: - Naszykowałam mnóstwo jedzenia, więc jeśli nie pogardzicie moją kuchnią, to wchodźcie.

- Miła odmiana. - Dean trącił Gavina łokciem. - A co będziemy jeść?

- Naciągnąłeś mnie na zaproszenie i już wybrzydzasz?

- Może być wszystko, byle nie wątróbka albo rzepa.

- Makaron z polędwiczkami wieprzowymi i warzywami. Bez rzepy.

- Już mi ślinka leci. Możemy w czymś pomóc?

- Ha... - Paris poczuła się zagubiona. Tak dawno nikogo nie gościła, że zapomniała, jak się to robi. - Moglibyśmy się czegoś napić.

- Bardzo chętnie.

- Mam butelkę wina. - Wskazała dłonią składzik na tyłach domu.

- Prowadź.

Kiedy wrócili do kuchni, Dean zajął się otwieraniem butelki chardonnay, a Paris przygotowała dla Gavina colę z lodem. Dean natychmiast poczuł się jak w domu, natomiast ona i Gavin byli wciąż trochę skrępowani.

- W pokoju jest sprzęt - powiedziała do chłopaka. - Nie wiem tylko, czy mam taką muzykę, jaką lubisz.

- Na pewno mi się spodoba. Słucham czasem twoich audycji.

Paris potraktowała to jako komplement i wytłumaczyła mu, gdzie ma szukać płyt. Kiedy oddalił się na wystarczającą odległość, spytała Deana:

- Mogę zapytać o ten siniak na jego twarzy czy nie? - Nie.

Trudno było nie zauważyć paskudnej śliwy i opuchlizny pod prawym okiem Gavina. Paris była ciekawa, gdzie się tak urządził. Ale Dean najwyraźniej nie był skłonny o tym mówić, więc zmieniła temat i spytała go, jak Gavinowi poszło z Curtisem.

- Curtis mówił mi, że Gavin konsekwentnie podtrzymywał swoją wersję, którą słyszałem już wcześniej. Że pokłócił się z Janey, a potem wrócił do chłopaków i od tamtej pory jej nie widział.

- A Curtis mu uwierzył?

- Z pewną rezerwą. Nie zatrzymał Gavina, co już jest pozytywne. Poza tym Valentino ma głos dorosłego mężczyzny. Nie sądzę, by Gavin mógł tak zmienić głos, nawet gdyby chciał. Zresztą, gdzie miałby przetrzymywać dziewczynę? Nie ma takich możliwości. Musiałby ją zabić od razu, a potem... Jezus, co ja wygaduję. - Dean zacisnął dłonie na brzegu blatu i wpatrzył się w otwartą butelkę.

Dean, Gavin nie ma nic wspólnego ze zniknięciem Janey. Ja to wiem. Ja też tak myślę, ale z drugiej strony nigdy bym nie podejrzewał, że zajmował się tymi innymi rzeczami. Nie było mi przyjemnie, kiedy odkryłem, że mój syn prowadzi podwójne życie. Przecież wszystkie nastolatki mają swoje tajemnice.

No tak, ale ja mu dałem wolną rękę. Chciałem, żeby było mu ze mną dobrze, więc nie przestrzegałem należytej dyscypliny. On uważał, że jest okropnie pilnowany, choć bynajmniej tak nie było. No i skorzystał z tej wolności. Jak uważasz, czy przy takim treningu psychologicznym jak mój nie powinienem się wcześniej zorientować, że mnie robi w konia? Mogę puścić Roda Stewarta? - krzyknął z pokoju Gavin. Świetnie! - odkrzyknęła Paris. A potem powiedziała cicho do Deana: - Przestań się obwiniać. Dzieciaki muszą oszukiwać rodziców, taki już jest ten świat. A co do dyscypliny, to książkowe mądrości nie zawsze się dają stosować na co dzień. To wszystko jest cholernie trudne.

Gdyby było łatwe i gdyby wobec każdego dziecka skutkował taki sam system, specjaliści nie mieliby nic do roboty. - Zaśmiała się. - Bo o czym by rozmawiali w programach publicystycznych? Pomyśl, jaki by zapanował chaos, wręcz kryzys ekonomiczny, gdyby wszystkie dzieci były grzeczne i posłuszne. - Uradowana, że to go wreszcie rozchmurzyło, powiedziała poważnie: - To nie znaczy, że bagatelizuję twoje problemy, Dean. Ale to cudowne, że Gavin wprowadzie gdzieś się pośliznął, ale potrafił wrócić na dobrą drogę.

Dean napełnił dwa kieliszki i jeden wręczył Paris. Oby. - Stuknęli się i wypili. Paris spojrzała na Deana znad brzegu szkła.

- Wiesz, myślę, że samo mu to przychodzi. - Co?

- W rodzinie Malloyów nie tylko Gavin potrafi manipulować ludźmi.

- Czyżby?

- Bardzo sprytnie zrobiłeś, przyjeżdżając tu z nim, kiedy wcześniej odmówiłam zaproszenia cię.

- Poskutkowało, prawda?

- Jako psycholog, jak byś ocenił faceta, który posługuje się własnym dzieckiem, żeby wymusić od kobiety zaproszenie na kolację?

- Żalodne.

- I fałszywe.

- Pijesz do Liz. - Z jego twarzy znikł zadowolony uśmiech.

- A mówiłeś jej o swoich dzisiejszych planach?

- Powiedziałem jej, że chcę pobyć z Gavinem.

- Ale nie wspomniałeś, że i ze mną? - Nie.

- Wygląda na osobę, która ma prawo do spędzania z tobą wieczorów.

- Ma, to fakt.

- Na wyłączność? - Tak.

- Od jak dawna?

- Od paru lat.

- Hmm. - Wiadomość niemile poruszyła Paris. - Kiedy znalazłam cię w Houston, twoje romanse trwały najwyżej po parę tygodni.

- Bo kobieta, którą chciałem, była zajęta.

- Nie o tym mówimy, Dean.

- Jasne, że nie.

- Mówimy o tobie i Liz. Dwuletni związek wskazywałby na to...

- To nie jest tak, jak myślisz.

- A co myśli Liz?

- Tato! - Gavin wpadł do kuchni z telefonem komórkowym. - Dzwonią do ciebie.

Dzięki. - Sprawdził numer. - Gavin, pomóż Paris - powiedział i wyszedł, a Paris zaczęła się zastanawiać, czy to dzwoniła Liz.

Co mam robić? - spytał Gavin.

Położ na stole talerze i sztućce.

Świetnie. W domu, u mamy, zawsze to robiłem.

U taty też. - Paris się uśmiechnęła. - Pamiętam, że jak odwiedzaliśmy was z Jackiem, zawsze nakrywałeś do stołu.

Sama go wspomniałaś, więc ja... Chciałem ci powiedzieć, jak bardzo mi przykro, że umarł.

Dziękuję, Gavin.

To był fajny facet. Lubilem go.

Był bardzo fajny. A teraz - szybko zmieniła temat - musimy zdecydować, czy idziemy do jadalnego, czy zostajemy w kuchni.

Jak wolę kuchnię.

Dobra. - Pokazała mu, gdzie co leży, a sama zajęła się podsmażaniem kawałków mięsa i jarzyn. - Szykujesz się już do nowego roku szkolnego?

No tak. Na początku będzie ciężko, bo nikogo tu nie znam.

Rozumiem cię. Mój ojciec był oficerem i ciągle się przeprowadzaliśmy. -

Wyjęła z szafy garnek na makaron. - Chodziłam do trzech podstawówek i dwóch szkół średnich. Rzeczywiście, ciężko jest być nowym.

Jak cholera.

Ale się przyzwyczaisz. Pamiętam, jak w połowie sezonu musiałeś zmienić drużynę w Małej Lidze. Z Piratów na...

Na Pумы. Naprawdę pamiętasz?

No pewnie. Twój trener wyjechał.

Przenieśli go do Ohio, albo gdzieś tam.

Więc musieli was porozdzielać po innych drużynach. Na początku nie byłeś zachwycony, ale potem wyszło ci to na dobre, bo Pумы potrzebowały dobrego obrońcy, a ty się nadawałeś. No i wygraliście zawody okręgowe.

- Eee, tylko miejskie - poprawił ją skromnie.

- Twój tata opowiadał o tym, jakbyście wygrali Mistrzostwa Świata. Gavin to, Gavin tamto, och, żebyście tylko widzieli Gavina w akcji... Truł nam tak, ile razy się spotykaliśmy. Był z ciebie strasznie dumny. Wariował na twoim punkcie.

- Ale raz strasznie się skompromitowałem i drużyna przeciwników zdobyła przeze mnie punkty.
- Byłam na tym meczu.
- No właśnie, dlatego tak strasznie to przeżywałem. Tata wszystkich was zaprosił, żebyście podziwiali, jak gram. Byłem pewien, że mnie zabije, a potem sam umrze ze wstydu.
- A tymczasem był z ciebie dumny.
- Z tego powodu, że spieprzyłem rozgrywkę?
- Nie całkiem. Jak przysłała wasza kolej, odegrałeś się, i to podwójnie.
- Chyba tak.
- Dla twoich kolegów tylko to się liczyło. Ale nie dla twojego ojca, bo gdy Jack klepnął go i powiedział, że się odegrałeś, Dean uznał za najważniejsze, że od razu wróciłeś do gry. Był bardziej dumny z tego, w jakim stylu przyjąłeś porażkę, niż z tego, że się zrewanżowałeś przeciwnikom. - Paris odwróciła się, by wsypać makaron do wody. Gdy znów spojrzała na Gavina, nadal miał dość sceptyczny wyraz twarzy. - Serio ci mówię, tak było.

Kiedy wypowiedziała te słowa, przyszło jej do głowy inne skojarzenie. Muszę sama siebie uważniej słuchać, pomyślała. Po pomyłce i utracie punktów Gavin natychmiast wrócił do gry. Zamiast siedzieć na ławce i płakać, rzucił się do walki jak lew i zdołał nadrobić to, co stracił. Wczoraj wieczorem Dean powiedział jej, że nie dopuści, aby poczucie winy zjadło go żywcem. Musi iść do przodu, bo życie ma swoje prawa. Może ona powinna wziąć kilka lekcji życia u Malloyów?

- Dzwonił Curtis - oznajmił Dean, stając w drzwiach. Z wahaniem spojrzał na Gavina, niepewny, czy powinien przy nim omawiać szczegóły sprawy. Nie wyprosił go jednak z kuchni. - Sprawa zaczyna się rozrastać.

- Co się stało?
- Nakazał poszukiwania Lancy'ego Fishera.
- Kogo?
- Ty go znasz jako Marvina Pattersona. - Tu Dean opisał barwną kryminalną karierę Marvina. - Musimy go przesłuchać. Podobnie jak Brada Armstronga, faceta skazanego za molestowanie seksualne, który złamał warunki zawieszenia i uciekł. Curtis wyznaczył ludzi do rozpracowania sposobu, w jaki Valentino przełącza rozmowy. Tymczasem Rondeau ... - Dean przerwał i spojrzał na Gavina, który schował głowę w ramionach. - Rondeau zajmuje się sprawami komputerowymi. W mieszkaniu Marvina nie znaleziono komputera, ale były dyskietki i płyty CD, więc pewnie zabrał go ze sobą. Curtis jest w zawieszeniu. Skoro nic się nie dzieje, to zasugerował, że moglibyśmy sprowokować Valentina.

- Do czego?
- Żeby wystawił łeb.
- Jakim sposobem?
- Przez ciebie.
- Ja mam go sprowokować? Przez radio?
- Taki z grubsza mamy pomysł. Gdybyś zaczęła opowiadać o Janey w samych superlatywach i zrobiła z niej nieszczęsną ofiarę, może by zadzwonił, żeby się usprawiedliwić. A wtedy spróbujemy go przytrzymać dłużej i nareszcie zlokalizować. Trzeba się skupić głównie na Janey. Przedstawić ją jako dziewczynę z krwi i kości, kogoś, kto ma imię i nazwisko, osobowość. Powtarzać jej imię jak najczęściej, żeby spojrzał na nią jak na człowieka, a nie tylko swoją ofiarę.

Myślisz, że taka taktyka sprawdzi się z Valentinem? - spytała z powątpiewaniem.

Pewnie nie do końca. Ale na pewno urazi jego ego. Będzie zły, że interesujemy się nie nim, lecz nią. Chce być gwiazdą, chce być na ustach wszystkich. Więc jeśli się okaże, że to ona jest gwiazdą, on zechce się ujawnić i powiedzieć: „Hej, spójrzcie teraz na mnie!”. - Paris popatrzyła na zegarek, a Dean wypowiedział głośno jej myśli: - Mamy tylko dwadzieścia cztery godziny, by go powstrzymać przed zbrodnią. Dzisiaj jest ostatnia szansa, żeby go przekabacić. Nie powinien zostać zapędzony w ślepą uliczkę, bo wtedy zrobi coś okropnego. Ale może uda ci się przekonać go, by wypuścił Janey.

To strasznie trudne, Dean. Między perswazją a prowokacją jest bardzo cienka linia.

Wiem - kiwnął głową. - Dlatego żałuję, że w ogóle powiedziałem głośno o tym pomysle.

A co na to Curtis?

Strasznie się podniecił. Ale ochłodziłem jego entuzjazm. Powiedziałem mu, że bez twojej stuprocentowej zgody nawet nie może o tym marzyć. - Dean zbliżył się do Paris. - Zanim się zdecydujesz, musisz wiedzieć jedną bardzo ważną rzecz. Valentino zdenerwował się na ciebie. To, co teraz robi, to kara wymierzona zarówno dziewczynie, która go oszukała, jak i tobie. Jeśli zaczniesz go naciskać, w jakikolwiek sposób, zapewne jeszcze bardziej się rozłości i weźmie ciebie na cel. Już robi! zawołowane aluzje na ten temat.

Próbujesz mnie zniechęcić?

Na to wygląda, co? - Zaśmiał się niewesoło. - Nie przejmuj się tym, że możesz zawieść Curtisa albo mnie. Ryzyko życia jest wpisane w nasz zawód, w twój nie. To musi być naprawdę twoja niezależna decyzja. Jeśli powiesz „nie”, to nie było rozmowy. Przemyśl to. Odpowiesz mi po kolacji.

- Tu nie ma co myśleć. Zrobię wszystko, żeby dziewczyna bezpiecznie wróciła do domu. Potrzebuję tylko twoich wskazówek.

Dean uściśnął jej dłoń.

- W tej sprawie cię nie opuszczę, doradzę ci, co masz mówić. I będę razem z tobą.

Paris zauważyła zaintrygowane spojrzenie Gavina, więc odwróciła się do kuchni.

- Makaron gotowy.

- Halo? Czy to ty, Brad? Jeśli tak, odezwij się.

Nie planował, co powie, kiedy ktoś w domu odbierze telefon, ale musiał zadzwonić, żeby się upewnić, że jego rodzina wciąż tam jest. Wiedział, że gdy usłyszy któryś miły głosik, odpowiedź sama mu się nasunie. Ale przerażony ton głosu żony kompletnie go zablokował. Gardło miał ściśnięte i nie mógł wydusić ani słowa. Ścisnął w spoczonej dłoni słuchawkę, zamierzając ją odłożyć.

- Brad, odezwij się! Proszę, przecież wiem, że to ty.

- Toni - powiedział i głos mu się załamał jak przy szlochu.

- Gdzie jesteś?!

Gdzie był? W piekle. Ponury pokój w niczym nie przypominał słodkiego gniazdka, jakie stworzyła dla niego i dzieci. Było tu ciemno i śmierdziało. Opuszczone żaluzje nie wpuszczały światła. Jego jedynym źródłem była słaba żarówka pod sufitem. Wnętrze cuchnęło strachem i rozpaczą. Jego strachem. W dodatku te okoliczności były niczym w porównaniu z koszmarnym stanem umysłu.

- Musisz wrócić do domu, Brad. Policja cię szuka.

- Boże! - Stało się tak, jak się obawiał, ale gdy usłyszał tę wieść, żołądek skurczył mu się ze strachu.

Byłam dziś na komendzie.

Co? - spytał drżącym głosem. - Dlaczego to zrobiłaś, Toni?

Pan Hathaway musiał zameldować o twojej ucieczce. - Wyjaśniła, jak doszło do tego, że musiała rozmawiać z detektywem, ale Brad był tak zdenerwowany, że słuchał piąte przez dziesiąte.

Składałaś na policji zeznania przeciw własnemu mężowi?

Dla twojego dobra.

Jak chcesz mi pomóc? Wysyłając mnie do więzienia? Takiego losu chcesz dla mnie i dla dzieci?

A co ty robisz dla dzieci? - odcięła się. - To ty niszczysz naszą rodzinę, nie ja, Brad.

Mścisz się za wczoraj? A więc o to chodzi. Ciągłe jesteś zła.

Wczoraj nie byłam zła.

To jak to nazwiesz?

Byłam przerażona.

Przerażona! - przedrzeźnił ją. - Bo co? Bo chciałem się kochać? Czy odtąd muszę cię informować z wyprzedzeniem, że mam ochotę na seks?

To nie był seks, a już na pewno nie miłość. To była prawdziwa agresja, Brad.

Nawet nie próbujesz mnie zrozumieć, Toni. - Potarł dłonią mokre od potu czoło. - Nigdy nie próbowałaś.

Nie rozmawiamy o tym, jaką jestem żoną czy człowiekiem. Rozmawiamy o tobie i twoim uzależnieniu.

Dobrze już, dobrze, zawsze musisz postawić na swoim. Wrócę na terapię.

Zadowolona? Zadzwoń na policję i powiedz im, że się pomyliłaś. Powiedz, że się pokłóciliśmy i chciałaś się na mnie zemścić. Porozmawiam z Hathawayem. Jeśli zacznę mu się podlizywać, to zmięknie.

Za późno na przeprosiny i obietniki, Brad. - Zdecydowanie w głosie Toni jeszcze bardziej go przeraziło. - Aż za wiele razy dawano ci szansę - ciągnęła. - Teraz sprawa nie jest już w moich rękach czy w gestii pana Hathaway'a. Przejęła ją policja, a ja nie mam wyboru. Muszę z nimi współpracować.

- W jaki sposób?

- Pozwolić im zbadać twój komputer.

- O Boże święty! Toni, przecież możesz odmówić! Nie widzisz, że niszczysz mi życie. Kochanie, błagam, nie rób tego.

- Jeśli odmówię, przyjdą z nakazem rewizji. To już nie ode mnie zależy.

- Ale mogłabyś... Posłuchaj, bardzo łatwo zrobić tak, żeby niczego nie znaleźli. Wystarczy parę kliknięć myszą. Proszę cię, Toni. Przecież nie napadłem na bank ani nic takiego. Zrobisz to dla mnie, kochanie? Proszę. Błagam na kolanach.

Nie odpowiadała, więc czekał z nadzieją. Ale tego wieczoru jego żona miała dla niego całą serię przykrych niespodzianek.

- W zeszłym tygodniu pojechałam za tobą nad jezioro Travis, Brad.

- Szpiegowałaś mnie! - Krew napłynęła mu do głowy, a potulnego baranka zastąpił lew. - Wiedziałem! I jeszcze sama się przyznajesz!

- Widziałam cię z uczennicą. Wsiedliście do twojego samochodu. Mogę domniemywać, że w celu uprawiania seksu.

- Masz rację! Tak właśnie było! - ryknął z wściekłością. - Bo moja żona krzywi się, kiedy tylko jej dotknę. I kto może mi mieć za złe, że szukam pocieszenia gdzie indziej?

- Znałeś tę dziewczynę, która zaginęła? Córkę sędziego, Janey Kemp? Własny oddech szumiał w

uszech Brada jak maszyna parowa. Zastanawiał się, czy słyszy to Toni, czy ktokolwiek inny, jeśli linia jest na podsłuchu. Ta możliwość znów obudziła w nim strach. I dlaczego pytała o Janey Kemp?

- Czy gliny założyły podsłuch?

- Co? Oczywiście, że nie.

- Kiedy się z nimi migdałaś, to obiecałaś im, że mnie wystawisz? Podsłuchują nas teraz?

Namierzyli, skąd dzwonię?

- Czy ty zwariowałaś, Brad? Co ty wygadujesz? - Nie!

Rozłączył się i cisnął telefonem, jakby parzył mu rękę. Zaczął przemierzać ciasną, ciemną norę. Więc wiedzieli o nim i o Janey. Właśnie tego się obawiał. Ten... ten Curtis. Sierżant Curtis. To z nim rozmawiała Toni i to on prowadził sprawę Janey. Odkąd Brad zobaczył jej zdjęcie na pierwszej stronie, wiedział, że odkrycie przez policję, iż się znali, jest tylko kwestią czasu. Ktoś, kto widział ich razem, na pewno o tym zamelduje.

Teraz musiał zachować nadzwyczajną ostrożność. Jeśli go ktoś zauważy, zostanie aresztowany. A do tego nie mógł dopuścić. Wykluczone. Wiadomo, co się robi w więzieniu takim jak on. Niejednego się nasłuchiwał. Jego własny adwokat powiedział mu, jakich poniżeń doznają przestępcy seksualni.

Znalazł się w matni. Wszystko przez tę małą kurewkę, Janey Kemp. Wszyscy byli przeciwko niemu. Janey. Żona, ta stara megiera. I Hathaway, stary pierdoła, który nie wiedziałby, co robić z kutasem, jeśli go w ogóle miał. Kurator był zazdrosny, bo Brad miał powodzenie u kobiet. Dlatego chętnie zakubły go w kajdanki i odesłał prosto do więzienia.

Złość Brada nie trwała długo. Powróci! obezwładniający strach. Zlany potem, zagryzając w złości własne policzki, bez celu przemierza! pokój. Tak, ta sprawa z Janey mogła oznaczać poważne kłopoty. Żałował, że nie trzymał się od niej z daleka. Ale teraz żal zda się psu na buty. Znał ją ze słyszenia na długo przedtem, zanim po raz pierwszy do niego podeszła. Czytał jej ogłoszenia w Internecie, więc wiedział, że jest równie pazerna na seks, jak i on. Wiedział też, że jest zepsutą i bogatą małą świntucha, która traktowała swoich kochanków jak szmaty i wyśmiewała się z nich publicznie na swojej stronie. Ale była jedną z najpopularniejszych gwiazd Sex Clubu i zaimponowało mu, że taka dziewczyna zwróciła na niego uwagę. I co miał zrobić? Zlekceważyć ją? Żaden mężczyzna nie byłby do tego zdolny. Więc, nawet świadomy, że się pogrąża, nie oparł się jej urokowi. Uznał, że gra z nią jest tego warta.

Realizowanie marzeń łączyło się z ryzykiem. Wiedział, że za każdym razem, kiedy podrywa nastolatkę albo pięści pacjentkę, albo onanizuje się w sklepie wideo, może ściągnąć na siebie nieszczęście. Ale ryzyko było warte dreszczu emocji, który przeżywał. Stale stawiał sobie wyzwania i badał, jak daleko może się posunąć. To go podniecało. A im dalej się posuwał, tym więcej chciał. Coraz to nowych, bardziej niebezpiecznych wyzwań.

Ale teraz, pogrążony w swoim prywatnym piekle, zrozumiał, że mógł się posunąć o jeden krok za daleko.

Rozdział 23

- A kuku!

Paris właśnie wychodziła z kuchni na ciemny korytarz. Oblała się gorącą herbatą.

- Cholera, Stan! To nie było śmieszne.

- Przepraszam. O kurczę. Nie chciałem cię aż tak nastraszyć - Stan pobiegł po papierowe ręczniki. - Oparzyłaś się? Chcesz posmarować masłem albo maścią? Zawołać pogotowie?

- Dziękuję, wytrzymam.

- Nie widzę twoich oczu, ale mam wrażenie, że zabijasz mnie wzrokiem.

- To była głupota, Stan.

- Dlaczego jesteś taka nerwowa?

- A ty taki infantylny?

- Przecież przeprosiłem. Poza tym jestem w rozrywkowym nastroju.

- Co cię tak bawi?

- A to, że wujek Wilkins już odleciał do Atlanty. Zawsze kiedy dzieli nas kilka stanów, mam okazję do świętowania.

- Moje gratulacje. Ale tak na przyszłość, zapamiętaj, że nie lubię, jak mnie ktoś straszy. Nigdy nie uważałam tego za zabawne. - Ruszyła do swego studia, a Stan krok w krok za nią. Kiedy się trochę rozjaśniło, zobaczyła jego pokiereszowaną twarz. - Boże, Stan, co ci się stało?

- Stryjek mi dołożył - odparł, delikatnie dotykając opuchniętych ust.

- Żartujesz sobie, prawda?

- Bynajmniej.

- Uderzył cię?

Z miną pełną niesmaku wysłuchiwała opowieści o sławetnym spotkaniu w hotelu Driskill. Na koniec Stan mimowolnie się wzdrygnął.

- Powiedziałem to, co powiedziałem, a on się wściekł. To nie pierwszy raz. Nie ma się czym przejmować.

Paris miała odmienne zdanie, ale w końcu relacje Staną ze stryjem to był ich prywatny interes.

- Wszyscy się dzisiaj tłuką. Taki dzień - mruknęła pod nosem, wspominając tajemniczy siniak Gavina.

Usiadła na swoim stołku i spojrzała na monitor. Muzyka miała grać jeszcze przez pięć minut. Stan zajął drugi stołek, nie czekając na zaproszenie.

- Boisz się tego całego Valentina?

- A ty byś się nie bał?

- Stryj Wilkins pytał, czy to nie ja dzwoniłem.

- Chyba jednak nie ty? - Obrzuciła go szybkim spojrzeniem, mieszając słodzik w kubku.

- Chyba nie. Chociaż, zdaniem stryja, jestem seksualnym zboczeńcem.

- Skąd mu to przyszło do głowy?

- Bo niby mam parszywe geny. Moja matka była dziwką, a ojciec dziwkarczem. Stryj też sprowadza sobie kurwy i myśli, że nikt nic nie wie. Uważa, że niedaleko pada jabłko od jabłoni. Ale poza tym, że jestem zбочeńcem, podobno jestem ostatnim pierdołą.

- Powiedział ci to?

- To był cytat.

- Jesteś dorosły. Nie musisz wysłuchiwać jego obelg, a tym bardziej pozwalać, żeby cię tłuki.

Stan popatrzył na nią jak na wariatkę.

- A jak niby miałbym to zrobić?

Miał w sobie coś takiego, że raz pragnęła go udusić, a już po chwili pocieszać. Kiedy ojciec Staną popełnił samobójstwo, w stacji aż huczało od plotek. W każdym razie było pewne, że rodzina Crenshawów nie potrafiła normalnie funkcjonować. Nie dziwota, że Stan miał problemy psychiczne.

Właśnie przebrzmiały ostatnie takty, więc Paris pokazała mu gestem, że teraz ma być cicho.

- Słuchaliście Neila Diamonda, a przedtem piosenki Juice Newton The Sweetest Thing. Teraz będzie Troy. Tę piosenkę wybrała dla was Cindy. Do drugiej przyjmuję kolejne życzenia, a jeśli chcecie podzielić się z innymi słuchaczami swymi myślami, dzwońcie do mnie. Zapraszam. - Bezpośrednio po tej zapowiedzi puściła dwie minuty reklam.

- Myślisz, że on dzisiaj zadzwoni? - spytał Stan, gdy wyłączyła mikrofon.

- Mówisz o Valentinie? Nie wiem, ale nie zdziwiłoby mnie to.

- Nadal nie ma żadnych śladów? Nie wiadomo, kto to może być?

- Policja bada różne tropy, ale konkretnego materiału mają bardzo mało. Sierżant Curtis wyraża nadzieję, że on się dziś odezwie i powie coś, co naprowadzi ich na ślad. - Paris spojrzała na martwe światełka linii telefonicznych. - Wiem, że to może coś dać, ale ciarki mi chodzą po plecach na myśl, że mam z nim gadać.

- Jeszcze raz przepraszam, że cię nastraszyłem. To naprawdę miał być żart.

- Jakoś to przeżyję.

- Wołaj, jeśli będziesz mnie potrzebować. - Skierował się do drzwi.

Jeszcze jedno, Stan. Doktor Malloy ma tu niedługo być. Wpuścisz go i przyprowadzisz tutaj, dobrze? Stan zrobił sprytną minę i wrócił na miejsce.

Powiedz, co ma do ciebie ten mędrak od czubków? Paris uciszyła go i odebrała telefon.

Mówi Paris. Jej rozmówca zamówił ścieżkę dźwiękową z filmu *Hope Floats*. Dla Jeannie.

Twoja Jeannie musi być szczęściarą.

To dzięki tobie jesteśmy dziś razem.

Naprawdę?

Jeannie dostała propozycję pracy w Odessie. Nigdy przedtem nie rozmawialiśmy o miłości. Poradziłaś jej, żeby nie wyjeżdżała, póki mi nie powie o swoich uczuciach. Więc powiedziała, że mnie kocha, odpowiedziałem, że ja ją też, no i nie zmieniła pracy, a w przyszłym roku bierzemy ślub.

Bardzo się cieszę, że się wam udało.

Ja jeszcze bardziej. Dzięki, Paris. Włączyła *Make You Feel My Love* do programu i odebrała następny telefon. Rozmówca prosił o przekazanie Almie życzeń urodzinowych.

Kończy dziewiętnaście lat? Boże, to wspaniale! Ulubioną piosenką Almy była stara melodia Cole'a Portera.

Paris w sekundę zlokalizowała ją w archiwum i zaprogramowała zaraz po balladzie Brooksa, a potem obejrzała się na Staną.

Jeszcze tu jesteś?

Jestem i czekam na twoją odpowiedź. I nie wciskaj mi kitu, że ty i ten Malloy jesteście jedynie starymi przyjaciółmi z Houston.

Ale to akurat szczerą prawdą.

Jak się poznaliście?

Przez Jacka. Kumpłowali się do szkoły średniej i ta przyjaźń przetrwała.

- Tylko ciebie nie przetrwała. - Na tę odzywkę Paris gwałtownie odwróciła głowę. - Ha, strzał był w ciemno, ale widzę, że celny.

- Spieprzaj, Stan.

- Jak rozumiem, temat jest drażliwy.

Paris była rozjuszona, ale wiedziała, że Stan nie da jej spokoju i tak długo będzie drażył temat, aż dowie się czegoś konkretnego.

- Co chcesz wiedzieć?

- Skoro ten Malloy był waszym najbliższym przyjacielem, to dlaczego aż do wczoraj w ogóle o nim nie słyszałem?

- Nasze drogi się rozeszły, kiedy przeprowadziliśmy się tu z Jackiem.

- A dlaczego go tu przeniosłaś?

- Bo Meadowview to najlepsza klinika dla osób w takim stanie. Jack już nie mógł się z nikim przyjaźnić, a ja byłem strasznie zajęta opieką nad nim i pracą tutaj. Dean miał dużo własnych zajęć w Houston, nie mówiąc o tym, że wychowuje syna. Tak bywa w życiu, Stan. Okoliczności okazują się ważniejsze niż przyjaźń. Czy ty sam nie zostawiłeś jakichś fajnych ludzi w Atlancie?

Stan nie dał się zbyć.

- To przez Jacka zamieniłaś dobrą robotę w telewizji na to gówno tutaj?

- Zbieg okoliczności. Postanowiłam zmienić pracę i akurat wtedy zdarzył się wypadek. Wystarczy? Jesteś zadowolony? Bo to już cała bajka.

- Nie sądzę - powiedział, mrużąc oczy. - Brzmi dobrze i trzyma się kupy, ale to za proste jak dla mnie. Brakuje podkładu.

- Jakiego podkładu?

- Psychologicznego. Tych wszystkich szczegółów, dzięki którym reportaż może być dobry albo zły.

- Jestem w pracy, Stan.

- A poza tym nic nie wyjaśnia, dlaczego wczoraj między tobą i Malloyem tak cholernie iskrzyło. Normalnie burza z piorunami. Błagam cię, Paris, opowiedz mi, jak to było. Nic mnie nie zdziwi, daję słowo. Ty wiesz o różnych świństwach w mojej rodzinie. Chyba nie może być gorzej. Opowiedz, co wtedy między wami zaszło?

- Już ci mówiłam. Jeśli nie wierzysz, to twój prywatny problem. Jeśli chcesz podkład, sam go sobie namaluj. Mam to w nosie, a ty przynajmniej będziesz mieć jakieś zajęcie, bo znowu się obijasz. Może byś wreszcie raz zrobił coś pożytecznego?

Odwróciła się do konsoli, sprawdziła telefony i monitor, na którym rejestrowała piosenki. Na drugim ekranie pojawiła się gotowa do odczytania prognoza pogody. Zrezygnowany Stan westchnął tylko i znów skierował się do drzwi. Zawołała jeszcze przez ramię:

- Tylko niczego nie dotykaj, bo zepsujesz.

Kiedy jednak wyszedł, przestała udawać rozbawienie. Łyknęła herbaty. Była zimna i gorzka,

więc odstawiła kubek. Miała ochotę udusić Staną za to, że wywołał jej najgorsze wspomnienia. Na szczęście nie było czasu, by się w nich pograżać. Musiała pracować. Włączyła mikrofon:

- Jeszcze raz życzymy Almie wszystkiego najlepszego na urodziny. Jej ulubiona melodia pochodzi z zupełnie innej epoki, ale w końcu w tej audycji na 101,3 FM gramy tylko klasyczne przeboje. Mówi Paris Gibson, słuchajcie mojego programu do godziny drugiej. Mam nadzieję, że zostanieie ze mną przy odbiornikach. Czuję się z wami jak w rodzinie i naprawdę lubię grać wasze ulubione piosenki. A więc dzwońcie.

Umówili się, że nie będzie wspominać o Janey ani robić żadnych aluzji do Valentina, póki Dean nie pojawi się w studiu. Rozstali się po kolacji, bo on musiał jeszcze po drodze podrzucić Gavina do domu. Wieczór był udany. Zgodnie z niepisaną umową nie mówili przy stole o sprawie, w której wszyscy tkwili po uszy. Rozmawiali o kinie, muzyce i sporcie, a także wspominali ze śmiechem dawne dobre czasy. Kiedy Malloyowie opuszczali jej dom, Gavin podziękował za pyszną kolację.

- Tata w ogóle nie umie gotować.
- Ja też nie jestem mistrzynią świata.
- Ale masz talent, a on jest beznadziejny.

Paris widziała radość Deana, że tak swobodnie i zupełnie naturalnie rozmawiają z Gavinem. Sama też poczuła się zrelaksowana, choć wypła tylko jeden kieliszek wina. Zresztą nie mogła więcej, mając w perspektywie audycję na żywo. Przyjemność przebywania z nimi mąciła jej tylko myśl, że dzieje się to kosztem Liz Douglas.

Po kolejnej porcji reklam znów zaczęła odbierać telefony. Za każdym razem, kiedy naciskała guzik, robiła to ze strachem. Przez Valentina. To przez niego znenawidziła pracę, która dotąd była jej ostoją i ucieczką. Dzięki niej przetrwała siedem ciężkich lat opieki nad Jackiem. Znosiła codzienne traumatyczne wizyty w szpitalu tylko dlatego, że wieczorem czekał ją azyl w radiu. Teraz odebrała telefon od Joan, dziewczyny tak fajnej i bezpośredniej, że zdecydowała się puścić ją na antenę.

- Mówisz więc, że uwielbiasz Seala.
- Widziałam go na żywo w knajpie w Los Angeles. Jest fantastyczny. Zagrasz dla mnie Kiss From a Rose?

Paris włączyła piosenkę między trzy inne, już przygotowane do odtworzenia. Zastanawiała się, gdzie jest Dean. Robił dobrą minę do złej gry, ale знаła go na tyle dobrze, by wiedzieć, że naprawdę przejmuje się Gavinem i jego związkiem z Janey Kemp. Każdy ojciec na jego miejscu by się przejmował, ale Dean dodatkowo oskarżał siebie o to, że nie dopilnował syna, który wdał się w złe towarzystwo. Podobnie jak wiele lat temu oskarżał się o tragedię, która wydarzyła się w rodzinie Alberta Dorrie w Houston.

I znowu. Znowu, znowu, znowu. Nie było takiej siły, która mogła uwolnić ją od wspomnień, od powracania myślami do tamtej koszmarnej nocy.

Dean zadzwonił do jej drzwi w osiemnaście godzin po tym, jak Dorrie osierocił trójkę dzieci, zabijając najpierw sterroryzowaną żonę, a potem siebie. Przybył bez zapowiedzi, więc od progu zaczął się tłumaczyć:

- Wybacz, Paris. Powinienem najpierw zadzwonić.

Wyglądał, jakby przez ostatnią dobę nie spał i nie jadł. Pod oczami miał ciemne sińce, a na twarzy zarost. Paris też niewiele odpoczywała. Cały dzień siedziała w studiu, przygotowując komentarz i podsumowanie wypadku do wieczornego wydania wiadomości.

Ta tragiczna historia wcale nie była taka niezwykła, jak się z początku wydawało. Podobne rzeczy zdarzały się wcześniej w innych miastach. Nawet w Houston, kilka lat wcześniej. Problem polegał na tym, że dla niej był to pierwszy tego typu reportaż w życiu. A przebywanie w centrum wydarzeń okazało się czymś zupełnie innym niż czytanie o takich historiach w prasie, oglądanie ich jednym okiem w telewizji czy słuchanie jednym uchem przez radio w trakcie zupełnie innych zajęć. Nawet na zblazowanym kamerzyście ta przygoda zrobiła wrażenie. Był wyraźnie przejęty, gdy jechali do kostnicy za ambulansem, wiozącym dwa martwe ciała. Ale Dean? Nikt nie mógłby przypuszczać, że doświadczony psycholog aż tak to sobie weźmie do serca. Gdy Paris wpuszczała go do domu, jego twarz wyrażała absolutną rozpacz.

- Co ci zrobić? Napijesz się czegoś? - Tak.

Paris naląła dwie szklaneczki whisky. Dean ciężko usiadł na kanapie. Usiadła obok niego.

- Pewnie ci przeszkadzam? - spytał głucho. - Nie.

Owinęła się mocniej białym frotowym szlafrokiem. Nie miała już na twarzy makijażu, a jej wilgotne włosy były nieuczesane, prosto spod prysznic. Nigdy nie widział jej tak roznegliżowanej, ale to nie była chwila, żeby dbać o wrażenie. Jeszcze wczoraj uważałaby inaczej. Ostatnia doba zmieniła wszystko.

- Nie wiem, czemu do ciebie przyszedłem - powiedział. - Chciałem się ukryć przed ludźmi. Ale też nie chciałem być sam.

- Wiem, co czujesz.

Wcześniej odmówiła Jackowi, który chciał spędzić z nią wieczór. Choć tak bardzo pragnął ją oderwać od przykrych myśli, rozbawić i pocieszyć, nie czuła się na to gotowa. Musiała wszystko przemyśleć. Poza tym była wykończona. Wyjście do kina czy na kolację wydawało jej się równie niewykonalne, jak propozycja podróży na Księżyc. Nawet zwykła rozmowa z Jackiem kosztowałaby mnóstwo energii, której po prostu jej brakowało.

Dean jednak najwyraźniej nie przyszedł po to, żeby pogadać. Po paru słowach na przywitanie zagapił się w przestrzeń, tylko od czasu do czasu pociągając łyk whisky. Nie usiłował wypełnić ciszy salonową konwersacją. Obydwoje wiedzieli, jak podle się czują, że akcja zakończyła się w taki właśnie sposób. Paris była świadoma tego, że Dean potrzebuje obecności kogoś, kto przeżył to równie blisko i mocno, to jest dla niego najlepszym pocieszeniem. Sącył swojego drinka przez półtorej godziny. Wreszcie odstawił szklanekę, posiedział jeszcze parę sekund i powiedział:

- Powinienem już iść.

Paris nie mogła i nie chciała go wypuścić bez słowa, bez dodania otuchy.

- Zrobiłeś wszystko, co w ludzkiej mocy, Dean.

- Wszyscy mi to powtarzają.

- Bo to prawda. Nie mogłeś zrobić więcej.

- Jednak spartoliłem sprawę. Dwoje ludzi nie żyje.

- Ale trójka żyje. Gdyby ciebie tam nie było, dzieci też by pozabijał.

Bez przekonania kiwnął głową. Wstała razem z nim i odprowadziła go do drzwi. Odwrócił się.

- Dzięki za drinka.

- Nie ma za co.

- Widziałem cię w wiadomościach o szóstej. - Tak?

- Dobra byłaś.

- Chrzaniisz.

- Nie, serio, zrobiłaś dobrą robotę.

- Dzięki.

- Nie ma sprawy.

Patrzył jej głęboko w oczy i ona patrzyła na niego tak samo. Obudziły się w niej uczucia, które przez ostatnie miesiące trzymała na wodzy, nie mając śmiałości się do nich przyznać. Dlatego kiedy Dean zbliżył się do niej, rozchyliła wargi w oczekiwaniu na pocałunek. Później, analizując sytuację, sama przed sobą musiała przyznać, że gdyby on nie zaczął, ona by to zrobiła pierwsza. Musiała go pocałować, inaczej chyba by umarła. Pożądanie przesłoniło jej cały świat.

Dean musiał odczuwać to samo. Pocałował ją, łapczywie i pożądliwie. Nie było między nimi miejsca na żadne udawanie. Wszelkie więzy i bariery puściły. Napięcie, które narastało od miesiący, nareszcie znalazło ujście.

Zaplątała palce w jego włosy. On rozwiązał pasek szlafroka i objął jej nagie ciało, a ona wspięła się na palce i przytuliła do niego mocno. Ich ciała pasowały do siebie. Uświadomiwszy to sobie, oderwali usta i splegli się w uścisku. Paris do dziś pamiętała wszystkie doznania - ucisk kłamry paska Deana na swym nagim brzuchu, fakturę materiału spodni, ocierającego się o jej uda, delikatny materiał koszuli dotykający piersi. Jego ciepło przenikało ją całą.

A potem ich wargi znów się spotkały. Podczas pocałunku pieścił dłonią jej pierś. Pobudził uśpiony sutek, a potem chciwie przywarł do niego ustami. Odrzuciła głowę, szepcząc jego imię. Kładąc ją na podłodze, jednocześnie rozpinał guziki koszuli i ściągał ją gorączkowo, nie przerywając pocałunku. Czowała, jak uwalnia się od spodni, by znaleźć się między jej udami. Po chwili wierzchołek jego penisa dotknął włosów łonowych i w ciągu sekundy zespolili się. Wypełnił ją całą. Z radością poczuła na sobie jego ciężar - rozwarła uda i ciasno oplotła go nogami. Była to słodka tortura. Z jej piersi wydobył się dźwięk, coś między szlochem a śmiechem.

Scałował łzy, które zebrały się w kącikach jej oczu, po czym objął mocno dłońmi twarz i przycisnął czoło do czoła w ostatecznym, najintymniejszym z możliwych połączeń.

- Niech mi Bóg wybaczy, Paris - szepnęła. - Musiałem cię mieć.

Objęła dłońmi jego nagie pośladki i przycisnęła mocniej, by poczuć go głębiej. Zacerpnął powietrza i zaczął się poruszać. Za każdym pchnięciem odczuwała głębszą rozkosz. Nic na świecie się nie liczyło. Dean uniósł jej brodę i ich języki znów się dotknęły.

Całował ją, kiedy szczytowała, więc jęk rozkoszy był stłumiony. Po chwili i on za nią podążył. Po eksplozji zmysłów wciąż trwali spleceni w uścisku.

Rozłączali się stopniowo i powoli. Seksualne napięcie zelżało, ustępując miejsca refleksji. A ta nie była miła. Dotarło do nich, że to, co zrobili, było niemoralne. Paris starała się o tym nie myśleć. Ale nie mogła. Tego nie dało się wymazać.

- Och, Boże - jęknęła i odwróciła się na bok, nie patrząc na Deana.

- Wiem.

Objął jej talię i znów obrócił do siebie, przyciągając do piersi. Delikatnie pocałował ją w szyję i odgarnął z policzków wilgotne kosmyki. Ale pieśczętę zmroził w bezruchu nagły dzwonek telefonu. Paris już wieczorem włączyła sekretarkę, żeby wiedzieć, kto dzwoni. Powietrze wypełnił głos Jacka, jak gdyby nagle w pokoju znalazła się trzecia osoba.

- Cześć, kochanie. Dzwonię, żeby sprawdzić, co u ciebie, jak sobie radzisz. Nie musisz oddzwaniać, jeśli już spałaś. Ale jeśli nie śpisz i chcesz pogadać, to służę. Martwię się o ciebie. I o Deana. Wydzwaniałem do niego przez cały wieczór, ale nie odpowiada. Wiesz, jaki on jest. Uważa,

że to wszystko jego wina. Na pewno przydałby mu się dzisiaj przyjaciel, więc jeszcze raz spróbuję go złapać. Kocham cię. Odpocznij. Cześć.

Leżeli bardzo długo jak martwi. Wreszcie Paris wyplątała się z objęć Deana i na czworakach podpełzła do stolika. Usiadła na podłodze, niezdolna do żadnego ruchu. Przycisnęła głowę do drewna tak mocno, że zaboląło.

- Paris...

- Idź już, Dean.

- Czuję się tak samo podle jak ty.

Spojrzała na niego. Był nagi. Jej szlafrok ciągnął się za nią jak tren panny młodej. Nerwowo okryła nagie piersi.

- Nigdy nie zrozumiesz, jak ja się czuję. Idź już, proszę.

- Strasznie mi przykro z powodu Jacka, ale nigdy nie będę żałował, że się z tobą kochałem. Nigdy. To musiało się stać, Paris. Wiedziałem to od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłem. Ty też wiedziałaś.

- Nie.

- Kłamiesz - powiedział cicho.

- Kłamstwo to pestka w porównaniu z pieprzeniem się z drużbą przyszłego męża - zaśmiała się ponuro.

- To nie jest takie proste. Gdyby chodziło tylko o seks, nie byłoby o czym mówić.

Niestety, Dean miał rację. Pomimo wstydu jej serce pękało z rozpaczy na myśl, że to wszystko już się nie powtórzy. Mogłaby sobie zapewne wybaczyć jakiś niekontrolowany wyskok namiętności, zwalić to na burzę hormonów, potraktować jak incydent bez znaczenia. Ale to, co stało się między nią a Deanem, nie było ani przypadkiem, ani sprawą bez znaczenia. To był niewybaczalny występki.

- Idź, Dean - załkała. - Błagam. Idź sobie.

Znów położyła głowę na stoliku i zamknęła oczy. Ocierając łzy, słuchała w milczeniu szelestu jego ubrania, trzasku klamry od paska, metalicznego dźwięku zasuwanego suwaka i stłumionych kroków na wykładzinie, kiedy szedł do drzwi. I ta piekielna cisza, nim drzwi się otworzyły, a potem zamknęły.

- Paris?

Spojrzała w kierunku drzwi, jakby nagle wyrwana ze snu. Stał tam Dean niczym duch nagle wywołany na seansie spirytystycznym. Była tak zatopiona we wspomnieniach, że dłuższą chwilę zajęło jej uświadomienie sobie, w jakim przebywa miejscu i czasie. Przełknęła ślinę i wskazała dłonią stółek.

- W porządku, mikrofon wyłączony.

- Crenshaw powiedział, że mogę wejść, byle cicho.

Usiadł obok niej. Przez jeden szalony moment miała ochotę rzucić się na niego i podjąć erotyczną grę od chwili, w jakiej ją wtedy przerwali. Jego gwałtowne pieszczoty zostawiły na jej ciele ślady, które z czasem znikły. Ale ich ślad w umyśle trwał niezmienny do dziś. Ostatni, wczorajszy pocałunek uświadomił jej, jak żywo wszystko pamięta.

- Valentino się jeszcze nie odezwał?

Pokręciła głową, usiłując się jednocześnie uwolnić od prześladowającego ją seksualnego napięcia.

- Gavin jest już w domu?

- Tak. Ma przykazane, że nie wolno mu wychodzić. Myślę, że akurat dziś będzie posłuszny.

Przesłuchanie mocno go ruszyło. Wychodził ze skóry, żeby dobrze wypaść. Dotyczy to także wizyty u ciebie.

- I udało mu się. Jestem pod wrażeniem. To wspaniały chłopak, Dean.

- Może.

Kiwnął głową w zamyśleniu. Paris widziała, jak na jego czole rysuje się głęboka bruzda.

- Dlaczego tylko „może”?

- Bo kłamie.

Rozdział 24

Sierżant Robert Curtis został w biurze po godzinach. Siedział w swojej klitce, a oprócz niego na komendzie był tylko jeden detektyw pracujący nad zgłoszeniem rabunku. Radio na biurku Curtisa nastawione było na 103,1 FM. Słuchał głosu Paris, jednocześnie przeglądając jej zawodowe dossier - dane o pracy w telewizji i wyjeździe z Houston. Jego informatorzy z policji w Houston przesłali mu faksem wszystko, co napisano na temat Paris Gibson, Jacka Donnera i Deana Malloya. Materiały były bardzo interesujące.

Przeszukanie mieszkania Lancy Raya Fishera, czyli Mandna Pattersona, też przyniosło kilka niespodzianek. Należało do nich pudło z kasetami, a wszystkie zawierały nagrania audycji Paris Gibson. Detektyw zastanawiał się, czemu były złodziej, a obecnie woźny, tak bardzo interesował się Paris, że przechowywał jej stare nagrania. Mógł przecież słuchać jej każdego wieczoru na żywo.

Niestety, przesłuchanie matki podejrzanego nic nie dało. Funkcjonariusz oddelegowany do tej sprawy odnalazł ją po przekopaniu tony materiałów. Mieszkała w przyczepie kempingowej w San Marcos, miasteczku na południe od Austin. Jazda tam zabrała Curtisowi pół godziny. Mógł oczywiście kogoś wysłać, ale wolał osobiście zbadać, dlaczego syn pani Fisher, używający pseudonimu Marvin Patterson, obsesyjnie interesował się Paris Gibson.

Wnętrze lokalu zajmowanego przez panią Fisher było jeszcze bardziej okropne niż jego otoczenie, a ona sama okazała się równie niechlujna i zapuszczona jak jej domostwo. Kiedy Curtis pokazał odznakę, najpierw nie dowierzała, a potem go zlekceważyła i obraziła.

- Skąd wam strzeliło do łba, że go tu znajdziecie? Nie mam nic do powiedzenia żadnemu cholernemu glinie.

- Czy Lancy odwiedzał panią ostatnio? - Nie.

Curtis wiedział, że kobieta kłamie, ale wyczuł też, że nie darzy syna ciepłymi uczuciami i chętnie poskarżyłaby się na niego, gdyby tylko miała okazję. Nie naciskał więc, siedział spokojnie, dyskretnie usiłując oczyścić spodnie z kociej sierści, a matka Lancy'ego zaciągała się papierosem. Wreszcie tama puściła.

- Lancy od urodzenia był jak wrzód na dupie - powiedziała. - Im rzadziej go widuję, tym lepiej. Niech sobie żyje, jak chce, i nie wtrąca się do mnie. Chłopak wyżej sra, niż dupę ma.

- Co pani ma na myśli?

- No, te jego nowe ciuchy i nową furę. Myśli, że jak się wystroi, to będzie lepszy ode mnie.

To nietrudne, pomyślał Curtis, a głośno spytał:

- Jakiej marki ma samochód?

- Ja tam nie umiem odróżnić jednego Japońca od drugiego - sarknęła.

- Wiedziała pani, że syn pracuje w radiu?

- Zamiata brudy, tyle mi powiedział. Jak raz miał dobrą robotę, to go wylali, bo kradł. Musiał brać, co podleci. Nie Umiał się trzymać tego, co dla niego dobre. Jest głupi jak but i niewiele wart.

- Wiedziała pani, że posługuje się przybranymi nazwiskami?

- Nic, co robi ten chłopak, już mnie nie zdziwi. Przecież on ćpał, i w ogóle. - Nachyliła się do Curtisa i szepnęła konfidencjonalnie: - To dlatego produkował się w tych świńskich filmach. Żeby zarobić na działkę.

- W jakich filmach?

- Zna pan moją sąsiadkę? Tę o dwa domy dalej? Kiedyś, całkiem niedawno, przylatuje do mnie kobita po nocy i wrzeszczy, że mój chłopak wymachuje kutasem na wideo, co je sobie pożyczyła. Ja jej na to, kurwa, że łże jak pies. A ona mi na to, chodź, to sama zobaczysz. - Wyprostowała się z godnością i ciągnęła tonem pełnym potępienia: - No i miała rację, bo patrzę, a tam mój Lancy, jak go Pan Bóg stworzył, wyprawia takie sztuki, że by mnie, starej, do głowy nie przyszły. Myślałam, że się przekręcę ze wstydu.

- Czy chłopak dalej pracuje w... hmm... branży filmowej? - Curtis udał głębokie współczucie dla skrzywdzonej matki, której syn zszedł na złą drogę.

- Nieee. Tych tam świńskich prochów też nie bierze. A przynajmniej mówi, że nie bierze. Tamto to stare czasy. Był jeszcze gówniarzem. Ale co wstyd, to wstyd. - Pani Fisher zapaliła kolejnego papierosa. Curtis poczuł się, jakby sam już wypalił ze trzy paczki.

- Jakiego nazwiska używał, kiedy występował w firmach?

- Nie pamiętam.

- A tytuły filmów pani pamięta?

- Nie. Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Ale zawsze może pan spytać sąsiadkę. A swoją drogą, jak taka starucha może sobie puszczać pornosy? Widział to kto? To ona powinna się wstydzić.

- Czy Lancy miał dużo dziewczyn?

- A pan słucha uchem czy brzuchem? Mówiłam, że ten gnojek nic mi nie mówi, nic a nic. Niby skąd mam wiedzieć o jego dziewczynach?

- Czy wymieniał w pani obecności nazwisko Paris Gibson?

- A kto to taki? Chłopak czy dziewczyna? - Zareagowała tak spontanicznie, że nie mogła udawać.

- Wszystko jedno. - Curtis się podniósł. - Wie pani, pani Fisher, że osłanianie przestępcy jest przestępstwem?

- A co ja takiego zrobiłam? Mówię tylko, że Lancy'ego już dawno nie widziałam na oczy.

- Pozwoli pani zatem, że przejdę się po domu.

- A nakaz jest?

- Nie.

- Tam do diabła. - Wypuściła na niego chmurę dymu. - Dobra, byle dziś. Przyczepa nie była zbyt obszerna, więc droga do pakamery Lancy'ego, zważywszy nawet lawirowanie między nastroszonymi kotami a ich gówienkami, nie zajęła Curtisowi wiele czasu. Podobnie jak stwierdzenie, że w tej norze ktoś całkiem niedawno nocował. Na wąskim łóżku był nieposłany barłóg, a na podłodze leżała para brudnych skarpet. Gdy Curtis schylił się po nie, zauważył luźną płytkę PCV. Podważył ją delikatnie scyzorykiem, obejrzał zawartość, odłożył wszystko na miejsce i wrócił do pani Fisher, okupującej swój „salon”. Zapytał, do kogo należą skarpetki.

- Pewno Lancy zostawił, jak tu był. Dawno, dawno temu. Ten brudas nigdy po sobie nie sprząta.

- Czy Lancy ma komputer?

- On myśli, że ja nie wiem, ale wiem, że ma.

- A magnetofon?

- Tego nie wiem, ale uważam, że te wszystkie duperele to tylko wyrzucanie pieniędzy w błoto,

jakby się kto pytał.

- Zostawię pani moją wizytówkę. Proszę zadzwonić, gdyby Lancy się pojawił, dobrze?

- A co znowu zmajstrował?

- Uciekł przed przesłuchaniem.

- A co to za przesłuchanie? Już mi coś śmierdzi.

- Chcieliśmy tylko z nim porozmawiać. Gdyby się odezwał, niech pani mnie zawiadomi. Dla jego własnego dobra.

Kobieta wzięła wizytówkę i położyła na stoliku koło odrapanego telewizora. Curtis nie dosłyszał, co mamrotała pod nosem, bo z ust zwisał jej papieros. Nie wyglądało jednak na to, by miała zamiar spełnić jego prośbę. Czuł przemożne pragnienie wyjścia na świeże powietrze, byle dalej od zbiornika tlenu, który mógł w każdej chwili eksplodować i rozerwać go na kawałki. Przy drzwiach jednak przystanął, by zadać ostatnie pytanie.

- Mówiła pani, że Lancy miał dobrą pracę i stracił ją, bo coś ukradł.

- No i co z tego?

- Co to była za firma?

- Telefony.

Curtis zadzwonił z samochodu na posterunek w San Marcos, wyjaśnił, czym się zajmuje, i poprosił o dyskretną obserwację przyczepy pani Fisher. Następnie poinstruował swojego człowieka, pracującego nad Lancym, że ma odnaleźć nazwę firmy telekomunikacyjnej, w której poszukiwany pracował, i wyruszył w powrotną drogę do miasta. Na autostradzie był okropny korek, więc włókł się jak żółw. Zanim dobrnął do komendy, otrzymał żądane informacje. Fisher pracował u Bella pod swoim prawdziwym nazwiskiem. Bardzo go ceniono, póki nie został przyłapany na kradzieży.

- Tym razem ukradł trochę elektroniki - meldował detektyw. - Sprzęt był już lekko przestarzały. Teraz wszystko tak szybko idzie naprzód.

- Ale wciąż do użytku?

- Eksperci twierdzą, że tak.

Po tym komunikacie Curtis wciągnął Lancy'ego Raya Fishera na listę podejrzanych i zajął się studiowaniem papierów nadesłanych z Houston. Były wśród nich kopie artykułów prasowych, zapisy reportaży telewizyjnych i wydruki z Internetu. Opowiadały historię tragicznego wypadku i uzupełniały luki, celowo pozostawione przez Malloya.

Teraz Curtis rozumiał już, dlaczego Paris Gibson nosi ciemne okulary. Doznała uszkodzenia oczu w tym samym wypadku, który pozbawił życia Jacka Donnera, jeśli nie liczyć nadal bijącego serca. Paris siedziała obok kierowcy. Pasy miała zapięte. Kiedy pędzący z dużą szybkością samochód uderzył w metalową barierkę, wyskoczyły poduszki powietrzne. Ale niewiele pomogły, bo przednia szyba rozprysła się w kawałki pod ciężarem kierowcy, katapultowanego z wielką siłą do przodu. Jack Donner nie zapiął pasów. Poduszka osłabiła siłę wyrzutu, ale nie zapobiegła wypadkowi. Kierowca doznał poważnego urazu głowy. Zapadł w śpiączkę, a uszkodzenia mózgu okazały się nieodwracalne. Został do końca życia niedołącznym kaleką, pozbawionym niemal wszystkich funkcji mózgowych. Potrafił jedynie słabo reagować na bodźce wizualne, dźwiękowe i dotykowe. Były to reakcje na poziomie noworodka, ale wystarczyły, by zakwalifikować go do grona żywych. Dlatego nie wolno było odłączyć go od aparatury.

Jego przyjaciel, doktor Dean Malloy, zatrudniony w głównej komendzie policji, pierwszy stawiał się na miejscu wypadku. Jechał za Jackiem Donnerem własnym samochodem i był naocznym

świadkiem. Przez telefon komórkowy natychmiast wezwał pogotowie. Z dalszych raportów wynikało, że z pełnym poświęceniem opiekował się po wypadku zarówno panią Gibson, która przebywała w szpitalu, jak i Donnerem na oddziale reanimacji. Według ostatnich doniesień, Paris Gibson wyzdrowiała, zrezygnowała z pracy w telewizji i przeniosła Jacka Donnera do prywatnej kliniki w Austin. Publicznie podziękowała przyjaciołom, współpracownikom i widzom, którzy przysyłali kwiaty i listy z życzeniami zdrowia dla niej i jej narzeczonego. Oświadczyła, że będzie tęsknić za pracą i wszystkimi wspaniałymi ludźmi, których poznała w Houston, ale jej życie diametralnie się zmieniło i postanowiła zacząć wszystko od nowa. W tej części historii nie pojawiało się już nazwisko Deana Malloya i ten fakt mocno zaintrygował Curtisa. Kiedy w najtrudniejszych chwilach z pola widzenia znika najlepszy przyjaciel, musi się za tym kryć jakaś tajemnica.

Curtis wyczuwał, o co chodzi. Zaobserwował, w jaki sposób Malloy patrzy na Paris, a ona na niego. W ich spojrzeniu było nagie, niczym nieosłonięte pożądanie. Choć obydwójce próbowali tego nie okazywać, łączyło ich coś więcej niż tylko fizyczny pociąg. Usiłowali siebie unikać, co tym bardziej ich obciążało. Jeśli Curtis zdołał to odkryć po zaledwie dwóch dniach znajomości, to co dopiero mówić o Jacku Donnerze.

Wniosek: w tym trójkącie było o jedną osobę za dużo.

Słuchał audycji Paris z narastającą złością. Jak śmiała nawet nie wspomnieć o nim, o Valentinie. Bez końca rozwodziła się nad biedną Janey Kemp. Opowiadała, jak bardzo tęsknią za nią rodzice i jak pragną, by zdrowa wróciła do domu. Jak niepokoją się przyjaciele. Jaka to wspaniała dziewczyna.

Co za farsa! Janey sama opowiadała mu, że nienawidzi starych, i to z wzajemnością. A przyjaciele? Ona nie miała przyjaciół, zaliczała tylko kolejne zdobycze. Zalet też nie miała żadnych. Ale oczywiście dla takiej Paris Janey była święta. Piękna, czarująca, dobra i miła, po prostu ideał amerykańskiej dziewczyny. - Och, żebyś ją teraz widziała, Paris - mruknął ze zduszonym chichotem.

Janey wkurzała go do tego stopnia, że dzisiaj wpadł do niej dosłownie na moment. Już nie była ani ładna, ani pociągająca. Jej włosy, kiedyś lśniące i jedwabiste, otaczały głowę Jak brudny, tłusty kołtun. Była szara na twarzy. Żywe, śmiejące się ironicznie oczy przygasły, jakby były bez życia. Z trudem rejestrowała jego obecność w pokoju. Gapiła się nieruchomym wzrokiem w sufit i nie mrugała nawet wtedy, kiedy pstryknął jej palcami tuż przed nosem. Wyglądała i śmierdziała jak żywy trup. Oczywiście, mógłby zanieść dziewczynę do łazienki, ale nie chciało mu się jej myć.

Teraz miał ważniejsze sprawy na głowie. Musiał wydostać się z tego szamba, w które sam wdepnął. Czas gonił. Trzeba było znaleźć jakieś sensowne rozwiązanie. Dał wprawdzie Paris siedemdziesiąt dwie godziny i gdyby miał choć trochę honoru, powinien dotrzymać słowa, ale Janey sprawiła mu więcej kłopotów, niż wcześniej zakładał. Pozostała także do załatwienia sprawa Paris. Kiedy przywiózł Janey do tego mieszkania, nie zastanawiał się, co będzie dalej. Chciał jej po prostu dogodzić tak, jak na to zasługiwała, o co się sama prosiła. Była małą wredną dziwką, która ogłaszała się, że dla seksu zrobi wszystko. Okazało się zresztą, że nie rzucała słów na wiatr. Udowodniła, że jest skłonna zakosztować każdej rozpusty. Nie planowa! na serio, że ją zabije, podobnie jak z początku nie chciał zabijać Maddie Robinson. Tak wyszło, bo sama się o to prosiła. Przecież powiedziała: „Nie chcę cię więcej widzieć”, a on tylko spełnił jej żądanie. Nigdy. Nigdy go już nie zobaczy. Gdyby spojrzeć na całą sprawę od tej strony, to sama zaprogramowała swój los, nie on.

Co do Paris, także niczego nie planował, kiedy po raz pierwszy do niej zadzwonił i powiedział,

że zamierza rozprawić się z dziewczyną, która go oszukiwała. Chciał ją nastraszyć, żeby oprzytomniała i wreszcie rozumiała, że bez sensu wtrąca się w nie swoje sprawy. No bo kto jej dał prawo doradzać ludziom w sprawach miłości, seksu i związków między mężczyznami a kobietami?

Nie przewidział, że zareaguje na jego telefon powiadomieniem policji, co uruchomi całą lawinę. Kto by pomyślał, że Janey stanie się obiektem powszechnego zainteresowania. Przecież tylko dostała to, o co prosiła. Niestety, sprawa przerosła go i wymknęła się spod kontroli. Żeby jakoś przeżyć, musiał znów zapanować nad sytuacją. Ale od czego zacząć?

Oczywiście, może uwolnić Janey. Tak, może to zrobić. Podrzuci ją gdzieś koło domu. Nie znała jego nazwiska. Potem zatrze wszystkie ślady jej obecności w tym mieszkaniu tak, że gdyby nawet gliniarze doszli po nitce do kłębka i odnaleźli „scenę zbrodni”, do niego już nie trafią. Przystanie też chodzić na miejsce spotkań Sex Clubu, bo Janey by go tam przyuważyła. A to przecież żaden problem, bo na Sex Clubie świat się nie kończył.

Plan, choć niedoskonały, prawdopodobnie w tym momencie był najlepszym wyjściem, jakie mu pozostało. Mógłby zaraz zadzwonić do Paris i powiedzieć jej, że to była tylko zabawa. Zabawa, która miała jej uświadomić, że nie wolno igrać bezkarnie z ludzkimi uczuciami i rzucać na prawo i lewo głupich porad. „Nigdy nie myślałem, że potraktujesz mnie poważnie, Paris. Chyba nie masz poczucia humoru. Rozstańmy się w zgodzie, OK?”. Tak, ten plan z pewnością by wypalił.

- Słuchacie 101,3 FM. - Głos Paris wdarł się w tok jego myśli. - Zostańcie ze mną do godziny drugiej. Właśnie mam na linii najlepszą przyjaciółkę Janey, Melissę.

No tak, Melissa, pomyślał.

- Melisso, co chciałabyś powiedzieć naszym słuchaczom?

- No wiesz, chciałabym, żeby Janey do nas wróciła - odezwała się dziewczyna. - Janey, jeżeli mnie słuchasz, wróć, jeśli tylko możesz. Nikt nie będzie miał pretensji. A teraz mówię do porywacza. Jeśli trzymasz gdzieś moją przyjaciółkę wbrew jej woli, to ci powiem, że jesteś skończonym bydlakiem. Wypuść ją. Proszę cię. Wszyscy chcemy, żeby Janey wróciła. Tyle chciałam powiedzieć.

- Dziękuję, Melisso.

Chwileczkę, o co chodzi? Czyżby to on miał być czarnym charakterem w całej tej aferze? Nie zrobił Janey Kemp niczego, o co by się sama nie prosiła. Paris też nie była Królową Śnieżką. Wcale nie jest lepsza od innych. Wykręcił znany na pamięć numer. Czuł się bezpieczny. Nie byli w stanie wyśledzić jego komórki, już on o to zadbał.

- Tu Paris.

- Porozmawiamy sobie dzisiaj o Deanie Malloyu.

- To ty, Valentino? Pozwól mi porozmawiać z Janey.

- Janey nie ma nastroju do rozmowy z tobą, podobnie jak ja.

- Jej rodzice prosili, żebym cię spytała, czy...

- Zamknij się i słuchaj. Jeżeli ty i twój kochaś szybko nie ruszycie dupy, to będziecie mieli na sumieniu dwie śmierci. Janey, no i Jacka Donnera.

- Chciałbym, żebyś dla bezpieczeństwa nocowała u mnie, póki się to wszystko nie skończy. Mam gościnną sypialnię. Nic specjalnego, ale jest wygodnie. A przede wszystkim bezpiecznie.

Już w radiu Dean nalegał, że odwiezie Paris do domu i odprowadzi pod same drzwi. Tak jak poprzednio, okazało się, że telefonowano z budki na odludziu i nie było żadnych świadków. Policja była teraz pewna, że Valentino nawet się nie zbliżał do tych miejsc. Jego telefon postawił wszystkich w stan zagrożenia; w jego głosie słychać było coraz większy gniew i zawziętość. Znów mówił o

uśmierceni Janey. Aluzja do Deana i Jacka wprowadziła nowy, niepokojący element. Albo Valentino był jasnowidzem, albo miał pewność, że śmierć Jacka Donnera pośrednio obciąża Paris i Deana.

- Dzięki za propozycję, ale w domu też będę bezpieczna - powiedziała Paris. Weszła pierwsza, a Dean za nią. Zapalił lampę, lecz Paris natychmiast ją zgasła. - Czuję się jak ryba w akwarium. Każdy może zajrzeć do środka.

- Griggs ma dzisiaj zastępstwo - zauważył Dean, spoglądając na wóz patrolowy.

- Tak, ma wolne. Curtis uprzedził mnie, że policjanci będą się zmieniać. Ta ekipa jest równie dobra jak poprzednia. - Gdy Dean zamknął drzwi, spytała: - O co chodzi z Gavinem? - Valentino mówił o Deanie z taką nienawiścią, że oboje zaczęli się obawiać nie tylko o bezpieczeństwo Paris, ale i Gavina.

- Curtis podesłał patrol pod nasz dom. Dzwoniłem do Gavina i uprzedziłem go.

- A Liz?

- Ona chyba nie potrzebuje policyjnej ochrony, ale oczywiście zadzwoniłem i poinformowałem ją, że ma się pilnować. Obiecała włączyć alarm i dzwonić natychmiast, gdyby działo się coś podejrzanego.

- Dlaczego jej nie zaproponowałeś pokoju gościnnego?

- To temat na inną rozmowę, Paris - powiedział, nie wdając się w dyskusję. Paris weszła do kuchni. Dean pospieszył za nią. Minęła druga trzydzieści w nocy, ale oboje byli zbyt zdenerwowani, żeby spać.

- Zrobię sobie gorącej czekolady - powiedziała. - Ty też chcesz?

- Na dworze jest trzydzieści stopni. - Odpowiedziała mu spojrzeniem, które znaczyło: „bierzesz albo spadaj”. - Mogę dostać soku? - spytał.

Wstawiła swoją szklankę do mikrofalówki, nalała mu soku pomarańczowego i wyciągnęła paczkę herbatników.

- Dlaczego powiedziałeś, że on kłamie?

- Valentino?

- Gavin. Jak tylko przyszedłeś, powiedziałeś, że on kłamie. Potem byliśmy zajęci, ludzie dzwoniли, nie skończyliśmy tej rozmowy.

- Kurczę, nie wiem, o co chodzi - powiedział, wlepiwszy wzrok w szklankę. - Nie wiem, co zataja, ale coś na pewno.

Paris rozmieszała proszek z wodą, wskazała Deanowi ciastka i przeszli do salonu. Usiadła w jednym rogu kanapy, on w drugim. Dzielili ich paczka herbatników. Nie zapalali lampy, ale dość światła padało z latarni na podjeździe. Paris zdjęła okulary.

- Uważasz, że ukrywa coś, co się zdarzyło tamtej nocy?

- Tak, ma jakąś tajemnicę. Myślę, że oprócz rozmowy z Janey było coś jeszcze, o czym woli nie mówić.

- Na przykład, że poszli w krzaki?

- Na przykład. A on nie chce, żeby się ktoś dowiedział.

- Straciłby wiarygodność.

- Właśnie. - Dean zaczął żuć ciastko. - A z drugiej strony, on nie może być Valentinem. Nie wpadłby na coś takiego. Poza tym nie wie o nas. - Spojrzał na Paris. - W każdym razie nie o wszystkim. Zresztą, nie ma na tyle umiejętności, żeby przełączać tak sprytnie rozmowy przez telefon.

- Pytałam o to Staną.

- A on umie?

- Lubi te wszystkie kosztowne elektroniczne zabawki. Nie gap się tak na mnie. Stan to nie Valentino. Nie ma na to dość jaj.

- Wiesz coś bliższego na temat jego jaj?

- Uspokój się - warknęła. - Chcesz rozmawiać czy nie? Dean mruknął coś niewyraźnie i sięgnął po następne ciastko.

- Stan mówi, że to niezbyt skomplikowane - ciągnęła Paris. - Każdy, kto ma odpowiednie wyposażenie, może się tego nauczyć z Internetu.

- Na przykład ktoś, kto pracował w firmie telefonicznej.

- Dla takiego to byłaby pestka. A skąd ci to przyszło do głowy?

- Martin Patterson, zanim zatrudnił się u was, pracował dla Bella.

Dean odstawił Paris do domu własnym samochodem, a po drodze odbył długą telefoniczną rozmowę z Curtisem. Teraz streści! Paris wszystko, czego się dowiedział na temat Lancy'ego Fishera.

- Naprawdę miał kolekcję taśm z moimi nagraniami? Ciekawe, po co?

- Nie wiemy. Dlatego Curtis wszczął intensywną akcję poszukiwania naszego milkliwego pana Fishera. Musimy go przesłuchać, a pierwszym pytaniem będzie, czemu się tobą interesuje.

- To szok, Dean. On się nigdy mną nie interesował, nigdy nie zagadywał. Zawsze patrzył w podłogę i w ogóle rzadko wydawał głos.

- Dziwne zachowanie, jak na byłego aktora.

- Marvin był aktorem?

- Grał w filmach porno.

- Boże! - wykrzyknęła Paris. - Jesteś pewien, że rozmawiamy o tym samym facecie?

Dean opowiedział jej wszystko, czego Curtis dowiedział się od matki Lancy'ego Fishera.

- To wszystko nie wyjaśnia jednak, dlaczego nagrywał codziennie twoje audycje. Albo prawie codziennie, w każdym razie miał dziewięćdziesiąt dwie kasety. Curtis mówił, że nagrania są kiepskiej jakości. Na pewno nagrywał je z radia. Godziny miłosnych piosenek, a do tego seksowny głos Paris Gibson. Może się onanizował, słuchając ciebie. Byłaby to prawdziwa fontanna spermy, zważywszy liczbę kaset.

- Oszczędź mi tych uwag, dobrze?

- Czy on kiedykolwiek...

- Nigdy, Dean. Nigdy nie wydusił z siebie więcej niż trzy słowa. Nawet mi się nie przyglądał.

- Więc może jest niewinny jak niemowlę. Mógł zwiąć, bo ma na koncie wyroki i w naturalny sposób unika kontaktów z policją, choćby był czysty jak łza. - Dean patrzył na Paris dłuższą chwilę, jakby czekając na jej reakcję. - Curtis przeprowadził na nasz temat śledztwo godne Sherlocka Holmesa. Paris, która wciąż dmuchała na gorącą czekoladę, nagle straciła apetyt.

- No i czego się dowiedział?

- Niby niczego. Powiedział mi wprost, że wie wszystko o okolicznościach, w jakich opuściłaś Houston. I o wypadku. I o jego skutkach dla Jacka. O twojej rezygnacji z pracy w telewizji. I tak dalej, i tak dalej.

- To wszystko?

- Na tym poprzestał, ale wyczułem, że nadal jest ciekawy. Podejrzewa, że to nie wszystko.

- A niech sobie insynuuje na zdrowie.

- To właśnie robi.

Odstawiła kubek na stolik i z ciężkim westchnieniem oparła się wygodniej o poduszki.

- Jego ciekawość mnie nie dziwi, w końcu jest zawodowym detektywem. I nawet nie musi zbyt głęboko kopać. Wystarczy poskrobać, a będzie miał całe moje życie jak na talerzu.

- Przykro mi.

- Nieważne. - Uśmiechnęła się słabo. - Ważniejszy jest na przykład Gavin. Dlaczego ma rozbitą twarz?

- Ja mu tego nie zrobiłem, jeśli o to ci chodzi. Oburzona, wyprostowała się jak struna.

- W ogóle nie o to mi chodzi - powiedziała, wzięła swój kubek i wyszła, rzucając po drodze: - Zamknij za sobą drzwi.

Rozdział 25

Paris gwałtownym, nerwowym ruchem wylała czekoladę do zlewu i wyłączyła światło. Kiedy się odwróciła, ujrzała Deana, opartego o framugę drzwi. Jego sylwetka rysowała się na tle słabego światła sączącego się z okien salonu.

- Przepraszam, że byłem agresywny.

- Nie w tym rzecz. Jak mogło ci w ogóle przyjść do głowy, że posadziłam cię, iż mógłbyś uderzyć Gavina? To mnie uraziło.

- A jednak się zdarzyło, Paris. Zmroziły ją te słowa.

- Nie dzisiaj. Parę dni temu. Sprowokował mnie, straciłem panowanie nad sobą i strzeliłem go pięścią w twarz.

Gniew Paris natychmiast wyparował.

- Och, teraz ja cię przepraszam. Dotknęłam bolesnego tematu. - Zamilkła, po czym dodała: -
Wiem, co się zdarzyło u was w domu, gdy byłeś na studiach.

- Jack ci opowiedział?

- Wystarczająco dużo. Ale dopiero wtedy, kiedy zaczęłam mówić o twojej nadzwyczajnej samokontroli.

Dean oparł się ciężko o drzwi i przymknął oczy.

- Zawiodła mnie, jeśli chodzi o Gavina. I dzisiaj znowu, z Rondeau.

- Rondeau?

Opowiedział jej o sytuacji, jaką zastał w męskiej toalecie.

- Ten facet rozbił Gavinowi twarz o lustro. Stąd ta szrama. Miałem ochotę go zabić.

- Rozumiem cię. Dlaczego to zrobił?

Powiedział, że sam ma matkę i siostrę, i świństwa, które Gavin wypisywał w Internecie, tak go wkurzyły, że stracił głowę. Gówniane wytłumaczenie.

Śmierdzi kłamstwem na kilometr.

Curtis wie?

Nie powiedziałem mu i nie sędzę, żeby Rondeau chciał się poskarżyć.

Chcesz to tak zostawić?

Nie. Za cholerę nie. Ale sam sobie poradzę z Rondeau, bez pomocy Curtisa. -

Zaśmiał się gorzko. - A wracając do naszego przyjaciela, gończego psa, to nie odpuści, póki się nie dowie wszystkiego o naszym małym miłym trio, jak to ujął.

Czyli o mnie, o tobie i Jacku.

On nie żartował, Paris. Wyczuwa, że w całej tej historii jest jeszcze drugie dno, którego nie odkryły gazety.

A co go to obchodzi?

Uważa, że to ważne i że wiąże się z Valentinem.

Naprawdę? Jakaś stara sprawa z Houston? Przecież teraz to już nie ma żadnego znaczenia.

Dla sprawy Valentina może i nie ma. Ale dla nas ma. - Paris chciała się odwrócić, lecz wychylił się i przytrzymał ją. - Musimy o tym porozmawiać.

Ta rozmowa została przerwana siedem lat temu. Gdybyśmy sobie wszystko wyjaśnili, Jack może by się wtedy nie upił. Należało do niego pójść i wszystko sobie na spokojnie wyjaśnić.

Że go zdradziliśmy?

Nie, ale że zakochaliśmy się w sobie, choć nikt tego nie planował. Po prostu tak się stało.

Wybacz, Jack. To prawdziwy pech. Zobaczymy się niedługo.

To nie byłoby tak, Paris.

Nie, byłoby o wiele gorzej.

- Gorzej niż co, na Boga? Gorzej, niż się skończyło? - powiedział podenerwowanym tonem, ale zaraz się uspokoił. - Jack był inteligentniejszy, niż przypuszczałaś. I o wiele więcej rozumiał. Widział, że się unikamy. Ty na jego miejscu nie byłabyś ciekawa, dlaczego tak się dzieje?

Miał rację. Nie doceniała inteligencji Jacka. Wydawało jej się, że jeśli będzie udawać, iż nic się nie stało, on się niczego nie domysli. Jego narzeczona i najlepszy przyjaciel poszli ze sobą do łóżka. Tym sposobem ich wzajemne stosunki - jej z Jackiem i z Deanem oraz Deana z Jackiem - zmieniły się nieodwracalnie. Nie było powrotu do wcześniejszego układu. Nadzieja, że może być inaczej, była z jej strony szczytem naiwności.

- A ja myślałam... myślałam... - Potarła z zakłopotaniem czoło. - Sama nie wiem, co myślałam, Dean. Ale nie mogłam tak po prostu pójść do niego i powiedzieć: „Słuchaj, Jack, pamiętasz tę noc, kiedy facet zabił żonę i siebie, a ja robiłam ten materiał i powiedziałam ci potem, że chcę być sama? No więc wtedy przyszedł do mnie Dean i kochaliśmy się na dywanie”.

Zamiast tego zaczęła unikać Deana. Z czasem jej wymówki stały się zupełnie niewiarygodne.

- W końcu Jack zapytał wprost, dlaczego nie chcę się z tobą spotykać.

- Mnie też o to pytał - powiedział Dean. - Był ciekaw, czy nie pokłóciliśmy się tamtej nocy. Kryzysowa sytuacja mogła przecież doprowadzić do konfliktu interesów dziennikarki i policjanta. Powiedziałem mu, że się myli, a ja ciebie dalej lubię i szanuję. No i wtedy wpadł na pomysł kolacji z niespodzianką.

Och, ta nieszczęsna kolacja, pomyślała Paris. Jack zaaranżował spotkanie we trójkę w jednej z ich ulubionych restauracji. Zarówno ona, jak Dean przyjechali oddzielnie, nie wiedząc o sobie nawzajem. Konfrontacja twarzą w twarz, po raz pierwszy od tamtej nocy, była dla nich wyjątkowo kłopotliwa. Próbowwała unikać wzrokowego kontaktu z Deanem, ale nie mogła się powstrzymać, żeby ukradkiem na niego nie patrzeć. I za każdym razem napotykała jego spojrzenie. Rozmowa była zupełnie obojętna.

- Ta kolacja to był dla mnie test na przetrwanie - powiedział Dean. - W ogóle nie chciałaś ze mną rozmawiać.

- Bo nie byłam w stanie. Nie mogłam się zdobyć nawet na to, żeby do ciebie zadzwonić.

- Paris, ja wtedy umierałem. Tak strasznie chciałem wiedzieć, co myślisz. Tak strasznie się o ciebie martwiłem. Bałem się, że możesz być w ciąży.

- Ja? W ciąży?

- Przecież nie stosowaliśmy żadnych zabezpieczeń.

- Brałam pigułki.

- Skąd mogłem wiedzieć? - Uśmiechnął się z żalem. - W głębi duszy miałem nadzieję, że zajdziesz w ciążę.

Nie chciała mu powiedzieć, nawet teraz, że też tego chciała i okres powitała z przykrym rozczarowaniem. Gdyby spodziewała się dziecka, wyjaśnienie wszystkiego Jackowi przysłoby jej łatwiej. A to byłoby przynajmniej jakimś usprawiedliwieniem zdrady. Ale tak się nie stało.

- Kiedy od ciebie wyszedłem, myślałem, że umrę - mówił dalej Dean. - I nagle widzę cię przy stole w restauracji i nadal nie mogę o nic zapytać. Nie tylko to mnie tak dołowało. Za każdym razem, kiedy Jack opowiadał jakiś dowcip, przytulał cię albo mówił, że jestem jego najlepszym kumplem, czułem się jak Judasz.

- Próbował nas rozbawić. Zawsze taki był.

Jack zdawał się nie zauważać napięcia, jakie było między Paris i Deanem. Dużo pił, gadał też za dużo, śmiał się za często. Ale przy deserach dał za wygraną i zażądał wyjaśnienia, co się dzieje.

- Słuchajcie, dość mam tych fochów - powiedział. - Chcę wiedzieć, teraz, zaraz, co się stało, dlaczego zachowujecie się, jakbyście obydwójce kij połknęli. Mogą być tylko dwa wyjaśnienia. Punkt A: pokłóciliście się. Punkt B: spotykacie się za moimi plecami. No więc, albo mi powiecie, który to wariant, albo znowu zaczniecie być normalni. - Tu Jack, bardzo zadowolony ze swojej dowcipnej przemowy, skrzyżował ramiona i wodził wzrokiem od jednego do drugiego, czekając na odpowiedź.

Ale ani Dean nie odpowiedział na jego przyjacielski uśmiech, ani Paris, która miała wrażenie, jakby jej twarz za chwilę miała się rozpaść w kawałki. Cisza była aż nadto wymowna. Mimo to upłynęło kilka długich chwil, nim prawda dotarła do Jacka. A kiedy już dotarła, żal było na niego patrzeć. Jego uśmiech rozwiął się jak dym. Najpierw badawczo popatrzył na Paris. Potem na Deana, oczekując reakcji, śmiechu albo tekstu w rodzaju: „Nie wygłupiaj się, stary”. Ale żadne z nich nie odezwało się ani słowem, więc musiał w końcu zrozumieć.

- O kurwa - powiedział. Poderwał się na nogi. - Ty płacisz za kolację, przyjacielu. - Rzucił złym wzrokiem na Deana.

Dean musiał myśleć dokładnie o tym samym co Paris, bo nagle się odezwał:

- Nigdy nie zapomnę jego twarzy w tamtym momencie.

- Ani ja.

- Chciałem go zatrzymać, żeby nie siadał za kierownicą, ale zanim wstałem z krzesła, was już nie było.

- Nie pamiętam dokładnie, ale musiałam chyba za nim biec. Dogoniłam go na parkingu. Zaczął krzyczeć, żebym sobie poszła.

- Ale nie poszłaś.

- Nie. Błagałam go, żeby pozwolił mi się wytłumaczyć. Ale tylko na mnie spojrzał i zapytał: „Pieprzyłaś się z nim?”

- Słyszałem. - Dean pomasażował dłonią twarz, lecz nie zdołał zetrzeć z niej wyrazu żalu i rozpacz. - Słysząc go było na całym parkingu. Słyszałem też, jak prosiłaś, żeby nie jechał, bo jest pijany i zdenerwowany.

Jack jednak wsiadł do samochodu, nie bacząc na błagania Paris. Obiegła auto dookoła. Na szczęście drzwi od strony pasażera nie były zamknięte.

- Wsiadłam i nie ruszyłam się, choć Jack próbował mnie wyrzucić. Zapięłam pasy. Włączył silnik i nacisnął na gaz.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, wciąż przeżywając zdarzenia tamtej fatalnej nocy. Wreszcie Dean przerwał ciszę.

- Miał świętą rację, że się wściekł. Gdybym to ja był na jego miejscu, to... Mój Boże, sam nie

wiem, co bym zrobił. Chyba bym go obdarł ze skóry. Jack był zły i nieszczęśliwy. Jeśli postanowił się zabić, to żadne z nas nie mogło go powstrzymać, ani wtedy, ani później. Wyrządziliśmy mu krzywdę, Paris, i musimy z tym żyć. Ale on wyrządził krzywdę tobie, pozwalając ci zostać w swoim samochodzie. - Objął dłońmi jej szyję i delikatnie pomasażował kciukami obojczyki. - O to mam do niego pretensję. Mógł cię zabić.

- Nie sądzę, żeby miał taki zamiar.

- Jesteś pewna? - spytał cicho. - A co sobie powiedzieliście przez te dwie minuty, które upłynęły od wyjazdu z parkingu do wjazdu na autostradę?

- Ja mu powiedziałam, jak bardzo żałuję, że go skrzywdziliśmy. Powiedziałam, że obydwójce go kochamy, a to był pojedynczy przypadek, rozładowanie napięcia po traumatycznych przeżyciach. Obiecałam mu też, że jeśli nam wybaczy, to się nigdy, ale to nigdy nie powtórzy.

- Uwierzył ci?

- Nie - odparła głucho, a po jej policzku spłynęła łza. Dean westchnął, przytulił ją do piersi i pogłaskał po głowie. - Może za dużo mi powiedziałam.

- Żałujesz, że nie skłamałaś?

- Mógłby dzisiaj żyć. Był wtedy taki wściekły. Dostał białej gorączki. Próbowałam go przekonać, żeby dał mi poprowadzić, lecz zamiast tego jeszcze mocniej nacisnął na gaz. Stracił panowanie nad kierownicą. Ale na pewno nie wpadł specjalnie na tę barierkę.

- Specjalnie, Paris.

- Nie - upierała się rozpaczliwie.

- Kiedy ktoś traci panowanie nad autem, instynktownie zdejmuje nogę z gazu i naciska na hamulec. Jechałem tuż za wami. Światła hamowania w ogóle się nie zapaliły. - Dean uniósł głowę Paris, zmuszając ją, żeby spojrzała mu w oczy. - Jack cię kochał, co do tego nie ma wątpliwości. Kochał cię i chciał, żebyś była jego żoną. Kochał cię tak bardzo, że oszalał z zazdrości, kiedy się dowiedział, że byłaś ze mną. A teraz posłuchaj uważnie - powiedział z naciskiem. - Gdyby kochał cię tak, jak powinien, nie samolubnie i bezwarunkowo, nigdy nie zabrałby cię ze sobą na pewną śmierć. I chociaż przez ostatnie siedem lat żyłem jak w piekle, nigdy nie wybaczyłem mu tego, że usiłował cię zabić.

Po tych jego słowach Paris ogarnęła fala miłości. Kochała Deana Malloya. Kochała go od pierwszego wejrzenia, a teraz jeszcze bardziej. Ale ta miłość nie była możliwa do spełnienia ani wtedy, ani teraz. Zawsze ktoś stał między nimi. Najpierw Jack, teraz Liz. Wyzwoliła się z jego objęć.

- Powinieneś już iść.

- Zostanę na noc.

- Dean...

- Prześpię się na kanapie. - Uniósł ręce, jakby się poddawał. - Jeśli nie wierzysz, że nie dotknę cię nawet palcem, możesz zamknąć drzwi na klucz. Ale nie zostawię cię samej na pastwę jakiegoś szaleńca, który planuje zemstę.

- Nie rozumiem, skąd mógł wiedzieć, że mam na sumieniu śmierć Jacka.

- Ani ja.

- Przecież to, co się zdarzyło między nami, nie jest powszechnie znaną rewelacją. Nikt o tym nie wiedział.

- Prawdopodobnie zabawiał się w detektywa i z faktów wysnuł wnioski, podobnie jak Curtis.

- Przecież wypadek mógł się zdarzyć z tysiąca innych powodów.

- Ale powód zerwania przyjaźni mógł być tylko jeden. Nie tak trudno to zgadnąć, Paris, zwłaszcza kiedy ma się umysł Valentina. Jest cięty na niewierne kobiety. Jeśli doszedł do wniosku, że zdradziłaś Jacka ze mną, to stałaś się dla niego symbolem. I nawet gdyby wnioskowanie było błędne, dla Valentina fakty wyglądają właśnie tak. Zamierza cię symbolicznie ukarać. - Pokiwał uparcie głową. - Musisz mi uwierzyć, że tak jest.

Dean przedrzemał na sofie do świtu i cicho wymknął się z domu. Po drodze do auta pomachał oficerom w wozie patrolowym. Nie wyspał się i widać to było po nim. Ale nie zamierzał się przejmować takimi drobiazgami, musiał jak najszybciej załatwić pewną pilną sprawę. Na tyle ważną, że nawet kąpiel i golenie mogły poczekać.

Dwukrotnie nacisnął dzwonek, nim usłyszał szcęk zamka. Zaspana Liz wyjrzała przez wąską szparę i natychmiast znów przymknęła drzwi, by otworzyć łańcuch.

- Wiem, to świństwo budzić ludzi o takiej nieprzyzwoitej porze - powiedział w charakterze wytłumaczenia.

- Wybaczam ci - odrzekła i wpuściła go do środka. - Zrobiłeś mi bardzo miłą niespodziankę.

Uścisnął ją. Ciało pod jedwabnym szlafrokiem było ciepłe, miękkie i bardzo kobiece. Ale nie podniecało go. Liz odchyliła głowę, by spojrzeć mu w oczy, wciąż przytulona biodrami do jego bioder.

- Wyglądasz, jakbyś nie spał całą noc.

- Zgadza się.

- Co z Gavinem? - spytała z troską.

- W porządku, nic się nie zmieniło. Jest trochę przestraszony, co jest mi akurat na rękę. Ale nie w tej sprawie przyszedłem.

Liz знаła się na ludziach; właśnie dlatego zrobiła karierę w biznesie. I tym razem instynkt jej nie zawiódł.

- Chciałam cię zaprosić do łóżka - powiedziała - ale zdaje mi się, że wolisz filiżankę kawy.

- Nie kłopotz się. Wpadłem tylko na chwilę.

Chciała zachować twarz, więc się odsunęła, poprawiając zmierzwiłone włosy.

- Może chociaż usiądziesz?

- Jasne.

Przeszli do salonu. Liz usiadła w rogu kanapy, podkulając nogi. Dean przycupnął na samym skraju i oparł łokcie na kolanach. Jadąc tu, kilka razy powtarzał sobie w myślach to, co zamierzał jej powiedzieć, ale żadna z wersji nie wydawała się odpowiednia. Zbyt szanował Liz, by jej mydlić oczy. Postawił zatem na szczerłość.

- Posłuchaj, od dłuższego czasu miałaś prawo myśleć, że się pobierzemy. Przepraszam, Liz, ale nie ożenię się z tobą.

- Rozumiem. - Wzięła głęboki oddech i wolno wypuściła powietrze. - Czy mogę przynajmniej poznać powody twojej decyzji?

- Z początku myślałem, że to zwykły strach. Od piętnastu lat jestem wolny i perspektywa powtórnego małżeństwa trochę mnie przerażała. Nic na ten temat nie mówiłem, bo miałem nadzieję, że jakoś oswoję się z tą myślą. Nie chciałem dawać powodów do kłótni ani robić ci przykrości.

- Doceniam twoją troskę o moje uczucia.

- Drwisz ze mnie?

- A jak myślisz?

- Pewnie sobie zasłużyłem. W końcu przed chwilą zerwałem zaręczyny. Masz prawo być na mnie zła.

- Dobrze, że tak myślisz, bo aż się we mnie gotuje.

- Wiem, jak się czujesz.

Spojrzała na niego złym wzrokiem, ale po chwili się opanowała.

- Nie, nie zrobię ci awantury. Gdybym zaczęła histeryzować, trzasnąłbyś drzwiami i uznał sprawę za załatwioną. Ale to za łatwe. Żądam, żebyś mi wszystko dokładnie wyjaśnił.

Dean miał nadzieję, że Liz wyjdzie z siebie i zacznie się pieklić. Gdyby zaczęli obrzucać się wyzwiskami, nie byłoby powrotu do poprawnych stosunków. Awantura pomogłaby jej rozładować gniew, a jemu jakoś się wyłgać. Tymczasem Liz ustawiła poprzeczkę niewiarygodnie wysoko.

- Nie wiem, czy potrafię ci to logicznie wytłumaczyć. - Rozłóży! bezradnie ręce. - Nie chodzi o ciebie. Jesteś tak samo piękna i mądra jak w dniu, kiedy cię poznałem. A nawet bardziej.

- Proszę, oszczędź mi tekstów typu: „Nie zasługuję na taką kobietę jak ty”.

- Nie o to chodzi. Ja na serio tak myślę. To nie twoja wina, że nasz związek nie może trwać. Ja po prostu do ciebie nie pasuję.

- Nie musisz mi mówić. Zauważyłam to, kiedy się ostatnio kochaliśmy.

- Naprawdę? Jakoś nie słyszałem, żebyś się uskarżała.

- Nie prowokuj mnie, to bezcelowe - powiedziała poważnie. -

I nie bierz tego do siebie. Kutas może ci do mnie stawał, ale z uczuciami było gorzej.

- Wiem.

- Chodzi o Gavina? Zmieniłeś się, odkąd z tobą zamieszkał. Może za bardzo się nim przejmujesz?

- Gavin to był dobry pretekst, żeby się pomału wycofywać - przyznał. - Wstydzę się, że wykorzystywałem go jako argument przeciw tobie.

- I słusznie. Ale to nie o niego chodzi, prawda? - Nie.

- O kogoś innego?

- Tak. - Zmusił się, by spojrzeć jej prosto w oczy.

- Spotykasz się z inną?

- Nie, to nie to.

- A co, Dean? Powiesz mi?

- Kocham inną.

Liz aż zamurowało. Przez dłuższą chwilę nie mogła się otrząsnąć, wreszcie wydusiła:

- Rozumiem. Prawdziwa miłość. A czy mnie kiedykolwiek kochałeś?

- Tak, i na swój sposób nadal cię kocham. Byłaś bardzo ważną częścią mojego życia.

- To brzmi jak nudny wykład.

- Posłuchaj, kiedy zaczęliśmy się spotykać, ja... Uczciwie mówię, że próbowałem... Staralem się...

- Staraleś się - powtórzyła z goryczą. - Takie wyznanie to marzenie każdej kobiety.

W jej głosie znów dało się wyczuć sarkazm, ale tym razem robiła już tylko dobrą minę do złej gry. Chwyciła poduszkę i wtuliła się w nią, szukając pocieszenia. Dean wiedział, że musi wyjść, nim jego brutalna szczerość zupełnie ją załamie. Ale kiedy się podniósł, zatrzymała go.

- Chodzi o tę kobietę w ciemnych okularach. Tę, z którą siedziałeś na komendzie. Ma na imię Paris, prawda? - Spojrzała mu w oczy. - Uspokój się, Dean, co cię tak zaskakuje? Nawet gdybym była ślepa, i tak bym zgadła, że byliście kochankami.

- Wiele lat temu. I to się zdarzyło tylko jeden raz, ale...
- Ale tobie ten raz wystarczył.
- Tak. - Uśmiechnął się żałośnie. - Nie mogłem o niej zapomnieć.
- Ciekawa jestem, kiedy się znów spotkaliście.
- Przedwczoraj.

Liz zamarła z otwartymi ustami.

- Tak, przedwczoraj. Moje wyalienowane uczucie, jeśli tak to można nazwać, spało przez te wszystkie lata. Kiedy tylko ją zobaczyłem, wiedziałem, że nic się nie zmieniło.

- Zrozumiałeś, że na pewno nie chcesz się ze mną ożenić. Kiwnął głową.

- Bogu dzięki, że tego nie zrobiłeś. - Liz odrzuciła poduszkę i wstała. - Nie mam zamiaru być czyjąś ostatnią deską ratunku.

- I nie będziesz. - Uścisnął jej dłoń. - Przepraszam, że zabrałem ci dwa lata życia. Chciałaś mieć dziecko.

- I dobrze, że go nie mam - powiedziała figlarnym tonem. - Co bym robiła z niemowlęciem podczas podróży służbowych? Miałabym je wozić w walizce?

Liz próbowała żartować, ale Dean miał świadomość, jak głęboko ją zranił. Może nawet złamał jej serce. Była zbyt dumna, żeby robić sceny i zalewać się łzami. Możliwe też, że mimo wszystko lubiła go nadal i nie chciała grać na jego poczuciu winy.

- Masz wielką klasę, Liz.

- O, tak, nie da się ukryć.

- Co teraz zrobisz?

- Dzisiaj? Zafunduję sobie masaż.

- A jutro? - uśmiechnął się.

- Nie sprzedałam mojego domu w Houston.

- Naprawdę?

- Myślałeś, że to zrobiłam, a ja nie wyprowadzałam cię z błędu. Może to była intuicja, w każdym razie zostawiłam sobie bezpieczną furtkę. Teraz zajmę się przeprowadzką.

- Jesteś niesamowita, Liz.

- Ty też - pokiwała głową.

Pochylił się i pocałował ją w policzek. Przy drzwiach się odwrócił.

- Uważaj na siebie - powiedział. I wyszedł.

Rozdział 26

- Halo?

- Gavin? - Tak.

- Mówi Curtis. Obudziłem cię? - No.

- Przepraszam, ale nie mogę złapać twojego taty na komórkę. Dlatego zadzwoniłem na domowy.

Możesz mi go dać?

- Nie ma go. Nocował dzisiaj u Paris. - Gdy tylko Gavin to powiedział, zdał sobie sprawę z całej dwuznaczności tej informacji. Curtis był tak podejrzliwy, że mógłby wyciągnąć niewłaściwe wnioski. - Byliśmy u niej na kolacji - dodał. - Po ostatnim telefonie Valentina tata uznał, że nie może zostawić jej samej.

- Pod jej domem stoi patrol.

- Widocznie tata myśli, że to nie wystarczy.

- Jasne.

Gavin nie chciał dłużej rozmawiać z detektywem, bojąc się, że znów coś chlapnie. Co do cholery obchodziło Curtisa, gdzie nocuje ojciec?

- No, dobrze. Postaram się tam go złapać. Mam numer telefonu, choć jest zastrzeżony - powiedział Curtis.

- Mogę mu coś przekazać - zaproponował Gavin.

- Dzięki, ale muszę z nim pogadać osobiście.

Gavinowi wcale się to nie spodobało. Czyżby Curtis miał coś na niego?

- Wiadomo już, co z Janey? - zapytał.

- Nic nowego. Nie mam teraz czasu, Gavin.

Detektyw rozłączył się, nim Gavin zdążył powiedzieć „do widzenia”. Chłopak wstał, poszedł do łazienki i wyjrzał przez okno. Na podjeździe wciąż stał wóz policyjny. Co za ironia, pomyślał. Chronią mnie przed Valentinem, a jednocześnie uważają, że to ja nim jestem.

Było jeszcze bardzo wcześnie, więc wrócił do łóżka. Ale sen nie przychodził. Ojciec kazał mu siedzieć w domu i tak chyba będzie aż do odnalezienia Janey. Pogodził się już z tym. Mogło być gorzej. Gdyby ojciec nie pracował w policji, już by go pewnie zapuszkowali.

Naprawdę nie było tak źle, zwłaszcza że stary przyłapał go na paru ściemach i wykrył przynależność do Sex Clubu. Wczoraj u Paris było całkiem fajnie. Gavin bał się trochę tego spotkania po siedmiu latach. Obawiał się, że zobaczy jakąś staruszkę. Wyobrażał sobie, że może mieć natapirowane włosy i mnóstwo złotej biżuterii. A jeszcze gorsza była myśl, że może się zachowywać jak stara ciotka - szczebiotać i zachwycać się, jak urósł. Kobiety z rodziny jego matki były właśnie takie. Gavin na własnej skórze zaznał tortur rodzinnych spotkań.

Ale Paris była w porządku, taka sama, jak ją zapamiętał. Była dla niego miła, ale, w przeciwieństwie do Liz, nie usiłowała przedobrzyć. Nie traktowała go też z góry. Nawet wtedy, kiedy był małym chłopcem, zawsze rozmawiała z nim jak równy z równym. Jack mówił na niego

zawsze per Młody, albo Cwaniak, albo Zuszek. Też był fajny, ale traktował go jak dzieciaka, którego koniecznie trzeba zabawiać. Z nich dwojga Gavin zdecydowanie wolał Paris. Podobała mu się. Dużo bardziej niż dziewczyny, z którymi umawiał się ojciec. Czasem wyobrażał sobie, że gdyby nie było Jacka, Paris mogłaby zostać taką dziewczyną taty. Jego matka była pewna, że Paris podoba się Deanowi. Gavinowi tego oczywiście nie mówiła, ale podsłuchiwał kiedyś, jak rozmawiała z przyjaciółką. Powiedziała wtedy, że Paris wpadła ojcu w oko i że on umawia się z innymi tylko dlatego, że Paris jest narzeczoną Jacka Donnera.

Wtedy był za mały, żeby cokolwiek z tego zrozumieć. Poza tym niezbyt interesowały go układy dorosłych. Ale teraz, kiedy widział, jak bardzo ojcu zależało, by pojechać do Paris, jak sprawdzał w samochodowym lusterku, czy dobrze wygląda, pomyślał, że matka miała rację. Przed randkami z Liz ojciec nigdy się tak nie szykował.

Odkąd pamiętał, rodzice mieszkali oddzielnie. Już jako dziecko zrozumiał, że jego rodzina jest inna niż te w telewizyjnych reklamach, gdzie mamusia i tatuś zawsze razem jedzą śniadanko, chodzą po plaży, trzymając się za ręce, jeżdżą tym samym samochodem i śpią w jednym łóżku. Zauważył, że tatusiowie innych dzieci codziennie wracają do domu. Zapytał o to rodziców, a chociaż wyjaśnili mu znaczenie słowa „rozwód”, wciąż miał nadzieję, że się pogodzą i będą mieszkać pod jednym dachem. Im stawał się starszy, tym więcej rozumiał i w końcu pogodził się z myślą, że to raczej mało prawdopodobne. Choć, oczywiście, nie przestał marzyć. Nadzieja jest matką głupich, szczególnie gdy są dziećmi.

Jego ojciec umawiał się z bardzo wieloma kobietami. Gavin nawet nie próbował zapamiętywać ich imion, zbyt często się zmieniały. Usłyszał kiedyś, jak matka mówiła babce o „premierze miesiąca”, i zrozumiał, że to chodziło o podboje taty. Mama rzadko się z kimś umawiała i dlatego Gavin zdziwił się, kiedy postanowiła wyjść za męża. Ta decyzja ostatecznie zniweczyła nadzieję, że rodzice cudownym sposobem znów się pogodzą. Wtedy Gavin obraził się śmiertelnie na matkę i postanowił, że zamieni jej życie w piekło.

Kiedy myślał o tym z dzisiejszej perspektywy, jego zachowanie wydawało mu się dziecinne i głupie. Matka musiała przecież kochać tego faceta, skoro zdecydowała się wyjść za niego za męża. Ojca z całą pewnością od dawna nie kochała. Gavin podsłuchiwał, jak mówiła do babki: „Zawsze będę wdzięczna Deanowi, że dał mi Gavina, ale cieszę się, żeśmy tego za długo nie ciągnęli”. Zrozumiał też, że ojciec nie kocha matki, a może nigdy jej nie kochał. Próbował wyobrazić sobie rodziców razem, ale mu się to nie udawało. Nie pasowali do siebie, jak dwa kawałki z różnych układanek. Ani na początku, ani teraz. Musisz z tym żyć, chłopie - powtarzał sobie. Matka w drugim małżeństwie była naprawdę szczęśliwa. Ojciec zasługiwał na to samo, choć zdaniem Gavina Liz nie nadawała się na jego żonę.

Zajęty tymi myślami odpłynął w sen, który gwałtownie przerwał dzwonek do drzwi. Co u diabła? Kto mógł tu przyjść o tej porze? Wpółprzytomny, zszedł na dół i otworzył drzwi. Na nieszczęście nie sprawdził najpierw, kto za nimi stoi. A był to John Rondeau. Gavin spojrzał nad jego głową na wóz patrolowy. Stał tam, gdzie przedtem. Policjanci żuli pączki. Na pewno dostali je od Rondeau.

- Nie pękaj, Gavin, twoi stróże są w pobliżu - powiedział na powitanie policjant.

Gavin nie dal się zwieść. Opuchlizna wprawdzie trochę zeszała, ale policzek wciąż bolał, a siniak był bardzo duży. Rondeau był cięższy co najmniej o piętnaście kilo. Ponadto Gavin wiedział z doświadczenia, do czego ten typ był zdolny. Ale nie zamierzał dać się zastraszyć.

- Niczego się nie boję - odpalił. - A na pewno nie ciebie. Czego chcesz?

- Chcę ci coś dodać do tego, co mówiłem wczoraj.

- Mój stary odstrzelił ci dupę, jak cię tu zobaczy.

- To się dobrze składa, że go akurat nie ma w domu. - Rondeau uśmiechał się na pokaz, więc oblizujący palce z lukru policjanci musieli uznać, że przy drzwiach toczy się przyjacielska pogawędka. - Gdyby ci wpadło do głowy, żeby gadać o moich...

- Przestępstwach.

- Ja bym tego tak nie nazwał. - Policjant uśmiechnął się jeszcze szerzej. - W każdym razie, gdybyś mnie sypnął, to marne twoje szanse.

- Nie boję się ciebie.

- Ciebie oszczędzę, ale dobiorę się do twojego starego. - Rondeau zignorował jego słowa.

- Przyszedłeś, żeby mi opowiedzieć dowcip? Cholernie zabawny. - Gavin prychnął śmiechem. - Siedzisz w komputerach.

- Na razie pracuję w tym dziale, ale zamierzam przenieść się do Centralnego Biura Śledczego.

Chrzanię, czy dostaniesz awans. I tak nie masz dość jaj, żeby się równać z moim ojcem.

Nie mówiłem, że zrobię to własnymi rękami. On jest na to za cwany, będzie się pilnował. Ale wyobraź sobie, że podczas przesłuchania morduje go jakiś psychopata. Malloy przesłuchuje tych ptaszków w celi, pewnie o tym wiesz. Gada ze złodziejami, gwałcicielami, notorycznymi mordercami. Usiłuje wypompować z nich informacje, żeby potem nimi manipulować. A jeśli któryś z nich dowiedziałby się niespodziewanie, że doktor Malloy rżnie jego kobietę, kiedy on siedzi w pierdłu? To się robi coraz bardziej zabawne.

Dlaczego? Nie wiedziałeś, że razem z Paris Gibson przyprawiali rogi Jackowi Donnerowi?

Gavin osłupiał. Nie stać go było na dalszą grę. Skąd wiesz?

A choćby od Curtisa. Wpadłby na to każdy, kto umie liczyć do trzech. Twój tatuś pieprzył się z narzeczoną najlepszego przyjaciela, a ten z rozpaczy popełnia samobójstwo. Wymyśliłeś to sobie.

Jak mi nie wierzysz, sam go zapytaj. - Rondeau cmoknął językiem. - Paskudna sprawa, nie uważasz? W więzieniach wiadomość o tym, że doktor Malloy nie jest człowiekiem wiarygodnym, szczególnie jeśli chodzi o samotne kobiety, wywołałaby prawdziwy pożar. Kumas, Gavin? Ktoś ginie, żeby żyć mógł ktoś, rozumiesz. W policji nie dzieje się inaczej. Wszyscy jesteśmy tylko ludźmi. Człowiek człowiekowi wilkiem, jak mówi przysłowie - dodał, wzruszając ramionami. - On się niczego takiego nie spodziewa, więc już jest trupem, a ty sierotą.

Spierdalaj! - powiedział Gavin, śmiertelnie przestraszony. Rondeau leniwym ruchem odsunął się od drzwi.

Dobra, młody, na razie cię zostawiam. Ale lepiej przemyśl sobie to, co ci powiedziałem. Jesteś gnojkiem. Psim gównem, niewartym mojego czasu i zachodu. Ale uważaj. - Rondeau postukał Gavina palcem w nagą pierś. - Jeśli będziesz chciał mnie wykiwać, już po twoim starym.

Paris powoli otwierała oczy, ale kiedy zobaczyła Deana na brzegu swego łóżka, poderwała się gwałtownie.

- Coś się stało?

- Nic specjalnego. Nie chciałem cię przestraszyć.

Poczuła ulgę, ale serce wciąż jej waliło, trochę z przestachu, a trochę dlatego, że Dean był tak blisko. Łapiąc oddech, spytała:

- Jak było na kanapie?

- Za krótka.

- Spałeś?

- Nie bardzo. Trochę popracowałem nad portretem psychologicznym Valentina.

Mimo zmęczenia ona też nie mogła zasnąć, wiedząc, że Dean jest tuż obok. Podświadomie wciąż o tym myślała i to nie dało jej zapaść w spokojny, głęboki sen.

- Chciałabym się napić kawy.

Dean kiwnął głową, ale się nie ruszył. Paris też nie. Cisza zawisła jak siekiera nad wąskim paskiem pościeli, który ich dzielił.

- Może jednak powinnam zamknąć się na noc - powiedziała głosem, który bardziej przypominał zduszony szept.

- Na pewno, bo nie umiem utrzymać rąk przy sobie.

Objął ją, ale zanim ich usta się spotkały, zdążyła powiedzieć:

- A Liz?

- Skończyło się.

- Jak to?

- Zaufaj mi, Paris. Z rozkoszą poddała się pocałunkom - gwałtownym, zaborczym, rozkosznym.

Położyła dłonie na jego zarośniętych policzkach i przechyliła głowę, by poczuć jego język jeszcze głębiej, jeszcze mocniej. Odrzucił kołdrę i ułożył Paris na poduszkach, przywierając ciasno do jej ciała. A potem spojrzał na sprane bokserki i równie mało seksowny podkoszulek.

- Piękny negliż.

- To działa na facetów.

- Jeszcze jak - szepnęła, błędząc palcami poniżej jej pępka. Paris niczym ślepiec badała dotykiem jego twarz, gładząc brwi i prosty grzbiet nosa, obwodząc palcem linię ust i drapiąc ciemny zarost na brodzie.

- Siwiejesz - zauważyła.

- A ty się krócej strzyżesz.

- Oboje się zmieniliśmy.

- Nie do końca. - Popatrzył na jej piersi. Kiedy zaczął je pieścić, sutki nabrzmiały pod bawełnianą koszulką. - To się nie zmieniło. Zapamiętałem.

Znów ją pocałował, jeszcze namiętniej niż przed chwilą. Przyciągnął jej pośladki do swoich bioder tak, że poczuła jego pulsującą męskość. Ogarnął ją żar. Od lat nie czuła takiego podniecenia. Pragnienie zaspokojenia było aż bolesne. Westchnęła z rozkoszy i rozchyliła uda.

- Naczekaliśmy się aż za długo - powiedział, odsuwając się tylko na tyle, by rozpiąć suwak od spodni. - O sto lat za długo.

Okazało się, że dane im było czekać jeszcze dłużej, bo nagle zadzwonił telefon. Zamarli. Wymienili milczące spojrzenia, których wymowa była jednoznaczna. Musiała podnieść słuchawkę. To mogło być coś ważnego. Dean przewrócił się na plecy i posłał w sufit wiązaną przekleństwo. Paris odgarnęła włosy i sięgnęła do bezprzewodowego telefonu, który leżał na nocnym stoliku.

- Halo? - „To Curtis” szepnęła do Deana. - Nie. Nie, właśnie się obudziłam. Masz coś nowego?

- Chyba tak, choć nic bezpośrednio o Janey czy Valentinie. Brada Armstronga i Mandna Pattersona jeszcze nie złapaliśmy. Muszę mówić z Malloyem. Podobno jest u ciebie.

- Poczekaj chwilę - rzekła z udawaną obojętnością. - Zaraz go poproszę. - Zakryła słuchawkę ręką i przekazała ją Deanowi. Uniósł pytająco brwi. - Curtis nic mi nie powiedział - oznajmiła.

Dean wziął słuchawkę i przywita! się z detektywem. Paris wyszła do łazienki, zamykając za sobą

drzwi. Wzięła szybki prysznic i narzuciła szlafrok, po czym wróciła do sypialni. Deana już tam nie było, a telefon stał na ładowarce. Usłyszała szmery z kuchni, zastała tam Deana przy dzbanku z kawą.

- Ładnie pachniesz - powiedział, odwracając głowę.

- Czego chciał Curtis?

- Kawa zaraz będzie.

- Dean, pytałam cię o coś.

- To Gavin mu powiedział, że tutaj jestem. Zadzwoił do domu, bo wyłączyłem komórkę. Kiedy pojechałem do Liz...

- Byłeś dzisiaj u Liz?

- O świcie. Wtedy wyłączyłem telefon i zapomniałem go włączyć. Nie chciałem, żeby ktoś nam przerywał. Miałem jej coś ważnego do powiedzenia.

Paris poczuła palącą ciekawość. Miała sto pytań na końcu języka. Dean bez pośpiechu wyjął z szafki dwa kubki i dopiero wtedy się odwrócił.

- Powiedziałem jej, że z nami koniec.

- Była zła? - Paris przełknęła ślinę.

- Trochę. Ale nie zaskoczona. Przeczynała, że to się tak skończy.

- Hmm.

- Nie wiń siebie za to - powiedział, jakby czyta! w jej myślach. - To było nieuniknione, prędzej czy później.

- A ty... Jak się z tym czujesz?

- Jestem wolny. Byłem świnią, trzymając ją tak długo w niepewności.

Kawa zaczęła bulgotać. Była to dobra okazja, żeby zmienić temat. Paris podeszła do lodówki, żeby wyjąć mleko.

- Czego chciał Curtis?

- Chciał mnie poinformować, jaka jest aktualna sytuacja.

- W naszej sprawie?

- Nie, w mojej sprawie. Zostałem zawieszony w czynnościach.

Rozdział 27

- Cześć, mamó. To ja, Lancy.
- Boże, która to godzina?
- Prawie dziewięta.
- Gdzie jesteś?

Zeszłego wieczoru Lancy wrócił przez tylną bramę, gdzie stały przyczepy mieszkalne, i zaparkował samochód o dwie uliczki za domem matki. Ryzykując pogryzienie przez psy i napaść nerwowych sąsiadów, którzy mieli zwyczaj najpierw strzelać, a potem pytać, o co chodzi, przekradł się wąskimi przejściami. Aż taka ostrożność mogła się wydawać przesadą, ale jednak się opłaciła. Natychmiast zauważył nieoznakowany wóz policji, zaparkowany o trzydzieści metrów od ogródka, ze świetnym widokiem na drzwi matki. Dobrze, że się ukrył na tyłach.

Wrócił do auta i z braku innych pomysłów pojechał do Austin. Zadzwoił do sąsiada, jednego z nielicznych znajomych, do których jeszcze miał zaufanie. Ten potwierdził, że policja zrobiła u niego rewizję i wyniosła z domu kilka pudeł. Cholera! - zaklął Lancy w duchu. Znaleźli nagrania audycji Paris Gibson. Nie odpowiadając na pytanie matki, zapytał:

- Były u ciebie gliny?
- Taki jeden Curtis. Z Austin.
- Co mu powiedziałaś?
- Nic - burknęła. - No bo nic nie wiem.
- Zrobił rewizję?
- Pokręcił się po domu. Znalazł twoje skarpetki.
- Zabrał je?
- A po diabła mu cudze śmierdzące skarpety?
- Idź do okna i popatrz w lewo.
- Leżę w łóżku - jęknęła.
- Błagam, mamó. Zrób to dla mnie. Zobacz, czy stoi tam taki ciemny samochód.

Zaczęła kląć i narzekać, ale chyba się ruszyła, bo usłyszał szcęk odkładanego na stolik aparatu. Bardzo długo nie wracała, a kiedy przyszła, wydyszała do słuchawki głosem zatkanej rury kanalizacyjnej:

- Stoi.
- Dzięki, mamó. Zadzwoię później.
- Nie chcę mieć przez ciebie żadnych kłopotów, Lancy. Rozumiemy się, chłopcze?
- Nigdy ci nie narobiłem kłopotu.

Lancy odwiesił lepką słuchawkę. Wbił ręce w kieszenie, postawił kołnierz i wyszedł z budki na deszcz. Wracając do motelu, czujnie rozglądał się spod daszka bejsbolówki, czy nie widać na horyzoncie patrolu, który zawoła: „Stać!”, i zakuje go w kajdanki. Kiedy się okazało, że nie może nocować u matki, wrócił do swojej drugiej kryjówki, ale najpierw, dla bezpieczeństwa, objechał

budynek. Nigdzie nie było śladu glin. Wkradł się niezauważenie do środka i poczuł się jak w brudnej, śmierdzącej klatce. Był na nogach od dwudziestu czterech długich godzin. „No to tym razem jesteś ugotowany na cacy, chłopie” - mruknął i zamknął drzwi swojej nory. Znów był uciekinierem.

Lśniące kowbojki na skrzyżowanych nogach Curtisa spoczywały na biurku. Właśnie wpatrywał się w spiczasty, ręcznie wymodelowany czubek, gdy na blacie, o parę centymetrów od jego butów, wylądowała żółta teczka. Odwrócił się i zobaczył Paris Gibson. Choć, jak zwykle, miała na nosie czarne okulary, nietrudno było zgadnąć, że jest wyjątkowo wzburzona.

- Dzień dobry - przywitał się Curtis.

- Bijesz pokłony przed tym maniakałnym idiotą?

Curtis zdjął nogi z biurka i wskazał Paris krzesło, ale tylko pokręciła głową.

- Ten idiota jest wpływowym sędzią okręgowym.

- I ma w kieszeni cały departament policji.

- To nie ja zawiesiłem Malloya. Nie mógłbym nawet, bo mam niższą rangę. Ja mu po prostu przekazałem wiadomość.

- Pozwól, że powtórzę. Sędzia Kemp ma całą naszą beznadziejną, tchórzliwą policję w kieszeni.

- Sędzia Kemp od razu zaczął od najmocniejszego oskarżenia. - Curtis pominął obelgę i przeszedł do tematu. - Mówiono mi, że kiedy wczoraj wysłuchali z żoną twojej audycji, on dostał ataku szalu. Zadzwoń! do komendanta do domu, wywlóknij go z łóżka, zażądał natychmiastowego wyrzucenia z pracy Malloya za publiczne oczernianie jego córki, zniesławienie nazwiska Kempów i pranie na antenie brudów, które powinny pozostać w domowym zaciszu. Ponadto powoływał się na konflikt interesów, bo wiedział, że Gavin Malloy był przesłuchiwany w tej sprawie.

- A skąd wiedział?

Ma tu swoje wtyczki. Tak czy owak, obiecał poruszyć niebo i ziemię i zniszczyć nas wszystkich, jeśli Malloy nie tylko nie zostanie w trybie natychmiastowym odsunięty od sprawy, ale też zwolniony dyscyplinarnie.

Szef nie posunął się aż do tego, ale musiał się zgodzić, że Malloy zasługuje na czasowe zawieszenie. Przynajmniej do czasu, kiedy emocje opadną.

Żeby spacyfikować sędziego - powiedziała Paris, a Curtis przytaknął, wzruszając ramionami.

Dostałem rozkaz tuż przed świtem. Komendant prosił - nie, rozkazał mi powiadomić Malloya, bo to ja wciągnąłem go do tej sprawy. To była kara dla mnie, jak mi się zdaje.

Przecież nie mówiliśmy o Janey nic złego, same zwyczajne rzeczy - protestowała Paris. - Muszę ci powiedzieć, że bardzo kontrolowałam się, żeby słówkiem nie wspomnieć o tym, jak się prowadziła albo co robiła w Sex Clubie. Naszym celem było przekonać Valentina, że Janey jest człowiekiem, że ma kochających rodziców i przyjaciół.

Ale wiedziałaś, że Kempowie za wszelką cenę chcą unikać mediów, prawda?

Nie chcieli nawet rozgłaszać zniknięcia Janey. A tymczasem ty gadasz o niej przez radio za poradą policyjnego psychologa. Potraktowali to jako sprzeciwienie się ich woli.

Dean mi mówił, że byłeś wielkim zwolennikiem tego pomysłu.

Tak, i powiedziałem to szefowi.

Więc dlaczego sędzia nie zażądał, żeby i ciebie wyrzucić?

Bo wie, jak daleko może się posunąć. Nie chciał zadzierać z całym departamentem. Wie, że mam tu bardzo wielu przyjaciół, a Malloy jest względnie nowy. Poza tym sędzia chciał się dobrać tobie do skóry, a mógł to zrobić tylko rykoszetem. Postrzega ciebie i Malloya jako jedną drużynę. Ma dość

pomyślunku, by wiedzieć, że nie oplaca mu się otwarcie atakować popularnej Paris Gibson. Protesty słuchaczy źle by wpłynęły na jego kampanię.

- I tym sposobem Dean został kozłem ofiarnym - podsumowała. - Czy to już przeciekło do mediów?

- Nie mam pojęcia, ale założę się, że jeśli tak będzie, Kemp zrobi z tego dla siebie dobry użytek.

Paris usiadła. Nie dlatego, że dala za wygraną. Curtis widział po jej minie, że właśnie podjęła jakąś decyzję. Nachyliła się do niego przez biurko.

- Pójdiesz do swojego szefa i powiesz mu, że ja kategorycznie żądam wycofania zawieszenia Deana. W trybie natychmiastowym. Co więcej, jeżeli ta informacja dziś rano znajdzie się w gazetach, dziś wieczorem poświęcę cały program korupcji w naszej policji, która jest na usługach bezwzględnych politycznych karierowiczów. Opowiem o łapówkach, jakie funkcjonariusze biorą za to, by nie aresztować tych, co trzeba, i jak siły porządkowe w mieście bezczelnie faworyzują wpływowych i bogatych. Przez cztery godziny mogę wam tak zrobić koło pióra, jak jeszcze nikt nigdy wam nie zaszkodził, z sędzią Kempem na czele. Bo chociaż groźnie wymachuje maczugą, wątpię, czy słyszało o nim kilkaset tysięcy ludzi. A ja mam tylu słuchaczy, i to codziennie. No i kto tu jest bardziej wpływowy, sierżancie Curtis?

- Twoja audycja nie jest polityczna. Nigdy nie wykorzystywałaś anteny do takich celów.

- Ale dziś wykorzystam.

- A jutro Wilkins Crenshaw wyleje cię na zbity pysk.

- Dzięki czemu zyskam jeszcze większe poparcie i współczucie. Dziennikarze oszaleją, a ja umiem ciągnąć taką aferę całymi tygodniami. Policja z Austin będzie miała mocno pod górkę, chcąc odrobić swoją dobrą opinię.

Choć ledwo było widać zarys jej oczu, Curtis zauważył, że nawet nie drgnęła jej powieka, gdy mówiła, co postanowiła. Nie zamierzała się wycofać.

- Gdyby to ode mnie zależało... - Uniósł dłonie w obronnym geście. - Ale szef może się nie zgodzić.

Jeśli odmówi, zwołam konferencję prasową. W południe wystąpię w telewizji. Widzisz to? „Paris Gibson odsłania swoje oblicze”, „Od siedmiu lat pierwszy raz na ekranie”, „Tajemnicza twarz radiowego głosu”. Ja już to widzę i słyszę. Będzie huk. Owszem, Curtis też to widział i słyszał.

A co będzie, jak się okaże, że wiadomość już przeciekła?

Wtedy komendant wyda oświadczenie do prasy, że to była pomyłka, przekłamanie i nadinterpretacja.

To Malloy cię przysłał, żebyś mu to załatwiła? - spytał, ale Paris nawet nie otworzyła ust. Było jasne, że Malloy nigdy by się tak nie poniżył. Curtis oddał ślepy strzał tylko dlatego, że nie miał przeciw niej prawdziwej amunicji. - No dobra, spróbuję to załatwić.

Weź to z sobą. - Pchnęła ku niemu teczkę.

Co to jest?

Notatki, które Dean zrobił w nocy. Rysował profil psychologiczny porywacza Janey, a tymczasem jej tatuś knuł, jak go zniesławić i wypieprzyć na bruk. W każdym razie to interesujący materiał. Może po lekturze twój szef zrozumie, jakie oparcie ma w doktorze Malloyu i jak kosmicznym błędem byłoby odsunięcie go od tej sprawy. Oczywiście, po tym wszystkim Dean może się na was wypiąć. Nie zdziwiłabym się. Ale powinniście próbować go przekonać, żeby się dał przeprosić i wrócił.

Taka pewna jesteś swego scenariusza.

Bo wiem jedno: każdy cholernie mądrzeje w chwili, kiedy musi chronić własną dupę.

Przemyśle to i oddzwonię. - Dean nacisnął czerwony guzik w komórce. - A na razie się pieprz - prychnął, czego świadkiem był Gavin. Na widok jego szeroko otwartych oczu Dean się roześmiał. - Twoje pokolenie już nie zna takich zwrotów? - Właśnie byli na śniadaniu w pobliskiej kafeterii, kiedy komendant osobiście zadzwonił, by anulować zawieszenie. - Dziś o świcie chciał mnie zwolnić z pracy, a teraz słyszę, że jestem skarbem dla departamentu. Wspaniałym psychologiem i jeszcze lepszym obrońcą porządku publicznego. Kimś między Zygmuntem Freudem a Dickiem Trącym.

On tak powiedział? Nie, ale prawie równie głupio.

Jak wrócisz do sprawy, to stary Janey się chyba wścieknie. Chrzanię, w jaki sposób departament poradzi sobie z sędzią. To ich sprawa. Chcesz zachować tę pracę? A ty chcesz, żebym tu został? - Ja? Podoba ci się tu? A jakie to ma znaczenie? - Ma.

Może być... - Gavin wolno zamieszał słomką mleczny koktajl. - Myślę, że mogło być gorzej. Dean odczytał to jako głos na „tak”.

Nie chciałbym rzucać pracy, póki czegoś pożytecznego tu nie zrobię. A roboty mam mnóstwo. Austin to nie jest stojące bajoro. Lubię to miasto, bo tu się dużo dzieje. Są fajne kluby i fajne knajpy. Atmosfera też mi się podoba. Ale bardzo bym chciał, żebyś ze mną został. Możemy zawrzeć układ?

Jaki układ? - zapytał ostrożnie Gavin.

No, że ja jeszcze raz spróbuję z pracą, a ty spróbujesz ze szkołą. I nie chodzi mi tylko o chodzenie, ale o to, żebyś się uczył, zaprzyjaźnił z kimś, zapisał się do drużyny. I żebyś równie intensywnie zajmował się szkołą, jak ja pracą. Pasuje ci?

A oddasz mi komputer?

Pod warunkiem, że w każdej chwili pozwolisz mi do niego zajrzeć. Od dzisiaj będę sprawdzał, jak długo siedzisz przy komputerze i co robisz. W tej sprawie nie ma dyskusji. I jeszcze jedno, musisz zacząć coś trenować albo zapisać się do kółka zainteresowań. Możesz nawet grać w krykieta, bylebyś nie siedział godzinami w swoim pokoju ani nie włóczył się cały czas po ulicach. Gavin rzucił ojcu szybkie spojrzenie i znów wbił wzrok w talerz.

- Myślałem o koszykówce. Dean był zachwycony, ale nie chciał zbyt otwarcie okazywać radości.

- Mamy za garażem świetne miejsce na kosz. Mogę go zamontować, żebyś sobie ćwiczył.

- Fajnie.

- No to umowa stoi. Chciałem ci jeszcze powiedzieć, że zerwałem z Liz.

- Kiedy? - Gavin poderwał głowę.

- Dzisiaj rano.

- To chyba dość nagle, nie?

- Przemyślałem to wcześniej.

- Ale to chyba nie przeze mnie? - Znów zaczął się bawić słomką. - Nie dlatego, że z tobą mieszkam?

- Nie. Dlatego, że nie kocham jej wystarczająco.

- Nie chciałeś dwa razy popełnić tego samego błędu. Deana zabolalo, że własny syn widzi małżeństwo z jego matką w kategoriach błędu, choć diagnoza była słuszna.

- No cóż, można to tak ująć.

- A Paris? Ma z tym coś wspólnego? - spytał Gavin po namyśle.

- Tak. Bardzo dużo.

- Tak myślałem.

- I co? Pasuje ci?

- Jest super. - Wyciągnął słomkę i zaczął ją wyginać. - Czy to prawda, że z nią spałeś, kiedy była narzeczoną Jacka?

- Co?

- Mam powtórzyć pytanie?

- Jest bardzo osobiste.

- Bo takie miało być.

- A ja nie mam zamiaru omawiać z tobą takich spraw. Gavin wyprostował się jak struna i popatrzył na niego z niechęcią.

- Ale ty możesz się wpięprzać z butami w moje życie osobiste. I muszę opowiadać ci ze szczegółami, co, kiedy i z kim robiłem.

- Jestem twoim ojcem, a ty jesteś niepełnoletni.

- To dalej nieuczciwe.

- Uczciwe, nieuczciwe! A niech to szlag! - zaklął Dean, kiedy znów zadzwonił telefon.

Wyświetlił się numer Curtisa. Dean najpierw nie miał zamiaru odbierać, ale gdy zobaczył, że Gavin zaszył się w rogu kanapy i tępym wzrokiem patrzy w okno, nacisnął guzik. Na razie nie było powrotu do partnerskiej rozmowy.

- Rozmawiałeś z szefem? - Tak.

- Zostajesz?

- Jeszcze myślę - powiedział Dean, choć już podjął decyzję. Niech się za szybko nie cieszą.

- Cokolwiek postanowisz, musisz tu przyjść.

- Jem śniadanie z synem.

- To go zabierz.

- Po co? Co się stało? - Dean aż podskoczył.

- Im szybciej będziesz, tym lepiej. Złe wiadomości. Curtis, niestety, nie przesadzał.

- Twój przyjaciel Valentino zagrał z nami w znaczone karty. Nie dotrzymał umowy. Ciało Janey Kemp odnaleziono pół godziny temu nad jeziorem Travis.

Dean, widząc Paris, instynktownie złapał ją za rękę i mocno uściskał. Zaskoczyła go jej obecność w biurze Curtisa. Powiedziała mu tylko, że została powiadomiona podobnie jak on.

Curtis przyszedł w parę minut później. Poprosił, by Gavin poczekał w jednym z pokoi przesłuchań.

- Dwóch rybaków zobaczyło nagie ciało częściowo ukryte w wodzie, za korzeniami cyprysów. Natychmiast mnie zawiadomiono i pojechałem na miejsce. To ona, choć nie mamy jeszcze oficjalnej identyfikacji. Ekipa przeczesuje teren. Lekarz robi autopsję. Mam nadzieję, że coś znajdzie. Ciało wygląda fatalnie. - Curtis ciężko westchnął. - Rany i szramy na twarzy, szyi, piersiach i kończynach. Ślady po ugryzieniach... w różnych miejscach. - Rzucił spojrzenie na Paris.

- Jaka była przyczyna śmierci? - spyta! Dean.

- Nie wiem, póki lekarz nie skończy sekcji. Na razie mówi, że leżała w wodzie jakieś sześć, siedem godzin. Zapewne wrzucono ją tam zeszłej nocy.

- A co ty podejrzewasz?

- Uduślenie, jak w przypadku Maddie Robinson. Bardzo podobne siniaki na szyi. Ale to nie przesądza sprawy, to mógł być zupełnie inny zbrojeniec.

- Wykorzystanie seksualne?

- Lekarz potwierdzi, ale na oko to oczywiste.

- Powiadomiono rodziców? - spytała cicho Paris po chwili milczenia.

- Z tego powodu się spóźniłem. Wpadłem do nich po drodze. Sędzia wciąż był zły, że szef się wycofał z decyzji. Myślał, że przychodzę z przeprosinami. Kiedy im powiedziałem, o co chodzi, pani Kemp zemdliała, a gdy się ocknęła, nie pozwoliła mi się pocieszać. Zamiast tego zaczęli się obrzucać oskarżeniami. Jedno zwało winę na drugie. Paskudna scena. Wyszedłem, a oni dalej się kłócili. Za godzinę umówiłem się z nimi w kostnicy, bo muszą oficjalnie zidentyfikować ciało. Nie powiem, żeby mi się tam spieszyło - powiedział i zamilkł na chwilę. - Kempowie to nie są moi ulubieńcy, ale powiem wam szczerze, że mi ich żal. Jedyna córka, zamęczona i zamordowana. Bóg wie, co przeszła przed śmiercią. W takich chwilach przypomina mi się moja własna córka. Wyobrażam sobie, co bym czuł, gdyby ktoś jej to zrobił, a potem zostawił w jeziorze na pokarm dla ryb. Dean dojrzał kątem oka, jak Paris przyciska dłoń do ust, usiłując stłumić emocje.

- Po co ci Gavin? - spytał Curtisa.

- Czy chłopak podda się wykrywaczowi kłamstw?

- Nie pora na głupie żarty, panie sierżancie.

- Nie żartuję. Już nie działamy na oślep. Mam ciało, a więc i obowiązek, żeby zaciągnąć sieć.

- A w środku ma być mój syn?

- Był jedną z ostatnich osób, które widziały ją żywą.

- Ale ostatni był porywacz i morderca. Sprawdzalesz alibi Gavina?

- Myślisz o jego kumplach? Tak, moi ludzie przepytali paru.

- No i co?

- Jednogłośnie przyznali, że był z nimi. Ale że wszyscy byli pijani, więc nie pamiętają szczegółów. Żaden nie umiał dokładnie określić czasu, w którym do nich dołączył, ani godziny, o której sobie poszedł.

- Uczepiłeś się Gavina, bo jego jednego masz pod ręką - powiedział rozniewany Dean.

- Niestety, masz rację - odrzekł detektyw ze współczuciem. - Jak dotąd nie natrafiliśmy na ślad Lancy'ego Fishera, choć jego mieszkanie i dom matki cały czas mamy pod obserwacją. Znaleźliśmy jednak jedną interesującą rzecz przy badaniu jego kont. Kilka czeków zrealizowano na nazwisko Doreen Gilliam, która w szkole średniej uczy dramatu i wymowy scenicznej. - Curtis popatrzył znacząco, po czym dodał: - Pani Gilliam dorabia sobie na czarno prywatnymi lekcjami w domu. Lancy, czyli Marvin, chodził do niej na naukę dykcji i wymowy.

- Na lekcje wymowy? - Paris szczerze się zdziwiła. - Prawie w ogóle się nie odzywał.

Curtis wzruszył ramionami.

- Może uczył się, jak zmieniać głos - zasugerował Dean.

- Też tak pomyślałem - mruknął Curtis.

- Pracował w telefonach, więc na pewno umiał przełączać rozmowy do różnych aparatów - fantazjował głośno Dean. - I ma hopla na punkcie Paris, bo inaczej po co byłyby mu te kasety.

- Niech go tylko dopadnę, a na pewno zapytam - obiecał Curtis. - Ale martwe ciało to nie przelewki, toteż nie będę się z nikim cackać. Toni Armstrong się nie odezwała, więc zdobyłem nakaz rewizji. Rozkazałem Rondeau, żeby osobiście zajął się komputerem Armstronga. W moim prywatnym rankingu ten gość ma dobre punktowane miejsce. Własna żona zeznała, że widziała, jak podrywa kilkunastoletnią dziewczynę. Uruchomiłem biuro szeryfa, Strażników Teksasu i drogówkę. Każdy, kto

w tym mieście ma do czynienia z prawem, szuka w tej chwili Fishera i Armstronga. W żadnym wypadku nie uczepimy się tylko Gavina.

- Miałeś zamiar mnie pocieszyć? - spytał Dean. - Stawiając mojego dzieciaka w jednym rzędzie ze zboczeńcem i gwiazdą porno? A skoro nie masz ich pod ręką, chcesz go zmusić do testów na prawdomówność.

- Nie zmusić, tylko poprosić.

- Może powinieneś się zgodzić. - Paris wzięła Deana pod rękę. - To go oczyści z podejrzeń.

Dean miał taką nadzieję, którą jednak mąciło przekonanie, że Gavin coś ukrywa. W dodatku miał przeczucie, że ten sekret jest niebezpieczny. Spojrzał na Curtisa, który krzywił się nad jakąś teczką. Zapewne zawierała zdjęcia z miejsca, gdzie znaleziono martwą Janey Kemp.

Słuchaj, Dean, na razie dowody świadczą na korzyść Gavina. Nie mamy na niego żadnego porządnego haka. Masz prawo odmówić - powiedział Curtis, a w jego głosie było wyzwanie. Pieprzyć to. Gavin podda się tym waszym cholernym testom.

Rozdział 28

- Paris, mówi Stan.

- Stan?

- A co cię tak dziwi? Dałaś mi swój numer na komórkę. Już dawno.

- Ale nigdy nie dzwoniłaś.

- No bo powiedziałaś, że mogę z niego korzystać tylko w ostateczności. Właśnie usłyszałem w dzienniku o Janey Kemp. Zadzwoiłem, żeby zapytać, jak się czujesz.

- Potwornie. Aż trudno opisać.

- Gdzie jesteś?

- W komendzie głównej.

- Mam nadzieję, że sprawa ruszy z kopyta. Czy sekcja coś wykazała?

- Muszę cię rozczarować, Stan, ale nie znam żadnych krwawych szczegółów poza tym, że ona nie żyje.

- Poprowadzisz dzisiaj audycję?

- A dlaczego nie?

- Szef powiedział stryjowi Wilkinsowi, że znaleziono ciało. Zastanawiali się, czy po tym wszystkim nie będziesz chciała wziąć wolnego. Mogliby zrobić powtórkę z jakiegoś starego programu.

- Sama zadzwonię do dyrektora. Ale jeśli będą cię pytali, powiedz im, że mam zamiar prowadzić program na żywo. Valentino mnie nie wystraszy.

- Już zrobił to, co zapowiedział, Paris. Myślisz, że zadzwoni?

- Mam nadzieję. Im więcej ze mną rozmawia, tym większe mamy szanse, by go zidentyfikować.

- Szkoda, że nie udało się go złapać, zanim ją zabił - powiedział Stan, a po pauzie dodał: - Chyba nie powinienem ci o tym przypominać, co? Już i tak pewnie fatalnie się czujesz, no bo ty go pierwsza wystawiłaś.

- Muszę kończyć, Stan.

- Jesteś na mnie zła?

- Po prostu akurat teraz mam dość tej rozmowy, rozumiesz? Zobaczymy się wieczorem.

Rozłączyła się. Stan marzył o tym, by jak najdłużej trzymać ją przy telefonie, żeby linia była wciąż zajęta. Miał nadzieję, że to wreszcie zniechęci stryja Wilkinsa, który od czasu odnalezienia ciała Janey Kemp nabrał zwyczaju dzwonienia po kilka razy dziennie. Udawał, że interesuje się sprawami stacji, ale Stan dobrze wiedział, że to jego sprawdza.

Pluł sobie teraz w brodę, że kiedyś zwierzył się stryjowi, iż Paris mu się podoba. Nigdy, przenigdy nie powinien tego robić, bo teraz stryj wracał do tego w każdej rozmowie. Ostatnio, kiedy zadzwonił, powiedział tym swoim szczególnie złośliwym tonem:

- Uważaj, chłopcze, bo jeśli pozwolisz sobie na najmniejszy wyskok czy perwersję...

- Zachowuję się wobec niej jak ministrant, przysięgam.

No bo jak miał się zachowywać wobec Paris? Nie dawała mu tego wprost do zrozumienia, ale czuł, że za nim nie przepada. Nawet kiedy z nim rozmawiała, zawsze wydawała się jakaś roztargniona, jakby myślała o czym innym. Był pewien, że gdyby spróbował się do niej przystawiać, pogoniłaby go, gdzie pieprz rośnie. Nigdy nie dała ani jemu, ani nikomu najmniejszego pretekstu do flirtu. Patrzyła przez niego, jakby był ze szkła. Traktowała go podobnie jak jego rodzice - z obojętnym lekceważeniem, które bolało bardziej niż otwarta wrogość. Był nieważny.

Szanse Stań na romans z Paris były nikłe, a rozwiały się doszczętnie, gdy pojawił się Dean Malloy. Kawał aroganckiego skurwysyna, pewnego siebie i swojego powodzenia u kobiet. Nigdy nie musiał namawiać sekretarki, by podniosła kieckę, ani błagać dziewczyn, żeby mu zrobiły laskę w samochodzie.

Takim facetom jak Malloy zawsze wszystko przychodzi łatwo, to fakt.

Takim kobietom jak Paris podobają się tacy faceci jak Malloy, to drugi fakt. Ludzie tacy jak Paris czy Malloy nie wiedzą, co to poczucie odrzucenia. Nigdy im nie przyjdzie do głowy, że inni nie mają takiego szczęścia w miłości. Są jak lśniące planety, które nie mają pojęcia, jak się czują ci, którzy krążą koło nich po orbicie. Nie wiedzą, do czego może się posunąć człowiek głodny uczuć, które oni dostają bez żadnego wysiłku. Niczego nie wiedzą.

Gavin spuścił głowę tak, że brodą prawie dotykał piersi.

W jeziorze?

Ciało przewieziono do kostnicy. W tej chwili robiona jest sekcja, żeby ustalić przyczynę śmierci - powiedział Dean. Gavin uniósł pobladłą z wrażenia twarz. Z trudem przełknął ślinę.

Tato... Ja... Musisz mi wierzyć. Nie mam z tym nic wspólnego.

Wierzę ci. Ale jestem pewien, że coś przede mną ukrywasz. Gavin potrząsnął głową.

Cokolwiek to jest, wolę, żebyś najpierw powiedział to mnie, zanim się zacznie zabawa z wykrywaczem kłamstw. Dlaczego nie chcesz mi nic powiedzieć?

Bo nie mam nic do powiedzenia.

Kłamiesz, Gavinie. Przecież cię znam.

- Nie masz prawa oskarżać mnie o kłamstwo. - Chłopak poderwał się na równe nogi i stanął z zaciśniętymi pięściami. - Największym kłamcą na świecie jesteś ty!

- Co ty wygadujesz? Czy kiedykolwiek ci skłamałem?

- Całe moje życie to jedno wielkie kłamstwo! - Dean patrzył z przerażeniem, jak oczy syna wypełniają łzy. Rozhisteryzowany Gavin niezdarnie ocierał je pięścią. - Ty! Mama! Zawsze powtarzaliście, jak to mnie kochacie! Ale ja wiem swoje.

- Dlaczego tak mówisz? Skąd ci przyszło do głowy, że moglibyśmy cię nie kochać?

- Bo mnie nie chcieliście! - krzyknął. - Mama zaszła w ciążę przez przypadek, i tylko dlatego się z nią ożeniłeś. Dlaczego nie zrobiła zabiegu? Mielibyście sprawę z głowy.

Dean i Pat nie zastanawiali się, co mają powiedzieć Gavinowi, jeśli kiedyś zada to pytanie. A powinni. Teraz Dean nie miał się kogo poradzić. Sam musiał odpowiedzieć na bolesne pytanie syna. Nie bacząc na konsekwencje, postanowił, że będzie szczery od początku do końca.

- Powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć, ale po warunkiem, że się uspokoisz i usiądziesz. I przestań patrzeć na mnie takim wzrokiem, jakbyś chciał mi się rzucić do gardła.

Gavin wahał się przez chwilę, ale w końcu usiadł. W oczach nadal miał gniew.

- Masz rację. Twoja matka zaszła w ciążę i dlatego wzięliśmy ślub. Zostałeś poczęty po akademickim przyjęciu jubileuszowym w Nowym Orleanie.

- Boże! - Gavin zaśmiał się gorzko. - To gorzej, niż myślałem. Czy przynajmniej chodziliście ze sobą w szkole?

- Umówiliśmy się parę razy.

- Ale nie była dla ciebie kimś... ważnym?

- Nie - przyznał Dean spokojnie.

- Więc to był przypadek? Wypadek?

- Gavinie...

- Nie mogliście się zabezpieczyć? Byłeś pijany i głupi?

- Jedno i drugie. Twoja matka nie brała pigułek. Ja nie spytałem, a mogłem się upewnić.

- No to się musiałeś zdziwić, jak ci powiedziała.

- To był szok dla nas obojga. Twoja matka kończyła studia i miała rozpocząć pracę. Ja zaczynałem. Ta ciąża zdarzyła się absolutnie nie w porę. Ale chcę, byś wiedział, że nigdy nie rozmawialiśmy o jej usunięciu. To nie wchodziło w grę. Uwierz mi.

Dean obserwował twarz syna i widział, jak rozpaczliwie chłopak chciał uwierzyć i jak było mu trudno. Nie dziwił mu się. Zapewne on i Pat popełnili błąd, nie przeprowadzając z nim poważnej rozmowy wtedy, kiedy był już na tyle duży, by rozumieć, w jaki sposób kobiety zachodzą w ciążę. Gdyby w porę mu wszystko wyjaśnili, nie miałby kompleksów na temat własnej wartości ani aż takich pretensji.

- Żadne z nas nawet nie pomyślało o oddaniu cię do adopcji. Pat od początku chciała cię urodzić i zatrzymać. Dziękuję Bogu, że miała na tyle przyzwoitości, by powiadomić mnie, że to ja jestem ojcem. A kiedy mi to powiedziała, nalegałem, żebyś nosił moje nazwisko. Chciałem być twoim ojcem, chciałem być częścią twojego życia. Chociaż nie paliliśmy się do małżeństwa, chcieliśmy ci zapewnić wszystkie prawa. Dlatego Pat w końcu zgodziła się wziąć ze mną ślub, chociaż się nie kochaliśmy. Chciałbym, by było inaczej, ale taka jest prawda, Gavinie, nie mam zamiaru ci kłamać. Sam zapytałeś i zasługujesz na uczciwą odpowiedź. Lubiliśmy się z Pat. Byliśmy dla siebie mili i dobrzy. Niestety, nie można było tego nazwać miłością.

Ale ciebie kochaliśmy obydwójce. Kiedy po raz pierwszy wziąłem cię na ręce, po prostu oszalałem z radości. Twoja matka tak samo. Mieszkaliśmy razem aż do dnia porodu i jeszcze trochę. Chcieliśmy wierzyć, że z czasem pojawi się między nami uczucie i wtedy zdecydujemy się być razem. Ale tak się nie stało i oboje mieliśmy tego świadomość. Oboje płakaliśmy, kiedy postanowiliśmy się rozstać. Nasze życie razem unieszczęśliwiłoby aż troje ludzi, a i tak nie uniknęlibyśmy rozwodu, tylko odwlekli go w czasie. W dobrze pojętym interesie nas wszystkich było jak najszybciej zrezygnować z tego układu, zanim zdołasz cokolwiek zapamiętać. Kiedy miałaś trzy miesiące, twoja matka wystąpiła o rozwód. - Dean rozłożył ręce. - To wszystko. Koniecznie powinieneś jeszcze porozmawiać o tym z mamą. Musisz ją zrozumieć. Nie chciała, byś o tym wiedział, bo nie chciała, żebyś o niej źle myślał. Ja też tego nie chcę. Pat nie była żadną puszczalską, która umawia się ze wszystkimi chłopakami. Ten bal był ostatni, potem mieliśmy się rozstać. Coś nas napadło, no i... stało się.

Twoja matka wyrzekła się bardzo wielu rzeczy, żeby cię samotnie wychować. Wiem, że nie podoba ci się jej nowe małżeństwo, ale zrozum, że Pat jest nie tylko twoją matką, ale i kobietą. I jeśli ci się zdaje, że nowy mąż zajmie twoje miejsce w jej sercu, to się grubo mylisz. Nikt, żaden mężczyzna go nie zajmie.

- Wcale tak nie myślę. - Gavin nie podniósł głowy. - Musiałbym być idiotą. Wiem, że ona

potrzebuje miłości, opieki i w ogóle.

- Więc może przestań się z nią kłócić i powiedz, że to wszystko rozumiesz.

- Chciałem, żebyś sam mi to powiedział, ale wcześniej - Gavin obojętnie wzruszył ramionami. -

Dawno to wszystko wiedziałem.

- Skoro wiedziałeś i nie przeszkadzało ci to szczególnie, to czemu teraz robisz z igły widły?

- Trwałe małżeństwo to nie zawsze gwarancja szczęśliwej rodziny, synu. Mnóstwo dzieci, które mają przy sobie oboje rodziców, wcale nie ma tak szczęśliwego dzieciństwa, jak ty miałeś. Możesz mi wierzyć, bo wiem, co mówię. Tymczasem ty nas szantażujesz tym, że byłeś niechcianym dzieckiem, bo chcesz sobie na wszystko pozwalać. Wykorzystujesz sytuację. A przecież twoja matka i ja jesteśmy tylko ludźmi. Byliśmy młodzi, zapomnieliśmy się i wpadliśmy. Nie uważasz, że już czas, byś przestał się zajmować naszymi czynami i zastanowił się nad odpowiedzialnością za własne?

Gniew sprawił, że twarz Gavina spurpurowiała. Oddychał ciężko i głośno, a w oczach znów zakreśliły mu się łzy. Dean mówił dalej:

- Kocham cię, Gavinie. Z całego serca. Jestem wdzięczny losowi za tamtą naszą pomyłkę. Gdyby było potrzeba, z chęcią umarłbym za ciebie. Ale nie pozwolę ci sobą manipulować. Okoliczności twoich narodzin to nie powód, by odrywać się od o wiele ważniejszych w tej chwili spraw. - Dean przysunął krzesło i położył synowi dłoń na ramieniu. - Ja byłem z tobą szczerzy, jak facet z facetem. A teraz chcę, żebyś ty zachował się jak mężczyzna i uczciwie powiedział, co ukrywasz.

- Nic.

- Bzdura. Czuję, że jest coś jeszcze.

- Nic nie ma.

- Kłamiesz.

- Zejdź ze mnie, tato!

- Nie, póki nie powiesz.

Rysy Gavina odzwierciedlały cały mętlik jego myśli i zdenerwowanie, gdy walczył sam ze sobą, by wreszcie wyrzucić z siebie tajemnicę.

- Dobrze! Chciałeś wiedzieć, to ci powiem. Byłem wtedy w samochodzie z Janey.

Paris spojrzała na zegarek. Już od godziny czekała przed biurem śledczym. Przyjechał adwokat Deana i zniknął za drzwiami. Poza tym nic nie wiedziała, nie miała pojęcia, co się tam dzieje. Była ciekawa, czy test na wykrywaczu kłamstw już się rozpoczął.

Męczył ją ustawiczny brak snu. Oparła głowę o ławkę i przymknęła oczy, ale to nie był relaks. W głowie kłębiły się tysiące myśli. Janey Kemp nie żyła. Zamordował ją chory, zwyrodniały człowiek, a Paris czuła się współodpowiedzialna za tę śmierć. Stan z właściwym sobie brakiem taktu uprzytomnił jej, że Valentino poczuł się urażony radami, jakie dała Janey. Gdyby tego wieczoru dziewczyna nie zadzwoniła do radia, Valentino nie dowiedziałby się o jej zamiarach. Pech chciał, że tak właśnie się stało. A gdy zagroził, że ukarze Janey, czy można było postąpić inaczej? Co mogła mu powiedzieć, by powstrzymać go od ostatecznego kroku, od morderstwa?

- Pani Gibson?

Paris otworzyła oczy. Stała przed nią drobna kobieta, bardzo zdenerwowana. Jej ładna twarz nosiła ślady wyczerpania. Torebkę ścisnęła tak mocno, że zbielały jej palce. Widać było, że jest na skraju wytrzymałości, choć usiłowała się trzymać. Drżała jak dmuchawiec na wietrze. Paris uśmiechnęła się odruchowo, żeby uspokoić nieznajomą.

- Tak, to ja.

- Tak mi się zdawało. Mogę tu usiąść?

- Oczywiście. - Paris zrobiła jej miejsce obok siebie. - Przepraszam, ale... Czy my się znamy?

- Jestem Toni Armstrong. Żona Bradleya Armstronga.

Paris natychmiast rozpoznała nazwisko i zrozumiała, czemu jej widok tak zdenerwował tę kobietę.

- Wiem, czemu pani tu jest - powiedziała. - To musi być dla pani bardzo trudne. Szkoda, że spotykamy się w takich nieprzyjemnych okolicznościach.

- Dziękuję. - Kobieta z całych sił próbowała panować nad sobą, co budziło szacunek. - Kiedy policja robiła u nas rewizję, nie znalazła jednej rzeczy. - Wyjęła z torby płytę CD. - Skoro i tak zabrali komputer Brada, pomyślałam, że tu może być coś ważnego, i dlatego przyniosłam tę płytę.

- Jak pani mnie rozpoznała?

Przez myśl Paris przebiegło niejasne wspomnienie.

Nawet teraz, po śmierci Janey, jej zdjęcia nie przedostały się do prasy. Wilkins Crenshaw osobiście interweniował w tej sprawie i zakazał lokalnym mediom publikowania wizerunku Paris. Nie miała złudzeń; wcale nie chodziło o jej dobro. Crenshaw miał na względzie wyłącznie pozytywny obraz stacji. Tak czy inaczej, prasa i telewizja zastosowały się do jego życzenia, choć nie wiadomo było, na jak długo. Toni Armstrong spuściła głowę i nerwowo oblizała wargi.

- Ta płyta Brada to tylko pretekst. Chciałam się zobaczyć z sierżantem Curtisem, bo wczoraj nie powiedziałam mu wszystkiego.

Paris milczała, czekając na dalsze zwierzenia.

- Sierżant pytał mnie, czy Brad słuchał w nocy radia. Powiedziałam, że tak, czasami. Zaczął pytać o coś innego i już nie wróciliśmy do tego tematu. Nie wymienił pani nazwiska, a ja się nie paliłam, by mu powiedzieć, że my, to znaczy ja i Brad, znaliśmy panią z Houston. - Toni wpatrywała się z napięciem w oczy Paris, jakby oczekując, że ona sama sobie przypomni okoliczności, w jakich się zetknęły.

- Przykro mi, ale nie mogę sobie pani przypomnieć.

- Bo nigdy się osobiście nie spotkałyśmy. Ale leczyła się pani w gabinecie Louisa Bakera.

To wystarczyło, by pamięć powróciła. Jak Paris mogła zapomnieć to nazwisko? Było dość pospolite, to prawda, a Dean ani Curtis nie wspomnieli, że Armstrong jest dentystą.

- Pani mąż jest dentystą? Tym dentystą? Toni Armstrong kiwnęła głową.

- Strasznie mi przykro. - Paris odetchnęła głęboko.

- Nie musi mnie pani przeproszać. To, co się stało, nie było z pani winy. Ja pani nie oskarżam. Zrobiła pani to, co każdy by zrobił w takim przypadku. Brad widzi to inaczej, niestety. Powiedział, że... że zachęcała go pani do flirtu, że go pani prowokowała. - Toni uśmiechnęła się smutno. - Jego stara śpiewka. Ja nigdy nawet przez moment nie pomyślałam, że mogłaby się pani zgodzić na to, co próbował zrobić.

Paris poszła na wizytę do swego dentysty, doktora Bakera, ale w gabinecie poinformowano ją, że musiał nagle wyjechać w ważnych sprawach rodzinnych. Mogła wybierać - albo przełożyć wizytę, albo przejdzie do innego lekarza. Już dwa razy przekładała termin, teraz była na miejscu i nie chciało jej się dalej tego odwlekać. Zdecydowała się na innego dentystę.

Zapamiętała Brada Armstronga jako sympatycznego, przystojnego człowieka. Miała do zaplombowania zębów, który mógł boleć. Zasugerował znieczulenie. Zgodziła się, bo gaz „rozweselający” nie działał zbyt długo, poza tym w warunkach klinicznych zabieg był absolutnie

bezpieczny. Wolała nie czuć borowania ani zastrzyków.

Po znieczuleniu poczuła się całkowicie beztroska i rozluźniona, zdawało jej się, że unosi się na wodzie. Z początku uznała lekki jak piórko dotyk na piersiach za przywidzenie, spowodowane środkiem odurzającym. Jednak doznanie się powtórzyło i tym razem nie mogło być pomyłki - poczuła wyraźnie, że ktoś dotyka jej sutka. Otworzyła oczy i zerwała maseczkę, którą miała na nosie. Brad Armstrong uśmiechał się nad nią, a lubieżny wyraz jego twarzy nie pozostawiał żadnych wątpliwości.

- Co pan wyprawia, do diabła?

- Nie udawaj, że ci się to nie podoba - wyszeptał. - Zobacz, jak cię podniecam. Mimo że leżała na fotelu, poderwała się jak sprężyna, strącając na podłogę metalową tackę z narzędziami. Asystentka Armstronga, którą odesłał pod jakimś pretekstem, natychmiast wpadła do gabinetu.

- Co się stało, pani Gibson?

- Proszę, żeby doktor Baker zadzwonił do mnie najszybciej, jak to możliwe - wykrztusiła Paris i wybiegła z gabinetu.

Zaniepokojony dentysta po paru godzinach zadzwonił. Zrelacjonowała mu szczegółowo, co zaszło. Kiedy skończyła swą opowieść, powiedział z goryczą:

- Wstyd mi teraz, że podejrzewałem tamtą pacjentkę o kłamstwo.

- Więc to nie pierwszy raz?

- Nie pierwszy, ale ostatni, zapewniam panią. Proszę przyjąć moje najgłębsze wyrazy ubolewania. Zaraz się tym zajmę.

Doktora Armstronga zwolniono dyscyplinarnie z pracy. Paris przez parę następnych dni nie mogła dojść do siebie, wzdrygała się ze wstrętu na samo wspomnienie obrzydliwego zajścia. Z czasem to przeżycie zbladło i zatarło się w jej pamięci. Nie myślała o nim aż do tej chwili.

- Podejrzewam, że pani mąż oskarża mnie o utratę pracy.

- Tak, mimo że od tamtej pory kilkakrotnie musiał zmieniać pracę z tych samych powodów. Ma do pani zapięty żal. Gdy pracowała pani w telewizji w Houston, wyłączał odbiornik, kiedy tylko zobaczył panią na ekranie. Obrzydliwie o pani mówił. A gdy zdarzył się ten wypadek z pani narzeczonym, powiedział, że zasłużyła pani na to.

- Wiedział o Jacku i o wypadku?

- I o doktorze Malloyu. Miał hipotezę, że chodziło o trójkąć miłosny.

- Och! - wyrwało się Paris.

- Potem przeprowadziliśmy się tutaj. Brad odkrył, że pracuje pani w radiu, i jego pretensje odżyły z dawną siłą. - Toni Armstrong znów spuściła głowę i zaczęła skręcać pasek torebki. - Powinnam powiedzieć o tym sierżantowi Curtisowi już wczoraj, ale bałam się, że wplączę go w tę aferę z zaginioną dziewczyną.

- Znalazła się.

Gdy Paris opowiedziała Toni o zwłokach Janey Kemp, dzielna mała pani Armstrong ostatecznie przegrała walkę z tak długo powstrzymywanymi łzami.

Rozdział 29

Ilekcroć krzyżowały się drogi Johna Rondeau i Deana Malloya, młody policjant zachowywał się poprawnie i uprzejmie. Jednak Dean nie zmienił swego wrogiego nastawienia do jego osoby. Nie uszło to uwagi Curtisa. Rondeau podsłuchał nawet, jak pytał Malloya, o co chodzi, ale Dean zbył go burkliwym „o nic”, a detektyw nie naciskał. Tak naprawdę Rondeau nie zabiegał o przychyłność Malloya, który mógł się na niego boczyć do usranej śmierci. Zależało mu na zmiękczeniu Curtisa. Choć Malloy był wyższy rangą, to od rekomendacji Curtisa zależało, czy Rondeau dostanie się do Centralnego Biura Śledczego.

Dzieciak Malloya znalazł się na jego łasce i niełasce i teraz robił w spodnie ze strachu. Wprawdzie test na wykrywaczu kłamstw wypadł na jego korzyść i de facto został oczyszczony z podejrzeń, ale siedział jak na szpilkach, z rękami skrzyżowanymi w obronnym geście. Wiercił się na krześle, miał rozbiegane, spłoszone oczy i był istnym kłębkim nerwów. Zdawało się, że wystarczy zawołać mu za plecami „a kuku!”, a rozpadnie się w kawałki. Jeden Rondeau wiedział, czemu chłopak aż tak się boi, ale nie zamierzał nikogo o tym informować. Podobnie Gavin, tego był pewien. Tak mu napędził kota, że chłopak będzie milczał jak grób. Rondeau podziwiał własną inteligencję, która podpowiedziała mu, żeby zaszantażować gówniarza pośrednio, rzucając groźby pod adresem jego ojca.

W klitce Curtisa było wyjątkowo tłoczno. W burzy mózgów brali udział, oczywiście oprócz sierżanta, także Malloy, Gavin i Paris Gibson. Rondeau cieszył się, że też tu jest, w tym samym pomieszczeniu co ona, choć uwagę wszystkich absorbował Malloy. Jak zdarta płyta powtarzał, że obawia się o jej bezpieczeństwo, bo jest następną ofiarą na liście Valentina. Rondeau wkręcił się na to zebranie przypadkiem. Akurat przyszedł, by zameldować Curtisowi o zawartości dysku CD, który pani Armstrong przekazała za pośrednictwem Paris. Nie było tam specjalnych rewelacji, ale młody policjant chciał się wykazać operatywnością i zarobić kolejne punkty u Curtisa, a tym samym zwiększyć szanse na przeniesienie do CBS.

Paris nieświadomie odebrała mu laury, bo z pierwszej ręki dowiedziała się czegoś, czego on nie odkrył podczas rewizji u Armstrongów - że mąż Toni molestował ją seksualnie, kiedy była jego pacjentką. Gdyby ta głupia Toni Armstrong wygadała się z tym wcześniej, sukces należałby do niego, do Rondeau. A tak będzie musiał wykazać się innym sposobem.

- Mam złe przeczucia na temat tego gościa - powiedział Curtis o zbiegłym dentyście. - Kontaktował się dzisiaj z żoną? - skierował pytanie do Paris.

- Ona mówi, że nie. Sama próbowała, ale bez skutku.

- Gdyby zadzwonił ze swojej komórki, moglibyśmy namierzyć go przez satelitę - powiedział Malloy.

- I właśnie dlatego tak nie postępuje - wtrącił Rondeau, licząc, że skompromituje Malloya. Gardło wciąż go bolało po wczorajszym incydencie. Nie było możliwości, żeby kiedykolwiek zostali przyjaciółmi, czego osobiście nie żałował.

- Sprawdziliście jego rozmowy?

- Moi ludzie pracują nad tym - rzekł Curtis. - Jeśli się okaże, że wydzwaniał do radia, to umarł w butach. Czy pani Armstrong rozpoznała jego głos na twoich kasetach? - spytał znów Paris.

- Obiecała je jeszcze raz przesłuchać, ale, moim zdaniem, nie będzie wiarygodnym świadkiem. Jest na skraju załamania. Kiedy powiedziałam jej o Janey, zupełnie się rozkleiła. To był wybuch emocji, które powstrzymywała od wielu dni.

- Rozpoznałabyś dzisiaj Brada Armstronga?

- Nie sądzę. - Paris pokręciła głową. - To się zdarzyło dawno temu. Widziałam go tylko raz w życiu, a poza tym byłam odurzona znieczuleniem.

- Pokazać ci zdjęcie? - Rondeau znów się wyrwał, nim Malloy zdążył coś powiedzieć.

- Możesz.

Rondeau wyciągnął CD, które przyniosła Toni Armstrong.

- Brad Armstrong skanował pornograficzne zdjęcia i nagrywał je na CD. O dziwo, ta płyta zawiera zdjęcia rodzinne. Przyniosłem ją, żeby zwrócić pani Armstrong, ale jeszcze może się przydać. Odświeżysz sobie pamięć, Paris.

- Fakt, możemy obejrzeć - zgodził się Curtis.

Włączył komputer i odstąpił swoje krzesło Rondeau. Policjant czuł bliskość Paris, która nachyliła się nad ekranem. Zwęszył delikatny zapach szamponu albo mydła. Nacisnął kilka klawiszy i po sekundzie na ekranie pojawiło się zdjęcie. Rodzinna czwórka stała na tle jakiegoś obiektu w parku rozrywki. Ze swoimi amerykańskimi pokazowymi uśmiechami, w patriotycznych amerykańskich podkoszulkach, uosabiali „amerykańskie marzenie”.

- Poznajesz? - Rondeau odwrócił się do Paris.

- Prawdę mówiąc, nie - odparła po dłuższej chwili wpatrywania się w zdjęcie. - Gdybym go zobaczyła na ulicy, z pewnością nie skojarzyłabym go z facetem, który mnie dotykał. Minęło zbyt wiele lat.

- Jesteś pewna, że nie widziałaś go gdzieś ostatnio? - spytał Malloy. - Jeśli rzeczywiście nienawidzi cię tak bardzo, jak mówiła jego żona, to mógł cię śledzić.

- Nawet jeśli widziałam, to nie zapamiętałam.

- Ciekawe, kto im strzelił tę fotkę - powiedział w zamyśleniu Curtis.

- Zapewne on sam. Facet, który umie posługiwać się skanerem i produkuje fotoalbumy... - rzekł Rondeau, a Curtis wpadł mu w słowo:

- Musi się znać na fotografowaniu. - Spojrzał na Gavina. - Janey mówiła ci, że to ten nowy znajomy zrobił jej fotografię, tak?

Chłopak, na którego zwróciły się oczy wszystkich zebranych, pobladł jak kreda, a kolano zaczęło mu podskakiwać w niekontrolowanym tiku.

- Tak, proszę pana. Kiedy mi dawała to zdjęcie, powiedziała, że zrobił ich dużo więcej. Mówiła, że to go kręci tak samo jak seks.

- W domu Armstronga nie znalazłem żadnego specjalistycznego sprzętu - oświadczył Rondeau. - A jednak musiał mieć statyw i aparat, skoro sam robił te rodzinne zdjęcia. Niektóre nawet aparatem szerokokątnym lub teleobiektywem.

- Czy w laboratorium znaleźli coś na tym zdjęciu, które Janey dała Gavinowi? - zapytał Malloy.

- Niestety. - Curtis pokręcił głową. - Są tylko odciski Janey i Gavina.

- Sierżancie? - W drzwiach pojawiła się głowa Griggsa.

- Już idę.
- A co ze sklepami specjalistycznymi? - odpowiedział Malloy.
- W badaniu - odrzekł Curtis. - Sprawdzenie wszystkich klientów wymaga czasu.
- Nie sądziłem, że aż tylu amatorów ma własne ciemnie.
- Chodzi o zamówienia wysyłkowe, składane bezpośrednio i przez Internet. Kupa roboty.
- To pilne, sierżancie - Griggs przerwał im po raz drugi.

Curtis jednak myślał teraz o czymś innym. Wyszedł do detektywów zgromadzonych za drzwiami biura. Nie wszyscy pracowali w wydziale zabójstw, ale poprosił o pomoc cały departament, więc przyszedł każdy, kto akurat miał czas.

- Sprawdzić, czy Brad Armstrong ma w domu ciemnię. Garaż, strych, warsztat, łazienkę dla gości. Byle szybko. - Po tych słowach jeden z funkcjonariuszy oderwał się od grupy i wybiegł w pośpiechu. - Potrzebuję natychmiast wykaz telefonicznych połączeń Armstronga. Sprawdźcie, dlaczego to się tak wlecze. - Kolejny policjant wybiegł, by wypełnić polecenie. - I zdobądźcie mi jego zdjęcie. Tylko jego, bez rodziny. Dajcie to do telewizji, niech ogłoszą komunikat o poszukiwanym w pierwszym wydaniu wieczornych dzienników. Niech powiedzą, że poszukujemy go w celu przesłuchania. Przesłuchania, jasne? - zwrócił się do detektywa, któremu Rondeau usłudnie podał płytę CD wyjętą z komputera. - I rozprowadzić zdjęcie wśród oficerów, którzy sprawdzają sklepy foto - wrzasnął Curtis ponad przepierzeniem. - Prześlijcie je faksem do wszystkich jednostek, które pomagają w poszukiwaniach. Gdy skończył wydawać rozkazy, odezwał się Rondeau:

- Przykro mi, sir, że wcześniej na to nie wpadłem.

- Nie szkodzi, chłopcze. Gdyby nie ty, nikt by nie zgadł, że Armstrong ma takie hobby. Najlepszym źródłem informacji jest jego żona. - Zwrócił się do Paris. - Jesteś pewna, że ona chce z nami współpracować?

- Na sto procent. Czy Armstrong jest, czy nie jest Valentinem, ona chce, żeby się znalazł, i zrobi wszystko, by nam w tym pomóc.

Curtis kiwnął głową w stronę policjantki w cywilu.

- Wypytaj panią Armstrong, kto w rodzinie robił zdjęcia. Niech to będzie zwykła rozmowa, nie przesłuchanie.

Korzystając z zamieszania, Rondeau mrugnął do Gavina. Chłopak bezgłośnie powiedział „pierdol się”, a policjant tylko się uśmiechnął.

- Sierżancie? - Griggs nie dawał za wygraną. - Mogę na słówko? Curtis wreszcie poświęcił mu trochę uwagi.

- Co jest, na Boga Ojca? - warknął.

- Mam tu kogoś, kto chce z panem rozmawiać - wyrzucił z siebie pośpiesznie Griggs. - I z panią Gibson.

- Co to za ktoś?

Griggs w milczeniu kiwnął głową. Curtis i Paris zobaczyli przez drzwi, na końcu korytarza, sylwetkę człowieka skutego kajdankami w eskorcie dwóch mundurowych.

Marvin! - wykrzyknęła Paris.

Lancy Ray Fisher tkwił przy stole w jednym z pokoi do przesłuchań. Paris usiadła naprzeciwko, a Curtis i Malloy stali, każdy w innym rogu. Chociaż teraz zajmowali się poszukiwaniem Brada Armstronga, Marvin Pattersen nadal pozostawał cenną zdobyczą.

Sam zgłosił się do dyżurnego na komendzie, podając swoje nazwisko. Natychmiast go rozpoznano

i dla bezpieczeństwa skuto, po czym przewieziono windą na drugie piętro. Nie stawiał oporu. Kiedy jednak wchodził z Paris w kontakt wzrokowy, zaraz opuszczał głowę, jakby czuł się winny. Paris była zdumiona jego schludnym, miłym wyglądem. Wystarczyło, że pozbył się złachanego roboczego kombinezonu i starej bejsbolówki, a wyglądał jak człowiek. Paris nigdy przedtem nie widziała jego twarzy w dziennym świetle. Ani on jej. Może stąd jego ukradkowe spojrzenia, które nie musiały być oznaką winy, lecz zwykłej ciekawości.

- Czy mam wezwać adwokata? - spytał Lancy.

- A skąd ja mogę wiedzieć? - odparował zimno detektyw. - To ty prosisz o spotkanie i nalegałeś, żeby była przy tym Paris. Sam powinieneś wiedzieć, czy potrzebny ci adwokat.

- Niepotrzebny. Klnę się na Boga, że nie mam nic wspólnego z porwaniem i zamordowaniem tej dziewczyny.

- O nic podobnego cię nie oskarżyliśmy.

- To czemu ci goście na dole mnie zakuli i wepchnęli do windy? - Pokazał ręce w kajdankach.

- Myślałem, że jesteś do tego przyzwyczajony, Lancy. - Curtis nie dał się zbić z tropu. - Często miałeś do czynienia z bransoletkami.

Chłopak opadł na krzesło. Co prawda, to prawda.

- Marvin - odezwała się do niego Paris - w twoim mieszkaniu znaleziono taśmy z nagraniami mojej audycji. Mnóstwo taśm. Chciałabym się dowiedzieć, po co ci były potrzebne.

- Mam na imię Lancy.

- Przepraszam, Lancy. Po co trzymałeś te taśmy?

- Wydawało nam się, że masz obsesję na temat Paris - wtrącił Dean.

- Przysięgam, że nie jest tak, jak pan myśli.

- A skąd wiesz, co ja myślę?

- Myśli pan, że jestem zboczony. A to nie tak. Ja się jej ... uczyłem. - Lancy po kolei spojrzał w trzy osłupiałe twarze. - Bo ja... Ja chciałbym mówić tak jak ona. Chciałbym robić to samo, co ona. Pracować w radiu.

Gdyby ich poinformował, że od jutra zostaje nawigatorem łodzi podwodnej, zaskoczenie nie byłoby większe. Pierwsza otrząsnęła się Paris.

- Chciałbyś prowadzić audycje w radiu?

- Pewnie myślisz, że zwariowałem, bo byłem notowany i w ogóle.

- Wcale tak nie myślę, po prostu jestem zaskoczona. Kiedy się na to zdecydowałeś?

- Parę lat temu. Kiedy wyszedłem z Huntsville i zacząłem słuchać twoich audycji.

- Dlaczego wybrałeś Paris, a nie innego prowadzącego?

- Bo spodobało mi się, jak ona rozmawia z ludźmi. - Lancy odpowiedział na pytanie Deana, a potem znów spojrzał na Paris. - Wydawało mi się, że tobie naprawdę zależy na tych ludziach, którzy dzwonią, że rozumiesz ich problemy. Sam miałem trudny okres - dodał speszony. - Musiałem na nowo uczyć się życia na wolności. Ty byłaś moim jedynym przyjacielem.

Curtis patrzył na niego z niedowierzaniem. Dean też się marszczył, ale Paris obdarzyła mężczyznę uśmiechem zachęcającym do dalszych zwierzeń.

- Pewnej nocy zadzwonił jeden facet i powiedział, że wyrzucili go z roboty i nie może znaleźć następnej. A ty mu powiedziałaś, że to przez brak wiary w siebie. I że trzeba sięgać coraz wyżej i patrzeć coraz dalej. Wziąłem tę radę do siebie.

Przestałem szukać byle jakiej roboty i wysłałem podanie do dużej firmy telefonicznej. Przyjęli

mnie. Dobrze zarabiałem, stać mnie było na lekcje poprawnej wymowy, na dobre ubrania i fajny samochód. Ale chciwość zwyciężyła. Połazczyłem się na sprzęt, który mogłem szybko opylić. Złapali mnie. Wszystko oddałem, więc nie wnieśli oskarżenia, ale wylali mnie z pracy. Lancy zamilkł, rozpamiętując swój fałszywy krok. Paris spojrzała na Deana. Uniósł ramiona, dając jej do zrozumienia, że Lancy może mówić prawdę, ale równie dobrze może ich nabierać.

- Parę tygodni byłem bezrobotny - ciągnął swą opowieść Lancy. - Nie mogłem uwierzyć własnemu szczęściu, kiedy zobaczyłem w gazecie ogłoszenie, że stacja, w której Paris pracuje, poszukuje pracownika. Było mi obojętne, że mam tu czyścić kible... przepraszam, toalety. Chciałem pracować w radiu, obojętne, w jakim charakterze. To był sposób, żeby cię podglądać. Patrzeć, jak się przygotowujesz do pracy, podejrzeć, jak obsługujesz sprzęt. W domu nastawiałem magnetofon i nagrywałem wszystkie nocne audycje. W ciągu dnia puszczałem je sobie i usiłowałem naśladować twój sposób mówienia. Ćwiczyłem dykcję i tempo wypowiedzi, poza tym brałem lekcje dykcji, żeby pozbyć się akcentu. - Uśmiechnął się. - Sama słyszysz, że muszę jeszcze popracować. Wiem, że nigdy nie osiągnę takiego mistrzostwa, choćbym wylazł ze skóry. Ale chcę spróbować, chcę być dobry. Chciałbym... Muszę... Cholera, jak się to nazywa?

- Zainwestować w siebie? - podpowiedziała Paris.

- Właśnie. - Oczy mu się zaświeciły. - Dlatego używałem pseudonimu. Prawdziwe nazwisko od razu zdradza, skąd jestem.

Curtis rzucił na stół jakieś papiery. Lancy zobaczył, że to jego więzienne akta, i mrugnął.

- Sam dobrze wiem, że to nie wygląda najlepiej, ale klnę się na Boga, że już do tego nie wrócę.

- To długa lista, Lancy. Nawróciłeś się w tym pudle w Huntsville, czy co?

- Nie, proszę pana. Po prostu nie chcę dalej żyć jak śmieć.

Curtis burknął coś pod nosem, nadal nieprzekonany. Lancy popatrzył na nich wszystkich i wyczuł, że wciąż odnoszą się do niego sceptycznie. Obliznął wargi i wyrzucił z siebie desperackie wyznanie:

- Ja nigdy w życiu nie mógłbym skrzywdzić Paris. Uwielbiam ją. To nie ja wykonywałem te telefony z pogrozkami. I nic nie wiem o martwej dziewczynie.

Curtis przysiadł na brzegu stołu i spytał fałszywie przyjacielskim tonem:

- Chyba lubisz młode uczennice, Lancy?

- Nie rozumiem.

- Rzuciłeś szkołę, kiedy miałeś szesnaście lat.

- W więzieniu zdałem maturę.

- Ale nie znalazłeś uroków życia w starszych klasach szkoły średniej. Być może teraz starasz się to nadrobić.

- Chodzi o dziewczyny? - Tak.

- Nie podrywam takich dziewczyn i nie pieprzę się z nieletnimi - zaprotestował gwałtownie. - Nie jestem ideałem, ale to nie w moim stylu.

- Ale kobiety lubisz?

- Pyta pan, czy wolę baby od chłopów? No pewnie.

- Jesteś przystojny. Masz niezłe ciało. W więzieniu musiałeś czuć się bardzo samotnie.

Lancy mimowolnie spojrzął na Paris, a potem opuścił głowę i wymamrotał:

- Dali mi spokój, kiedy... Kiedy dziabnąłem jednego widelcem w jaja. Dołożyli mi za to rok do wyroku, ale pedały już się mnie nie czepiały.

Paris współczuła mu. Miała nadzieję, że Curtis wreszcie trochę odpuści. Bała się sama o to

prosić, bo wyrzuciłby ją za drzwi, a bardzo chciała pozostać do końca przesłuchania.

- Rozmawiałem wczoraj z twoją matką - powiedział Curtis.

- Stare krówsko. - Lancy podniósł głowę i popatrzył detektywowi prosto w oczy.

- Ha! Słyszał pan to, doktorze Malloy? Czy to aby nie wskazuje na zapiekłą nienawiść do kobiet?

To kompleks, który...

- Nie cierpię swojej matki - powiedział dobitnie Lancy - co nie ma nic do rzeczy, jeśli chodzi o moje seksualne preferencje. Pan by ją kochał, gdyby to była pana matka?

- Masz dziewczynę? - Curtis godnie zniósł prowokację. - Nie.

- A chciałbyś mieć?

- Czasami.

- Czasami - powtórzył Curtis. - Co robisz, Lancy, kiedy spodoba ci się jakaś dziewczyna?

- Nie wiem, o co panu chodzi.

- Daj spokój, stary. - Curtis postukał palcem w teczkę z dokumentami. - Skazano cię za molestowanie.

- To nie był żaden gwałt.

- Wszyscy gwałciciele tak się tłumaczą.

- Ten facet, ten producent...

- Producent pornografii.

- Zgadza się. Nakręcaliśmy w jego garażu goły filmik dla dorosłych. Trzy „X”. Jego dziewczyna zaczęła się do mnie dowalać, a on się wściekł. Wszystko było w porządku, póki była włączona kamera. Ale nie po godzinach. Więc doszło między nami do rozmowy...

- Rozkwaśliłeś mu gębę i nie tylko.

- To była samoobrona.

- Szkoda, że sąd w to nie uwierzył, bo ja też nie wierzę - powiedział Curtis. - A kiedy skończyłeś z facetem, zabrałeś się do dziewczyny.

- To nieprawda! - Lancy zaprzeczył tak instynktownie, że Paris od razu mu uwierzyła. - To była jego robota. On ją załatwił na cacy. - Stuknął w papiery. - Wszystko, o co mnie oskarżono, zrobił on.

- Pobrano twoje DNA.

- Bo wcześniej się z nią kochałem, tego samego dnia. On nas przyłapał i wtedy zaczęła się rozróżba.

- Dwaj kamerzyści zeznali pod przysięgą, że to on mówi prawdę. Dziewczyna też.

- To śmiecie. Narkomani. Dawał im towar, a ja nie miałem im nic do zaoferowania.

- Dlaczego mielibyśmy teraz uwierzyć tobie, Lancy? - zapytał Dean.

- Bo odpowiadam za wszystkie moje grzechy. Robiłem okropne rzeczy, ale nigdy w życiu nie uderzyłem kobiety.

- Dlaczego uciekłeś, kiedy usłyszałeś, że policja chce cię przesłuchać? - Paris pochyliła się ku niemu nad stołem. - Dlaczego nie powiedziałaś im od razu tego wszystkiego, co nam teraz mówisz?

Lancy zapadł się w krzesło i potarł skutymi rękami spocone czoło.

- Spłoszyłem się. Jestem byłym przestępcą. Automatycznie podejrzanym. Poza tym, wiedziałem, że kiedy znajdą nagrania twoich audycji, od razu mnie zapuszczają.

- To dlaczego nie zabrałeś taśm?

- Bo jestem głupi. - Uśmiechnął się wstydliwie. - Spanikowałem i dlatego od razu spieprzałem, gdzie mnie oczy poniosą. Zapomniałem o nagraniach. Może już nie mam instynktu przestępcy.

Straciłem go, a szkoda.

Miał mnóstwo wdzięku i Paris bez zastrzeżeń kupiła jego wersję. Ale Curtis nie dał się tak łatwo oczarować.

Gdybyś nam to wszystko powiedział przedwczoraj, łatwiej byłoby nam uwierzyć. Lancy popatrzył na Paris z powagą.

Mówię szczerą prawdę. Nic nie wiem o tym całym Valentinie ani telefonach.

Nic nie wiem o Janey Kemp poza tym, co słyszałem w wiadomościach. Moją jedyną winą jest to, że chciałem być taki jak ty.

Pracowałeś u nas od kilku miesięcy, a nigdy mnie nawet nie zagadnąłeś - powiedziała łagodnie. - Dlaczego nie zwierzyłeś mi się ze swoich planów?

Nie spytałeś o radę, nie zwróciłeś się po pomoc.

Żartujesz sobie! - wykrzyknął. - Przecież jesteś gwiazdą, a ja facetem, który lata po korytarzu z wiadrem i mopem. Nie starczyłoby mi śmiałości, żeby cię zaczepić. Na pewno byś mnie wyśmiała.

Nigdy nikogo nie wyśmiewam. Popatrzył jej w oczy, jak zwykle zakryte czarnymi szklami.

Teraz wiem, że nie.

Gdzie się podziewałeś przez ten cały czas? - zapytał Curtis. - Do matki ani do mieszkania nie wróciłeś.

Mam taką... Wy to nazywacie...

Dziupła - podrzucił Curtis.

Tak jest - spłoszył się. - Dam panu adres. Proszę ją przeszukać.

O nas się nie martw. - Curtis wyciągnął rękę i podniósł Lancy'ego z krzesła. -

A na razie zostaniesz tu z nami, chłopcze.

Rozdział 30

Lokalny bar był doskonałym miejscem połowu. Usytuowany na samym brzegu jeziora przyciągał rybaków, ale omijali go turyści i snobistyczni gracze w golfa. Stałą klientelę stanowili robotnicy budowlani, kowboje i rowerzyści. Urzędnicy z klasy średniej czuliby się tu nie na miejscu, więc Brad Armstrong mógł być prawie pewien, że nie spotka tu nikogo ze znajomych.

Wchodząc do ciemnego pomieszczenia, rozgniatą stopami łupiny po fistaszkach. Bar oświetlały jedynie neony w kształcie gwiazdzistych flag i reklamy piwa. Zakurzone lampy przy stołach bilardowych dawały trochę światła, tłumionego przez kłęby papierosowego dymu. Szafa grająca pulsowała tęczowym blaskiem, lecz muzyka, która dobywała się ze środka, była prymitywną rąbanką, złożoną ze starego country i przechodzonego popu.

Klienci pili piwo z gwinta, a do whisky i tequili nie dolewali wody. Takim właśnie niewykwintnym trunkiem raczyła się dziewczyna, którą Brad dostrzegł przy barze. Natychmiast ją rozpoznał. Fakt, że znalazła się właśnie w tym miejscu i o tej porze, był dla niego znakiem z nieba. Z pewnością nie robił niczego złego.

Zauważywszy dwie puste szklaneczki na barze, zamówił dwie następne.

- Jedną dla mnie, drugą dla damy z kolczykiem.

- Skąd pan wie... - Odwróciła głowę. - Och, cześć. Spotkaliśmy się parę dni temu, tak?

- Miło, że mnie zapamiętałaś. - Wyszczерzył zęby.

- Facecik z pornosikami.

- Miałem nadzieję... - Brad zrobił minę pokrzywdzonego niewiniątka - ...że zapamiętałaś mnie z innych powodów...

- To też. - Dziewczyna z uśmiechem oblizwała górną wargę.

- Nie spodziewałbym się ciebie w takim lokalu. Masz o wiele lepszą klasę.

- Czasem tu przyjeżdżam. - Rozgryzła zębami łupinę fistaszka i ze smakiem zjadła orzeszka. - Na rozgrzewkę przed Sex Clubem. - Rzuciła łuski na podłogę i otrzepała dłonie. - Ty też tu nie pasujesz.

- Może to nasze przeznaczenie.

- Może. W każdym razie fajnie się złożyło. - Makijaż sprawiał, że wyglądała na dość dorosłą, żeby zamówić drinka. Zresztą barman patrzył na to przez palce i nie dbał, czy obsługuje nieletnich, czy pełnoletnich. Podał zamówione szklaneczki z tequilą.

- Za co wypijemy? Dziewczyna wzniosła wielkie, obwiedzione czarno oczy do sufitu, jakby odpowiedź była wypisana na plastikowym, szarym od dymu stropie.

- Może za kolczykowanie?

- O tym samym pomyślałem - szepnął jej wprost do ucha. Stuknęli się szklankami i wypili do dna palący trunek.

Jakie to proste, pomyślał. Czy w dzisiejszych czasach matki już nie przestrzegają córek, żeby nie rozmawiały z nieznajomymi? Nie mówią im, że nie należy się zadawać z obcymi mężczyznami? Ciekawe, dokąd zmierza ten świat. Brad przez moment zaniepokoił się o los własnych córeczek, ale

odrzucał myśl o rodzinie, bo psuła mu nastrój. Zamówił następną kolejkę.

Potem postanowili opuścić lokal. Brad uśmiechnął się, mijając stoły bilardowe. Zwykle zazdrościł tym wszystkim napakowanym, wytatuowanym facetom z nożami przytroczonymi do grubych skórzanych pasów. A tymczasem to on zaliczył podryw, nie oni. Może dlatego, że codziennie mył sobie włosy.

- Nazywasz się Melissa, prawda? - spytał, otwierając drzwi samochodu. Błyszczące czerwone wargi dziewczyny rozciągnęły się w uśmiechu.

- Dokąd jedziemy?

- Mam pokój.

- Super.

Boże, jakie to proste. Dla bezpieczeństwa nie powinien tego wieczora ruszać na polowanie, ale musiał opuścić swoją kryjówkę, inaczej by zwariował. Przecież nie mógł wrócić do domu. Toni dzwoniła na jego komórkę co kwadrans przez cały dzień i błagała, żeby wrócił. Mówiła, że policja chce go tylko przesłuchać. Jasne, pomyślał. Chcą mnie przesłuchać, gdy już będę za kratkami.

Nie odbierał telefonów i sam nie dzwonił w obawie, że zlokalizują go przez satelitę. Odnalezienie ciała Janey nie wróżyło mu niczego dobrego. W wiadomościach podano, że policja przeprowadza sekcję. Dostał od tego małego rozumu. Gdyby tylko mógł, rozszarpałby żonę na kawałki i usmażył na wolnym ogniu za to, że nie stara się go zrozumieć. Z Janey zrobiłby to samo, bo była rozpalającą facetów dziwką, której nie potrafił się oprzeć. Ukaraliby także własną matkę, która spuszczała mu baty za to, że się onanizował, jak był mały. Prawdę mówiąc, nie pamiętał nic takiego. Ale kiedy psycholog na terapii zapytał, czy był w podobny sposób karany, odparł, że tak. Miał wrażenie, że jest to oczekiwane i akceptowane wyjaśnienie jego uzależnienia od seksu.

Wiadomości, od początku złe, teraz stały się beznadziejne. Gdy wymieniono w nich jego nazwisko, zaczął się potwornie bać. Próbował rozładować napięcie, oglądając swoje świerszczyki, ale znał je już na pamięć i szybko zaczęły go nudzić. Był bardzo podniecony, musiał się uwolnić od napięcia. Nic dziwnego, po tym, co ostatnio przeżył. To powinno być jasne dla każdego. A skoro wybawienie samo nie przyjdzie, musiał go poszukać.

I znalazł. - Masz dzisiaj inny samochód - zauważyła Melissa i zaczęła szukać stacji nadającej rap.

Zmienił auto w obawie przed policją. Zadzwoił do wypożyczalni, gdzie dokonywano transakcji bez nadmiernej ilości dokumentów, za gotówkę z rączki do rączki, i poprosił o dostarczenie auta. Właśnie takich partnerów teraz potrzebował. Nie oferowali luksusów, ale przynajmniej każdy z ich wozów miał klimatyzację. Oczekując na dostawę, wykapał się i ubrał, skropił aramisem i włożył do kieszeni paczkę z prezerwatywami.

Tak jak podejrzewał, facet, który przyprowadził mu samochód, wyglądał niczym złodziejasek ze stacji benzynowej. Brad pomachał mu przed nosem prawem jazdy i wypełnił formularz, wpisując fałszywe dane. Odliczył sumę wymaganą jako depozyt i dołożył dychę napiwku. Typek nie bardzo mówił po angielsku i nie wydawał się zainteresowany, którego dnia Brad zwróci dziesięcioletniego rzęcha do wypożyczalni.

- Czy myśmy się wcześniej nie spotkali? - spytała Melissa. - Oprócz ostatniego razu? Chyba cię już widziałam.

- Może jestem gwiazdorem.

- Na pewno - zachichotała. Postanowił szybko zmienić temat.

- Jak ty to robisz, że tak super wyglądasz?

- Tak uważasz?

W istocie była wymalowana jak kurwa. Farbowane włosy sterczały na wszystkie strony, nastroszone dużo bardziej niż pierwszego wieczoru. Kiedy wyszli z baru, jej makijaż wyglądał jeszcze bardziej upiornie. Top, z jakiegoś śliskiego syntetyku, uwydatniał obrączkę zwisającą z sutka. Spódnica była krótsza i mniejsza od średniej chustki do nosa.

Krótko mówiąc, sama się prosiła o kłopoty. Powinna być mu wdzięczna za to, że zabrał ją sprzed oczu tych mięśniaków z baru. Przeniósł wzrok na własny rozporek.

- Widzisz, jak na mnie działasz?

Dziewczyna fachowym spojrzeniem obrzuciła wypukłość w kroczu.

- To wszystko, na co cię stać? - spytała i oparła się o drzwi od strony pasażera. Machinalnie bawiła się kolczykiem na piersi. Wiedziała, jak się zabierać do roboty. Jego erekcja widocznie się powiększyła.

- Nie mogę się na ciebie gapić i prowadzić. Pokręciła zalotnie srebrnym kółkiem.

- Dobijasz mnie, wiesz?

- Przynajmniej umrzesz szczęśliwy.

Sięgnął dłonią pod jej spódnicę, wyczuł kawałek jedwabiu i ominął go z wprawą, zapuszczając się głębiej.

- Hmm, tak dobrze. - Melissa przyknęła oczy. - Nie spiesz się i nie przestawaj, aż dojdę.

Gavin czekał przed CBS, póki nie wyszli z niego Dean, Paris i Curtis. Całą jego nadzieją był teraz Lancy Fisher. Podskoczył na równe nogi.

- On to zrobił?

- Nie wiemy - odparł ojciec. - Sierżant Curtis zatrzymał go w areszcie do dalszych przesłuchań.

- Jeśli to wam nie przeszkadza - odezwała się Paris, spoglądając na zegarek - to wpadnę jeszcze do domu przed audycją. Rano strasznie się spieszyłam.

- Podwiozę cię, a po drodze odstawimy Gavina - zaoferował się Dean. - Jakby co, Curtis, to jestem pod komórką.

- Zadzwoń w razie czego. Na razie zajmę się Lancyem Rayem.

- Ja osobiście nie wierzę, żeby to on był Valentinem - powiedziała Paris. Detektyw kiwnął głową. Gavinowi wydał się bardzo zmęczony. Na jego różowych policzkach pojawił się jasny zarost.

- Dalej obstawiam Brada Armstronga - odparł - ale muszę jeszcze pomaglować Lancy'ego. Będziemy w kontakcie.

Skierowali się do windy, gdy Gavin usłyszał, jak detektyw wypowiada jego imię. Czego on jeszcze chce, pomyślał chłopak, a głośno powiedział:

- Słucham?

- Wybacz, chłopcze, że rano ty też musiałeś przejść przez magiel. Dobrze wiem, że to nic fajnego.

- W porządku - odpowiedział, co nie było prawdą. Cała sytuacja była cholernie nie w porządku. Nienawidził być oskarżany o nie swoje winy. - Mam nadzieję, że znajdzie pan tego, kto załatwił Janey. Powinienem od razu się przyznać, że tamtego wieczoru byliśmy razem w jej samochodzie, ale bałem się, że pan pomyśli to, co i tak pan pomyślał. Uważam, że zabójca spotkał się z nią, gdy się mnie pozbyła.

- Ja też tak uważam. Jesteś całkowicie pewny, że nic więcej nie mówiła na temat mężczyzny, z którym zamierzała się spotkać? Jakies imię? Zawód?

- Jestem pewny.

- No cóż, dzięki - powiedział Curtis. - Dziękuję ci za współpracę.

Ojciec pchnął chłopaka do windy i odjechali. W drodze do domu Gavin siedział na tylnym siedzeniu. Nikomu nie chciało się rozmawiać, trójka pasażerów siedziała zatopiona we własnych myślach. Przed domem stał policyjny patrol z dwoma funkcjonariuszami. Gavin jęknął. Jak na jeden dzień, miał dosyć glin. Z wyjątkiem ojca wolałby ich w ogóle nie widzieć. Nigdy.

- Nie potrzebuję opieki, tato. Chyba, że to areszt domowy?

- To też, ale policja po prostu ma cię chronić. Patrol będzie tu stał, póki nie złapiemy Valentina.

- Ale przecież on chyba...

- Nie kuś losu, Gavinie. Poza tym przysłał ich tu Curtis.

- Przecież mógłbyś ich odwołać.

- Mógłbym, ale nie chcę. Pasuje? - Gavin wiedział z doświadczenia, że kiedy Dean ma taki wyraz twarzy, dalsza dyskusja jest bezcelowa. Ponuro spuścił głowę, a wtedy ojciec wychylił się i położył mu rękę na ramieniu. - Byłem dziś z ciebie dumny, synu. Zachowałeś się bez zarzutu.

- Przepraszam, że się wtrącam, ale uważam dokładnie tak samo - dodała Paris.

- Dzięki.

- Dzwon, jakby się cokolwiek działo. Obiecuj.

- Obiecuję, tato. - Chłopak wyskoczył na podjazd. - Cześć, Paris.

- Cześć. Zobaczymy się niedługo, no nie?

- Już się cieszę.

Czekali, aż zniknie w drzwiach. Jeszcze popatrzył na nich. Pasowali do siebie, nie tak jak mama i tata. Miał nadzieję, że coś z tego będzie. Pomachał im na pożegnanie, po czym zablokował drzwi łańcuchem. Stał się swoim własnym więźniem.

Dam pensa za twoje myśli.

A o czym to ja myślałam? - Paris się ocknęła. - Ach, o Toni Armstrong.

Spodobała mi się. I bardzo jej współczuję.

Ja też. Dzielna kobieta.

I kocha męża, naprawdę. W obecnych okolicznościach to musi być dla niej bardzo trudne. A tak dla porządku, z klinicznego punktu widzenia, to, kim jest osoba uzależniona od seksu?

Sprytne pytanie.

Pan chyba zna odpowiedź, doktorze Malloy.

Dobra, powiem ci. Jeśli facetowi staje dwanaście razy na dzień, to mogę mu tylko pogratulować i życzyć, by mu stawał trzynasty raz. Ale jeśli sam doprowadza do tego tuzin razy na dzień, uważa się to za przypadek chorobowy i kieruje na leczenie.

Żarty sobie stroisz.

Trochę tak, a trochę nie. - Dean spoważniał. - Seks to takie samo uzależnienie jak wszystkie inne. Kiedy przymus doznawania podniecenia przekracza granice zdrowego rozsądku i zagraża komuś w sensie społecznym, rodzą się prawdziwe problemy. Uzależnienie niszczy więzi rodzinne i zawodowe, niszczy uczucia ludzkie. Kiedy człowiek myśli tylko o zaspokojeniu za wszelką cenę swoich pragnień, kiedy wszystko staje się podporządkowane temu jednemu celowi... - Dean spojrział na Paris, a ona skinieniem głowy dała mu znak, by mówił dalej. - To dokładnie tak samo jak z osobą, która z początku lubi sobie wypić i w końcu staje się alkoholikiem. Traci kontrolę nad swoim popędem. Co więcej, to popęd zaczyna dominować nad całym jej życiem.

- Czyli taki człowiek byłby zdolny poświęcić szczęście żony i dzieci, byle tylko zaspokoić swój

popęd.

- Owszem, choć to wcale nie znaczy, że Brad Armstrong nie kocha żony - dodał Dean. - Prawdopodobnie ją kocha.

Rozmyślając nad jego słowami, Paris popatrzyła na zachód słońca. Nawet ciemne okulary nie chroniły jej oczu przed jaskrawym czerwonym blaskiem. Zastanawiała się, co teraz robią sędzia Kemp i jego żona. Z pewnością nie zauważają takich cudów natury.

- Muszą wyprawić jej pogrzeb.

- Co mówiłaś? - spytał Dean.

- Tylko głośno myślałam. O Kempach.

- No tak - westchnął. - Wyobrażam sobie, co to znaczy stracić jedyne dziecko. Pocieszałem policjantów, których spotkały podobne przypadki, ale wszystkie słowa wydawały mi się zawsze bez sensu. Nie mogę sobie wyobrazić, by cokolwiek złego spotkało Gavina... - przerwał, nie chcąc werbalizować mrocznych wizji. - Chciałbym być dla niego dobrym ojcem, Paris.

- Wiem.

- Choćby ze względu na mojego ojca.

- O nim też wiem.

- Jak dużo Jack ci powiedział?

- Wystarczająco dużo.

Jack opowiadał jej o złych stosunkach Deana z ojcem. Starszy pan Malloy miał gwałtowny charakter, a jego syn padał tego ofiarą. Czasami dochodziło do szarpaniny.

- Czy ojciec cię bił, Dean?

- Owszem, zdarzało się.

- Nie chcesz powiedzieć wszystkiego. Wzruszył ramionami z pozorną obojętnością.

- Ja mógłbym to znieść, ale jak zaczął się zabierać do matki...

Według Jacka do ostatecznej rozprawy doszło, gdy Dean przyjechał do domu na weekend, a był wtedy na przedostatnim roku teksańskiej politechniki. Podczas przyjęcia w rodzinnym domu ojciec sprowokował kłótnię. Dean próbował pominąć to milczeniem, ale ojciec stał się agresywny i nie dawał mu spokoju. Gdy matka próbowała interweniować, gniew ojca zwrócił się ku niej. Zaczął ją wyzywać od najgorszych, nie bacząc na obecność przyjaciół syna i ich rodziców. Dean ujął się za nią, a ojciec wziął się do bitki. Skończyło się na tym, że zamroczony wściekłością Dean o mało go nie udusił. W każdym razie, jak to ujął Jack, porządnie dał mu popalić. Takie stosunki panowały między nimi już do końca, aż do śmierci ojca.

- Nie wiem, co we mnie wtedy wstąpiło - powiedział Dean. - Nigdy przedtem nie zachowywałem się w ten sposób, potrafiłem zachować zimną krew. Gdyby Jack i inni nie odciągnęli mnie, mógłbym go zabić. Chciałem go zabić. Potem było mi okropnie wstyd ze względu na mamę, ale przynajmniej od tamtej pory mój stary zawsze dwa razy pomyślał, zanim się zaczął nad nią znęcać. W każdym razie w mojej obecności. - Dean popatrzył na Paris wzrokiem skrzywdzonego, wrażliwego chłopca. - Przeraziło mnie to wszystko, Paris. To było nie do opisania. Tamtego wieczoru czerwone płatki zaczęły mi latać przed oczami i zupełnie przestałem myśleć. Ojciec zawsze się tak zachowywał, ale ja nie zdawałem sobie sprawy, że mogę być taki sam jak on. Tymczasem wtedy wylazła ze mnie ta niekontrolowana wściekłość. Żyję w strachu, że to się może powtórzyć. Paris dotknęła jego ramienia.

- To on cię sprowokował, Dean. Zrobił to specjalnie. Zareagowałaś zupełnie naturalnie. To wcale nie znaczy, że masz w sobie agresję, która może wybuchnąć z byle powodu. Nie jesteś taki jak

twój ojciec, Dean - podkreśliła z naciskiem. - Nigdy nie byłeś i nie będziesz do niego podobny.

A jeśli chodzi o Gavina, to masz prawo się na niego złościć. Dzieci już takie są, że lubią prowokować rodziców. To prawo wieku. Z kolei rodzic, czyli ty, ma święte prawo się na to nie godzić. Powiem więcej, Gavin w ten sposób sprawdza, czy cię naprawdę obchodzi. Gdybyś pozostawał obojętny, zwątpiłby, czy go kochasz. Twój gniew jest dla niego w tym wypadku miarą twojej miłości. I będzie nadal cię prowokować, żeby się stale o tym przekonywać. - Paris się zaśmiała. - Ha, i kto tu komu udziela rad. Przecież to ty jesteś psychologiem.

- Wszystko, co powiedziałaś, to święta prawda. Bardzo potrzebowałem takich słów.

- Jak długo zachowasz właściwą proporcję i będziesz go chwalił częściej, niż ochrzaniał, wszystko będzie OK. - Uśmiechnęła się ciepło.

Po chwili Dean odpowiedział mrugnięciem.

- Nie dość, że ładna, to jeszcze mądra. Niebezpieczna z ciebie sztuka, Paris.

- No pewnie. Zawsze marzyłam o karierze femme fatale.

- To dlatego spodobałaś się Lancy'emu Fisherowi. Jako kryminalista od razu wyczuł, że masz coś na sumieniu.

- Po prostu chciał mnie wygryźć z roboty.

- Tak tylko mówi.

- Myślisz, że kłamie?

- Nawet jeśli, świetnie mu to idzie. Ja mu wierzę. Albo mówi prawdę, albo to prawdziwy artycha w swoim fachu.

- Też mam takie wrażenie.

- Jak to jest, być dla ludzi idolem?

- Nie życzyłabym nikomu, żeby się na mnie wzorował - odpowiedziała ze smutnym uśmiechem.

W tym momencie zadzwonił telefon, który Dean natychmiast odebrał.

- Malloy... O wilku mowa. Nie, tylko Paris i ja właśnie o nim rozmawialiśmy. - Zakrył słuchawkę i bezgłośnie przeliterował: Curtis. Paris kiwnęła głową. - No to co z tym Lancym? - Słuchał przez chwilę, po czym powiedział: - Niezła myśl. Muszę kończyć. Bądź w kontakcie. - Rozłączył się i zwrócił do Paris. - Curtis mówi, że przemaglował go na wszystkie strony, ale chłopak obstaje przy swojej wersji. Ludzie, którzy przeszukiwali jego kryjówkę, są pewni, że poza nim nikt tam nie przebywał.

- Żadnych śladów po Janey?

- Żadnych. Nie było też ciemni. Najbardziej podejrzaną rzeczą był ostatni numer „Playboya”. W tej sytuacji Curtis wziął się na Armstronga. Zamierza uciąć sobie znowu pogawędkę od serca z Toni Armstrong.

- Biedactwo. Ma fatalną sytuację. Chce pomóc mężowi, a to oznacza, że musi na niego donosić policji.

- Zarobił sobie na to.

- Wiem, ale próbuję się wczuć w jej położenie. Kocha go i chce, żeby się poddał leczeniu, ale skoro on sam się przed tym broni, to jak dalece powinna być lojalna?

- Dobre pytanie, Paris.

Zbyt późno zdała sobie sprawę, że dylemat Toni Armstrong można by odnieść i do niej. Dean właśnie parkował przed jej domem. Zgasił silnik i już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, gdy wyrzuciła z siebie pierwsza:

- Jack mnie potrzebował.

- I ja ciebie potrzebuję.

- To dwie różne sprawy.

- Zgadza się. Z nim byłaś z poczucia obowiązku. Chciałbym, żebyś ze mną była z wyboru. -

Przytrzymał ją wzrokiem, po czym pierwszy wyskoczył z samochodu. Przystanęli koło skrzynki, z której Paris wyjęła zalegającą od dwóch dni korespondencję. Gdy byli już w środku, rzuciła ją na stolik w holu.

- O Boże, kiedy ja to wszystko uporządkuję... Na moim biurku w pracy jest jeszcze...

Nie zdołała powiedzieć nic więcej, bo Dean wziął ją w ramiona i pocałował. Zdjął jej okulary i odłożył na stolik. A potem przycisnął się do niej mocno całym ciałem. Objęła go i wbiła palce w naprężone mięśnie pleców. Nie odrywając ust od jej warg, Dean sięgnął pod spódnicę i zaczął pieścić nagie udo. Zrobiła się wilgotna, ale ostatek siłą przerwała pocałunek i wydyszała:

- Dean, mam tylko godzinę.

- To i tak rekordowo długo. Ostatnio nasze stosunki seksualne nie trwały dłużej niż trzy minuty. -

Zanurzył twarz w jej włosach. - Chciałbym zobaczyć cię nagą.

Zaśmiała się gardłowo i odrzuciła głowę.

- A co będzie, jak ci się nie spodobam?

- Nie ma takiej opcji.

Wepchnął obie dłonie pod gumkę od majtek i ujął mocno jej pośladki. Zamruczała z rozkoszy, ale głos rozsądku wciąż był silniejszy:

- A co będzie, jak zadzwoni Curtis?

- Nauczyłem się żyć w zagrożeniu. I to jeszcze jeden powód, byśmy się pospieszyli.

Złapał ją za rękę i zdecydowanym krokiem pociągnął w kierunku sypialni. Paris zaczęła chichotać jak nastolatka. Serce biło jej jak szalone. Czowała, że grzeszy, i było jej z tym bardzo, bardzo przyjemnie. Dean także się śmiał, mocując się z wyjątkowo upartym guzikiem przy jej bluzce.

- Cholerny ciuch.

Paris okazała się zręczniejsza. Koszula Deana została rozpięta w mgnieniu oka, a ona przywarła ustami poniżej lewego sutka, gdzie najlepiej słyszała bicie jego serca. On też uporał się z guzikiem, a potem zapięciem stanika. Nic już nie broniło dostępu do jej piersi, które zaczął pieścić długimi, silnymi palcami.

Spojrzeli sobie w oczy. Był podniecony i zachwycony tym, jak jej sutki zareagowały na jego dotyk. Pochylił głowę, przywierając do nich ustami. Paris tymczasem rozpięła mu pasek i suwak, po czym zjechała dłonią do podbrzusza. Poczwała gładki, naprężony i drgający kształt. Gdy dotknęła palcem żołądka, przeszedł go dreszcz.

- Przestań, Paris. - Odsunął się o krok. - Przestań, bo dojdę, zanim... Nie spieszymy się tak.

Strząsnęła z ramion stanik i sięgnęła do tyłu, żeby rozpiąć spódnicę, która luźno opadła na podłogę. Dean patrzył na nią rozjarzonym wzrokiem. Jednym ruchem pozbył się spodni i bokserów. Paris chłoneła ten widok ze szczerym uznaniem, ale gdy próbowała się zbliżyć, znów ją powstrzymał. Ukląkł i zaczął ją całować przez cienki jedwab majteczek. Objął dłońmi jej pupę i przyciągnął do twarzy. Gorący oddech, który czowała przez materiał, parzył skórę. Przy kolejnym pocałunku zmiękły jej nogi. Całował ją coraz gwałtowniej, aż musiała objąć się ramionami, by nie upaść.

Jedwab ustąpił, nic ich już nie dzieliło. Jego usta były ruchliwe i gorące, a już po chwili poczuła, jak giętki język penetruje coraz głębiej jej ciało. Bez reszty poddała się wszechogarniającej fali

rozkoszy, aż do ostatniego, kulminacyjnego momentu. Teraz ona go powstrzymała.

Podniósł się i zamknął ją w ramionach. Trwali w uścisku, pierś przy piersi. Czują na brzuchu jego członek.

Nie odrywając się od siebie, opadli na łóżko. Na jej dziewicze aż do tej chwili łóżko. Przejechała dłonią po jego ciele, aż do pępka, a potem tam, gdzie spośród włosów wyrastała męskość. Pogładziła palcami członek na całej długości. Położył dłoń na jej dłoni, kierując powolnymi ruchami w górę i w dół.

- O Boże - jęknął.

- Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę.

- Ja też nie. - Ucałował jej pierś, przesuwał językiem po sutku. - Boję się obudzić.

- Ja też chcę śnić dalej.

Rozsunął jej nogi i położył się między nimi, po czym zaczął w nią wchodzić, bardzo powoli, by jej ciało przywykało do niego stopniowo. Robił pauzy po to tylko, by wsunąć się głębiej, aż cały znalazł się w wilgotnym wnętrzu. Zatopieni w rozkoszy, poruszali się wolno, by ją przedłużyć aż do granic wytrzymałości. Ale gdy wysunął się, by zadać pierwsze pchnięcie, znalazła się w niebie.

Rozdział 31

Dean wytrząsał wodę z ucha, gdy zadzwonił telefon.

- Malloy.

- Curtis.

- Co jest grane?

- A co to za hałas?

- Pysznic. - Dean popatrzył na Paris, która splukiwała szampon z odrzuconą głową. Woda leciała po jej nagim ciele, rozpryskiwała się na piersiach i spływała do krocza. Wyglądała cudownie.

- Kąpiesz się?

- Pozazdrościłem tobie. Jesteś zawsze taki świeżutki. O co chodzi?

- Jeden z moich ludzi znowu rozmawiał z Lancy Rayem. Pamiętasz, jak Paris zapytała go, dlaczego się tak krył i nigdy nie próbował z nią rozmawiać?

- Bo się wstydził.

- To też, a poza tym... Powiedział, że nie chciał kłusować na terenie innego faceta.

- O kogo chodzi?

Paris spojrzała na Deana z niemym pytaniem. Podał jej ręcznik.

- O Staną Crenshawa.

Tylko taka rewelacja mogła odciągnąć Deana od dalszego podziwiania nagiej Paris.

- Co ty powiedziałeś?

- To, co słyszałeś. Lancy'emu się zdawało, że Paris i Stan są kochankami.

- Skąd takie przypuszczenie?

- Od Staną Crenshawa. - Dean w milczeniu zagapił się na ścianę. Po chwili zakrył mikrofon i nakazał Paris gestem, żeby się szybko ubrała. Zrozumiała go i wybiegła z łazienki. - Opowiedz mi wszystko - powiedział do Curtisa.

- Crenshaw ostrzegł Lancy'ego, żeby się do niej nie zbliżał. Nakładł mu w uszy, że to zalecenie dyrekcji stacji i tylko on jeden ma prawo bezpośrednio się z nią kontaktować. Ponieważ nosi te czarne okulary, nie należy jej niepokoić, bo denerwuje się, kiedy ktoś się jej przygląda. I że dla osobistych powodów chce pozostawać w cieniu. Lancy'emu zależało na tej pracy, więc unikał Paris i rzadko się do niej odzywał w obawie, że Crenshaw zrobi się zazdrosny i wywali go. Twierdzi, że Crenshaw był zazdrosny o każdego, kto się do niej zbliżał.

- Dlaczego Lancy od razu nam tego nie powiedział? - Dean jedną ręką usiłował wciągnąć spodnie.

- Zdawało mu się, że wszyscy wiedzą, że to jest para.

- O cholera. Ten Crenshaw od początku mi się nie podobał. Zachowywał się okropnie, kiedy pierwszy raz przyszedłem do radia. Wtedy wydawało mi się, że jest zwykłym gnojkiem.

- Bo pewnie jest gnojkiem.

- Może, a może nie tylko. Chcę, żebyście się nim zajęli, Curtis. Zbadajcie pod lupą jego dossier. Chcę wiedzieć o nim absolutnie wszystko i mam w dupie, kim jest jego stryjek i ile ma szmalu.

Rozumiem cię. Tym razem też mam chęć olać stryjka Wilkinsa. Dotrzemy prosto do archiwów w Atlancie, do biura prokuratora okręgowego, a jak będzie trzeba, to do samego gubernatora. Jedno, co dobre, że nam nie uciekł. Jest w radiu, jak zwykle. Griggs i Carson już tam chyba dojechali. My też zaraz będziemy. Powiedz swoim chłopcom, żeby mieli na niego oko. Sprawdziłeś jego rozmowy? Robi się. Kto to robi?

Rondeau zgłosił się na ochotnika.

Rondeau. - Dean wypluł to słowo z nieukrywanym wstrętem. Sprawdza rejestry komputerowe. Myślałem, że już to zrobił. Rozszerzyłem jego zadania.

Szkoda, że się lepiej nie postarał za pierwszym razem. Co masz do niego? Czuję, że coś iskrzy. To chujek.

O co ci chodzi? Masz zastrzeżenia do jego charakteru? Powiedzmy. Ale zostawmy to. Muszę lecieć.

Słuchaj, może Paris powinna dzisiaj odwołać audycję? Skupilibyśmy się na aktach Crenshawa.

Sam jej to powiedz. Jest zdecydowana. Poza tym, nie zamierzam jej spuścić z oka. Cześć. - Dean nie dal detektywowi szansy, by się odezwał. Wraz z Paris wybiegli szybko z domu. Gdy już siedzieli w samochodzie, spytała: Czy możesz mi powiedzieć, o co chodzi? Z tego, co się zorientowałam, chodziło o Staną.

Dean streścił jej rozmowę z Curtisem, w tym rewelacje Lancy'ego Fishera. Nie mogę w to uwierzyć. To nie żart. Pewnie, że nie żart. To jakiś obłąd.

Nie sądzę.

Dean - powiedziała z czułym uśmiechem - w świetle ostatnich wydarzeń, hmm... rozumiem, że jako rycerski mężczyzna możesz się mną przejmować.

Pochlebia mi to. Szkoda, że nie ma na horyzoncie smoka, którego mógłbyś dla mnie zabić. Ale czy nie szkoda ci energii na Staną, na Boga? To nie jest Valentino.

Nie wiadomo.

Ja wiem, że nie. To nędzny kutafonek, dokładnie tak, jak powiedziałaś.

Przykro mi tylko, że tak nastraszył Marviną, to znaczy Lancy'ego. I diabli wiedzą, kogo jeszcze. Ale nie ma dość mózgu ani wigoru, żeby postępować tak jak Valentino.

To się okaże - odparł, skręcając na parking.

Griggs i Carson pomachali im z wozu patrolowego, kiedy Paris otwierała drzwi. Jak każdego wieczoru, budynek był zatopiony w mroku, a biura i studia opustoszałe. Harry, wieczorny prezenter, powitał ich gestem przez szklaną szybę, gdy mijali jego studio. Dean, który już orientował się w układzie korytarzy, ruszył przodem przez ciemny hol.

W pokoju Paris zastali Staną. Siedział za biurkiem, z nogami na blacie, i beczelnie przeglądał jej korespondencję.

- Oto i Stan Crenshaw, człowiek, którego szukałem - powiedział Dean.

- Stan spuścił nogi, ale zanim dotknęły podłogi, Dean już szarpał go za koszulę, unosząc z krzesła.

- Ejże! - krzyknął Stan. - Co się tu wyrabia?

- Musimy porozmawiać, Stan.

- Dean. - Paris uspokajającym gestem dotknęła jego ramienia. Poluzował uścisk.

- Co za kłamstwa wygadywałaś o Paris?

Wyzwolony Stan wyprostował się i przyglądał gors koszuli. Ale równie dobrze mógł się wybierać z motyką na słońce, z czego od razu zdał sobie sprawę. Popatrzył na Paris.

- Do czego pije twój przyjaciel?

- Lancy powiedział, że ty mu mówiłeś...

- Jaki Lancy?

- Marvin Patterson.

- Nazywa się Lancy?

- Powiedziałeś mu, że sypiasz z Paris.

- Nie powiedziałem. - Stan przeniósł wzrok na Deana.

- A nie dawałeś mu do zrozumienia, że łączy was coś więcej niż praca? Nie straszyles go, zabraniając nawet się do niej odzywać?

- To tylko dla jej dobra - oświadczył Stan.

- Miałeś do tego prawo?

- Tak. Dobrze wiem, jak Paris chroni swoją prywatność. Nie lubi, gdy ją rozpraszają obcy ludzie, szczególnie przy pracy.

- Więc powiedziałeś mu, żeby się odpieprzył, bo Paris chroni swoją prywatność?

- Można to tak określić.

- Nie potrzebuję twojej pomocy przy selekcjonowaniu ludzi, z którymi chcę mieć do czynienia, Stan - powiedziała Paris. - Nie prosiłam cię o to i nie podoba mi się, że to robiłeś.

- Hej, nie obrażaj się na mnie. Robiłem to z przyjaźni.

- Jako przyjaciel, tak? - powtórzył Dean. - Nie wydaje mi się. Myślę, że chodził ci po głowie romans z Paris. Może nie teraz, ale marzyłeś, że tak będzie w przyszłości. Dlatego byłeś zazdrosny o każdego faceta, który się nią interesował, choćby całkowicie platonicznie.

- A skąd miałem wiedzieć, że Marvin się nią interesuje platonicznie?

- Sam to powiedział.

- A wy mu uwierzyliście? Jego słowo więcej znaczy niż moje? Słowo ciecia, który używa fałszywego nazwiska? - Stan prychnął. - To pan fantazjuje, doktorze.

Ruszył w stronę drzwi. Zatrzymał go głos Deana.

- Taki zaborczy stosunek do kobiet to niezwykle silna motywacja.

- Do czego? - obrócił się od drzwi.

- Na przykład do tego, żeby w paskudny sposób skompromitować Paris. Narazić na szwank jej dobre imię. Zagrozić utratą pracy. Albo utratą życia. Mam ciągnąć ten temat?

- Mówi pan o sprawie Valentina? - zapytał rozgniewanym głosem Stan. - Paris sama sobie ściągnęła kłopot na głowę.

- Rozumiem. Twoim zdaniem to jej wina, że Valentino porwał i zamordował siedemnastoletnią dziewczynę.

- Ta dziewczyna sama się o to prosiła.

Dean z udawanym spokojem przysiadł na rogu biurka.

- Generalnie źle myślisz o kobietach, co?

- Nie mówiłem tego.

- Nie dosłownie, ale czuje się, że masz o coś dużą pretensję do kobiet i że to tkwi w twojej podświadomości, Stan. Jak głęboko wbita drzazga. Drażni cię i boli, ale nie potrafisz się jej pozbyć.

- Ho, ho, ho! - Stan pomachał palcem przed nosem Deana. - Tylko nie próbuj pan ze mną tych

swoich psychologicznych sztuczek. Jestem zdrowy na umyśle.

Szczęka Deana zacisnęła się z gniewu, ale jego głos zachowywał pozory spokoju.

- Mam więc uwierzyć, że twoje związki z kobietami układają się szczęśliwie i bez problemów?

- A czy w ogóle na świecie są takie związki, szczęśliwe i bez problemów? Na przykład pańskie, doktorze Malloy? - odparował Stan i zmierzył się wzrokiem z Paris. - Ja myślę, że nie.

- Jesteś zupełnie innym człowiekiem niż Dean - wtrąciła Paris cichym głosem. - Każdy z was miał inne przeżycia.

Pozorna fanfaronada Staną gdzieś się ulotniła. W następnej sekundzie cały się trząśł.

- Powiedziałaś mu o moim oskarżeniu?

- O czym? - wpadł mu w słowo Dean.

- W poprzednim miejscu koleżanka z pracy oskarżyła Staną o napastowanie seksualne.

Dean rzucił jej spojrzenie pełne pretensji, że dotąd nie podzieliła się z nim tą informacją. Teraz i ona żałowała własnej dyskrecji. Powinna powiedzieć mu wszystko, także o rozwiązłych rodzicach Staną i jego dominującym stryju sadyście. Ale Dean znów zwrócił się do Staną.

- Widzę, że miałeś poważne problemy z kobietami, Stan.

- To była biurowa kurwa! - wrzasnął Stan. - Różnęła się z każdym, kto się nawinął. Robiła pod biurkiem laskę facetowi, który na antenie czytał wiadomości. To ona mnie sprowokowała, a kiedy wreszcie zareagowałem i nas przyłapali, udawała niewinną dziewczycę.

- Dlaczego?

- Bo była bardziej chciwa niż napalona. Wyczuła interes, jak położyć łapę na części szmalu mojej rodziny. Różnęła wykorzystaną cnotkę, więc mój stryj musiał jej zatkać gębę pieniędzmi.

Dean puścił to mimo uszu.

- Wróćmy do tego, w jaki sposób na nią „zareagowałeś”.

- Chwileczkę, dlaczego mam odpowiadać na takie pytania?

- Bo jestem policjantem.

- Bo sam się przespałeś z Paris.

- Jeśli nie odpowiesz na moje pytanie - oczy Deana zwęziły się niebezpiecznie - odstawię cię na komendę i będę trzymał w celi, póki nie zmięknie. Taka jest moja odpowiedź jako policjanta. A prywatnie ci mówię, że jeśli jeszcze raz obrazisz Paris, wywlokę cię na parking i rozsmaruję twoją ładną buźkę o asfalt.

- Grozisz mi?

- A jak myślisz? A teraz przestań się migać i odpowiadaj na pytanie.

Dean nie zachowywał się w tej chwili jak policjant na służbie. Nie rozmawiał ze Stanem w oficjalny sposób, w jaki zwykle traktował podejrzanych. Bo wtedy Stan na pewno nic by nie powiedział. Szantaż i groźby robiły na nim o wiele większe wrażenie. Na razie próbował się jeszcze trzymać. Rzucił spojrzenie na Deana, potem na Paris i oświadczył:

- Zgłoszę skargę o brutalne potraktowanie przez policję. Mój stryj na pewno...

- Twój stryj dopiero będzie miał kłopoty, jak się okaże, że to ty jesteś Valentinem.

- To nie ja! Głuchy jesteś, czy co?

- Kiedy tamta kobieta odmówiła ci stosunku, ty jej nie posłuchałeś i zrobiłeś swoje, prawda?

- Nie. Tak. Nie wiem. Może. - Rozbiegane spojrzenie Staną zatrzymywało się to na Paris, to na Deanie.

- No więc nie, tak czy może?

- Do niczego jej nie zmuszałem, jeśli o to chodzi.
- Ale dobrałaś się do niej?
- Mówiłem już, że to była...
- Tak, pamiętam, biurowa dziwka. I dlatego uznałaś, że sama się o to prosi.
- Tak.

- Prosiła się, żebyś ją zgwałcił.
- Wkładasz mi w usta słowa, których nie powiedziałem - krzyknął Stan.
- No to jedziemy na komendę. Natychmiast.

- Nie może pan... - Stan odsunął się o kilka kroków i spojrzał z przerażeniem na Paris. - Zrób coś! Jeśli mu na to pozwolisz, stryj wywali cię z pracy.

Paris nie zamierzała bynajmniej prosić Deana o cokolwiek. Szczerze mówiąc, bała się teraz Stana. Może wcześniej nie doceniała go, traktując jako lenia i bezwartościowego, ale nieszkodliwego gnojka. Tymczasem teoretycznie mógł być zdolny do takiej zbrodni, jaką popełniono na Janey Kemp. Gdyby jednak udowodnił, że nie jest Valentinem, gniew stryja Crenshawa zwróciłby się przeciwko niej. W takim wypadku na pewno straciłaby posadę. Ale bardziej niż o pracę bała się o własne życie.

Dean złapał Stana za ramię i pociągnął do drzwi. Stan zaczął się szarpać i Dean miał pełne ręce roboty, by go spacyfikować bez kajdanków. Dlatego gdy jego telefon zadzwonił, rzucił go Paris.

- Halo?
- To ty, Paris?

Ledwo słyszała w słuchawce głos, zagłuszany stekiem wulgarnych inwektyw, wywrzaskiwanych przez Stana.

- Gavin?
- Muszę natychmiast rozmawiać z tatą, Paris. Coś się stało.

Gavin zabijał czas przed telewizorem. Była to jedyna rozrywka, jakiej nie pozbawił go ojciec. Wsadził do odtwarzacza ulubiony film z Melem Gibsonem, ale przygody ekranowego bohatera wydawały mu się dziś niczym w porównaniu z własnymi przeżyciami. Bał się o ojca i o Paris. Tylko udawał spokój, kiedy Dean powiedział mu, że Valentino zapewne dybie na ich życie. Ten psychol naprawdę mógłby ich zaatakować. Wydawało się, że jest zdolny do wszystkiego i nikogo się nie boi. Nie wolno go było lekceważyć. Przecież nikt nie sądził, że naprawdę zamorduje Janey. Dlatego Gavin ucieszył się, kiedy zadzwonił telefon i wyrwał go z tych rozmyślań. Nawet nie sprawdził na wyświetlaczu, kto dzwoni.

- Halo?
- Dlaczego nie odbierasz komórki?
- A kto mówi?
- Melissa.

Melissa Hatcher? Ładne kwiatki, pomyślał.

- Nie mam jej przy sobie. Trochę tu było nerwowo i...
- Musisz mi pomóc, Gavin. - W słuchawce rozległ się płacz.
- A co się stało?

- Muszę się z tobą zobaczyć, ale przed waszym domem stoi radiowóz, więc odjechałam. Wyjdź do mnie.

- Nie mogę. Mam szlaban.

- Gavin, to poważna sprawa - wychrypiała.

- No to przyjdź tu.

- A gliny? To bez sensu.

- Dlaczego? Jesteś naćpana?

Coś tam zabelkotała i zaczęła siąkać nosem.

- A mogłabym się zakraść od tyłu?

Gavinowi po całej aferze z wykrywaczem tylko tego było trzeba, żeby Melissa wyplakiwała mu się na piersi. Po tym, jak go zwolniono, podjął kilka ważnych postanowień. Obiecał sobie, że jeżeli zdoła wyjść z tej opresji cało, nie wróci już do pierwszych tutejszych znajomości. Jeszcze jedna wpadka, a ojciec odstawi go ciupasem do Houston. Za nic nie chciał wracać do matki. Teraz, kiedy wyjaśnili sobie z tatą parę ważnych spraw, chciał z nim zostać, przynajmniej do ukończenia szkoły. Powinien, we własnym dobrze pojętym interesie, powiedzieć Melissie, że jest zajęty, i odłożyć słuchawkę. Ale zrobiło mu się jej żal.

- No, dobra - powiedział z wahaniem. - Podjedź od tyłu, zaparkuj na ulicy i przejdź między domami. Nie mamy płotu. Wpuszczę cię od strony kuchni. Kiedy tu będziesz?

- Za parę minut.

Gavin sprawdził, czy obaj policjanci siedzą w wozie, bo jeden akurat mógłby robić codzienny obchód. Siedzieli. Poszedł do kuchni i zaczął się rozglądać za Melissa. Kiedy wyłoniła się zza krzaków oleandra, dzielących dwie sąsiadujące posesje, wyglądała jak klaun z gabinetu osobliwości.

Łzy zostawiły na jej policzkach czarne, rozmazane ślady. Jej ciuchy też nie przypominały niczego, co włożyłby na siebie normalny człowiek. Gavin nie mógł pojąć, jak w ogóle można się poruszać w sandałach na tak wywindowanych platformach, ale Melissie jakoś się udawało. Minęła basen i pokuśtykała przez taras z piaskowca. Otworzył francuskie okno, a ona oparła się na nim całym ciężarem.

Wciągnął ją do środka i zamknął szklane drzwi. Dowłókł ją jakoś do krzesła w salonie. Nie chciała go puścić, mamrocząc coś niezrozumiale.

- Uspokój się, Melisso. Nie rozumiem, co mówisz. Spróbuj jeszcze raz, po kolei.

Wskazała na barek.

- Najpierw muszę się czegoś napić - powiedział - usiłując się podnieść. Gavin pchnął ją na krzesło.

- Nic z tego. Mogę ci najwyżej dać wody. - Wyjął butelkę z lodówki. Kiedy łapczywie się do niej przysała zauważył: - Wyglądasz, jakbyś się urwała z cyrku. Co się stało?

- Ja... Byłam z nim.

- Z kim?

- Z tym facetem... z dentystą. Z tym Armstrongiem.

- Co? - Gavinowi opadła szczeka. - Gdzie?

- Gdzie? Ja...

Patrzyła w róg pokoju, jakby stał tam Brad Armstrong. Gavin miał ochotę jej przyłożyć. Jak mogła być aż taką idiotką?

- Gdzie, Melisso?

- Nie krzycz na mnie. - Potarła ręką czoło, jak; gdyby szukając tam odpowiedzi. - W motelu. Z kowbojem albo z siodłem coś takiego tam było.

Motel jak z westernu. W Austin. To zawęża pole poszukiwań do kilku setek lokali, pomyślał z

ironią.

- Jeśli się z nim tam umówiłaś, to...

- Nie umawiałam się. Poderwał mnie w barze nad jeziorem i wywiózł do tego motelu. Byłam spruta. Zalewałam smutki rozumiesz, to była żałoba po Janey. Piłam tequilę, A potem on przyszedł i postawił mi drinka.

- I ty z nim pojechałaś?

- Bo go już znałam. Byłam z nim parę dni wcześniej. Zabawialiśmy się.

- Gdzie?

- W tym miejscu, co wiesz. Często tam jeździmy Gavin kiwnął głową, zachęcając ją, by mówiła dalej.

- Robiliśmy to w jego samochodzie.

- Jaki to wóz?

- Ten wtedy czy ten teraz? Miał dwa.

- Dzisiaj.

- Czerwony. A może niebieski. Nie przypatrywałam się zbytnio. Facet był miły. Docenił mój koleczyk. Pamiątka z Francji. - Uśmiechnęła się z dumą i podniosła bluzkę.

- Fajny.

Gavin kłamał. Uważał, że takie rzeczy są obrzydliwe. Nigdy nie lubił Melissy, nie pociągała go jako dziewczyna, a teraz go po prostu odrzuciło. Zaczął się zastanawiać, czy rzeczywiście była w szoku, czy może wymyśliła sobie to wszystko, żeby dostać się do jego domu i popробować swoich sztuczek. Była tak bardzo zazdrosna o Janey, że może teraz chciała spróbować wszystkiego, co robiła zamordowana przyjaciółka. Melissa opuściła bluzkę.

- Jesteś pewna, że byłaś z Bradem Armstrongiem?

- Nie wierzysz mi? Myślisz, że specjalnie bym się tak urządziła? - spytała inteligentnie.

- Kiedy się zorientowałaś, że szuka go policja?

- Pojechaliśmy do motelu i poszliśmy do łóżka. Już robił swoje, kiedy spojrzałam na telewizor. Był włączony, chociaż bez głosu. Ale zobaczyłam jego zdjęcie na cały ekran. Wszyscy go szukają, a on mnie pierdoli.

- I co zrobiłaś?

- A co ty byś zrobił? Zwaliłam go z siebie. Powiedziałam, że muszę już jechać, bo jestem umówiona. Zaczął się rzucać. Próbował mnie namówić, żebym została. Im więcej gadał, tym bardziej się wściekał. Najpierw powiedział, że go oszukałam, potem, że jestem podłą dziwką, a na koniec się zapluł i zupełnie oszalał. Zaczął mnie szarpać i wrzeszczeć, że nie wyjdę, póki nie zrobię mu dobrze. - Wyciągnęła rękę, żeby pokazać zadrapania po bójce. - Mówię ci, Gavin, to kompletny wariat. Wytrząsał mnie po twarzy i nawyzywał od kurew. Powiedział, że jestem taką sama kurwą jak Janey Kemp. Tego już nie wytrzymałam. Zaczęłam krzyczeć, że jest mordercą, i wtedy mnie puścił. Złapałam ciuchy i uciekłam.

- Kiedy to było?

- Może godzinę temu. Zatrzymałam jakąś ciężarówkę i namówiłam kierowcę, żeby mnie podrzucił do mojego samochodu. A potem przyjechałam prosto tutaj i zauważyłam gliniarzy. Po drodze cały czas dzwoniłam do ciebie na komórkę, a potem przypominałam sobie twój domowy numer. Resztę już wiesz. - Posłała mu błagalne spojrzenie. - Jestem w strasznym stanie, Gavin. Daj mi się napić, chociaż łyceczek.

- Nie ma mowy. - Przykucnął przy niej. - Mówiłaś mu coś o Janey?

Myślisz, że jestem głupia? Nie chcę skończyć tak jak ona. Widziałaś u niego jej zdjęcia? Miał tę gazetę. A normalne zdjęcia?

Nie. Ale najpierw się nie rozglądałam, a potem to już tylko chciałam się zmyć.

Mówiłaś, że jak się z nim spotkałaś, wyglądał znajomo. Może widziałaś go wcześniej z Janey?

Nie mam pewności. Możliwe, że się przewijał w naszych miejscach. Mówił, że odwiedza stronę Sex Clubu i... Sam to powiedział?

Tak. Za pierwszym razem miał w samochodzie wielką torbę pornosów. Lubi to. - Gdy Gavin sięgnął po telefon, Melissa poderwała się z krzesła. - Do kogo dzwonisz?

Do mojego ojca. Wyrwała mu telefon.

Przecież jest gliną. Nie chcę mieć nic do czynienia z policją. Wielkie dzięki. To dlaczego do mnie przysłałaś?

Bo potrzebowałam pomocy przyjaciela. Myślałam, że ty mi pomożesz. Skąd mogłam wiedzieć, że zrobiłeś się taki święty. Ani wódki, ani... Ten facet jest poszukiwany. - Gavin wyrwał jej telefon. - Jeśli to on zabił Janey, muszą go złapać.

Wargi Melissy zaczęły drżeć. Bezradnie wyłamywała palec. Nie złość się na mnie, Gavin. Ja wiem, że muszą go złapać, ale... O Boże. Melisso - powiedział łagodniejszym tonem - przysłałaś do mnie, bo wiedziałaś, że zadzwonię do ojca. W głębi duszy tego chciałaś. Dobrze zrobiłaś.

OK. - Melissa przygryzła dolną wargę. - Może i tak. Ale daj mi chwilę, żebym się pozbyła towaru. Nie chcę, żeby coś przy mnie znaleźli. Gdzie jest łazienka?

Gavin wskazał jej drzwi i wybrał numer. Po czterech dzwonekach ktoś odebrał telefon. Z trudem usłyszał słowo „halo”, zagłuszane przez jakieś krzyki w tle.

- To ty, Paris?

- Gavin?

- Muszę natychmiast rozmawiać z tatą, Paris. Coś się stało.

Rozdział 32

- Mówi Paris Gibson. Mam nadzieję, że spędzicie ze mną następne cztery godziny na 101,3 FM. Gram klasyczne piosenki miłosne na życzenie. Dzwoncie do mnie. Na początek posłuchajmy hitu grupy The Stylistics. You Make Me Feel Brand New to utwór o tym, jak się czują zakochani.

Paris wyłączyła mikrofon. Światelka linii telefonicznych rozbłysły. Jej pierwsza rozmówczyni poprosiła o Hooked on a Feeling B.J. Thomasa.

- Skoro mamy dziś rozmawiać o zakochanych...
- Dzięki za telefon, Angie. To będzie następna piosenka.
- Cześć, Paris.

Paris pracowała jak co dzień, choć tak naprawdę sytuacja była wyjątkowa. Dean przed blisko godziną wyjechał w pośpiechu, by spotkać się z Gavinem i Melissą Hatcher na komendzie. Po rozmowie z Gavinem zatelefonował do Curtisa i streścił mu w dwóch słowach historię Melissy. Curtis zapytał o szczegóły i natychmiast przystąpił do akcji.

- Powinniśmy niedługo mieć go pod kluczem - powiedział Dean do Paris. - Zaczniemy od baru, skąd wyjął Melissę. Z grubsza umiała powiedzieć, ile czasu zabrała im droga stamtąd do motelu, co ograniczy teren poszukiwań. To nadal duży obszar, ale przynajmniej wiadomo, czego się trzymać.

Paris spytała, czy poinformowano Toni Armstrong. Przytaknął.

- Kiedy dzwoniłem do Curtisa, ona akurat u niego była. Z adwokatem. - Dean objął Paris. - Niedługo go przymkniemy, a ty będziesz bezpieczna. Sprawa się skończy.

- Nie zapomnę tego, co zrobił Janey.

- No tak - powiedział z żalem, ale jego mózg policjanta już pracował na najwyższych obrotach. - Curtis powiedział, że wóz patrolowy zostanie tu, póki nie złapiemy Armstronga. Poza tym mam zaufanie do Griggsa. Wczuł się w rolę twojego osobistego ochroniarza. - Dean popatrzył na Stanę, o którym zupełnie zapomniał. - Wygląda na to, że masz szczęście, Crenshaw.

- Jeszcze pożałujesz tego, co mi zrobiłeś.

- Już żałuję. Żałuję, że nie skopałem ci dupy od razu, kiedy miałem dobry powód. - Dean pocałował Paris w usta i wyszedł z pokoju.

Stan bez słowa ruszył za nim. Paris pozwoliła mu wyjść. Będzie się złościł, ale jakoś się uspokoi, a ona miała przed sobą program, na którym musiała się skupić. Ostateczna rozmowa ze Stanem mogła poczekać, aż ona będzie mieć więcej czasu, a jemu przejdzie pierwsza złość.

Teraz, kiedy minęło już pierwsze pół godziny w studiu, znów sięgnęła po mikrofon.

- Po przerwie nadal będziemy razem słuchać piosenek. Jeśli macie jakieś życzenie lub po prostu chcecie pogadać, dzwońcie, proszę. - Wyłączyła się i odwróciła głowę, czując za plecami czyjąś obecność. - Nie słyszałam, jak wchodziłeś.

- Zakradłem się.

- Dlaczego?

- Bo uznałem, że skoro ty i twój chłoptaş uważacie mnie za przestępcę, to tak się będę

zachowywać - powiedział właściwym sobie infantylnym tonem małego chłopca.

- Przykro mi, że Dean uraził twoje uczucia, Stan. Ale sam przyznaj, że pasowałeś do obrazu podejrzanego.

- O gwałt czy o morderstwo?

- Powiedziałam, że przepraszam.

- Powinnaś wcześniej wiedzieć, że to nieprawda.

- Okazało się, że jednak słabo cię znam. - Paris straciła do niego cierpliwość. - Gdybyś się właściwie zachowywał, nikt by cię o nic nie podejrzewał. A tymczasem oprócz tej paskudnej sprawy na Florydzie rozsiewałeś kłamstwa na mój temat, wmawiając ludziom, że jestem twoją kochanką.

- Tylko Mandnowi, czy jak mu tam. I nie takimi słowami.

- Cokolwiek powiedziałeś, przekaz dotarł. Po co ci to było?

- A jak myślisz? - Głos mu się załamał, prawie płakał. Ta manifestacja uczuć wprawiła ją w konsternację.

- Nie miałam pojęcia, co do mnie czujesz, Stan.

- Szkoda, bo powinnaś.

- Nigdy mi nie przyszło do głowy, żeby patrzeć na ciebie w... hmm, w damsko-męskim układzie.

- Pewnie przez te czarne okulary nie widzisz tego, co masz przed nosem.

- Stan...

- Dla ciebie jestem tylko biednym chłopcem do bicia, nędznym kutasem. Co prawda, to prawda, nie mogła zaprzeczyć. Ale mogła przeprosić.

- Przykro mi, Stan.

- Już trzeci raz powtarzasz, że ci przykro, do jasnej cholery! Tyle że wcale ci nie jest przykro. Gdybyś chciała zmienić swój stosunek do mnie, to mogłaś, nic nie stało na przeszkodzie. Ale ty nie chcesz, zwłaszcza teraz, kiedy masz z powrotem swojego kochasia. Leci na ciebie jak diabli, no nie? A ty, księżniczka ze szklanej góry, też się na niego napalasz. Założę się, że przyszłście tu prosto z łóżka. Mam rację? Nie widziałem cię dotąd w pracy z mokrymi włosami, ani razu. Fajnie było, Paris? I w dodatku już nie ma na drodze niewygodnego narzeczonego, którego trzeba się pozbyć.

- To obrzydliwa insynuacja, Stan.

- Czyżby ruszyło cię sumienie?

Pochylił się nad nią z paskudnym uśmiechem. Paris musiała zacisnąć palce, żeby mu nie dać po twarzy.

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz, Stan. Koniec rozmowy. - Odwróciła się do pulpitu, sprawdziła czas i spojrzała na migające światełka linii telefonicznych. Nacisnęła guzik.

- Cześć, Paris. Mam na imię Georgia.

- Cześć, Georgia. - Paris oddychała wolno przez usta, żeby wyciszyć emocje i skupić się na rozmowie.

- Martwię się o mojego chłopaka - powiedziała dziewczyna.

Paris słuchała opowieści o tym, że młody mężczyzna za nic nie chce się wiązać na stałe. Podczas monologu Georgii obejrzała się przez ramię. W studiu nie było nikogo. Stan zniknął tak samo bezszelestnie, jak się pojawił.

- Mamy go! - Zawołał Curtis ponad ściankami swego biura w CBS. - Chłopaki dorwali go w dziesięć minut!

Dean wpadł na niego w wąskim korytarzyku między ściankami działowymi.

- Stawiał opór?

- Policjant, który go aresztował, przyszedł z kierownikiem motelu i kazał mu otworzyć drzwi. Armstrong siedział na łóżku i płakał jak dziecko. Cały czas powtarzał: „No i co ja zrobiłem?”.

- Powiem Gavinowi. - Dean zawrócił do wyjścia.

- Podziękuj mu w moim imieniu. Bardzo nam pomógł. Ale zostań w biurze, dobrze? Chciałbym, żebyś był przy przesłuchaniu.

- Taki miałem zamiar. Zaraz wracam.

Gavin i Melissa Hatcher siedzieli na tej samej ławce przed drzwiami, na której wcześniej siedziała Paris. Kiedy to było? Wczoraj? Boże, ile się zdarzyło od tamtej pory. Dean z daleka pokazał dzieciakom wzniesione w górę kciuki.

- Już go aresztowali i wiozą tutaj. Dobra robota, synu. - Objął chłopaka i uściśnął go mocno. - Jestem z ciebie dumny.

- Dobrze, że go złapali. - Gavin zarumienił się lekko.

- Tobie też dziękuję, Melisso - zwrócił się Dean do dziewczyny. - To, co zrobiłaś, wymagało mocnych nerwów.

Gdy dojechał do komendy, Gavin i Melissa już siedzieli u Curtisa. On i sztab detektywów słuchali szczegółowej relacji dziewczyny o tym, jak spotkała się z Bradem Armstrongiem. Z jednej strony imponowało jej, że aż tyle osób się nią interesuje, z drugiej była jednak w strachu. Zanim przyjechali, zdążyła zmyć z twarzy rozmazany makijaż i rozczesać włosy, które już nie sterczały na głowie jak czułki kosmity. Jakaś litościwa policjantka przyniosła jej sweter, który okrył prowokujący top. Ubranie Melissy mogło rozproszyć uwagę nawet najbardziej doświadczonego detektywa.

Rozpromieniła się, słysząc pochwałę Deana, ale po chwili nerwowo oblizwała wargi.

- Czy będę musiała się z nim spotkać?

- Muszę cię prosić o oficjalną identyfikację człowieka, który ci groził.

- Tak naprawdę to nic mi nie zrobił. Sama byłam sobie winna, że z nim poszłam. Wiedziałam, co robię.

- Jesteś nieletnia. Uprawiał z tobą seks. Poza tym uderzył cię i usiłował przetrzymać wbrew twojej woli. Pod tymi zarzutami możemy go zatrzymać w areszcie, póki nie dostaniemy oficjalnego raportu medycznego po autopsji ciała Janey. Wiem, że nie będzie ci łatwo znów stanąć przed nim twarzą w twarz, ale bez twojej pomocy nie ruszymy z miejsca. Rodzice jeszcze nie przyjechali?

- Jeszcze nie. Przerazili się, kiedy zadzwoniłam, ale nie wkurzali się tak strasznie, jak myślałam. Pewnie się przestraszyli, że też mogłam zginąć. Czy Gavin może ze mną poczekać?

- Jeśli tylko chcesz. Zgadzasz się, Gavinnie?

- Jasne. - Gavin zdziwił się, że w ogóle ktoś o to pyta.

Dobra, panie Malloy - powiedziała Melissa. - Niech przywiozą tego zbrojnego. Zostanę tu tak długo, jak będzie trzeba.

- Paris, słucham? - To ja.

Na sam dźwięk głosu Deana serce Paris zadrżało, a na twarzy wykwitł głupi, uszczęśliwiony uśmiech.

- Zgubiłeś bezpośredni numer? Dlaczego dzwonisz pod numer dla słuchaczy?

- Bo chciałem się postawić w sytuacji zwykłego człowieka.

- Możesz być moim słuchaczem, ale na pewno nie zwykłym.

- Nie? Miło to słyszeć. - Słyszała śmiech w jego głosie, ale zaraz zmienił ton na bardziej serio. -

Aresztowano Armstronga. Spodziewamy się go tu lada chwila.

- Bogu dzięki - powiedziała Paris z ulgą, ale zaraz pomyślała o nieszczęsnej pani Armstrong. - Rozmawiałeś z Toni?

- Przed chwilą. Jest załamana, jednak myślę, że w głębi duszy czuje ulgę. Dzięki temu, że go mamy, już nic złego nikomu nie zrobi.

- Ani sobie.

- Też myślałem o możliwości samobójstwa. Jesteś co najmniej tak dobrym psychologiem jak ja.

- Nie żartuj. Och, musisz chwilę zaczekać. Tylko podam nazwę stacji. - Włączyła się na antenę, a po paru minutach wróciła do przerwanej rozmowy. - No dobrze, mam jeszcze trochę czasu.

- Nie chcę ci przeszkadzać, ale obiecałem przecież, że zadzwonię, jak będzie coś nowego.

- Fajnie, że dotrzymałeś słowa. Będzie mi się lepiej pracowało, kiedy już wiem, że został zatrzymany. Byłam tak zdenerwowana, że nie mogłam się skupić na rozmowach. Za każdym razem, kiedy odbierałam telefon, bałam się, że to on się odezwie.

- Już się nie masz czym martwić.

- Gavin jest z tobą?

- Siedzi z Melissą. Wspaniale postąpił, nie uważasz?

- No pewnie.

- Cieszę się, że nareszcie zachował się jak dorosły. To było bardzo odpowiedzialne.

- Musisz wierzyć w siebie, Dean. To także twoja zasługa.

- Co było, minęło. Myślę, że znów jesteśmy na prostej.

- Jestem tego pewna.

- A propos trudnej młodzieży, to chciałem ci powiedzieć, że zwolniono Lancy'ego Fishera.

- Chyba go wezmę na asystenta.

- Co takiego?

Paris rozśmieszył jego zgorszony ton.

- Nigdy nie miałam producenta programowego, chociaż dyrektor kilkakrotnie mi kogoś proponował. Dla Lancy'ego byłaby to dobra szkoła zawodu.

- Ciekawe, co na to powie Stan.

- Na szczęście to nie on jest tu od podejmowania decyzji.

- Robił ci jakieś nieprzyjemności z powodu naszego incydentu? Zawahała się.

- Trochę szemrał, ale mu przejdzie.

Nie chciała opowiadać Deanowi szczegółów, żeby go teraz nie rozpraszać swoimi utarczkami ze Stanem. Nie czuła się z tym dobrze. Po tym wszystkim, co tu powiedziano, powrót do normalnych koleżeńskich stosunków z nim wydawał się raczej niemożliwy.

Z drugiej strony, już ją to nie martwiło tak, jak mogło choćby tydzień temu. Wtedy całe jej życie kręciło się wokół pracy. Dlatego przejmowała się wszystkim, co jej dotyczyło. Miała tylko swoją pracę, więcej nic. Teraz sytuacja się zmieniła.

- Chciałbym spędzić z tobą resztę nocy - powiedział Dean, jakby czytając w jej myślach.

Te słowa przywołały świeże wspomnienie krótkich, wspaniałych chwil w łóżku, kiedy wreszcie udało im się być razem. Przez ciało Paris przeszedł przyjemny dreszcz.

- Zwykle po takich deklaracjach się rozłączam.

- Tylko powiedziałem, że chciałbym - zaśmiał się. - Nie wiem, jak długo mnie tu przytrzymają.

- Rób, co masz zrobić. Ja to wszystko rozumiem.

- Wiem - odparł z westchnieniem. - Ale dlaczego musimy czekać aż do jutra? Paris czuła się tak samo. Najbardziej profesjonalnym tonem, na jaki umiała się zdobyć, spytała:

Czy mogę poznać życzenie mojego słuchacza?

Tak, mam życzenie.

Słucham.

Kochaj mnie, Paris.

Przymknęła oczy i wstrzymała na chwilę oddech, a potem powiedziała cicho, ale z przekonaniem:

- Kocham cię.

- Ja też cię kocham.

John Rondeau nie czekał na windę, wybrał schody. Wymiana maili z partnerem z Atlanty poskutkowała porcją nowych informacji na temat Staną Crenshawa, którymi chciał jak najszybciej podzielić się z Curtisem. Osobiście. Kiedy dotarł do CBS, okazało się, że szumi tam jak w ulu. Sądząc po liczbie kręcących się po korytarzach ludzi, nikt by nie powiedział, że to środek nocy. Rondeau zaczął jakąś policjantkę, gwałtownie łapiąc ją za łokieć. - Co się dzieje?

- Z choinki się urwałeś? - odparła gniewnie, uwalniając rękę. - Dorwaliśmy Armstronga. Zaraz go przywiozą.

Rondeau zauważył Deana Malloya, pogrążonego w rozmowie z Toni Armstrong i mężczyzną w szarym garniturze z plaketką „advokat”. Curtis siedział u siebie w biurze, zajęty rozmową ze stacjonarnego telefonu, i drapał się po łysiejacej głowie.

- Nie, panie sędzio, nie przyznał się, ale mamy przeciw niemu sporo dowodów. Mam nadzieję, że w wyniku autopsji dostaniemy ślad DNA, choć ciało zostało zdezynfekowane... - Curtis zamilkł, jakby rozmówca nagle wpadł mu w słowo. Jeszcze mocniej zaczął pocierać czaszkę. - Tak, zdaję sobie sprawę, że testy na DNA zabierają mnóstwo czasu, ale liczę na to, że Armstrong w obliczu oskarżenia się załamie... Tak, panie sędzio, z całą pewnością. Zaangażuję wszystkie środki. Proszę przekazać małżonce wyrazy współczucia. Dobranoc. - Odłożył słuchawkę, jeszcze chwilę wpatrywał się w aparat, a potem spojrzął na Rondeau. - O co chodzi?

Rondeau pokazał teczkę, którą ze sobą przyniósł.

- To akta Staną Crenshawa. Facet był zboczony od dziecka. Zaglądał dziewczynkom pod spódnice. Obnażał się. To ciekawa lektura.

- Wierzę, ale to nie Valentino.

- To co mam z tym zrobić? Podrzeć i spuścić z wodą?

- Zostaw na moim biurku. - Curtis wstał, poprawił mankiety koszuli i krawat.

- Ktoś to powinien przeczytać - nalegał Rondeau.

Wzmożony ruch na korytarzu wskazywał, że za ścianą zaszło coś ważnego. Curtis wyszedł, a Rondeau pospieszył za nim. Poszli do centralnego holu CBS.

Rondeau od razu rozpoznał doktora Brada Armstronga z rodzinnych fotografii. Stał w otoczeniu dwóch umundurowanych policjantów. Ze spuszczoną głową i skutymi rękami przedstawiał sobą obraz ludzkiej klęski. Wprowadzono go do sali przesłuchań. Za nim weszli Malloy, Toni Armstrong i advokat. Ostatni był Curtis, który natychmiast zamknął za sobą drzwi. Rondeau, w jawny sposób odrzucony, parę razy uderzył zwiniętą teczką w otwartą dłoń. Curtis najwyraźniej uznał, że dopadł Valentina i już nie musi się dalej interesować Stanem Crenshawem. Ciekawe, co będzie, jeśli po przesłuchaniu Curtis uzna, że jednak złapali niewłaściwego człowieka? Co będzie, jeśli test na DNA wykluczy udział Armstronga w morderstwie lub przynajmniej pozwoli na uzasadnioną wątpliwość? I

jeśli jego DNA nie pojawi się na żadnych przedmiotach związanych z Janey ani na jej zwłokach?

Rondeau rozmyślał gorączkowo, opuszczając w pośpiechu CBS. Przy dwuskrzydłowych drzwiach zauważył na ławce Gavina Malloya z jakąś dziewczyną. Nie dostrzegł ich, gdy tu wchodził, bo od razu pobiegł na górę po schodach. Oni siedzieli z lewej strony. Na dźwięk otwieranych drzwi dziewczyna odwróciła głowę.

O kurwa!

Nie wiedział, jak się nazywa, ale doskonale znał ją z widzenia. Jeśli go rozpozna, będzie umoczony. Biegiem popędził w dół po schodach.

- Gavin, kto to był? - Co?

Ostatnie parę dni wykończyło chłopaka. Drzemał z głową opartą o ścianę. Melissa pociągnęła go za łokieć.

- Ten! Patrz!

- Gdzie? - Uniósł głowę, otworzył zaspane oczy i spojrzał w kierunku wskazanym przez Melissę. Przez metalowe pręty klatki schodowej dostrzegł zarys głowy Johna Rondeau, zanim ten znikł na półpiętrze.

- Nazywa się John Rondeau.

- To gliniarz?

- Pracuje w wydziale przestępstw komputerowych - mruknął. - To on doniósł im o Sex Clubie.

- Naprawdę? Widziałam go już. Może nawet go przeleciałam.

Pięknie, pomyślał Gavin. Jeśli Melissa wskaże Rondeau jako faceta, który zadawał się z nieletnimi, przyparty do ściany policjant uzna, że to on go wydał.

- Chyba się mylisz. Ma taką twarz, że można go pomylić z każdym - powiedział.

Kiepskie wyjaśnienie, ale jedyne, na jakie w tej chwili było go stać. Melissa wzruszyła ramionami i zmarszczyła czoło.

- Gdybym tylko zobaczyła jego ptaszka, miałabym pewność. Ale mogłabym się założyć, że...

Rozległ się sygnał nadjeżdżającej windy. Gdy obrócili głowy, zobaczyli przystojną, dobrze ubraną parę w średnim wieku. Melissa się podniosła.

- To twoi starzy? - spytał Gavin, zaskoczony ich nobliwym wyglądem. Oczekiwał kogoś w guście rodziny Osborne'ów, a nie bohaterów Dynastii. Melissa pobiegła ku nim na swych chybotliwych platformach, podświadomym gestem obciążając przykrótką minispódniczkę.

- Cześć, mamó. Cześć, tato.

Ich przybycie w tym właśnie momencie było Gavinowi bardzo na rękę. Nie miał najmniejszej ochoty na konfrontację z Rondeau ani nawet na rozmowę o nim. Nie miał też ochoty dotrzymać tajemnicy parszywego gliny, ale jego groźby pod adresem ojca były na tyle poważne, że postanowił milczeć do grobowej deski.

Rozdział 33

- Przepraszam cię, Toni. Czy mi kiedykolwiek wybaczysz? Brad Armstrong najwidoczniej bardziej przejmował się tym, co myśli jego żona, niż poważnymi zarzutami, które w najgorszym wypadku mogły go kosztować życie. Jego błagania brzmiały szczerze i zarazem żałośnie.

- Najpierw przesłuchanie, Brad. Potem będziemy mieć mnóstwo czasu, żeby rozmawiać o przebaczeniu.

Toni Armstrong wydawała się uosobieniem spokoju, co mogło dziwić w obliczu tego, co ją ostatnio spotkało. Zapewne zachowywała się tak, bo jej mózg wytworzył coś w rodzaju powłoki ochronnej, przez którą nie docierały złe wiadomości. Dean dał jej znak, żeby się trzymała. Opuściła pokój przesłuchań, w którym pozostali tylko on, adwokat i Curtis.

Curtis głośno przedstawił zebranych na użytek nagrania magnetofonowego, a następnie zaczął relacjonować Armstrongowi, co wiadomo policji na temat jego aktywności i dlaczego jest podejrzany w sprawie o porwanie i zamordowanie Janey Kemp.

- Nie porwałem tej dziewczyny.

Jego szczerzy protest nie zrobił najmniejszego wrażenia na Curtisie.

- Dojdziemy do tego. Ale najpierw wróćmy do czasów, kiedy molestował pan Paris Gibson. - Armstrong się wykrzywił. - Widzę, że pan to pamięta. Podobno do tej pory żywi pan urazę do pani Gibson.

- To przez nią straciłem dobrą i dochodową posadę.

- Zaprzecza pan, że dotykał jej w nieprzyzwoity sposób? Armstrong spuścił głowę i pokręcił nią.

- Proszę mówić głośno, przesłuchanie jest rejestrowane.

- Nie, nie zaprzeczam.

- Czy dzwonił pan ostatnio do niej do radia? - Nie.

- A w ogóle pan dzwonił?

- Może i dzwoniłem.

- Nie radzę kręcić - ofuknął go Curtis. - Dzwonił pan do niej, kiedy prowadziła audycję? Proszę o odpowiedź: tak czy nie.

- Tak, dzwoniłem. - Dentysta z westchnieniem uniósł głowę. - Powiedziałem coś niegrzecznego i wyłączyłem się.

- Kiedy to było?

- Dawno. Niedługo po tym, jak przenieśliśmy się do Austin i dowiedziałem się, że ona tu pracuje.

- Tylko ten jeden raz? - spytał Dean.

- Przysięgam.

- Wiedział pan o powiązaniach między panią Gibson, doktorem Malloyem i Jackiem Donnerem?

Dean spojrzał na Curtisa i już miał zapytać, skąd to pytanie, ale Armstrong go uprzedził.

- Mówiono o tym w wiadomościach, w Houston.

Teraz dopiero Dean zrozumiał, jak ważne było pytanie Curtisa. Valentino wspomniał, że Dean i

Paris mają na sumieniu śmierć Jacka, co wskazywało na to, że znał ich przeszłość.

- Skąd dzwonił pan do radia?

- Z domu, chyba z telefonu komórkowego, nie pamiętam dokładnie. Ale na pewno nie rozmawiałem o Janey Kemp.

Curtis już wiedział, że ani domowe, ani komórkowe billingi Armstronga nie wykazały żadnych połączeń ze stacją, ale kontrola objęła zaledwie kilka ostatnich miesięcy. Armstrong mógł zatem mówić prawdę, ale mógł też skorzystać z budki telefonicznej albo z niezarejestrowanej komórki. Curtis zapytał, czy rozmawiając z Paris, zmieniał głos.

- Nie było takiej potrzeby. Ona nie rozpoznałaby mojego głosu. Spotkaliśmy się tylko... Tylko ten jeden raz.

- Przedstawił się pan?

- Nie, powiedziałem tylko „Pierdol się” czy coś podobnego i na tym skończyłem.

- Skąd panu przyszedł do głowy Valentino?

- Co? - Armstrong bezradnie popatrzył na adwokata, a potem na Deana, jakby szukając wyjaśnienia.

- Valentino - powtórzył Curtis.

Prasa wprawdzie pisała o telefonach do Paris Gibson jako kluczowym elemencie sprawy, ale nazwisko dzwoniącego nie zostało podane do publicznej wiadomości, żeby ustrzec się przed ewentualnymi mitomanami, którzy w takich okolicznościach zawsze zgłaszali się jako winni, sprowadzając śledztwo na boczne tory.

- Wybrał pan ten pseudonim ze względu na gwiazdę kina niemego? - pytał Curtis. - I skąd przyszedł panu do głowy pomysł siedemdziesięciu dwóch godzin? Dlaczego akurat takie ultimatum, a nie na przykład czterdzieści osiem, co było bliższe pana faktycznym zamiarom?

- O czym on mówi? - Armstrong zwrócił się do swego adwokata.

- Nieważne, wróćmy do tego - rzekł Curtis. - Teraz proszę nam opowiedzieć o Janey Kemp. Gdzie ją pan spotkał?

Armstrong przyznał, że często odwiedzał stronę Sex Clubu w Internecie i bywał na młodzieżowych spotkaniach w wyznaczonych miejscach.

- Wymyślałem różne powody, żeby urwać się z domu.

- Oszukiwał pan żonę.

- To nie przestępstwo - wtrącił adwokat.

- Ale jest przestępstwem utrzymywanie stosunków seksualnych z nieletnimi - odparował Curtis. -

Kiedy po raz pierwszy widział się pan z Janey Kemp, panie Armstrong?

- Nie pamiętam. Jakieś parę miesięcy temu.

- W jakich okolicznościach?

- Już wcześniej o niej wiedziałem. Kiedy ją zauważyłem, popytałem ludzi i dowiedziałem się, że używa ksywy Kot w Butach. Czytałem jej ogłoszenia i wiedziałem, że jest... - zawahał się przed doborem właściwego określenia. - Dowiedziałem się, że jest osobą zainteresowaną seksem i gotową na każdy eksperyment.

- Jednym słowem, była łatwym kąskiem dla takich wytrawnych łowców jak pan.

Prawnik dał oskarżonemu znak, by nie odpowiadał na to pytanie. Curtis machnął ręką na znak, że się wycofuje, i zadał kolejne.

- Czy tego wieczoru, kiedy poznał pan Janey, uprawiał pan z nią seks?

- Tak.

- Janey Kemp miała siedemnaście lat - dorzucił adwokat.

- Nieskończone - uściślił Curtis.

- Musi pan zrozumieć - powiedział Armstrong - że te dziewczyny umawiały się tam właśnie w tym celu. Przyjeżdżały, żeby uprawiać seks. Nigdy, ani razu nie zmusiłem żadnej, żeby ze mną poszła. Zdarzyło mi się - nie z Janey, z inną - że za pięć minut zabawy skasowała mnie na sto dolarów i już po chwili polowała na kolejnego klienta. Powiedziała, że zarabia na torbę od Vuittona.

- Może pan to udowodnić?

- Jasne, wypisała mi rachunek - odparł Armstrong z gorzką ironią.

Curtis, wciąż z kamienną twarzą, nie zareagował na żart. Natomiast Dean był przekonany, że dentysta nie kłamie, bo opowieść o nieletnich prostytutkach pasowała do tego, co już wiedział od Gavina.

- Gdzie miał pan stosunek z Janey tamtej nocy? - kontynuował Curtis.

- W motelu.

- W tym samym, gdzie dzisiaj pana znaleźliśmy?

- Tak. - Armstrong kiwnął głową. - Trzymam tam pokój.

- W celu uprawiania seksu?

- Proszę nie odpowiadać - powiedział prawnik.

- Czy robił pan Janey zdjęcia? - Curtis zadał kolejne pytanie.

- Zdjęcia?

- Fotografie. Ale trochę inne niż te, które robił pan rodzinie w czasie wakacji - wyjaśnił zimno detektyw.

- Możliwe. Nie pamiętam.

- Pańska garsoniera jest w tej chwili przeszukiwana - powiedział Curtis, patrząc przenikliwym wzrokiem w oczy oskarżonego. - Dlaczego nie zaoszczędzi nam pan fatygi i nie powie prawdy?

- Trzymałem tam pisma porno. Taśmy wideo. Czasami robiłem kobietom rozbierane zdjęcia, więc... Mogły się trafić także zdjęcia Janey.

- Wywoływał je pan we własnej ciemni?

- W ogóle się nie znam na wywoływaniu filmów. - Armstrong był szczerze zdziwiony.

- Więc gdzie pan je wywoływał?

- Wysyłałem do zakładu, pod miastem.

- Jaki to zakład?

- Nie ma nazwy firmy, jest tylko numer skrytki pocztowej. Mogę go panu podać.

- Niech sam zgadnę. Chodzi o laboratorium wyspecjalizowane w usługach dla takich specjalnych klientów jak pan?

- Tak - przytaknął ze wstydem. - Nieczęsto się to zdarzało, ale korzystałem z ich usług.

Odpowiedzi Armstronga nie pasowały do tego, co Janey opowiedziała Gavinowi o swoim nowym chłopaku i jego namiętności do fotografowania. Albo więc dentysta mówił prawdę, albo kłamał wyjątkowo przekonująco. Curtis musiał tak właśnie pomyśleć, bo zaprzestał drażenia tego tematu i zapytał, kiedy ostatni raz Armstrong widział Janey.

- To było trzy dni temu. Sądzę, że tej nocy, kiedy zniknęła.

- Gdzie to było?

- Na polanie nad jeziorem Travis.

- Przyjechał pan specjalnie, żeby ją spotkać?

- Tak - odparł, nim adwokat zdążył go powstrzymać. - Umawianie się na randki chyba nie jest zbrodnią? - zapytał prawnika.

Adwokat zwrócił się do Curtisa:

- Zgadzam się na tak szczegółowe zeznania mojego klienta tylko dlatego, że zaprzecza on szczerze, by łączyło go z prawie dorosłą ofiarą coś więcej niż stosunki cielesne. Nie zgadzam się natomiast, by te zeznania były przez policję w jakikolwiek sposób wiązane z faktem morderstwa.

Curtis kiwnął głową i zachęcił Armstronga, by mówił dalej.

- Janey czekała na mnie w swoim samochodzie, której? - zapytał Dean, pamiętając, że Gavin też był z Janey w jej samochodzie, a ona mówiła mu, że na kogoś czeka.

- Nie pamiętam dokładnie, ale chyba około dziesiątej.

- Co robiliście w samochodzie? - spytał Curtis.

- Uprawialiśmy seks.

- To był normalny stosunek?

- Fellatio.

- Użył pan prezerwatywy? - Tak.

- A co było potem?

- Chciałem... Chciałem pobyc z nią trochę dłużej, ale powiedziała, że ma do załatwienia jakąś sprawę. Myślę, że była z kimś umówiona.

- Z kim?

- Z innym mężczyzną. Nalegała, żebym sobie poszedł, i obiecała spotkać się ze mną następnego dnia w tym samym miejscu o tej samej porze. Kiedy odchodziłem, siedziała w samochodzie i słuchała muzyki. Przyjechałem następnego wieczoru, ale jej nie było. Nie wiedziałem, że zniknęła, póki nie zobaczyłem zdjęcia na pierwszej stronie gazety.

- Dlaczego się pan wtedy nie zgłosił?

- Bo się bałem. Pan by się nie bał?

- Nie wiem. A pana zdaniem, powinienem?

- Ja naruszyłem zasady kurateli. A dziewczyna, z którą kilka razy się kochałem, została porwana.

- Armstrong bezradnie uniósł ramiona. - Sam pan chyba widzi, jak to wyglądało.

- Widzę - parsknął Curtis. - I nos mi mówi, że tamtej nocy pan chciał od Janey czegoś więcej, niż ona była skłonna dla pana zrobić. Zrobiło się nieprzyjemnie. A pan potrafi być niemiły wobec kobiet, które nie chcą robić tego, czego pan od nich oczekuje, mam rację?

- Czasem się denerwuję, ale zawsze potrafię się w porę opanować.

- Nie bardzo. Pański gniew zapanował nad rozumem i zanim się pan zorientował, już pan dusił Janey. Być może umarła od razu, albo straciła przytomność i umarła nieco później. Tak czy inaczej, przeraził się pan. Zabrał ją pan do tego pokoju w motelu i próbował coś wymyślić, ale w końcu wywiózł pan ciało i wrzucił do jeziora, a sam ukrył się w swojej norze i czekał na boskie zmiłowanie. Że może się panu upiecze.

- Nie! Przysięgam, że jej do niczego nie zmuszałem, - a już na pewno jej nie zabiłem!

Adwokat tarł dłonią powieki, zapewne zastanawiając się, jak konstruować linię obrony rozhisteryzowanego klienta. Curtis nie reagował, był twardy i nieczuły jak drewniany Indianin przed kioskiem z gazetami.

- Myślę, że na pewno nie zaplanował pan tego - powiedział Dean łagodnym tonem.

Armstrong odwrócił się ku niemu jak tonący, który szuka ostatniej deski ratunku. Dean zawsze wiarygodnie wypadł w roli dobrego gliny, zwłaszcza teraz, kiedy miał za partnera złego glinę Curtisa. Uznał, że przyszła pora, by odegrać rolę najlepszego przyjaciela Armstronga. Skrzyżował oparte o stół ramiona i pochylił się ku oskarżonemu.

- Lubieś Janey, Brad? Mam nadzieję, że nie masz nic przeciw temu, żebym ci mówił po imieniu?

- Jasne.

- No więc, lubieś ją? Jako osobę, oczywiście.

Prawdę mówiąc, nie bardzo. Nie zrozum mnie źle, ale nie chodziło o to, czy ją lubię, czy nie lubię. - Brad nagle nabrał ostrożności i rzucił spojrzenie swemu adwokatowi.

Tylko o to, że była seksowna i napalona? - dusił go Dean. - To był typ dziewczyny, z którą chcieliby się umawiać wszyscy chłopcy w szkole.

Dokładnie taka była. Ale nie mogę powiedzieć, że to była miła dziewczyna.

Wy tłumacz, co masz na myśli.

Była strasznie zarozumiała i samolubna, jak większość lasek z taką buzią i takim ciałem. Traktowała ludzi jak śmiecie. Albo się z nią grało według jej reguł, albo wcale.

Czy kiedykolwiek cię odrzuciła?

Tylko raz.

Z powodu innego mężczyzny?

Powiedziała, że ma syndrom napięcia przedmiesiączkowego i nie jest w nastroju.

Wszyscy to przerabialiśmy. - Dean uśmiechnął się do niego porozumiewawczo. Po czym wyprostował się, skrzyżował ramiona na piersiach, a jego uśmiech zmienił się w gniewny grymas. - Problem w tym, Brad, że większość facetów by się z tym pogodziła. To jasne, że każdy by się zdenerwował i może zaklął parę razy pod nosem, ale normalny facet odreagowałby taki zawód wypiciem paru piw, grą w piłkę albo spróbowałby poderwać inną dziewczynę. Ale nie ty. Ty nie dopuszczasz, że jakaś laska może ci odmówić. Przyjmujesz to jak najcięższą obrazę, dostajesz szału i atakujesz. Prawda?

Czasami - wymamrotał Armstrong, głośno przełykając ślinę.

Tak właśnie potraktowałeś dzisiaj Melissę Hatcher.

Nie miałem czasu na konsultacje z moim klientem na temat Melissy Hatcher - powiedział prawnik. - Wolałbym, żebyśmy o tym nie rozmawiali.

Pański klient nie musi nic mówić. To ja chcę mu coś powiedzieć - oświadczył Dean i nie czekając na zgodę, ciągnął: - Ta dziewczyna prowokuje mężczyzn. Także mnie, sierżanta Curtisa i wszystkich detektywów w biurze śledczym. Sposób, w jaki chodzi ubrana, każdy facet rozumie jednoznacznie:

„Chodź i weź mnie”.

No więc, czy ktoś może mnie oskarżać, że...

Proszę milczeć - upomniał Armstronga adwokat. Dean zignorował go, wciąż wpatrzony w twarz Brada.

Na twoje nieszczęście, Brad, w tej sprawie oskarżycielem jest stan Teksas.

Jeśli dopuścisz się penetracji części intymnych ust lub odbytu dziecka, odpowiadasz za napaść o charakterze seksualnym. Mam rację? - zwrócił się do prawnika, który tylko krótko skinął głową.

Ile lat ma Melissa? - zapytał J3rad.

W lutym przyszedł roku skończy szesnaście - powiedział Dean. - Zeznała, że miała z tobą

kontakty seksualne i odbyliście regularny stosunek.

A co będzie, jeśli... A co, jeśli nie byłem tego świadomy? - Armstrong zlekceważył zalecenie adwokata, by się nie odzywał.

To nie ma znaczenia - wyjaśnił Curtis. - W każdym wypadku odpowiada pan za napaść seksualną. Paragraf sześćdziesiąty drugi wyklucza taką linię obrony. Armstrong ukrył twarz w dłoniach.

Twoje przyznanie się do stosunków z nieletnimi jest przestępstwem trzeciego stopnia - powiedział Dean. - My oskarżamy cię o przestępstwo pierwszego stopnia.

A nawet o zbrodnię - dorzucił Curtis. Dean mówił dalej:

Zapłaciłeś już bardzo wysoką karę za swoje niezgodne z prawem występne przyjemności. Straciłeś pracę i szacunek środowiska. Teraz grozi ci coś gorszego. Możesz utracić rodzinę. Ramiona mężczyzny uniosły się? w gwałtownym szlochu.

Mając pełną świadomość konsekwencji swojego postępowania brnąłeś w to dalej wbrew wszelkim społecznym normom.

Staralem się! - wykrzyknął Armstrong. - Bóg jeden wie, jak bardzo się starałem. Zapytaj Toni. Ona powie ci prawdę. Kocham ją i kocham moje dzieci, ale... Nie mogłem się powstrzymać.

Właśnie to mam na myśli. - Dean znów pochylił się ku memu. - To jest silniejsze od ciebie. Melissa podnieciła cię dzisiaj do tego stopnia że kiedy chciała się wycofać, dostałeś szału. Zacząłeś ją szarpać i bić. Możliwe, że tego nie chciałeś, ale nie potrafiłeś się powstrzymać, choć wiedziałeś, że możesz tego później gorzko żałować. Przymus, żeby seksualnie zdominować tę dziewczynę, był znacznie silniejszy od głosu rozsądku. Musiałeś ją mieć, to wszystko. Nic innego się w tamtej chwili nie liczyło. Żadna kara, na którą sobie w ten sposób zasłużyłeś. Nawet miłość do Toni i dzieci nie mogła cię pohamować. To kompresja, której nigdy nie potrafiłeś kontrolować. Ten sam przymus, który kazał ci znęcać się nad Melissą, spowodował, że zrobiłeś Janey to, co zrobiłeś. Proszę nie odpowiadać - rzucił prawnik.

Dean zniżył głos i dalej mówił do Armstronga, jakby byli sami w pokoju: Mogę sobie wyobrazić, Brad, jak to się odbyło. Znasz piękną, podniecającą dziewczynę. Myślisz, że ona tak samo pożąda ciebie, jak ty jej. Widujecie się regularnie i zdaje ci się, że masz licencję na wyłączność. Tego wieczoru ona robi ci dobrze, jak zwykle. Niby jest wspaniale, ale ty wiesz, że dziewczyna cię oszukuje. Jest kłamczucha i zimną, bezlitosną dziwką. Wyczuwasz, że ma kogoś na boku, kto tylko czeka, żeby cię zastąpić. Kiedy ją o to pytasz wprost, zaczyna krzyczeć, żebyś spadał. Mówi, że ma dość twojej zazdrości i zaborczości, że już nie może słuchać twoich błagań. Czy naprawdę ci się zdawało, że jesteś taki dobry, żeby miała dla ciebie zrezygnować z podrywów? - pyta i nazywa cię głupim, żalonym kutasem. Dostajesz szału. Zastanawiasz się, kto dał tej gówniarze prawo, by traktowała cię w ten sposób. Kto pozwolił jej, żeby dzwoniła do Paris Gibson i opowiadała całemu światu, jaki jesteś beznadziejny. Kim ona w ogóle jest? Armstrong słuchał słów Deana jak zaczarowany. A ten ciągnął.

- Kiedy wsiadałeś do auta Janey, wcale nie planowałeś, że porwiesz ją i zamordujesz. Planowałeś co najwyżej, że się z nią szczerze rozmówisz, przygwoździsz jej kręćactwa swoimi oskarżeniami, oczyścisz atmosferę. I kto wie, gdyby nie zaczęła z ciebie drwić w żywe oczy, wszystko rozeszłoby się po kościach. Ale ona bezczelnie śmiała ci się prosto w twarz. Poniżyła cię swoją pogardą, obraziła do żywego. Nie mogłeś tego dłużej znieść. Straciłeś nad sobą kontrolę. Chciałeś wymierzyć jej karę. Wymyśliłeś sobie, że potraktujesz ją tak, jak na to zasługuje, że będziesz ją torturował i gwałcił. Dręczyłeś ją przez dwa dni, póki nie uznałeś, że zemsta się

dopełniła. Więc olałeś obietnicę daną Paris i udusiłeś Janey.

Armstrong miał przerażenie w oczach. Poszukał ratunku u Curtisa, którego oblicze było nadal jak z kamienia. A potem położył głowę na stole i zaczął łkać.

- Boże, Boże - powtarzał umęczonym, łamiącym się głosem.

Adwokat poprosił o parę minut sam na sam z klientem. Dean i Curtis uszanowali jego prośbę i opuścili pokój. Curtis uśmiechnął się i zatarł ręce, zadowolony, że już ma, czego chciał.

- Jeszcze się nie przyznał - ostudził go Dean.

- Wystarczy przynieść pióro i papier. A tak nawiasem mówiąc, chciałem ci pogratulować. Dobry jesteś.

- Dzięki - odparł Dean machinalnie. Mieli za sobą dopiero pierwszą rundę prawdopodobnie bardzo długiego i wyczerpującego przesłuchania, a w dodatku kilka rzeczy nie dawało mu spokoju. - Żałuję, że nie zapytałem, czy słuchał przez radio Janey, kiedy opowiadała o zazdrosnym kochanku, którego zamierza rzucić.

- Zrobiłeś taką aluzję, a on nie zaprzeczył.

- Ale zaprzeczył, że rozmawiał z Paris o Janey.

Zanim go zapytałem, a to dla mnie oznacza, że przyznał się do winy - zaoponował detektyw.

Wiedział sporo o Paris, ponieważ o tym pisano i mówiono. Ale billingi wskazują, że ostatnio z nią nie rozmawiał.

Mógł skorzystać z takich połączeń, których nie rejestrują billingi.

Nigdy go nie przyłapano na szantażu przez telefon. To nie w jego stylu.

Dlaczego teraz miałby to robić?

Może szukał nowej podniety. Po pierwsze, udawanie Valentina go rajcowało, a po drugie, było dobrą metodą na zastraszenie Paris. Chciał psychicznego kopa i pragnął zemsty. Obie te rzeczy połączył pomysł z telefonem. -

Wyjaśnienie Curtisa trzymało się kupy, ale było zbyt wyrozumowane.

W telefonach Valentina było mnóstwo perfidii i zła, a tego brak Armstrongowi. Jest chory, ale nie z gruntu podły.

Podenerwowany Curtis wzruszył gniewnie ramionami?

Trzymajmy się faktów, a nie motywacji.

Na przykład?

Weź pod uwagę jego zawód. To dentysta.

Obeznany z chemikaliami - zaczął głośno myśleć Dean. Ekspert od medycyny sądowej stwierdził, że ciało Janey zostało dokładnie zdezynfekowane, podobnie jak ciało Maddie Robinson. - Tu masz rację.

Lekarz mógł to zrobić z łatwością.

Lekarz i psychopata. To kompulsywny odruch zacierania po sobie śladów.

Armstrong pasuje do obu kategorii.

Dean spojrzał na drzwi pokoju przesłuchań.

Ale Janey była przetrzymywana. Torturowana. Pogryziona.

Zrobimy dla porównania odciski jego zębów.

Mnie chodzi o to, że Armstrong nigdy w przeszłości nie wykazywał skłonności do tego rodzaju przemocy. To wariat, ale chyba nie jest niebezpieczny.

- Do czego zmierzasz, Malloy? - spytał Curtis rozeźlonym tonem. - Własna żona Armstronga

powiedziała, że jego agresywne skłonności się nasilały. Ty też mówiłeś, że to proces właściwy dla takich przypadków psychozy. Zamierzasz teraz kwestionować własne ustalenia?

- Pamiętam, co mówiłem, i to była prawda.

- Dobra. Dzisiaj pobił Melissę Hatcher.

- Między pobiciem kobiety a rozmyślnym torturowaniem jej przez dłuższy czas, a potem zamordowaniem, jest kolosalna różnica.

- Nie dla mnie. I nie dla ofiary, którą ktoś bije.

- Nie udawaj, że jesteś taki tępy, Curtis. - Dean się rozzłościł. - Ja się nie usprawiedliwiam, tylko chcę powiedzieć, że...

- Dobrze wiem, co chcesz powiedzieć - warknął Curtis i wypuścił głośno powietrze, żeby się uspokoić. Kiedy ochłonął, zapytał: - Co ci jeszcze nie pasuje?

- Zdjęcia.

- Przecież Armstrong się przyznał, że mógł robić Janey zdjęcia.

- Mógł. Jakieś zdjęcia. Mówił o tym jak o strzelaniu fotek na imieninach. A Janey mówiła zupełnie co innego. Zanim wrócimy do Armstronga, możemy jeszcze raz zapytać o to Gavina. Chcesz?

- Pójdę na wszystko, żeby przygwoździć mordercę.

Dean wyszedł na główny korytarz i kiwnął na Gavina. Chłopak stał koło Melissy i dwójki dorosłych, którzy prawdopodobnie byli jej rodzicami.

- No i co, tato? Przyznał się? - zapytał chłopak.

- Jeszcze nie. Chciałbym, żebyś teraz porozmawiał z sierżantem Curtisem. Powiedz mu wszystko, co Janey ci mówiła na temat Valentina. Każdy najmniejszy szczegół, jaki zapamiętałeś, dobrze?

- Już ze sto razy to opowiadałem.

- Zrób to jeszcze raz. Proszę cię.

Zastali Curtisa przy automacie. zaproponował im kawę, ale odmówili. Curtis upił łyk płynu ze styropianowego kubeczka i powiedział:

- To pewnie nic nie da, ale nawet pół słowa Janey może okazać się ważne, Gavin.

- Chciałbym sobie przypomnieć coś jeszcze, ale wątpię, czy to coś da. Mówiła, że jest starszy. Starszy od nas, to miała na myśli. I że jest super, że wie, jak należy postępować z kobietą.

- Bardziej interesują nas zdjęcia - powiedział Dean.

- Twierdziła, że ma fioła na punkcie fotografii. Że ma reflektory, obiektywy i w ogóle strasznie skomplikowany sprzęt. Robił jej takie zdjęcia jak w studiu. Ustawiał jej w różnych pozycjach głowę, ręce i nogi. Musiała mu pozować.

- Nie sądzisz, że trochę przesadzała, by zrobić na tobie wrażenie? Żebyś ją uważał za zawodową modelkę, taką jak z „Penthouse’a”?

- Możliwe. Ale nawet jeśli przesadzała, to tylko trochę, bo mnóstwo wiedziała na ten temat. Opowiadała mi o ujęciach z żabiej perspektywy, o różnych planach i w ogóle. Mówiła, że do każdego zdjęcia używał mnóstwa gadżetów i że złościł się na nią, gdy się nie przykładała do pozowania.

- Sam widzisz, że nie chodziło tylko o strzelanie świńskich fotek - powiedział Dean do Curtisa. - Jeśli się dobrze przyjrzyysz fotografii, którą Janey dała Gavinowi, to zobaczysz, że była zrobiona przez amatora z artystycznymi ambicjami.

- Uważasz, że Armstrong nie byłby do tego zdolny?

- Zdolny to on może by był, ale pomyśl o jednym. Czy miałbyś możliwość tracić tyle czasu i tak się cackać z pozwaniem, gdyby w domu czekała na ciebie podejrzliwa żona? To mało prawdopodobne.

Curtis zastanawiał się nad słowami Deana. Nagle spojrzał nad jego ramieniem.

- Co ty tu robisz? - spytał gniewnie.

Dean obejrzał się i zobaczył zbliżającego się ku nim Griggsa. Kiedy młody policjant usłyszał ton przełożonego, uśmiech zamarł mu na ustach.

- Ja... Zostaliśmy odwołani, sir. Kazano nam wracać na posterunek. Ale byłem ciekaw, czy Armstrong się przyznał, więc zamiast tam przyjechałem tutaj.

- Zostawiłeś Paris? - spytał Dean.

- No tak, bo...

- Kto ci dał taki rozkaz?

- John Rondeau.

Dean kątem oka zauważył reakcję syna na dźwięk tego nazwiska. I nie była to zwykła niechęć, ale strach.

- Co jest, Gavinie? - Chłopak zbladł jak ściana. - Gavinie?!

- Tato... - Gavin przełknął ślinę, jakby utracił głos. - Muszę ci chyba coś powiedzieć.

Rozdział 34

Sączące się przez szklane ściany zimne, fluorescencyjne oświetlenie holu tylko w niewielkim stopniu rozpraszało mrok, zwłaszcza że światła śródmieścia zasłaniały okoliczne wzgórza. Księżyc w nowiu ledwo błyskał. O tej porze ulicą z rzadka przemykał jakiś samochód. Najbliższy biurowiec znajdował się jakiś kilometr dalej, a jego recepcję zamykano o dziesiątej wieczorem. Z okien studia 101,3 FM widać było tylko wzgórza porośnięte cedrowymi drzewami, wapienne zbocza i od czasu do czasu stado bydła. Idealne miejsce do ustawienia wieży transmisyjnej, na której wierzchołku błyskały czerwone światła - ostrzeżenie dla nisko latających prywatnych samolotów.

John Rondeau skulił się za swoim samochodem, póki za zakrętem nie znikły tylne światła patrolowego wozu Griggsa. Pokiwał głową nad niekompetencją funkcjonariuszy, których tak łatwo wywiódł w pole. Przed przyjęciem rozkazu, który pochodził rzekomo prosto od Curtisa, powinni go zweryfikować, zamiast wierzyć na słowo. Takie zaniedbanie było czymś niedopuszczalnym. Jutro staną za to do raportu. Nie przysporzy mu to popularności, ale w końcu karierę robi się zawsze kosztem innych.

Rondeau podszedł do drzwi z aktami Staną Crenshawa pod pachą. Wyłaniał się z nich pełen sprzeczności obraz osobnika pochodzącego z toksycznej rodziny, mającego od dziecka kłopoty z własną seksualnością, który śmiało mógł się dopuścić zwyrodniałych czynów Valentina. Rondeau oburzał fakt, że Crenshawowi wszystko dotąd uchodziło na sucho. Stryj wyciągał go z każdej opresji i tym samym stopniowo hodował potwora zdolnego do porwania, gwałcenia, torturowania i zamordowania pięknej młodej dziewczyny.

Curtis, skoncentrowany na osobie Brada Armstronga, zlekceważył demaskujące Crenshawa fakty zawarte w aktach. Z początku Rondeau był oburzony, ale zaraz uznał, że taki układ pracuje na jego korzyść. Tępy Curtis dał mu wspaniałą okazję. Teraz wreszcie zabłyśnie. Zastukał do szklanych drzwi.

Nie musiał długo czekać na tego beznadziejnego mydłka Crenshawa. Pojawił się na końcu ciemnego korytarza i ostrożnie zbliżył się do drzwi, próbując zobaczyć, kto się dobija. Na zewnątrz była czarna noc, więc szkło odbijało jak lustro jego własną postać. Crenshaw zrobił z dłoni daszek nad oczami, usiłując rozpoznać przybysza. Zmierzył Rondeau bezczelnym spojrzeniem gówniarza z bogatej rodziny, po czym spojrzał na parking, gdzie już nie było patrolu. Zrobił się podejrzliwy. - Gdzie są policjanci? - zapytał.

Rondeau pomachał mu przed nosem plakiem, w duchu radując się swoim przyszłym sukcesem. To był dobrze znany wam Johnny Mathis i jego piosenka *Misty*, idealna dla relaksu. Mam nadzieję, że w towarzystwie najbliższej osoby słuchacie wraz ze mną klasycznych piosenek miłosnych na 101,3 FM. Mówi Paris Gibson.

Zbliża się północ. W nowy dzień wkraczamy z piosenką Melissy Manchester *I Don't Know How to Love Him*. Linie telefoniczne są wolne. Dzwońcie do mnie.

Gdy zaczęła się piosenka, Paris wyłączyła mikrofon. Na konsoli migały dwa światełka.

Nacisnęła jeden z guzików, ale odpowiedziało jej tylko buczenie. Widocznie słuchacz znudził się czekaniem i dał za wygraną. Włączyła drugą rozmowę.

Cześć, Paris.

Zamarła, póki fala adrenaliny nie sprawiła, że jej serce zaczęło bić w tempie sprintera dobiegającego do mety.

Kto mówi?

Wiesz, kto mówi. - Jego śmiech był jeszcze bardziej złowieszczy niż znany jej już stłumiony głos. - Twój wierny wielbiciel, Valentino.

Gorączkowo obejrzała się przez ramię w nadziei, że Stan po cichu wrócił do studia. Teraz dałaby wszystko za jego towarzystwo. Ale była sama.

Jakim cudem...

Wiem, wiem, twojemu nowemu narzeczonemu zdawało się, że złapał winnego. Jego egoistyczna pewność siebie byłaby śmieszna, gdyby nie była taka żalosna. - Znów się zaśmiał. Paris dostała od tego gęziej skórki. - Byłem bardzo niegrzeczny, prawda, Paris?

Zaschło jej w ustach. Słyszała bicie własnego serca i pulsowanie krwi. Zmusiła się, by się uspokoić i zacząć myśleć. Powinna natychmiast zawiadomić Deana, Curtisa i Griggsa na parkingu, że złapali niewłaściwą osobę i Valentino wciąż jest na wolności. Tylko jak?

Bardzo prosto. Miała w ręku potężną broń - mikrofon. Setki tysięcy ludzi siedziało przy odbiornikach. Ale zanim sięgnęła po niego, zawahała się. Czy powinna kompromitować departament policji w Austin taką informacją? A co będzie, jeśli telefon okaże się ponurym żartem, pułapką, którą ktoś na nią zastawił? Co będzie, jeśli miasto wpadnie w panikę? Lepiej będzie grać na zwłokę i pozwolić Valentinowi mówić, próbując tymczasem znaleźć inne wyjście.

- Przede wszystkim jesteś wstrętnym kłamcą, Valentino. Nie dotrzymałeś obiecanego terminu.

- To prawda. Nie szanuję takiego pojęcia jak honor.

- Zamordowałeś Janey, nie dałeś mi szansy jej uratować.

- To było nie po harcersku, co, Paris? Ale nigdy ci nie mówiłem, że jestem uczciwy.

- To po co w ogóle do mnie dzwoniłeś? Jeśli od początku miałeś zamiar ją zabić, to po co ci była ta skomplikowana kombinacja z telefonami?

- Żeby ci dać w kość. Udało się, co? Musisz się czuć podle, byłaś zupełnie bezradna. Nie zdołałaś ocalić życia tej małej kurewki.

Paris nie dała się złapać na tę przynętę. Cokolwiek by zrobiła, Janey i tak była skazana na śmierć. Ale chciała się odegrać, a jedynym sposobem było znalezienie tego sukinsyna i postawienie go przed sądem. Wchodzenie z nim w spory nie przybliżyłoby jej do celu. Mogła próbować zawiadomić Deana przez komórkę, ale jak na złość zostawiła torbę w biurze. Mogła doprowadzić do awarii jakiegoś urządzenia, co zaalarmowałoby Staną. Piosenka Melissy Manchester już się kończyła, a była ostatnia w potrójnym bloku. Kiedy na antenie zapadnie cisza, Stan na pewno przybiegnie do studia. Gorączkowy tok jej myśli przerwał głos Valentina.

- Ona musiała umrzeć. Za karę, że mnie robiła w balona. Ta dziwka była pozbawiona wyższych uczuć. Miałem satysfakcję, patrząc, jak powoli zdycha. Na szczęście jeszcze za życia zrozumiała, że już się nie wywinie. Dobrze wiedziała, co ją przy mnie czeka.

- Musiało cię to nieźle kręcić.

- A żebyś wiedziała. Jeszcze jak. Patrzyła na mnie takim błagalnym wzrokiem, aż się serce krajało.

- Ty psycholu! Ty skurwysynie! - Jego słowa jednak sprowokowały Paris i nie wytrzymała w swym postanowieniu.

- Uważasz, że jestem psychiczny? - powiedział z zadowoleniem. - To ciekawe, Paris. Fakt, że torturowałem i zabiłem Janey, ale ty przecież też torturowałaś i zabiłaś swojego narzeczonego. Bo czy się nie męczył, wiedząc, że przyprawiłaś mu rogi z najlepszym przyjacielem? Siebie też uważasz za psycholkę?

- Nie ja rozbiłam samochód Jacka, on sam to zrobił. Chciał doprowadzić do wypadku. To on zdecydował o swoim życiu, nie ja.

- Nieżle to sobie wszystko racjonalizujesz - powiedział karcącym tonem kaznodziei - ale ja nie widzę różnicy między moim a twoim postępkami. Poza tym, że twój naręczony męczył się znacznie dłużej i umierał na raty. Co oznacza, że jesteś o wiele bardziej okrutna niż ja, prawda? I dlatego spotka cię kara. Uważasz, że powinienem puścić to płazem i pozwolić, żebyś odtąd żyła długo i szczęśliwie z Malloyem? Nie-ma-mo-wy - zanucił złośliwie. - Nie czeka was świetlana przyszłość. Ty umrzesz, Paris. I to jeszcze tej nocy. Połączenie zostało przerwane. Paris natychmiast włączyła bezpośrednie wyjście na miasto. I nic. Cisza. Po kolei próbowała uruchomić wszystkie linie, ale nie działały. Powoli docierało do niej, co się stało. Albo zdołał unieszkodliwić cały system komputerowy z zewnątrz, albo, czego bała się najbardziej, wślizgnął się do budynku i zrobił to bezpośrednio. Wstała, otworzyła drzwi i krzyknęła w głąb korytarza:

- Stan!

Cichła już piosenka Webbera. Paris podbiegła do konsoli i włączyła mikrofon.

- Halo, mówi Paris Gibson - zapiszczała wysokim głosem, zupełnie niepodobnym do normalnego, ciepłego altu. - To nie jest...

Przerwał jej przenikliwy dzwonek alarmowy. Poszukała oczami jego źródła. Dźwięk dobiegał ze skanera, który rejestrował to, co szło na antenę. Sygnalizował przerwę w transmisji.

Ogarnęła ją groza. Jak szalona waliła w przycisk mikrofonu, ale odpowiedzią była głucha cisza. Zgasły wszystkie światła na konsoli.

- Stan!

W mgnieniu oka znalazła się na korytarzu. Biegła do biura, ścigana echem własnego głosu. Torebka była tam, gdzie ją zostawiła, ale jej zawartość ktoś rozsypał na blat biurka. Drżącymi rękami przebierała wśród kosmetyków, chusteczek i drobnych, właściwie już bez nadziei, że znajdzie swój telefon. Nie było go. Nie było także kluczy.

Gorączkowo zaczęła przerzucać sterty listów. Padła na kolana i zajrzała pod biurko, choć wiedziała, że zarówno telefon, jak klucze zostały zabrane przez osobnika, który uszkodził komputery i przerwał transmisję. Zrobił to ten sam człowiek, który najpierw zabił Janey, a teraz groził, że zabije ją.

Valentino.

Oddychała tak ciężko, że nie słyszała żadnych innych dźwięków. Uspokoili się jednak i zaczęła nasłuchiwać. Podpełzła do uchylonych drzwi, ale zawahała się i przystanęła. Hol, jak zawsze, pogrążony był w mroku. Dziś jednak znajoma ciemność nie niosła uczucia bezpieczeństwa i spokoju. Miała w sobie coś złowieszczonego, może dlatego, że w gmachu panowała grobowa cisza.

Zastanawiała się, gdzie się podział Stan. Czyżby nie zauważył, że radio milczy? Jeśli zajrzał do studia i zobaczył, że jej tam nie ma, to powinien zacząć jej szukać, oblecieć korytarze i wołać, póki nie odpowie. Ale odpowiedź nasunęła się sama już w chwili pytania. Stan nie szukał jej, bo nie

mógł.

Valentino musiał go dopaść jeszcze przed telefonem do niej. Zapewne już od jakiegoś czasu czatował w budynku, o czym ona nie miała pojęcia, zamknięta za dźwiękoszczelnymi drzwiami studia. Ale jak zmylił Griggsa i Carsona? A skoro już to zrobił, to kto go wpuścił do środka? Do tego potrzebne były klucze, zarówno żeby wejść, jak i wyjść. Czyżby zdołał namówić Staną, by ten otworzył mu drzwi? Jak go przekonał?

Na te wszystkie pytania nie miała teraz odpowiedzi. Kusilo ją, żeby zatrzaskać się od środka w biurze i czekać na pomoc. Słuchacze na pewno się niepokoją, dlaczego stacja zamilkła. Prawdopodobnie Dean i Curtis już wiedzą. Niedługo ktoś przyjedzie na ratunek. Paris uznała jednak, że nie powinna czekać tutaj. Bała się, że coś się mogło stać Griggswi i Carsonowi. Bała się też o Staną.

Wyszła na korytarz. Przycisnąwszy się plecami do ściany, by lepiej widzieć, co się dzieje po prawej i lewej stronie, zaczęła pomału przesuwac się w stronę drzwi wejściowych. Idąc, wyłączała po kolei wszystkie światła. Jedyńa jej przewagą nad Valentinem było to, że doskonale znała rozkład budynku. Mogła się po nim poruszać z zamkniętymi oczami.

Szła coraz szybciej, choć cicho i ostrożnie. Po drodze sprawdzała każdy korytarz, w strachu, że ktoś może czaić się za rogiem. Doszła do ostatniego rozgałęzienia. Droga do jasno oświetlonej recepcji przy głównym wejściu była wolna. Pokonała biegiem ostatni odcinek i zaczęła bębnić pięściami w szklane drzwi, by zaalarmować patrol. Tymczasem policjanci zniknęli, a drzwi były zablokowane.

Z cichym szlochem odeszła od drzwi i oparła się o biurko recepcjonistki. Musiała się uspokoić, odzyskać oddech i pomyśleć, co robić dalej. Nagle jakaś ręka schwyciła ją za kostkę. Paris wrzasnęła.

Ręka należała do mężczyzny leżącego pod biurkiem. Ale zanim Paris zaczęła się szarpać, jego uścisk zelżał i dłoń bezwładnie opadła na podłogę. Okrzyła biurko i kucnęła nad nieprzytomnym, leżącym na brzuchu człowiekiem. Obróciła go twarzą do góry. John Rondeau jęknął. Jego gałki oczne drgały pod powiekami, ale nie otwierał oczu. Z rany na głowie obficie sączyła się krew. Paris odetchnęła z ulgą i zaczęła go cucić.

- John! Obudź się, John! Błagam!

Poklepała go lekko po policzku, ale znów tylko jęknął, a jego głowa przechyliła się w drugą stronę. Wciąż był nieprzytomny. Tuż przy nim leżała zszywka z jakimiś oficjalnymi dokumentami. Na naklejce widniało nazwisko - Stan Crenshaw. Poczowała skurcz żołądka. Boże!

Więc to Stan? Jednak to on? A właściwie, dlaczego nie, pomyślała. Udając, że ma dwie lewe ręce, budował sobie doskonałe alibi. Miał dość czasu i okazji, by popełniać zbrodnie. Całe dni wolne, a także wieczory i resztę nocy po jej programie. Posiadał dość umiejętności, żeby przełączać telefony na inne linie. Zawsze interesował się elektronicznymi gadżetami. Wśród nich mógł się znaleźć fotograficzny aparat cyfrowy. Był też wystarczająco przystojny, by podrywać żądne przygód nastolatki.

Jego dzieciństwo i młodość upłynęły w takiej atmosferze, że mógł mieć aż nadto powodów, by mścić się na kobietach, które go zawiodły. Paris uprzytomniła sobie z przeraźliwą jasnością, że dziś wieczór ona także go odrzuciła.

- Zaraz tu przyjadą - szepnęła do ucha Rondeau. Nie reagował, całkowicie stracił przytomność.

W tych okolicznościach była zdana wyłącznie na siebie. Nie miała zamiaru biernie siedzieć i

czekać na Valentina. Sama postanowiła go znaleźć. Szybkim ruchem obszukała ubranie Rondeau. Nie wiedziała, czy gliniarze od komputerów także noszą broń, ale miała taką nadzieję. Nie zносиła pistoletów i w ogóle wszystkiego, co strzela, ale w obronie własnego życia nie wahałaby się ani chwili. Odetchnęła, gdy wyczuła pod marynarką kaburę. Sięgnęła tam, ale kabura była pusta.

Stan musiał wpaść na ten sam pomysł i teraz on był uzbrojony. Mruczając do Rondeau słowa otuchy, w które sama bardzo pragnęła wierzyć, ostrożnie opuściła mizerną kryjówkę za biurkiem.

Wychodząc z holu, na wszelki wypadek wyłączyła światło, choć wiedziała, że Stan zna budynek równie dobrze, jak ona. W tym wypadku ciemność nie była już jej sprzymierzeńcem. Tyle że nie zamierzała się dalej kryć. Byli tu ze Stanem tylko we dwoje, jak wiele razy przedtem. Nie chciała się z nim bawić w kotka i myszkę. Jeśli odważnie stawi mu czoło i wciągnie w rozmowę, może go skutecznie zaabsorbować aż do chwili, gdy nadejdzie pomoc.

Pracownia inżynierów była pusta, podobnie jak męska toaleta i kuchnia. W pokojach biurowych, również swoim własnym, nie znalazła żywej duszy. Posuwała się teraz na tyły gmachu, gdzie mieścił się duży magazyn. Drzwi były zamknięte.

Dotknęła zimnego metalu klamki i otworzyła je. Jej nozdrza wypełnił odór starych, zakurzonych gratów. Pomieszczenie było rozległe i ciemne, jeszcze bardziej mroczne niż reszta budynku. Tylko przez otwarte drzwi kładła się na betonowej podłodze smuga światła, tak słaba, że trudno było cokolwiek zobaczyć.

Stała przez chwilę u wejścia, przyzwyczajając oczy do mroku. Jej wzrok padł na szafę w ścianie, gdzie Marvin Lancy trzymał swoje wiadra i szczotki. Drzwi były uchylone. Natężyła słuch. Zdawało jej się, że słyszy dobiegające ze środka sapanie. - Stan, to jakaś głupia zabawa. Wyjdź natychmiast. Przestań szaleć, zanim jeszcze komuś stanie się coś złego. Nie wyłączając ciebie. - Zebrawszy się na odwagę, postąpiła kilka kroków naprzód. - Wiem, że masz broń, ale nie wierzę, byś chciał mnie zabić. Gdybyś naprawdę chciał, to miałeś ku temu mnóstwo okazji.

Miała wrażenie, że oddech stał się głośniejszy i szybszy. Nie wiedziała, czy nie są to omamy słuchowe albo efekt rozbudzonej wyobraźni.

- Wiem, że jesteś na mnie zły, bo uraziłam twoje uczucia, ale dopiero dzisiaj dowiedziałam się, że coś do mnie czujesz. Chciałabym, byśmy o tym porozmawiali.

Na palcach podeszła do szafy, jednocześnie nasłuchując, czy korytarzem ktoś nie nadchodzi. Lada chwila spodziewała się pomocy. Być może strzelcy z jednostki specjalnej już ustawiają się na pozycjach, a oficer dowodzący posyła brygadę na dach, pomyślała. A może po prostu naoglądała się za dużo filmów akcji. Przystanęła o parę kroków od szafy.

- Stan? - Otworzyła drzwi na całą szerokość. Nie rozległ się żaden strzał, ale w ciszy oddech był już wyraźnie słyszalny. Przypomniała sobie, co ten człowiek zrobił Janey. Teraz, kiedy go zdemaskowała, mógł zachować się zupełnie niepoczytalnie. Nie była przygotowana do rozgrywania takiej sytuacji. Na jej miejscu powinien być tu Dean.

Dean, krzyczało jej przerażone, stęsknione serce. Uczyniła ostatni krok i wtedy zobaczyła Staną.

Dyszał ciężko przez nos, bo usta miał zalepione taśmą. Taką samą taśmą skrępowano mu przeguby i kostki. Zgiętego niemal w pół, zapakowano do ciasnej stalowej szafy.

- Stan! Co... - Sięgnęła do jego ust, by odlepić taśmę, gdy nagle ujrzała w przestraszonych, rozszerzonych oczach niemal obłądne przerażenie. Spoglądał nad jej ramieniem.

Odwróciła głowę.

- Niespodzianka! - powiedział John Rondeau. Był to głos Valentina.

Rozdział 35

- Psiakrew, psiakrew, psiakrew! - powtarzał Dean, jedną ręką wybierając w pośpiechu numery na komórce. Drugą ścisnął kierownicę. Bezpośredni telefon Paris nie odpowiadał, a z centrali odzywała się tylko automatyczna sekretarka, informując, że wybrany rozmówca skontaktuje się najszybciej, jak to będzie możliwe. Komórki Paris nie odbierała, odzywała się jedynie poczta głosowa.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś o Rondeau? - zdenerwowany Curtis również trzymał komórkę, czekając na informacje, jakie jego ludzie zbiorą o Johnie Rondeau.

- Usłyszałeś o nim w tym samym momencie, co ja.

Curtis był z Deanem, gdy Gavin wreszcie puścił farbę. Trudno powiedzieć, który z nich zareagował pierwszy. Dean pamiętał tylko, jak popchnął Curtisa, który zagrażał mu drogę. Ocknął się z szoku na dźwięk głosu sierżanta, wzywającego jednostkę specjalną. Ale nie zamierzał na nikogo czekać, zresztą Curtis również, bo wraz z nim wybiegł na klatkę i w dół schodami, przeskakując w pośpiechu po trzy stopnie. Zbiegli do podziemnego garażu. Samochód Deana stał bliżej. Na razie bili na czas pozostałe wozy.

- Ale nie powiedziałeś mi, że Rondeau zaatakował twojego chłopaka w kiblu.

- Bo uznałem to za prywatną sprawę między mną a tym gnojkiem.

- Niby gnojek, ale... - Curtis urwał nagle. - Tak, tak - powiedział do telefonu. - Dawajcie, co tam macie.

Gdy Curtis słuchał raportu, Dean znów gorączkowo próbował złapać Paris. Znów mu się nie udało, więc zaklął soczyście i wdepnął mocniej pedał gazu. Dokładnie w tym samym momencie zamilkło radio. Wszystkie inne częstotliwości, co sprawdził, były w porządku. Na 101,3 FM, zamiast głosu Paris, rozlegał się tylko ciągły elektroniczny pisk, dla jego uszu bardziej przeraźliwy niż wołanie o pomoc.

- Przestali nadawać.

- Co? - powiedział Curtis, zaabsorbowany swoją rozmową.

- Ona przestała mówić. Nie nadaje.

- Boże! - Curtis szybko skończył rozmowę i wyłączył telefon.

- Co ci powiedzieli? Gadaj. - Dean wziął zakręt prawie na dwóch kołach.

- Rondeau nie znał ojca. W tej rodzinie nigdy nie było mężczyzny. Sprawdzają, czy pan Rondeau umarł, jak John był mały, czy może w ogóle nie istniał. John nie miał żadnych męskich wzorów, żadnego wuja ani stryja, nie należał do skautów.

- Kumam, leć dalej.

- Matka samotnie wychowywała jego i starszą o rok siostrę.

- Co one o nim mówią?

- Nic. Obie nie żyją.

- Mnie mówił o nich w czasie teraźniejszym.

- Obie zostały zamordowane we własnym domu, kiedy John miał czternaście lat. To on znalazł ciała. Siostra została utopiona w wannie. Matce ktoś wbił szpikulec do lodu w rdzeń kręgowy podczas poobiedniej drzemki.

- Kto?

- Sprawca nieznany. Dochodzenie zamknięto.

- Właśnie je otworzyliśmy. - Palce Deana zbieleły od kurczowego ściskania kierownicy.

- Nic nie wiadomo. - Curtis czytał w jego myślach. - Chłopiec był przesłuchiwany, ale nigdy nie podejrzewano go o zbrodnię. Matka i dzieci stanowili bardzo zżyłą rodzinę. Rodzeństwo nieomal się nie rozstawało, żyli jak bliźnięta. Byli sobie bardzo oddani.

- Wyobrażam sobie - prychnął z sarkazmem Dean. - Bardzo oddani.

- Myślisz o kazirodztwie?

Zachowanie Valentina jest symptomatyczne. Dlaczego tego wszystkiego nie było w oficjalnych dokumentach Rondeau?

Same fakty były znane. Policyjny dział personalny dokładnie prześwietla każdego kandydata.

Ale nikt się nie zainteresował, jak chłopak zniósł nagłą utratę najbliższej rodziny. Nikomu do głowy nie przyszło doszukiwać się kazirodztwa. No i co się dalej działo z małym Johnem po tym podwójnym morderstwie?

Poszedł do rodziny zastępczej. Mieszkał u niej aż do uzyskania pełnoletniości.

Mieli własne dzieci? - Nie.

No to ich szczęście. Jak mu się układało z przybranym ojcem?

Nie było żadnych problemów. Ci ludzie świata poza nim nie widzieli.

Szczególnie żona.

Tego nie wiem, ale wydali mu brylantową opinię. Był idealnym dzieckiem.

Grzecznym, dobrze wychowanym.

Większość psychopatów ma taką przeszłość.

Na studiach wyróżniał się w nauce - ciągnął Curtis. - W szkole nie sprawiał żadnych kłopotów. Dwa lata chodził do college'u, nim złożył papiery do akademii policyjnej. Zawsze chciał zostać policjantem.

Niech no zgadnę. Jako motyw podał, że chce chronić kobiety przed strasznym losem, jaki spotkał jego matkę i siostrę.

Faktycznie, zgadza się. - Curtis spojrzał na Deana. - Jest tylko jeden drobny szczegół...

Słucham.

Siostra zginęła, kiedy była w piątym miesiącu ciąży. Dean spojrzał pytająco na detektywa.

Nie - powiedział Curtis. - Sprawdzono, to nie było dziecko Rondeau.

Mogłem się założyć - mruknął ponuro Dean. - I za karę ją zabił.

Zadzwoiła komórka Curtisa.

- Słucham?

Dean widział już błyskającą czerwono wieżę radiostacji. Ile mieli do celu? Dwa kilometry? Przepuścił vana brygady specjalnej, który siedział im od jakiegoś czasu na ogonie. Samochód jechał bardzo szybko, ale nie aż tak szybko, jak Dean by sobie tego życzył. Za nimi podążała cała kawalkada policyjnych aut. Na końcu konwoju jechał ambulans. Dean próbował o tym nie myśleć. Na szczęście Curtis skończył i znów mogli rozmawiać.

- Przeszukali mieszkanie Rondeau. Fatalna okolica i lokal, ale w środku znaleźli mnóstwo

profesjonalnego sprzętu i album ze zdjęciami pornograficznymi. Pełno zdjęć Janey, jasne włosy na posłaniu. Tym razem go mamy.

Dean zacisnął zęby tak mocno, że rozboleły go szczęki. Curtis sprawdził broń przy pasku i drugi pistolet przy kostce.

- Masz gnata?

- Tak. Noszę go, odkąd on zaczął grozić Paris.

- To dobrze, ale posłuchaj mojej rady. Usuń się z drogi, niech chłopaki z brygady antyterrorystycznej zrobią swoje. Zrozumiałeś?

- Rozkaz, sierżancie.

Curtis zrozumiał aluzję, kto tu jest wyższy rangą, ale przeszedł nad tym do porządku.

- Jeśli wpadniesz tam wściekły, możesz zrobić coś głupiego, co skomplikuje nam śledztwo i da temu gnojowi powody, by oskarżyć policję.

- Mówiłem, że rozumiem. - I jesteś spokojny?

- Jestem.

- Chciałbym mieć tę różnicę w dolarach - mruknął Curtis, chowając pistolet do kabury.

- Dobrze mówisz - powiedział Dean. - Jeśli tylko Paris spadnie włos z głowy, zabiję go.

Paris zagapiła się na uśmiech Johna Rondeau, ale jej osłupienie trwało zaledwie moment. Ruszyła do ataku. Z całej siły pchnęła go w pierś, lecz odepchnął ją, aż poleciała na metalowe drzwi. Strzelił do Stana. Ogłuszył ją huk, a może tylko własny krzyk.

- Zamknij się! Rondeau uderzył Paris w twarz, po czym złapał ją za włosy i odciągnął od drzwi szafy, zamykając je kopniakiem. Z całej siły pchnął ją, aż upadła na betonową podłogę.

- Cześć, Paris - powiedział zimnym, doskonale znanym jej głosem.

- Zabiłeś go?

- Crenshawa? Mam nadzieję. Właśnie w tym celu strzeliłem mu prosto w serce. Co za dupek. Chociaż przyznaję, że go nie doceniłem. On mi to zrobił. - Wskazał krwawą ranę na głowie. - Z początku był potulny. Pokazał mi, jak wyłączyć nadajnik. Oczywiście trzymałem go na muszce. A potem w żaloszny sposób usiłował cię bronić. Walnął mnie butelką snapple'a. - Rondeau wciąż mówi! głosem Valentina.

- Ten głos... To jakaś sztuczka?

- Prawda, jaka sprytna? Nie mogłem ryzykować, bo może i wśród moich kolegów gliniarzy są fani Paris Gibson. Nie chciałem, żeby mnie rozpoznali po głosie.

- Od początku byłeś Valentinem - powiedziała z trudem. Zaszło jej w ustach, z trudem artykułowała słowa.

- Jasne. Co nas cofa do czasów... - W zadumie podrapał się lufą pistoletu po policzku. - Jakos niedługo przed Maddie Robinson.

- Więc zabiłeś już dwie kobiety.

- Błędny rachunek, Paris - uśmiechnął się przewrotnie.

- Więcej?

- Mhm.

Niech mówi, myślała. Im dłużej będzie mówił, tym większe mam szanse przeżyć.

- Za co je zabijałeś?

- Bo nie zasługiwały na to, żeby żyć - odpowiedział swym normalnym głosem.

- Oszukały cię, tak jak Janey?

- Janey, Maddie, moja siostra.

- Zabiłeś własną siostrę?

- To nie było morderstwo. Wymierzyłem jej sprawiedliwość.

- Rozumiem. Co się stało? Co ona ci zrobiła?

- Wszystko. - Zaśmiał się na to wspomnienie. - Robiliśmy ze sobą wszystko. Spałem pomiędzy nimi w jednym łóżku. Między matką a siostrą. Kojarzysz? Znacząco uniósł brwi. Jeśli miał zamiar ją zaszokować, to mu się udało, choć Paris nie dała tego po sobie poznać. Nie chciała okazać wstrętu, żeby nie miał satysfakcji.

- U nas wszystko zostawało w rodzinie. To był nasz mały sekret - ciągnął scenicznym szeptem. - „Tylko nikomu nie mówcie - przestrzegala nas mama. - Bo jak się wygadacie, to zabiorą was ode mnie i zamkną w przytułku dla niegrzecznych dziewczynek i chłopców, którzy lubią się bawić swoimi siusiakami i cipkami. Obiecujecie? A teraz chodźcie tu, possijcie cycuszki mamusi, a ona wam za to zrobi dobrze”.

Paris czuła narastające fale mdłości. Zadowolony z siebie Rondeau opowiadał dalej.

- Ale przyszedł czas, kiedy zaczęliśmy dorastać. Siostrunia dostała robotę. Wieczorami po szkole, zamiast bawić się ze mną w to, co lubiłem najbardziej, pracowała w sklepie z płytami. Zaczęła zostawać na całe noce z chłopakiem, który też tam pracował. Okazało się, że już nie ma dla mnie czasu. Nie chciała mnie. Ciągle mówiła, że nie ma nastroju, a z tamtym pieprzyli się jak króliki. Mamusia uznała, że to bardzo dobrze, że siostrzyczka wreszcie się zakochała. „Jakie to romantyczne, prawda, Johnny?

Jestem taka szczęśliwa, a ty chyba też, synku”.

- Zamilkł nagle. Jego pierś unosił ciężki oddech, jakby miał się zaraz rozplakać. - Kochałem je. Korzystając z okazji, Paris zerknęła ku drzwiom, oceniając dystans. Otrzeźwił ją jego głośny śmiech.

- Nawet o tym nie myśl, Paris. Mała chwila zadumy nad przeszłością to jeszcze nie powód, żebym zapomniał, po co tu przyszedłem.

- Jeśli mnie zabijesz...

- Och, z całą pewnością cię zabiję, Paris, ale zwałę wszystko na Staną Crenshawa.

- Przecież on nie żyje.

- I o to chodziło. Musiałem go zabić. Wiesz, jak to się odbyło? Kiedy tu przyjechałem, znalazłem twoje zwłoki, bo udusił cię wcześniej Crenshaw, zboczeniec seksualny od przedszkola. Wszystkie dowody mam tutaj. Akta najprawdziwszego, opętanego na punkcie seksu psychopaty. Zaatakował mnie, ale opanowałem sytuację i próbowałem go powstrzymać. Jemu jednak udało się mnie zranić, co mi nasunęło pomysł, który już wypróbowałem na tobie. Sprytnie to było, co? Dałaś się nabrać, musisz przyznać, że dobrze to rozegrałem.

- Tak - przyznała.

- Wybacz, lecz nie mogłem się powstrzymać. Szczególnie mi wyszedł ten chwyt za kostkę, nie uważasz? - zachichotał. - Ale na czym to myśmy skończyli... Aha. Po bójce skrepowałem Crenshawa taśmą i wcisnąłem do szafy. Próbował stamtąd uciec, więc nie miałem wyboru i musiałem go zastrzelić.

- Bardzo sprytnie, ale biegli przyłapią cię na paru niekonsekwencjach. To nie jest idealny plan.

- Umiem wyjaśnić każdą wątpliwość.

- Jesteś taki pewny, że pomyślałeś o wszystkim, John?

- Przygotowałem się. Jestem bardzo dobrym policjantem.

- Który poluje na kobiety.

- Nigdy na żadną nie polowałem. Trudno uznać moją matkę i siostrę za ofiary. To one nauczyły mnie wszystkiego i moje kolejne dziewczyny miały z tego same korzyści. To one chciały się ze mną kochać. Z początku Maddie w ogóle mi się nie podobała. Ale zagięła na mnie parol. A potem nagle postanowiła zerwać. Coś tu się nie zgadza. - Pokręcił głową z niesmakiem. - A jeśli ci chodzi o te siksy z Sex Clubu, to na pewno nie były ofiarami. To zwykle kurwy, szukające nowej rozrywki. Nie mam żadnych wyrzutów sumienia. Kochają mnie jak szalone - wyszeptał, lubieżnie przesuwając językiem po wargach.

Paris znów musiała opanować mdłości.

- Zdaje mi się, że Janey cię nie kochała.

- Janey kochała tylko siebie. Ale podobało jej się to, co z nią robiłem. Była dziwką bez serca, która używała ludzi wyłącznie dla własnych celów. A ty ją w tym wspierałaś, Paris. Puściłaś przez radio rozmowę, w której się na mnie skarżyła. A wiesz, dlaczego? Bo jesteś dokładnie taka sama jak ona. Też lubisz sobie pograć na cudzych uczuciach. Uważasz, że każdy musi na ciebie lecieć. Dostałaś Malloya, nawet Curtis ślini się na twój widok i łasi się jak pies, żebyś go tylko pogłaskała. - Rondeau spojrział na zegarek. - A skoro już mowa o Malloyu, to muszę kończyć. Nie ma cię na antenie od przynajmniej pięciu minut.

Pięć minut? Paris wydawało się, że to trwało wieczność.

- Nie chcę, żeby ludzie zaczęli się zbytnio zastanawiać, co się stało, a twój pan psycholog zapewne niedługo tu wpadnie niczym oddział kawalerii Stanów Zjednoczonych i...

Gdzieś w głębi budynku rozległ się huk i brzęk rozbitego szkła, a potem tupot nóg na korytarzach.

Paris z całej siły kopnęła Rondeau w rzepkę kolanową. Noga się pod nim ugięła i zawył z bólu. Rzuciła się do ucieczki. Nie słyszała wystrzału, choć poczuła uderzenie. Było tak nagłe i mocne, że zabrakło jej tchu. Zemdlałaby na miejscu, gdyby nie adrenalina, która buzowała jej w żyłach. Wypadła za drzwi, poza jego pole widzenia, i dopiero wtedy upadła. Próbowwała zawołać, dać znać policjantom, gdzie się znajduje, ale zdobyła się jedynie na słaby jęk. Otoczył ją mrok korytarza, który ciągnął się i zwężał jak długi tunel z nocnego koszmaru. Czekala na Deana. Pewnie biegł na czele, sam Rondeau tak powiedział. Musiała go ostrzec. Próbowala jakoś się pozbierać, ale wszystkie członki miała jak z waty i chciało jej się wymiotować. Otworzyła usta do krzyku, ale radiowy, dobrze wy-trenowany głos zawiódł ją w tej chwili na całej linii.

Rondeau przemieszczał się w kierunku drzwi. Słyszała jego jęki, kiedy kuśtykał po betonowej podłodze. Zaraz pojawi się w holu i, ukryty za rogiem, będzie miał przewagę nad zbliżającymi się policjantami.

- Dean - wycharczała.

Jeszcze raz spróbowała wstać. Udało jej się podnieść na kolana, ale zachwiała się i upadła, twardo obijając się o ścianę. Ból przeszył jej brzuch aż do kości, jak rozżarzony żelazny pręt. Zostawiając na ścianie krwawy ślad, znów upadła na ziemię, plecami do ściany. Mimo szumu w uszach słyszała zbliżające się szybko podniesione głosy. Światła latarek migwały w obłąkanym tańcu na końcu korytarza. Ale niebawem usłyszała dźwięk z tyłu. Odwróciwszy się, ujrzała Rondeau w otwartych drzwiach magazynu. Skulił się z bólu i oparł ciężko o stalową klamkę. Miała satysfakcję, widząc jego prawą nogę wykręconą pod nienaturalnym kątem. Gdy ją zobaczył, na jego spoconej twarzy pojawił się grymas wściekłości.

- Jesteś taka sama jak oni - powiedział. - Muszę cię zabić.

- Staaać! - Okrzyk odbił się echem od ścian, jak przedtem światła latarek.

Ale Rondeau nie zamierzał nikogo słuchać. Podniósł pistolet i wycelował go w Paris.

Pistoletowa palba wypełniła korytarz gryzącym dymem. Padając na twarz, Paris ostatkiem świadomości usiłowała pojąć, czy traci przytomność, czy umiera.

Rozdział 36

- Kto go w końcu zastrzelił?

- Powiedzmy, że stało się to zbiorowym wysiłkiem. Rondeau nie chciał się poddać. Otrzymał kilka strzałów.

Paris oparła się wygodniej na szpitalnej poduszce. Odpowiedź Curtisa przyniosła jej ulgę. Nie chciała, żeby to Dean nosił ciężar śmierci Rondeau na swoim sumieniu. Powiedziano jej później, że rzeczywiście biegł pierwszy korytarzem, tak jak się spodziewała. Ale tuż za nim biegł Curtis i kilku innych oficerów. Każdy z wystrzelonych przez nich naboju mógł zabić Rondeau.

Tego ranka, z okazji wizyty w szpitalu, Curtis ubrał się jeszcze staranniej niż zwykle. Miał szary teksański garnitur szyty na miarę. Jego buty lśniły jak nigdy. Z daleka pachniał wodą kolońską. Przyniósł jej w prezencie pudło luksusowych czekoladek. Ale zachowywał się i mówił jak stuprocentowy policjant.

- Rondeau był dość biegły w komputerach, żeby przełączać rozmowy na inne numery - powiedział. - Nasi spece dotarli nawet do ostatniego numeru, bo dzwonił z komórki, ale nierejestrowanej. Takie sztuczki to była dla niego betka.

- Umiał także zmieniać głos. To było niesamowite.

Paris tylko chwilami zdarzało się nie myśleć o Rondeau i ostatnich, potwornych minutach w magazynie. Wspomnienie nachalnie powracało, zmuszając ją do przeżywania w kółko tych wszystkich wydarzeń. Kiedy opowiedziała o tym Deanowi, zapewnił ją, że z upływem czasu wspomnienia zblakną i nie będą się tak często powtarzać. I choć do końca życia nie zapomni tego, przez co przeszła, zepchnie ten koszmar do podświadomości.

Powinna tylko usilnie starać się żyć dniem dzisiejszym i myśleć o przyszłości, zamiast rozpamiętywać przeszłość.

- Rondeau marzył o przeniesieniu do CBS - powiedział Curtis. - Zagadywał mnie w tej sprawie. Chciał pracować w wydziale przestępstw dla nieletnich.

- Gdzie miałby nieograniczony dostęp do dziecięcej pornografii. Curtis przytaknął z niesmakiem.

- Przyjechał do radia, żeby zrealizować swoje dwa cele: zabić cię i wyróżnić się, dostarczając policji Valentina. Gdyby udało mu się uśmiercić ciebie i Crenshawa, mógłby odnieść sukces. Na ciele Janey nie znaleziono śladów DNA. - Detektyw z żalem potrzęsął głową. - Za dobrze go wykształciliśmy.

- Jak się czuje Stan? - spytała Paris.

- Polepsza mu się.

Jakimś cudem Stan przeżył postrzał w pierś i operację wyjęcia kuli. Miał poszarpane płuco i rozległe obrażenia wewnętrzne, ale jego życiu nie zagrażało już niebezpieczeństwo. Kiedy jego stan się unormował, stryj Wilkins kazał przetransportować go prywatnym samolotem do Atlanty.

- Prosiłam jego stryja, żeby dal mi znać, kiedy Stan będzie mógł rozmawiać przez telefon -

powiedziała Paris. - Chciałam go przeprosić.

- Z pewnością nie będzie żywił do ciebie urazy. Jest szczęśliwy, że żyje.

- Rondeau twierdził, że strzelił mu prosto w serce.

- Może miał taki zamiar, ale za mało czasu spędzał na strzelnicy. - Curtis uśmiechnął się sarkastycznie. - Mieliście szczęście, że dwa razy spudłował. Paris straciła dużo krwi, bo pocisk przeszedł jej przez plecy tuż pod łopatką.

Miała jej po tym pozostać brzydka blizna, a o tenisie musiała zapomnieć. Jednak przeżyła. Gdyby Rondeau trafił odrobinę niżej, byłoby po wszystkim. Dean radził jej, by nie wracała wciąż do tego myślami, choć było to normalną reakcją u kogoś, kto cudem uszedł śmierci.

- Nie zastanawiaj się, dlaczego żyjesz, Paris. To bezcelowe, bo nigdy nie uzyskasz odpowiedzi. Bądź wdzięczna losowi, że znów jesteś z nami. Ja co dzień dziękuję Bogu - wyszeptał z przejęciem.

Curtis znów sprowadził ją na ziemię, opowiadając o dzieciństwie Rondeau. To kazirodzkie stosunki w domu doprowadziły go do takiej agresywnej dewiacji.

- Chyba sam nie zdawał sobie sprawy, jak głęboko i silnie tkwi w nim gniew przeciw wszystkim kobietom. Umiał się maskować, ale pod powierzchnią aż się gotowało. A wszystko przez matkę, która go tak wcześnie zdeprawowała.

- Dean mówił mi o tym.

- Tak, powtarzam jego opinię - przyznał Curtis, a potem spytał, czy Paris czytała dzisiejsze gazety. - Sędzia Kemp wykorzystuje śmierć Janey w swojej kampanii wyborczej.

- Jest taki gruboskórny, że to się nie mieści w głowie.

- Są ludzie i ludziska - westchnął ciężko detektyw.

- A co będzie z Bradem Armstrongiem? Trafi do więzienia?

- Będzie odpowiadał przed sądem za seks z nieletnimi i jeśli go skazą, wyrok nie będzie niski. Z drugiej strony, Melissa Hatcher zeznała, że poszła z nim dobrowolnie i była w pełni świadoma, co robi, póki przestało jej się to podobać. Brad może się odwoływać, żeby zmieniono kategorię czynu, i wtedy dostanie mniejszy wyrok. Tak czy inaczej, swoje będzie musiał odsiedzieć. Jedyny pożytek z tego, że przez ten czas będzie leczony. Oby skutecznie.

- Zastanawiam się, czy żona z nim zostanie. - Oczy Paris powędrowały do wiązanki kwiatów, przysłanej przez Toni Armstrong.

- Czas pokaże, ale gdybym się miał zakładać, to obstawiałbym, że zostanie. - Milczeli przez dłuższą chwilę, po czym Curtis klepnął się po udzie i wstał. - Powinienem już iść. Musisz odpocząć.

- Naodpoczywałam się za wszystkie czasy. - Paris się roześmiała. - Nie mogę się doczekać, kiedy mnie wypuszczą.

- Tęsknisz za pracą?

- Chciałabym zacząć od przyszłego tygodnia.

- Twoi wielbiciele będą uszczęśliwieni. Pielęgniarki też. Narzekają, że zarzucono im poczekalnię bukietami ze wszystkich kwaciarni w promieniu stu kilometrów.

- Dean zawiózł mnie tam wczoraj na wózku. Ludzie są tacy dobrzy.

- Jeśli o mnie chodzi, to brak mi twojej audycji. - Nawet skóra na głowie Curtisa poróżowiała ze wzruszenia. - Jesteś wspaniała, Paris.

- Dzięki. Panu też nic nie brakuje, sierżancie Curtis. Ostrożnie ujął jej prawą rękę i uściśnił leciutko.

- Jestem pewien, że będziemy się widywać, no bo ty i Malloy... - celowo nie dokończył zdania.

- Ja też jestem pewna, że będziemy.

Dean przyjechał, gdy kończyła robić makijaż.

- Gdzie jesteś, Paris?

- Tutaj! - odskrzyknęła z mikroskopijnej łazienki. Wszedł tam i zobaczył w lustrze jej oczy. - No i jak wyglądam?

- Zabójczo.

Krytycznym wzrokiem zmierzyła swoją fryzurę.

- Nie jest łatwo uczesać się jedną ręką. Na szczęście to prawa jest sprawna. Dean ujął jej prawą rękę, wciąż jeszcze ze śladami po kroplówce. Ucałował wielobarwny siniec.

- Jak dla mnie, wyglądasz fantastycznie.

- To dobrze, bo liczy się wyłącznie twoja opinia. - Obróciła ku niemu twarz i była bardzo niezadowolona, kiedy tylko lekko musnął jej wargi.

- Nie chciałem cię urazić. - Wskazał na zabandażowane ramię.

- Nie jestem ze szkła.

Przyciągnęła prawą ręką jego głowę i uraczyła go prawdziwym pocałunkiem, na który odpowiedział równie namiętnie. Całowali się z pasją, nie tylko jak zauroczeni sobą kochankowie, ale jak ludzie świadomi podarowanego im po raz drugi życia.

- Dostałam życzenia powrotu do zdrowia od Liz Douglas - powiedziała Paris, kiedy się od siebie oderwali. - To miło z jej strony, zwłaszcza w tych okolicznościach.

- Ma dziewczyna klasę, pod każdym względem. Brakowało jej tylko jednego: nie była tobą.

Znów zaczęli się całować, a Paris szepnęła, nie odrywając warg od ust Deana:

- Kiedy wrócimy do domu...

- To co?

- To pójdziemy prosto do łóżka?

- Będzie, jak zechcesz.

- Chcę. Chcę robić z tobą wszystko.

- Dobrze, ale teraz musimy już iść. - Dean cmoknął ją po raz ostatni. Pozbierali do torby ostatnie rzeczy. Paris włożyła ciemne okulary, a Dean usadził ją na szpitalnym wózku i zawiózł do windy.

Kiedy zbliżali się do parteru, powiedziała:

- Miałam nadzieję, że Gavin też przyjdzie.

- Pozdrawia cię bardzo serdecznie, ale musiał wyjechać wcześniej rano do Houston, na weekend do matki. Chce się pogodzić z Pat i poprawić stosunki z jej mężem.

- To by było świetnie.

- Mnie nie oszukał.

- Nie wierzysz, że ma szczerze zamiary?

- Och, owszem, ma szczerze zamiary, ale ten termin wybrał ze względu na nas. Chciał, żebyśmy teraz byli tylko we dwoje. - Gdy winda się zatrzymała, Dean szepnął jeszcze do ucha Paris: - Mam u niego dług.

- Ja też - uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Wyjdiesz za mnie?

- Inaczej nie planowałabym miodowego miesiąca - odparła z udaną obrazą.

- Gavin będzie zachwycony. Musi się zaaklimatyzować w nowej szkole. Powiedział mi, że mając za macochę tak sławną kobietę, w dodatku ekstralaskę, będzie miał duże przody.

- Uważa mnie za ekstralaskę?
- I za świetną osobę. Masz u niego pełny kredyt.
- Miło, że tak mu na mnie zależy.

Dean przyklęknął przed wózkiem i powiedział śmiertelnie serio:

- Najbardziej zależy mi na tobie.

Świadcami tej sceny był cały szpitalny personel i tłum gości zebranych w holu. Nie bacząc na nic, ujął dłoń Paris i złożył na niej pocałunek. Ich spojrzenia powiedziały sobie wszystko.

- Gotowa?

- Gotowa.

- Muszę cię ostrzec, Paris, że jesteś na ustach wszystkich. Nic opędzisz się teraz. Za drzwiami już czekają kamery. Każda gazeta i telewizja od Dallas przez Houston aż do El Paso chce mieć relację z twojego wyjścia ze szpitala. Jesteś sensacją numer jeden.

- Wiem.

- Pasuje ci to?

- Tak... Bo tak naprawdę, to... - Zdjęła okulary i uśmiechnęła się do niego. - Nie chcę się dłużej ukrywać.

Uśmiechnął się szeroko i pchnął wózek do drzwi. Otworzyły się automatycznie i natychmiast zaczęły błyskać flesze. Paris nawet nie drgnęła powieka.